


MISTRZOWIE  LITERATURY

GAO
XINGJIAN



GÓRA
DUSZY



REBIS

GAO XINGJIAN

GÓRA DUSZY

Przełożył z angielskiego
Wojśław Brydak



& po 40

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2004

Wstęp

Gao Xingjian urodził się 4 stycznia 1940 roku w Chinach rozdzielanych przez wojnę, wkrótce po rozpoczęciu najazdu japońskiego. Szkołę średnią i studia ukończył w Chińskiej Republice Ludowej (proklamowanej w 1949 roku po zwycięstwie komunistów w wojnie domowej z nacjonalistami); w 1962 roku uzyskał dyplom romanistyki pekińskiego Instytutu Języków Obcych. W kraju i za granicą zdobył rozgłos jako pisarz i krytyk na początku lat osiemdziesiątych zeszłego wieku, dzięki eksperymentalnym dramatom, prozie i pracom teoretycznym, sprzecznym z wytycznymi ideologów Komunistycznej Partii Chin. W owym czasie zaczynały wygasać konwulsje chińskiej rewolucji kulturalnej - z lat 1966-1976 - kiedy jednostka została właściwie wyzuta z prawa do intelektualnych i twórczych poczynań. Podstawowe ludzkie instynkty i wrażliwość, przemyślenia, postrzegania i sądy były tłumione i kielznane, a przedstawianie rzeczywistości w przejawionych formach romantyki rewolucyjnej i realizmu socjalistycznego stało się przymusowym punktem wyjścia wszelkich działań twórczych; literatura i sztuka stały się zatem refleksem spazmowanej rzeczywistości.

Kres rewolucji kulturalnej i przyjęcie bardziej tolerancyjnego kursu politycznego oznaczały, że Gao Xingjian może publikować, mimo nieustannych pogłosów okresu poprzedniego. Mógł też wyjeżdżać za granicę; był członkiem dwóch delegacji pisarzy, z których pierwsza w 1979 roku odwiedziła Francję, a druga w 1980 Włochy. Między rokiem 1980 a 1987 Gao Xingjian drukuje w różnych pismach literackich opowiadania, szkice krytyczne i sztuki teatralne oraz wydaje cztery książki: „Wstępne rozważania o sztuce nowoczesnej narracji literackiej” (1981), zbiór opowiadań „Gołąb zwany Czerwony Dziób” (1985), „Sztuki zebrane Gao Xingjiana” (1985) oraz „W poszukiwaniu nowoczesnego teatru” (1987). Ponadto w pekińskim Teatrze Sztuki Ludowej wystawiono trzy dramaty Gao Xingjiana: „Sygnał alarmowy” (1982), *Przystanek* (1983, przekład polski 1987) i „Dziki Człowiek” (1985). Życiowe okoliczności owych paru lat skłoniły Gao Xingjiana do niepodzielnego poświęcenia się twórczości i poddawania stworzonej przez siebie rzeczywistości jedynie własnemu osądowi.

Kiedy w 1987 roku Gao Xingjian wyjechał z Chin do Niemiec - dzięki stypendium organizacji DAAD - nie zamierzał już wracać. Zabrał rzecz dla siebie najważniejszą: rękopis powieści rozpoczętej latem 1982 roku w Pekinie. *Lingshan*, ową powieść, ukończył we wrześniu 1989 w Paryżu (gdzie mieszka do dziś jako obywatel francuski), opublikował zaś w Taipei w roku 1990. W dwa lata później Goran Malmaquist opublikował jej szwedzkie tłumaczenie pod tytułem *Aniar-nas berg* (w 1994 szwedzki Królewski Teatr Dramatyczny wydał w przekładzie Malmaquista zbiór dziesięciu sztuk Gao Xingjiana); francuskie wydanie w przekładzie Lilianę i Noela Dutrait ukazało się w roku 1995 jako *ha Montagne de l'dme*. Przekład angielski został zatytułowany *Soul Mountain*.

Góra duszy to pisarski odzew spowodowany kataklizmami, jakich doświadcza jednostka pod wpływem prymitywnej ludzkiej potrzeby ciepła i bezpieczeństwa tkwiącej w drugim człowieku, w innych ludziach, słowem w życiu społecznym. Istnienie drugiego człowieka rozwiązuje problem samotności, lecz ściąga też na jednostkę obawy i troski, we wszelkie bowiem stosunki wpisana jest niezbywalnie jakaś forma walki o władzę. Z tym egzystencjalnym dylematem mierzy się jednostka w stosunkach z rodzicami, partnerami, rodziną, przyjaciółmi i większymi zbiorowościami. W historii ludzkości roi się od sytuacji, w których jednostka jest poddawana władzy kolektywu - siłą lub w drodze perswazji ideologicznej; w końcu podporządkowywanie grupie własnego ja staje się nawykiem, normą, konwencją lub tradycją, zjawisko to występuje zaś w każdej kulturze.

W Chinach tradycyjnych filozofia Konfucjusza przerodziła się w ideologię autokratyzmu, tworząc przy tym struktury pozwalające wnikać tej filozofii, wraz z ideologią, we wszelkie poziomy społeczeństwa; już w chwili narodzin jednostka winna była podporządkować się hierarchii zwierzchnictw, wyraźnie określonej. Nonkonformiści natomiast - gotowi stawić czoło tym zwierzchnictwom i nie uchylać się od konsekwencji - mogli wieść życie w odosobnieniu czy też znaleźć tymczasową bądź trwalszą ostoję w buddyjskich klasztorach lub taoistycznych samotniach; zinstytucjonalizowane zakony też są jednak społecznościami. Nonkonformista mógł ewentualnie pozostać w konwencjonalnym społeczeństwie i przetrwać, pozorując szaleństwo, mógł też osiągnąć wolność, transcendencję oraz spełnienie w twórczości literackiej i artystycznej. Z początkiem dwudziestego wieku takie postawy zaczęły jednak stopniowo tracić znaczenie, ponieważ wyższą rangę przyznano poświęceniu się,

wpierw w imię patriotyzmu, potem w imię komunistycznej rewolucji, obiecującej równość i sprawiedliwość społeczną. Poświęcenie się stało się nawykiem zakorzenionym głęboko, wspomagającym zaś i umacniającym skrajne przejawy społecznego konformizmu, żadanego podczas rewolucji kulturalnej, skonfigurowanej pod dyktando wymyślnych nowoczesnych strategii, dla osiągnięcia ideologicznej kontroli. Pisarze i artyści, dla których twórczość oznaczała wyrażanie własnego ja, zostali bezwzględnie i skutecznie uciszeni.

Owoce żywiołowego pragnienia Gao Xingjiana, by w sztuce wyrazić własne ja, było kilkaset utworów - prozą oraz dramatów i wierszy - napisanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zeszłego wieku. Gao był świadom, że tego, co pisze, nie zdoła wydać, nie wydane utwory zaś mogą się zwrócić przeciw niemu jako dowód nieprzestrzegania obowiązujących wytycznych. Ukrywanie utworów stawało się coraz trudniejsze; w zenicie rewolucji kulturalnej Gao Xingjian spalił je w końcu, wszystkie, z lęku przed skutkami ich znalezienia.

W latach osiemdziesiątych, jak wspomniałam, Gao Xing-jian mógł już sporo publikować, wszakże nie bez poważnych obaw. Wydane w 1981 roku „Wstępne rozważania o sztuce nowoczesnej narracji literackiej” skrytykowane za zachwalanie modernistycznych poglądów zapożyczonych z dekadentckiego kapitalistycznego Zachodu, w rezultacie Gao Xingjian znalazł się pod nadzorem. Niemniej debiut dramatopisarski Gao Xingjiana w roku 1982 podbił Pekin: „Sygnał alarmowy” zagrano ponad sto razy przed szczelnie zapełnioną widownią pekińskiego Teatru Sztuki Ludowej. Lecz już w następnym roku, w tych zagadkowych politycznie czasach, zakazano *wystawiać Przystanek*, chociaż zorganizowano jedno jedyne przedstawienie po to, by umożliwić potępienie sztuki. Gao Xingjian został wybrany za cel ataków w podjętej owego roku kampanii „przeciw skażeniu duchowemu”; doczekał się zakazu publikacji, jeden zaś z wysoko postawionych członków partii oświadczył, że *Przystanek* to „najbardziej szkodliwy utwór od chwili powstania Chińskiej Republiki Ludowej”. Właśnie wówczas, po rutynowym badaniu, Gao Xingjian dowiedział się, że cierpi na raka płuc, chorobę, która przed kilkoma laty zabiła jego ojca. Gao jedną się z rychłą śmiercią aż do chwili, w której kolejne prześwietlenie wykazało mylność diagnozy. Z transcendentnego spokoju, którego doświadczył w obliczu śmierci, Gao Xingjian powrócił do życia i rzeczywistości, by usłyszeć pogłoski, iż zagraża mu deportacja do osławionych obozów pracy przymusowej w prowincji Qinghai. Postanowił natychmiast uciekać z Pekinu; podjął zaliczkę na poczet tantiem za przyszłą powieść i ukrył się w odległych lesistych regionach prowincji Sichuan, potem zaś powędrował wzdłuż Yangzi, od źródeł do morza. Tymczasem kampania „przeciw skażeniu duchowemu” wygasła, powrót do Pekinu już niczym nie groził, a Gao Xingjian miał za sobą dziesięciomiesięczną podróż przez Chiny, na trasie 15 000 kilometrów.

Te właśnie zdarzenia z roku 1983 są autobiograficznym tworzywem *Góry duszy*, opowieści o człowieczym poszukiwaniu wewnętrznego pokoju i wolności. Potyczka Gao Xingjiana ze śmiercią wydobyła z zapomnienia liczne minione epizody, w *Górze duszy* Gao Xingjian odtwarza je, odzyskuje, wraz z uczuciami, których doświadczył na tle mierzenia się ze śmiercią. Szlaki podróży Gao Xingjiana, nie ujawniającego miejsca pobytu, wiodą do regionów zamieszkałych przez Qiangów, Miao i Yi, na obrzeżach cywilizacji Chińczyków Han; Gao podchodzi do tamtejszych tradycji i zwyczajów z ciekawością archeologa, historyka i pisarza. Wypady do licznych rezerwatów przyrody pozwalają na rozważania dotyczące miejsca jednostki w przyrodzie; z kolei odwiedziny buddyjskich i taoistycznych instytucji utwierdzają w przekonaniu, że nie są to miejsca dla niego. Chociaż zachwyca go strażnik leśny, w istocie rzeczy pędzący życie pustelnika, chociaż podobnie zachwyca go samotny buddyjski mnich - lekarz wędrowny, Gao Xingjian uświadamia sobie, że wciąż, mimo obaw, tęskni za ciepłem ludzkiej zbiorowości. Autor, obsesyjnie pragnący wyrazić własne ja, stawia w *Górze duszy* pytanie: Czy jednostka wyzbyta więzi z ludźmi skazuje się na egzystencję Dzikiego Człowieka z lasów Shennongjia, na bytowanie amerykańskiej Wielkiej Stopy, himalajskiego yeti?

Na wymiar autobiograficzny nakłada się w *Górze duszy* bogactwo wniknięć w różnorodność stosunków ludzkich oraz konsekwencji, które w związku z nimi ponosi jednostka. Ścisła, krytyczna analiza człowieczego jestestwa została przeprowadzona przez rozczłonkowanie autorskiego „ja” na zaimki „ja”, „ty”, „ona” i „on”, które dopiero łącznie tworzą bohatera. Podczas samotnej podróży stara się on złagodzić dojmującą samotność i tworzy „ty”, w ten sposób ma do kogo mówić. „Ty”, będący odbiciem „ja”, doznaje rzecz jasna tej samej samotności, zatem dla towarzystwa tworzy „ja”. Z kolei stworzenie bezimiennej „jej”

pozwala autorowi przenosić siebie - z ogromną swobodą - w obszar psychiki kobiecej. Dłużąca się podróż sprawia, że „ja” nadmiernie przybliża się do „ty”, niwecząc potrzebny autorowi analityczny dystans, zatem autor pozwala odejść „ty”, plecy odchodzącego stają się „nim”, potem zaś następują dalsze przemiany...

Autor, pekiński uciekinier polityczny, posługuje się w długiej podróży strategią snucia opowieści, łagodzących jego samotność; na tle postrzegania Chin jako środowiska naturalnego tyleż w sensie fizycznym, ile w ludzkim rekonstruuje zarówno przeszłość osobistą, jak i upadek rewolucji kulturalnej. W klimacie zażyłości, za pośrednictwem postaci będących projekcją jego „ja”, autor toczy rozmowy z anonimowymi obcymi, by opowiedzieć historie ludzi różnego pokroju, zamieszkujących wprawdzie Chiny, lecz koniec końców obecnych w każdej kulturze i każdym społeczeństwie.

Gao Xingjian to pisarz o wrażliwości malarza oraz ogromnej i niewyczerpanej ciekawości wobec eksperymentów z językiem i innymi formami wyrazu; zarazem jest naprawdę świadomy wyzwania, jakie dla ludzi pióra stanowi współczesna cywilizacja obrazkowa. Wydanie *Góry duszy* w 1990 roku uwolniło Gao Xingjiana od resztek tęsknoty za krajem, umożliwiło też niepodzielne poświęcenie się twórczości. Od 1987 roku jego sztuki wystawiano na zawodowych scenach w Paryżu, Bordeaux, Awinionie, Sztokholmie, Hamburgu, Nowym Jorku, Taibei, Hongkongu, Wiedniu, Veroli, Poznaniu, Klużu, a także na małych scenach studyjnych w Tokio, Kobe, Edynburgu, Sydney i Beninie. Natomiast od 1987 roku Gao Xingjian opublikował w Chinach jedynie *Tao-wang* (*Ucieczkę*), sztukę o trojgu ludziach, którzy po świcie 4 czerwca 1989, kiedy na plac Tiananmen wtoczyły się czołgi, ukrywają się w nie używanym magazynie. *Ucieczkę*, opublikowaną w gazetach i czasopismach, skrytykowano jako dzieło pornograficzne, niemoralne, które wypychił nieobecny w Pekinie podczas przedstawianych wydarzeń pisarz Gao Xingjian. Z drugiej zaś strony, Amerykanie, którzy zamówili utwór, domagali się zmian, nalegając, by przedstawiciele studenckich demonstrantów jako postaci bohaterkie. Pisarz uchylił się od wprowadzania jakichkolwiek poprawek i wycofał sztukę. Mieszkający w Paryżu Gao Xingjian zarabia głównie pędzlem; cieszy się sławą jako autor tradycyjnych chińskich czarno-białych prac wykonywanych w dużych formatach tuszem. Miał jak dotąd trzydzieści indywidualnych wystaw w galeriach europejskich, także w Pekinie (przed rokiem 1987), w Nowym Jorku, Taibei i Hongkongu; jego malowidła znajdują się w licznych galeriach europejskich i amerykańskich.

Większość najnowszych dzieł literackich Gao Xingjiana ukazuje się po chińsku w Taibei i Hongkongu. Liczne utwory zostały także opublikowane po francusku, teraz zaś zaczynają się ukazywać po angielsku. Kilka najnowszych dramatów Gao Xingjian napisał w pierw po francusku, potem po chińsku. W 1992 roku Francuzi uhonorowali go tytułem Kawalera Orderu Literatury i Sztuki. Napisana po francusku sztuka *Le Somnambule* zdobyła w 1994 roku nagrodę frankojęzycznej wspólnoty w Belgii, w 1997 roku zaś francuskie jury przyznało powieści *La Montagne de l'ame* Nagrodę Chińskiego Nowego Roku. Z początkiem roku 2000 drugie wydanie *La Montagne de l'ame* trafiło do druku jednocześnie z francuskim przekładem drugiej powieści Gao Xingjiana *Yi ge ren de shengjing*, opublikowanej rok wcześniej w Taibei. Lilianę i Noel Dutrait zatytułowali francuski przekład *Le Livre de seul homme* („Księga człowieka jedynego”), mój przekład angielski ukaże się pod tytułem *One Man's Bible*.

Mabel Lee
kwiecień 2000

1

Stary autobus to złom, wyrzutek z miasta. Wytrząsł cię od wczesnego ranka, aż po dwunastu godzinach dowiózł do tej powiatowej górskiej miejsciny na południu.

Na dworcu autobusowym, zaśmieconym resztkami trzciny cukrowej i papierkami i patykami po lodach, stajesz z plecakiem i torbą, żeby rozejrzeć się przez chwilę. Z autobusu wysypują się ludzie, mijają cię przechodnie; mężczyźni niosą worki, kobiety dzieci. Tłum wyrostków; nie przytłoczeni ciężarem worków ani koszy, mają wolne ręce. Z kieszeni wyciągają nasiona słonecznikowe, wrzucają do ust po jednym i wypluwają łupinę. Ziarno rozgryzają popisowo, z głośnym trzaskiem. To tutaj endemiczne - nie śpieszyć się, nie przejmować. Są miejscowi, życie sprawiło zaś, że widać to po nich, żyją tutaj od pokoleń, nie musisz za nimi uganiać licha wie gdzie. Ci pierwsi, skorzy wyrwać się stąd, spływali rzeką w czarnych łodziach z baldachimami, jechali wynajętym wozem, a jeśli brakło pieniędzy, podróżowali pieszo. W owych czasach nie słyszano, rzecz jasna, o autobusie ani dworcu autobusowym. Teraz, póki są jeszcze w stanie podróżować, tłumnie wracają do domu nawet z przeciwległego wybrzeża Pacyfiku, zjawiają się samochodami lub w wielkich klimatyzowanych autokarach. Bogaci, znani, nic dziwnego, że na stare lata śpieszą z powrotem. W końcu, któż nie kocha domu przodków? Ani myślą stać, więc spacerują odprężeni, rozmawiają głośno, śmieją się, ociekają czułością i sentymentem wobec miejsca. Podczas powitań przyjaciele nie ograniczają się do skinienia głowy czy pustego rytuału uściśnięcia ręki, raczej wykrzykują imię spotkanego, klepią go po plecach. Powszechnie jest też przytulanie, chociaż nie wśród kobiet. Obok betonowego koryta do mycia autobusów rozmawiają dwie młode kobiety, trzymając się za ręce. Kobiety mają tutaj zachwycające głosy, trudno i darmo, musisz się obejrzyć. Ta odwrócona tyłem ma na głowie chustę z drukowanym wzorem koloru indygo. Rodzaj chusty i sposób wiązania są tu znane od pokoleń, lecz teraz rzadko się to widuje. Podchodzisz bliżej. Chusta jest zawiązana pod brodą, sterczą zadarte rożki. Kobieta ma piękną twarz o delikatnych rysach i szczerpłe delikatne ciało. Przechodzisz tuż obok. Przez cały czas kobiety trzymają się za ręce. Obie mają czerwone szorstkie dłonie i mocne palce. Obie są pewnie młodymi mężatkami, które wpadły zobaczyć krewnych i przyjaciółki albo odwiedzić rodziców. Słowo *xifu* oznacza tutaj własną synową; kto go użyje wobec dowolnej młodej mężatki, zwyczajem wieśniaków z północy, natychmiast narazi się na wymysły. Z drugiej strony, mężatka nazywa swego męża *laogong*, ale w użyciu są zarówno twój *laogong*, jak i mój *laogong*. Miejscowi mówią z niepowtarzalnym akcentem, chociaż wszyscy są potomkami Yandi i Huangdi, należą też do tej samej kultury i rasy.

Nie umiesz wyjaśnić, dlaczego tu jesteś. Jechałeś pociągiem, a ów człowiek, trzeba trafu, wspomniął o miejscu zwanym Lingshan. Siedział naprzeciwko, a wasze kubeczki stały jeden przy drugim. Podczas jazdy postukiwały o siebie ich przykrywki. Gdyby stuknęły przez cały czas lub gdyby stuknęły, a potem przestały, na tym by się skończyło. Jednak ilekroć ty i on mieliście już odstawić kubeczki, stukanie ustawało, a kiedy tylko spuszczałyście je z oka, stukot powracał. Sięgnęliście znowu, on i ty, stukot zaś ustał. Wówczas roześmialiście się w tej samej chwili, odstawiliście kubeczki i rozpoczęliście rozmowę. Zapytałeś, dokąd jedzie.

- Lingshan.

- Co takiego?

- Lingshan; *ling* oznacza ducha lub duszę, *shan* zaś oznacza górę.

Widziałeś mnóstwo miejsc, oglądałeś wiele sławnych gór, lecz nigdy o czymś takim nie słyszałeś.

Twój przyjaciel z naprzeciwka zamknął oczy i drzemał. Jak każdy, nie zdołałeś poskromić ciekawości i, rzecz jasna, chciałeś wiedzieć, jakież to znamienite miejsce pominąłeś w swych podróżach. Lubisz także staranność, więc dręczyła cię myśl, że jest miejsce, o którym nigdy nie słyszałeś. Zapytałeś, gdzie jest Lingshan.

- U źródeł rzeki You - odrzekł, otwierając oczy.

O rzece You też nie masz pojęcia, jednak, zakłopotany, nie zapytałeś, poczęstowałeś rozmówcę nieczytelnym skinieniem głowy, które równie dobrze mogło oznaczać „Dziękuję, rozumiem”, jak „Och, wiem, gdzie to jest”. Tak zaspokoiliś potrzebę wyższości, ale nie ciekawość. Po chwili zapytałeś, jak tam dotrzeć i wchodzić.

- Pociągiem do Wuyizhen, dalej łodzią w górę rzeki You.

- I co tam jest? Piękne widoki? Świątynie? Zabytki? - spytałeś jakby od niechcienia.

- Dziewicza puszcza.

- Stare lasy?
- Oczywiście, ale nie tylko.
- A Dziki Człowiek? - żartujesz.

Roześmiał się, ale bez sarkazmu, chyba nie pokpiwał też z siebie, co zaintrygowało cię jeszcze bardziej. Musiałeś dowiedzieć się o nim więcej.

- Jest pan ekologiem? Biologiem? Antropologiem? Archeologiem?

Za każdym razem przecząco kręcił głową, potem odrzekł:

- Raczej obchodzą mnie żywi.

- To znaczy, że prowadzi pan badania nad ludowymi obyczajami? Jest pan socjologiem? Etnografem? Etnologiem? Może dziennikarzem? Poszukiwaczem przygód?

- Amatorem, w każdej z tych dziedzin.

Roześmialiście się obaj.

- Wytrawnym amatorem, w każdej z tych dziedzin.

Śmiech sprawił, że poweselałeś i on poweselał. Zapalił papierosa i rozgadał się o cudach Lingshan. Potem na twoją prośbę rozdarł puste pudełko po papierosach i naszkicował trasę.

Na północy jest już późna jesień, lecz tutaj letni żar jeszcze nie dał za wygraną. Przed zmierzchem jest wcale gorąco w słońcu, po plecach zaczyna ci spływać pot. Wychodzisz z dworca, żeby się rozejrzeć po okolicy. Prawie nic tu nie ma, z wyjątkiem małego zajazdu po drugiej stronie ulicy. Dwupiętrowy, staroświecki budynek ma drewnianą fasadę. Na górze paskudnie skrzypi podłoga, lecz gorszy wydaje się brud na macie nakrywającej poduszkę. Jeśli zachce ci się myć, musisz poczekać do zmroku, wtedy możesz się rozebrać i polać wodą na wilgotnym, wąskim podwórku. To przystanek wędrownych wiejskich handlarzy i rzemieślników.

Nieprędko się ściemni, zostało więc mnóstwo czasu, żeby znaleźć czysty kątek. Idziesz ulicą, rozglądasz się po miasteczku z nadzieją, że wypatrzysz jakąś wskazówkę, wywieszkę, szyld reklamowy, po prostu nazwę „Lingshan”, co upewni cię, że jesteś na właściwym tropie, że nie dałeś się nabrać, ruszając na tę długą wyprawę. Rozglądasz się, ale niczego nie znajdujesz. Wśród wysiadających z autobusu nie było turystów twego pokroju. Rzecz jasna, nie jesteś turystą żadnego pokroju, to tylko twój strój: praktyczne, mocne buty sportowe i plecak na solidnych paskach, tylko ty tak się wyekwipowałeś. Nie jest to jednak turystyczna miejscowość odwiedzana przez nowożeńców i emerytów. Turystyka takie miejscowości odmienia, wszędzie stoją autobusy wycieczkowe, kwitnie sprzedaż turystycznych map. W sklepikach i na straganach pełno turystycznych kapeluszy, turystycznych koszulek z rękawami i bez, turystycznych chustek do nosa opatrzonych nazwą miejscowości, powtarzającą się w nazwach hoteli dla cudzoziemców „płatności tylko w certyfikatach wymiany walut”, domów wycieczkowych „tylko dla krajowców ze skierowaniem”, sanatoriów i, rzecz jasna, prywatnych hotelików zabiegających o klientelę. Nie przyjechałeś tutaj zachwycać się jednym więcej miasteczkiem na słonecznym stoku góry, gdzie ciągną ludzie, żeby po prostu patrzeć, rozpychać się i dorzucić swoje śmieci do łupin melonów, skórek owoców, butelek po napojach, puszek, pudełek, zużytych serwetek i niedopałków. Prędzej czy później to miasteczko też rozkwitnie, lecz jesteś tutaj przed pojawieniem się tandetnych pawilonów i tarasów, reporterów z kamerami, jeszcze przed przyjazdem znakomitości, które wmurują tu tablice z wykaligrafowanymi znakami. Czujesz się raczej zadowolony, trudno i darmo, chociaż draży cię niepokój. Tu brak jakiegokolwiek sygnału dla turystów, czyżbyś zbłądził? Podążasz za szkicem nakreślonym na pudełku po papierosach, schowanym teraz w kieszonce koszuli; co będzie, jeśli ów spotkany w pociągu wytrawny amator coś tylko zasłyszał podczas wędrówek? Skąd wiesz, czy tego wszystkiego po prostu nie wymyślił? W podróżniczych opisach nie natknąłeś się na chociażby jedną wzmiankę o tym miejscu, nie wspominają też o nim najgruntowniej zaktualizowane przewodniki. Oczywiście, na mapach prowincji nie sztuka znaleźć takie miejsca, jak Lingtai, Lingaiu, Lingyan, a nawet Lingshan, powinieneś też wiedzieć, że Lingshan pojawia się w tekstach historycznych oraz w klasyce, poczynając od starego szamanistycznego dzieła *Księga gór i mórz*, a kończąc na starym dziele geograficznym *Księga wód z komentarzem*. I nie gdzie indziej, lecz w Lingshan Budda oświecił Czcigodnego Mahakaśjapę. Nie jesteś głupi, wyteż więc umysł, znajdź najpierw to miasteczko Wuyizhen z pudełka papierosów, stamtąd zaś możesz dotrzeć do Lingshan.

Wracasz na dworzec autobusowy i idziesz do poczekalni. Tymczasem ten najruchliwszy punkt miasteczka opustoszał. Okienko kasowe i bagażowe pozamykano od środka na głucho, szkoda pukać. Nie ma kogo zapytać, możesz się tylko przyjrzeć spisowi przystanków nad kasą: Zhangcun, Shapu, Shuinichang, Laoyao, Jinma, Danian, Zhangshui, Longwan,

Taohuawu... nazwy brzmią coraz lepiej, lecz wciąż brak tej poszukiwanej. Mała miejscina, lecz biegnie przez nią parę tras, przejeżdża sporo autobusów. Najbardziej ruchliwa jest linia do Shuinichang, pięć czy sześć kursów dziennie. Linia najrzadziej uczęszczana, tylko jeden kurs dziennie, prowadzi z pewnością w najdalszy zakątek i oto okazuje się, że ostatni przystanek to Wuyizhen. Nic szczególnego w tej nazwie, przypomina wiele innych, nie kryje żadnej magii. Wydaje ci się jednak, że znalazłeś jakąś nić w beznadziejnej płataninie; może nie popadłeś w ekstazę, ale z pewnością odczuwasz ulgę. Rano musisz kupić bilet na godzinę przed odjazdem, z doświadczenia wiesz, że dostać się do autobusu przemierzającego góry raz dziennie to stoczyć bitwę. Jeśli zaś nie jesteś gotów do bitwy, zawczasu stań w kolejce.

Teraz czasu masz mnóstwo, chociaż zaczyna ci ciążyć plecak. Przechadzasz się poboczem drogi pełnej głośnie trąbiących ciężarówek z dłużyca. W miasteczku hałas jest jeszcze gorszy, bo i tutaj ciężarówki, często z naczepami, trąbią przeraźliwie, a z okien autobusów wychylają się konduktorzy i tłuką rękami o burty, by spędzić z drogi pieszych.

W równych rzędach po obu stronach ulicy stoją stare budynki, a w każdym okno sklepowe w drewnianej oprawie. Parter służy interesom, na piętrze wisi pranie; w hałasie i kurzu wzniesionym przez samochody łopocą, jak flagi wszystkich narodów, pieluchy, staniki, połatane w kroku kalesony i kwieciste narzuty. Wzdłuż ulicy na betonowych słupach telegraficznych naklejono na wysokości oczu najróżniejsze reklamy. Twą uwagę przykuwa ta o uwalnianiu się od woni ciała. Przykuwa nie dlatego, że masz problem z tą wonią, lecz ze względu na wyszukany język oraz te słowa w nawiasie, po zwrocie „Woń ciała”.

Woń ciała (znana też jako aura nieśmiertelnych) to wstrętne przypadłość, nacechowana okropnym, mdlącym odorem. Często wręcz wstrząsa stosunkami między ludźmi, może nawet opóźnić największe wydarzenie w życiu: małżeństwo. Młodych, mężczyzn i kobiety, upośledza przy pracy lub kiedy zapagną włożyć mundur; przysparza zatem cierpień i mąk. Dzięki nowej kompleksowej kuracji możemy natychmiast uwolnić się od tej woni ze skutecznością sięgającą 97,5%. Przez wzgląd na radowanie się życiem i przyszłe szczęście zapraszamy: przyjdźcie i wyleczcie się...

Potem dochodzisz do kamiennego mostu: nie ma tu żadnych woni ciała, po prostu chłodne, rześkie powietrze. Most spinający brzegi szerokiej rzeki ma asfaltową nawierzchnię, lecz rzeźby mnichów na wytartych kamiennych słupkach świadczą o długich dziejach budowli. Wychylasz się nad betonową balustradą i przyglądasz przylegającym do mostu zabudowaniom. Czarne dachy nachodzą na siebie jak rybie łuski i ciągną się bez końca, po obu brzegach. Otwiera się widok na dolinę między dwiema górami; na ich zbocza wspięły się złociste pola ryżowe przetykane kępami zielonych bambusów. Rzeka, czysta i niebieska tam, gdzie nieśpiesznie sunie u piaszczystego brzegu, staje się głęboka i atra-mentowozielona przy granitowych pylonach dzielących jej nurt. Tuż za garbem mostu nurt burzy się, szumi, bieli się piana na wirach. Wysokie na dziesięć metrów kamienne nabrzeże przecinają brudne poziome linie przypominające, dokąd sięgała kiedyś woda; nowy żółtozielony ślad zapewne zostawiły ostatnie powodzie letnie. Może to rzeka You? Może spod Lingshan spływa tutaj?

Zaraz zajdzie słońce. Jasnopomarańczowy krąg jeszcze się jarzy, lecz już nie oślepia. Patrzysz, jak w dali, u zbiegu ramion doliny układają się warstwami przymglone poszarpane szczyty. Ów złowieszczy czarny obraz wrzyna się w dolną kraweź jarzącego się jeszcze, zdawałoby się wirującego słońca. Staje się teraz ciemnoczerwone, łagodnieje, sieje jaskrawe złote refleksy po całym zakolu rzeki; przeniknięta blaskiem ciemnobłękitna toń wibruje, pulsuje. Kula pogrążająca się w dolinie nabiera rozpozgodzonego, fantastycznego piękna i oto rozlegają się dźwięki. Słyszysz je, zagadkowe, wyraźnie rozbrzmiewające w głębi twego serca i promieniujące na zewnątrz, kiedy wydaje się, że słońce wspina się na palce, żeby zaraz potknąć się i zapaść w cień gór, rozrzucając jeszcze po niebie pałające barwy. W uszach głośnie pogwizduje ci wieczorny wiatr, a przejeżdżające obok auta wciąż głośnie trąbią. Przechodzisz na drugą stronę mostu i oto widzisz nowy kamień pamiątkowy z wykutymi, pomalowanymi na czerwono literami. „Most Yongning. Zbudowany w trzecim roku panowania Kaiyuana z dynastii Song i odnowiony w roku 1962. Kamień ten umieszczono w roku 1983”. Co niewątpliwie oznacza wkroczenie tu przemysłu turystycznego.

U wylotu mostu stoją dwa stragany z przekąskami. Przy tym po lewej jesz miszkę tofu, łagodnego i smakowitego, o wszystkich właściwych składnikach. Kiedyś wędrowni handlarze sprzedawali tofu na ulicach i w zaułkach, potem na ładnych parę lat zupełnie zniknął, ostatnio zaś znów zajęły się nim rodzinne przedsiębiorstwa. Przy straganie po prawej jesz dwa pyszne posypane sezamem placki szalotkowe, parzące, prosto z ognia. Potem przy jednym ze straganów, już nie pamiętasz którym, jesz miseczkę słodkich knedelków yuamciao

duszonych w trunku. Są niewiele większe od pereł. Rzecz jasna nie jesteś takim znawcą potraw jak pan Ma Drugi, który objechał Jezioro Zachodnie, ale apetyt dopisuje ci aż miło. Delektujesz się potrawami przodków, przysłuchujesz pogwarkom klientów i właścicieli. Przeważnie miejscowi, znają się. Próbujesz naśladować tutejszy melodyjny akcent, by wywrzeć przyjazne wrażenie, chcesz być jednym z nich. Długo mieszkałeś w wielkim mieście i pragniesz poczuć, że masz rodzinne miasteczko. A potrzeba ci go, żebyś mógł wrócić do dzieciństwa i ożywić utracone na długo wspomnienia.

W końcu po tej stronie mostu znajdujesz hotelik przy starej, brukowanej uliczce. Wyszorowane drewniane podłogi, wcale czysto. Dostajesz małą jedynekę, na łóżku z desek leży bambusowa mata. Bawełniany koc jest podejrzanie szary; niedoprany albo takiego już koloru. Spod maty wyrzucasz brudną poduszkę, na szczęście jest tak upalnie, że możesz się obyć bez pościeli. Teraz marzysz tylko o jednym: zdjęć plecak, który solidnie już ciąży, zmyć z siebie pył i pot; chcesz się rozebrać i wyciągnąć na łóżku.

Z sąsiedniego numeru dobiegają krzyki i wrzawa. Trwa gra, słyszysz nawet wyciąganie i rzucanie kart. Przez dziury, wydlubane w papierze naklejonym na szpary drewnianego przepierzenia, widzisz niewyraźnie jakichś mężczyzn rozebranych do pasa. Nie jesteś aż tak zmęczony, że zaraz padniesz i zaśniesz jak kamień. Pukasz w tę ściankę, po drugiej stronie rozlega się natychmiast głośny krzyk. Krzyczą jednak na siebie, nie na ciebie; zawsze ktoś wygra, ktoś przegra, i tak to brzmi, jakby przegrany chciał się wykręcić od zapłaty. W tym hotelu jawnie uprawiają hazard, chociaż obwieszczenie urzędu bezpieczeństwa publicznego powieszzone w widocznym miejscu zakazuje tu hazardu i prostytucji. Postanawiasz sprawdzić, czy prawo działa. Zarzucasz coś na siebie, wychodzisz na korytarz i pukasz w półotwarte drzwi. Nikt się tym nie przejmuje, w pokoju wszyscy wciąż nawołują, krzyczą, na pukanie nikt nie zwraca uwagi. Popychasz więc drzwi i wchodzisz. Cztery mężczyźni siedzący wokół łóżka ustawionego na środku odwracają się i patrzą na ciebie. Lecz to ty przeżywasz szok, nie oni. Mają twarze oblepione skrawkami papieru, czoła, nosy, wargi i policzki, wyglądają ponuro i dziwnie. Wpatrują się w ciebie bez uśmiechu. Najwyraźniej irytuje ich, że się wtrącasz. Mówisz tonem przeprosin:

- Och, gracie panowie w karty.

Wracają do gry. Na długich papierowych kartach widnieją czerwone i czarne znaki z madżonga, są tam Brama Niebios i Loch Piekielny. Zwycięzca odrywa skrawek gazety i nalepia go na stosownym miejscu na twarzy przegrywającego. Wszystko jedno, czy to kara, psota, sposób wyładowania się czy rodzaj zapisu; tak umówili się gracze, intruzom nic do tego, nie dowiedzą się, o co tu chodzi.

Zarządzasz odwrót, wracasz do pokoiku, znowu się kładziesz; wokół kulistej lampy dostrzegasz gruby pierścień złożony z czarnych cętek. Miliony moskitów czekają, aż zgaśnie światło, by opaść i ucztować, sycić się twoją krwią. Szybko opuszczasz siatkę i zamykasz się w wąskiej stożkowej przestrzeni, zwieńczonej bambusową obręczą. Już dawno nie spałeś pod taką obręczą, dawno już wyrosłeś z wieku, w którym potrafiłeś wpatrzeć się w taką obręcz, by potem zatracić się w snach. Dziś nie wiesz, jakie wstrząsy zgotuje jutro. Doświadczenie nauczyło cię wszystkiego, co trzeba. Na co więc jeszcze liczysz, czego szukasz? Wszak człowiek, który wstąpił w wiek średni, powinien zabiegać o życie spokojne i stabilne; powinien znaleźć sobie niekłopotliwe zajęcie, tkwić na przeciętnej pozycji, stać się mężem i ojcem, stworzyć wygodny dom, odkładać do banku pieniądze i dodawać coś do nich co miesiąc, żeby zostało na starość i jeszcze trochę dla następnego pokolenia; prawda?

To w regionie zamieszkanym przez Qiangów, w pół drogi ku górze Qionglai na pograniczu Wyżyny Qinghajska-'iybetań-skiej i Kotliny Sichuańskiej, oglądam pozostałość wczesnej cywilizacji ludzkiej - kult ognia. Praprzodkowie istot ludzkich wszędzie czcili ogień, sprawcę cywilizacji. Jest święty. Starzec siedzi przed ogniem i popija z misy. Przed każdym łykiem zanurza w trunku palec i strząsa kroplę na żarzące się węgielki, z których z głośnym trzaskiem strzelają niebieskie iskry. Tylko wtedy wyraźnie sobie uświadamiam, że i ja jestem rzeczywistością.

- To dla Boga Kuchni, dzięki niemu możemy jeść i pić -mówi.

Refleksy ognia lśnią na chudych policzkach, tańczą na grzbiecie wydatnego nosa, na kościach policzkowych. Starzec mówi, że należy do ludu Qiang, pochodzi zaś z wioski Gengda u podnóża gór. Nie mogę pytać wprost o demony i duchy, więc mówię, że przybyłem badać pieśni ludowe tej góry. Czy przetrwali tutaj mistrzowie tradycyjnych pieśni i tańców? Mówi, że jest jednym z nich. Niedługo wszyscy, mężczyźni i kobiety, tworzyli wokół ognia krąg i tańczyli do świtu, lecz później tego zabroniono.

- Dlaczego? - pytam, dobrze znając odpowiedź. Znowu oszukuję.

- To była rewolucja kulturalna. Powiedzieli, że pieśni są nieprzyzwoite, więc odtąd śpiewaliśmy *Myśli Mao Zedonga*.

- A potem? - napieram pytaniami. Zamienia się to w nawyk.

- Potem już nikt ich nie śpiewał. Ludzie znowu zaczęli tańczyć, ale niewielu młodych to potrafi, więc paru ucze tańca.

Proszę, żeby pokazał. Bez wahania zrywa się na równe nogi, zaczyna tańczyć; śpiewa nisko, głęboko, ma kawał głosu. Jestem przekonany, że to Qiang, nawet jeśli stanowczo temu przeczą w policyjnej ewidencji ludności. Sądzą, że każdy, kto podaje się za Tybetańczyka lub Qianga, próbuje ominąć przepis o ograniczeniu urodzin i mieć więcej dzieci.

Śpiewa pieśń za pieśnią. Mówi, że bardzo chętnie się bawi, i wierzę mu. Kiedy przestał być głową wioski, stał się znowu człowiekiem z gór, jednym z tych dawnych, którzy lubią dobrą zabawę, niestety, mijał już dla niego czas miłostek.

Zna również zaklęcia, po które sięgają idący w góry prawdziwi myśliwi. Zwa je górska czarna magia bądź rzucaniem uroków, stary używa ich bez skrępowań. Naprawdę wierzy, że mogą zapędzić dzikie zwierzę w pułapkę lub zwabić w sidła. W ten sposób zaklina się nie tylko zwierzęta, lecz także istoty ludzkie, w zemście. Ofiara błądzi w górach, nie jest w stanie powrócić. Te czary są jak „mury demonów”, o których słyszałem w dzieciństwie: kiedy ktoś dłużej podróżuje nocą przez góry, pojawia się przed nim a to ściana, a to urwisko, a to głęboka rzeka, więc nie może iść dalej. Jeżeli czar nie pryśnie, stopy człowieka tkwią w miejscu, nawet jeżeli wędrowiec idzie niestrudzenie, faktycznie tkwi w punkcie wyjścia. Dopiero o świcie odkrywa, że kręcił się cały czas w kółko. To jeszcze niezłe; najgorzej, kiedy człowieka da się zwieść na manowce - bo to oznacza śmierć.

Intonuje ciągi zaklęć. To już nie jest powolne niewymuszone śpiewanie pieśni, a tylko *nan-nan-na-na* jak szybki rytmiczny ciąg uderzeń. Nic z tego nie rozumiem, lecz czuję mistyczne przyciąganie słów i demoniczną, przejmującą atmosferę, wypełniającą zniemacka całe pomieszczenie ciemne od dymu. Płomienie liżą garnek, w którym dusi się baranina, w ich rozbłyskach lśnią oczy starca. Wszystko to jest dojmująco rzeczywiste.

Kiedy ty szukasz drogi do Lingshan, ja wędruję wzdłuż rzeki Yangzi, szukając tego gatunku rzeczywistości. Przeżyłem właśnie kryzys, a na dodatek lekarz postawił mi potem fałszywą diagnozę: rak płuc. Śmierć zakpiła ze mnie, lecz teraz, kiedy ominałem mur demonów, potajemnie świętuję. Życie raz jeszcze nabrało dla mnie cudownej świeżości. Już dawno temu winienem porzucić to zatrute środowisko i wrócić do natury w poszukiwaniu prawdziwego życia.

Zatrute otoczenie nauczyło mnie, że źródłem literatury jest życie, że literatura musi być wierna życiu, prawdziwemu życiu. Mój błąd polegał na tym, że oderwałem się od życia; że w końcu do prawdziwego życia odwróciłem się plecami. Życie to nie to samo co jego przejawy. Życie prawdziwe, innymi słowy pierwiastkowe tworzywo życia, musi być czymś pierwotnym, nie wtórnym. W niezgodę z prawdziwym życiem popadłem dlatego, że zaledwie spinałem jego przejawy, nie umiając rzetelnie portretować samego życia, w sumie zaś tylko biegle wykrzywiałem rzeczywistość.

Nie wiem, czy teraz idę właściwym tropem, w każdym razie wyswobodziłem się z rozgardiaszu świata literackiego, uciekłem ze swego zakopconego pokoju, w którym stopy książek przytłaczały i dławily. Przedkładały wszelkie rodzaje prawd, od historycznych po prawdy zrośnięte z pytaniem, jak być człowiekiem. Nie mogłem dojść do sedna aż tylu prawd, wciąż jednak szamotałem się w sieci owych prawd jak owad zaplątany w pajęczynie. Na szczęście życie ocalił mi lekarz, który postawił fałszywą diagnozę. Był ze mną całkiem szczerzy i pozwolił porównać dwa rentgenogramy klatki piersiowej zrobione przy dwóch różnych okazjach - nieostry cień pokrywał płat lewego płuca, wzdłuż drugiego żebra aż po tchawicę. Nie pomogłoby nawet usunięcie całego lewego płuca. Rokowania były oczywiste. Mój ojciec zmarł na raka płuc. Umarł w trzy miesiące po rozpoznaniu nowotworu, a prawidłową diagnozę postawił ten sam lekarz. Wierzyłem w jego doświadczenie, on zaś w naukę. Rentgenogramy zrobiono w dwóch różnych szpitalach, o pomyłce technicznej nie było mowy. Ten sam lekarz zlecił zrobienie zdjęć warstwowych, a wizytę wyznaczył za dwa tygodnie. Nie chodziło o pewność czy niepewność, tylko o określenie rozległości nowotworu. Ojciec też przez to przeszedł, zanim zmarł. Z prześwietleniem czy bez, wyjdzie na to samo, nic tu nadzwyczajnego. To, iż rzeczywiście uszedłem Śmierci, można przypisać jedynie szczęściu. Wierzę w naukę, lecz także w los.

Kiedyś zobaczyłem kawałek drewna, mniej więcej dziesięciocentymetrowy, w latach trzydziestych znalazł go w regionie zamieszkanym przez Qiangów pewien antropolog. Była to rzeźba człowieka stojącego na rękach. Tuszem zaznaczono na głowie oczy, nos i usta, na korpusie zaś wypisano słowo „długowieczność”. Rzeźbę nazwano *Wuchang do góry nogami*, było w niej coś dziwnie złośliwego. Pytam byłego naczelnika wsi, Qianga, czy w okolicy trafiają się jeszcze takie talizmany. On zaś odpowiada, że noszą nazwę „stary korzeń”. Ów drewniany idol musi towarzyszyć nowo narodzonemu od pierwszych chwil aż do śmierci. Po niej towarzyszy ciału wyprowadzanemu z domu, a po pogrzebie zostaje ulokowany na pustkowiu, by duch zmarłego mógł wrócić do natury. Pytam, czy może dla mnie znaleźć taki talizman, nosiłbym go ze sobą. Śmieje się i odpowiada, że owe talizmany myśliwi wsuwają w koszuły, by strzegły ich przed złymi duchami, ale komuś takiemu jak ja nie przyniosą pożytku.

- Czy znajdzie się tu stary myśliwy, który zna się na tej magii i może mnie zabrać na polowanie? - pytam.

- Najlepszy byłby Dziadek Kamień - odpowiada po namyśle.

- Jak do niego trafić? - pytam natychmiast.

- Mieszka w Chacie Dziadka Kamienia,

- Gdzie jest Chata Dziadka Kamienia?

- Przejdź jeszcze jakieś dwadzieścia *li* do Parowu Kopalni Srebra, potem idź w górę strumyka aż do końca. Znajdziesz kamienną chatę.

- Możesz mnie do niego zaprowadzić? - pytam.

- On nie żyje. Położył się do łóżka i we śnie zmarł. Był za stary, grubo po dziewięćdziesiątce, niektórzy mówią, że dożył setki z okładem. W każdym razie nikt nic pewnego nie powie o jego wieku.

- Może żyją jeszcze jego potomkowie?

- Za pamięci pokolenia moich dziadków i za mojej zawsze sam sobie radził.

- Bez żony?

- Mieszkał sam jak palec w Parowie Kopalni Srebra. Wysoko, u krańca doliny, w samotnej chacie. Och, ta jego strzelba wciąż tam wisi na ścianie.

Pytam, co usiłuje mi wytłumaczyć.

Odpowiada, że Dziadek Kamień był wielkim myśliwym, nadzwyczaj biegłym w sztuce magii. Dzisiaj takich już nie ma. Wszyscy wiedzą, że w chacie wisi strzelba Dziadka Kamienia, że nigdy nie chybia celu, lecz nikt się nie odważy pójść, żeby ją zabrać.

- Dlaczego? - Coraz bardziej mnie to zastanawia.

- Droga do Parowu Kopalni Srebra została odcięta.

- Nie da się przejść?

- Już nie. Ludzie wydobywali tu najpierw srebro, firma z Chengdu zatrudniła robotników i zaczęli drążyć złoża. Potem, kiedy kopalnię rozgrabiono, wszyscy się po prostu zabrali, a te deski, z których poukładali przejścia, połamały się albo zgnęły.

- Kiedy to było?

- Żył jeszcze mój dziadek, z górą pięćdziesiąt lat temu.

Niewykluczone; w końcu sam jest już stary, stał się historią, prawdziwą historią.

- I odtąd nikt tam nie chodził? - Coraz bardziej mnie to intryguje.
- Czyja wiem, w każdym razie trudno się tam dostać.
- Chata już spróchniała?
- Kamień pęka, nie próchnieje.
- Myślałem o kalenicy.
- No tak, racja.

Ani chce mnie tam zabrać, ani znaleźć mi myśliwego, więc mnie zwodzi, myślę.

- Wobec tego skąd wiesz, że strzelba wciąż wisi na ścianie? - wypytuję.

- Skoro ludzie tak mówią, to ktoś ją musiał widzieć. Wszyscy opowiadają, że z Dziadkiem Kamieniem to coś niewiarygodnego, ciało nie psuje się, a dzikie zwierzęta nie wąż się podejść w pobliże. Leży tam, po prostu, sztywny i wychudły, a strzelba wisi na ścianie.

- Niemożliwe - zapewniam. - W górach, przy tej wilgotności, ciało musi się rozkładać, a strzelba zamienić w kupę rdzy.

- Nie wiem. Ludzie tak mówią od lat. - Ani myśli się poddać i upiera przy swojej opowieści. W oczach tańczy mu odbicie ognia, mnie zaś wydaje się, że widzę w nich płomyk przebiegłości.

Nie daję za wygraną.

- Nigdy go nie widziałeś?

- Ci, którzy go widzieli, mówią, że wygląda, jakby spał, chudy jak szczapa, na ścianie nad głową wisi strzelba - mówi nie zbity z tropu. - Znał się na czarnej magii. Nie tylko ludzie boją się podejść i ukraść tę strzelbę; boją się tam podejść nawet zwierzęta.

Myśliwy już jest mitem. Rozmawiać tak, żeby mieszać historię z legendą - oto, jak rodzą się ludowe opowieści. Rzeczywistość istnieje tylko przez doświadczanie, przy czym musi się jej doświadczać osobiście. Kiedy doświadczenie chociażby raz się przekazuje - ono też staje się opowieścią. Rzeczywistości nie da się zweryfikować, zresztą nie ma takiej potrzeby, zostawmy to specjalistom, niech dyskutują nad „rzeczywistością rzeczywistości”. Ważne jest życie. Rzeczywistość to prostu tyle, że siedzę przy palenisku w pomieszczeniu czarnym od brudu i dymu i widzę refleksy ognia tańczące w oczach tamtego. Rzeczywistość to ja, rzeczywistość to tylko postrzeganie chwili, którego nie da się przekazać komu innemu. Trzeba powiedzieć tylko tyle, że na zewnątrz mgielka spowija zielononiebieskie góry, a twoje serce napęnia szum wody dobiegający z bystro mknącego potoku.

Trafiasz zatem do Wuyizhen, na wąską, długą czarno wybrukowaną ulicę i idąc po tym bruku, przez który biegnie głęboka pojedyncza koleina wyżłobiona kołami, przenosisz się nagle we własne dzieciństwo, wyobrazasz sobie, że je spędziłeś w takim właśnie starym górskim miasteczku. Już nie widuje się ręcznie pchanych jednokołowych wózków, ulicy już nie wypełnia skrzywienie osi z jujuby smarowanych olejem sojowym, lecz jazgot rowerowych dzwonek. Cykliści muszą się tu wykazać akrobatycznymi umiejętnościami. Manewrowanie wśród ludzi ugiętych pod żerdziami nosilek, ciągnących drewniane wózki i wśród ulicznych straganików pod daszkami wywołuje głośnie i barwne przekleństwa. Mieszają się one z wrzawą, żartami i śmiechem, nawoływaniem handlarzy, targowaniem. Zaciągasz się zapachem warzyw marynowanych w sosie sojowym, podrobów wieprzowych, niewyprawionej skóry, drewna sosnowego, słomy ryżowej i niegaszonego wapna, oczami zaś chłoniesz gorliwie uliczny ciąg wąskich wystaw sklepowych wypełnionych towarami z południa. Są sklepy z soją, oliwą, ryżem, z medykamentami zachodnimi i chińskimi, z jedwabiem i bawełną, z odzieżą, obuwiem, są herbaciarnie, są stragany rzeźników, sklepy, gdzie można kupić piecyk, liny, ceramikę, kadzidło, świece i papierowe pieniądze. Stłoczone sklepy nie zmieniły się właściwie od czasów dynastii Qing. Odnowiono zniszczony szyld Wiecznie Kwitnącej Restauracji, a jednej z płaskodennych patelni, na której smażyła się specjalność tego lokalu, pierożki *guotie*, używa się dziś jako gongu; bicie obwieszcza, że restauracja wróciła do gry. W oknie na piętrze Restauracji Pierwszorzędných Smakołyków znów wywieszono proporzec winiarski. Najbardziej imponującą budowlą jest państwowy dom towarowy, dwupiętrowy, świeżo odnowiony betonowy budynek. Sama szyba wystawowa ma rozmiary któregoś z tych starych sklepów, lecz wewnątrz za szklaną taflą wygląda jak nigdy nie sprzątane. Przykuwa uwagę zakład fotograficzny, z galerią zdjęć kobiet w kokieteryjnych pozach i okropnych strojach. To miejscowe piękności, żadne tam gwiazdy filmowe z plakatów, z drugiego końca świata. Tu rodzą się kobiety naprawdę urodziwe, każda olśniewa. Piękne policzki wsparły na dłoni, ich oczy kuszą. Fotograf starannie je upozował, ale ubrały się krzykliwie. Można zamawiać kolorowe odbitki i powiększenia, ogłoszenie oznajmia, że filmy zbiera się przez dwadzieścia dni; widocznie *wywoływane* są w metropolii. Owszem, los zrzucił inaczej, lecz mógłbyś przecież przyjść na świat w takiej mieścinie, dorosnąć i znaleźć żonę. Mógłbyś ożenić się z pięknoscia, jak z tych zdjęć; dawno temu urodziłyby ci synów i córki. W tym momencie uśmiechasz się i szybko odchodzisz, ludzie mogliby uznać, że któraś wpadła ci w oko, będą sobie wyobrażać nie wiadomo co. Tymczasem to ciebie ponosi wyobraźnia. Spoglądasz na balkoniki nad sklepami, na firanki w oknach, na doniczki z kwiatami, z miniaturowymi drzewami i głowisz się, trudno i darmo, nad ludźmi stąd. Oto duże mieszkanie, na drzwiach żelazna kłódka - teraz filary pochyliły się, lecz rzeźbione okapy i poręcze popadłe w ruinę świadczą, jak okazałe było to miejsce niegdyś. Twą ciekawość podsyca myśl o losach właścicieli i ich potomków. W sąsiednim sklepie sprzedają džinsy i sukienki o szyku z Hongkongu, na opakowaniu pończoch na wystawie kobieta z Zachodu przechwalała się nogami. Przy frontowych drzwiach widać złoconą tabliczkę „Towarzystwo Rozwoju Nowych Technologii”, lecz trudno dociec, o jakie nowe technologie tu chodzi. Dalej sklep z pacynami niegaszonego wapna, potem chyba sklepik młynarza, potem pusta działka: na drutach między słupkami suszy się makaron ryżowy. Odwracasz się i wchodzisz w małą uliczkę, mijasz stragan herbaciarza z wielkim termosem na wrzątek, potem skręcasz za róg; znowu pogrążasz się we wspomnieniach.

Za wpół otwartymi drzwiami widać zawilgocone podwórko, zachwaszczone, beznadziejnie smutne i opuszczone, sterty gruzu po kątach. Przypomina ci podwórko na tyłach domu o sypiących się ścianach, domu twego dzieciństwa. Bałeś się, lecz fascynowało cię, ponieważ lisie duszki z książek dla dzieci krążą po takich właśnie podwórkach. Co tu gadać, chadzałeś tam po szkole, samotnie i nie bez lęku, żeby popatrzeć. Nigdy nie zobaczyłeś lisiego duszka, lecz twe wspomnienia z dzieciństwa są zawsze naznaczone tajemniczością. Jest tu stara, spękana kamienna ławka i studnia, zapewne wyschnięta. Późnojesienny wiatr dmie w pozołkłe martwe chwasty na gruzach, słońce świeci jaskrawo. Każdy z tych domów ze starannie domkniętymi drzwiami na podwórko ma własną historię, która do złudzenia przypomina stare opowieści. Zimą w uliczce zawodzi północny wicher, ty, w nowych ciepłych kapkach przytupujesz pod murem wraz z innymi dziećmi. Przypominasz sobie słowa piosenki:

W księżycu świetle gęstym jak zupa

Wyjechałem zapalić kadzidło
Za Luo Dajie, która spłonęła
Za Dou Sanniang, która zmarła w furii
Sanniang zbierała fasole
Lecz strączki były puste
Wyszła za Jigonga
Lecz Jigong był niziutki
Więc poślubiła kraba
Krab przelazł przez kałużę
Wdrapał się na węgorza
Węgorz się uzalił
Mnichowi się uzalił
Mnich zmówił modlitwę
Modlitwę do Guanyin
No i Guanyin się zsikała
Oblała mego syna
Którego rozboleł brzuch
Więc ściągnąłem egzorcystę, by tańczył
Taniec nie pomógł
Ale kosztuje mnóstwo pieniędzy.

Między dachówkami dygocą na wietrze zeschnięte żółte chwasty i bujne zielone pędy. Kiedy ostatni raz widziałeś trawę wyrastającą z dachówek? Twe bose stopy tupocą na czarnym bruku uliczki przeciętej głęboką koleiną wyżłobioną przez pojedyncze koła; z dzieciństwa biegniesz wprost w terażniejszość. Bose, czarne od brudu stopy migają ci teraz tuż przed oczami. Nieważne, czy kiedyś biegałeś bosy, istotny jest obraz, który utkwiał w pamięci.

Po chwili wydostajesz się z tych ciasnych uliczek i wracasz na główny gościniec. To tutaj zawraca autobus z powiatowego miasteczka, żeby ruszyć w powrotną drogę. Przy gościńcu jest też dworzec autobusowy i kasa biletowa, w środku parę ławek, to tutaj niedawno wysiadałeś. Po drugiej stronie drogi po przekątnej jest hotelik - parterowy rząd pomieszczeń - a na bielonej ścianie widnieje napis „Eleganckie pokoje”. Wygląda czysto; musisz się gdzieś zatrzymać, więc wchodzisz. Stara portierka sprząta na korytarzu, pytasz, czy jest jakiś pokój. Odpowiada, że tak. Pytasz, jak stąd daleko do Lingshan. Odpowiada zimnym spojrzeniem; to hotel państwowy, jej miesięczna płaca zależy od premii, więc nie szafuje słowami.

- Dwójka - mówi i kijem miotły wskazuje pokój z otwartymi drzwiami.

Wnosisz bagaż i widzisz w środku dwa łóżka. Na jednym ktoś leży na wznak, skrzyżował nogi, w rękach trzyma książkę *Nieoficjalna historia Feihu* obłożoną w brązowy papier.

Tytuł wypisany ręcznie na okładce z brązowego papieru świadczy, że egzemplarz został wypożyczony z kiosku. Witasz mężczyznę, on zaś odkłada książkę i odpowiada przyjaznym skinieniem.

- Halo! - mówisz.

- Będzie pan tu mieszkał?

-Tak.

- Papierosa? - I rzuca.

- Dziękuję. - Siadasz na pustym łóżku naprzeciwko. - Od dawna tutaj?

- Jakies dziesięć dni. - Siada i zapala papierosa.

- Skup? - pytasz, a raczej zgadujesz.

- Przyjechałem po tarcicę.

- Łatwo tu o drewno?

- Ma pan przydział? - pyta, zamiast odpowiedzieć, wyraźnie zainteresowany.

- Jaki przydział?

- Z państwowego limitu, rzecz jasna.

-Nie.

- No to niełatwo. - Znowu się kładzie.

- Nawet w takich lesistych stronach trudno o tarcicę?

- Tarcicy tu w bród, tylko ceny są i takie, i siakie. - Nie chce mu się mówić, nie jesteś z branży.

- Czeka pan, aż spadną?

- Tak - mówi obojętnie i znowu sięga po książkę.
- Wy, handlowcy, wiecie niejedno. - Musisz pochlebić, skoro chcesz wypytać.
- Przesada - mówi skromnie.
- Wie pan, jak się dostać do Lingshan?

Nie odpowiada, możesz więc tylko napomknąć, że przyjechałeś trochę pozwiedzać, możesz też spytać, czy warto tu coś obejrzeć.

- Nad rzeką jest pawilon. Ze świetnym widokiem na drugi brzeg.
- Miłego wypoczynku - mówisz, żeby coś powiedzieć.

Zostawiasz torby, znajdujesz portierkę, meldujesz się i wychodzisz. Przy końcu gościńca jest nabrzeże. Stopnie z długich kamiennych bloków opadają stromo o ponad dziesięć metrów, w dole cumuje kilka czarnych łodzi z daszkami na bambusowych tykach. Rzeka nie jest szeroka, w przeciwieństwie do koryta; widać, że to nie pora deszczowa. Przy drugim brzegu cumuje łódź, ludzie wsiadają do niej i wysiadają. Na tym zaś brzegu na kamiennych stopniach inni czekają, aż powróci.

Na skarpie nad nabrzeżem stoi pawilon z wywiniętymi okapami i okrągłymi narożnikami, przy nim rząd pustych koszyków; odpoczywający w środku goście to chłopcy z rzeki, którzy sprzedali już na targu produkty. Głośno rozprawiają, ich mowa przypomina język opowiadań z czasów dynastii Song. Niedawno pawilon odmalowano, pod okapem odnowiono wizerunki smoka i feniksa, a od frontu na dwóch głównych kolumnach zapisano dwuwiersz:

Wypoczywając, pamiętaj, by nie rozprawiać o cudzych wadach

Ruszając w podróż, podziwiał całym sobą piękno rzeki

Obchodzisz pawilon, żeby spojrzeć na tylne kolumny. Na nich zaś czytasz:

Wyruszając, nie zapomnij zastanowić się nad wodami porośniętymi rzęsą

Odwróć się, żeby spojrzeć z zachwytem na Lingshan pomiędzy feniksami

Zaciekawiło cię. Zaintrygowało. Zapewne zaraz nadpłynie łódź, bo szukający wytchnienia i ochłody ludzie wstają i śpieszą zakładać długie żerdzie nosilek. W pawilonie zostaje tylko wiekowy mężczyzna.

- Sędziwy ojciec, mogę spytać, czy te dwuwiersze...

- Na kolumnach frontowych? - docieka starzec.

- Tak, czcigodny mistrzu; czy mógłbym się dowiedzieć, kto je napisał? - powiadasz z jeszcze większymi rewerencjami.

- Mędrzec, pan Chen Xianning! - Szeroko otwiera usta, odsłaniając nieliczne poczerwiałe zęby, każde zaś słowo wymawia z wielką starannością.

- Nic o nim nie słyszałem. - Lepiej, jeśli szczerze się przyznasz do niewiedzy. - Na jakim uniwersytecie wyklada ów szanowny pan?

- Tacy jak ty nie mogą, oczywiście, tego wiedzieć. Żył ponad tysiąc lat temu - wzgardliwie odpowiada stary.

- Czcigodny starcze, nie żartuj ze mnie, proszę - próbujesz w ten sposób powstrzymać go od szyderstw.

- Możesz to chyba dojrzeć bez okularów - mówi, wskazując belkę na kolumnach.

Unosisz wzrok i widzisz wypisane cynobrową farbą słowa, których nie odświeżono:

Wzniesiono za panowania Wielkiej Dynastii Song w pierwszym miesiącu wiosny w dziesiątym roku panowania Shaoxinga, a odnowiono za panowania Wielkiej Dynastii Qing dwudziestego dziewiątego dnia trzeciego miesiąca w dziewiętnastym roku panowania Qianlonga.

4

Wychodzę ze schroniska w rezerwacie przyrody i idę do domu Qianga, byłego naczelnika wsi. Na drzwiach wisi wielka kłódka. Zjawiam się już trzeci raz, lecz wciąż nikogo nie ma. Wygląda na to, że zamknęły się przede mną drzwi wiodące do owego mistycznego świata.

Spaceruję, tymczasem siąpi. Od dawna nie przechadzałem się w takim mglistym dżdżu. Mijam wiejski ośrodek zdrowia „Śpiący Smok”; wygląda na opuszczony. Las jest spokojny, w pobliżu płynie gdzieś strumień, bo nie odstępuję mnie szum wody. Wieki całe nie cieszyłem się taką wolnością; niczego nie muszę rozważać, mogę puścić myśli samo-pas. Nikogo na gościńcu, nie widać żadnych pojazdów. Jak okiem sięgnąć, bujna zieleń. Pełnia wiosny.

Duże opuszczone zabudowania przy gościńcu to zapewne kwatera Song Guotaia, herszta bandytów, o którym strażnik rezerwatu opowiadał zeszłego wieczoru. Czterdzieści lat temu można tu było dotrzeć tylko wąską drogą górską, którą zdążyły konne karawany. Zmierzając ku północy, droga przekraczała pięcioletnie góry Balang, wkraczała na tereny zamieszkałe przez Tybetańczyków na Wyżynie Qinghajska-Tybetańskiej, na południe zaś schodziła do Kotliny Sichuańskiej doliną rzeki Min. Przemycnicy opium z południa i soli z północy posłusznie wykładali pieniądze, żeby kupić tutaj prawo przejścia. Nazywało się to okazywaniem należytego szacunku. Jeżeli doszło do swarów i nie okazano należytego szacunku, przytrafiał się wypadek bezpowrotnego przybycia. Wichrzycieli wysyłano na spotkanie Króla Piekieł.

Starą rezydencję zbito z bali. Dwie wielkie drewniane bramy są otwarte na oścież, wewnątrz rozpościera się zarośnięty dziedziniec, z trzech stron otoczony piętrowymi budynkami; może tu popasać karawana kilkudziesięciu koni. Zapewne w tamtych czasach, tuż po zamknięciu wierzei, na ciągnące się pod podwiniętym okapem balkony z drewnianymi balustradami wylegał rój uzbrojonych bandytów; karawany zamierzające zatrzymać się tu na noc wpadały w pułapkę, jak żółwie zwabione w słój. Gdyby doszło nawet do strzelaniny, na dziedzińcu nie było żadnego miejsca, w którym można by się schronić przed kulami.

Z dziedzińca wiodą na górę dwa odrębne ciągi schodów. Wdrapuję się. Deski głośno skrzypią, ja zaś rozmyślnie ciężko stąkam, żeby nie ukrywać obecności. Lecz piętro jest opustoszałe. Otwieram jedne drzwi po drugich, z pustych pomieszczeń dobiega zapach kurzu i stęchlizny. Tylko szary brudny ręcznik na drucie i stary zniszczony but przypominają, że ktoś tu mieszkał, zapewne przed laty. Po założeniu rezerwatu zostały stąd przeniesione wraz z personelem sklep spółdzielczy, punkt skupu, skład ziarna i oleju, lecznica dla zwierząt oraz biura wioskowej administracji; stłoczono je teraz na stu metrach ulicy wybudowanej przez administrację rezerwatu, w miejscu, gdzie trudno o ślady stu ludzi i stu strzelb Song Guotaia. To tutaj, w owych odległych czasach, leżeli na matach z sitowia, palili opium i pieścili kobiety. Niegdyś porwane, musiały im za dnia gotować, a nocą z nimi spać. Czasami - bo łupy podzielono nierówno bądź przez kobietę - na podłogach tego właśnie budynku wybuchały walki, z pewnością dochodziło tu do dzikich zamieszek.

- Tylko rozbójnik Song Guotai umiał utrzymać ich na wodzy. Ten typ nie znał litości, sływał z przebiegłości i okrucieństwa. - Strażnik rezerwatu nie stroni od pracy politycznej, elokwentny i przekonujący. Zakres jego wykładów dla studentów uniwersytetu przybyłych tu na praktyki, mówi, sięga od ochrony pand po patriotyzm, a tymi wykładami potrafi doprowadzić studentki do łez.

Opowiada, że wśród porwanych przez bandytów kobiet była nawet taka, która służyła w Armii Czerwonej. W 1936 podczas Długiego Marszu, kiedy pułk Armii Czerwonej przemierzał łągi Mao'ergai, bandyci napadli na jeden z batalionów. Porwano wówczas i zgwałcono około dziesięciu dziewcząt, z oddziału praczek. Jedyna, która przeżyła, najmłodsza, miała siedemnaście lub osiemnaście lat. Przechodziła z rąk do rąk, aż od bandytów odkupił ją na żonę pewien stary Qiang. Żyje teraz na pobliskim płaskowyżu, wciąż umie wyrecytować nazwę kompanii, batalionu i pułku wraz z nazwiskiem dowódcy, dzisiaj ważnej figury. Strażnik, najwyraźniej podekscytowany, zapewnia, że tego wszystkiego nie może, rzecz jasna, opowiadać studentom; potem wraca do losów rozbójnika Song Guotaia.

Ów Song, opowiada, zaczynał jako praktykant u handlarza opium. Kiedy handlarz zabił Starszy Brat Chen, herszt bandytów, który przejął ów obszar we władanie, Song związał losy z nowym pryncypałem. Intrygą i podstępem wkrótce wkradł się w łaski Starszego Brata i uzyskał dostęp do niewielkiego podwórka na tyłach zabudowań, tam

właśnie mieszkał Starszy Brat. Ów niewielki dziedziniec został później zrównany z ziemią przez moździerz Armii Ludowo-

- Wyzwoleńczej, teraz jest tylko gęstwina, drzewa i krzaki. Lecz w owych czasach rzeczywiście był Małym Chongaingiem, repliką wojennej stolicy, a Starszy Brat Chen i jego harem oddawali się tu rozpuście i opilstwu. Jedyńm mężczyzną dopuszczonym tu do usługiwania był Song Guotai. I oto z Ma'erkang przybyła karawana bandytów, którym wpadł w oko ów zakątek pozwalający tylko siedzieć i czekać, aż łup sam się nawinie. Przez dwa dni szalała zacięta bitwa, po obu stronach padli ranni i zabici, lecz zanim zdążyła się przechylić szala zwycięstwa, wszczęli układy, umowę zaś przypieczętowali krwią. Otwarto bramy i zaproszono oblegających.

Na piętrze i na dole dwie rozbójnicze watahy bratały się, piły i grały w zgadywanie z palców. W rzeczywistości Starszy Brat zamierzał drugą stronę upić, żeby tym głódziej z nią się rozprawić. Swojej kochance kazał pomykać od stołu do stołu z odsłoniętymi piersiami. Który z przybyszów zdołałby się oprzeć, nęcony tak lub inaczej? Wszyscy spili się jak bele. Tylko żaden z dwóch hersztów nie zwałił się pod stół. Wówczas, jak wcześniej uknuto, Starszy Brat głośno strzelił palcami, a Song Guotai zjawił się, żeby znów dolać. Błyskawicznie, bo trwało to krócej niż najzwyczajniejsza opowieść, Song porwał ze stołu automat konkurującego herszta i obu rozpartych przy stole bandytów poczęstował kulami, po jednej na głowę, z uwzględnieniem Starszego Brata. Potem zapytał: A może ktoś nie ma ochoty się poddać? Rozbójnicy popatrzyli po sobie, nikt nie śmiał pisać. Wobec tego Song Guotai wprowadził się na mały dziedziniec Starszego Brata i przejął wszystkie jego kochanki.

Strażnik opowiada to wszystko jak tragicz, to nie przechwałka, że studentkom wyciska łzy z oczu. Przechodzi do roku 1950, kiedy ruszyli w góry wytępić bandytów. Mały dziedziniec otoczyły dwie kompanie żołnierzy. O świcie zażądano, żeby bandyci złożyli broń, porzucili haniebne obyczaje i poprawili się; wykrzyczano też ostrzeżenie, że główną bramę ryglują karabiny maszynowe, nie warto zatem próbować ucieczki. Tak to brzmi, jakby strażnik brał udział w bitwie.

- Co było potem? - pytam.

- Najpierw zaciekle stawiali opór, zbombardowano więc moździerzem mały dziedziniec. Bandyci, którzy przeżyli, rzucili broń i poddali się. Song Guotai nie było wśród nich. Przeszukiwanie przyniosło tylko tyle, że na małym dziedzińcu znaleziono gromadkę szlochających kobiet. Wszyscy mówili, że z zabudowań prowadzi w góry ukryty tunel, lecz nigdy go nie znaleziono, nigdy też nie widziano już Song Guotai. Od tej pory minęło czterdzieści lat, jedni mówią, że Song wciąż żyje, inni, że nie, ale konkretnych dowodów brak, są tylko same domysły. - Strażnik rozsiadł się na okrągłym plecionym krześle, ręce ułożył na oparciu, puka palcami w trzcinę; zaczyna te domysły analizować. - Są trzy przypuszczenia na temat tego, co się z nim stało. Pierwsze, że uciekł w inne strony, zmienił nazwisko, osiedlił się i pracuje na roli jako chłop. Drugie, że może zginął w tej strzelaninie, co bandyci zataili. Mają zbiór swoich zasad, mogą się między sobą wdawać w straszne walki, ale obcym nic nie wyjawia. Chociaż okrutni i nikkzemni, mają własną etykę, powiedzmy nawet własny kodeks rycerski. Bandyci mają dwa oblicza. Wszystkie te kobiety porwano, lecz od chwili, w której trafiły do rozbójniczego gniazda, stały się częścią bandy. Poniewierał nimi, jednak go nie wydały. - Potrząsa głową nie dlatego, że wydaje mu się to niepojęte, lecz dlatego, że chyba go wzrusza złożoność ludzkiego świata. - Nie da się oczywiście wykluczyć trzeciej możliwości, że uciekł, zabłądził w masywie góry i zginął z głodu.

- Czy ludzie w tym masywie błędzą i giną? - pytam.

- Pewnie, nie tylko chłopci skądś tam, którzy przyszli zbierać zioła. W tym masywie ginęli nawet miejscowi myśliwi.

- Och? - Tb jeszcze ciekawsze.

- Właśnie zeszłego roku wybrał się tam myśliwy i nie wracał. Minęło chyba dziesięć dni, dopiero wtedy krewni poszli do władz wioski, nas też powiadomiono. Skontaktowaliśmy się z policją leśną i wydostaliśmy od nich psy tropiące. Daliśmy psom powąchać rzeczy myśliwego i zaczęliśmy szukać za psami. Aż znaleźliśmy go w skalnej rozpadlinie. Tam zginął.

-Jakim cudem?

- Powód mógł być taki lub siaki; pewnie wpadł w popłoch. Polował, a w rezerwacie nie wolno polować. Mamy też ten wypadek, kiedy starszy brat zabił młodszego.

- Jak to było?

- Wziął brata za niedźwiedzia. Poszli zakładać w górach sidła. Piżmo to kasa. A sidła zakłada się dziś nowoczesnie: pętlę można zrobić z kawałka drutu zbrojeniowego, jeden

człowiek może w ciągu jednego dnia rozstawić na tej górze sto sideł. Nie upilnujemy takiego obszaru. Są tacy zachłanni, że coś okropnego. Ci bracia ruszyli na górę i przy rozstawianiu sideł rozdzielili się. Wierzyć w to, co mówią ludzie spod góry, znaczyłoby wierzyć w zabobon; a mówią, że bracia zadarli z siłami nieczystymi. Okrążywszy szczyt, wyszli na siebie. Była gęsta mgła. Starszy wziął młodszego za niedźwiedzia i zastrzelił. Starszy brat zabił młodszego brata. Wrócił nocą do domu, położył przy bambusowej furcie do świńskiej zagrody obie strzelby, swoją i brata, żeby je zauważyła matka, kiedy rano przyjdzie karmić zwierzęta. Nie wszedł jednak do domu, lecz wrócił na górę, gdzie leżał brat, i poderżnął sobie gardło.

Zostawiam za sobą puste piętro i chwilę stoję na dziedzińcu, który może pomieścić całą karawanę konną, potem ruszam na gościniec. Wciąż ani śladu ludzi czy pojazdów. Patrę na piętrzącą się po drugiej stronie ciemnozieloną górę w otulinie deszczu i mgły. Przecinają stromy szarobiałe parów: to wyrąb, gdzie została unicestwiona roślinność. Niegdyś, zanim wytyczono tu drogę, górę po obu stronach porastała puszcza. Nie odstępuję mnie pragnienie, żeby dotrzeć do pierwotnych lasów po drugiej stronie góry, ciągnie mnie tam jakaś niewytłumaczalna siła.

Drobna mżawka gęstnieje, doszczętnie okrywa cienką błonką całe górskie pasmo, jeszcze bardziej rozmywa widok góry i parowu. Zza góry przetacza się grzmot, stłumiony i niewyraźny. Nagle uświadamiam sobie, że znacznie głośniejszy jest szum rzeki płynącej poniżej szosy; to ustawiczny huk wód odwiecznie pędzących z ośnieżonych gór ku rzece Min. Tkwi w nich przerażająca brutalna energia, niespotykana w rzekach przemierzających równiny.

To tam ją właśnie spotykasz, koło pawilonu. Jest w tym jakaś nieokreślona tęsknota, mglista nadzieja; spotkanie jest przypadkowe, jest nadzwyczajne. O zmierzchu schodzisz znów na brzeg, znad kamiennych stopni nad rzeką, gdzie trwa pranie, dobiegają pacnięcia kijanek. Stoi koło pawilonu, jak ty wpatrzona w górę na drugim brzegu. Odstaje od tego górskiego miasteczka. Ta jej sylwetka, elegancja, to wrażenie tajemniczości niespotykane wśród miejscowych; nie możesz od niej oderwać oczu. Wprawdzie odchodzisz, lecz utkwiała ci w głowie; kiedy wracasz przed pawilon, już jej nie ma. Tymczasem pociemniało, w pawilonie raz po raz jarzą się papierosowe ogniki, kiedy ktoś się zaciągnie, jacyś ludzie cicho rozprawiają, śmieją się. Nie możesz dostrzec ich twarzy, domyślasz się jednak po głosach, że to zapewne dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Różnią się od miejscowych, którzy zawsze mówią głośno, czy flirtują, czy zmierzają do kłótni. Podsuwasz się i podsłuchujesz. Zdaje się, że mówią o tym, co musieli zrobić, by wyrwać się na tę wycieczkę: oszukać rodziców, okłamać kierownika w pracy, wymyślić najróżniejsze historie. Opowiadanie o tym sprawia im taką frajdę, że wciąż chichocą bez opamiętania. Wyrosłeś już z tego wieku, nikt nie musi stać nad tobą, więc już nie masz tyle uciechy co oni. Pewnie przyjechali po południu, pamiętasz jednak, że z powiatowego miasta przychodzi, zdaje się, tylko jeden autobus, rano. Widocznie mają swoje sposoby. Jej niewątpliwie nie ma w tej paczce, zresztą nie wydawała się tak radosna jak oni. Wychodzisz z pawilonu i idziesz nabrzeżem w dół rzeki. Nie musisz już zaprzętać sobie głowy szukaniem drogi. Nad rzeką stoi parędziesiąt domów, lecz tylko w drzwiach ostatniego, gdzie sprzedają papierosy, trunki i papier toaletowy, widać podniesiony blat świadczący, że sklep jest otwarty. Brukowany gościniec ostro skręca ku miastu, a potem widać wysoki mur. Po prawej, za ciemną sienią, żółte światło słabej lampy ulicznej pada na biura tutejszej administracji. Wysokie budynki, duży dziedziniec i wieża strażnicza musiały niegdyś należeć do bogatej i potężnej rodziny. Dalej jest grządka warzywna ogrodzona potłuczonymi cegłami, po drugiej stronie szpital. O dwie przeczniczki dalej kino, zbudowane zaledwie parę lat temu, w którym grają teraz film sztuk walki. Obszedłeś już miasteczko parę razy, więc nie musisz czytać, o której zaczynają seansy. Uliczka krzyżuje się z główną obok szpitala, wychodzi wprost na wielki dom handlowy. Znasz to na pamięć, jakbyś tu mieszkał od dawna. W razie potrzeby mógłbyś nawet służyć komuś za przewodnika, czujesz zaś rozpaczliwą potrzebę otwarcia do kogoś ust.

Nie przypuszczałeś, że po zapadnięciu ciemności wylegnie na tę uliczkę aż tylu ludzi. Tylko w domu towarowym zamknięto stalowe drzwi, wystawy zakratowano i obwieszono kłódkami. Większość sklepów wciąż jest otwarta, lecz zamiast widocznych za dnia stoisk pojawiły się przed nimi stoliki, krzesła i bambusowe leżanki. Na ulicy ludzie jedzą i gwarzą, w sklepach, jedząc i gwarząc, oglądają telewizję, na piętrze na okiennych zasłonach poruszają się sylwetki. Ktoś gra na flecie, dzieci krzyczą i płaczą - z każdego domostwa dobiega jego własna nietłumiona wrzawa. Z magnetofonów rozbrzmiewają piosenki modne parę lat temu w dużych miastach - tkliwym i pełnym wyrzekań słowom towarzyszy puls rocka. Ludzie siedzący w drzwiach domów gawędzą z przechodniami, tymczasem jakaś mężatka w koszulce, szortach i plastikowych pantoflach wylewa cebrzyki brudnej wody z kąpieli wprost na ulicę. Bandy wyrostków są wszędzie; z rozmysłem ocierają się o dziewczęta, które spacerują, trzymając się za ręce. Nagle widzisz ją znowu, przed stoiskiem z owocami. Przyśpieszasz; kupuje grejpfruty, na które zaczyna się właśnie sezon. Stajesz przy straganie i pytasz, po ile są. Dotyka niedojrzałego owocu i odchodzi. Mówisz, racja, jeszcze niedojrzałe. Doganiasz ją. Może pójdziemy razem? Masz wrażenie, że słyszysz, jak się zgadza, kiwnęła nawet głową, bo zafalowały włosy. Byleś wystraszony, bałeś się, że cię zruga, nie przypuszczałeś, że zgodzi się tak spontanicznie. Natychmiast uspokajasz się, dołączasz i dotrzymujesz jej kroku.

Czy pani też tu trafiła z powodu Lingshan? Mógłbyś się zdobyć na coś zabawniejszego. Włosy znowu falują; zaczynasz pogawędkę.

Sama?

Nie odpowiada. Front zakładu fryzjerskiego rozświetlają neony, więc widzisz jej twarz - młodzieńczą, z ową wyraźnie pociągającą odrobiną znużenia. Zerkasz na kobiety, które pod suszarkami modelują fryzury; mówisz, że modernizacja najzwawiej postępuje akurat w tej mierze. Ona też zerka, śmieje się, a ty wraz z nią. Czarne i lśniące włosy spadają jej na ramiona. Chcesz powiedzieć: masz śliczne włosy, lecz boisz się, że przeholujesz, więc nie mówisz. Idziesz z nią i w ogóle się nie odzywasz. Owszem, chciałbyś wejść w bliższą

komitywę, lecz brak ci odpowiednich słów. Uwiera cię to, trudno i darmo, chciałbyś to jak najszybciej przeciąć.

Czy mogę z tobą pospacerować? Znów trudno o głębszy tekst.

Masz wrażenie, że słyszysz, jak mruczy pod nosem: jesteś naprawdę zabawny. Niby czyni wyrzut, a jednak przyzwala. Niemniej, stara się robić pogodne wrażenie. Musisz nadać za jej szybkimi krokami. Nie jest dzieckiem, ani ty nastolatkiem; próbujesz flirtować.

Mogę być pani przewodnikiem, mówisz, zbudowano to w czasach dynastii Ming, liczy sobie co najmniej pięćset lat, a chodzi o mur chroniący od ognia, za zielarnią chińską; z ciemności wylania się wywinieły okap nad ścianą szczytową i mierzy prosto w rozgwieżdżone niebo. Noc jest bezksiężycowa. W czasach dynastii Ming pięćset lat temu, nie, nawet parędziesiąt lat temu, podczas nocnego spaceru tą drogą trzeba było nieść latarnię. Jeśli mi pani nie wierzy, wystarczy zejść z głównej ulicy; boczne uliczki toną w ciemnościach. Nie musi się pani nawet cofać o parę dziesięcioleci, wystarczy kilkadziesiąt kroków, żeby się znaleźć w owych zamierzchłych czasach.

Zajęci pogawędką stajecie przed wejściem do Herbaciarni Wyśmienitego Aromatu, obleżonym przez dorosłych i dzieci. Wspinacie się na palce, by zerknąć do środka, i zostajecie. Wąskie drzwi prowadzą do długiej sali, z herbaciarni usunięto kwadratowe stoliki. Są rzędy ławek, na nich widoczne od tyłu rzędy głów na wyciągniętych szyjach; jedynie na środku stolik, nakryty czerwoną serwetą z żółtym rąbkim. Za nim siedzi na wysokim stołku bazarz w długiej szacie z szerokimi rękawami.

- Słońce zachodzi, księżyc spowiły grube chmury i Wąż Władca wraz z żoną wiodą jak zwykle swój zastęp demonów do Pałacu Błękitnego Bezkresu. Wprawia ich w zachwyt widok pulchnych chłopców, dziewcząt o jasnej cerze i stołów uginających się pod wieprzowiną, wołowiną i mięsem jagnięcym. Wąż Władca powiada do żony: Ten uśmiech losu zawdzięczamy tobie. Wspaniałe są dzisiejsze urodziny. Jeden z demonów mówi: Świątu Jej Wysokości przystoi muzyka strun i piszczałek, sam Mistrz Pieczary musiał się trudzić w tej mierze. - Bang! Bazarz uderza w stół drewnianą kołatką. - Zaprawdę, ze wzniosłych dażeń rodzą się zamysły!

Bazarz odkłada kołatkę, bierze pałeczkę; na uderzenia głucho odpowiada bębenek o luźnej skórce. Drugą ręką bazarz podnosi tamburyn z brzękadłami, niespiesznie nim potrząsa, dźwięczą kawałki metalu. Potem starym, ochryplym głosem zaczyna wyjaśniać:

- Wąż Władca wydaje polecenia i oto w czterech stronach świata zaczyna się dziać coś, co Pałac Błękitnego Bezkresu napędza barwnymi dekoracjami oraz mnóstwem instrumentów dętych i strunowych. - Bazarz nagle podnosi głos. - Kiedy to usłyszała ropucha, zarechotała głośno, sowa zaś zamachała dyrygencką pałeczką. - Bazarz celowo naśladuje recytacyjny styl artystów telewizji, co sprawia, że widownia ryczy ze śmiechu.

Spoglądasz na nią i śmiejecie się oboje. Oto radosna twarz, którą chciałeś ujrzeć.

Może wejdziemy i usiądziemy? Znalazłeś jakieś słowa. Prowadzisz ją między drewnianymi ławkami, nogami widzów, znajdujesz ławkę z odrobiną miejsca i wciskasz się. I już patrzycie na bazarza, który próbuje oczarować publiczność. Wstał i znowu tłucze kołatką, bardzo głośno.

- A teraz zaczyna się składanie życzeń urodzinowych! Wszystkie demony pomniejsze... - Radośnie nuci pod nosem, obraca się w lewo i odgrywa ukłony z dłońmi złożonymi w geście pozdrowienia; potem obraca się w prawo, żeby pokiwać ręką i zaśpiewać głosem starej uwodzicielki: - Dziękuję wam, dziękuję.

Tę historię opowiadają już od tysiąca lat, szepcesz jej do ucha.

I wciąż będą opowiadać. Jej głos brzmi jak echo twego.

Jeszcze przez tysiąc? pytasz.

Mmmm, odpowiada, ściągając wargi jak zuchwałe dziecko. Czujesz się bardzo szczęśliwy.

- Teraz powróćmy do Chen Fatonga. W trzy dni przybywa do podnóża góry Donggong, chociaż zazwyczaj ta podróż trwa siedem razy siedem, czyli czterdzieści dziewięć dni, a tam spotyka Wanga, mistrza dao. Fatong składa powitalny ukłon i powiada: Przynoszę prośbę do Czcigodnego Mistrza. Wang oddaje powitalny ukłon, a potem Fatong rzecze: Czy wolno mi zapytać, gdzie mogę znaleźć Pałac Błękitnego Bezkresu? Dlaczego pytasz? Tamtejsze demony są zaprawdę straszliwe. Któż się odważy tam iść? Nazywam się Chen, Fatong zaś, me imię, znaczy „pojmujący prawa Buddy”. I po to właśnie przybywam, by pojmać demony. Mistrz dao głęboko wdycha i rzecze, właśnie dzisiaj posłano tam młodych chłopców i młode

dziewczeta, może są już w trzewiach Węża Władcy. Usłyszawszy to, Fatong wykrzykuje, muszę co żywo ruszyć im na ratunek!

Bang! Widzisz, jak bazarz prawą ręką unosi pałeczkę, a lewą podzwania tamburynem. Wytrzeszcza oczy aż po białka, recytuje, zawodzi, śpiewa, całe jego ciało zaczyna drżeć... Wśród mocnych zapachów tytoniu i potu wyczuwasz jakiś inny, delikatny, sączy się z jej włosów, z niej. Słysząc chrupot pestek melona, ludzie rozgryzają je, ze wzrokiem utkwionym w bazarzu w mniszej szacie. Magiczny miecz trzyma w prawej, smoczy róg w lewej ręce, mówi zaś coraz szybciej, jakby wypluwał sznur pereł.

- Trzykrotnie kładzie zaczarowaną tabliczkę, raz-dwa-trzy, trzy amulety wzywające posiłki natychmiast ściągają boski zastęp i boskich generałów góry Lu, góry Mao, góry Longhu, *o-ya-ya a-ha-ha da-gu-long-dong kang-ya-yaya-wu-hu*. Cesarz Niebios, Cesarz Ziemi, jam jest młodszy brat, którego przysłał Prawdziwy Pan i Władca, by wygubić demony. Oto z bezcennym czarodziejskim mieczem, kreśląc mymi krokami kolisko wichru i ognia, obracam się w lewo, obracam w prawo...

Ona wstaje, odwraca się, ty idziesz za nią, depczesz ludziom po nogach. Wszyscy patrzą na was.

- Szybciej, szybciej, właśnie otrzymaliście rozkazy!

Odprowadza was wybuch śmiechu.

Co się stało?

Nic.

Dlaczego nie chcesz zostać?

Niedobrze mi.

Chorujesz?

Nie, już mi lepiej, w środku jest duszno.

Wychodzicie; oglądają się za wami ludzie siedzący i gwarzący na ulicy.

Poszukamy spokojniejszego miejsca?

Tak.

Prowadzisz ją w ciasną uliczkę za rogiem, za sobą zostawiacie gwar i światła ulicy. Tu nie ma latarni, tylko z okien sączy się błada poświata. Ona zwalnia, ty zaś wracasz myślami do tego, co zaszło.

Nie sądzisz, że przypominamy ścigane demony?

Chichocze.

Potem zaśmiewacie się, więcej, ona pokłada się ze śmiechu. Jej obcasy głośno stukają po bruku. Kończy się uliczka, przed wami rozpościerają się pola ryżowe, widoczne w słabiuteńkiej łunie. W dali widać przez mgiełkę parę budynków, to ta jedyna szkoła średnia w mieście. Nieco dalej, pod czarnym rozświetlonym tylko przez gwiazdy niebem, rozsiadły się wzgórza. Wraz z powiewami nadciągają fale chłodnego powietrza, rozplywają się w czystym zapachu pól ryżowych. Przysuwasz się do jej ramienia, a ona wymyka się. Nic nie mówicie, idzicie, gdzie poniosą was nogi, szarymi ścieżkami wśród pól.

Dobrze ci?

Tak.

Prawda, że to cudowne?

Nie wiem, nie umiem powiedzieć, nie pytaj.

Tulisz jej ramię, ona opiera się o ciebie, patrzysz na nią w dół, nie możesz dostrzec jej rysów, lecz wyczuwasz drobny nos i znowu zapach tego swojskiego ciepła. Nagle zamiera.

Wracajmy, pomrukuje.

Gdzie?

Muszę odpocząć.

Odprowadzę cię.

Chce być sama.

Jest niewzruszona.

Masz tu krewnych? Przyjaciół? Nie masz nikogo?

Nie odpowiada. Nie wiesz, skąd jest, nie wiesz, gdzie wraca. Odprowadzasz ją do głównej ulicy; odchodzi samotnie, znika w głębi ulicy, jak w opowieści, jak we śnie.

Na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów w bazie obserwacyjnej pand wielkich zewsząd kapie, pościel jest wilgotna. Spędziłem tu dwie noce. Za dnia noszę ocieplany strój wydawany w bazie, mimo to wciąż czuję wilgoć. Najprzyjaźniejsza jest pora jedzenia przy ogniu posiłku z ryżem i gorącej zupy. Na drucie uwieszonym u krokwi szopy kuchennej wisi wielki aluminiowy garnek, a w palenisku, dostarczając światła, gorzeje cała kłoda, z której iskry strzelają na pół metra. Kiedy siedzimy przy ogniu, zjawia się zawsze wiewiórka, przysiada pod szopą i toczy okrągłymi oczami. Zbieramy się tu wszyscy tylko wieczorem, nie obywa się bez żartów. Pod koniec posiłku ściemnia się całkiem; bazę otacza las czarny jak smoła, wszyscy chowają się w baraku, przy świetle lamp naftowych każdy zajmuje się swoimi sprawami.

Tkwią tak w głębi masywu przez cały rok, już powiedzieli wszystko, co mieli do powiedzenia, a nowin brak. Zatrudniają Qianga z Przełęczu Śpiącego Smoka, z wioski leżącej na wysokości dwóch tysięcy stu metrów, ostatniej przy drodze na górę, żeby przychodził co parę dni i w koszu na plecach przynosił świeże jarzyny i połcie baraniny lub wieprzowiny. Do dyrekcji rezerwatu jest jeszcze dalej niż do wioski. Strażnicy schodzą z góry, na zmianę, raz na miesiąc lub parę miesięcy, na kilka dni, żeby ostrzyć się, wykapać i zjeść coś dobrego. Ciulają wolne dni, a kiedy przyjdzie pora, jadą samochodem rezerwatu do Chengdu zobaczyć się z dziewczynami bądź odwiedzają domy w innych miastach. Dla nich to sposób życia. Nie mają gazet, nie słuchają radia. Ronald

Reagan, reformy ekonomiczne, inflacja, walka z zatruciem duchowym, Nagroda Filmowa Stu Kwiatów itede, itepe, itede - to wrzawa świata wielkich miast, o wiele za daleka. Lecz absolwent uniwersytetu, przysłany tu do pracy zaledwie w zeszłym roku, wciąż ma słuchawki na uszach. Niemal ocierając się o niego, dopiero dosłyszałem, że uczy się angielskiego. Jest także młody człowiek, który w świetle lampy naftowej czyta. Obaj przygotowują się do egzaminów na studia podyplomowe, więc mogą się wydostać. Inny mężczyzna odbiera sygnały radiowe, lokalizuje i nanosi na lotniczą mapę radionawigacyjną. Ib sygnały nadawane przez pandy, które kiedyś schwytano, a potem z nadajnikami w obrożach wypuszczono do lasu na wolność.

Mieszkający ze mną stary botanik spędził dwa dni na górskiej wędrowce; leży już w łóżku, lecz nie wiem, czy śpi, czy czuwa. Ja po prostu nie mogę się rozgrzać w tej wilgotnej pościeli, leżę w ubraniu, a mimo to mam wrażenie, że nawet mózg mi zamarł, chociaż u podnóża góry jest maj, środek wiosny. Sięgam po kleszcza, który wpił mi się w wewnętrzną część uda. Za dnia, kiedy wędrowałem w wysokich trawach, musiał się wspinać po nogawce. Wielkości paznokcia mego małego palca, twardy jak strup. Przytrzymuję kleszcza, drapię się, nie mogę go jednak wyjąć. Wiem, że jeśli pociągnę, rozerwę owada, a łeb z pyskiem, który solidnie wniknął w ciało, zostanie tam, wżarty w skórę. Z pomocą przychodzi robotnik ośrodka, zajmujący sąsiednie łóżko. Każę mi się rozebrać, wymierza solidnego klapsa w udo i wyciska tego małego krwiożerczego sukinsyna. W płomieniu lampy naftowej wydziela zapach smażonego mięsnego nadzienia placków. Robotnik obiecuje mi na rano bandaż.

W baraku i na zewnątrz jest spokojnie, chociaż z lasu zewsząd dobiega szmer sączącej się wody. Dmący z daleka górski wiatr nie sięga tutaj, przeciwnie, zamiera, błędzi zaś hałaśliwie po odległych dolinach. Później z desek nade mną też zaczyna się sączyć woda, wygląda na to, że kapie wprost na kołdrę. Czy cieknie dlatego, że pada deszcz? Bezmyślnie wstaję. Na zewnątrz jest równie wilgotno jak wewnątrz. No to niech kapie, kap, kap... A później słyszę wystrzał. Huk czytelny, chociaż stłumiony, odbija się echem w dolinie.

- To koło Białego Urwiska - ktoś mówi.

- Kłusownicy, kurwa - klnie inny.

Budzą się wszyscy, zresztą może nikt nie spał.

- Zobacz, która godzina.

- Za pięć dwunasta.

Potem nikt się nie odzywa; jakby czekali na następny wystrzał, ale na próżno. W ciszy już zakłóconej, pełnej napięcia, słychać tylko kapanie wody na zewnątrz i porywy uwiecznionego w dolinach wiatru. Później wydaje się, że słychać dzikie zwierzęta. Ów świat należy do nich, lecz ludzie chcą koniecznie nań wpływać. W otaczającej ciemności kryją się lęk i nerwowość, nocą ów mrok wydaje się jeszcze niebezpieczniejszy, wzmagają obawy, że jest się śledzonym, może wciągany w zasadzkę. Nie można osiągnąć spokoju ducha, człowiek marzy o...

- Przyszedeł!

-Kto?

- Beibei! - krzyczy student.

W baraku zamieszanie, wszyscy zrywają się z łóżek.

Z zewnątrz dobiega chrząkanie i postękiwanie. To młoda panda, którą uratowali, kiedy przywędrowała buszować w poszukiwaniu jedzenia, chora i zagłodzona! Czekali, aż się zjawi, byli pewni, że przyjdzie. Liczyli dni, minęło ich już dziesięć. Twierdzili, że musi przyjść, zanim wykiełkują nowe pędy bambusa. A teraz ich ulubieniec, skarb, jest tu, szoruje pazurami po belkach.

Ktoś uchyla drzwi i pomyka z wiadrem papki kukurydzianej, reszta zaś całą gromadą szybko za nim. W gęstym mroku człapie ogromny ciemnoszary kształt. Papka szybko ląduje w misce, a kształt, wciąż głośno stękając i chrząkając, podchodzi do naczynia. Wszystkie światła skierowane są na zwierzę z czarnymi półkolami wokół czarnych oczu. Panda w ogóle nie przejmuje się latarkami, całkowicie pochłonięta jedzeniem, ani razu nie patrzy sponad miski. Wszyscy fotografują jak szaleni, nieustannie błyskają flesze, każdy po kolei stara się podejść do zwierzęcia, odezwać się, podroczyć, dotknąć futra, twardego jak świńska szczecina. Zwierzę ogląda się, a wszyscy umykają do baraku, w bezpieczne schronienie. W końcu to dzikie zwierzę, zdrowa panda może się zmierzyć z panterą. Kiedy ta zjawiała się po raz pierwszy, przeżuła i zjadła pokarm wraz z aluminiowym naczyniem, zostawiając jako trop, którym wszyscy za nią zmięrzali, nie-strawione aluminiowe grudki. Był też dziennikarz, który wciąż powtarzał, że pandy wielkie są śliczne jak kotki; wszedł do zagrody, żeby zrobić sobie zdjęcie w objęciach pandy schwytej przez strażników z placówki u podnóża góry. Walczącego o życie, z wyrwanymi genitaliami zawieziono go natychmiast do Chengdu.

Panda kończy wreszcie jeść, zabiera kawałek trzciny cukrowej i żując go, rusza z wolna ku kępom bambusa „zimna strzała” i zarośłom na skraju bazy.

- Mówiłem, że Beibei dziś przyjdzie.

- Zwykle przychodzi o tej porze, koło drugiej lub trzeciej.

- Słyszałem, jak mruczał i rył ścianę.

- Ten to umie wyżebrać żarcie, diabeł bezczelny.

- Głoduje. Wyżarł do dna duże wiadro.

- Przytył. Dotknąłem go.

Wszyscy są bardzo podnieceni i roztrząsają najdrobniejsze szczegóły: kto pierwszy usłyszał, kto ruszył do drzwi, a uchyliwszy je, zobaczył zwierzę, za kim zwierzę szło, jak wsadziło łeb do wiadra, usiadło obok miski i zjadło. Ktoś nawet mówi, że panda sama dodała cukru do papki kukurydzianej, bo lubi słodczy! Zazwyczaj ledwie się do siebie odzywają, a teraz rozprawiają o Beibei, jakby był dla każdego oczkiem w głowie.

Patrzę na zegarek, zajście trwało najwyżej dziesięć minut, tymczasem zachwycają się nim bez końca. Zapalili wszystkie światła, niektórzy zamiast leżeć, siedzą na łózkach. Tak to właśnie wygląda, życie na górze płynie monotonnie, w osamotnieniu, każdemu marzy się taki okrucień przyjemności. Z tematu Beibei przechodzą do Hanhana. Zaalarmował ich ten wcześniejszy wystrzał. Przed Beibei przychodził tu Han-han, którego zabił chłop nazwiskiem Leng Zhizhong. Przez kilka dni odbierali sygnał Hanhana wciąż z tego samego miejsca; myśląc, że ciężko zachorował, ruszyli na poszukiwania. W końcu w lesie wydobyli ze świeżego kopca szczątki Hanhana wraz z obrożą, która wciąż nadawała radiowy sygnał. Zorganizowali poszukiwanie, a psy tropiące zaprowadziły ich do domu owego Leng Zhizhonga, gdzie pod okapem znaleźli zwiniętą skórę. Inna panda z radioobrożą to była Liii, lecz jej sygnał po prostu ustał, zaniknął gdzieś w puszczy i już nigdy go nie usłyszano. Nikt zatem się nie dowie, czy może zaatakowała ją pantera i zżarła obrożę, czy też trafiła na sprytnego myśliwego, który rozwalil nadajnik kolbą strzelby.

Nad ranem słyhać dwa strzały z dolnej części rezerwatu. Przez dłuższą chwilę w dolinie odbija się stłumione echo, powtarza się uparcie; trwa jak chmurka dymu u lufy fuzji, z której wystrzelono.

Żałujesz, że się z nią nie umówiłeś ani za nią nie poszedłeś, że zabrakło ci odwagi, że nie zdołałeś jej zatrzymać, że jej nie poderwałeś, nie byłeś bardziej natarczywy, że nie będzie bajkowego romansu. W sumie, żałujesz straconej okazji. Nie dręczy cię bezsenność, ale przez całą noc śpisz mamie. Wstajesz wcześniej rano, to wszystko wydaje ci się śmieszne, cieszysz się, że cię nie poniosło. Tego rodzaju popędliwe zachowanie katastrofalnie wpływa na samoocenę. Lecz zaraz potem czujesz do siebie wstręt za ten nadmiar rozsądku. Nawet nie wiesz, jak się zabrać do przygody, jesteś tak słaby, że wyzbyłeś się męskości, straciłeś zdolność przejmowania inicjatywy. Później postanawiasz, koniec końców, ruszyć nad rzekę i popробować szczęścia.

Siedzisz więc w pawilonie i jak doradzał handlarz tarcicą, wpatrujesz się w krajobraz na drugim brzegu. Na przeprawie trwa ruch od wczesnego rana. W miarę gęstnienia tłumu na promie, burty zanurzają się coraz głębiej. Zanim zostaną umocowane cumy podczas przybijania, ludzie już walczą, żeby wydostać się na brzeg. Ludzie z wielkimi kosztami na nosilkach i ludzie pchający rowery rozpychają się, potracają nawzajem, klną, krzyczą, suną do miasta jak fala. Prom wytrwale pływa tam i z powrotem, w końcu przywozi z drugiego brzegu wszystkich. Ta strona przeprawy też się uspokaja. Już tylko ty, jak idiota, siedzisz w pawilonie; udajesz, że czekasz na spotkanie, chociaż się nie umówiłeś, z kobietą, która się pojawiła i przepadła, jak przywidzenie. Czyżbyś był znudzony, czyżby ci obmierzło monotonne bytowanie wyzbyte namiętności i podniet, a teraz zachciało ci się odżyć, znowu poczuć smak życia?

Nagle brzeg rzeki tętni, teraz to krzątania kobiet. Tłoczą się na kamiennych stopniach nad wodą; jedne piorą odzież, inne myją jarzyny lub płuczą ryż. Podpływa czarna łódź z baldachimem, na dziobie stoi facet z bosakiem i woła do kobiet. Odpowiadają okrzykami, lecz nie umiesz powiedzieć, czy to flirt czy kłótnia. I wtedy właśnie dostrzegasz ją znowu. Mówisz, że myślałeś, że tu przyjdzie, że wróci do pawilonu, więc mógłbyś jej przybliżyć dzieje budynku. Mówisz, że opowiadał ci o nich starzec siedzący w pawilonie. Zasuszony jak chrust, sączył słowa z pergaminowych ust z sapką, przypominał zaś demona. Ona mówi, że przerażają ją demony, więc mówisz, że jego chrapliwy głos przypominał wiatr zawodzący w przewodach wysokiego napięcia. Mówisz, że wzmianki o mieście pojawiły się już w *Zapiskach historyka* i że dawno temu to miejsce nosiło nazwę Przeprawy Yu. Według legendy Wielki Yu, kiedy powstrzymał powódź, przeprowił się przez rzekę właśnie tutaj. Na nabrzeżu stał niegdyś okrągły kamień z siedemnastoma wyrzeźbionymi, ledwie widocznymi archaicznymi znakami, przypominającymi kijanki. Skoro jednak nikt nie umiał ich odczytać, potrzebowano zaś materiałów na budowę mostu, kamień skruszono dynamitem. Potem nie udało się zebrać pieniędzy i w końcu mostu nigdy nie zbudowano. Pokazujesz jej dystych napisany przez sławnego mędrca z czasów dynastii Song. Ową Lingshan, której szukasz, znali starożytni, lecz liczne pokolenia chłopów, którzy tu żyli od tamtych czasów, nie znały historii miejsca, nie znały nawet własnej. Gdyby opisano w pełni, bez pominięć czy naddatków, losy tych wielu pokoleń zamieszkujących tutejsze podwórka i domy, to taka kronika wprawilaby w prawdziwe zdumienie pisarzy układających fabuły. Pytasz, czy ci wierzy. Weźmy na przykład tę starą kobietę siedzącą na progu i patrzącą przed siebie pustym wzrokiem. Straciła wszystkie zęby, a pomarszczona twarz przypomina soloną rzepe, mumię, ślad ruchu można dostrzec tylko w zapadłych, zmętniałych i przygasłych oczach. Lecz w tamtych czasach była olśniewająca, piękna. W promieniu kilkudziesięciu *li* uchodziła za piękność numer jeden lub dwa, ludzie nie mogli od niej oderwać wzroku. Ale któż dzisiaj może sobie wyobrazić jej ówczesny wygląd, nie mówiąc o tym, jaka wydawała się seksowna, od kiedy została żoną bandyty? W tym mieście herszt bandytów zwany był Drugim Wujem. Czy przyszedł na świat jako drugi z rodzeństwa, czy też zaszczycono go owym przydomkiem, żeby wejść z nim w komitywę, to sprawa pomniejsza, w każdym razie wszyscy w mieście, młodzi i starzy, zwracali się do niego jako do Drugiego Wuja, po części, żeby mu pochlebić, ale przeważnie ze strachu. Podwórko za progiem, na którym siedzi stara, to nie jakiś ogrom, ale podwórko są tu całe ciągi. I dawno temu na to podwórko wnoszono wielkie trzciniowe kosze pełne złotych monet, wyładowywane z łodzi z czarnymi baldachimami. Teraz stara obojętnie patrzy na łodzi z czarnymi baldachimami, lecz dawno temu porwano ją i zaciągnięto właśnie na taką. Wtedy była podobna do tych dziewczyn z długimi warkoczami, które teraz piorą na kamiennych stopniach; zamiast plastikowych sandałów nosiła drewniaki, a nad rzekę schodziła z koszem warzyw do płukania. Łódź podpłynęła do brzegu;

zanim dziewczyna pojęła, co się dzieje, dwóch mężczyzn porwało ją pod pachy i zaciągnęło na pokład. Nawet nie zdążyła zawołać na pomoc, bo w usta wetknięto jej motek lnianych nici. Łódź jeszcze nie przepłynęła pięciu li, a bandyci, jeden po drugim, już zgwałcili dziewczynę. Na tych łodziach z czarnymi baldachimami, które przemierzają rzekę od tysiąca lat, niegdyś ustawiano osłony z plecionki bambusowej i takie zbrodnie można było popełniać w biały dzień. Tamtej nocy dziewczyna leżała naga na deskach pokładu, następnej rozpałała piec na dziobie łodzi, żeby coś ugotować...

I o czym teraz chcesz mówić? O niej i Drugim Wuju, jak została żoną bandyty? A może chcesz opowiadać, dlaczego zawsze tak siedzi na progu? Kiedyś nie miała takich zmętnianych oczu, na piersi zawsze nosiła pudełko z bambusowej plecionki, a jej ręce nieustannie haftowały. Pulchnymi palcami umiała wyszywać kaczki mandarynki, które dokazują w wodzie, lub pawie z rozpostartymi ogonami. Czarne warkoczki zwijała ciasno na głowie i mocowała srebrną zapinką z jadeitem, czerniła brwi, starannie strzygła linię włosów, ale nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że jest pociągająca. Ludzie z jej otoczenia oczywiście wiedzieli, że w pudełku są na wierzchu jedwabne kolorowe nici, ale pod nimi para lśniących, czarnych nabitych rewolwerów. Gdyby na pokład zakotwiczonej łodzi weszli żołnierze, mogłaby ich natychmiast zastrzelić tymi delikatnymi rękami, jakże biegłymi w hafcie. Kiedy zaś zdarzyło się to rzeczywiście, nieuchwytny Drugi Wuj nabrał pewności, że może w domu spać spokojnie. Ta kobieta spodobała się Drugiemu Wujowi i zachował ją dla siebie, ona zaś podażyła tropem owej cnoty, która każe kobiecie iść za mężczyzną, który ją poślubił. I w mieście nikt nigdy na nich nie doniósł? Cóż, nawet króliki nie wyjadają trawy koło nory. A potem, rzecz niesłychana, przywłaszczyła sobie prawo do życia na własny rachunek. Drugiego Wuja - osławionego herszta bandytów, z którym nie mógł się równać, jeżeli chodzi o waleczność, żaden bandyta grasujący na szlakach lądowych i wodnych - zabiła bowiem w końcu ona. Jak? Drugi Wuj był okrutny, lecz ona jeszcze gorsza - mężczyźni nie potrafili dorównać kobietom w okrucieństwie. Jeśli nie wierzysz, zapytaj pana Wu, nauczyciela miejskiej szkoły średniej. Nowe biuro turystyczne powiatu zleciło mu opracowanie kroniki zwyczajów, wydarzeń i opowieści związanych z Wuyizhen. Dyrektor tego biura jest wujem żony kuzyna Wu i dzięki temu Wu mógł otrzymać zlecenie. Historie wszystkich ludzi, którzy urodzili się i dorosli w tych stronach, są warte opowieści, pan Wu zaś nie jest jedynym człowiekiem w mieście, który umie pisać. Któż nie chciałby się zanurzyć w starych annałach, no i zapisać się w historii, niezależnie od autorskiego honorarium? Pan Wu należy do tutejszych, pochodzi z rodziny, która miała wpływy od pokoleń. Żółty jedwab z drzewem genealogicznym klanu, skonfiskowany i publicznie spalony podczas rewolucji kulturalnej, był długi na cztery metry. Przodkowie zażywali uroku władzy, piastowali wysokie stanowiska, na przykład marszałka dworu za panowania cesarza Wendi z dynastii Han bądź członka Akademii Hanlin za panowania cesarza Guangxu z dynastii Qing. Pokolenie ojca pana Wu przeżyło jednak reformę rolną i nowy przydział gruntów, zaliczone zaś do kategorii obszarników przecierpiało całe dziesięciolecie nieszczęść. Lecz teraz starszy brat pana Wu, profesor zza mórza ocierający się już o emeryturę, z którym Wu stracił był kontakt, postanowił odwiedzić rodzinne miasto i zjechał tu samochodem w towarzystwie naczelnika powiatu; naczelnikowi przywiózł kolorowy telewizor. Skutkiem tego miejscowa nomenklatura zaczęła okazywać szacunek panu Wu. Nie mów mi o tym wszystkim. W porządku, opowiem o długowłosych rebeliantach - o tajpingach. Przyszli tu nocą i podpalili połowę domów przy głównej ulicy. Niegdyś ciągnęła się wzdłuż rzeki, poczynając od przystani. Dzisiejszy dworzec autobusowy stoi przy końcu tamtej głównej ulicy, na miejscu dawnej Świątyni Króla Smoków. Zanim Świątynię Króla Smoków obrócono w stertę gruzów, piętnastego dnia pierwszego miesiąca księżycowego najlepszy wieczorny widok na Święto Lampionów był właśnie ze sceny operowej Świątyni Króla Smoków. Na ulicy stawały się lampionowe smoki z okolicznych nadrzecznych wiosek: drużyny w turbanach czerwonych, żółtych, niebieskich, białych albo czarnych, zależnie od tego, jakim smokiem zawiadywały. Na odgłos bicia w gongi i bębny głowy stłoczonego na ulicy tłumu zaczynały kołysać się do taktu. Ze wszystkich sklepów nadrzecznych wystawiano bambusowe tyki, na nich dyndały woreczki z gotówką, bo każdy pragnął powodzenia w interesach w rozpoczynającym się roku. Czerwone woreczki starego Qiana, ze sklepu z ryżem naprzeciw Świątyni Króla Smoków, są najzasobniejsze, a z jego okna na piętrze zwieszają się dwa sznury, każdy po pięćset petard. I oto wśród fajerwerków, w powodzi światła, lampionowi wykonawcy popisują się zręcznością. Smoki kołują i koziołkują jeden za drugim; dla wykonawców najtrudniejsze jest manipulowanie smoczą głową i podtrzymywanie haftowanej kuli. A kiedy ci to opowiadam,

pojawiają się dwa smoki: czerwony z wioski Gulaicun i czarny z miasta, a tym ostatnim zawiaduje Wu Guizi. Nie opowiadaj mi dalej tej historii, przestań. Lecz ty nie słuchasz, ciągniesz, chcesz opowiedzieć o czarnym smoku i Wu Guizim, największym smoczym artyście, którego zna każdy w mieście. Durzą się w nim wszystkie młode kobiety, wołają, kiedy go widzą, Guizi, wpadnij na herbatę, albo częstuj go miseczką wódki ryżowej. Niestosowne zachowanie! Co takiego? I opowiadasz dalej. Oto zbliża się czarny smok, animatorom przewodzi Wu Guizi. Zlany potem, przed Świątynią Króla Smoków rozpina koszulę i rzuca w tłum komuś znajomemu. Na piersiach ma tatuaż, czarnego smoka, na ów widok rozlega się na ulicy krzyk uznania z ust młodzieży. W tym momencie z drugiego końca ulicy nadciąga czerwony smok z Gulaicun. Wkracza ze dwudziestu młodzików podobnej postury, tryskają energią i krzepą jeden w drugiego, oni też przybyli tu powalczyć

O pierwszą nagrodę, o sakiewkę starego Qiana ze sklepu z ryżem. Żadna z drużyn nie ustąpi i obie zaczynają popis w tej samej chwili. Smoki czerwony i czarny to lampiony z zapalonymi świecami i oto widać te dwa ogniste smoki, jak wierzgają wśród głów i pomiędzy nogami, nagle wznoszą łby i wymachują ogonami. Wu Guizi z gołą piersią żongluje ognistą kulą, robi salta na bruku, zamienia czarnego smoka w ognisty krąg. Czerwony smok też radzi sobie niezgorzej - naciera na haftowaną kulę, rzuca się do przodu jak stonoga wgrzyzająca się w żywą istotę. Kiedy dopalają się dwa sznury, po pięćset maleńkich petard każdy, pracownicy sklepu odbijają parę czopów. Obie grupy współzawodników, dyszących, zlanych potem, mokrych jak wyciągnięte z wody węgorze, szarżują na czerwony mieszek zwisający z bambusowej tyki obok lady. I oto wyskakuje i zrywa go młodzieniec z Gulaicun. Czy Wu Guizi z zespołem mają znieść takie upokorzenie? Wyzwiska zagłuszają trzask petard, a potem czarny i czerwony smok rzucają się do walki jak oczadziałe. Widzowie nie umieją powiedzieć, kto zaczął, w każdym razie do walki judziły obie strony, walka często tak się zaczyna. Jak zwykle kobiety i dzieci zaczynają się drzeć; te kobiety, które powłaziły na stołki wystawione przed próg, żeby lepiej widzieć, teraz łapią dzieci i chowają się w domu. Stołki zostawione przed wejściem zamieniają się w rękach obu stron w straszliwą broń. W mieście jest policjant, lecz w takie święta jak to ludzie go częstują; niech nie kręci się przy karcianych stolikach, nie przymawia się o łapówkę... W końcu nie pilnuje porządku publicznego za darmo. Do takich zaś zakłóceń nie należy mieszać prawa. Po walce w zespole czarnego smoka jest jeden zabity, w zespole czerwonego smoka dwóch; wśród ofiar jest też starszy brat małego Yingzi, który tylko się przyglądał. Bez żadnego powodu złamano mu trzy żebra, ktoś go powalił pięścią, a potem wziął pod obcas. Na szczęście udało się go uratować, dzięki przyłożeniu plastra z psiej skóry, co było receptą stosowaną w rodzinie Dziobatego Tanga, mieszkającego tuż obok Dworu Radosnej Wiosny, burdelu z wywieszoną czerwoną latarnią. Wymyśliłeś to wszystko, mógłbyś ciągnąć te opowieści bez końca, tyle że ona nie chce słuchać.

W klonowo-lipowym lesie w niższej części bazy stary przyrodnik, który zjawiał się na górze wraz ze mną, znajduje metasekwoję. Jest to żywa kopalna paproć, ponad czterdziestometrowa, odosobniony zabytek epoki lodowcowej sprzed miliona lat, a jednak, jeśli spojrzeć w górę, można dostrzec na koniuszkach lśniących gałęzi małe młode listki. W pniu ogromna dziupla, może nora pandy. Przyrodnik każe mi się wdrapać na pień i obejrzeć tę dziuplę; zapewnia, że panda, jeśli w ogóle tu mieszka, to zimą. Ściany okrywa mech. To ogromne drzewo porasta od wewnątrz i z zewnątrz zielony puch, a sękaty korzenie, jak smoki i węże, rozpełza-ją się po ogromnej połaci pełnej zarośli i krzaków.

- Oto i prymitywna ekologia dla ciebie, młody człowieku - mówi i postukuje wysokogórskim czekanem w pień metasekwoi. Do wszystkich w bazie zwraca się „młody człowieku”. Ma co najmniej sześćdziesiątkę, cieszy się pierwszorzędnym zdrowiem; chodzi po całym masywie, podpierając się zawsze czekanem. - Ścieli wszystkie drzewa, które dało się sprzedać do tartaku. Gdyby nie dziupla, to drzewo też by poszło. Krótko mówiąc, tu nie ma lasów pierwotnych. Głównie wtórne - mówi poruszony.

Zbiera tu okazy bambusa „zimna strzała”, pożywienia pand wielkich. Wchodzę z nim w kępę zeschniętych zimnych strzał wysokości człowieka, wśród których trudno znaleźć chociażby jeden żywy pęd. Przyrodnik mówi, że trzeba całych sześćdziesięciu lat, żeby ten bambus przeszedł pełen cykl kwitnienia, wydania nasion, uschnięcia, a następnie wschodzenia pędów z nasion, wzrastania i kwitnienia. Zgodnie z nauką buddystów o preistoczeniach, to właśnie jedna *kalpa*.

- Człowiek podąża za ziemią, ziemia za niebiosami, niebiosy podążają za dao, dao zaś podąża za naturą - oznajmia gromko. - Nie dopuszczaj się działań wrogich istocie przyrody; nie dopuszczaj się działań, których dopuszczać się nie należy.

- Jaką wartość naukową ma ochrona pand wielkich? - pytam.

- Symboliczną; coś w rodzaju dodawania sobie otuchy. Ludzie nie umieją żyć bez złudzeń. Zaprzęta nas ochrona zwierząt, które już nie zdołają przetrwać, z drugiej zaś strony bezwzględnie niszczy środowisko nieodzwonne do przetrwania rodzaju ludzkiego. Niech pan spojrzy na Min, tę rzekę, wzdłuż której pan tu przybył, przecież po obu jej brzegach do cna wycięto lasy. Min stała się rzeką ciemną i mętną, a jeszcze gorzej będzie z Yangzi, bo chcą ją przegrodzić i zbudować tamę nieopodal Trzech Przełomów! Oczywiście, to bardzo romantyczne, zaspokajając dzikie fantazje, ale to miejsce leży na geologicznym uskoku i istnieją liczne, wiarygodne opisy wielkich osunięć ziemi, do których dochodziło tam w dawnych czasach. Wprost szkoda mówić, że przegrodzenie rzeki i wzniesienie tamy zniszczy cały system ekologiczny zlewiska Yangzi, lecz jeśli budowa doprowadzi do trzęsień ziemi, to zamiast setek milionów ludzi w środkowym i dolnym biegu zostaną tylko ryby i żółwie! Oczywiście nikomu się nie śni słuchać takiego starucha jak ja, lecz jeśli ludzie gwałcą w ten sposób przyrodę, ona nieuchronnie się mści!

Idę przez las, po pas w paprociach kurtomium o liściach układających się w kręgi, przez co rośliny przypominają wielkie lejki. Tulipan jadalny o siedmiu liściach tworzących okrąg ma odcień jeszcze głębszej zieleni. Wszystko przenika wszechobecna wilgoć.

Nie wytrzymuję i pytam:

- Czy w poszyciu są węże?

- Na węże jeszcze nie czas, napastliwe stają się dopiero wczesnym latem, kiedy zrobi się cieplej.

- A dzikie zwierzęta?

- Bać trzeba się ludzi, nie zwierząt! - I opowiada, jak spotkał, jeszcze jako młody człowiek, trzy tygrysy jednego dnia. Tuż obok niego przemaszerowały wpierw matka z młodym, potem wyszedł na niego samiec. Wpatrywali się w siebie, kiedy zaś człowiek odwrócił wzrok, tygrys odszedł. - W zasadzie tygrysy nie napadają na ludzi, natomiast ludzie prześladowają tygrysy, gdzie się tylko da. W południowych Chinach już je wytępiono. Jeżeli dzisiaj człowiek natknie się na tygrysa, może się uznać za szczęściarza - dodaje zgryźliwie.

- W takim razie, dlaczego wszędzie można dostać nalewkę na kościach tygrysiach? - pytam.

- To lipa! Tygrysiach kości nie mogą zdobyć nawet muzea, a w ciągu ostatnich, powiedzmy, dziesięciu lat w całym kraju nie sprzedano ani jednej tygrysięj skóry. W prowincji Fujian w jakiejś wiosce ktoś miał tygrysi szkielet, okazało się jednak, że to coś złożono z kości świńskich i psich! - Śmieje się głośno; musi się oprzeć na czekanie, żeby

zaczepnąć tchu. - Parę razy w życiu uszedłem cało - ciągnie - ale nie ze zwierzęcych pazurów. Kiedyś porwali mnie bandyci

i zażądali okupu, sztaby złota, sądzili bowiem, że jestem potomkiem zamożnej rodziny. Skąd mogli wiedzieć, że schwytali biednego studenta prowadzącego badania w górach i nawet zegarek na ręce to pożyczka od przyjaciela. Kiedy indziej było to podczas japońskiego nalotu. Na dom, w którym mieszkałem, spadła bomba. Strzaskała dach, rozrzuciła dachówki na wszystkie strony, lecz nie wybuchła. A innym razem wytoczono przeciw mnie oskarżenie, zostałem uznany za prawicowca i zesłany do obozu. Czasy były ciężkie, nic do jedzenia, ciało obrzękłe, niewiele brakowało, żebym umarł. To nie przyrody trzeba się bać, młody człowieku, lecz ludzi! Powinieneś ją tylko poznać, a wtedy stanie się przyjazna. Stworzenie zwane człowiekiem jest bardzo inteligentne, fakt, potrafi stworzyć niemal wszystko, od plotek po dziecko z próbówki, a jednocześnie dzień w dzień niszczy dwa do trzech gatunków. Oto absurdalność człowieka.

W bazie jest jedyną osobą, z którą mogę pogadać, może dlatego, że obaj wywodzimy się ze świata zgiełku i rozgorączkowania. Pozostali, tkwiący w górach przez cały rok, stali się milczący jak drzewa, rzadko coś mówią. Przyrodnik po paru dniach zszedł w doliny, do domu. Gnębi mnie to, że nie umiem wciągnąć w rozmowę innych. Zapewne uważają mnie tylko za wścibskiego turystę. Dlaczego jednak wszedłem na górę? Żeby posmakować życia w takiej placówce badawczej? Co znaczy dla mnie doświadczenie tego rodzaju? Gdyby chodziło tylko o ucieczkę od nękających mnie problemów, to znalazłyby się sposoby łatwiejsze. Więc może poszukuję życia innego rodzaju? Takiego, żeby zostawić daleko za sobą ów nieznośny, niepojmowalny świat istot ludzkich. Jeżeli próbuję być samotnikiem, to dlaczego brak mi międzyludzkich powiązań? To czysta męka, nie mieć pojęcia o czyichś oczekiwaniach. Nadmiar analityczności myślenia, nadmiar logiki, nadmiar znaczeń! Życie nie kieruje się logiką, dlatego więc logiką miałyby się objaśniać jego sens? A przy okazji, czym jest logika? Myślę, że powinienem się wyzwoić z myślenia analitycznego, to ono jest przyczyną wszystkich moich niepokojów.

Pytam Dwu (który usunął mi kleszcza), czy w okolicy są jakieś inne prastare lasy.

Odpowiada, że kiedyś były tu wszędzie.

Mówię, że owszem, to jasne, chcę jednak wiedzieć, gdzie uda mi się teraz znaleźć taki las.

- Idź w takim razie do Białej Skały, wytyczyliśmy tam ścieżkę - mówi.

Pytam, czy to ścieżka, która z niższej części bazy prowadzi w dół. Nad doliną piętrzy się nagie urwisko, z dala wygląda jak biała skała oblana zielonym morzem lasów.

Kiwa głową, że tak, to ta ścieżka.

Byłem tam. Las wydaje się zupełnie nieprzystępny, a potok w dolinie przegradzają ogromne czarne pnie, których nie zdołała porwać woda.

- Tam też były wyręby - mówię.

- Tak, przed utworzeniem rezerwatu - wyjaśnia.

- Czy w tym rezerwacie w ogóle są jakieś lasy, których nie sprofanowali drwale?

- Oczywiście. Trzeba się wybrać nad rzekę Zheng.

- Mógłbym?

- Pan nie. Nawet my, z naszym wyposażeniem i zapasami, nie jesteśmy w stanie dotrzeć do centralnego obszaru, to ogromna rozpadlina, bardzo trudny teren. I zewsząd otoczony górami od pięciu do sześciu tysięcy metrów wysokości, pokrytymi wiecznym śniegiem.

- Jak mógłbym się tam dostać, żeby zobaczyć prawdziwy pierwotny las?

- Najbliżej byłoby na 11M 12M. - Mówi o mapach lotniczych, którymi się tu posługują. - Ale tam pan nie dotrze w pojedynkę.

Opowiada, że w ubiegłym roku dwaj absolwenci uniwersytetu, którzy trafili tutaj z nakazem pracy, wybrali się tam z torbą biszkoptów i kompasem przekonani, że nic im nie grozi. Nie wrócili na noc. Dopiero czwartego dnia udało się jednemu dopełznąć do szosy, tam dostrzeżono go z kolumny ciężarówek jadących do Qinghai. Ludzie z ciężarówek ruszyli w dolinę szukać tego drugiego, który tracił już przytomność z głodu. Wu przestrzega, żeby pod żadnym pozorem nie oddalać się samemu, a jeśli naprawdę chce zobaczyć tamtejsze lasy, muszą poczekać, aż ktoś wyruszy w rejon 11M 12M, żeby z radioodbiornikiem dowiedzieć się, co porabiają pandy wielkie.

Coś cię gnębi? pytasz, przekomarzając się.

Skąd ci to przyszło do głowy?

Proste, młoda kobieta przychodzi do takiego lokalu sama. A ty? Przecież też przyszedłeś sam?

Taki mam zwyczaj, lubię wędrować sam, wtedy mogę myśleć o różnych rzeczach. Lecz taka młoda kobieta...

No, no, nie tylko wam, mężczyznom, zdarza się myśleć. Nie mówię, że nie myślisz.

Prawda jest taka, że niektórzy mężczyźni wcale nie myślą! Wygląda na to, że coś cię gnębi.

Każdy może myśleć, co nie znaczy, że go akurat coś gnębi. Nie wszczynam kłótni.

Ja też nie.

Chciałem pomóc.

Poczekaj, aż będę potrzebowała pomocy.

Teraz nie potrzebujesz?

Dziękuję, nie. Po prostu mam ochotę być sama, nie chcę, żeby ktoś mnie drażnił.

Więc coś cię gnębi.

Mów, co chcesz.

Dokucza ci depresja.

Przesadzasz.

Więc przyznajesz, że coś cię gnębi.

Każdy się martwi.

Ale ty szukasz zmartwień.

Jak na to wpadłeś?

Nie trzeba do tego filozofii.

Bardzo jesteś wygadany.

Dopóki cię to nie rani.

Może nie ranić, ale nie musi się podobać.

Tak czy owak, kiedy proponujesz spacer nad rzeką, nie odmawia. Chcesz się przekonać, czy jeszcze podobasz się kobietom. Idziecie nabrzeżem, w górę rzeki. Chcesz szukać szczęścia, ona - cierpienia.

Mówi, że nie śmie spojrzeć w dół. Mówisz, wiem, że się boisz.

Czego?

Wody.

Wybucha głośnym śmiechem, lecz twoim zdaniem tylko udaje.

Przecież nie odważysz się skoczyć, mówisz, rozmyślnie podchodząc do krawędzi. Pod stromizną nabrzeża sunie wezbrana rzeka.

Co będzie, jeśli skoczę? mówi.

Rzucę się za tobą i uratuję cię. Wiesz, że uszczęśliwiasz ją tymi słowami.

Mówi, że czuje się oszołomiona, skok do rzeki powinien przyjść łatwo. Byle zamknąć oczy. Takie umieranie byłoby odurzające, właściwie bezbolesne. Mówisz, że do rzeki skoczyła podobna do niej młoda kobieta z dużego miasta. Młodsza i bardziej naiwna. Nie twierdzisz, że ona jest pokomplikowana, mówisz tylko, że dzisiaj ludzie nie są wyraźnie inteligentniejsi niż niegdyś, a przed oczami staje nam właśnie owo niegdyś. Mówisz, że była to noc bezksiężycowa, rzeka wydawała się ciemniejsza i głębsza. Żona Garbusa Wang Thua, przewoźnika, mówiła potem, że szturchnęła była Wang Toua i kazała mu nasłuchiwać grzechotu łańcucha na linie promu. Mówiła, że powinna była wstać i zobaczyć. Później usłyszała zawodzenie i pomyślała, że to wiatr. Musiało być dość głośne. Ale w głęboką noc wszyscy spali. Psy nie czekały, więc pomyślała, że to nie złodziej, który próbuje ukraść prom, i znowu zasnęła. Słyszała je jeszcze w północy, kiedy zaś obudziła się, wciąż dobiegało. Żona Garbusa Wang Toua powiedziała, że gdyby ktoś tam był, dziewczyna nie odebrałaby sobie życia. Winiła swego męża o zbyt twardy sen. Zwykle tak było: jeśli się coś przytrafiło i ktoś koniecznie chciał nocą przepłynąć rzekę, to ludzie pukali w okno i wołali. Nie mogła pojąć, dlaczego dziewczyna szarpała łańcuch, skoro chciała się zabić. Może tylko usiłowała dotrzeć promem do powiatowego miasteczka i w ten sposób wrócić do rodziców w wielkim mieście? Mogła wyjechać z miasteczka południowym autobusem. Widocznie chciała, żeby jej nie rozpoznano. Któż może wiedzieć, co myślała przed śmiercią. W każdym razie była pierwszorzędną studentką, którą z wielkiego miasta skierowano do tej wioski do pracy na

roli. Nie miała tu rodziny ani przyjaciół, zgwałcił ją miejscowy sekretarz partii. W Xiashapu, trzydzieści li z biegiem nurtu, wyłowili ją z rzeki drwale. Była naga do pasa, widocznie jakiś konar w zakolu rzeki zerwał z niej koszulę. Na skale zostały starannie ustawione sportowe półbuty. Później wyrzeźbiono tam napis „Przeprawa Yu”, pomalowano na czerwono, a na skałę wdrapują się turyści, żeby zrobić sobie zdjęcie. I pozostaje tylko napis, osoba zaś, którą spotkała śmierć tak krzywdząca, popadła w całkowite zapomnienie. Czy słuchasz? pytasz.

Mów dalej, odpowiada cicho.

Ludzie w tym miejscu zawsze umierali, ciągniesz, często dzieci i kobiety. Dzieci skakały latem ze skały i nurkowały, o tych zaś, które już się nie wynurzyły, powiadano, że próbowały umrzeć, nawoływane przez rodziców z innego życia. A tymi zmuszonymi targnąć się na własne życie były zawsze kobiety - bezbronne studentki zesłane z miasta, młode kobiety, nad którymi znęcali się mężowie i teściowe. Popelniały tu samobójstwa młodzieńki ładne dziewczęta. Zanim jeszcze nauczyciel, pan Wu, zaczął badać historię miasteczka, chłopci Przeprawę Yu nazywali Skałą Bolejącego Ducha, a dorośli zawsze się niepokoiли, ilekroć dzieci szły tam pływać. Niektórzy zapewniają, że o północy pojawia się tam duch kobiety w bieli. I śpiewa nie znaną nikomu piosenkę, podobną do śpiewu wioskowych dzieci bądź żebraczego śpiewu dziewczyny z kwietnym bębenkiem. To wszystko, rzecz jasna, przesady, ludzie często snują opowieści po to, żeby się straszyć. W rzeczywistości żyje tu ptak wodny, przez miejscowych zwany błękitną głową, przez uczonych ptakiem błękitnym, wzmianki o nim można znaleźć w poezji z czasów dynastii Tang. Wieśniacy twierdzą, że błękitne głowy mają długie falujące w powietrzu włosy. Musiałś je tutaj widzieć, nie za wielkie, o srebrzystoniebieskim korpusie i dwóch długich ciemnoniebieskich piórach na głowie. Czujne i zwinne, aż oczy się do nich śmieją. Samica szuka zawsze wytchnienia w cieniu brzegu lub w grubych bambusach przybrzeżnych i rozgląda się lekceważąco na wszystkie strony. Można zachwycać się i patrzeć na nią, ile dusza zapagnie, lecz starczy jedno poruszenie, a odlatuje. W tej wiosce błękitna głowa nie jest tym mitologicznym ptakiem, który zanosił jedzenie Królowej Matce Zachodu, jak wspomina się w *Księdze gór i mórz*, mimo to rozciąga wokół siebie magiczną aurę. Mówisz jej, że ów niebieski ptak przypomina kobietę, są bowiem także kobiety głupie, to prawda, lecz ty jej opowiadasz o kobiecej inteligencji, o kobiecej wrażliwości. Kobiety bez reszty zakochane naprawdę cierpią; mężczyźni pożądają kobiet dla przyjemności, żony potrzebne są mężom do prowadzenia domu i gotowania, rodzice zaś spodziewają się po synowej przedłużenia rodu. Żadną miarą nie chodzi tu o miłość. A potem zaczynasz mówić o Yaomei. Ona słucha w napięciu. Mówisz, że podobno Yaomei doprowadzono do samobójstwa, rzuciła się do tej rzeki. Ona kiwa głową, po dziecinnemu zasłuchana i piękna.

Mówisz, że Yaomei była zaręczona, lecz zniknęła, kiedy zjawiała się po nią teściowa. Uciekła z kochankiem, młodym wieśniakiem.

Czy to był tancerz z lampionowego smoka? pyta. Zamieszany w miasteczkową bójkę chłopak lampionowego smoka przybył z Gulaicun w dole rzeki, natomiast rodzina jej kochanka pochodziła z Wangnian, miejscowości leżącej o pięćdziesiąt li w górę rzeki. W hierarchii społecznej stał niżej, był jednak młodzieńcem pięknym. Kochanek Yaomei nie miał pieniędzy ani środków do życia, jego rodzina miała ledwie dwa mu suchej ziemi i dziewięć fenów pola ryżowego. W tej okolicy ludziom - jeśli ciężko pracują i dostaje im krzepy - głód nie zagląda w oczy. Dzieje się tak, rzecz jasna, jeśli nie nastąpią jakieś kataklizmy bądź nie nadciągną żołnierze-lupieżcy, jeśli to się bowiem przytrafi, to może zginąć osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent chłopów. Teraz wróćmy do Yaomei. Do poślubienia takiej ładnej i bystrej dziewczyny trzeba było czegoś więcej niż ów mizerny majątek kochanka. Dziewczyna pokroju Yaomei miała określoną cenę: parę srebrnych bransolet tytułem zadatku, dar zaręczynowy złożony z ośmiu pudeł ciastek oraz wiano w postaci dwóch wózków załadowanych złożonymi szafami i komodami. Osoba, która zapłaciła tę cenę, mieszkała w Shuigangu, za domem, w którym jest teraz zakład fotograficzny. Stary dom już dawno zmienił właścicieli, teraz mówimy jednak o właścicielu ówczesnym. Jego żona wciąż wydawała na świat dziewczynki, z tego powodu głowę wciąż zaprzętała mu myśl o synu. Ów bogaty człowiek postanowił wziąć sobie konkubinę. Tak się złożyło, że matka Yaomei była inteligentną wdową, dbała o przyszłość córki: lepiej, jeśli Yaomei zostanie konkubiną zamożnego mężczyzny, niż gdyby miała spędzić życie na uprawianiu pola z biedakiem. Umowę zawarto przez pośrednika. Ponieważ lektyka była niepotrzebna, a komplet strojów gotowy, ustalono dzień sprowadzenia oblubienicy, lecz w nocy dziewczyna uciekła.

Spakowała do tobołka parę szmatek, w środku nocy zapukała do okna kochanka i wywołała go z domu. Oboje płoneli, oddała mu się natychmiast. A potem, ścierając łzy z oczu, złożyli sobie nawzajem śluby i postanowili uciec w góry, żeby tam skromnie żyć w znoju. Ramię w ramię szli do przeprawy przez rzekę, gdzie wpatrzyli się we wzburzone fale. Jednak chłopak się wahał; powiedział, że musi iść do domu po siekierę i parę innych narzędzi. W domu zaś przyłapali go rodzice. Ojciec zbił niegodnego syna kijem, matce krajało się serce, ale nie mogła znieść myśli, że syn porzuca dom. Zamęt, ojcowskie bicie i matczyny szloch przeciągały się aż do świtu. Przewoźnik, który wcześniej wstał, opowiadał, że widział dziewczynę z tobołkiem. Potem napłynęła gęsta mgła, kiedy zaś tuż po świcie poranna mgła nadrzeczna jeszcze zgęstniała, nawet słońce przeistoczyło się w ciemnoczerwoną kulę, istny tłący się węglík. Przewoźnik zdwoił uwagę: gdyby prom uderzył w inną łódź, nic wielkiego by się nie stało, lecz staranowanie przez spławiane pnie oznaczałoby katastrofę. Na brzegu klębił się tłum ludzi śpieszących na owe targi, które tu odbywały się co najmniej od trzech tysięcy lat. A wśród śpieszących na pewno byli ludzie, którzy usłyszeli krzyk, nagle zdławiony przez mgłę. Potem znad wody dobiegł odgłos druzgotania. Ktoś obdarzony lepszym słuchem zapewniał, że dobiegł parokrotnie, ale wszyscy rozjazgotali się i już niczego nie można było dosłyszeć wyraźnie. To naprawdę ruchliwa przeprawa, nie na darmo wyznaczył ją tutaj Wielki Yu. Prom pełen był drewna na opał, węgla drzewnego, ziarna, batatów, grzybów, chryzantem, herbaty, jaj, ludzi i świń, pod ich ciężarem gięły się żerdzie nosideł, woda podchodziła pod krawędź burty. W nadrzecznej białej mgłę występ zwany Skalą Bolejącego Ducha wydawał się ledwie szarym cieniem. Parę kobiet zatrajkotało, że wczesnym rankiem słyszały krakanie kruka. Na niebie krążył czarny kruk i krakał, widocznie wyczuł czyjeś tchnienie śmierci. Kiedy ludzie umierają, wydają z siebie przed zgonem tchnienie śmierci. To coś w rodzaju aury nieszczęścia; nie da się jej wypatrzeć ani usłyszeć, można ją tylko wyczuć.

Czy mnie otacza aura nieszczęścia? pyta.

To tylko komplikowanie spraw, napad masochizmu. Dokuczasz jej rozmyślnie.

Nie sądzę, życie jest taką męką!

Potem znów słyszysz, jak przenikliwie krzyczy.

Wilgoć sączy się z mchu na pniach, z konarów nad głową, z włochatych porostów zwisających między sosnowymi gałęziami, nawet z powietrza. Lodowate, wielkie, jasne, przezroczyste krople wody padają mi na twarz, jedna za drugą spływają po karku. Stąпам po grubym, miękkim, puszystym mchu, zalegającym warstwami. Pasożytuje na martwych pniach wielkich, zwalonych drzew, rośnie i ginie, ginie i rośnie; nic dziwnego, że każdy krok w przemoczonych butach to chlupot. Kapelusz, włosy, impregnowana kurtka i spodnie są zupełnie przemoczone, przeпоcony podkoszulek przywiera do ciała. Jedynie w brzuchu czuję delikatne ciepło.

Przystanął tuż przede mną, lecz nie obraca się, za głową kołysze mu się trzysegmentowa metalowa antena. Przełazę przez zwał pni i podchodzę, lecz zanim zdążę nabrać tchu, znów rusza, niewysoki i chudy, zwinny jak małpa. Podchodzenie zakosami uważa za przesadę, więc nie ma rady, muszę wdrapywać się wprost pod górę. Z bazy wyszliśmy wczesnym rankiem, idziemy bez przerwy już dwie godziny, na razie nie odezwał się do mnie ani słowem. Stosuje chyba tę strategię, żeby się mnie pozbyć; pewnie myśli, że dokuczy mi w ten sposób i zawrócę. Rozpaczliwie staram się nadażyć, lecz odległość między nami wciąż wzrasta, więc co pewien czas przystaje i czeka na mnie. Poskrwiam zadyszkę, on zaś unosi antenę, nakłada słuchawki, łowi sygnały i zapisuje coś w notesie.

Na polanie umieszczono instrumenty meteorologiczne. Odczytuje dane, notuje, mówi mi, że wilgotność sięga stu procent. To pierwsze skierowane do mnie słowa, mogę je uznać za objaw życzliwości. Nieco dalej zachęca gestem i prowadzi w kępę martwych bambusów „zimna strzała”. Kryje się tam wielka zagroda z bali wyższych niż człowiek. Odryglowana brama stoi otworem. W zagrodzie zamyka się pandy ustrzelone pociskiem usypiającym, zakłada się im obrożę z nadajnikiem, potem uwalnia. Wskazuje aparat fotograficzny, wiszący mi na szyi. Podaje go, on zaś robi mi zdjęcie na tle zagrody; całe szczęście, że nie w środku.

Przez mroczne połączenie porośnięte lipami i klonami idziemy przy wtórce górskich ptaków, ukrytych w pobliskich kwitnących krzakach surmii, nie ma mowy o poczuciu samotności. Potem na wysokości dwóch tysięcy siedmiuset, może ośmiuset metrów wchodzimy w pas jałowców - tu i ówdzie pojawiają się stopniowo plamy światła, wznwyż strzelają gigantyczne czarne choiny o gałęziach jak wielkie parasole. Sięgają trzydziestu lub czterdziestu metrów, lecz jeszcze wyższe są majestatyczne szarobrunatne świerki smocze, pięćdziesięcio-, czasem sześćdziesięciometrowe, o koronach okrytych nowymi szarozielonymi igłami. Tu już nie ma poszycia, można sięgać wzrokiem dalej. Między grubymi pniami świerków i choin widać kuliste różaneczniki alpejskie, wysokie chyba na cztery metry, w całości okryte czerwonymi wilgotnymi kwiatami. Pod ich ciężarem uginają się gałęzie i - jakby niezdolne uporać się z obfitością piękna - ronią te ogromne kwiaty, cicho wystawiają na pokaz ich nieskorą do przemienienia urodę. Świetność i piękno przyrody, pełne prostoty napełniają mnie szczególnym i trudnym do opisanego smutkiem. To smutek całkowicie mój, żadną miarą nie tkwiący w przyrodzie.

Wyżej i niżej leżą ogromne martwe drzewa powalone przez żywioł. Mijanie tych piętrzących się, kalekich szczątków zmusza mnie do wewnętrznego wyciszenia; mimo że dręczy mnie żądza wysławiania się, w obliczu tej porażającej świetności brakuje mi słów.

Odzywa się niewidoczna kukułka; kukanie dobiega wpraw z góry, potem z dołu, wpraw z lewej, potem z prawej. Ptak jakoś mnie okrąża, jakby próbuje zdezorientować; wydaje się, że woła: Poczekaj na mnie, bracie! Poczekaj na mnie, bracie! To przywodzi mi na myśl historię dwóch braci, którzy poszli do lasu siał ziarna sezamowe. W tej historii macocha chciała się pozbyć pasierba, tymczasem los pokarał jej własne dziecko. Myślę też o dwóch absolwentach uniwersytetu, którzy tu zaginęli. Czuję uścisk niepokoju.

Nagle zatrzymuje się, daje mi znak ręką; podbiegam do niego. Mocno pociąga mnie w dół, przykucnięty przy nim patrzę w napięciu: w prześwicie między drzewami widzę dwa duże szarobiałe, dropiate, czerwonołape ptaki biegnące po zboczu. Jeden ostrożny mój ruch sprawia, że wszechobecną ciszę zakłóca rwetes w powietrzu.

- Bażanty śnieżne - mówi.

W mgnieniu oka powietrze na nowo zastyga, jakby tu nigdy nie było żadnych bażantów śnieżnych, szarobiałych, czerwonołapych, dropiatych, chyżych: jakbym doznał halucynacji, bo teraz przed oczami mam tylko drzewa, ogromne i nieruchome. Moje przejście przez ten las w tej chwili, ba, całe moje istnienie jest czymś przelotnym, wręcz nieistotnym.

Stał się bardziej przyjazny, już nie zostawia mnie daleko za sobą, trochę podchodzi, zatrzymuje się, czeka, aż nadrobię zaległości. Zmniejsza się między nami dystans, lecz wciąż nie rozmawiamy. Przystaje, żeby spojrzeć na zegarek, potem obraca się i przygląda coraz większym plamom słońca. Węszy, wspina się na zbocze, wyciąga rękę i pomaga podejść.

Kiedy wdrapujemy się wreszcie na pofalowany płaskowyż, dyszę i sapię. Przed nami monotonia lasu samej jodły.

- Już przekroczyliśmy trzy tysiące metrów, prawda? - pytam.

Potwierdza skinieniem głowy, potem podbiega do drzewa na wyższej części płaskowyżu, odwraca się, nakłada słuchawki, podnosi antenę i kręci nią na wszystkie strony. Ja też rozglądam się i widzę, że tutaj pnie drzew mają tę samą średnicę, dzieli je taka sama odległość, są równie proste, o podobnym wysięgu konarów, piękne okazy, jedno w drugie. Tu nie ma połamanych pni, umarłe drzewa padają w całości, tu nic nie uszło rygorom doboru naturalnego.

Nie ma porostów na sosnach, kęp „zimnej strzały”, zarośli. Odstępy między drzewami są spore, poszerza się pole widzenia. W oddali widać krzew białego różanecznika, olśniewa mnie jego dostojne piękno, eteryczna czystość i świeżość. Kiedy podchodzę, wydaje się jeszcze wyższy, okryty pękami kwiatów o płatkach większych i grubszych niż te, które widziałem wcześniej na krzewach czerwonych różaneczników. Bajeczne białe kwiaty leżą pod krzewem, porozrzucane; jeszcze nie zaczęły usychać, wciąż nasycone życiem, wręcz promieniują z nich żądza wystawienia się na pokaz. Oto nieskazitelne piękno przyrody. Żywiołowe, nie pragnące nagrody, nie podporządkowane celowi, piękno osiągnięte nie przez symbol czy metaforę, obywające się bez analogii czy kojarzeń. Ten biały różanecznik o nefrytowym połysku, czysty jak śnieg, pojawia się wciąż, raz po raz, lecz zawsze jako samotny krzew, pokazuje się i znika, to tu, to tam, wśród smukłych chłodnych jodeł, jak ta niezmordowana, gdzieś ukryta kukulka, zniewalająca dusze, wciąż wiodąca je ku sobie. Głęboko zaciągam się czystym leśnym powietrzem, bez wysiłku wdycham je i wydycham, czuję, że oczyszczenie sięga aż głębi duszy. Powietrze wnika wręcz w stopy, w podeszwy, wydaje mi się, że moje ciało i umysł jednoczą się z wielkim cyklem przyrody. Osiągam poczucie radosnej wolności, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem.

Napływa błędząca mgła, rozciąga się przede mną, zaledwie o metr nad ziemią. Zawracam i zagarniam ją w dłonie, przypomina dym z paleniska. Zaczynam biec, lecz nie nadażam. Ściele się obok, w zasięgu wzroku wszystko rozmywa się, mętnieje. Nagle znika, za to wyraźnie widzę jej gęste kłęby nadciągające z tyłu jak zwał toczących się kul. Cofam się przed nią, nie dostrzegając, że w ten sposób krążę wraz z mgłą; w końcu na zboczu udaje mi się umknąć przed nią. Obracam się i nagle widzę, że to skraj głębokiej przepaści.

Na wprost wznosi się pasmo wspaniałych gór koloru indygo, szczyty w białych obłokach, spowite grubymi warstwami skłębionych chmur. Rozwiewa się kilka pasm chmury zasnuwającej jak dym głębinę wąwozu. Biała linia w dole to z pewnością bystrza rzeki płynącej środkiem w ciemnym lesie. To nie ta rzeka, którą parę dni temu przekraczałem w drodze na górę, nad tamtą leżała wioska ogrodzona palisadą obok połaci uprawnej ziemi, a z piętrzącej się nad nią góry rozpościerał się wspaniały widok na most zawieszony na linach między dwoma urwiskami. A ten posępny wąwóz to tylko mroczny las i poszarpane skały, bez żadnego związku ze światem ludzi. Patrzenie w głąb przyprawia mnie o dreszcz w krzyżach.

Wychodzi słońce i nagle oświetla przeciwległe pasmo. Powietrze jest tak oczyszczone, że sosnowe lasy poniżej pokładów chmur zielenią się cudownie w mgnieniu oka, co wprawia mnie w ekstatyczne podniecenie. To tak, jakby z głębi mej własnej duszy dobiegała jakaś pieśń, a nagłym zmianom oświetlenia towarzyszyły nagle zmiany barw. Biegam, skaczę przez zagłębienia, zwalone pnie, chcę sfotografować te przeistoczenia chmur.

Szare i białe pasma mgły znowu skradają się za mną, nie przejmują się rowami ani zwalonymi pniami. Nie zdołam przed nią ująć i oto mgła nieśpiesznie dogania mnie, ogarnia, wchłania; znikają widoki, wszystko staje się rozmazaną plamą. W pamięci wciąż jednak wyświetlają się strzępy widoków, na które właśnie patrzyłem. W tych opalach nagle na głowę pada mi promień słońca i oświetla mech pod stopami. Dopiero wtedy dostrzegam, po czym stąpam, to jeszcze jeden dziwny świat roślinny. Ma swoje łańcuchy górskie, lasy, niskie zarośla, wszystko to iskrzy się, jarzy, cudownie zieleni. Przykucam, tymczasem ona wraca, ta wszechogarniająca, wszechzasnuwająca mgła; wszystko zamienia się nagle, jak za sprawą czarów, w jedną wielką rozmytą szarość.

Wstaję i nie wiem, co począć; po prostu czekam. Krzyczę, ale nie słysząc odzewu. Znów krzyczę, lecz zdaję sobie sprawę, że stłumiony i drżący głos momentalnie cichnie, nie budzi echa. Natychmiast ogarnia mnie strach. Rośnie, wspina się po mnie od stóp, mrozi krew. Znów krzyczę i znów nie słyszę odzewu. Są wokół mnie tylko czarne sylwety jodeł, wciąż takie same, nad wciąż takim samym zboczem, takimi samymi rozpadlinami. Biegnę, krzyczę, rzucam się w jedną stronę, w drugą, popadam w obłąd. Muszę się natychmiast uspokoić, wrócić do punktu wyjścia, ustalić własną pozycję. Lecz ze wszystkich stron wznoszą się nade mną szaroczarne drzewa, nie mogę nic rozróżnić, już to wszystko widziałem, chociaż wydaje mi się, że jednak nie. Czuję pulsowanie żył na czole. Przyroda zabawia się mną, rzecz jasna, zabawia się tą niedowierzającą istotą, wyzbytą bojaźni, wyniosłą a podrzędną.

Hej-hallo-hej, krzyczę. Człowieka, który zabrał mnie w góry, nie zapytałem o nazwisko, mogę więc krzyczeć tylko w ten sposób, histerycznie, jak dzikie zwierzę, a brzmienie własnego krzyku jeży mi włosy na głowie. Myślałem dotąd, że po górskich lasach niesie się echo, lecz nawet najżałośniejsze echo, najbardziej osamotnione nie trwoży tak, jak brak echa. Tutaj echo wchłaniają gęste mgły i przesycone wilgocią powietrze. Gdy uświadamiam sobie, że moje krzyki chyba niedaleko dobiegają, ogarnia mnie czarna rozpacz.

Na tle nieba majaczy szara sylweta dziwnie ukształtowanego drzewa. Pochyły pień dzieli się na dwie części, obie mają podobne obwody i obie rosną wprost w górę, już bez rozwidleń. Drzewo jest bezlistne, nagie, martwe, przypomina jakiś gigantyczny rybacki oścień wymierzony w niebo. Jest dzięki temu jedyne w swoim rodzaju. Skoro trafiłem tutaj, zapewne znalazłem się na skraju lasu, wobec tego poniżej rozwiera się głębia, ów mroczny wąwóz spowity teraz gęstą mgłą, słowem, to droga wprost ku śmierci. Nie mogę jednak odejść od tego drzewa, bo jest jedynym znakiem rozpoznawczym. Przeczesałem pamięć i szukam widoków towarzyszących mi w drodze. Muszę wprawdzie znaleźć obrazy rozpoznawalne, jak ten, nie szukać w strumieniu obrazów zmiennych. Wydaje mi się, że jakieś sobie przypominam, chcę je uszeregować tak, żeby posłużyły za punkty orientacyjne pozwalające powrócić. Lecz to, co sobie przypominam, na nic się nie zda, jak widok koszulek przetasowanych kart; im bardziej staram się to poukładać w jakimś porządku, tym bardziej się gmatwa. Jestem zupełnie wyczerpany i siadam na mokrym mchu: nie stać mnie na nic więcej.

Tak oto straciłem przewodnika i zgubiłem się na wysokości trzech tysięcy metrów w starodrzewiu z arkusza 12M lotniczej mapy terenu. Nie mam ze sobą tej mapy, nie mam też kompasu. W kieszeniach spodni mam tylko garstkę cukierków, parę dni temu podarowanych przez starego przyrodnika, który tymczasem zszedł już w dolinę. Podzielił się ze mną doświadczeniem - kiedy ruszasz w góry, najlepiej weź ze sobą trochę słodyczy, przydadzą się, gdybyś się zgubił. Liczę cukierki w kieszeni: siedem. Mogę tylko czekać, aż trafi tu mój przewodnik i znajdzie mnie.

Zasłyszane w ciągu paru ostatnich dni historii o ludziach umierających w górach przeistaczają się teraz w ogarniające mnie napady przerażenia. Jestem jak ryba zaplątana w sieć trwogi, nadziana na gigantyczny oścień. Próżno walczyć z ościeniem: trzeba cudu, żeby odmienił się mój los. Czyż jednak nie czekam przez całe życie na taki czy inny cud?

Mówi, później mówi, że naprawdę chce umrzeć, byłoby to takie łatwe. Staje na wysokim nabrzeżu, zamyka oczy i po prostu skacze! Gdyby jednak spadła na stopnie nabrzeża, byłoby to coś obrzydliwego, nie śmie wyobrazić sobie takiego umierania, z mózgiem, który zbryzgał wszystko dokoła, coś okropnego, koszmar. Jej śmierć musi być piękna, żeby ludzie jej żalowali, żeby współczuli, żeby po niej płakali.

Mówi, że mogłaby iść nabrzeżem w górę rzeki, znaleźć piaszczystą zatokę i z podstawy nabrzeża po prostu wkroczyć do wody. Oczywiście, niezauważona, nikt by nic nie wiedział, w ciemną toń weszłyby nocą. Nie zdejmowałaby butów, nie chce po sobie nic zostawić. Po prostu wchodziłaby w butach krok za krokiem prosto do wody. Starczyłoby, że woda sięgnęłaby do pasa, nawet nie do piersi, jeszcze nie utrudniłaby oddechu, a wessałby ją rwący nurt, ona zaś nie byłaby już w stanie się wynurzyć. Byłaby bezsilna i gdyby nawet walczyła, instynkt życia na nic by się nie zdał. Może przez chwilę smagałaby wodę rękami i nogami, ale byłoby po wszystkim, zanim poczułaby ból. Nie krzyczałaby. Po co na próżno krzyczeć; zresztą zakrztusiłaby się natychmiast, w każdym razie nikt by jej nie usłyszał, nie mówiąc o uratowaniu. Tym samym zostałyby całkowicie wymazane jej zbyteczne życie. Nie ma wyboru, skoro nie potrafi wyzbyć się cierpienia, niech się z nimi upora śmierć. Ów czyn mógłby wiele rozwiązać. Byłby przejrzysty; byłaby to śmierć z godnością, jeśli w ten sposób rzeczywiście zdoła godnie umrzeć. Po śmierci, kiedy jej wzdęte ciało wyrzucone na jakąś piaszczystą łachę zacznie rozkładać się na słońcu, obsiadą je roje much. Znowu ją mdli. Nic tak nie mdli jak śmierć. Nie może się pozbyć mdłości.

Mówi, że nikt jej nie zna, nikt nie zna jej nazwiska, nawet to zapisane w księżce w recepcji jest fałszywe. Mówi, że nikt z jej rodziny nie zdoła jej wytropić, nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogłaby się znaleźć w takim górskim miasteczku. Jednak może sobie wyobrazić, jak by to było z jej rodzicami. Do szpitala, w którym pracuje, zadzwoniłaby jej macocha, mówiłaby zduszonym głosem, jak zagrypiona, jakby nawet tłumiała płacz. Oczywiście zrobiłaby to tylko na skutek błagań ojca. Macocha nie zapłakałaby naprawdę, gdyby ona umarła; ona wie o tym. Dla rodziny jest tylko ciężarem, macocha ma swego syna, to już młodzieniec. Jeśli ona nocuje w domu, młodszy brat musi na korytarzu rozstawiać polowe łóżko. Upatrzili sobie jej pokój i nie mogą się doczekać wydania jej za męża. Po prawdzie nie lubi mieszkać w szpitalu, bo sypialnie pielęgniarek dyżurujących nocą zawsze śmierdzą środkami dezynfekcyjnymi. Przez cały dzień białe prześcieradła, białe fartuchy, białe moskitiery, białe maski; twoje są tylko oczy patrzące spod brwi. Alkohol, szcypce, peśeta, brzęk nożyc i skalpeli, wciąż myte ręce, ramiona przecierane płynem dezynfekcyjnym aż do odbarwienia skóry; wpierv niknie połysk, później blaknie krew. Skóra na rękach ludzi pracujących przez cały rok w bloku operacyjnym jest woskowo biała. Pewnego dnia będzie leżała na brzegu rzeki z bez-krwistymi rękami, po których łożą muchy. Znowu ją mdli. Nienawidzi swej pracy i rodziny, nie wyłączając ojca. Przy różnicy zdań starczy, że macocha podniesie głos, a ojciec już w ogóle nie ma zdania. Czemu nie zamkniesz dzioba? Nawet jeżeli jest przeciw, ani piśnie. To mi powiedz, co zrobiłeś ze swoimi pieniędzmi? Szybko się starzejesz, więc jak mogę pozwolić, żebyś miał w ręce jakieś pieniądze? Jedno jedyne zdanie owocuje dziesięcioma mojej macochy, a ona zawsze jest taka głośna. Więc ojciec nic nie mówi. Kiedyś ojciec zaczął dotykać ją i macać pod stołem. Macocha z młodszym bratem wyszli, oni zaś byli tylko we dwoje; musiał za wiele wypić. Wybaczyła mu. Nie może mu jednak wybaczyć, że jest taki beznadziejny, nienawidzi go, bo jest taki słaby. Brak jej ojca, którego może szanować, ojca męskiego, na którego może liczyć, z którego może być dumna. Dawno temu chciała rzucić ten dom i mieć własny, niewielki, ale to takie obrzydliwe. Z kieszeni spodni wyciąga prezerwatywę. Dla niego brała regularnie pigułkę, nie musiał się nigdy martwić. Trudno to uznać za miłość od pierwszego wejrzenia, był jednak pierwszym mężczyzną na tyle śmiałym, żeby zabiegać o jej uczucie. Całował ją, ona zaś zaczęła o nim myśleć. Znowu spotkali się przypadkiem i umówili na randkę. On jej pragnął, ona mu się oddała, bez tchu, odurzona. Otumanilo ją, waliło jej serce, boi się, że jednak tego chciała. Wszystko to było takie naturalne, dobre, piękne, nieśmiałe i czyste. Mówi, że wiedziała, że chce się z nim kochać, wiedziała też, że on ją kocha. Później została jego żoną. A jeszcze później matką, mamusią. Ale zemdlilo ją. Mówi, że nie z powodu ciąży. Kochali się, a potem wyczuła to coś w tylnej kieszeni jego spodni. Nie chciał, żeby wyciągnęła, lecz wyciągnęła. I zwymiotowała. Tego dnia po pracy nie wróciła do szpitalnej sypialni, nic nie zjadła, lecz popędziła do jego mieszkania. Nawet nie pozwolił jej zaczerpnąć tchu, już od progu zaczął ją

całować i natychmiast się z nią kochał. Powiedział, że trzeba się cieszyć młodością, trzeba się cieszyć miłością, trzeba w pełni się cieszyć. W jego ramionach przyznała mu rację. Nie powinni mieć dzieci natychmiast, bo przez parę lat powinni cieszyć się sobą, wolni od trosk powinni trochę zarobić i podróżować. Nie powinni jeszcze zakładać domu, wystarczy im jego pokój, nic więcej. Póki będzie należała do niego, będą niepoohamowani, szaleni, na zawsze, na zawsze... zanim to doceniła, zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła pohamować mdłości i wymiotowała, w końcu już tylko gorzką żółcią. Potem płakała, popadła w histerię i przekleła mężczyzn! Lecz kocha go, to znaczy niegdyś kochała, lecz to już przeszłość. Kochała zapach jego przepoconych podkoszulków, mogła ów zapach wyczuć nawet po praniu. Lecz nie był wart miłości, mógł przy okazji robić to z pierwszą lepszą, mężczyźni są tacy wstrętnei! Życie, które rozpoczęła, zostało zbrukane. Jak te prześcieradła w jej hoteliku, śpią na nich najrozmaitsi, tych prześcieradeł się nie zmienia, nie pierze i śmierdzą męskim potem. Nigdy nie powinna była się znaleźć w takim miejscu!

Więc dokąd pójdziesz? pytasz.

Mówi, że nie wie, sama nie może zrozumieć, jak to się stało, że trafiła tu sama. Potem mówi, że chciała znaleźć miejsce, gdzie nikt jej nie zna, mogłaby więc iść tak w górę rzeki nabrzeżem, o niczym nie myśleć, po prostu iść, aż padnie trupem z wyczerpania...

Mówisz, że jest zepsutym dzieckiem.

Nie jestem! Mówi, że nikt jej nie rozumie i że to dotyczy też ciebie.

Pytasz, czy zechce wyruszyć z tobą za rzekę. Tam dalej, na drugim brzegu wznosi się Lingshan, gdzie można zobaczyć rzeczy nadzwyczajne, gdzie zapomniane zostają cierpienia i ból, gdzie można odnaleźć wolność. Wychodzisz z siebie, żeby ją znęcić.

Mówi, że powiedziała rodzinie, że szpital zorganizował wycieczkę, w szpitalu zaś powiedziała, że zachorował jej ojciec i musi go doglądać; ma zatem parę dni wolnego.

Mówisz, że jest naprawdę sprytna.

Mówi, że głupia nie jest.

Przed tą długą podróżą, a po tym, jak lekarz wykrył u mnie raka płuc, potrafiłem się zdobyć tylko na jedno, na codzienne wyjście do przedmiejskiego parku. Ludzie twierdzili, że tylko w parkach powietrze jest nieco lepsze niż w zatrutym śródmieściu, w parkach przedmiejskich, rzecz jasna, jest jeszcze lepsze. Wzgórze za murami miasta służyło niegdyś za cmentarz i krematorium, dopiero w ostatnich latach przeobrażono je w park. Lecz nowa dzielnica mieszkalna sięgnęła dawnego cmentarza pod wzgórzem, gdyby zaś w porę nie wzniesiono ogrodzenia, żywi zaczęliby budować domy na samym wzgórzu, aż tam rozciągając swe włości.

Na szczycie rozciągał się opustoszały pas zarzucony kamiennymi płytami, pozostawionymi przez kamieniarzy. Co rano schodzili tu zewsząd starsi ludzie, żeby ćwiczyć taijiaquan lub pospacerować na świeżym powietrzu z ulubionym ptakiem w klatce. Koło dziewiątej jednak, kiedy słońce się wzniosło, zabierali klatki i szli do domu. Mogłem teraz korzystać z samotności, ciszy, spokoju, mogłem wyciągnąć z kieszeni *Księgę przemian*. Po chwili lektury ciepłe jesienne słońce przyprawiało mnie o senność, wtedy wyciągałem się na kamiennej płycie z książką w roli poduszki i zaczynałem w myślach recytować przeczytany właśnie heksagram. W słonecznym blasku przepływało mi w czerwieniach pod powiekami jasnoniebieskie wyobrażenie heksagramu.

Właściwie nie chciałem wdawać się w żadne czytanie, co z tego, że przeczytam jedną książkę więcej czy mniej, co za różnica, czy w ogóle czytam czy nie, tak czy owak czekam już tylko na kremację. Czysty przypadek, że właśnie czytałem *Księgę przemian*. Przyjaciel z dzieciństwa, który dowiedział się o mojej chorobie, przyszedł w odwiedziny i spytał, co może dla mnie zrobić. Potem poruszył temat aigongu. Słyszał o ludziach, którzy poprzez aigong leczą raka, powiedział też, że zna kogoś, kto praktykuje pewną formę aigongu powiązaną z Ośmioma Trygramami, i nalegał, żebym się tym zainteresował. Zrozumiałem, do czego zmierza. Powinienem się zdobyć na jakiś wysiłek nawet w tym stanie. Spytałem więc, czy mógłby mi wyszukać jakiś egzemplarz *Księgi przemian*, bo nigdy jej nie czytałem. W dwa dni później zjawił się z egzemplarzem *Księgi przemian z komentarzem*. Głęboko poruszony wzięłem książkę, w rozmowie zaś przeszedłem do czasów dzieciństwa, myślałem wtedy, że zabrał organki, które kupiłem, oskarżyłem go niesłusznie o ich zabranie, a potem je znalazłem. Zapytałem, czy jeszcze pamięta. Na jego okrągłej, pulchnej twarzy pojawił się uśmiech. Było mu nieswojo, powiedział, że nie ma sensu do tego wracać. To on był zażenowany, nie ja. Najwyraźniej pamiętał, chociaż był dla mnie taki miły. I pojąłem wówczas, że dopuszczałem się występków, których ludzie nie mają mi za złe. Czy to skrucha? Czy stan psychiczny człowieka w obliczu nieuchronnej śmierci?

Nie wiedziałem, czy w ciągu mego życia mocniej skrzywdzili mnie inni niż ja ich, czy odwrotnie. Jednak wiedziałem, że byli tacy ludzie, jak moja zmarła matka, którzy naprawdę mnie kochali, i tacy, jak moja była żona, którzy naprawdę mnie nienawidzili, ale czy w ciągu niewielu dni, jakie mi pozostały, muszę akurat porządkować rachunki? Dla tych, których ja skrzywdziłem, moja śmierć może stanowić jakieś powetowanie, tym zaś, którzy mnie skrzywdzili, nic już nie mogę zrobić. Życie zapewne jest trwałym splotem miłości i nienawiści. Czy tkwi w nim coś jeszcze? Wszak nie czas kończyć z nim tak śpiesznie. Wiedziałem, że nie żyłem, jak należy. Gdyby dane mi było inne życie, na pewno przeżyłbym je inaczej, na to trzeba by jednak cudu.

Nie wierzyłem w cuda, podobnie jak w przeznaczenie, lecz na cóż może liczyć człowiek zrozpaczony? Tylko na cud.

W piętnaście dni później zjawiłem się w szpitalu, żeby zrobić zdjęcie rentgenowskie. Mój młodszy brat był pełen obaw i uparł się wbrew mnie, że wybierze się ze mną. Nie lubię ujawniać uczuć bliskim. Gdybym był sam, łatwiej przyszłoby mi panować nad sobą, nie mogłem go jednak przekonać i ruszył ze mną. W szpitalu pracował kolega z liceum i zabrał mnie wprost do ordynatora oddziału radiologii.

Ordynator, jak zwykle z okularami na nosie, siedział w obrotowym fotelu. W historii choroby przeczytał diagnozę, uważnie przestudiował dwa zdjęcia klatki piersiowej i powiedział, że należy zrobić prześwietlenie boczne. Od ręki wypisał skierowanie do innego radiologa i powiedział, że mam dostarczyć zdjęcie zaraz po wywołaniu, jeszcze mokre.

Jesienne słońce było samą wspaniałością. Wewnątrz panował chłód, siedzenie zaś tutaj i patrzenie przez okno na lśniąca w słońcu trawę wydawało mi się jeszcze cudowniejsze. Nigdy dotąd nie patrzyłem na słońce w ten sposób. Po zrobieniu bocznych zdjęć klatki

piersiowej siedziałem tu i patrzyłem na słońce na dworze, czekając, aż w ciemni wywołają kliszę. To, co na dworze, w słońcu, było teraz zbyt ode mnie odległe, powinienem raczej myśleć o tym, co się rozgrywa tu i teraz. Ale czy muszę akurat wiele o tym myśleć? Moja sytuacja przypominała tę, w której zabójcy przedstawiono niezbite dowody, i teraz czeka on, aż sędzia wyda wyrok śmierci. Mogłem jedynie liczyć na cud. Przecież dwa zdjęcia, wykonane oddzielnie w dwóch różnych szpitalach, stanowią chyba wystarczający dowód, żeby skazać mnie na śmierć? Nie wiem, kiedy się to stało, nie byłem nawet tego świadomy, stało się to zapewne w chwili, w której patrzyłem przez okno na rozświetloną trawę; oto usłyszałem, że śpiewnie a bezgłośnie recytuje: Namo Emitufo, Buddo; że robię to już od pewnego czasu. Chyba modliłem się od chwili, w której ubrałem się i wyszedłem z izby kaźni, z sali rentgenowskiej z urządzeniem do podnoszenia i opuszczania ułożonych na nim pacjentów.

W przeszłości na pewno uznałbym za niedorzeczną myśl, że pewnego dnia będę się modlił. Kiedyś z politowaniem patrzyłem na starych ludzi palących w świątyni kadzidło, klękających do modlitw i recytujących cicho Namo Emitufo. Moja litość nie miała nic wspólnego ze współczuciem. Gdybym swoją reakcję miał zwerbalizować, pewnie by to zabrzmiało: Ach! Żałośni biedacy, starzy; jeśli w ich życiu nie spełniły się ich mało ważne pragnienia, modlą się, żeby spełniły się przynajmniej w ich sercach. Uważałem jednak za śmieszne, kiedy modli się zdrowy i silny młody człowiek czy ładna młoda kobieta, zawsze chciało mi się śmiać, naprawdę złośliwie, ilekroć słyszałem zaśpiew młodych wyznawców recytujących Namo Emitufo. Nie pojmowałem, jak ludzie mogą w najlepszych swych latach oddawać się takiej głupocie, tymczasem sam modliłem się teraz, żarliwie, z głębi serca. Los jest nieubłagany, a ludzkie istoty jakże kruche i słabe. W obliczu nieszczęścia człowiek jest niczym.

Czekając na ogłoszenie wyroku śmierci, trwałem w tym niebycie, spoglądałem na jesienne słońce za oknem i raz po raz bezgłośnie recytowałem Namo Emitufo.

Szkolny kolega, który już nie mógł dłużej czekać, zastukał i wszedł do ciemni. Za nim mój brat, lecz wyproszono go, musiał więc stanąć przy oknie naprzeciw wyjścia z rentgena. Wkrótce wyszedł też kolega i także zaczął tam czekać. Zainteresowanie przeniesiono ze skazańca na uzasadnienie wyroku. Niestosowna metafora. Jak przechodzień, który z tym nie ma nic wspólnego, przyglądałem się, jak wchodzi do ciemni i z niej wychodzą, a serce napępniało mi bezgłośnie powtarzanie raz za razem Namo Emitufo. A potem usłyszałem nagle, jak wykrzykują zaskoczeni:

-Co?

-Nic?

- Sprawdź!

- To jedyne boczne prześwietlenie z popołudnia. - Odpowiedź z ciemni brzmiała nieprzyjaźnie.

Obaj wpięli zdjęcie w ramkę, unieśli ją i zaczęli się wpatrywać. Z ciemni wyszedł też technik, rzucił w przelocie jakąś uwagę, a potem już nie zwracał na nich uwagi.

Budda rzekł, raduj się. To „Budda rzekł, raduj się” wpierw zastąpiło Namo Emitufo, a potem stało się zwykłym już wyrazem czystej radości i uniesienia. Taka była moja początkowa reakcja psychiczna, kiedy uwolniłem się od rozpacz: naprawdę mam szczęście. Pobłogosławił mnie Budda, wydarzył się cud. Lecz radość zachowałem w ukryciu, nie odważyłem się na nic pochopnego.

Wciąż niespokojny, zabrałem mokre zdjęcie i zaniósłem do oceny ordynatorowi w okularach.

Przyjrzał się zdjęciu, potem z rozmachem uniósł ręce w teatralnym geście.

- Cudowne, prawda?

- Czy nadal muszę to sobie robić? - zapytałem o zdjęcie rentgenowskie.

- Co robić? - fuknął na mnie; ratował ludziom życie, stąd bierze się ów rodzaj władczości.

Potem kazał mi stanąć przed aparatem rentgenowskim z ekranem projekcyjnym, nabrać głęboko powietrza, wypuścić, obrócić się w lewo, w prawo.

-Może pan sam zobaczyć - powiedział, wskazując na ekran. - Niech pan spojrzy, śmiało.

Prawdę mówiąc, niewiele dostrzegłem, mój mózg przypominał papkowatą bułę, na ekranie widziałem tylko niewyraźny zarys klatki piersiowej.

- Mamy tu coś czy nie? - warknął, jakbym rozmyślnie przysparzał mu utrapień.

- W takim razie jak wytłumaczyć tamte prześwietlenia? - od tego pytania nie mogłem się powstrzymać.

- Skoro nic nie ma, to nie ma; zniknęło. A jak to wytłumaczyć? Cień może być sprawka przebiegnięcia czy zapalenia płuc, kiedy zaś człowiek wydobrzeje, cień znika.

Nie zapytałem o stan ducha pacjenta. Czy ów stan też może rzucać cienie?

- Idź, młody człowieku, i żyj godziwie. - Zakręcił fotelem i odprawił mnie.

Miał rację, zostałem wskrzeszony; byłem młodszy od noworodka.

Mój brat już pomknął na rowerze, musiał się stawić na zebranie.

Blask słońca znów należał do mnie, znów mogłem się nim zachwycać. Usiedliśmy ze szkolnym kolegą na krzesłach na trawniku i zaczęliśmy rozprawiać o przeznaczeniu.

- Przeznaczenie to dziwna rzecz - powiedział - zjawisko czysto losowe. Można określić możliwy układ chromosomów, ale czy można go określić, zanim w konkretnym przypadku zagnieździ się w macicy? - Nie zamykały mu się usta. Studiował inżynierię genetyczną, lecz wyniki doświadczeń, które opisał w pracy magisterskiej, różniły się od ustaleń promotora, zarazem dziekana. Kiedy zaprosił na dyskusję wydziałowego sekretarza partii, doszło do sporu, a po uzyskaniu dyplomu wysłano go na farmę na płaskowyżu Daxing'anling w Mongolii Wewnętrznej, gdzie miał się zająć hodowlą jeleni.

Po wielu perypetiach udało mu się później trafić na listę pedagogów nowo powołanego uniwersytetu w Tangshan. Jednakże, jak można było przewidzieć, został napiętnowany jako wojujący reakcjonista, reprezentant czarnych kontrrewolucyjnych żywiołów i wobec tego poddany publicznej krytyce. Cierpiał przez dziesięć lat, zanim wydano orzeczenie o „bezpodstawności zarzutu”.

Przeniesiono go z Tianjinu na dziesięć dni przed wielkim trzęsieniem ziemi z 1976 roku. Ci, którzy sfabrykowali sprawę przeciw niemu, zginęli w budynku, który runął w środku nocy; z życiem nie uszedł nikt.

- W obrębie mrocznego chaosu istnieje, rzecz jasna, przeznaczenie! - powiedział.

Dla mnie wszakże przedmiot rozważań przedstawiał się tak: Jak powinienem zmienić to życie, skoro uzyskałem właśnie ułaskawienie?

Przed sobą masz wioskę. Brzeg rzeki, pod tarasowymi polami u stóp góry, usiany jest jednakową czernią cegieł i dachówek. Brzegi strumienia przecinającego drogę do wioski spina długa płaska płyta skalna. I znowu widzisz prowadzącą w głąb wioski czarną brukowaną ulicę z głęboką koleiną na pojedyncze koło. I znowu słyszysz tupot bosych stóp na kamieniach; do wsi wiodą cię ślady mokrych stóp. I znowu trafiasz na zachlapaną błotem brukowaną dróżkę, podobną do tej z dzieciństwa. Przez szczeliny między kamieniami widzisz potoczek pluszczący pod ulicą. Przed bramami obejść zdjęto płyty chodnikowe, dzięki czemu można użyć tej wody do prania i szorowania; wśród lśniących zmarszczek unoszą się skrawki zielonych jarzyn. Zza bram dobiega wrzawa kurczaków, dziobiących, podfruwających, awanturujących się na podwórku o karmę. W uliczce nikogo nie widać, nie ma dzieci ani psów. Panuje dziwny spokój.

Słoneczne światło znad wierzchołków domów pada na bielony mur przeciwpożarowy i napełnia blaskiem uliczkę, mimo to nie ustąpił z niej chłód. W nadprożu połyskuje lustro z wytrawionymi na obrzeżu Ośmioma Trygramami. Kiedy podejdziesz i staniesz przed drzwiami pod okapem, dostrzeżesz, że zwierciadło zwrócone jest ku wywiniętemu dachowi przeciwpożarowego muru z naprzeciwka: ma odbijać promieniujące znad muru złe siły. Jeżeli ustawisz się, żeby zrobić zdjęcie, kontrast kolorów - złocistości słońca na murze, szaroniebieskich cieni w uliczce i czerni bruku - raduje i koi, a popękane dachówki na wywiniętym dachu i pęknięcia ceglanego

muru rodzą nostalgiczny klimat. Jeśli ustawisz się inaczej, możesz sfotografować drzwi, nad nimi lustro z Ośmioma Trygramami i kamienny próg, aż do lśnienia wytarty przez pupy wysiadających na nim dzieciaków; wszystko nacechowane autentyzmem, w którym nie dostrzeżesz ani śladu wrogości, od pokoleń dzielącej rodziny z dwóch domów.

Opowiadasz historie barbarzyńskie i przerażające, nie chcę tego słuchać, mówi.

To o czym byś chciała usłyszeć?

Mów o miłych ludziach i miłych zdarzeniach.

Może o *zhuhuapo*?

Nie chcę słuchać o szamankach.

Zhuhuapo to nie szamanki; szamankami są paskudne stare baby. *Zhuhuapo* to zawsze piękne młode kobiety.

Jak żona rozbójnika Drugiego Wuja. Nie chcę słuchać takich okrutnych historii.

Zhuhuapo jest ujmująca i dobra.

Po omszałych kamieniach idzie w skórzanych pantoflach, mówisz, że w ten sposób daleko nie zawędruje, więc przyjmuje podaną rękę. Ostrzegłeś ją, mimo to poślizgnęła się. Łapiesz ją, potem przyciągasz i obejmujesz, mówisz, że nie-rozmyślnie. Mówi, że jesteś zły, i marszczy brwi, ale w kącikach zaciśniętych warg widać ślad uśmiechu. Nie umiesz się powstrzymać i całujesz ją, zaskakuje cię czułość jej rozluźnionych teraz warg. Cieszy jej ciepło i kruchość, mówisz, że to się w górach często zdarza. Uwodzi cię, ty zaś ulegasz, mości się w twoich ramionach, przymyka oczy.

No dobrze, opowiedz.

O czym?

O *zhuhuapo*.

Specjalizują się w wabieniu mężczyzn tam, gdzie górską ocieniona droga nagle zakręca, często w pawilonach na szczytach...

Czy kiedyś spotkałeś taką?

Oczywiście. Siedziała spokojnie na kamiennej ławce pawilonu tak wzniesionego przy górskiej drodze, że biegła ona między dwiema pawilonowymi kamiennymi ławkami. Musiałeś koło niej przejść. Była to młoda góralka w bladoniebieskim pięknie tkanym bawełnianym kaftanie, zapinanym na guzy aż po talię i z białym lamowaniem kołnierza i rękawów. Na głowie miała kunsztowny zawój z barwionej tkaniny. Mimowiednie zwolniłeś i przysiadłeś na przeciwległej ławce. Ona, nie odwracając głowy, od niechcienia obrzuciła cię spojrzeniem. Czarne brwi były pociągnięte zwęgloną wierzba, cienkie wargi odęte. Świetnie wiedziała, że jest ponętna, i nie próbowała tego ukryć. Kiedy ktoś strzela oczami tak prowokacyjnie, mężczyzna musi się poczuć nieswojo. W każdym razie to ty pierwszy poczułeś niepokój i podniosłeś się, żeby ruszyć w drogę. Lecz na tej ocienionej górskiej drodze, gdzie jak okiem sięgnąć nie ma nikogo, młoda kobieta natychmiast rzuciła na ciebie urok. Rzecz jasna wiesz, że tej uwodzicielskiej i pięknej *zhuhuapo* musisz okazać raczej szacunek, niż dać dowód

miłości, że możesz jej pragnąć, lecz nie możesz sobie pozwolić na lekkomyślność. Mówisz, że dowiedziałeś się tego od kamieniarzy, ściągających z góry kamień. W ich szopie roboczej całą noc spędziłeś na picu i rozprawianiu o kobietach. Mówisz, że nie mógłbyś jej zaproponować tam noclegu, bo jeśli w takiej szopie pojawi się kobieta, może spowodować nie lada tarapaty, tych kamieniarzy zdoła utrzymać w ryzach tylko *zhuhuapo*. Podobno *zhuhuapo* zna akupunkturę, to sztuka przekazywana z pokolenia na pokolenie; dotykiem delikatnych *rąk zhuhuapo*, w przeciwieństwie do mężczyzn, umie leczyć skomplikowane dolegliwości, od dziecięcych konwulsji po paraliż. Ludzie cenią też jej przemyślnie słowa, kiedy trzeba objaśnić i załatwić sprawy związane z małżeństwem, śmiercią, narodzinami i seksem. Kiedy w górach znajduje się takie polne kwiaty, można się nimi zachwycać, ale nie wolno ich zrywać. Opowiadano, że było kiedyś trzech braci, którzy z tego kpili. Spotkali na górskiej *drodze zhuhuapo*, do głowy przysła im zaś niegodziwość. Czy my, trzej bracia, nie poradzimy sobie z jedną kobietą? Omówili to, a potem pomknęli z krzykiem i zawlekli *zhuhuapo* do jaskini. W końcu była tylko kobieta i nie mogła się wyrwać trzem dużym facetom. Kiedy dwaj starsi zrobili swoje, przysła kolej na najmłodszego. *Zhuhuapo* błagała: dobro wypłaca dobrem, zło złem, jesteś młody, nie postępuj tak nikczemnie jak oni. Jeżeli mnie posłuchasz i pozwolisz uciec, zdradzę ci tajemny przepis, który kiedyś ci się przyda. Zarobisz dość pieniędzy i będziesz mógł poślubić młodą kobietę, będziesz się cieszył szczęśliwym życiem. Łobuz nie wiedział, czy wierzyć czy nie, był jednak młody i - zgnębiony widokiem kobiety w tak żalonym stanie - pozwolił jej uciec.

Zgwałciłeś ją czy pozwoliłeś jej uciec? pyta.

Mówisz, że wstałeś i zacząłeś odchodzić, ale nie mogłeś się powstrzymać i jeszcze raz się obejrzałeś, żeby zobaczyć jej twarz z drugiej strony. Miała we włosach czerwoną kamelię. Z kącików jej ust i z koniuszków brwi trysnęło światło, zupełnie jak błyskawica rozjaśniająca mrok gór i dolin. Twe serce ogarnął pożar, zaczęło walić; natychmiast zrozumiałeś, że to *zhuhuapo*. Siedziała oto zgrabnie naprzeciw ciebie, jędrne piersi sterczały pod jasnyniebieskim, pięknie tkanym bawełnianym kaftanem. W zgięciu ramienia trzymała bambusowy koszyk nakryty nową kwiecistą serwetą, a kwiatki naklejone na jej nowe niebieskie bawełniane buciki były tak wyraźne jak papierowe wycinanki na oknie.

Chodź tu! Wzywa skinieniem.

Siedzi na skałce, w rękach trzyma szpilki, a bosą stopą ostrożnie bada okrągłe kamienie. W czystym strumieniu przebiera białymi palcami nóg, przypominającymi małe pulchne pędraki. Nie wiesz, jak zacząć, lecz nagle kładziesz jej głowę na porośniętej zielenią skarpie. Ona się unosi, ty znajdujesz z tyłu zapinkę jej stanika i oto w południowym słońcu lśnią jej doskonale okrągłe białe piersi. Widzisz sterczące różowe sutki, a poniżej ładne niebieskie żyłki. Cicho pokrzykuje, kiedy jej stopy zsuwają się do wody. Czarny ptak o białych palcach, dzierzba, przysiadł pośrodku strumienia na szarobrazowym kamieniu. Kamień jest idealnie zaokrąglony, jak pierś kobiety. Na brzegach kamienia widać refleksy światła odbitego od zmarszczek na wodzie. Oboje zsuwacie się do wody. Nie dlatego jest poirytowana, że sama się zamoczyła, ale dlatego, że zamoczyła spódnicę; jej wilgotne oczy skrzą się jak odbite w strumieniu słońce. W końcu ją pochwyliłeś, to uparte, wyrwijące się dzikie zwierzę; w twoich ramionach okazuje się nagle potulna i zaczyna cichutko płakać.

Czarna dzierzba o białych palcach zerka to na jeden brzeg, to na drugi, unosi ogon, a jednocześnie kiwa woskowoczerwonym dziobem. Ledwie się zbliżysz, dzierzba odlatuje, wzburzywszy powierzchnię wody, i siada na skale powyżej. Odwraca się, żeby bezczelnie lypnąć na ciebie, znów kiwa łebkiem i wymachuje ogonem. Prowokuje cię, żebyś podszedł, wtedy odleci, ale nie za daleko, i znowu będzie czekać, świergocąc cicho, lecz przenikliwie. Ten czarny duszek to ona.

Kto?

Jej zjawą.

Czyja?

Mówisz, że nie żyje. Te łajdaki wyciągnęły ją nocą, żeby popływać w rzece. Powiedzieli po powrocie, że zaginęła. Kłamstwo na kłamstwie, tak jednak wyglądała ich wersja. Powiedzieli, że można przeprowadzić autopsję, można nawet, jeżeli nie wierzymy, sprowadzić specjalistę od medycyny sądowej. Na autopsję nie zgodzili się jej rodzice, nie mogliby tego znieść. Ich córka w chwili śmierci miała szesnaście lat. Byłeś wówczas młodszy od niej, ale wiedziałeś, że wszystko zaplanowali. Wiedzieli, że tej nocy namówili ją, żeby z nimi poszła; potem wrzucili ją do wody pod filarami mostu, brali ją wcześniej po kolei, a później dzielili

się wrażeniami. Śmiali się z ciebie, że jesteś taki głupi, że zrezygnowałeś z kolejki, nie odważyłeś się jej posmakować, poczuć. Zaplanowali, że ją dopadną. Nieraz słyszałeś, jak mówią świństwa i powtarzają jej imię. Cichaczem powiedziałeś jej, żeby była ostrożna, żeby nie wychodziła z nimi w nocy, ona zaś powiedziała, że panicznie się ich boi. Nie odważyła się jednak odmówić i poszła. Była przerażona, ale ty, przecież także byłeś w strachu? Ty tchórze! Ci dranie skrzywdzili ją, lecz nie odważyli się przyznać. IV zaś nie odważyłeś się ich wydać i na wiele lat pozostała w twym sercu jako mara. Jej skrzywdzony duch ukazuje ci się pod różnymi postaciami, nie daje ci spokoju, lecz jej obraz, wylaniającej się wówczas spod filarów mostu, jest wciąż ten sam. I wciąż pojawia się przed tobą ten ćwierkający czarny duch, ta dzierzba o białych palcach i czerwonym dziobie. Chwytasz się czystych pierzastych liści i korzeni wierzy w szczelinach skały, żeby wspiąć się na brzeg.

Ona woła.

Co się stało?

Skreśliłam kostkę.

Nie możesz chodzić po górach w szpilkach.

Nie planowałam chodzenia po górach.

Lecz jesteś teraz w górach, zatem przygotuj się na cierpienia.

Z okna na piętrze starego domostwa przy wąskiej krętej uliczce widać dachy nachylające się pod wszystkimi możliwymi kątami, opadające we wszystkich kierunkach, przechodzące jeden w drugi, ciągnące się jak okiem sięgnąć. Pod oknem małego mieszkania, wychodzącym na lukę między dwoma grzbietami dachów, wietrzą się na słońcu położone na dachówkach buty. W pokoju stoi drewniane rzeźbione łóżko z moskitierą i drewniana czerwona szafa z okrągłym lustrem; przy oknie trzcinowe krzesło, ławka przy drzwiach. Sadza mnie na ławce. Tu nie ma gdzie się ruszyć. Parę dni temu poznałem ją w domu mego przyjaciela, dziennikarza, do późna paliliśmy wszyscy, piliśmy, gadali. Zeszło wtedy na grube dowcipy, co jej nie zmierziło, jeśli zaś chodzi o to górskie miasteczko, chyba była doskonale zorientowana. Kiedy rozprawialiśmy później o mojej prośbie, przyjaciel powiedział, powinieneś tam zabrać kobietę, przyda ci się. Zgodziła się bez namysłu, a teraz doprowadziła mnie tutaj.

Szeptuje mi do ucha, śpiesznie ostrzega w miejscowym dialekcie.

- Kiedy się zjawi, musisz poprosić o kadzidło. Musisz poprosić o kadzidło, a także uklęknąć wraz z nią i pokłonić się, trzykrotnie uderzając czołem o ziemię. Musisz przestrzegać tego rytuału. - Jej głos i ruchy zupełnie się zmieniły, upodobniły do głosów i ruchów tutejszych kobiet.

Poczułem się nagle bardzo niezręcznie, przyciśnięty do niej na tej wąskiej ławeczce. W tym powiatowym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, w takie miejsca ściągają romansujące pary, żeby potajemnie się kochać. Wyczuwam drażniący zapach zaprawianych jarzyn. Pokoik jest jednak nienaganny, deski na środku podłogi tak wyszorowane, że wyziera oryginalny kolor drewna, na tapecie za drzwiami nie sposób się dopatrzeć nawet plamki. I w ogóle nie ma miejsca na naczynie do zaprawiania jarzyn.

Mówi mi do ucha, jej włosy ocierają mi się o twarz:

- Ona tu jest.

Wchodzi kobieta, tęga, w wieku ledwie średnim, za nią stara. Tęga ściąga fartuch i obciąża wyblakłą od prania, czystą sukienkę. Właśnie skończyła gotować na dole. Drobną wychudzona stara, która weszła za nią do pokoju, kiwa do mnie głową.

Przyjaciółka natychmiast napomina:

- Idź za nią.

Zrywam się i idę na krawędź schodów, tam ona otwiera niepozorne, niewielkie drzwi z boku i wchodzi. Małeńki pokoik, na stole kadzidlany ołtarzyk poświęcony dwóm bóstwom taoistycznym, Czcigodnemu Najwyższemu Władcy i Wielkiemu Cesarzowi Światła oraz bodhisattwie Guanyin. Przed ołtarzykiem leżą ofiary: ciasto, owoce, woda i trunek. Na drewnianych ścianach wiszą czerwone sztandary o czarnych bordiurach i postrzępione żółte proporzyczki, wszystkie opatrzone inwokacjami z prośbą o powodzenie i odwrócenie nieszczęść. Promienie słońca wpadają przez przezroczystą płytkę w dachu, a dym z jedynej trociczki wolno wznosi się w świetlistej smudze, tworząc nastrój nakazujący milczenie. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego moja przyjaciółka szeptuje, odkąd znaleźliśmy się tutaj. Ze szpary pod kadzidlany ołtarzykiem stara wyciąga pęk cienkich trociczek zawiniętych w żółty papier. Zgodnie z pouczeniem przyjaciółki kładę natychmiast kobiecie do ręki yuana, biorę trociczki, zapalam od płonącego papieru, który z kolei ona zapaliła w kadzielnicy, i z trociczkami w obu rękach klękam na czerwonej poduszce przed ołtarzykiem, żeby z czcią trzykrotnie oddać pokłon. Chwaląc moją pobożność, stara cmoka zapadłymi wargami, zabiera trociczki i wstawia w trzy miejsca kadzidlany ołtarzyk.

Wracam do pokoju, gdzie gruba już się przygotowała, statecznie siedzi z zamkniętymi oczami na trzcinowym krześle. To najwyraźniej medium porozumiewające się z duchami. Stara siada po przeciwległej stronie łóżka, mówi coś cicho grubej, potem odwraca się do mojej przyjaciółki, żeby spytać o znak zodiaku, pod którym się urodziłem. Datę urodzin podaje zgodnie z kalendarzem słonecznym. Nie potrafię zapamiętać dokładnie daty według kalendarza księżycowego, chociaż umiem ją ustalić. Stara pyta też o godzinę narodzin, na co odpowiadam, że moi rodzice nie żyją i już się tego nie dowiemy. Starą najwyraźniej to martwi, po cichu rozprawia z medium. Medium coś mówi, że to nieważne, jeśli rozumiem, potem kładzie ręce na kolanach, przymyka oczy i zaczyna medytację. W pobliżu, za oknem na dachówkach przysiadła gołąb i zaczyna gruchać. Stroszy opaskę błyszczących purpurowych piór na szyi, rozpoznaje, że to samiec podczas rytuału godowego. Lecz nagle medium głośno nabiera powietrza i ptak odfruwa.

Na widok dachówek zawsze ogarnia mnie smutek, te formy zachodzące na siebie jak rybie łuski nieodmiennie wyczarowują wspomnienia z dzieciństwa. Przypominam sobie deszczowe dni, tę pogodę, kiedy do dachówki przylegają przezroczyste krople, a w kącie pokoju drży w przeciągu pajęczyna. Skłania mnie to do namysłów, dlaczego przyszedłem na świat. Dachy z dachówek mają nade mną władzę: czynią słabym, wtrącają w bezwład. Chcę płakać, lecz już nie umiem.

Kobiecie-medium kilka razy się odbija: najwyraźniej wstępuje w nią duch. Wciąż jej się odbija. Bezustannie beka, ma w sobie tyle powietrza, że mnie samemu zbiera się na bekanie, ale nie śmiej się i dławij się w sobie - nie chcę narażać dobrych stosunków, niech nie pomyśli, że zjawiam się, żeby narobić kłopotów i zabawić jej kosztem. W sercu ani w myśli nie chowam obłudy, chociaż nie wierzę w to wszystko. Wciąż beka i robi to coraz częściej. Jej ciało ogarniają konwulsje, najwyraźniej nieudawane. Popadła w konwulsje, myślę, zapewne na skutek ąigongu podczas medytacji. Jej ciało dygoce, a palce nagle zaczynają dźgać powietrze, jakby mierzac we mnie. Mocno zaciska powieki, palce obu rąk rozcapierzyła, lecz oba wskazujące kieruje niewątpliwie na mnie. Plecami wpieram się w drewnianą ścianę, tu nie ma gdzie uciec, nie ma miejsca na ucieczkę, mogę tylko wziąć się w garść. Nie ważę się spojrzeć na moją przyjaciółkę, z pewnością bardziej nabożną niż ja, chociaż to ona sprowadziła mnie tutaj, żebym posłuchał przepowiedni swego losu. Trzciniowe krzesło głośno skrzypi pod grubym, dygocącym kobiecym ciałem. Z trudem można ją zrozumieć, kiedy śpiewnie recytuje zaklęcia. Mówi mniej więcej coś takiego: W izbie z „filarem duszy” Królowej Matki Zachodu oraz Władców Niebios i Ziemi jest sosna, której moc pozwala obracać się kołom Niebios i Ziemi oraz doszczętnie zgładzić demony bydłce i duchy węzowe. Mówi coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo. To naprawdę wymaga wprawy i w pełni doceniam jej biegłość. Stara nachyla ku niej ucho, wsłuchuje się i z wielką powagą mówi:

- To dla ciebie niepomysłny rok, musisz uważać!

Medium wciąż niezrozumiale bełkoce. Stara znowu tłumaczy:

- Mówi, że się zderzyłeś z Gwiazdą Białego Tygrysa!

Słyszałem, że Białego Tygrysa trzeba kolarzyć z bardzo

zmysłową kobietą; jeśli się zaangażujesz, niełatwo się wyplątać. Teraz wcale bym się nie zmartwił, gdyby życzliwy los pozwolił mi się wdać w romans z taką kobietą, ale moje pytanie brzmi: Czy zdołam uniknąć niepowodzeń?

Stara potrząsa głową.

- Niełatwo ci przyjdzie wywinąć się z tarapatów.

Chyba nie jestem kimś, komu szczęście sprzyja, nie ma na to dowodów. Nigdy się nie ziszcili moje nadzieje, natomiast przytrafia mi się często coś, czego nie pragnąłem. Zaznałem niezliczonych katastrof, miewałem z kobietami związki i przejścia, zgadza się, grożono mi nawet, chociaż nie zawsze groziły kobiety. Natomiast z nikim nie mam prawdziwego konfliktu interesów, sądzę, że nikomu nie wchodzę w drogę, i żywię tylko nadzieję, że również mnie nikt nie wejdzie.

- Nadchodzą wielkie klęski, katastrofy, obiegly cię ludziki - dodaje stara.

Wiem, co to ludziki, opisano je w kompendium starożytnych pism taoistycznych *Daozang*. Te nagie istoty, znane jako „potrójne zwłoki”, pasożytują w ludzkich ciałach, ukrywają się w gardle i karmią śliną żywiciela. Kiedy ten drzemie, pełzną na Niebiański Dwór, żeby Niebiańskiemu Cesarzowi donosić o występkach żywiciela.

Stara dodaje, że chce mnie ukarać pewna porywczyna osoba o przekrwionych oczach, nie ujdę przed nią, mimo kadzidla i modłów.

Gruba zsuwa się z trzciniowego krzesła na podłogę i niemal turla po deskach. Widocznie dlatego podłoga jest tu taka wyszorowana. Czuję natychmiast, że moje nieczyste myśli prowokują grubą do kłatw. Przeklina mnie i mówi, że obiegly mnie co najmniej dziewięć Białych Tygrysów.

- Czy mogę liczyć na ratunek?

Toczy z ust pianę, wywraca białka, jej twarz nabiera straszliwego wyrazu. To wszystko wynik autohipnozy, gruba wprawila się w stan hysterii. W pokoju już brak miejsca dla przetaczającego się ciała, więc wtacza się na moje nogi. Spiesznie je cofam, zrywam się, wpatrzony w kotłujące się grube ciało czuję uścisk strachu, nie wiem, przed przeznaczeniem czyjej kłatwami. Zapłaciłem, żeby się zabawić jej kosztem, a w końcu zostanę ukarany. Stosunki między ludźmi czasami naprawdę wywołują strach.

Medium wciąż bełkoce, ja zaś zwracam się do starej i pytam, co to znaczy. Kręci głową, lecz nie wyjaśnia. Widzę, że ogarnięte konwulsjami otyle ciało u moich stóp garbi się i z

wolna, jak ranne zwierzę, odsuwa pod nogi trzciniowego krzesła. W gruncie rzeczy ludzie są zwierzętami i rzeczywiście mogą szaleć, jeśli są ranni. A szaleństwem jest, jeśli nieszczęśnik da się sterroryzować. Wygląda na to, że kiedy ludzi coś opęta, sami siebie dręczą swym szaleństwem.

Z jej gardła wydobywa się długie westchnienie, potem słychać ciche bulgotanie, przypominające zwierzęcy pomruk. Nie otwierając oczu, po omacku sprawdza, gdzie jest, i wstaje. Stara śpieszy ze wsparciem, pomaga usiąść na trzciniowym krześle. Myślę, że naprawdę przeszła atak hysterii.

Bez błędnie wyczuła, że przyszedłem tu, żeby się rozerwać; chciała się zemścić, więc mnie przeklęła. Tymczasem przyprowadziła mnie tutaj przyjaciółka, która sama wygląda na coraz bardziej przerażoną, pyta starą, czy można przygotować dla niej obrzęd, bo chce zapalić kadzidło i pomodlić się za mnie. Stara pyta grubą, medium zaś mamrocze, z wciąż zamkniętymi oczami.

- Mówi, że taki obrzęd nie pomoże.

- A jeśli kupię dodatkowe kadzidła? - pytam.

Przyjaciółka pyta więc starą, ile by to kosztowało. Ta odpowiada, że dwadzieścia yuanów. Mógłbym je wydać na obiad z przyjaciółmi, teraz mam je wydać tylko na siebie, bez namysłu się zgadzam. Stara omawia to z medium i odpowiada:

- Jeśli to nawet zrobisz, nic nie pomoże.

- Czy to znaczy, że nie ma dla mnie ratunku i nie uniknę złego losu? - pytam.

Stara przekazuje, co powiedziałem, medium znowu mamrocze. Stara powiada:

- To się okaże.

Co się okaże? Na ile jestem pobożny?

Zza okna dobiega gruchanie gołębia. Myślę, że już zdążył wskoczyć na swą towarzyszkę. A ja tutaj wciąż nie mogę się doczekać ułaskawienia.

Do ciemnego cyprysu przy wejściu do wioski dobrał się mróz, liście mocno poczerwieniały. Pod cyprysem, wsparty o motyle, stoi mężczyzna o ziemistej twarzy. Pytasz o nazwę wioski. Milczy, chociaż patrzy ci prosto w oczy. Obracasz się do niej i mówisz, że to rabuś grobów. Ona wybucha śmiechem. Mówi ci do ucha, kiedy go miniecie, że zatrul się rtęcią. Ty zaś mówisz, że za długo tkwił w krypcie. Było ich dwóch, ten drugi zatrul się na śmierć rtęcią, pierwszy przeżył.

Mówisz, że to jego fach z dziada pradziada prapradziada. Jeżeli któryś z przodków parał się tym zajęciem, trudno już to z siebie zmyć. W przeciwieństwie od palenia opium, skutkującego ruiną rodzin i trwonieniem majątkości, rabowanie grobów może przynieść ogromne zyski i to mimo braku kapitału. Jeżeli ktoś ma kamień zamiast serca i jest w tym dobry, jeśli trafi się suty łup, to uzależnią się od tego następane pokolenia. Nadzwyczajnie się czujesz, rozmawiając z nią w ten sposób. Potulna i uległa trzyma cię za rękę.

Opowiadasz, że za czasów jego prapraprapradziada cesarz Qianlong wybrał się w objazd tej okolicy. Miejscowi urzędnicy, pragnąc zjednać sobie łaski, oczywiście dwoili się, wyszukiwali dla cesarza miejscowe piękności, gromadzili dlań skarby poprzednich dynastii. Ojciec tego prapraprapradziada odziedziczył zaledwie dwa *mu* marnego pola, na którym pracował w porze upraw. Przez resztę roku gotował parę jinów cukru, dodawał barwnika i wyrabiał cukierki w kształcie ludzi, które ładował do koszy, brał na nosidło i ruszał sprzedawać po okolicznych wsiach i miasteczkach.

Miał cukierkowy gwizdek w kształcie chłopięcego penisa, Swińtucha z żoną na grzbiecie, lecz ile na tym można zarobić? Prapraprapradziad imieniem Li Trzeci lubił się włóczyć całymi dniami - niezbyt zainteresowany sztuką robienia cukierkowych ludzi, natomiast rzeczywiście zainteresowany wzięciem sobie na kark żony. Ilekroć zobaczył kobiety, podchodził, żeby wdać się w pogawędkę. Wieśniacy, jak jeden mąż, nazywali go Szczochem. Pewnego razu zjawił się w wiosce lekarz kurujący węzowym jadem. Na plecach miał wór na węże. Niósł także bambusową rurę, łom i hak, wybrał się bowiem pomyszkować wśród grobów. Wybrał się z nim Li Trzeci, w roli pomocnika niosącego narzędzia, zajęcie wydawało się zabawne. Doktor dał mu węzową pigułkę, podobną do zwierzęcego bobka, i kazał trzymać w ustach; była bardzo słodka, lecz także chłodziła i gasiła pragnienie. Po spędzeniu z lekarzem paru tygodni stało się jasne, że łowienie węży to tylko przykrywką, w rzeczywistości ów człowiek przekopywał groby. Trzeba trafiać, że węzowy lekarz rozglądał się właśnie za pomocnikiem; tak oto Li Trzeci zaczął się bogacić.

Li Trzeci wrócił do wioski w czarnej jedwabnej mycce ozdobionej nefrytowym guzem. Było to stare byle co, kupione w lombardzie Dziobatego Chena w Wuyizhen (rzecz działa się, zanim długowłosi puścili z dymem stare uliczki miasta). Był dumny i butny, czy też, jak twierdzili wieśniacy, zaczął pokazywać charakter, wkrótce też jego ojciec nie mógł się opędzić od ludzi gotowych poruszyć sprawy małżeństwa. Jednakże Li Trzeci poślubił młodą wdowę, ludzie zaś nie wiedzieli, czy ona go uwiodła, czy też on ją schwytał w szpony. W każdym razie ni w pięć, ni w dziewięć chełpił się, że on, Li Trzeci, odwiedził w Wuyizhen Dwór Radosnej Wiosny oświetlony czerwonymi latarniami. I na koniec wyłożył lśniąca sztabkę srebra. Nie powiedział tylko, że musiał ją - poczerwiała, przeżartą wapnem i siarką grobu - pracowicie wypucować do czysta cholewką własnego buta.

Grób znajdował się na skalistym wzgórzu, dwa *li* na wschód od Stoku Śpiącego Feniksa, a odkrył go mentor Li Trzeciego, zauważył otóż, że po oberwaniu chmury woda wlewa się w jakąś dziurę. Kiedy pomyszkowali, dziura się powiększyła, zabrali się więc do pracy i od południa niemal do zmroku kopali, dziura była już na tyle duża, że w środku mógł się zmieścić człowiek, oczywiście Li Trzeci był tym, który musi wejść pierwszy. Pełznął, pełznął, aż wreszcie śmiertelnie przerażony gdzieś, kurwa, wpadł. W błocie i mazi natknął się na sporo dzbanów i słoje; ba, za jednym podejściem rozbił bank. Z drewnianej trumny - która zgniła i zamieniła się w miękką pecynę podobną do resztek tofu - zabrał zwierciadło z brązu, lśniąca, bez jednej plamki śniedzi, lustro w sam raz dla kobiet do czesania. Powiedział, że jeśli choć trochę kłamie, to jego matka jest ździarą. Niestety, ów stary skurwiol, jego mentor, wszystko mu zabrał, zostawił tylko torbę srebra. Kiepsko na tym układzie wyszedł Li Trzeci, lecz mądrzej było nie trzaskać dziobem; teraz i on mógł sobie otworzyć wejście do grobu.

W wiosce stajesz przed Świątynią Przodków Rodziny Li. Stara kamienna tablica z rzeźbami żurawi, jeleni, sosen i kwitnących śliw umieszczona jest nad wejściem frontowym na nowej przyporze. Otwierasz nie zaryglowane drzwi i słyszysz natychmiast głos starego

mężczyzny, pyta, co tu robisz. Mówisz, że przyjechałeś się rozejrzeć. Ów stary, niski i spasiony, wylania się z pomieszczenia przy korytarzu. Wygląda na to, że stróżowanie w tej starożytnej świątyni to niezłe zajęcie.

Stary mówi, że świątynia nie jest otwarta dla przybyszów, i zaczyna cię wypychać. Odpowiadasz, że twoje nazwisko brzmi Li i należysz do rodu. Byłeś za granicą, teraz zaś odwiedzasz rodzinną wioskę. Marszczy białe krzaczaste brwi i mierzy cię od stóp do głów. Pytasz, czy wie, że w tym mieście był niegdyś rabuś grobów. Poglębiają się zmarszczki na jego twarzy, ty zaś wzdrygasz się na widok jej wyrazu, trudno i darmo, większość wspomnień bywa bolesna. Nie umiesz powiedzieć, czy teraz przesiewa wspomnienia, czy usiłuje cię rozpoznać. W każdym razie wpatrywanie się w powykrzywianą wiekową twarz jest krępujące. Stary wpierv mamroce do siebie, nie całkiem mieści mu się w głowie, że członek rodu nosi sportowe pantofle zamiast konopnych trzewików. Potem wyrzywa mu się: Przecież on umarł, prawda? Nie jest jasne, kto umarł, ale dozorca ma zapewne na myśli ojca, nie synów ani wnuków.

Mówisz mu, że wszyscy potomkowie rodziny Li za granicą są bogaci, dzięki uśmiechowi losu. Na to rozdziawia usta, odsuwa się, kłania i z szacunkiem prowadzi cię do sali świątyni przodków. Wygląda na starego sługę rodziny. Kiedyś nosił czarne buty, był klucznikiem, pamięta czasy sprzed przerobienia świątyni na szkołę podstawową. Teraz zwrócono ją rodzinie, a szkołę przeniesiono gdzie indziej.

Wskazuje na poziomą tablicę. Wygląda jak wykopalisko, luszczą się z niej farba, niemniej sens znaków zapisanych znormalizowanym pismem jest oczywisty: „Znakomici Przodkowie Świetnego Rodu”. Hak pod nią służy do zawieszenia drzewa genealogicznego - ów zapis spoczywa jednak u ojca naczelnika wioski, zazwyczaj nie wydostawany.

Mówisz, że zapis oprawny w żółty jedwab wygląda jak główny zwój rękopisów z centralnej sali świątynnej. No właśnie, no właśnie, odpowiada. W czasach reformy rolnej zapis spalono, nowy zaś sporządzono w tajemnicy i ukryto na poddaszu. Później, kiedy konfiskowano ludziom ich własność, wydarto tutaj deski z podłogi, natrafiono na to drzewo genealogiczne i spalono znowu. Obecne sporządził ojciec nauczycielki z podstawówki Mao War, w myśl tego, co udało się zapamiętać trzem braciom Li. Mao War ma ośmioletnią córkę, a chce mieć jeszcze jedno dziecko. Czy ludzie muszą się teraz wdawać w planowanie rodziny? Jeśli przyjdzie na świat drugie dziecko, sprawa nie ogranicza się do kary, dziecka nie wprowadza się do ewidencji ludności! Naprawdę? mówisz. I mówisz jeszcze, że chciałbyś rzucić okiem na tę rodzinną genealogię. Mówi, że z pewnością tam jesteś, z pewnością, został tam umieszczony każdy z wioski, kto nosi nazwisko Li. Dodaje, że są tu tylko trzy rodziny o innych nazwiskach. To rodziny, w których za żony brano kobiety z rodziny Li, w przeciwnym razie te rodziny nie chciałyby tu pozostawać. Niemniej ludzie o innych nazwiskach to ludzie o innych nazwiskach, a kobiet nie umieszcza się w genealogii.

Mówisz, że wiesz to wszystko. Nazwiska Li używał cesarz Taizong z dynastii Tang, Li Shimin, zanim został cesarzem.

I chociaż wioskowy ród Li nie utrzymuje, że jest spokrewniony z rodziną cesarską, to przecież byli wśród naszych przodków generałowie, ministrowie wojny, nie tylko sami rabusie grobów.

Wychodzisz ze świątyni, a wtedy jak spod ziemi wyrasta grupa dzieciaków i otacza cię. Idą za tobą, uczepliły się, a kiedy im mówisz, że są jak wiszące z tyłka glisty, głupio rechocą. Podnosisz aparat fotograficzny i natychmiast czmychają. Tylko przywódca tego bractwa nie oddaje pola, mówi, że nie masz filmu, a możesz to sprawdzić, otwierając aparat. Drobnym dzieciakiem jest wcale bystry, na czele tych leszczyków jak szczupak.

- Hej, co tutaj warto obejrzyć? - pytasz.

- Operę - odpowiada.

- Co za operę?

Wbiegają w ciasną uliczkę. Idziesz za nimi. Na kamieniu węgielnym narożnego domu wyrzeźbiono napis: „Bądź śmiały jak tumie Góry Tai”. Nigdy nie umiałeś rozgryźć znaczenia tych słów, może i teraz nikt nie zdoła wyłożyć z całą pewnością, co znaczą. Wiążą się w każdym razie ze wspomnieniami twego dzieciństwa. W tej pustej uliczce, tak wąskiej, że zdoła ją przejść człowiek z ledwie jednym wiadrem na nosidle, znów słyszysz głośny tupot bosych nóg na mokrym bruku.

Wylaniasz się z uliczki i nagle natrafiasz na suszarnię zasłaną słomą ryżową, z której bije czysty słodki zapach świeżo skoszonego ryżu. Za tą suszarnią rzeczywiście wznosi się stara scena operowa. Długie lite bale służą za ramę sceniczną, sam zaś podest, sięgający

człowiekowi do pasa, jest zawalony snopami słomy ryżowej. Ta gromadka małpisonów wspina się po słupach, zeskakuje do suszarni, harcuje i wywija kozły wśród snopów ściętego ryżu.

Cztery słupy starej sceny podtrzymują duży dach z podwiniętymi okapami i sterzącymi narożnikami. Na poprzecznicach musiano kiedyś wieszać latarnie i flagi, także liny używane przez wykonawców. Słupy i poprzecznice kiedyś pomalowano, teraz farba się już złuszczyła.

Tutaj, pod gołym niebem, wykonywano opery, ścinano głowy, zwoływano zgromadzenia i świętowano, także tutaj ludzie klęczeli i bili pokłony. W porze żniw podium było zawalone stertami słomy ryżowej, zawsze wspinały się na nie dzieci, zeskakiwały, harcowały. Dzieci, które niegdyś wspinały się i zeskakiwały, są teraz stare albo zmarły. Nie wiadomo, które z nich trafiły do genealogii. Ile wspólnego z oryginałem ma drzewo genealogiczne skomponowane z pamięci? W końcu nieważne, czy rodowód istnieje czy nie; jeśli człowiek nie wyniesie się daleko, to będzie wciąż pracował tu w polu na codzienny ryż. To, co pozostaje, to tylko dzieci i słoma ryżowa.

Naprzeciw sceny operowej znajduje się świątynia. Świeżo odbudowana na ruinach zburzonej, znów barwna i olśniewająca. Na cynobrowych wrotach głównych wymalowano dwa bóstwa bramne o oczach podobnych do dzwoneczków z brązu, jedno zielone, drugie czerwone, oba z mieczem i toporem. Na białym murze widnieje napis wymalowany czarnym tuszem: Świątynię Huaguang odbudowano przy wsparciu osób wymienionych poniżej: Taki-a-taki sto yuanów, taki--a-taki sto dwadzieścia yuanów, taki-a-taki pięćdziesiąt yuanów, taki-a-taki sześćdziesiąt yuanów, taki-a-taki dwieście yuanów... Ostatni akapit: Powiadamiają o tym przedstawiciele ludzi starych, w wieku średnim i młodych z Lingyanu.

Wchodzisz. U stóp cesarza Huaguang rząd starych kobiet, te stoją, inne klęczą, wszystkie w czarnych bluzach i czarnych spodniach, bezzębne. Kiedy jedna z klęczących wstaje, inna stojąca klęka; przepychają się, chcą palić trociczki i modlić się. Cesarz Huaguang ma szerokie, gładkie oblicze i kanciastą żuchwę, zadowolona twarz w kłębach kadzidlanego dymu wydaje się jeszcze bardziej dobrotliwa. Leżące przed nim na długim kamiennym stole pędzelek, tusz i kamień do rozcierania tuszu sprawiają, że wygląda jak urzędnik zajmujący się sprawami publicznymi. Nad stołem ofiarnym ze świecznikami i lichtarzykami do trociczek wisi płat czerwonego materiału z napisem „Chroń naród i wspomagaj ludzi” wyhaftowanym nićmi w jaskrawych kolorach. Nad zasłonami i baldachimem widać napis na czarnej tabliczce „Zjednoczenie z Niebiosami sprawia, że spełniają się moje słowa”. Wzdłuż słów biegnie znacznie mniejszy napis „Dar mieszkańców Lingyanu”. Nie masz jednak pojęcia, jaką owemu zabytkowi przypisać datę.

Znajdujesz w każdym razie potwierdzenie, że jest miejscowość zwana Lingyan, sądzisz, że to cudowne miejsce rzeczywiście istnieje, co dowodzi, że nie błędzisz, zamierzając odnaleźć Lingshan.

Pytasz te stare kobiety. Z zapadłych ust wydobywa się coś w rodzaju syczenia, lecz żadna nie umie przejrzyście wytłumaczyć, jak dostać się do Lingshan.

- Czy to koło tej wioski?
- Szisisisi...
- Trochę dalej?
- Sisisisi...
- Trzeba skrócić?
- Sisicici...
- Trzeba jeszcze przejść dwa/i?
- Cicisisi...
- Pięć li?
- Sisicici...
- Nie pięć, lecz siedem *li*?
- Siszicisizisisisi...

Czy jest kamienny most? Nie ma kamiennego mostu? Iść jarem w górę strumienia? Może lepiej główną drogą? Wędrówka główną drogą potrwa dłużej? Czy nadłożywszy drogi, zdołasz ją pojąć w głębi serca? Kiedy zaś pojdziesz ją w głębi serca, czy rozpoznasz ją na pierwszy rzut oka? Czy ważne jest, żeby być szczerym w głębi serca? Jeśli twoje serce jest szczerze, czy spełnią się twoje pragnienia? Czy spełnienie twoich pragnień zależy od twego losu, ludzie bowiem, którym los sprzyja, nie muszą szukać drogi? Czy to oznacza, że w starych żelaznych butach nigdzie jej nie odnajdziesz, a szukanie będzie czystą stratą czasu?! Czy mówisz, że Lingyan to po prostu nieczuła skała? Skoro tego nie mówię, co w takim razie

powinienem powiedzieć? Jeśli tego nie mówię, to dlatego, że nie powinienem, czy dlatego, że nie mogę? Tb zależy całkowicie od ciebie, ona będzie tym, czym zechcesz, żeby była, jeśli myślisz, że jest piękna, będzie piękna, a jeśli w twym sercu tkwi zło, zobaczysz tylko demony.

Docieram do Lingyanu krótko przed zmrokiem, po całym dniu marszu górskimi drogami. Szedłem długą i wąską doliną, nad którą wznoszą się z obu stron brązowe urwiska z litej skały, urozmaicone paroma tylko płatami ciemnozielonego mchu koło strużek wody. Ostatnie promienie zachodzącego słońca na górskim grzbiecie zamykającym dolinę są jak ściana ognia.

U stóp urwiska, za lasem metasekwoi zbudowano pod tysiącletnimi miłorzębami klasztor. Przerobiony na schronisko, przyjmuje turystów. Wchodzę przez bramę. Ziemia zasłana jest jasnożółtymi liśćmi miłorzębu, wygląda na to, że w pobliżu nikogo nie ma. Lustruję parter, wreszcie muszę wyjść na tylny dziedziniec po lewej, żeby trafić na kucharza szorującego garnki. Pytam o coś do jedzenia, lecz ten, nie podnosząc oczu, odpowiada, że pora posiłków minęła.

- O której się kończy podawanie kolacji? - pytam.

- O szóstej.

Pokazuję zegarek: jest piąta czterdzieści.

- Ze mną nie ma sensu rozmawiać, niech pan poszuka kierownika. Ja tylko wydaję posiłki na talony konsumpcyjne. - Wraca do szorowania.

Jeszcze raz obchodzę ogromny pusty budynek o korytarzach, po których hulają przeciągi, lecz wciąż nie mogę nikogo znaleźć.

- Hej, ma tu ktoś dyżur? - krzyczę.

Po kilku powtórkach słyszę apatyczny odzew, potem kroki, wreszcie na korytarzu pojawia się recepcjonista w przepisowej białej marynarce. Bierze opłatę za pokój, zaliczkę za posiłki, klucz, otwiera pokój, wręcza mi klucz i wychodzi. Kolacją okazuje się danie z resztek jarzyn i odrobina wystygłego rosółu z jajkiem. Żałuję, że nie zanocewałem w domu dziewczyny.

Było to już za Stawem Smoka, kiedy spotkałem ją na górskiej drodze. O drugiej lub trzeciej po południu słońce wciąż przypiekało, mimo połowy jesieni. Powoli szła pod górę z dwoma dużymi wiązkami paproci na nosiłkach. Miała kwiecistą bluzkę i spodnie, przepocone ubranie przylgnęło do wgłębienia wzdłuż kręgosłupa. Miała napięty grzbiet, poruszały się tylko biodra i stopy. Usłyszała, że idę, obróciła długie okute nosiłki, żeby mnie przepuścić, lecz wąską drogę wciąż przegradzały wiązki paproci.

- Nie szkodzi, po prostu idź - powiedziałem.

Później doszliśmy do strumyka, ona zaś zdjęła nosiłki, żeby odpocząć. Zobaczyłem wtedy zaróżowione policzki i przylepione do nich mokre włosy. Miała pełne wargi, twarz dziecka i duże piersi.

Spytałem, ile ma lat. Szesnaście, odpowiedziała, wyraźnie wolna od tej nieśmiałości wiejskich dziewcząt wobec obcego.

- Nie boisz się iść tak samotnie przez góry? Jak okiem sięgnąć nikogo nie ma, nie widać nawet wioski.

Spojrzała na okute nosiłki i odrzekła:

- Kiedy samotnie ruszam górską drogą, wystarczy, że wezmę ten drag. Kiedyś odpędziłam nim wilki.

Mówi, że w pobliskiej kotlinie jest jej dom, naprawdę niedaleko.

Zapytałem, czy chodzi jeszcze do szkoły.

Powiedziała, że chodziła do podstawówki, teraz już kolej na młodszego brata.

Zapytałem, dlaczego ojciec nie pozwolił jej dalej się uczyć.

Powiedziała, że ojciec nie żyje.

Zapytałem, kto jeszcze jest w rodzinie.

Odrzekła, że matka.

Powiedziałem, że jej ładunek waży chyba ze sto jinów.

Odrzekła, że trudno tu w okolicy o drewno na opał, więc do palenia muszą używać paproci.

Pozwoliła mi iść przodem. Na zboczu przy drodze, tuż za wzniesieniem, zobaczyłem samotny dom kryty dachówką.

- To mój dom, przed którym rośnie śliwa - powiedziała.

Liście już niemal opadły, zostało ledwie kilka, pomarańczowoczerwonych, dygocących na gładkich purpurowych gałęziach.

- Ta nasza śliwa jest bardzo dziwna. Zakwitła wiosną, a potem znowu jesienią. Śnieżnobiałe kwiaty opadły zaledwie parę dni temu. Ale tym razem, inaczej niż wiosną, nie ma ani jednego owocu - powiedziała.

Kiedy podeszliśmy pod dom, zaprosiła mnie na herbatę. Wszedłem po kamiennych schodach i usiadłem przy drzwiach na żarnie. Zdjęła z nosilek paprocie i poniosła za dom.

Rychło odryglowała drzwi, weszła i wyłoniła się z izby z glinianym czajnikiem, żeby nalać herbaty do dużej miski z niebieskim obrzeżem. Czajnik zapewne stał w piecu w *gorącym* popiele, bo herbata była wrząca.

W schronisku, wsparty na poduszce czuję, że marznę do szpiku kości. Okno jest zamknięte, ale w pokoju na piętrze zimne powietrze sączy się przez szpary w drewnianych ścianach, bądź co bądź to środek jesieni, noc i góry. Znow rozpamiętuję, jak nalewała herbatę, patrzyła na mnie i śmiała się, kiedy ujmowałem miskę dwiema rękami. Jej wargi rozwarły się; zauważyłem wtedy, że dolna jest bardzo gruba, jak napuchnięta. Dziewczyna wciąż miała na sobie moką, przepoconą koszulę.

- Przeziębisz się - powiedziałem.

- To się przytrafia tylko wam, ludziom z miasta; ja się myję w zimnej wodzie nawet zimą. Może zostanie pan na noc? - Zobaczyła, że się przestraszyłem, i szybko dodała: - Latem jest w okolicy mnóstwo turystów, nocują u nas.

Jej spojrzenie zachęcało do wejścia. Część drewnianej ściany w sieni pokrywały kolorowe obrazki, historia Fan Lihua. Chyba słyszałem tę historię za młodu, ale nie mogłem sobie przypomnieć, o co w niej chodzi.

- Czytujesz powieści? - spytałem, mając na myśli takie właśnie historie.

- Przepadam za słuchaniem oper.

Wiedziałem, że chodzi o operowe audycje radiowe.

- Może chce pan umyć twarz? Mam przynieść miskę gorącej wody? - spytała.

Powiedziałem, że nie trzeba, pójde do kuchni. Zaprowadziła mnie natychmiast, wyciągnęła miednicę, zręcznie nalała wody z konwi, żeby przetrzeć ją i przepłukać, potem czepakiem nabrała wrzątku z garnka na piecu. Przyniosła ją, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Proszę zobaczyć pokój, jest czysty.

Poddalem się jej gorącemu spojrzeniu i już postanowiłem zostać.

- Kto to? - zza drewnianej ściany dobiegł stłumiony kobiecy głos.

- Tb gość, matko - głośno odpowiedziała. Potem odwróciła się do mnie i wyjaśniła: - Jest chora, nie podnosi się z łóżka od lat.

Wziąłem od niej gorący ręcznik. Poszła do pokoju i usłyszałem, że rozmawia cicho z matką. Mycie twarzy pomogło mi się opamiętać, wyszedłem z plecakiem przed dom i przysiadłem na żarnie.

- Ile płacę? - spytałem, kiedy wyszła.

-Nic.

Wyciągnąłem z kieszeni garść monet i wcisnąłem jej w rękę. Zmarszczyła brwi i utkwiała we mnie spojrzenie. Wszedłem na drogę, a przeszedłszy spory kawałek, odwróciłem się. Wciąż stała przy żarnie, ściskając w dłoni garstkę drobnych.

Brak mi kogoś, do kogo mógłbym otworzyć usta. Wstaję z łóżka i zaczynam się kręcić. Z sąsiedniego pokoju dobiega skrzypienie podłogi. Stukam w ścianę i pytam:

- Jest tam kto?

- Kto mówi? - dobiega w odpowiedzi męski bas.

- Pan także wędruje po górach? - pytam.

- Nie. Ja tu pracuję - odpowiada po chwili wahania.

- Mogę na chwilę przeszkodzić?

- Nie ma sprawy.

Wychodzę i pukam do sąsiednich drzwi. Otwiera. Na stole i parapecie leżą szkice obrazów olejnych. Od jakiegoś czasu gospodarz nie strzygł się ani nie golił, może to taki styl.

- Zimno, nie ma co! - mówię.

- Nie zaszkodziłoby się trochę napić, ale w sklepiku nikogo nie ma - mówi.

- Cholerne miejsce! - klnę.

- Za to kobiety są tu naprawdę seksowne - mówi i pokazuje mi szkic portretu kobiety o pełnych wargach.

- Chodzi panu o te wargi?

- To zmysłowość wyzbyta zła.

- Wierzy pan w zmysłowość wyzbytą zła? - pytam.
- Wszystkie kobiety są zmysłowe, zawsze jednak sprawiają wrażenie dobroci, a to istotne w sztuce - mówi.
- Zatem pan wierzy, że piękno nie może kryć zła?
- Tak się już człowiek ludzi - odpowiada szorstko.
- Może ma pan ochotę przejść się, nocą popatrzeć na górę? - pytam.
- Jasne, że mam - mówi - pewnie. W tym sęk, że nic nie widać. Już wychodziłem. -
Wpatruje się w te pełne wargi.

Wychodzę na podwórze. Ogromne miłorzęby wyrastające z parowu zasłaniają elektryczne światło sprzed frontu budynku, w tym świetle liście stają się całkiem białe. Rozglądam się. Niebo i urwiska z tyłu nikną w nocnej mgle, w której światła wydają się szare. Widać tylko podświetlone okapy schroniska. Zaczyna ogarniać mnie, uwiecznionego w tych dziwnych poświatach, lekkie oszołomienie.

Brama jest już zamknięta. Znajduję zasuwkę i wychodzę. Na zewnątrz tonę natychmiast w ciemnościach. Bulgotcze pobliskie źródło.

Po paru krokach oglądam się za siebie, światła pod urwiskiem mętnieją, a szaroniebieskie mgły spowijają szczyt góry. Gdzieś z głębi parowu dobiega cykanie świerszcza. Bulgotanie źródła raz wzmagają się, raz cichnie. Przypomina szum wiatru; tymczasem wiatr błąka się i buszuje po mrocznym parowie.

Wilgotna mgła rozciąga się nad doliną, odległe sylwety miłorzębów, ostro zarysowane w świetle, teraz nabierają miękkości. Tymczasem coraz wyraźniejszy staje się kształt góry. Schodzę w głęboką dolinę między skalnymi urwiskami. Za czarną górą widać wątlą poświatę, lecz na mnie, tu w dole, coraz mocniej napiera ciemność.

Unoszę wzrok. Wysoko w górze majaczy i groźnie spogląda na mnie czarny potworny kształt. Wyobrażam sobie sterczącą pośrodku ogromną głowę orła. Ze złożonymi skrzydłami rozgląda się, jakby zamierzał zaraz się wzbicić. Mogę tylko wstrzymać oddech, widząc nad sobą ogromne szpony i skrzydła groźnego górskiego bóstwa.

Później wchodzę w las górujących nad parowem metasekwoi. Tb już nie widać nic. Ciemność jest namacalna jak mur i mam wrażenie, że jeśli postąpię chociażby krok, rozbiję się o nią. Instynktownie odwracam się. Z tyłu między cieniami drzew widać słabiutką lunę światła elektrycznych - mglistość, podobna do skłębionej świadomości, do nieuchwytnych odległych wspomnień. Tb tak, jakbym obserwował skądś z oddali swój cel, który właśnie porzuciłem. Nie ma drogi, przed moimi oczami wiruje skłębiona masa nieunicestwionej świadomości.

Wyciągam rękę, żeby dowieść własnego istnienia, ale nie mogę jej dojrzeć. Udaje się to tylko, kiedy zapalam zapalniczkę, widzę wówczas zbyt wysoko uniesione ramię, jakbym trzymał zapaloną pochodnię. Zapalniczka gaśnie, chociaż nie ma wiatru. Otaczająca ciemność jeszcze bardziej gęstnieje i nie ma granic. Milknie nawet cykanie jesiennych owadów. Ciemność, wdzierająca się w uszy pierwotna ciemność. To w ten sposób człowiek zaczął czuć potęgę ognia, tym samym przemagając wewnętrzny lęk przed mrokiem.

Znowu zapalam zapalniczkę, lecz niewidzialne, nie wiadomo skąd nadciągające podmuchy wiatru zdmuchują tańczący wątlą płomyk. W tej pierwotnej ciemności zaczyna mnie zżerać trwoga, sprawia, że tracę pewność siebie i orientację. Jeśli pójdziesz przed siebie, tłumaczę sobie, wpadniesz w otchłań. I natychmiast zawracam, ale nie trafiam na drogę. Zdobywam się na parę kroków. Pas słabego światła, jak płót rozciągnięty wśród drzew, to pojawia się na chwilę, to znika. Odkrywam, że jestem już w lesie na lewo od drogi, chociaż powinienem mieć drogę po prawej. Zaczynam się rozeznawać, macam. Wpierw powinienem znaleźć tę wysoką szaro-czarną orłokształtną skałę.

Rozpelzająca się mgła sięga ziemi jak zasłona dymna, majaczy w niej ledwie parę światełek. Wreszcie po to tylko wracam do podnóża przytłaczającej czarnej, górującej nad okolicą skały w kształcie orła, żeby nagle odkryć, że szarobiała pierś między złożonymi skrzydłami przypomina starą kobietę w długiej opończy. Nie znać po niej ani śladu życzliwości, jest chyba szamanką. Pochyliła głowę, przez opończę przeziiera zasuszone ciało. U jej stóp klęczy naga kobieta, możesz wyczuć wgłębienie u podstawy jej kręgosłupa. Klęczy na obu kolanach i rozpaczliwie błaga demona w czarnej opończy. Zaciska złożone dłonie, ramiona odsuwa od ciała, przez co jeszcze bardziej odsłania nagi tors. Rysów twarzy nie widać, lecz prawy profil naprawdę jest piękny.

Długie włosy spadają na lewy bark i ramię. Jeszcze wyraźniej widać teraz przód ciała. Wciąż klęcząc, przysiadła na łydkach i skłoniła głowę; to młoda dziewczyna, bezgranicznie

przerażona, chyba modli się, błaga. Wciąż się przeistacza. Teraz zamienia się w młodą kobietą o zaciśniętych modlitewnie dłoniach, ale wystarczy od niej oderwać wzrok i spojrzeć na nowo, a stanie się wówczas dziewczyną, o jeszcze piękniejszej sylwetce. Przelotnie widać krągłość piersi z lewego profilu, potem ten widok znika.

Wchodzę przez bramę, ciemność pierzcha, jestem znowu w szarym i mglistym świetle lamp elektrycznych. Liście, które jeszcze przetrwały na starych miłorzębach wyrastających z parowu, straciły barwę w świetle tych lamp. Wyraźnie widać tylko jasno oświetlony krużganek i podwinięte okapy.

Idziesz na koniec wioski. Kobieta w średnim wieku, w fartuchu nałożonym na długą suknię, siedzi w kucki nad potoczkiem przed drzwiami i patroszy rybę nie większą od palca. Ostrze noża błyska w świetle płonącego nad potoczkiem sosnowego łuczywa. Dalej kładzie się cień góry, coraz głębszy, tylko na jej szczycie jarzą się jeszcze resztki zachodu. W zasięgu wzroku już nie ma innych domów. Odwracasz się, może sprowadziło cię tutaj to płonące łuczywo. Podchodzisz i pytasz, czy możesz przenocować.

- Ludzie tu często nocują. - Kobieta rozumie, czego chcesz; patrzy na twoją towarzyszkę, o nic nie pyta. Odkłada nóż, wyciera ręce w fartuch i wchodzi do domu. W sieni zapala lampę naftową i niesie.

Idziesz za nią, pod twymi stopami skrzypi podłoga. Piętro wypełnia czysty zapach świeżo ściętej słomy ryżowej.

- Wszystkie pokoje na górze są wolne, przyniosę jakąś pościel. W górach bywa noca zimno. - Kobieta stawia lampę na parapecie i schodzi na parter.

Ona mówi, że nie chce spać na parterze, mówi, że się boi. Mówi, że nie chce spać w tym pokoju co ty, bo tego też się boi. Więc zostawiasz jej lampę, stertę słomy ryżowej na podłodze częstujesz kopniakiem i idziesz do sąsiedniego pokoju. Mówisz, że nie lubisz spać na łóżku z desek, lecz zawinięty w słomę. Mówi, że będziecie mogli rozmawiać przez ścianę, że będzie spała z głową przy twojej. Drewniane przepierzenie nie sięga sufitu, więc możesz patrzeć na krąg światła na krokwiach w jej pokoju.

- Istny rarytas - mówisz.

Prosi o gorącą wodę, kiedy gospodyni wraca z pościelą.

Kobieta przynosi drewniany kubełek z wrzątkiem. Potem słyszysz zasuwkę w drzwiach.

Rozbierasz się do pasa, zarzucasz na ramiona ręcznik i schodzisz na dół. Światła nie ma. Zapewne jedyna w domu lampa naftowa pali się u niej, na górze. W kuchni przy piecu krząta się gospodyni. Pozbawiona wyrazu twarz, widziana w świetle otwartego pieca, złagodniała. Płonąca słoma trzeszczy, czujesz aromat gotującego się ryżu.

Bierzesz wiadro i schodzisz do potoczku. Ze szczytu znikają pozostałości zachodu słońca, spływa z góry mglistość zmierzchu. Na czystej, pomarszczonej wodzie widać drobiny światła - wzeszły gwiazdy. Rechoczą jakieś żaby.

Z naprzeciwka, z głębi cieni góry słyszysz śmiech dzieci z drugiego brzegu potoczku. To tam są pola ryżowe. Wydaje ci się, że w cieniach góry widzisz klepisko, ten splącheć do młócenia ryżu, a dzieci pewnie się bawią w chowanego. W gęstym mroku, gdzieś w cieniach góry poprzedzielanych polami ryżowymi śmieje się na klepisku duża dziewczyna. To ona, ona jest naprzeciwko w ciemnościach - odżyła zapomniana przeszłość; któregoś dnia któreś z tego tłumu dzieciaków podobnie przypomni sobie dzieciństwo. Któregoś dnia piskliwy głos chłopca wywrzaskującego zawadiackie nonsensy obniży się, stanie gardłowy, dudniący, po jego bosych stopach tupocących po kamieniach klepiska pozostanie tylko mokry ślad, a chłopak porzuci dzieciństwo, żeby wkroczyć w szeroki świat, w wielki świat. Słyszysz ten tupot stóp po czarnym bruku. Dzieciak nad stawem, który z babcinego bębenka do haftowania zrobił sobie holownik. Kiedy babka krzyczy, dzieciak odwraca się i ucieka i słychać tupot bosych nóg na kocich łbach. Znowu widzisz jej plecy, długi, czarny, pojedynczy warkocz, w wąskiej uliczce. Na uliczkach Wuyizhen, wzdłuż których płynie woda, hula zimowy lodowaty wiatr. Ona niesie wiadro wody na nosilkach, idzie po bruku szybkim drobnym krokiem, wiadro wpija się w jej młode delikatne ramię, ugniata jej ciało aż do pasa. Kiedy dziewczyna zatrzymuje się, boją zawołałeś, z rozkołysanego wiadra woda tryska na czarny bruk. Dziewczyna odwraca się, żeby się do ciebie uśmiechnąć, potem idzie jeszcze szybszym kroczkiem. Nosi płócienne purpurowoczerwone buty. W ciemności dzieci śmieją się i pokrzykują. Głosy brzmią donośnie, chociaż nie potrafisz wyobrazić sobie, co krzyczą, i wydaje się, że wrzawę mnożą warstwy echa. Jest tak, że w tej chwili wszystko odżywa, Yaya...

W jednej chwili twoje wspomnienia z dzieciństwa stają ci przed oczami jak żywe, bez upiększeń. Ryk nurkujących bombowców, pikowanie, potem czarne skrzydła podrywają się nagle i gdzieś odlatują. Tulisz się do matki pod dziką jujubą, matczyną bluzkę dra kolczaste gałęzie, odsłaniając pulchne ramiona. Potem znowu twoja mama. Niesie cię. Lubisz, kiedy cię tuli, ma wielkie obwisłe piersi. Specjalnie dla ciebie sypie sól na warstewkę ryżu przylegającą do ścianek garnka, rozkosznie przypieczoną na brązowo. Bardzo lubisz spędzać czas w jej kuchni. Czerwone rozbłyski w ciemności to ślepia pary królików, które hodujesz.

Jednego rozszarpała w klatce łasica, drugi przypadł. Później znalazłeś go w nocniku, w ubikacji na tylnym podwórku, leżał w urynie, futro pokrywały nieczystości. Na tylnym podwórku ze sterty potłuczonych dachówek i cegieł wyrastało drzewo, dachówki porastał mech. Mogłeś patrzeć w górę na konar rosnący do wysokości muru i nie wiesz, jak drzewo wyglądało później, kiedy przerosło mur. Wiedziałeś, że wspiawszy się na palce, możesz dosięgnąć dziupli w pniu; wrzucałeś tam kamienie. Ludzie twierdzą, że drzewa czują, a demony drzew są równie wrażliwe jak ludzie i nie lubią łaskotania. Jeżeli coś wrzuciłeś do dziupli, drzewo mogło zatrząść się ze śmiechu, jak ona, kiedy połaskotałeś ją pod pachami, natychmiast odskakiwała i śmiała się do utraty tchu. Zawsze pamiętasz ten okres, kiedy zmieniała zęby.

- Szczerbata, szczerbata, a na imię ma Yaya!

Dostawała szału, kiedy wyzywałeś ją od szczerbatych, i odchodziła naburmuszona.

Ziemia wylatuje w powietrze, podobna do całunu czarnego dymu, i opada wszystkim na głowy, matka zrywa się na równe nogi, obmacuje cię; nic ci nie jest. Lecz potem słyszysz przeciągły, świdrujący lament, to inna kobieta, wydaje z siebie coś nieludzkiego. Potem trzęsiesz się na nie mającej końca górskiej drodze, na pace ciężarówky krytej brezentem, wciśnięty między bagaż i nogi dorosłych, z nosa ściekają ci krople deszczu. W pizdę mać, wszyscy złażą, żeby popchnąć ciężarówkę. Koła buksują, błoto bryzga wszystkim w twarz. W pizdę mać, mówisz, małpując kierowcę, to pierwsze w życiu przekleństwo, które podchwyciłeś, a klniesz, bo błoto wessało ci but. Yaya... Dziecięce okrzyki wciąż dobiegają z klepiska, smarkacze śmieją się i krzyczą, chyba się gonią. Lecz twego dzieciństwa już nie ma, mierzysz się tylko z mrocznym cieniem, rzucanym przez górę...

Przychodzisz pod jej drzwi i błagasz, żeby otworzyła. Mówi, żebyś nie robił hałasu, zostaw sprawy, jakimi są, ona nie narzeka. Potrzebuje spokoju, chce być wolna od pożądania, potrzebuje czasu, zapomnienia, potrzebuje zrozumienia, nie miłości, szuka kogoś, przed kim mogłaby otworzyć serce, wylać to, co się nagromadziło, tego potrzebuje. Ma nadzieję, że nie zechcesz zniszczyć tych dobrych stosunków, właśnie zaczyna ci ufać, mówi, że chce z tobą podróżować, zawędrować wprost na Lingshan. Jest mnóstwo czasu, żeby się zbliżyć, lecz żadną miarą teraz. Prosi, żebyś wybaczył, ale nie chce, nie może.

Mówisz, że to co innego. Wypatrzyłeś słabe światełko sączące się ze szpary w ścianie. Prócz was dwojga jeszcze ktoś jest na piętrze. Prosisz, żeby przyszła i zobaczyła.

Mówi, nie! Nie próbuj mnie nabierać. Nie próbuj oszukiwać ani straszyć w ten sposób.

Mówisz, że przez szparę migoce światełko. Jesteś całkiem pewien, że za ścianą jest jeszcze jedno pomieszczenie. Wychodzisz z pokoju i potykasz się o wiązki słomy na podłodze.

Uniesioną ręką sięgasz dachówki, dalej musisz się schylać pod skośnym stropem.

- Są tu jakieś drzwiczki - mówisz, szukając po omacku.

- Co widzisz? - Nie wychodzi ze swego pokoju.

- Nic, lite drewno, bez spojeń, och, jest tu zamek.

- Naprawdę można się przestraszyć - dobiega jej głos zza drzwi.

Wracasz do pokoju i spostrzegasz, że możesz ustawić na stercie słomy wielki bambusowy cebrzyk do góry dnem, stanąć na nim i wspiać się na krokiew.

- Mów szybko, co widzisz? - pyta z niepokojem.

- Ołtarzyk, na nim palącą się lampę oliwną - mówisz. - Przytwierdzony do ściany szczytowej. Jest też pamiątkowa tablica. Widocznie gospodyni to szamanka i wywołuje tu duchy zmarłych. Duchy żywych bywają opętane, ci żywi wpadają w trans, a duchy zmarłych potrafią do nich przylgnąć i mówić ich ustami.

- Przestań! - błaga. Słyszysz, jak po ścianie osuwa się na podłogę.

Mówisz, że ta kobieta nie zawsze była szamanką, za młodu niczym nie różniła się od rówieśnic. Lecz kiedy dobiegała dwudziestu lat i pożałowała namiętnej miłości mężczyzny, jej mąż zginął zmiażdżony.

- Jak zginął? - pyta cicho.

Mówisz, że pewnej nocy wybrali się z kuzynem do lasu należącego do sąsiedniej wioski, żeby ukradkiem ścinać kamforowce. Właśnie drzewo miało runąć, kiedy jej mąż potknął się przypadkiem o korzeń i stracił orientację. Drzewo głośno trzeszczało, on zaś zamiast uciekać, biegł w jego stronę, tam, gdzie miało upaść. Nim zdążył krzyknąć, był już miazgą.

- Słuchasz? - pytasz.

- Słucham - odpowiada.

Mówisz, że przerażony kuzyn niemal postradał zmysły i uciekł, nie mając odwagi zdać sprawy z wypadku. Na nosilkach mężczyzny, który przynosił z góry węgiel drzewny, młoda

kobieta zobaczyła jutowe buty; węglarz szukał kogoś, kto zdoła rozpoznać ciało. Jakżeż dziewczyna mogłaby nie rozpoznać czerwonego sznurka, który sama wplotła w zelówki i obcasy, kiedy robiła te buty? Upadła i tłukła głową o ziemię. Toczyła z ust pianę, tarzała się i krzyczała: Niech wszystkie duchy zmarłych i skrzywdzonych powrócą, niech się tu zjawia!

- Mnie także chce się krzyczeć - mówi.

- To krzycz.

- Nie mogę.

Mówi żałośnie stłumionym głosem. Nawołujesz ją żarliwie, lecz wciąż zza ściany mówi nie. A jednocześnie wciąż chce, żebyś opowiadał.

- O czym?

- O niej, kobiecie, która oszalała.

Mówisz, że kobiety z wioski nie umiały sobie z nią poradzić. Musiało na niej usiąść paru mężczyzn i wykręcić jej ręce, zanim udało się ją związać. To wtedy zwariowała, przepowiadała wciąż klęski, które spadną na wioskę. Przepowiedziała, że matka Ximao zostanie wdową, co się sprawdziło.

- Ja także pragnę zemsty.

- Na kim? Tym twoim chłopcu? Na kobiecie, z którą przeżył przygodę? Chcesz, żeby się jej pozbył, po tym, kiedy tak się nią cieszył? Żeby ją tak potraktował jak ciebie?

- Mówił, że mnie kocha, że z tamtą tylko zaszalał.

- Jest młodsza? Ładniejsza od ciebie?

- Ma całą twarz w piegach i wielkie usta!

- Jest bardziej seksowna od ciebie?

- Mówił, że jest nieokiełznana, gotowa na wszystko, chciał, żebym była jak ona!

- Tb znaczy?

- Nie bądź wścibski!

- Więc wiesz o wszystkim, co zaszło między nimi?

-Tak.

- Więc ona wie o wszystkim, co zaszło między wami?

- Och, przestań już o tym mówić.

- A o czym mam z tobą mówić? O szamance?

- Naprawdę chce się zemścić!

- Jak ta szamanka?

- A jak się zemściła?

- Wszystkie kobiety bały się jej klątw, ale mężczyźni lubili z nią gwarzyć. Uwodziła ich, a potem porzucała. Później upudrowała twarz, zbudowała ołtarzyk i jawnie spraszala duchy i zjawy. Wszyscy się jej bali.

- Dlaczego tak się stało?

- Powinnaś wiedzieć, że kiedy miała sześć lat, zaręczono ją z nie narodzonym dzieckiem; jej mąż żył na razie w macicy jej teściowej. W wieku dwunastu lat wprowadziła się do domu męża jako oblubienica; jej mąż był wtedy sześciolatkiem ze smarkami u nosa. Kiedyś, wprost na tych deskach na górce, na słomie zgwałcił ją teść. Właśnie skończyła czternaście lat. Później ogarniało ją przerażenie, ilekroć sam na sam zostawała z nim w domu. Jeszcze później próbowała przytulankę z młodzieńkiem mężem, lecz chłopczyk tylko gryzł jej sutki. Trudne to było czekanie, aż mąż zdoła założyć na ramiona nosiłki, nauczy się rąbać drewno i orać, w końcu osiągnie wiek męski i pojmie, że ją kocha. A potem zmiażdżyło go. Teściowie byli starzy, całkowicie od niej zależni w uprawie pola i utrzymaniu domu; nie odważyliby się żądać od niej powściągliwości, zanim znów wyjdzie za mąż. Teściowie już nie żyją, kobieta naprawdę wierzy, że może się porozumiewać z duchami. Jej błogosławieństwo może przynieść pomyślność, klątwy klęskę, więc rozsądne wydaje się, że ściąga od ludzi trociczkowe. Najbardziej zdumiewające, że kiedyś wprawiała w trans dziesięcioletnią dziewczynkę, a poprzez nią ściągnęła dawno zmarłą babkę, której dziecko nigdy nie widziało; sprawiła, że babka przemówiła przez usta dziewczynki. Ludzie, którzy na to patrzyli, dosłownie skamieniali...

- Chodź do mnie, boję się - błaga.

Na brzegach Caohai, skąd wypływa rzeka Wu, zjawiam się w dniu chmurnym i dojmująco zimnym. Ostatnio na brzegu jeziora wzniesiono niewielką budowlę - to nowa administracja rezerwatu. Dzięki podwyższonym kamiennym fundamentom odosobniony budynek góruje nad ogromnym obszarem bagien. Wąska drożyna wiodąca do niego to zaledwie pasmo rozmięklej gliny. Jezioro znacznie się cofnęło, lecz tam, gdzie było, wciąż rosną tu i ówdzie rzadkie kępy trzcin. Wchodzę po kamiennych schodach z boku budynku, który mieści parę pokoi o przestronnych oknach i obfitości dziennego światła. Wszędzie piętrzą się okazy ptaków, ryb, pelzających owadów.

Kierownik administracji rezerwatu jest postawnym mężczyzną o szerokiej twarzy. Włącza grzejnik elektryczny, parzy herbatę w wielkim emaliowanym czajniku, siada na kaloryferze i zaprasza, żebym się zagrzał i napił herbaty.

Opowiada, że mniej więcej dziesięć lat temu las porastał góry okalające to wyżynne jezioro, ciągnął się setkami kilometrów. Dwadzieścia lat temu ciemny gęsty las podchodził do brzegów, ludzie zaś często spotykali tygrysa. Teraz wzgórze odarto, doszczętnie wyłuskały, brak już drewna opałowego pod kuchnię, nie mówiąc o ogrzewaniu. Zwłaszcza że przez ostatnich dziesięć lat wiosną i zimą bardzo się ochłodziło. Mrozy nastają wcześniej, wiosną panuje dojmująca susza. Podczas rewolucji kulturalnej nowy powiatowy komitet rewolucyjny postanowił wdroić nową inicjatywę: odwodnić jezioro i zamienić w pola uprawne. W powiecie zmobilizowano do robót sto tysięcy cywilów, wryto eksplozjami rowy melioracyjne, wzniesiono mury oporowe, żeby uprawiać tę część jeziora. Lecz to nie takie proste, osuszyć dno jeziora, powstające z osadów od paru milionów lat. Tego roku przeszło nad jeziorem tornado, miejscowi zaś mówili, że Czarny Smok z Caohai nie mógł wytrzymać i odleciał. Dzisiaj jezioro jest jedną trzecią tego, czym było kiedyś, jego obrzeże to bagna, nie sposób tego ani osuszyć, ani przywrócić do stanu pierwotnego.

Przy oknie stoi potężna luneta; odległa o parę kilometrów woda widziana przez szkła wydaje się przestworem olśniewająco białym. To, co gołe oko rejestruje jako ledwie widoczny cień, okazuje się łodzią. Na dziobie stoi dwóch ludzi, twarze są jednak nierozpoznawalne. Na rufie kręci się jeszcze jeden, chyba zarzuca sieć.

- Nie da się upilnować takiego akwenu. Zanim człowiek tam dotrze, po nich dawno nie będzie śladu - mówi.

- Nie brak tu ryby? - pytam.

- Można bez trudu łowić siecią setki i tysiące jinów ryb. Rzecz w tym, że wciąż używają materiałów wybuchowych. Ludzie są tacy chciwi, beznadziejna sprawa. - Kierownik administracji rezerwatu kręci głową.

Mówi, że w latach pięćdziesiątych zjawił się tu z Szanghaju, na ochotnika, człowiek z zagranicznym doktoratem, pełen entuzjazmu. Ściągnął ze sobą czterech magistrów biologii i biologii morza; założył na brzegu jeziora Caohai stację, gdzie z powodzeniem hodował nutrie, gronostaje, gęsi pstrągowe oraz parę gatunków ryb i ptaków wodnych. Zirytował jednak kilku kłusujących chłopów i pewnego dnia, kiedy szedł polem zboża, trafił w zasadzkę; schwytali go i zawiązali mu oczy. Na szyi zawiesili koszyk z ziarnem, oskarżyli o kradzież zboża i bili, aż zaczął pluć krwią. Działacze komitetu powiatowego nie stanęli w obronie intelektualisty, który zresztą zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Rozprawiono się ze stacją hodowlaną; nutrie podzielono między rozmaite organy komitetu powiatowego i zjedzono.

- Czy miał jakąś rodzinę? - pytam.

- Chyba nikt nie wie, studentów, którzy z nim pracowali, dawno temu przeniesiono, mieli wykładać na uniwersytetach w Chongajngu i Guiyangu.

- I od tej pory nikt się nie zainteresował sprawą?

Mówi, że dopiero podczas porządkowania jakichś starych archiwów w powiecie odkryto jego notesy, około dziesięciu. Zawierają sporo spostrzeżeń dotyczących ekologii jeziora Caohai. Facet badał skrupulatnie i szczegółowo, wiedział, co pisze. Jeśli jestem ciekaw, może mi te notatki pokazać.

Nie wiadomo skąd dobiega głuchy odgłos, podobny do przejmującego starczego kaszlu.

- Co to za hałas? - pytam.

- Żurawie - odpowiada.

Prowadzi mnie na dół. W przyziemi, w pomieszczeniu dla zwierząt stoi za metalowym ogrodzeniem czerwono-głowy żuraw wysoki na metr i kilka żurawi szarych. Od czasu do czasu wzniesają ów głuchy wrzask. Mówi, że żuraw o czarnej szyi skaleczył nogę, złapano go, żeby wyleczyć. Szare żurawie to ledwie opierzone tegoroczne młode, zabrane tu z gniazda, zanim nauczyły się latać. Późną jesienią ściągają tu klucze żurawi, żeby przezimować, widywano je wszędzie, wśród trzciny i na polach. Później niemal doszczętnie je wybito. Po założeniu rezerwatu przyleciało tu w przedostatnim roku ponad sześćdziesiąt, w zeszłym ponad trzysta żurawi czarnoszyich, a jeszcze więcej szarych. Tylko te czerwono-głowe jeszcze nie zaczęły wracać.

Pytam, czy mogę wypłynąć na jezioro. Mówi, że jeśli jutro będzie słońce, napompuje gumową łódkę i zabierze mnie na wodę. Dzisiaj za mocno wieje i jest za zimno.

Żegnaj się i ruszaj w stronę jeziora.

Idę ścieżką przecinającą zbocze góry i wychodzę na wioskę, siedem czy osiem domów. Krokwie i podpory są kamienne. Jedyne drzewa to te, które rosną w obejściach, na podwórkach i przed domami, cienkie pnie, o średnicy nie większej niż miski na ryż. Wyobrażam sobie ten gęsty las, który parędziesiąt lat temu rósł zapewne aż na skraju wioski.

Schodzę nad jezioro i wędruję ziemnym wałem między grzęzawiskami. Jest za zimno, żeby zdjąć buty, lecz z każdym krokiem wał jest miększy, a buty oblepia coraz grubsza warstwa błota. Dalej kończy się już twardy grunt. Przy brzegu jest łódź i jest chłopiec. Trzyma wiaderko i wędkę. Chcę dobrać do niego i pomóc zepchnąć łódź.

- Spychasz tę łódź na jezioro?

Bosy, zawiął nogawki nad kolana, wygląda na trzynaście, czternaście lat. Patrzy gdzieś obok mnie, ponad mną, jakbym w ogóle nie istniał. Obracam się i widzę, że z dali, z wioski ktoś macha do niego. W kolorowej bluzie, chyba dziewczyna. Podchodzę do chłopca jeszcze o krok. Buty grzęzną mi w błocie.

- Ai-yi-ya-yo... - Nie rozumiem okrzyku z oddali, ale głos brzmi czysto i pięknie. Widocznie dziewczyna woła chłopca. Ten, z wędką, przemyka tuż koło mnie.

Bardzo trudno podejść dalej, ale skoro dobrałem do jeziora, muszę się na nim znaleźć i rozejrzeć. Od łodzi dzieli mnie najwyżej dziesięć kroków. Muszę po prostu postawić stopę tam, gdzie stał chłopiec, w tym miejscu widocznie nie jest tak grząsko i zdołam wsiąść do łodzi. Bambusowy bosak leży na dziobie, dostrzegam już wodne ptaki muskające wodę między trzciny. To pewnie dzikie kaczki, chyba pokrzykują. Zerwał się wiatr od brzegu, słyszę więc dalekie nawoływanie, ale nie słyszę ptaków z pobliza.

Myślę, że gdybym zdołał wypchnąć łódź z trzciny, wydostałbym się na ów przestwór wodny, mógłbym samotnie dryfować na środku samotnego jeziora na wyżynie. Nie musiałbym nic do nikogo mówić. Nie byłoby źle tak po prostu roztopić się, zniknąć w tym pięknym widoku jeziora i gór, gdzie jednoczą się niebo i woda.

Wyciągam nogę i stawiam jeszcze jeden krok. Grzęznę w błocie po łydkę. Nie śmiem przenieść ciężaru ciała na tę wykroczną nogę, bo wiem, że jeśli zapadnie się powyżej kolana, mogę nie wydobyć się z bagna. Nie śmiem poruszyć zakrocznej nogi. Nie mogę ruszyć się ani do przodu, ani do tyłu, znalazłem się w kłopotliwym położeniu. Rzecz jasna, sytuacja absurdalna, ale w istocie wcale nie, fakty bowiem są takie, że nikt mnie nie widzi, nikt się nie śmieje, i co gorsza, nie mogę liczyć na ratunek.

Może widzą mnie przez lunetę na piętrze tego niewielkiego budynku administracji rezerwatu, jak ja obserwowałem stamtąd ludzi na łodzi. Lecz w obiektywie byłbym nieznaczącą, kręcącą się postacią, zbyt drobną, o nierozpoznawalnej twarzy. Nawet jeśli porządnie nastawią ostrość, pomyślą tylko, że to chłop, który spuszcza na wodę łódź, żeby trochę dorobić.

Z samotnego jeziora uciekły nawet wodne ptaki. Oślepiająca powierzchnia wody nieuchwytnie staje się mglista, z trzciny sunie pomrok, chłód ciągnie spod nóg. Przemarzę, nie cykają tu żadne świerszcze, nie skrzeczą żaby. Czy to możliwe, że ta pierwotna samotność nie kryje żadnych znaczeń, których szukam?

W tę zimną późnojesienną noc gęste i nieprzeniknione ciemności spowijają bez reszty ów pierwotny chaos; niebo nie różni się od ziemi, drzewa od skał, nie sposób też odróżnić od nich drogi; możesz tylko tkwić obezwładniony, możesz - wychylony do przodu - sondować rozłożonymi rękami, macać w tej gęstej nieprzeniknionej nocy; słyszysz, że to jest w ruchu, ale to nie pędzone wiatrem powietrze, lecz ciemność wyzbyta góry i dołu, lewa i prawa, odległości i ciągłości; jesteś całkowicie wtopiony w ten chaos, świadom jedynie tego, że posiadałeś niegdyś zarys ciała, lecz teraz ów zarys gwałtownie zniknął z twojej świadomości; z twego ciała promieniuje światło, przyćmione, podobne do świecy w mroku, światło płomienia, który rozjaśnia, lecz nie ogrzewa, zimne światło wypełniające twe ciało, przeświecające przez zarys twego ciała i przez zarys twego ciała w twojej świadomości; przygarniasz je, koniecznie pragniesz ustrzec tę świetlną kulę, tę lodowatą i przezrystą świadomość; potrzeba ci tej zmysłowości, bardzo chcesz ją uchronić; ukazuje ci się spokojne jezioro, na drugim brzegu jest las, drzewa, które pogubiły wszystkie liście, i takie, które nie pogubiły wszystkich; są żółte liście na wysokiej topoli i jasnożółte dwa listki na czarnych gałęziach drżącej jujuby; wysokie jasnoczerwone mirtowce, niektóre gęste, inne rzadkie, są jak kule mgły; na jeziorze ani zmarszczki, tylko refleksy czyste i wyraźne, o nasyconych barwach, wielu odcieniach, od ciemnej do jasnej czerwieni przez oranż, jasną żółć do atramentowej zieleni, szarego brązu, do bieli przełamanej błękitem; nagle to blaknie po uważnym wpatrzeniu się, nabiera innych odcieni, szarości, czerni, bieli, blaknie jak stara fotografia; masz teraz przed oczami obrazy jaskrawe, lecz zamiast znaleźć grunt pod nogami, przenosisz się w inny wymiar, z zapartymi tchem wpatrujesz się w obrazy będące dziełem twego umysłu; to takie ciche i łagodne, niepokojąco ciche i łagodne, czujesz, że to sen, nie ma powodu do niepokoju, a przecież niepokoisz się, trudno i darmo, to aż niesamowicie ciche i łagodne.

Pytasz, czy miewa zwidy.

Mówi, że tak.

Pytasz, czy widzi łódź.

Mówi, że dzięki łodzi jezioro wydaje się jeszcze cichsze i łagodniejsze.

Nagle słyszysz jej tchnienie, sięgasz, by jej dotknąć, twoja ręka błądzi po jej ciele, ona powstrzymuje cię, ujmujesz jej przegub i przyciągasz ją do siebie, obraca się, kuli w twoich ramionach, zaciągasz się ciepłem jej włosów, wpatrujesz się w jej wargi, chce się odsunąć, jej ciepłe ciało jest pełne życia, serce łomocze pod twoim dotknięciem.

Mówisz, że chcesz, by łódź zatonała.

Mówi, że łódź nabrała wody do pełna.

Rozwierasz ją i wchodzisz w jej wilgotne ciało.

Wiedziała, że to tak będzie, wzdycha, jej ciało rozluźnia się, jakby wyzbyła się kości.

Chcesz, żeby powiedziała, że jest rybą!

Nie!

Chcesz, żeby powiedziała, że jest wolna.

Ach, nie.

Chcesz, żeby się zanurzyła, zapomniała o wszystkim.

Mówi, że się boi.

Pytasz, czegoż się boi!

Mówi, że nie wie, potem mówi, że lęka się mroku, utonięcia.

Płonące policzki i migocący płomień zostają nagle pochłonięte przez mrok, ciała wiją się i obracają, mówi, żebyś nie był tak szorstki, krzyczy, że sprawiasz jej ból! Szamocze się, krzyczy, że jesteś zwierzę! Została wytropiona, złowiona, rozerwana na strzępy, pożarta. Ach... ów gęsty namacalny mrok, pierwotny chaos, bez nieba, ziemi, przestrzeni, czasu, bez istnienia, bez nieistnienia, bez istnienia oraz nieistnienia; nieistnienie istnieje, zatem istnieje nieistnienie istnienia, nieistnienie istnienia istnieje, zatem istnieje nieistnienie nieistnienia; żarzący się węgiel drzewny, wilgotne oko, otwarta jama, wznoszący się wyziew, płonące wargi, głębokie pomruki; człowiek i zwierzę odwołują się do pierwotnego mroku; leśny tygrys w męczarniach, pożądający; płomień rozbłyska, ona krzyczy i płacze; zwierzę kąsa, ryczy, owładnięte przez duchy rzuca się, skacze, krąży wokół ognia, który płonie coraz jaśniej, nietrwałym, wyzbytym formy płomieniem. W spowitej mgłą jamie toczy się zażarta bitwa, skoki, wrzaski, wycie, duszenie i pożeranie... Złodziej ognia umyka, pochodnia niknie w

oddali, pograża się w ciemności, wciąż maleje, aż wreszcie płomień nie większy od ziarenka fasoli łopecze w zimnym podmuchu i w końcu gaśnie. Boję się, mówi.

Czego się boisz? pytasz.

Niczego, chcę tylko powiedzieć, że się boję.

Niemądre dziecko,

Drugi brzeg,

Co mówisz?

Nie zrozumiesz, Kochasz mnie?

Nie wiem,

Nienawidzisz?

Nie wiem,

A czy kiedyś wiedziałaś?

Tyle tylko wiedziałam, że ten dzień nadejdzie prędzej czy później,

Jesteś szczęśliwa?

Jestem twoja, czule mówi do mnie, opowiedz o ciemności, Pangu wykuł swój wielki topór, rozszczępiacz nieba,

Nie opowiadaj o Pangu,

To o czym?

Opowiedz o łodzi,

Łódź niemal zatoneła,

Niemal, lecz nie zatoneła,

Czy w końcu zatoneła?

Nie wiem.

Naprawdę, dzieciak z ciebie.

Opowiedz mi jakąś historię,

Kiedy nastał potop, na całym świecie ocalała jedna jedyna łódeczka, byli w niej brat z młodszą siostrą, nie mogli znieść samotności i tulili się do siebie, bo tylko ciało tego drugiego było rzeczywistością, tylko dzięki niemu mogli się upewnić, że istnieją.

Kochasz mnie,

Dziewczyne uwiódł wąż,

Wąż jest mym starszym bratem.

Śpiewak narodowości Yi prowadzi mnie do paru osad Yi w paśmie górskim za jeziorem Caohai. Tam dalej w górach wzgórza są bardziej krągłe, lasy bujniejsze. Mają coś z pierwotnej kobiecości.

Kobiety Yi, smagłe, o wysokiej nasadzie nosa i mocno skośnych oczach, są bardzo piękne. Rzadko patrzą na obcego wprost, a w razie spotkania na górskiej ścieżce spuszczały oczy, milczą i usuwają się, żeby zrobić przejście.

Mój Yi śpiewa mi wiele pieśni Yi. Każda, zdaje się, jest smutna i ma wyciskać lzy, nawet miłosna.

Kiedy księżyc nie ma Nie bierz pochodni,
Gdybyś wziął pochodnię Księżycowi pięknie serce.
Kiedy kwitną warzywa
Nie bierz kosza, żeby naciąć warzyw,
Gdybyś wziął kosz, żeby naciąć warzyw Tym kwiatom pięknie serce.
Jeśli cię przyrzeczono dziewczynie, która cię kocha Nie uganiaj za inną,
Gdybyś uganiał za inną,
Dziewczynie pięknie serce.

Mówi, że wśród Yi małżeństwo wciąż jest wynikiem rodzicielskich pertraktacji. Młodzi zakochani mogą się spotykać tylko potajemnie, w górach. Jeśli zostaną odnalezieni, rodzice muszą ich zabrać do domu. W przeszłości karano ich śmiercią.

Turkawka i kurczak szukają razem strawy Kurczak ma właściciela, turkawka zaś nie ma.

Jeśli właściciel bierze kurczęta do domu Turkawka zostaje sama jak palec.
Dziewczyna i chłopiec razem się bawią Dziewczyna ma właściciela, chłopak nie ma.
Jeśli właściciel zabierze dziewczynę do domu,
Chłopak zostaje sam jak palec.

Nie może śpiewać tych pieśni przy żonie i dzieciach, przychodzi więc do gościńca, w którym się zatrzymałem w powiatowym miasteczku. W pokoju, za zamkniętymi drzwiami, śpiewa mi cicho te pieśni w języku yi i przekłada.

Nosi długą szatę z szeroką przepaską, ma szczupłą twarz i smutne oczy. To jego dzieło, przekłady tych pieśni na chiński język Hanów; szczerłość słów płynie wprost z serca. Jest urodzonym poetą.

Mówi, że jest stary, chociaż różnimy się wiekiem nieznacznie. Mówi, że nie jest już w stanie nic zrobić, jestem bardzo zdziwiony. Mówi, że ma dwoje dzieci, dwunastoletnią córkę i siedemnastoletniego syna, i musi na nie pracować. Później idę odwiedzić go w domu, w górskiej zagrodzie. Chlew łączy się z główną izbą, hodują dwie świny. W środku domu dymi palenisko, a łóżko w izdebce zasłane jest usmoloną, cienką, obszarpaną i starą kołdrą watowaną bawełną. Jego żona cierpi na jakąś chorobę, więc życie jest dla niego nie lada ciężarem.

Zabiera mnie także na spotkanie z *bimo*, kapłanem Yi. Paroma ciemnymi i ciasnymi przejściami dochodzimy na okolone domostwem podwóreczko. Otwiera bramę, nawołuje, a kiedy natychmiast odzywa się donośny głos męski, otwiera drzwi i każe mi wejść. Mężczyzna w długiej niebieskiej szacie wstaje zza stołu pod oknem. Ma szeroką przepaskę i czarny zawój na głowie.

W języku yi przedstawia mnie kapłanowi, potem opowiada mi o nim. *Bimo* pochodzi z wielkiego klanu z Kele, miejscowości leżącej wysoko w górach. Został tu ściągnięty na dół, żeby odprawiać rytuały dla Yi z powiatowego miasta. Ma pięćdziesiąt trzy lata. Bez mrugnięcia wpatruje się we mnie jasnymi i czystymi oczami. Nie świadczy to jednak o nawiązaniu kontaktu. Chociaż utkwił we mnie spojrzenie, widzi coś, co jest gdzie indziej, w jakimś lesie lub świecie ducha.

Siadam przy stole naprzeciw *bimo*, śpiewak zaś wyjaśnia, dlaczego przychodzi. *Bimo* przepisuje świętą księgę w języku yi, maluje pędzelkiem jak Chińczyk Han. Słucha, kiwa głową, wyciera pędzelek, zakłada skuwkę, wreszcie zamyka skrzyneczkę z przyborami do pisania. Potem, starannie ułożywszy przed sobą księgę zapisaną pędzelkiem na żółtawym czerpanym papierze, zagląda na początek rozdziału i nagle zaczyna śpiewać. Ma głos zbyt mocny jak na to małe pomieszczenie. Zaczyna od wysokiego, równo podtrzymywanego tonu, potem głos zaczyna oscylować między trzecim i piątym dźwiękiem

skali, co natychmiast przenosi słuchacza na płaskie tarasy na wyżynie. Ten jego głos musi się nieść naprawdę daleko.

Za nim, za oknem tego zimnego pokoju jasno świeci słońce i nie szczędzi blasku błotnistemu podwórku. Kogut przekrzywia głowę, jakby uważnie słuchał, ale oswojony ze śpiewem już się nie dziwi, znowu opuszcza łeb i wraca do dziobania w ziemi. Uważa, że śpiewy ze świętych ksiąg tak właśnie winny brzmieć.

Pytam śpiewaka, co śpiewa kapłan. W odpowiedzi słyszę, że żałobny tren został zapisany w starożytnym języku yi i że on sam nie wszystko rozumie. Wypytywałem go wcześniej o obrzędy weselne i żałobne, a zwłaszcza, czy nie nadarzy się okazja obejrzenia ceremonii żałobnych, jakie mi opisywał, dzisiaj bowiem niełatwo zobaczyć taką wspaniałość. *Bimo* śpiewa w wysokim rejestrze, z nieprzerwanym falowaniem *crescendo* i *diminuendo*, głosem wydobywającym się z gardła, uderzającym w tylne podniebienie, przechodzącym przez jamę nosową, zmuszającym tkanę do rezonansu, następnie przekazywanym na zewnątrz, jak wyładowanie, przez czoło. Energia *qi* jest w pełni wykształcona, chociaż znać po niej starzenie się. Słuchając tego śpiewu, mam wrażenie, że widzę tłumy w pochodzie żałobnym: ludzie biją w gongi, bębny, dmą w rogi *suona*, niosą na tykach chorągwie, ludzie i konie z papieru. Kobiety jadą wierzchem, mężczyźni palą ze strzelb.

Widzę też na wieku trumny, spleciony z bambusa i oklejony kolorowym papierem, domek ducha i ogrodzenie z gałęzi. Obok grobu płoną stosy żałobne, każda rodzina klanu, którego członkiem był zmarły, zasiada wokół jednego stosu. Płomienie strzelają coraz wyżej, brzmienie trenu wstrząsa nocnym powietrzem. Ludzie zrywają się na nogi i tańczą, biją w gongi, bębny, palą ze strzelb. Szloch i lament niosą się w świat. To, że przed odejściem powinni wszcząć wielki jazgot, naprawdę wynika z ich wrodzonego przeświadczenia.

Takie obrzędy nie należą do wyjątków wśród Yi z górskich osad. Na pozostałości tych rytuałów wciąż można trafić w ogromnej delcie Yangzi, na ogół jednak zwulgaryzowały się i gdzieś zaginął sens wszczywania wielkiej wrzawy. Fengdu w prowincji Sichuan, znane jako Miasto Duchów, stanowi pierwotną ostoję starożytnego ludu Ba. Niedawno w powiatowym mieście na pogrzebie ojca dyrektora domu towarowego znalazł się na wieku trumny domek ducha z papierowymi wstążkami. Rowery ludzi, którzy przyjechali na pogrzeb, stały długim szeregiem po jednej stronie bramy, a po drugiej piętrzyły się wieńce, ludzie i konie z papieru. Zespoły muzykantów grały przy drodze na zmianę przez całą noc, lecz pogrążeni w bólu krewni i przyjaciele nie zaśpiewali trenu, nie podnieśli się do żałobnych tańców, grali natomiast w pokera przy karcianych stolikach rozstawionych na podwórzu. Kiedy usiłowałem sfotografować ową współczesną ceremonię żałobną, aparat zatrzymał mi dyrektor, który zażądał okazania uprawnień.

Tu wciąż jeszcze są ludzie, którzy umieją śpiewać treny. W regionach Jingzhou i Jiangling, skąd się wywodzi lud Chu, treny przekazywano tak długo, że przetrwały do dziś. Znane są również jako pieśni bicia w cebrzy, wykonywane przy winie przez wioskowych taoistów. Dowody pisane można znaleźć w *Zhuangzi*. Obchodzący żałobę po żonie Zhuangzi bił w ceber i śpiewał, traktując żałobę jako wydarzenie radosne. Śpiewał, jak sądzę, bardzo głośno.

Dzięki najnowszym badaniom nad ludem Yi znaleziono dowody, że Fuxi, praprzodek ludu Han, posługiwał się tygrysim totemem ludu Yi. Resztki tygrysimich totemów można odnaleźć na terytorium ludu Ba i w całym regionie Chu. Na cegle z czasów dynastii Han, wydobytej w prowincji Sichuan, wryty był wizerunek Królowej Matki Zachodu, którym jest niewątpliwie tygrysica o ludzkiej twarzy. W tej górskiej zagrodzie śpiewaka Yi, za ogrodzeniem ze splecionych prostych gałęzi, zobaczyłem dwoje raczkujących i bawiących się dzieci. Głowy obojga nakryto sukiennymi kapeluszami z wyszytymi czerwonymi tygrysimi łbami, stylistycznie podobnymi do kapeluszy z tygrysim łbem, które widziałem na dziecięcych głowach w górskich obszarach prowincji Jiangxi i na południu prowincji Anhui. Nawet sprytni i inteligentni mieszkańcy Jiangsu i Zhejiang, którzy wywodzą się z dawnych królestw Wu i Yue w dolnym biegu Yangzi, nie wyzbyli się lęku przed tygrysicą. Możliwe, że czczenie tygrysimich totemów w społecznościach matrylinearnych tkwi podświadomie w pamięci ludzi? Historia bywa zadziwiająca; to tylko śpiewy *bimo* brzmią donośnie i jasno.

Proszę śpiewaka, żeby z grubsza przetłumaczył mi tekst. Mówi, że słowa wskazują duchowi zmarłego drogę w podziemiu, opowiadają o bóstwach Nieba i czterech stron świata, o bóstwach gór i rzek, żeby na koniec opowiedzieć, skąd się wywodzą nasi przodkowie. Duch zmarłego, trzymając się wskazanej drogi, potrafi wrócić do krainy przodków.

Pytam też *bimo*, ilu strzelb użyto podczas największej ceremonii pogrzebowej, jakiej przewodził. Przerywa, żeby pomyśleć, a potem, co tłumaczy śpiewak, mówi, że sto. Widział jednak żałobne ceremonie, podczas których strzelano z tysiąca dwustu strzelb. Grzebano wówczas członka rodziny wodza: a pochód prowadził ojciec kapłana. On sam miał wówczas piętnaście lat i poszedł wspomagać ojca. W ich rodzinie funkcję *bimo* się dziedziczy.

Pewien urzędnik narodowości Yi z powiatu z entuzjazmem podstawia małego dżipa, żeby zawiózł mnie do Yancangu, gdzie mam zobaczyć ogromny prastary, „zwrócony ku niebu” grób króla Yi. Jest to okrągły kurhan wysokości pięćdziesięciu metrów z wklęsłym wierzchołkiem. W czasach, w których ludzie oszaleli na punkcie pozyskiwania uprawnej ziemi na rzecz rewolucji, odwalono kamienie z trzypiętrowych umocnień grobu i przerobiono na wapno. Wykopano nawet wszystkie gliniane urny ze szczątkami i wytłuczono, a szczyt kurhanu obsiano kukurydzą. Teraz zostało tylko parę żalonych karłowatych krzaków i wiatr. Badania prowadzone przez Yi wykazały, że groby starożytnego królestwa Ba, opisane w dziele *Dzieje Królestwa Huayang* z czasów dynastii Han, przypominają owe „zwrócone ku niebu” groby ludu Yi. W obu wypadkach kształt grobów wiąże się z rytuałami czczenia przodków i obserwowaniem zjawisk niebieskich.

Zdaniem śpiewaka przodkowie ludu Yi przywędrowali z regionu Aba, z północnego zachodu prowincji Sichuan, i mają tych samych przodków co starożytny lud Qiang. To tam urodził się Wielki Yu, a był on potomkiem ludu Qiang; przyznaję tu rację śpiewakowi. Kolor skóry, rysy oraz postura Qiangów i Yi są bardzo podobne, przybyłem właśnie z tamtego regionu, mówię, i mogę zaświadczyć, że to prawda. Klepie mnie po ramieniu, zaprasza zaraz do domu, żeby się napić, i zostajemy przyjaciółmi. Pytam, czy Yi, kiedy zawiązują przyjaźń, muszą domieszać krwi do trunku. Mówi, że tak, zarzyna się koguta, do trunku ścieka krew. Ponieważ kogut już gotuje się w garnku, musimy poczekać, aż dojdzie, wtedy go zjemy, popijając. Śpiewak ma córkę, która właśnie pojechała do Pekinu na studia na uniwersytecie; prosi, żebym mu pomógł doglądać dziecka. Napisał też scenariusz filmowy oparty na starych, przekazywanych ustnie eposach Yi; jest to, rzecz jasna, historia tragiczna. Mówi, że gdybym pomógł znaleźć producenta, to on pomoże zorganizować oddział jeźdźców Yi potrzebny do nakręcenia filmu. Próbuję zgadnąć, czy należy do Czarnych Yi; kiedyś Czarni Yi stanowili arystokrację i mieli niewolników. Nie zaprzecza. Mówi, że w zeszłym roku był w górach Daliang, tam zaś okazało się, że ma z pewnym miejscowym urzędnikiem Yi wspólnych przodków, sięgając wstecz o z grubsza dziesięć pokoleń, może zresztą kilkadziesiąt, już nie pamięta ile.

Pytam go, czy w przeszłości klanowe reguły były bardzo rygorystyczne, jeśli na przykład mężczyźni i kobiety z tego samego klanu zawierali małżeństwo lub żyli ze sobą, czy obie strony zgładzano? Jeżeli kuzyni w linii żeńskiej zawierali małżeństwo lub żyli ze sobą, czy karano ich śmiercią? Jeśli niewolnik będący Białym Yi i kobieta należąca do arystokracji Czarnych Yi żyli ze sobą, czy mężczyznę zgładzano, a kobieta musiała popełnić samobójstwo?

Mówi:

- Tak, ale czy wśród was, ludu Han, nigdy nie było takich historii?

Jeśli się nad tym zastanowić, to racja.

Słyszałem, że wyrok śmierci samobójczej oznaczał powieszenie się, zażycie trucizny, rozplatanie się, utopienie lub rzucenie się z urwiska, wyrok śmierci przez egzekucję oznaczał zaś uduszenie, zatłuczenie, przywiązanie do głazu i utopienie, zepchnięcie z urwiska bądź zabicie mieczem lub włócznią. Pytam, czy rzeczywiście tak było.

Mówi:

- To się mniej więcej zgadza, ale czy wśród was, ludu Han, nie było tak samo?

Jeśli już o tym pomyśleć, to fakt.

Pytam także, czy stosowano tak okrutne kary, jak odrąbywanie pięt, palców, wydlubywanie oczu, przekłuwanie oczu, odcinanie uszu, przebijanie nosa.

Mówi:

- Wszystko to stosowaliśmy, lecz dawno temu, rzecz jasna. Nie różni się to zbytnio od tego, co się działo podczas rewolucji kulturalnej.

Myślę, że trafił w sedno, poczucie szoku mija.

Opowiada, że w górach Daliang spotkał oficera z Guomindangu, który powiedział:

- Jestem absolwentem Akademii Wojskowej Huangpu z takiego a takiego roku, takiej a takiej specjalności, byłem oficerem liniowym takiej a takiej jednostki takiej a takiej dywizji Armii Narodowej. - Czterdzieści lat temu pojmał go wódz i zrobił niewolnikiem. Oficer uciekł,

lecz znowu został pojmany, dostarczony w kajdanach na targ i sprzedany innemu właścicielowi niewolników za czterdzieści taeli srebra. Później, kiedy nastąpiła partia komunistyczna, miał już status niewolnika i nikt nie wiedział o jego pochodzeniu, dzięki czemu ominęło go parę kampanii politycznych. Dopiero dzisiaj, kiedy już mówi się o współpracy między partią narodową a komunistyczną, opowiedział o swojej przeszłości. Władze powiatu chciały mu nadać tytuł członka komitetu Konsultatywnej Rady Politycznej, ale wymówił się. Jest już po siedemdziesiątce i ma pięcioro dzieci z dwiema niewolnicami, które w czasach niewoli przydzielił mu jego pan. Miał dziewięcioro, lecz czworo zmarło. Ten człowiek wciąż mieszka w górach i nie chce już dochodzić, co się stało z jego byłą żoną i dziećmi. Śpiewak pyta, czy piszę rzeczy fabularne; może mi tę historię oddać za darmo.

Po kolacji wychodzę z domu śpiewaka, a na uliczce ciemno choć oko wykol. Nie ma lamp ulicznych, między okapami domów po obu stronach widać tylko wąskie pasemko szarego nocnego nieba. Gdyby nie to, że dziś był dzień targowy, uliczka byłaby pełna zawojów Yi i chust na głowach Miao. Teraz uliczka niewiele się różni od innych, w innych małych miasteczkach.

W drodze do gościńca mijam kino. Nie wiem, co dzisiaj grają, ale jaskrawe światło pada na dorodne piersi i uwodzicielskie oczy na plakacie. Pewnie film zawiera w tytule słowo „kobieta” lub „miłość”. Jest jeszcze wcześniej i wciąż nie mam ochoty wracać do pustego pokoju z czterema łózkami, nadkładam więc drogi, żeby zajrzeć do domu kogoś, z kim zaprzyjaźniłem się już tutaj, po przyjeździe. Studiował archeologię i z jakiejś racji skierowano go w to miejsce. Nie wypytywałem go, on też nie kwapił się do mówienia, w każdym razie powiedział po prostu, że nie zrobił doktoratu.

Uważa, że Yi zamieszkują głównie okolice rzeki Jinsha i jej dopływu, rzeki Yagong. Ich najdawniejsi przodkowie to lud Qiang. Za czasów dynastii Shang i Zhou, kiedy w regionach centralnych system niewolniczy już się załamywał, ich przodkowie stopniowo przemieszczali się na południe i dotarli aż tu. Później, w epoce Walczących Królestw, kiedy królestwa Qin i Chu wdały się w wojnę i zagarnęły terytorium Qianzhong, przodkowie podzielili się na sześć grup i ruszyli jeszcze dalej na południe do Yunnanu. Bezsporny fakt, opisany w starożytnym tekście Yi *Dzieje Yi na Południowym Zachodzie*. Jednak w zeszłym roku nad brzegami jeziora Caohai mój znajomy odkrył ponad sto kamiennych paleolitycznych wytworów ludzkiej ręki. Później w obrębie tego samego stanowiska odkrył obszar wytworów neolitycznych o kształtach bardzo podobnych do kamiennych wyrobów wykopanych w Hemudu, w dolnym biegu Yangzi. W sąsiednim powiecie Hezhang odkrył też zespół prastarych budynków krzyżulcowych. Odtąd utrzymuje, że w okresie neolitu miejsce to miało związek z kulturą przodków ludu Baiyue.

Spod łóżka dziecka wyciąga koszyk pełen kamieni, sądzi, że chciałbym obejrzeć te wyroby. Spoglądamy na siebie i wybuchamy śmiechem.

- Nie przyszedłem tu oglądać kamieni - mówię.

- Racja, są ważniejsze rzeczy; no jazda, napijemy się czegoś. - Stawia natychmiast koszyk w kącie za drzwiami i woła do żony: - Przyniesz nam coś do picia!

Mówię, że już piłem.

Odpowiada:

- Nie szkodzi, możesz pić, ile zechcesz, potem prześpisz się tutaj!

Wygląda na Sichuańczyka. Jego akcent przybliżył mi go, w rozmowie sam przechodzę na dialekt z Sichuanu. Żona natychmiast przygotowuje parę dań, czym w pełni uwydatnia walory trunku. On zaś jest w świetnym nastroju i zaczyna rozprawiać na najróżniejsze tematy, poczynając od smoczycy kości, które kupił u wędrownego handlarza ryb, a które okazały się skamieniałymi szczątkami stegodona wydobytych z bagien Caohai, po zebranie lokalnych urzędników, trwające cały ranek, a poświęcone dyskusji nad problemem, czy kupić liczydła czy nie.

- Przed kupnem postanowili je przypalić, żeby zobaczyć, czy gałki są z krowiego rogu czy z barwionego drewna!

- Żeby się przekonać, czy są oryginalne!

Zaśmiewamy się do rozpuku, konamy ze śmiechu. Co za cudowne, radosne spotkanie!

Kiedy wychodzę od niego z domu, czuję lekkość stóp, rzadką na tym płaskowyzu. Czuję, że wypilem, ile trzeba, na cztery piąte możliwości. Potem przypominam sobie, że nie zabrałem z kosza kamiennego toporka, którym posługiwał się kiedyś jakiś potomek człowieka z Yuanmou. Otóż gospodarz wskazał koszyk za drzwiami i zawołał:

- Bierz, co chcesz. Te czarodziejskie skarby to scheda pozostawiona nam przez przodków!

Mówi, że boi się szcurów, trwoży ją nawet odgłos szcurzego przemykania po podłodze. Boi się też węży. Na tej górze wszędzie są węże, boi się tych cętkowanych ześlizgujących się z krokwi i wpełzających do łóżka, chce, żebyś ją mocno objął, mówi, że boi się samotności.

Mówi, że chce słuchać twego głosu, że ten głos dodaje jej pewności. Chce też złożyć głowę na twym ramieniu, to daje jakieś oparcie. Chce słuchać, jak mówisz, więc mów, nieprzerwanie, nie poczuje się wtedy samotna.

Mówi, że chce słuchać, jak mówisz, słuchać twych opowieści, chce się dowiedzieć, jak to było, że Drugi Wuj zawłaszczył sobie dziewczynę uprowadzoną przez bandytów sprzed jej domu, z brzegu rzeki. Jak to było, że dziewczyna podporządkowała się Drugiemu Wujowi i została żoną herszta bandytów? Jak to było, że zginął później z jej ręki?

Mówi, że nie chce słuchać opowieści o dziewczynie z miasta, która rzuciła się do rzeki. Nie mów o rozdętym nagim ciele wyciągniętym z wody, już nigdy nie pomyśli o samobójstwie, nie chce też słuchać opowieści o deptaniu i łamaniu żeber podczas zawodów lampionowych smoków. Dość krwi widziała w szpitalu na sali operacyjnej. Mówi, że chce słuchać ciekawych opowieści, jak ta o *zhuhuapo*, ale nie wolno ci opowiadać historii o przemocy.

Pyta, czy robiłeś to z innymi dziewczynami. Nie pyta, co też takiego robiłeś z innymi kobietami, ale pyta o porywanie dziewczyn w góry, czy jest w tej mierze pierwsza? Prosisz, żeby sama powiedziała, na co odpowiada, że skąd może wiedzieć? Prosisz, żeby odgadła, na co mówi, że nie potrafi odgadnąć i że jeśli nawet tak robiłeś, tobyś się nie przyznał. Zresztą nie chce wiedzieć, właśnie uzmysławia sobie, że znalazła się tu z własnej woli, więc jeśli ją nawet oszukiwałeś, to ona cię prowokowała. Mówi, że w tej chwili nic od ciebie nie chce, z wyjątkiem tego, żebyś ją rozumiał, dbał o nią, kochał ją.

Mówi, że kiedy po raz pierwszy przeżyła zbliżenie, on był bardzo brutalny. Nie, nie mówi o tobie, lecz o tym chłopaku, który w ogóle o nią nie dbał. Przez cały czas była zupełnie bierna, niczego nie wymagała, nie czuła żadnego podniecenia. Rozgorączkowany zadął jej spódnicę... przez cały czas jedną stopę trzymała na podłodze. Był absolutnie samolubny, świntuch, który po prostu chciał ją zgwałcić. Oczywiście, pozwoliła na to. Lecz było to wszystko bardzo nieprzyjemne i sprawiło okropny ból. Wiedziała, że zaboli, było to jak spełnienie obowiązku, jeżeli mają kochać i ma się z nią ożenić.

Mówi, że kiedy to z nim zrobiła, nie zaznała ani śladu ekstazy, a kiedy zobaczyła, jak splywa jej po nogach jego nasienie, zwymiotowała. Potem za każdym razem ów zapach przyprawiał ją natychmiast o wymioty. Mówi, że najzwyczajniej w świecie była dla niego czymś służącym do rozładowania żądz, a ilekroć czuła dotknięcie tej jego rzeczy, ogarniało ją obrzydzenie do własnego ciała.

Mówi, że po raz pierwszy czuje zaspokojenie, po raz pierwszy używa własnego ciała do miłości. Nie wymiotuje, jest ci wdzięczna, wdzięczna za to, że dałeś jej tego rodzaju radość. Mówi, że w ten sposób zemści się na nim, zemści na tym jej chłopaku, opowie mu, że spała z innym mężczyzną. Mężczyzną znacznie starszym, mężczyzną, który wiedział, jak się nią cieszyć, czym sprawił, że i ona cieszy się sobą.

Mówi, że wiedziała, że to tak będzie, więc pozwoliła ci wnikać w siebie. Wiedziała też, że swymi obronnymi podstępami zwodzi tylko siebie. Dlaczego jednak samą siebie karała w ten sposób? Dlaczego, zwyczajnie, nie cieszyła się tym? Mówi, że dałeś jej życie, dałeś nadzieję, chce teraz dalej żyć, i znów odczuwa pragnienia.

Mówi też, że kiedy była dzieckiem, mieli w domu psa, który ją budził, trącając mokrym nosem, czasem wskakiwał nawet na łóżko. Bardzo lubiła obejmować tego psa. Jej matka, która wówczas jeszcze żyła, powiedziała, że pies ma pchły, więc ona nie powinna wpuszczać psa do sypialni. Miała kiedyś czerwoną wysypkę na całym ciele, a matka powiedziała, że pogryzły ją psie pchły. Później zaś ludziom zabroniono trzymania w miastach psów i pod jej nieobecność ekipa hycli zabrała psa i zabiła. Płakała i nie mogła zjeść kolacji. Czuje, że wówczas miała dobre serce. Nie może zrozumieć, dlaczego ludzie są tacy niegodziwi. Skąd się bierze ten brak sympatii między ludźmi? Mówi, że nie może zrozumieć, dlaczego o tym wszystkim opowiada.

Prosisz, żeby mówiła dalej.

Mówi, że nie rozumie, dlaczego jest tak, jakby otworzyła się w niej śluza, mówi, że mówi i nie może przestać.

Mówisz, że to bardzo dobrze.

Mówi, że myśli, że nigdy nie będzie w stanie dorosnąć, mimo to pragnie dorosnąć. Chce być kochana, chce, żeby każdy się za nią oglądał, ale boi się męskich spojrzeń. Uważa, że męskie spojrzenia zawsze są lubieżne. Kiedy mężczyźni na kogoś patrzą, nie patrzą na piękno jakiejś osoby, lecz na całkiem co innego.

Mówisz, że jesteś mężczyzną.

Jesteś wyjątkiem, mówi, sprawiasz, że czuje się wyswobodzona, chce trwać w twoich objęciach.

Pytasz, czy myśli, że jesteś lubieżnikiem.

Nie mów w ten sposób, mówi. Nie sądzi, że jesteś lubieżnikiem, lubi cię. Wszystko, co się z tobą wiąże, jest takie ujmujące, mówi, że teraz wie, co to znaczy czuć, że się żyje. Mówi jednak, że czasami dopadają ją lęk, wtedy myśli, że życie to jakaś otchłań bez dna.

Uważa, że naprawdę nikt jej nie kocha, a skoro nikt jej nie kocha, to jaki sens ma życie? Mówi, że to właśnie ją trwoży. Bo przecież miłość mężczyzny jest taka egoistyczna, oni zawsze chcą cię posiadać, a co takiego dają w zamian?

Mężczyźni naprawdę coś dają, mówisz.

Tylko to, co chcą dać.

Ale kobiety uważają przecież mężczyzn za nieodzownych, prawda? Mówisz, że wola Nieba połączyła to, co żeńskie i męskie, jak dwie części kamienia szlifierskiego; leży to w naturze istot ludzkich. Mówisz, że nie ma sensu bać się czegokolwiek.

Mówi, że ją prowokujesz.

Pytasz, czyżby nie sprawiało jej to radości.

Póki to jest takie naturalne, mówi.

Nie bój się, przystań na to całym ciałem i sercem. Pobudzasz ją, podniecasz.

Ach, mówi, chce śpiewać.

Pytasz, co chce śpiewać.

Śpiewać o mnie i tobie, mówi.

Śpiewaj, co chcesz; zachęcasz, żeby śpiewała na głos.

Chce, żebyś ją pieścił.

Mówisz, że chcesz, żeby się zapamiętała.

Chce, żebyś całował jej sutki...

Całujesz.

Mówi, że kocha też twe ciało, żadna jego część nie przyprawia jej o lęk. Zrobi, co tylko zechcesz, żeby robiła, och, mówi, że chce widzieć, jak wchodzisz w jej ciało.

Mówisz, że stała się prawdziwą kobietą.

Tak, mówi, kobieta, która należy do mężczyzny, mówi, że nie wie, co za nonsensy wygaduje, mówi, że nigdy jeszcze nie cieszyła się sobą w ten sposób, mówi, że dryfuje na łodzi, sama nie wie gdzie, już się nie kontroluje. Niechaj ta łódź dryfuje po czarnym morzu, ona i ty, nie, jest tylko ona, naprawdę niczego się nie boi, lecz jest straszliwie pusta, chce umrzeć, śmierć to uwodziciel, chce runąć do morza, niechaj to czarne morze ją pochłonie, pragnie cię, potrzebuje, ciepła twego ciała, nawet przytłoczenie tobą daje jej poczucie bezpieczeństwa, pyta, czy masz tego świadomość, że ona rozpaczliwie pragnie!

Pragnie mężczyzny? Drażnisz ją.

Tak, pragnę miłości mężczyzny, pragnę być posiadana. Mówi, tak, pragnie być posiadana, chce się zapamiętać, zapomnieć o wszystkim, ach, jest ci wdzięczna, za pierwszym razem bała się, tak, mówi, chce, wiedziała, że chce, lecz wystraszyła się, nie wiedziała, co robić, chciała płakać, chciała krzyczeć, chciała, żeby uniosła ją burza na pustkowiu, odarła ją do naga, chce, żeby wymłóciły ją konary, rozerwały jej ciało, chce dać dostęp bólowi, chce, żeby ją rozdarły dzikie zwierzęta! Mówi, że ją widziała, tę wszetecznicę w czerni, pieszczącą własne piersi, ten uśmiech na jej twarzy, to jej kołysanie biodrami, wyuzdanej kobiety, mówi, nie rozumiesz, nie rozumiesz tego, nic nie rozumiesz, ty prostaku!

Do autobusu wsiadam w regionie zamieszkanym przez Yi, na pograniczu prowincji Yunnan i Guizhou, przyjeżdżam do powiatowego Shuichengu, tam zaś przez większą część dnia czekam na pociąg. Z dworca do miasta jest kawałek drogi; cały ten obszar zabudowany ni po miejsku, ni wiejsku sprawia wrażenie jakiegoś zachwiania. Wrażenie narasta, kiedy widzę na czymś przypominającym ulicę ów dwuwiersz: „Jeżeli pod oknami bawią się dzieci, bezpieczni są ludzie wewnątrz i na zewnątrz”. Ktoś go nakleił na okiennym parapecie starego domostwa o poczerniałych ze starości krokwiach i podporach. Już nie wydaje mi się, że zmierzam przed siebie, wracam bowiem do dzieciństwa, jakbym zawrócił na pięcie. To tak, jakbym nie przeżył wojny, rewolucji, nie kończących się masówek, nie przeżył kampanii krytyki, odwoływania krytyki, wreszcie dzisiejszego reformatorskiego ni zwrotu, ni niezwrótu. To tak, jakby rodzice wciąż żyli, jakbym nie zaznał żadnych cierpień. To tak, w istocie, jakbym dopiero miał dorastać; wzrusza mnie to, czuję wzbieranie łez.

Później siadam na stercie kłód zrzuconych przy torach i dumam o swych przypadkach życiowych. Podchodzi kobieta po trzydziestce, wygląda na przygnębioną. Prosi, żebym pomógł jej kupić bilet. Pewnie zauważyła, że jestem nietutejszy, usłyszawszy na dworcu, jak mówię przy okienku kasy. Mówi, że chce pojechać do Pekinu, żeby do sądu wnieść sprawę, lecz nie ma na bilet. Pytam, co za sprawę zamierza wnieść. Długo się rozwodzi, w sumie mętnie, chodzi w każdym razie o nieuczciwy proces, który zaskutkowało tym, że ktoś przyprawił jej męża o śmierć. Jak dotąd nikt nie przyjął na siebie odpowiedzialności, ona zaś nie otrzymała ani fena odszkodowania. Daję yuana i odprawiam ją, potem odchodzę kawałek, siadam nad rzeką, żeby spędzić parę godzin na wpatrywaniu się w krajobraz po drugiej stronie.

Do Anshun docieram w końcu po ósmej wieczorem. Przede wszystkim muszę oddać do przechowalni plecak, który znacznie przybrał na wadze. Mam w nim cegłę z czasów dynastii Han, z wypalonym wzorem. Natknąłem się na nią w Hezhangu, gdzie do budowy chlewów chłopci brali cegły grobowców z czasów Han. W okienku przechowalni świeci się, lecz w środku nikogo nie ma. Pukam przez chwilę, pojawia się dyżurny, przyczepia do plecaka zawieszkę, kładzie go na pustej półce i znów gdzieś znika. Duża pusta poczekalnia ani trochę nie przypomina dworca. Zazwyczaj na dworcach kolejowych kłębi się hałaśliwy tłum, ludzie kucają pod ścianami, leżą na ławkach, siedzą na bagażach lub po prostu kręcą się, nigdy nie brak takich, którzy coś sprzedają, odprzedają, żeby trochę zarobić. A z tego zaś opustoszałego dworca odprowadza mnie tylko stukot własnych kroków.

Nad głową mkną ciemnoszare chmury, lecz nocne niebo jest czyste. Jeszcze jarzą się na wysokości resztki wieczornej zorzy, na mknących niżej chmurach pysznia się barwy. Z równiny na wprost wyrastają okrągłe wzgórza. Szczyty wokół tego płaskowyzu są jak ponętne piersi, ale te bliższe wydają się ogromne, nawet przytłaczające. Nie wiem, może to sprawka mknących po niebie chmur, otóż wydaje mi się, że ziemia przekrzywia się, że jedną nogę mam dłuższą, drugą krótszą, a przecież nie wypilem ani kropli! O takie dziwne odczucia przyprowadza mnie wieczór w Anshun.

Naprzeciw dworca znajduję hotelik, w półmroku nie umiem uzmysłwić sobie konstrukcji domu, pokoik w każdym razie przypomina klatkę gołębia, głową dotykam sufitu. To pokój tylko do leżenia.

Wychodzę na ulicę, wzdłuż której ciągną się restauracyjki, a na chodnik wystawiono stoliki. Jarzą się światła elektryczne, ale, o dziwo, nie widać klientów. To jakiś zwariowany wieczór, peszy mnie nagle myśl, że mam tu jeść. Lecz dalej o jakieś kilkadziesiąt metrów siedzą przy kwadratowym stole dwaj goście, więc siadam nieopodal, zamawiam cienki makaron ryżowy z wołowiną i chili.

Obaj są raczej wychudli. Jeden dogląda cynowego dzbanka z winem, drugi opiera stopę na ławce. Przy każdym stoi mała czarka do wina, lecz nie wydaje się, żeby któryś zamówił danie. Obaj trzymają po pałeczce do jedzenia i oto koniuszki pałeczek stykają się, a oni odzywają się natychmiast, pierwszy:

- Suszone krewetki!

Drugi:

- Nosiłki!

Żaden nie wygrywa, koniuszki pałeczek odsuwają się. Mężczyźni grają w „rozkazy picia”. Obaj znowu skupiają się, koniuszki pałeczek stykają się jeszcze raz. Pierwszy mówi:

- Nosiłki!

Drugi:

- Pies!

Drugiem nosilek bije się psa, więc ten, który powiedział „pies”, przegrywa. Zwycięzca unosi pokrywkę i nalewa nieco wina do wzorzystej czarki w dłoni konkurenta. Przegrywający pije jednym haustem, potem koniuszki pałeczek znów godzą w siebie. Na widok powolnych, skrupulatnie przemyślanych ruchów zastanawiam się, czy patrzę na graczy, czy może na nieśmiertelnych. Mam w każdym razie nadzieję, że nieśmiertelni tak właśnie grają w „rozkazy picia”.

Kończąc makaron z wołowiną, wstaję i wychodzę. Wciąż dobiegają mnie głosy graczy, brzmią donośnie na tej opustoszałej ulicy.

Dochodzę do starej ulicy. Po obu stronach chylące się ku upadkowi stare domy z okapami sięgającymi nad przejście. Im dalej, tym uliczka węższa, okapy niemal się stykają. Wyraźnie widać oznaki nieuchronnej ruiny. Co drzwi, to straganik z jakimiś rzeczami na sprzedaż, paroma butelkami wina, paroma grejpfrutami, odrobiną suszonych owoców, jakimiś ubiorami, które kołyszą się jak duch wisielca. Uliczka ciągnie się w nieskończoność, jakby wiodła na drugi koniec świata. Ib tak, jakby przyprowadziła mnie tu zmarła babka ze strony matki, pamiętam, że wzięła mnie, żeby kupić mi baka. Starszy chłopak z sąsiedztwa miał baka, który przyprowadził mnie o zazdrość, zwykle zabawkę tę sprzedawano jednak w porze Nowego Roku i nawet w dużych sklepach zabrakło baków na stoiskach z zabawkami. Babka musiała mnie zabrać do Świątyni Boga Miasta w południowej dzielnicy, tam jednak mieli tylko tresowane małpy, ludzie zaś byli zajęci ćwiczeniem sztuk walki. Baki trafiały się tylko w miejscach, gdzie sprzedawano plastry z psiej skóry. Pamiętam, że do Świątyni Boga Miasta szliśmy podobną ulicą. Dawno już temu bawiłem się tą prostą zabawką: im mocniej ją chłosciesz, tym szybciej się kręci. Na tej jednak uliczce nikt nie sprzedaje baków, wystawiane towary to wciąż to samo, im uważniej patrzysz, tym mniej cię obchodzą. Kto tu właściwie przychodzi kupować? Czy zarabiają w ten sposób, czy to tylko na pokaz? Może mają jednocześnie jakąś sensowną pracę? A może każde gospodarstwo domowe otwiera teraz sklep, jak parę lat temu każde gospodarstwo naklejało nad wejściem do domu cytaty starego Mao, żeby wejście sprawiało lepsze wrażenie?

Potem jakoś skręcam i oto wychodzę na inną ulicę, szeroką. Tu widzę tylko zwykłe sklepy państwowe, wieczorem jednak pozamykane, nieczynne, kiedy mogą zarobić. Mimo to na ulicy jest rojno. Uwagę zwracają zwłaszcza młode kobiety. Głośno stukają wysokimi obcasami, wszystkie ze szminką na ustach, w obcisłych, kusych, jaskrawych sukienkach bez rękawów z Hongkongu, może z przemytu, może kupione w łańcuszku zyskownych odprzedaży z nie wiadomo której ręki. Nie zmierzają do nocnego lokalu, zdaje się, że idą na randkę.

Na skrzyżowaniu jest jeszcze rojniej, jakby na ulicę wylegli jakimś zbiegiem okoliczności wszyscy mieszkańcy, żeby pospacerować środkiem jezdni. Nie widać żadnych samochodów, jakby tę szeroką ulicę zbudowano dla pieszych, nie dla pojazdów. Sądząc z wielkości skrzyżowania i stylu budynków, przypuszczam, że to wielka dziesiątka. W miastach na tym płaskowyżu o ich centrach mawia się zwykle: wielka dziesiątka, tu jednak jest ciemno w porównaniu z jasno oświetlonymi sklepami tamtej krętej uliczki. Może to braki energii, a może robotnicy z ostatniej zmiany zapomnieli włączyć lampy uliczne, kto wie? Zdany na światło padające z okien podchodzę kawalek, żeby spojrzeć na tablicę. Rzeczywiście, napis zawiadamia „Wielka dziesiątka”, to na pewno ten plac w środku miasta, na którym odbywają się ceremonie i pochody.

Słyszę chichot dobiegający z ciemności na chodniku. Zaintrygowany podchodzę i dostrzegam, że wzdłuż całej długości muru siedzą przy sobie ludzie. Nachylam się, chcę się rozeznać i oto widzę wyłącznie ludzi starych, kilkuset, przy czym, jak się zdaje, ani medytują, ani demonstrowują. Gwarzą, śmieją się, śpiewają. Słychać pobrzękiwanie rozstrojonego *huqin* leżącego na czyichś kolanach; podściółka na kolanach sprawia, że ów mistrz *huqin* raczej przypomina szewca naprawiającego buty. Jego sąsiad opiera się o mur i śpiewa pieśń *O piątej warcie*, która wylicza wszystkie warty od zmierzchu do świtu, a opowiada o zadurzonej dziewczynie czekającej na ukochanego. Dokoła starzy ludzie słuchają jak zakłęci. Co ciekawe, to nie sami mężczyźni, są także stare kobiety o skulonych ramionach i zgarbionych plecach, podobne do tyłu innych cieni. Wprawdzie pokaszują wszyscy bardzo głośno, lecz wydaje się to pokaszaniem ludzi z papieru. Ktoś mówi cicho, jak we śnie, może do siebie. Lecz w odpowiedzi słychać wybuch śmiechu. Podśledzę; oto stary mężczyzna flirtuje w najlepsze ze starą kobietą. Jakie to drewno przyniósł z gór starszy

brat? Jakie to buty własnoręcznie wyszywała młodsza siostra? Jedno pyta, drugie odpowiada, jakby śpiewali miłosną pieśń z gór. Może korzystają z nocnych ciemności, żeby wielką dziesiątkę upodobnić do stadionu ze zgromadzeniem śpiewaczym z czasów młodości, a może to jest właśnie miejsce, w którym flirtowali i mówili o miłości za młodu. Nie tylko ta jedna stara para śpiewa miłosne pieśni, więcej par gwarzy z przejęciem i śmieje się. Nie udaje mi się zrozumieć, co mówią ani co ich tak bawi, tylko oni są w stanie porozumiewać się za pomocą tego syczenia wydobywającego się spomiędzy nielicznych zębów. Przychodzi mi do głowy, że może śnie, przyglądam się uważnie, czy to prawdziwi ludzie. Szczypię się w udo przez spodnie, naprawdę boli, to nie zwidy. Znalazłszy się na tym płaskowyzu, podróżuję z północy na południe, jutro wczesnym rankiem wsiadę w dalekobieżny autobus i pojedę do Huangguoshu, daleko na południe. Tam zmyję z siebie pod wodospadem te dziwaczne obrazy i na pewno nie będę się zastanawiał, czy otoczenie rzeczywiście istnieje i czy rzeczywiście istnieje ja sam.

W drodze do wodospadu Huangguoshu trafiam do Longgongu. Kolorowe łódki dla zwiedzających dryfują po lustrzanej powierzchni niezgłębionych wód. Turyści, którzy gramolą się do łodzi, nie dostrzegają rozpadliny nad gęsto zalesionym urwiskiem; woda, jakże spokojna w pobliżu, wlewa się z hukiem w rozpadlinę. Dopiero u podnóża góry, gdzie grzmia spadające strugi, można zdać sobie sprawę z miary niebezpieczeństwa. Wiosłowe łódki z turystami przepływają niekiedy o pięć, o trzy metry od rozpadliny, co zakrawa na igranie z tragedią. Tb wszystko dzieje się w biały dzień, lecz kiedy siedzę tak w łodzi, trudno i darmo, zdumiewa mnie także ta rzeczywistość.

Na wezbranych potokach górskich wzdłuż drogi z bystrzy wzlatuje biała piana, czyste niebo i okrągłe wierzchołki gór są po prostu zbyt jaskrawe, lśnią w słońcu łupkowe dachówki. Kreska jest czysta i wyraźna, jak w kolorowych malowidłach w stylu *gongbi*. Podskakiwanie w mknącym po górskiej drodze autobusie przyprawia o poczucie nieważkości. Mam wrażenie, że lewituję. Nie wiem, gdzie niesie mnie droga, i nie wiem, czym jest to, czego szukam.

Mówisz, że śniłeś, właśnie teraz, kiedy przysnąłeś na niej. Mówi, że tak, trwało to tylko chwilę, mówiła nawet do ciebie, chyba nie zasnąłeś głęboko. Mówi, że kiedy śniłeś, dotykała cię, czuła, że drżysz, tętnisz, tylko minutę. Mówisz, że tak, przed chwilą wszystko tak pulsowało życiem. Czujesz ciepło jej piersi, falowanie podbrzusza. Mówi, że ogarnęła cię i czuła, jak tętnisz. Mówisz, że widziałeś wzbieranie czarnego morza, płaska powierzchnia wypiętrzała się powoli, acz nieubłaganie. Kiedy morze znalazło się nad tobą, krawędź między nim i niebem została pod jego ciężarem unicestwiona, przepadł horyzont, czarne morze zupełnie zawładnęło twym snem. Mówi, że śpiąc, przygniotłeś jej piersi. Mówisz, że czujesz wzbieranie jej piersi, jak to spiętrzone morze, jak wzbierające pożądanie sięgające coraz to wyżej, które chce cię ogarnąć bez reszty, mówisz, że to coś niepokojącego. Mówi, umościłeś się w moich ramionach jak słodki dzieciak, ale zacząłeś tętnić. Mówisz, że czułeś jakąś udrekę, ów niepowstrzymany, wzbierający, rozlewający się przyływ przeistoczył się w ogromną płaską toń sunącą na ciebie, wolną od choćby jednej zmarszczki, płaską i gładką jak czarny rozpościerający się bez kresu jedwab, potem zamieniającą się w czarną ścianę wody, spadającą z jakichś niewidzialnych wyżyn w bezdenną otchłań. Mówi, naprawdę głuptas z ciebie, pozwól się pieścić. Mówisz, że widziałeś czarne morze, przybór płaskiej powierzchni, przelewanie się aż po widno-kres, niepowstrzymane. Byłeś w moich ramionach, mówi, to ja cię obejmowałam, otuliłam moim ciepłem, wiesz, że to były moje piersi, to one wzbierają. Mówisz, to co innego. Mówi, że właśnie tak, to ja cię ogarniam, czuję, jak tętnisz coraz gwałtowniej. Mówisz, że przez wzbierający czarny przyływ przemyka srebrzysty węgorz, wilgotny, gładki, załśnił jak błyskawica, jego także pochłonęła czarna toń. Mówi, że widziała to, czuła. Później, na plaży, kiedy toń wreszcie opadła, pozostała tylko płaska połać, bezkresna, pokryta drobnym piaskiem. Opadająca woda pozostawiła tylko pianę, ty zaś zobaczyłeś czarne ludzkie ciała, porzrucane, posplatane, poskręcane, na klęczkach, jedno na drugim, obracające się i wijące razem, bodące się potem bezgłośnie na ogromnej plaży, skąd nie dobiegał nawet szum wiatru, wiły się i splatały, unosiły i opadały, głowy i stopy, ramiona i nogi sprzęgnięte nierozzerwalnie, trochę podobne do czarnych morsów, przetaczały się, unosiły i padały, i znów tarzały się, unosiły, padały. Mówi, że czuła, jak gwałtownie drżysz, tętnisz, potem uspokajasz się, potem drżysz znowu, znowu się uspokajasz, czuła to wszystko. Mówisz, że widziałeś ciała człekokształtnych zwierząt morskich, a może zwierzokształtnych ludzi; ciała czarne, lśniące, o połysku czarnego jedwabiu, wilgotnego futra, kotłują się, zwijają, bezustannie unoszą i opadają, wciąż tarzają się, wciąż tak nierozzerwalnie posplatane, że nie sposób powiedzieć, czy może pożerają się, mordują, bo nie dociera żaden odgłos, nawet najśłabszy, widziałeś to tak wyraziście, na płaskiej plaży, skąd nie docierał najśłabszy nawet odgłos wiatru, w oddali wijące się, tarzające się bezgłośnie ciała. Mówi, że tylko drżałeś, gwałtownie drżałeś, tętniłeś, potem uspokoiłeś się, zastygłeś, znowu tętniłeś, znowu się uspokoiłeś. Mówisz, że widziałeś czarne lśniące ciała człekokształtnych zwierząt morskich, a może zwierzokształtnych ludzi, lśniące, o połysku czarnego jedwabiu, o połysku wilgotnego futra, które tarzają się, zwijają, bezustannie unoszą i opadają, nierozzerwalnie posplatane, kotłujące się niestrudzenie, powoli, płonnie bodą się albo mordują nawzajem, widziałeś to jak żywe, w dali na płaskiej plaży po prostu się tarzają. Mówi, że leżałeś na niej, przygniotłeś jej piersi jak słodki dzieciak, cały spocony. Mówisz, że śniłeś, właśnie wtedy, kiedy leżałeś na niej. Mówi, że trwało to tylko chwilę, słyszała twój oddech, tuż koło ucha. Mówisz, że sen był tak wyrazisty, wciąż jeszcze na to patrzysz, czarna wzbierająca powierzchnia morza powoli i nieubłaganie piętrzy się, sunie na ciebie, czujesz niepokój. Mówi, głuptas z ciebie, nic nie rozumiesz. Ty jednak mówisz, że widziałeś to tak wyraziście, woda szła na ciebie, zagarnęła całe pole widzenia, bezkresna czarna toń, sunąca nieubłaganie, bezgłośnie, o czerni i gładkości jedwabiu, tocząca się bez przeszkód jak wodospad, niespieniona, spadająca w mroczne głębie, widziałeś to wszystko. Mówi, że ciężko przygniotłeś jej piersi, plecy miałeś złane potem. Ta gładka czarna ściana, która gdzieś z góry wali w dół, jak wodospad, przyprawia o lęk, instynktownie zamykałeś oczy, świadom własnego istnienia, patrzyłeś bezradnie na wylewanie się tego, bezpowrotne, wszystko widziałeś, nic nie widziałeś, przechylone morze, w które wpadasz i które cię unosi, czarne zwierzęta, które bodą się lub mordują, splecione na zawsze, tę opuszczoną plażę, tę bezwietrzność. Tuli cię w ramionach, a kontakt fizyczny sprawia, że możesz przywołać najdrobniejsze szczegóły, ale nie zdołasz przejść przez to jeszcze raz. Mówi, że znów chce poczuć, jak drżysz, tętnisz, chce tego, chce także, żeby bezgłośnie bitwa owych posplatanych

ludzkich zwierząt okazała się masakra, splataniem się, na ogromnej płaskiej plaży pokrytej drobnym piaskiem, na której pozostaje tylko piana, chce, wciąż pragnie. Kiedy ustąpi czarna toń, cóż pozostaje na plaży?

Oto rzeźbiona w drewnie maska zwierzęcej głowy z ludzką twarzą; z wierzchołka sterczą dwa rogi, jest też para rogów mniejszych a ostrzych, więc maska, to jasne, nie wyobraża domowej krowy czy kozy. Zapewne wyobraża dzikie zwierzę; demoniczność twarzy nie ma nic wspólnego z łagodnością sarny, tam, skąd mogłyby patrzeć sarnie łagodne oczy, nie ma nic, zieją dwie przepaściste okrągłe dziury w spęcznianych oczodołach. Pod łukiem brwiowym ciągnie się głęboka bruzda, ze środka szpiczastego czoła promieniście biegną ku górze nacięcia, a łuk brwiowy jeszcze uwydatnia oczodoły. W ten właśnie sposób oczy wprawiają wroga w przerażenie, tak to wygląda, kiedy staną naprzeciw siebie człowiek i bestia.

Oczy pod nałożoną maską, widoczne przez dziury w spęcznianych oczodołach, nabierają w ciemności zwierzęcego lśnienia. Zwłaszcza niższy oczodół, wydrążony w kształcie dwóch czarnych półksiężycowatych bruzd o rogach zwróconych w górę, sprawia, że maska wydaje się jeszcze straszniejsza. Nos, wargi, kości policzkowe i podbródek - wykonane subtelnie i precyzyjnie - to cząstki twarzy starca o zapadniętych ustach. Nie zapomniano nawet o bruzdce na podbródku i wrazeniu suchej, szeleszczącej skóry, spod której prześwitują kości. Rzeźbę wystających kości cechuje prostota i siła, to nie jakiś tam starzec, lecz ktoś, z kogo promieniuje duch stanowczości. Po obu stronach ciasno ściągniętych warg wyrzeźbiono ostre kły sięgające nozdrzy. Te zaś, rozdęte, sprawiają nieodparte wrażenie pogardy i drwiny. Starość nie dobrała się do zębów, są na miejscu, ale wybite przednie zastąpiono kłami. Zapewne z dwóch niewielkich dziurek w kącikach zaciśniętych ust sterczały kiedyś kępki tygryskich wąsów. Z tej uderzająco inteligentnej ludzkiej twarzy promieniuje zarazem pełnia zwierzęcej brutalności.

Brzeży nozdrzy, kąciki ust, górna i dolna warga, kości policzkowe, czoło i jego środek świadczą, iż rzeźbiarz posiadał solidną wiedzę o ludzkiej głowie. Jeśli uważnie spojrzeć jeszcze raz, to wyolbrzymiono tylko oczodoły i ostro uwypuklone czoło, podstawowy zamysł nadał rzeźbionemu ciału jakieś napięcie. Bez tygryskich wąsów jest to replika twarzy pierwotnego człowieka, pokryta znakami. Porozumienie przyrody i ludzkiego ja w pełni zawarło się w czarnych okrągłych dziurach oczodołów. Dwie dziury w kącikach ust ujawniają pogardę przyrody wobec człowieka i lęk człowieka wobec przyrody. Twarz wyraża też celnie zwierzęcą naturę tkwiącą w istotach ludzkich oraz lęk owych istot przed ową naturą.

Człowiek nie może zrzucić z siebie tej maski, tego odwzorowania własnego ciała i ducha. Nie może już usunąć jej z twarzy, maska zrosła się z nią, do kości, jest więc wciąż zdumiony, jakby nie dowierzał, że to on, ale w istocie to on. Nie może się pozbyć tej maski, stąd jego ból. Przedstawiwszy ją jako własną maskę, już nie może tego zatrzeć, bo maska to replika jego samego. Maską nie ma własnej woli, czy też, można powiedzieć, ma wolę, lecz brak jej środków narzucania, więc woli nie mieć woli. I dlatego pozostawia człowieka z jego twarzą odwieczną, dzięki której ten, zdumiony, może wnikać w siebie.

Jest to, rzecz jasna, arcydzieło. Znalazłem ją w zbiorach muzeum w Guiyangu, zamkniętym wówczas z powodu remontu. Z pomocą przyjaciół otrzymałem listy polecające, potem przedstawiłem się przez telefon zastępcy dyrektora, pod pretekstem, który w końcu go poruszył. Dobroduszny członek nomenklatury, wcale gruby, zawsze z kubkiem herbaty w ręce; chyba leciwy, dobiega zapewne emerytury. Ściągnął kogoś i kazał otworzyć dwa magazyny, mogłem więc iść wzdłuż półek, na których piętrzyła się broń z brązu i najróżniejsze gliniane naczynia. Z pewnością zostałem potraktowany wspaniałomyślnie, lecz nie odkryłem niczego godnego uwagi. Zatem złożyłem wizytę jeszcze raz, licząc na dobroduszość zastępcy dyrektora. Powiedział, że mają aż za wiele zbiorów, on zaś nie wie, co naprawdę chce zobaczyć, radzi więc przejrzeć katalogi. Na szczęście każdą kartę opatrzone małą fotografią. Na ów zestaw masek egzorcystycznych natrafiłem poprzez tekę wytworów związanych z religią i przesadami. Powiedział, że są trzymane pod kluczem i nigdy ich nie wystawiano, jeśli zaś rzeczywiście chce je obejrzyć, istnieją pewne procedury, którym należy uczynić zadość, trzeba też ustalić datę oględzin. Zjawiłem się więc z trzecią wizytą. Dobroduszny dyrektor ma dla mnie dużą skrzynkę. W miarę wyjmowania zawartości, sztuka po sztuce, przejmuje mnie groza.

W sumie masek jest ponad dwadzieścia, prawdopodobnie skonfiskowanych z początkiem lat pięćdziesiątych przez urząd bezpieczeństwa publicznego jako narzędzia zabobonu. Prawdę mówiąc, jacyś ludzie dokonali wówczas dobrego uczynku. Zamiast porąbać maski na podpałkę, przekazali je do muzeum, dzięki czemu przetrwały spustoszenia rewolucji kulturalnej. Zdaniem muzealnego archeologa zrobiono je pod koniec panowania

dynastii Qing. Barwny lakier złuszczył się w znacznej mierze, jego resztki szczeniały i zmatowiały. Z karty katalogowej wynika, że maski zebrano w powiatach Huangping i Tianzhu w górnym biegu rzek Wushui i Qingshui, w regionach zamieszkałych przez mieszaninę ludów Han, Miao, Dong i Tuja. Ruszam wkrótce w podróż w tamte strony.

Widok na góry tchnie świeżością, powietrze jest czyste, w żółtopomarańczowym słońcu wczesnego poranka zakrawa na dziw, że nocą nie zmrużyłeś oka. Obejmujesz miękkie delikatne ramiona, spoczywa na tobie jej głowa. Nie wiesz, czy jest czy nie tą kobietą, którą wyśniłeś w nocy; nie potrafisz powiedzieć, która z nich jest bardziej rzeczywista, wiesz tylko, że ta podała w tej chwili za toba, ufnie, nie zamartwia się, dokąd poprowadzisz.

Górska droga wiedzie na zbocze, które okazuje się spiętrzeniem, warstwa za warstwą, płaskich i szerokich tarasowych pól. Stoją tu dwa kamienne słupy, które musiały niegdyś stanowić bramę; w pobliżu widać resztki kamiennych lwów i bębnow. Mówisz, że mieszkała tu kiedyś znamienita rodzina. Za pomnikową bramą znajdujesz dziedziniec za dziedzińcem, zabudowania rozciągały się na długość ponad *li*, lecz teraz to tylko pole ryżowe.

Czy po wzniesieniu powstania tajpingowie przeszli przez Wuyizhen i spalili to wszystko? pyta.

Mówisz, że pożar wybuchł później. Wpierw było tak, że Drugi Wuj z głównej gałęzi rodu otrzymał stanowisko na dworze. Awansował na ministra wymierzającego kary, kiedy wybuchła afera z przemytem soli. W gruncie rzeczy zaważyły nie tyle korupcja czy łamanie prawa, ile głupkowatość cesarza i niedorzeczne dowierzanie eunuchom, jakoby Drugi Wuj z rodziną cesarzowej wdowy uknuł spisek w celu zagarnięcia władzy. Skutek był taki, że wyłuskano i ścięto całą rodzinę. W tym wielkim majątku zamieszkanym przez trzysta osób niektóre kobiety przydzielono urzędnikom jako służące, a resztę wymordowano, nawet dzieci. W istocie oznaczało to utratę potomstwa, więc jakżeż te zabudowania mogły się ostać?

Albo opowieść potoczy się tak. Jeśli na wpol pogrzebanego w ziemi daleko stąd kamiennego żółwia uznamy za część tego samego zespołu zabudowań, do którego należą kamienne bębny, lwy i ta brama, to nie były to niegdyś siedziby żywych, lecz miejsce grobów. Rzecz jasna ów grobowiec, z przejściem długości *li*, musiał być nadzwyczaj okazały. Trudno to jednak sprawdzić, z grzbietu żółwia zostało bowiem zerwane epitafium; w czasach reformy rolnej chłopska rodzina rozłupała je i przerobiła na żarna. Tylko kamienny postument porzucono gdzieś na polach; zbyt solidny i ciężki, żeby się przydał chłopom, nie pozwolił się łatwo ruszyć z miejsca. Dodajmy, w owym grobowcu na pewno nie chowano zwykłych ludzi; wioskowi potentaci, nawet z większym majątkiem, nie odważyliby się na tak ekstrawagancki popis, jeśli nie zaliczali się do królów i książąt ani wysokich urzędników.

Musiała to być osoba odgrywająca chwalebny rolę w założeniu nowej dynastii, ktoś, kto się przyłączył do powstania, wzniesionego przez Zhu Yuanzhangą, żeby wypędzić z kraju Mongołów. Jednak większości wysoko postawionych osób, które odegrały chwalebny rolę w ustanowieniu nowej dynastii, nie udało się umrzeć naturalną śmiercią. Dożycie sędziwego wieku wraz z zasłużeniem na świetny pochówek wymagało wyjątkowych uzdolnień. Właściciel tego grobowca widział, jak morduje się lojalnych generałów, jednego po drugim, większość zaś swych dni spędził w strachu. Zdobył się na odwagę i złożył cesarzowi prośbę o dymisję, oświadczając: Pokój i pomyślność napełniły cesarstwo, Cesarz włada w swej Łaskawości, dwór wypełniają dostojnicy cywilni oraz generałowie. Temu nędzemu poddanemu nie dostaje talentu, ma już za sobą pół setki lat. Jego sędziwa matka pędzi życie samotnie, a lata ciężkiej pracy przyprawiły ją o słabość. Niewiele lat mu zostaje, zawiesza więc na kołku kapelusz przypisany do jego urzędu, żeby powrócić na wieś i pełnić obowiązki synowskie. Zanim petycja dotarła do cesarza, zdążył już opuścić stolicę. Cesarz wzruszył się, rzecz jasna nagroził go sówicie, a gdy dostojnik umarł, cesarz osobiście nakazał wybudować ów kolosalny grobowiec, żeby władcę sławiły następne pokolenia.

Można też snuć inną wersję tej opowieści. Różni się znacznie od historycznych zapisów, bliższa powieści *bij i*. W tej otóż wersji właściciel grobowca, widząc czystkę wśród starej gwardii, przeprowadzaną przez cesarza rzekomo w celu uzdrowienia polityki dworskiej, zrzekł się władzy i uciekł na wieś, pod pretekstem spiesznego wyjazdu na pogrzeb ojca. Później zaś pozorował chorobę umysłową i odmawiał wszelkich spotkań z obcymi. Cesarz, nie mogąc wyzbyć się podejrzeń, wyznaczył oficera gwardii pałacowej, który przemierzył wiele gór, by wreszcie dotrzeć tutaj, gdzie zastał zaryglowane wrota. Oznajmił, że przybywa przekazać cesarskie rozkazy, i natychmiast wdarł się do środka. Nagle do pomieszczenia wpłynął na czworakach człowiek i obszczekał przybysza jak pies. Oficer przysłany z misją śledczą spojrzął na niego z niedowierzaniem, rozkazał ubrać się i stawić w stolicy. Jednakże człowiek, zanim szybko odpełznął, obwąchał przedtem okazałe psie łajno pod ścianą, wreszcie wetknął w nie głowę, żeby się najeść. Gwardziście z pałacu pozostało tylko zdać

cesarzowi sprawę z tego, co zobaczył. I tylko w tym jednym jedynym wypadku cesarz przestał żywić podejrzenia, kiedy zaś dawny dostojnik umarł, wyprawił mu znamienity pogrzeb. W rzeczywistości sterta psiego łajna była mieszaniną ziaren sezamowych z melasą, przyrządzoną przez ulubioną służącą, lecz skąd cesarz miałby o tym wiedzieć?

Ów powiat wydał wiejskiego uczonego, który za wszelką cenę chciał sobie wyrobić nazwisko. Spędziwszy pół życia w celach egzaminacyjnych służby cywilnej, w końcu w wieku pięćdziesięciu dwóch lat zdołał ulokować nazwisko na liście zaakceptowanych kandydatów, wprawdzie na samym dole listy, ale zawsze. Potem już wszystkie dni spędzał, oczekując nominacji w służbie administracyjnej, chociażby nominacji warunkowej. Nic zaś nie wiedział o tym, że jego niezamężna córka wdała się w przygodę miłosną z jednym z wujów i zaszła w ciążę. Głupiutkiej dziewczynie wydawało się, że zaradzi kłopotom, połykając lekarstwo sporządzone z kamieni żółciowych byka, lecz zamiast poronienia miała przez dwa miesiące biegunkę. Coraz bardziej chudła, ale jej brzuch coraz bardziej rósł. W końcu rodzice zorientowali się i zapanował kompletny chaos. Żeby ratować dobre imię rodziny, starzec uraczył ją taką śmiercią, jaką cesarze rezerwowali dla skorumpowanych urzędników i buntowników - nieczystą córkę pochował żywcem, w trumnie zabitej gwoździami. Wieść o zdarzeniu rozeszła się na wszystkie strony, wreszcie dotarła do powiatowego miasteczka, gdzie trapił sędziego upadek moralności wśród miejscowych, sam zaś sędzia żył w nieustannym lęku przed utratą czapki świadczącej o sprawowaniu urzędu; sędzia w tym wydarzeniu, jakoby typowym, poszukiwał ratunku. Przekazał wieść rządowi prowincji, a ten przesłał ją na dwór.

Cesarz, spoczywający w objęciach ulubionych konkubin, przez dłuższy czas nie zwracał sobie głowy sądowymi błahostkami. Lecz kiedy pewnego dnia się znudził, postanowił wypytać o to, co czynią ludzie zwykli. Wówczas dworscy urzędnicy przekazali mu tę ciekawostkę, a cesarz, wysłuchawszy jej, mimowolnie westchnął: Oto zaprawdę rodzina strzegąca moralności i cnoty. Treść cesarskiego westchnienia, owe słowa wielkiej wagi wypowiedziane w szczerym odruchu, została przekazana rządowi prowincji. Gubernator bezzwłocznie napisał instrukcję: Cesarskie zalecenie należy zaraz zamienić w czyn. Przygotujcie tablicę i zawieście wysoko, ku nauce wieśniaków ze wszystkich stron. Rączym koniem dostarczone to przesłanie urzędnikom powiatowym. Sędzia kazał natychmiast bić w gongi i zasiadł w lektyce, poprzedzany przez herolda, który krzykiem spędział ludzi z drogi. Czyż ów stary, sprzedajny konfucjański uczonec miałby nie wzruszyć się do łez, kiedy ukląkł, żeby wysłuchać rozkazów cesarza? Sędzia oznajmił zaś z powagą: Każde ze słów cesarza „Rodzina strzegąca moralności i cnoty” jest cenne, a teraz pośpiesz się i wnieś bramę pamiątkową, na której zostaną zapisane te słowa, żeby trwać po wieczne czasy! Postępek starca, jakże cny, wzruszył niebo i ziemię, zapewnił też chwałę i honor przodkom oraz całemu klanowi. Starzec zakupił na kredyt dziesiątki koszy ziarna, żeby zatrudnić robotników, potem zaś dniem i nocą doglądał obróbki kamiennych bloków, na których starannie ryto cesarskie słowa. Trudził się tak pół roku i przed zimowym przesileniem, kiedy prace dobiegły końca, wydał ucztę, żeby okazać sąsiadom wdzięczność. Należy dodać, że z końcem roku, w porze regulowania rachunków, cały roczny dochód wydano na spłatę długów, mimo to starzec wciąż był winien czterdzieści taeli ocechowanych srebrnych sztabek, nie licząc odsetek, czyli siedemnastu sznurów gotówki. Następnie przeziębził się, położył, przestał podnosić z łóżka, z trudem przetrwał pierwszy miesiąc nowego roku, zmarł zaś w przeddzień pory sadzenia młodego ryżu.

Owa pamiątkowa brama wciąż stoi przed wschodnim wejściem do wioski, a leniwi pastuchowie wiążą do słupów krowy, gdy chcą się gdzieś wymknąć. Natomiast przewodniczący powiatowego komitetu rewolucyjnego, który wyruszył w teren na inspekcję, uznał napis na poziomej tablicy między słupami za całkowicie nieestosowny i polecił sekretarzowi powiadomić o tym miejscowego sekretarza wiejskiego. Tekst zmieniono na „Rolnictwa ucz się od Dazhai”, a dwuwiersz na kamiennych słupach „Lojalność dzieci i oddanie dzieci pragną zagościć w rodzinie, poezja i historia pragną ciągłości przez pokolenia” został zastąpiony hasłami „Uprawiaj pola dla Rewolucji, dla większej wspólnoty, nie dla jednostki”. Któż mógł przewidzieć, że wzór Dazhai zostanie później uznany za błagę, że pola powrócą do chłopskich właścicieli, że ci, którzy pracowali więcej, dostaną więcej, i że nikt już nie będzie zważał na ów napis na pamiątkowej bramie? Co zmyślniejsi potomkowie rodziny wdali się w robienie interesów, więc skąd mają brać czas, żeby głowić się nad przywróceniem starego napisu?

Za bramą, pod drzwiami pierwszego domu siedzi stara kobieta i ubija coś kopyścią w drewnianym cebrze. Zjawia się pies o maści piasku, kręci się, węszy tu i tam. Stara unosi kopyść i ruga zwierzę:

- Zjeżdżaj stąd, bo jak nie, to cię spałę na śmierć tym chili.

Bądź co bądź nie jesteś psem o maści piasku, podchodzisz więc i mówisz:

- Czcigodna sędziwa kobieto, czy przyrządzasz sos chili?

Stara nie mówi tak, nie mówi nie, wpatruje się w ciebie,

potem opuszcza głowę i wraca do ubijania w cebrze świeżego chili.

- Może zechcesz mi powiedzieć, czy to miejscowość zwana Lingyan? - Wiesz, że stratą czasu będzie pytanie o miejsce tak odległe jak Lingshan. Mówisz, że przybywasz z leżącej poniżej wioski Mengjia, tam zaś ludzie mówili, że idąc w górę tą drogą, natrafisz na Lingyan.

Dopiero teraz przerywa ubijanie, żeby spojrzeć na was dwoje, ją lustruje szczególnie uważnie, potem zwraca się do ciebie i zadaje dziwne pytanie:

- Chcecie mieć syna?

Ona cichaczem szarpie cię. Popisałeś się głupotą, ale brniesz i pytasz:

- Co ma wspólnego Lingyan z chęcią posiadania syna?

- Co ma wspólnego? - Stara podnosi głos. - Tam chodzą kobiety. Po to tam chodzą, żeby zapalić kadzidło, kiedy nie mogą urodzić syna! - Stara chichocze, nie może się uspokoić, jakby ktoś ją wciąż łaskotał; obraca się ku niej i pyta zjadliwie: - Więc ta młoda kobieta pragnie syna?

Trzeba sprawę wyjaśnić:

- Zwiedzamy te strony. Chcemy wszystko obejrzeć.

- Co tu oglądać w tej wiosce? Zupełnie jak przed paroma dniami. Zjawiało się kilka par z miasta. Cała wioska musiała znosić ten ich harmider!

- A co robili? - nie możesz się powstrzymać od pytania.

- Przywlekli to elektryczne pudło i tylko sprawili, że w górach zawyły wilki i duchy. Wprost na klepisku do młocki wszyscy obejmowali się i kręcili tyłkami. Prawdziwa ohyda!

- O, szukali także Lingyanu? - To cię już ciekawi.

- Czemu wciąż pytasz o to Lingyan, osaczone przez demony? Mówiłam wam przed chwilą, prawda? Jeśli kobiety chcą urodzić syna, chodzą tam palić kadzidło.

- Czemu nie mogą tam chodzić mężczyźni?

- Jeśli nie boisz się tego, czym zioną demony, to idź. Ktoś ci broni?

Ona znowu cię szarpie, ty jednak mówisz, że wciąż nie możesz pojąć.

- No to zalej się krwią! - Nie wiesz, czy stara przestrzega cię, czy przeklina.

Ona podpowiada:

- Mówi, że dla mężczyzn to tabu.

Odpowiadasz, że nie ma żadnych tabu.

- Mówi o krwi miesięcznej - szepce ci do ucha i ostrzega, trzeba stąd zaraz odejść.

- A cóż jest szczególnego w krwi miesięcznej? - Mówisz, że nie stropiłaby cię nawet psia krew. - Chodźmy i zobaczymy, czym jest naprawdę to Lingyan.

Mówi, wybij to sobie z głowy, mówi, że nie chce tam iść. Pytasz, czy się boi, mówi, że tak, boi się słów tej starej.

- Świat się nie kończy na tych zakazach, chodźmy! - mówisz i pytasz starą, jak trafić.

- Niech was oboje dopadną demony, nikczemnicy, niech was dorwą - tym razem stara przeklina was, na odchodne.

Ona mówi, że się boi, przeczuwa coś złego. Pytasz, czy boi się, że spotka szamankę. Mówisz, że w tej górskiej wiosce wszystkie stare kobiety to szamanki, a wszystkie młode to uwodzicielki.

- Więc ja też jestem uwodzicielką? - pyta.

- Czemu nie? Przecież jesteś kobietą, prawda?

- W takim razie ty jesteś demonem - ripostuje.

- W oczach kobiet wszyscy mężczyźni to demony.

- Więc jestem towarzyszką demona? - pyta, wysuwając podbródek.

- Demon z uwodzicielką - mówisz.

Chichocze, wygląda na uszczęśliwioną, lecz błaga cię, żeby zostawić w spokoju tamto miejsce.

- Co może się stać? - przerywasz i pytasz: - Czy to przyniesie nam nieszczęście? Sprowadzi katastrofę? Czego się bać?

Tuli się do ciebie i mówi, że póki jest z tobą, niczego się nie boi. Lecz ty już wiesz, że na jej serce padł cień. Pragniesz go rozproszyc i celowo mówisz podniesionym głosem.

Nie wiem, czy kiedyś obserwowałeś ten dziwny obiekt: własne ja. Często jest tak, że im uważniej się w nie wpatrzysz, tym mniej jest do siebie podobne; ponadto, im dłużej patrzysz, tym mniej jest tym, czym jest. To tak, jakbyś leżał na trawie i przyglądał się chmurze - wpięrw przypomina wielbłąda, potem kobietę, kiedy znów spojrzysz, staje się długobrodym starcem, nic jednak nie trwa, bo chmury przez cały czas się przekształcają.

Przypuśćmy, że korzystasz z ubikacji w starym domostwie i zdarzy ci się spojrzeć na zacieki na ścianach. Wchodzisz codziennie, a zacieki zmieniają się. Wpięrw widzisz twarz, spojrzysz znowu i widzisz psa porywającego kielbasę, później pies zamienia się w drzewo, później pod drzewem siedzi kobieta na wychudłym koniu. Po paru tygodniach, a może miesiącach, dokucza ci pewnego ranka zaparcie i nagle okazuje się, że w gruncie rzeczy zaciek wciąż jest twarzą.

Leżąc na łóżku i wpatrując się w sufit, widzisz, że światło na białej płaszczyźnie może się także najróżniej przekształcać. A jeśli skupisz się na wglądaniu w siebie, przekonasz się, że twoje własne ja stopniowo oddziela się od tego ja, z którym jesteś zżyty, i mnoży się, przybierając zadziwiające formy. Więc trwoży mnie myśl, że musiałbym dokonać jakiegoś zwięzłego samookreślenia. Nie wiem, która z licznych twarzy lepiej mnie streszcza, a im uważniej się wpatruję, tym wyraźniej widzę przekształcenia, co prowadzi tylko do zamętu.

Możesz czekać - czekać, aż ścienny zaciek stanie się znowu ludzką twarzą; możesz żywić nadzieję - żywić nadzieję,

że zaciek przybierze jakiś szczególny kształt. Wiem jednak z doświadczenia, że zaciek rośnie i rośnie, ale przeważnie inaczej, niż sobie życzysz, gorzej, przeważnie rośnie wbrew twym życzeniom. Jest to poczwarne dziecko, na które nie umiesz się zgodzić, chociaż koniec końców zrodziło się z twego ja i musi zostać zaakceptowane.

Kiedyś popatrzyłem na własne zdjęcie na rzuconym na stół autobusowym bilecie miesięcznym. Pomyślałem w pierwszej chwili, że mam czarujący uśmiech, potem uznałem, że w uśmiechniętych kącikach oczu czają się raczej pogarda, buta i obojętność, wspólnie wywodzące się z miłości własnej, samouwielbienia i poczucia wyższości. Lecz czai się też lęk, jako skutek dojmującej samotności, znać przelotne ukłucia trwogi - na pewno nie dominujące - i gorycz, która zatruwa zwykły uśmiech podszyty beztroskim szczęściem i każe wątpić w ów rodzaj szczęścia. Było to naprawdę przerażające, przypominało otchłań, przyprowadzało o poczucie spadania w pustkę bez dna; w końcu już miałem dość tego zdjęcia.

Potem zacząłem przyglądać się innym, ilekroć jednak ich obserwowałem, dostrzegalem, jak wtrąca się to moje odrażające i przemądrzałe ja, i do dziś nie znam twarzy, na której nie odcisnęłoby się to wtrącanie. Problem poważny, ilekroć bowiem próbuję zgłębić kogoś innego, jednocześnie zgłębiam siebie. Wypatruję twarzy, które mi się podobają, wyrazu, który mnie nie odstręcza, a więc nie mogę się pozbyć siebie. Nie potrafię znaleźć ludzi, z którymi mogę się utożsamiać, bez powodzenia szukam wszędzie: w poczekalniach kolejowych, wagonach, na promach, w sklepach spożywczych i parkach, nawet przechodząc ulicą, zawsze wypatruję jakiejś nieobcej twarzy czy sylwetki, wyglądam jakiegoś znaku, który przywoła ukryte wspomnienia. Kiedy patrzę na innych, traktuję ich zawsze jak zwierciadło pozwalające wejrzeć w głąb siebie. Na obserwacje nieuchronnie nakłada się mój stan ducha w danej chwili. Jeżeli nawet przyglądam się kobiecie, to reagują na nią moje zmysły, moje doświadczenia i moja wyobraźnia budzą się i podejmują osąd. Moje rozumienie innych, kobiet nie wyłączając, jest w rzeczywistości płytkie i oparte na samowoli. Kobiety, które mi się podobają, to -nieuchronnie - iluzje, które stworzyłem, żeby się mamić, oto moja tragedia. W rezultacie moje związki z kobietami nieuchronnie prowadzą do niepowodzeń. A z drugiej strony, gdybym był kobietą i żył z mężczyzną, miałbym te same zmartwienia. Problemem jest rozbudzone ja w mojej wewnętrznej umysłowości; to potwór, który wiecznie mnie dręczy. Ludzie kochają swe ja, lecz je kaleczą. Arogancja, pycha, samozadowolenie albo lęki, zazdrość czy nienawiść, wszystko to tryska stamtąd. Owo ja jest w istocie źródłem nieszczęść rodzaju ludzkiego. Lecz cóż, czy ów niewesoły wniosek oznacza, że w takim razie trzeba zabić to rozbudzone ja?

Tak oto Budda rzekł bodhisattwie: Miriady kształtów to marność, brak kształtów, także marność.

Mówi, że chce powrócić do beztrudnych czasów dzieciństwa, kiedy chodziła do szkoły; babka, matka matki, starannie czesała i zaplatała jej włosy, a wszyscy zachwycali się jej pięknymi, długimi warkoczami. Po śmierci babki przestała nosić warkoczki, ścięła włosy w geście sprzeciwu, nie dało się ich nawet zebrać w dwie kitki, która to moda obowiązywała w okresie Czerwonej Gwardii. W tym czasie sąsiad doniósł na jej ojca; zamknięto go w budynku, w którym pracował, i nie puszczano do domu. Co dwa tygodnie matka zanosila ojcu zmianę odzieży, lecz nigdy nie chciała zabrać jej ze sobą. Później matce i jej samej kazano przenieść się na wieś między chłopów, ponieważ ona nie nadawała się na czerwonogwardzistkę. Mówi, że najszczęśliwszy okres jej życia to ten, kiedy chodziła z długimi warkoczami. Babka, jak stara kotka, zawsze drzemała gdzieś obok, ona zaś czuła się bezpieczna.

Mówi, że jest stara, to znaczy, że ma stare serce i już nic nie może jej porwać. Dawniej mogła rzewnie płakać z byle powodu, prosto z serca, przychodziło jej to bez trudu i koilo.

Mówi, że miała przyjaciółkę imieniem Lingling, przyjaźniły się od dziecka. Zawsze taka słodka, ledwie spojrziała na człowieka, zaraz wypływał jej na twarz uśmiech z dołeczkiem. Teraz jest matką, stała się niemrawa, mówi mrukliwie, mamroce jak we śnie. Kiedy była dziewczynką, swiergotała jak wróbel, mogły przez cały dzień pleść głupstwa. Mówi, że Lingling chciała przez cały czas bawić się na dworze. Lecz kiedy zaczynało padać, Lingling mogła popaść w przygnębienie i powiedzieć: Chcę cię udusić; potrafiła złapać za szyję i to naprawdę bolało.

Pewnej letniej nocy, kiedy siedziały nad jeziorem i patrzyły w niebo, powiedziała, że chce się przytulić do Lingling, ta zaś odrzekła, że chce być małą mateczką. Zachichotały i zaczęły się przepychać, było to przed wschodem księżyca. Pyta, czy wiesz, że tuż przed wschodem księżyca nocne niebo staje się szaroniebieskie, och, księżyc wymyka się ze swej aureoli, pyta, czy widziałeś to kiedyś, księżyc wzbiera, wydyma się, potem rozpląszcza, jak tocząca się mgła. Mówi, że to nawet słysząc, odgłos księżyca sunącego nad wierzchołkami drzew, podobnymi do roślin wodnych kołyszących się w strumieniu, i że wtedy popłakały się obie. Oczy zaszyły im łzami, jak wodą źródlaną, jak płynnym światłem księżycowym, a wzniosłe uczucia wypełniły im serca. Włosy Lingling, czuje to nawet teraz, delikatnie gładziły jej twarz, obie przytuliły się policzkami i obie okryły rumieniem. Istnieje odmiana lotosu, mówi, to ani lilia wodna, ani zwykły lotos, odmiana większa od lilii wodnej, mniejsza od zwykłego lotosu. Kwiat otwiera się nocą, w ciemności lśnią złote i czerwone pręciki. Różowe płatki są mięsiste, jak uszy młodej Lingling, lecz bez jej pięknych włosów, lśniące jak paznokcie jej małych rąk, ach, w owych czasach jej wypielegnowane długie paznokcie przypominały muszle morskie. Jednak różowe płatki nie są jaskrawe, są grube jak uszy, drżą, rozwierając się z wolna.

Mówisz, że to widzisz, widzisz rozwierające się z wolna płatki kwiatowe, pośrodku złote aksamitne pręciki, też drżące. Tak, mówi. Ujmujesz jej ręce. Nie, mówi, nie rób tego, chce, żebyś słuchał. Mówi, że czuje odświętność, coś, czego zapewne nie zrozumiesz. Lecz to nie znaczy, że nie chcesz zrozumieć ani że nie chcesz jej zrozumieć. Mówi, że uczuciu odświętności towarzyszy muzyka, uświęcona i czysta. Mówi, że czci Matkę Najświętszą, to, jak Matka Najświętsza trzyma Dziecię, tymi delikatnymi palcami eterycznych dłoni, z tym zwróconym w dół spojrzeniem. Mówi, że i ona pragnie być matką, chce piastować dziecko, życie czyste, ciepłe, pulchne, ssące jej mleko. To jest uczucie czyste, rozumiesz? Mówisz, że próbujesz zrozumieć, że usiłujesz zrozumieć. To znaczy, że nie rozumiesz, mówi, taki z ciebie tępak.

Mówi, że okrywa to gruba zasłona, warstwa za warstwą, jedna za drugą, wchodzenie przypomina wślizgiwanie się, kiedy ktoś delikatnie rozchyła czarnozielone zasłony z aksamitu o jedwabnej okrywie i przechodzi, niekoniecznie dostrzegając kogoś jeszcze, przewijając się między falującymi zasłonami. Nie słysząc nic, wszystko wchłaniają zasłony. Niesie się tylko z wolna ton, pojedynczy, czysty, przefiltrowany przez zasłony, więc wolny od fałszu. W ciemności bije źródło, sączy się z niego delikatne światło i obdarza łagodną poświatą miejsca, które opływa.

Mówi, że miała piękną ciotkę, która, nie krępując się nią, często kręciła się po domu tylko w staniku i skąpych figach. Zawsze chciała podejść i dotknąć nagich ud ciotki, lecz nigdy się nie odważyła. Mówi, że wówczas była po prostu chudym dzieckiem, przekonanym, że nigdy nie wyrośnie na taką piękność jak ciotka. Tę oblegali amanci, regularnie odbierała

całą porcję listów miłosnych. Była aktorką, do której zalecało się mnóstwo mężczyzn, zawsze mówiła, że ją nudzą, chociaż naprawdę ich lubiła. Potem wyszła za oficera, który pilnował jej jak oka w głowie, jeśli wróciła do domu chwilę za późno, zaczynał przesłuchanie, mógł nawet uderzyć. Mówi, że wówczas naprawdę nie była w stanie pojąć, dlaczego ciotka nie rzuca go, żeby położyć kres temu dręczeniu.

Mówi też, że kiedyś kochała się w nauczycielu, uczył w jej klasie matematyki, tak, czysto dziecinne zadurzenie. Uwielbiała barwę jego głosu, wsłuchiwała się w nią podczas zajęć. Matematyka była oschła i nudna, lecz ona, wielbiąc jego niski głos, bardzo się przykładała do nauki. Kiedyś dostała na egzaminie osiemdziesiąt dziewięć punktów i rozplakała się. Kiedy oddawano arkusze egzaminacyjne z oceną, zalała się łzami. Nauczyciel zabrał z powrotem jej pracę i przejrzał jeszcze raz. Podwyższył stopień o parę punktów, lecz powiedziała, że ich nie chce, nie chce, cisnęła arkusz na podłogę, wydzierała się na oczach całej klasy i nie umiała się powstrzymać. Pełny skandal, później nie dostrzegła tego nauczyciela, wykrecała się nawet od pozdrowienia. Po wakacjach już nie uczył w jej klasie, wciąż jednak myślała o nim, zachwycał ją ten głęboki głos; głęboki i pełny.

Czerwona taśma przegradza szosę z Shiaian do Jiangkou. Autobus, którym jadę, zostaje zatrzymany przez mikrobus, wsiadają kobieta i mężczyzna z czerwonymi opaskami na ramieniu: noszenie czerwonej opaski nadaje ludziom szczególną pozycję, mogą okazać się groźni. Myślałem, że ścigają kogoś, chcą aresztować, okazuje się na szczęście, że tylko sprawdzają bilety - to kontrolerzy Zarządu Dróg.

Wkrótce po wyjeździe, na pierwszym przystanku, bilety sprawdzał kierowca. Jakiś chłop z konopnym workiem usiłował się wymknąć, ale kierowca przytrzasnął drzwiami worek, zmusił chłopca do zapłacenia dziesięciu yuanów za bilet i wyrzucił worek na drogę. Potem zaś dodał gazu, nie bacząc na przekleństwa i złorzeczenia chłopca. Autobus ruszył i chłop musiał uskoczyć z drogi. W górskich rejonach autobusy kursują rzadko, więc siedzenie za kierownicą dostarcza władzy i prestiżu, wobec których pasażerowie nie kryją wrogości.

Nikt z nas nie przypuszczał, że para z czerwonymi opaskami okaże się jeszcze bezwzględniejsza. Mężczyzna zabiera pasażerowi bilet i kiwa palcem na kierowcę.

- Chodź no tu!

Kierowca potulnie wysiada z autobusu. Kobieta wypisuje mu mandat, kara wynosi trzysta yuanów, sto razy więcej niż cena trzyyuanowego biletu, od którego kierowca zapomniał odebrać rożek. Jedno przewycięża inne: ta zasada nie ogranicza się do świata przyrody, odnosi się też do świata ludzi.

Najpierw słyszymy, jak stojący przed autobusem kierowca wyjaśnia, że nie zna tego pasażera i zapewne nie byłby w stanie odprzedać biletu; potem zaczyna się kłócić z kontrolerami. Może dlatego, że uposażenie kierowcy jest teraz wyższe niż kontrolerów zatrudnionych w nowym systemie kontraktacyjnym, może dla okazania potęgi czerwonych opasek, w każdym razie para okazuje się nieugięta i twardo obstaje przy przepisach. Po perorach i wrzaskach kierowca przybiera żalony wyraz twarzy i rozpaczliwie błaga. Trwa to całą godzinę, autobus zaś stoi. Ci, którzy wypisują mandat, i ten, któremu go wypisują, zupełnie zapomnieli o zamkniętych w autobusie pasażerach; to oni przez ten cały czas ponoszą karę, pieką się bowiem żywcem w palącym słońcu! Wrogość pasażerów wobec kierowcy stopniowo zamienia się w nienawiść wobec czerwonych opasek. Wszyscy zaczynają w proteście łomotać w szyby i krzyczeć i dopiero wtedy do kobiety dociera, że protesty są skierowane przeciw niej. Szybko drze mandat, strzępy wciska kierowcy w rękę, mężczyzna daje znak chorągiewką, nadjeżdża mikrobus inspekcyjny. Wsiadają i wreszcie odjeżdżają, zostawiając kłęb kurzu na zakończenie pokazu siły.

Jednak kierowca, który przykucnął, ani myśli się podnieść. Pasażerowie wychylają się przez okna i rzecz jasna nie żalują miłych słów, żeby poprawić mu humor. Mija na tym kolejne pół godziny, w końcu tracą cierpliwość, zaczynają krzyczeć i pohukiwać. Dopiero wtedy podnosi się niechętnie i wsiada do wozu.

Wkrótce zajeżdżamy do wioski. Nikt nie zamierza wsiadać ani wysiadać, ale autobus staje, otwierają się drzwi z przodu i z tyłu, kierowca wyskakuje z kabiny i oświadcza:

- Wszyscy wysiadać! Wszyscy wysiadać! Dalej nie jedzie-my. Trzeba zatankować. - Potem samotnie odchodzi.

Z początku pasażerowie tkwią w wozie i narzekają, nikogo jednak nie widać, nikt na nich nie zwraca uwagi, więc wysiadają, jeden po drugim.

Przy szosie są tylko restauracyjka oraz sklepik z papierosami, alkoholem i drobiazgami. Przed sklepikiem markiza, można tu dostać herbaty.

Słońce już przesunęło się na zachód, skwar dokucza nawet pod płóciennym daszkiem. Wypijam czarbkę zimnej herbaty, potem następną, ale autobus jeszcze nie zatankował, nie widać też kierowcy. Dziwna rzecz, pasażerowie, którzy popijali pod markizą herbatę bądź siedli pod drzewami, gdzieś się rozpierzchli.

Rozglądając się za nimi, wchodzę do restauracyjki, lecz tutaj stoją tylko puste kwadratowe stoliki i drewniane krzeselka; nie mam pojęcia, gdzie wszyscy przepadli. Zaglądam do kuchni, tam zaś znajduję kierowcę. Na stole dwa talerze duszonych jarzyn i butelka wódki. Siedzi z właścicielem knajpki i gwarzą.

- O której odjeżdża autobus? - zrozumiałe, że pytam mało przyjaznym tonem.

- Jutro o szóstej rano - odpowiada, też niezbyt życzliwie.

- Dlaczego?

- Nie widzisz, że piję? - odpowiada pytaniem.

- Słuchaj, nie ja ci wymierzałem grzywnę. Jesteś porytowany, ale nie musisz tego wylewać na pasażerów - mówię, trzymając nerwy na wodzy.

- Nie wiesz, że prowadzenie po picciu jest karalne? - Cuchnie alkoholem, wygląda na całkowicie nieodpowiedzialnego.

Kiedy patrzę, jak je, patrzę w te świdrujące oczka pod zmarszczonymi brwiami, ogarnia mnie trudna do określenia wściekłość, mam ochotę porwać tę butelkę, rozwalić mu na głowie. Spiesznie wychodzę.

Wracam na szosę, widzę na poboczu pusty autobus i nagle uświadamiam sobie, że ludzki świat właściwie nie jest racjonalny. Pewnie uniknąłbym tych wszystkich przykrości, gdybym nie wsiadł do autobusu. Nie byłoby kierowcy, pasażerów, kontrolerów, grzywny, prawda? Rzecz w tym, że muszę teraz znaleźć kąt do spania.

Wracam do stoiska z herbatą i natrafiam na współpasażera.

- Ten cholerny autobus nie jedzie - mówię.

- Wiem - odpowiada.

- Gdzie pan spędzi noc?

- Próbuje coś znaleźć.

- Gdzie się podziiali pasażerowie? - pytam.

Mówi, że to miejscowi, zawsze mają gdzie pójść, czas nie ma dla nich większego znaczenia, dzień wcześniej, dzień później, nie ma sprawy. Natomiast on musi jeszcze tego wieczoru dotrzeć do powiatu, żeby nazajutrz rano ruszyć w góry. Wysłała go zoo w Guiyangu, gdzie dotarł telegram z powiatu Yinjiang z wiadomością, że chłopci schwytali w górach jakiegoś dziwostwora. Jeśli się spóźni, zwierzę może nie przeżyć.

- A jeśli zdechnie, to co? - mówię. - Ukarzą pana?

- Nie w tym rzecz - mówi. - Nie rozumie pan.

Mówię, że świata nie da się zrozumieć.

Odpowiada, że chodzi mu o tego dziwostwora, nie o świat.

Mówię, że niewielka różnica między dziwostworem a światem.

Wyciąga telegram i pokazuje. Czytam: „W naszym powiecie chłopci schwytali żywcem dziwne zwierzę. Trzeba natychmiast przybyć w celu identyfikacji”. Mówi też, że do jego zoo dotarł kiedyś telegram z wiadomością o wążającej czterdzieści lub pięćdziesiąt jinów salamandrze, którą porwał górski potok i zniósł w dolinę, kiedy jednak wyznaczona osoba dotarła na miejsce, stwór nie tylko postradał już życie, ale wieśniacy zdążyli nawet poćwiartować go i zjeść. Nie dało się zrekonstruować ciała, nie udało się nawet sklecić modelu. Więc zaczeka przy szosie i zobaczy, może ktoś go podwiezie.

Stoję z nim przez pewien czas. Przejeżdża parę ciężarówek, on wymachuje za każdym razem telegramem, na co nikt nie zwraca uwagi. Nie jest moją misją ratowanie ani dziwostwora, ani świata, więc po co łykam tu kurz? Równie dobrze mogę coś zjeść w restauracyjce.

Pytam kobietę podającą posiłki, czy mogę zanoć. Chyba myśli, że pytam, czy bierze sobie gości, i odpala gniewnie:

- Czy pan nie widzi? To restauracja!

W duchu poprzysięgam, że już nie wsiadę do tego autobusu, mam jednak przed sobą około stu kilometrów, na piechotę zajmie to co najmniej dwa dni. Wracam na szosę, ale człowieka z zoo już nie ma. Może ktoś go zabrał, niewykluczone.

Ma się pod zachód, ławki sprzed stoiska z herbatą wniesiono do środka. Z dołu, skądś poniżej szosy, dobiega łoskot bębnow, widocznie coś się dzieje. Patrzę w stronę podnóża stoku, widzę dachówki, między nimi wybrukowane połączenie. Dalej tarasy pól ryżowych, po pierwszym zbiorze, na paru polach już przeorano czarną ziemię.

Schodzę po stoku, tropem łoskotu bębnow. Wzdłuż muru oporowego idzie chłop, zawinął nogawki, łydki oblepia mu glina. Nieco dalej chłopczyk prowadzi do stawu koło wioski bawołu na sznurze. Patrzę na dym wznoszący się nad dachami w dole i czuję spokój wzbierający w sercu.

Przystaję, żeby się wsłuchać w dobiegający z wioski odgłos bębnow. Tu nie ma kierowcy ani kontrolerów z czerwonymi opaskami, żadnego przyprawiającego o szaleństwo autobusu, żadnego telegramu, który ponagla, żeby jak najszybciej przyjechać i zidentyfikować dziwne zwierzę: tu wszystko należy do przyrody. Znów wracam myślą do czasów, w których musiałem pracować na wsi jako chłop; gdyby nie doszło później do zmian, może wciąż pracowałbym w polu, jak oni? Może też byłbym unurzany w błocie po łydki, po pracy nie trudziłbym się myciem i niewątpliwie byłbym wolny od dzisiejszych lęków. Czy jest coś

bardziej naturalnego niż wieczorny widok dymu, który ściele się z kominów, niż widok dachówek, niż dobiegający z pobliza, lecz wciąż odległy łoskot bębnów?

Nan-nan na-na, fraza bębnów powtarza się raz po raz, wydaje się to wyzbytym słów opowiadaniem legendy. Kolor wody i luna na niebie, pociemniałe dachy, jasnoszary bruk ledwie widoczny na podwórkach między domami, ziemia nagrzana w słońcu, chrząkanie bawołów, pogadywanie dobiegające z domów, wieczorny powiew, szelest liści wysoko na drzewach, zapach ryżowej słomy i obór, wylewanie pomyj, skrzypienie zawiasów u drzwi albo studziennego drewnianego kołowrotu, ćwierkanie wróbli, gruchanie siedzącej gdzieś w gnieździe pary gołębi, przenikliwe głosy kobiet albo dzieci, poczucie smutku i cykanie jakichś skrzydlatych owadów, ziemia pod stopami, z wierzchu sucha i twarda, lecz luźna i spękana w głębi, tłumione żądze i pragnienie szczęścia, drżenie, w które wprawiają ducha bębny, pragnienie, żeby siedzieć boso na progu aż czarnym i wyświeconym przez tych, którzy tu wcześniej siedzieli, wszystko to nagle zbiega się, łączy.

Szaman z Tianmengan wysłał kogoś do cieśli ze zleceniem; niech stary zrobi głowę bogini Tianluo. Dwudziestego siódmego dnia dwunastego miesiąca szaman osobiście poprosi boginię o przyjęcie ofiar złożonych na ołtarzu. Posłaniec przyniósł żywą gęś jako zaliczkę i przypomniał, że to praca na termin. Później stary dostanie słój ryżowego wina i pół świńskiej głowy, co pozwoli mu świętować Nowy Rok. Stary jest przerażony, pojmuje, że niewiele dni mu pozostało. Bogini Guanyin włada życiem, bogini Tianluo śmiercią; bogini nadchodzi, żeby przyspieszyć kres jego życia.

W ciągu paru ostatnich lat, niezależnie od roboty ciesielskiej, stary sporo wyrzeźbił. Robił ludziom do domów boga dostatku, roześmianego arhata, mnicha zbieracza wegetariańskiej stawy i uczciwego sędziego; dla trupy egzorcystów wyrzeźbił pełen zestaw masek: pół człowieka, pół boga - Zhang Kaishana, pół człowieka, pół zwierzę - konnego generała, pół ludzi, pół demony - chochliki; wyrzeźbił krzywoustego chłopca Qin, żeby mieli jakąś rozrywkę. Dla ludzi spoza gór wyrzeźbił także boginię Guanyin, lecz jeszcze nikt nie poprosił go o wyrzeźbienie złowieszczej bogini Tianluo, władającej ludzkim losem. Bogini nadchodzi, żeby odebrać mu życie. Jakiż jest nierozgamięty, jak mógł się zgodzić? Wyrzucał sobie, że jest za stary, zbyt chciwy. Póki ludzie mu płacą, rzeźbi, co chcą. W jego rzeźbach wszyscy widzą rzeczywistość, na pierwszy rzut oka rozpoznają, że to bóg dostatku, to sprytny urzędnik, to roześmiany arhat, to mnich zbieracz wegetariańskiej stawy, to uczciwy sędzia, to porywczy generał Zhang Kaishan, to zaś koniogenerał, to chochliki, to bogini Guanyin. Nigdy nie widział bogini Guanyin, wie tylko, że to bogini, która przynosi synów. Zjawiła się kobieta spoza gór z kawałkiem czerwonej tkaniny i pękiem trociczek. Słyszała, że skała, przy której ludzie z gór składają ofiary, jest skuteczna, przybyła więc w góry modlić się o syna. Kiedy zobaczyła, że stary rzeźbi figury bóstw, poprosiła, żeby zrobił jej Guanyin; przenocowała w jego domu. Wstała wcześniej, bardzo szczęśliwa, i zabrała z sobą Guanyin, na której rzeźbieniu stary spędził całą noc. Nigdy jednak nie rzeźbił bogini Tianluo, bo nikt go o to nigdy nie prosił, dlatego też, że owego złowrogiego ducha czci się tylko na ołtarzach szamanów. Doszczętnie złany zimnym potem, nie mógł opanować dreszczy: wiedział, że bogini Tianluo uczepliła się już jego ciała i tylko czeka, żeby odebrać mu życie.

Cieśla wspina się na stertę kłód, żeby z wiszącej u krokwi skrzynki z deszczulek wyjąć kawałek drewna. To drewno ma piękne włókno, nie wypaczy się, nie pęknie, cieśla suszy ten kawałek od lat, nie chciał go zużyć na byle co. Doświadczony drewna, osuwa się, runęła cała sterta kłód. Śmiertelnie przerażony, umysł ma jasny, jak w transie, nie puszcza drewna i siada z tym kawałkiem na sękatym korzeniu klonu, służącym do ubijania siana w szopie. Jeżeli chodzi o niewielką pracę, jak ta, starcza mu zazwyczaj chwila namysłu, potem może zacząć. Pod ostrzem będą się zwijać wióry, a kiedy zdmuchnie je, wyłoni się już twarz, to żadna sztuka. Nigdy jednak nie rzeźbił bogini Tianluo, zatem ściskając w ręce kawał drewna, siedzi tam, oszołomiony, drżący, czuje, że całym jego ciałem wstrząsają zimne dreszcze. W końcu odkłada drewno, idzie do domu i siada przy ogniu na okrągłym pniaku, który aż poczerńiał od brudu i dymu, wytarł się do połysku od siadania. Cieśla lęka się, trwoży, że oto przyszedł na niego kres, że nie dociągnie do końca roku. Przystanie oddychać dwudziestego siódmego dwunastego miesiąca, nie doczekawszy piętnastego dnia pierwszego miesiąca. Już postanowiono, że nie dane mu będzie przestąpić progę Nowego Roku.

Popelnił zbyt wiele niegodziwości, mówi.

Tak sądziła bogini Tianluo?

Tak, powiedziała, że nie jest dobrym starcem, jest starcem niezadowolonym z losu.

Możliwe.

Chował w sercu wiedzę, ileż popelnił niegodziwości.

A co, nie uwiódł tej kobiety, która przyszła się modlić o syna?

To była zdzira, paliła się do tego.

Więc to się nie liczy jako występpek?

Można ją pominąć w rachubie.

Więc jego niegodziwością było...

Zgwałcił niemowę.

W szopie?

Na to się nie odważył; zrobił to, kiedy pracował z dala od domu. Ci wędrowni rzemieślnicy są samotni jak rok długi, a dzięki swej biegłości trochę zarabiają. Tacy bez

trudu znajdują kobietę, z którą mogą się przespać, bo wkoło pełno jest rozpustnic żądnych pieniędzy. On jednak nie powinien był wykorzystywać młodziutkiej niemowy. Zgwałcił ją, zabawiał się nią, a potem się jej pozbył.

Kiedy bogini Tianluo przyszła odebrać mu życie, pomyślał o niemowie?

Jasne. Stała mu przed oczami i nie zdołał jej odprawić.

Czy to była odplata?

Tak. Każda wykorzystana kobieta pożąda zemsty! Póki żyje i może wytropić człowieka, wydrze mu oczy, przeklnie z całego serca, wezwie demony, żeby porwały go i zniosły do osiemnastego piekielnego podziemia, gdzie zazna najstraszniejszych tortur! Ale ta niema dziewczyna nie mogła nikogo wezwać, nie mogła mówić. W ciąży, wyrzucona z domu stoczyła się, została prostytutką, żebraczką, gnijącym ciałem, wzgardzonym przez wszystkich. Wcześniej była wcale ładna, mogła wyjść za porządnego gospodarza, wieść normalne życie w małżeństwie, mieć w domu schronienie przed deszczem i wichrem, wydać na świat synów i córki, zasłużyć po śmierci na trumnę.

Nie pomyślałaby o tym, myślałaby tylko o sobie.

Lecz ona utkwiała w nim bezlitosne spojrzenie.

Spojrzenie bogini Tianluo.

Spojrzenie dziewczyny, która nie może mówić.

Spojrzenie pełne trwogi, kiedy ją gwałcił?

Spojrzenie mściwe!

Spojrzenie błagalne.

Nie mogła błagać, płakała tylko i rwała włosy na głowie.

Była oszołomiona, otępiła...

Nie, krzyczała...

Nikt jednak nie mógł zrozumieć jej *yi-yi*, *ya-ya*, wszyscy się z niej śmiali. On zaś wmieszał się w tłum i też rechotał.

Oczywiście!

Oczywiście, wtedy niczego się nie bał, nawet był z siebie dumny, sądził, że nikt nie zdoła go wytropić.

Los ją pomści!

Wkrótce się zjawi tutaj, ona, bogini Tianluo. On przegrzebuje żar, ona zaś objawia mu się w iskrach i dymie.

Zacisnął powieki, z oczu spływają starcze łzy.

Nie wybielaj go!

Dym wszystkim wyciska łzy z oczu. On zaś ręką szorstką jak drwa na podpałkę ściera smarki z gęby, potem człapie do szopy. Bierze ów kawał drewna ze skrzynki z deszczulek, siekierę i przykucnąwszy na sękatym klonowym korzeniu, struga, aż się ściemni. Potem kawał drewna bierze do domu i siada przy ogniu na okrągłym pniaku. Ściska drewno nogami, obmacuje nieczułymi rękami; wie, że to jego ostatnia rzeźba, trwoży go myśl, że nie zdąży jej skończyć. Musi zdążyć przed świtem, wie, że z pojawieniem się światła pierzchnie z jego wyobraźni ów wizerunek, że znów straci czucie w palcach. Jej oczy, jej wargi, jej górna warga, napięta, kiedy szarpie głową. Płatki uszu miękkie i mięsiste, powinny tkwić w nich kolczyki, ciało napięte, lecz jędrne i gibkie, twarz gładka i proporcjonalna, nos prosty, nie zadarty. On wpycha rękę pod jej ciasno zapięty kołnierzyk...

Mieszkańcy wsi idący wczesnym rankiem na targ do Luofengpo na noworoczne zakupy mijali dom cieśli i nawoływali, ale nie usłyszeli odpowiedzi. Przez szeroko otwarte drzwi dobiegał swąd spalenizny. Weszli i zobaczyli go przed ogniem, leżącego na ziemi. Był martwy. Ktoś powiedział, że to wylew, inni, że się spalił. U stóp leżała rzeźba, głowa bogini Tianluo. W koronie z gałęzi niepokalanka. Z każdej z czterech niewielkich dziur korony sterczała głowa żółwia, jakby zwierzę przysiadło w takiej dziurze i wystawiło łeb, żeby się rozejrzeć. Powieki opuszczone jak we śnie, wgłębienie delikatnego nosa łączy się z eleganckimi łukami brwi, jest też leciutka zmarszczka między brwiami. Cienkie wargi małych ust są zaciśnięte, jakby w pogardzie wobec ludzkiego bytowania, z ledwie zaś widocznych oczu promieniuje zimna obojętność. We wszystkim, w brwiach, oczach, nosie, wargach, policzkach, żuchwie i nawet w długiej, delikatnej szyi widać kruchość tego piękna młodej dziewczyny. Tylko płatki uszu, w których wiszą miedziane kolczyki w kształcie włóczni, są wielkie, wrażliwe, zmysłowe. Szyję ciasno opina wysoki kołnierz. Bogini Tianluo została potem umieszczona na ołtarzu szamana w Tianmenguan.

Już dawno słyszałem liczne opowieści o sławetnym, śmiertelnie groźnym wężu *qishe*. Chłopi nazywają go pospolicie „pięciokrokiem smokiem” i twierdzą, że ukąszony przez niego człowiek czy zwierz pada trupem, nie uszedłszy nawet pięciu kroków, bądź też, że znalazłszy się w odległości pięciu kroków od węża, człowiek ma szczęście, jeżeli przeżyje. Zapewne wywodzi się to z powiedzenia: „Potężny smok nie pokona węża na ziemi”. Ludzie powiadają, że *qishe* nie przypomina innych jadowitych węży. Nawet śmiertelnie groźną kobrę łatwo wykryć, tuż przed atakiem unosi łeb, usztywnia ciało i syczy, żeby przerazić przeciwnika. Kto natknie się na nią, może się bronić, rzucając w jej stronę coś, co trzyma w ręce, a jeśli natknie się z pustymi rękami, powinien rzucić kapelusz albo zerwać but z nogi. Wąż zaatakuje to, co mu się rzuci, a wówczas można się wymknąć. Jednak przy spotkaniu z wężem *qishe* w ośmiu czy nawet dziewięciu wypadkach na dziesięć wąż atakuje, zanim zostanie dostrzeżony.

W południowej prowincji Anhui słyszałem wiele mitów i legend związanych z wężem *qishe*. Znają tam sposoby walki; nad roślinami na swym terenie wywijają siecią delikatniejszą od pajęczej i czekają, aż rzuci się na nią żywa istota; wąż *qishe* uderza jak błyskawica. Nic więc dziwnego, że na obszarach, na których występuje, można usłyszeć najróżniejsze inkantacje, które rzekomo zapewnią ochronę, jeśli zanuci się je bezgłośnie. Jednak ludzie z gór nie wyjawiają tego obcym. Idąc w góry po drewno na opał, ludzie z tamtych stron zawsze mocują rzemieniami wysokie kamasze lub wkładają długie skarpety z grubego płótna. Mieszkańcy miasteczka powiatowego, rzadko chodzący w góry, snują jeszcze straszniejsze opowieści. Ostrzegają, że jeśli spotkam węża *qishe*, nie pomogą nawet skórzane buty, wąż je przegryzie; będę musiał nosić odtrutkę, chociaż po ukąszeniu węża *qishe* nie pomogą zwykłe odtrutki.

Z Tunaj do Anajngu szosa prowadzi przez Shitai. Przed kramem z posiłkami przy przystanku autobusowym spotykam chłopa, który stracił rękę. Mówi, że odrąbał ją sobie, kiedy ukąsił go wąż *qishe*. Jest rzadkim przykładem, że można przeżyć atak. Miękki słomkowy kapelusz, który nosi, spleciono z włókien ryżowca papierowego; to szykowny kapelusz z wąskim rondem. Takie noszą zazwyczaj chłopi pracujący na przystaniach, a chłopi w takich kapeluszach zazwyczaj niejedno widzieli i niejedno wiedzą. Na przydrożnym straganie pod białą bawełnianą markizą zamawiam miskę zupy z makaronem. Chłop siedzi naprzeciw mnie, pałeczki dojedzenia trzyma w lewej ręce, kikutem prawej macha mi przed nosem, co nie ułatwia jedzenia. Nie myślę się, chciałby porozmawiać.

- Starszy bracie - zagaduję - płacąc za swoją miskę, zapłaciłem także za twoją. Czy zechcesz mi opowiedzieć, jak okaleczyłeś swe ramię?

Zaczyna mówić, co zaszło. Musiał iść w góry, rozejrzeć się za drewnem *qi*.

- Za czym?

- Za drewnem *qi* - zjedzenie go powstrzymuje zazdrość. Ta moja żona doprowadza mnie do szału; jeśli się do mnie odezwie inna kobieta, chociażby słowem, żona zaczyna rzucać garnkami. Wybrałem się po drewno *qi*, żeby nagotować na nim zupy dla żony.

- Czy drewno *qi* to tradycyjny sposób ludowy? - pytam.

- Nie. - Pod szykownym kapeluszem z włókien ryżowca papierowego szeroko otwierają się usta, błyska w nich złoty ząb, rozlega się chichot. Wtedy pojmuję, że mnie nabiera.

Mówi, że paru takich jak on poszło rąbać drzewo do wypalania węgla; to były czasy, nie te co dziś, kiedy w modzie jest biznes. Jeśli ludzie z gór chcieli sobie trochę dorobić, na ogół szli wypalać węgiel. Wprawdzie można było nakraść drewna i sprzedać z zyskiem, ale dłużyli pilnowali ludzie z brygady produkcyjnej, jeśli złapano człowieka, to kryminał. W takie rzeczy się nie wdawał, są nielegalne. Ale nawet przy wypalaniu węgla trzeba wiedzieć, jak się do tego brać. Ori szukał zawsze białego dębu: taki węgiel drzewny pali się srebrnym płomieniem, a kiedy się go potrafi, spada krążek jak z metalu. Jeśli się uda wypalić taki metalizujący węgiel, to za koszyk można dostać nawet podwójną cenę. Nie przerywałem opowieści, bądź co bądź była warta miski makaronu.

Mówi, że szedł przed siebie z siekierą w ręce, a poniżej jego przyjaciele wciąż palili i gwarzyli. Właśnie schylił się i nagle poczuł dreszcz, biegnący od podeszew, natychmiast zrozumiał, że coś nie gra. Mówi, że ludzie są jak psy. Jeśli idący samopas pies zwietrzy panterę, zatrzymuje się przerażony i kwili jak kocię. Mówi, że najzwyczajniej ugięły się pod nim nogi; można sobie być twardzielem pierwszej klasy, lecz jeśli człowiek się natknie na węża *qishe*, to koniec. I właśnie tam zobaczył to coś, zwinięte na skale pod gałęziami

niepokalanka, wąż był raczej szary, zwinięty niemal w kulę, ze środka zaś sterczała głowa. Zamachnął się siekierą, szybko jak myśl, ale w tej samej chwili jego ręka stała się nagle lodowata, przez całe ciało przebiegł spazm, jak porażenie prądem. Miał przed oczami już tylko czerni, coś niesamowitego, ta czerni powlekła nawet słońce. Zniknął szum wiatru, zniknęły głosy ptaków, owadów, szerniało posępne niebo, ze słońca i drzew wysączyła się zimna poświata. Może dzięki temu, że wciąż działał jeszcze mózg, może dzięki wrodzonej szybkości, może dzięki obrzydzeniu do śmierci, a może szczęściu, przerzucił siekierę do lewej ręki i odrąbał sobie prawą. Potem szybko przykucnął i zacisnął kciuk lewej ręki na arterii prawej, powyżej łokcia. Mówi, że bryzgająca krew skwierczała na kamieniach, natychmiast traciła czerwień i zamieniała się w jasnożółtą pianę! Później przyjaciele zanieśli go do wsi, wraz z odrąbaną ręką. Kompletnie szerniała: paznokcie, skóra i ciało stały się czarne, w purpurowe pasma. To zaś, co jeszcze zostało z tej ręki, także zaczęło czernieć; tylko dzięki wszelkim możliwym odtrutkom udało się powstrzymać wnikanie jadu.

- Jesteś nieugięty - mówię.

Odpowiada, że gdyby się zawahał lub został ukąszony o cal wyżej, już by nie żył.

- Utracić rękę, żeby ocalić życie; czy jest się o co spierać? Nawet modliszka urwie sobie odnoże, byle się ratować.

- Ale to owad - mówię.

- Jeżeli nawet owad, to co? Ludzie nie mogą być gorsi od owadów. Lisy odgryzają sobie łapę, żeby wydostać się z sideł; ludzie nie mogą się okazać mniej inteligentni od lisów. -Ciska na stół banknot dziesięcioyuanowy, nie chce, żebym płacił za niego. Mówi, że teraz trochę sprzedaje, trochę kupuje i nie żyje gorzej niż taki wykształcony człowiek jak ja.

Podczas podróży strzegę się węży *qishe*, a potem na drodze do góry Fanjing, w wiosce o nazwie Wenxiao albo Shichang widzę zasuszone węże *qishe* powiązane w kłęby pod sufitem, w suszarni w składzie handlowym. Wyglądały tak właśnie, jak je opisał Liu Zongyuan, z czasów dynastii Tang: „Czarne ciało z białym wzorem”. To cenne chińskie lekarstwo, bardzo skuteczne przy zmniejszeniu napięcia mięśniowego, wspomaganie krążenia, wyzbywaniu się reumatyzmu i przeziębien. Osiąga wysokie ceny, więc nigdy nie brak śmiarków gotowych ryzykować życie, byle je zdobyć.

Liu Zongyuan uważał to stworzenie za groźniejsze od tygrysa, a dalej wdał się w rozważania, że srogi rząd ma naturę dzikszą od tygrysa. Był gubernatorem prowincji, ja zaś jestem jednym ze zwykłych ludzi. Był uczonym i urzędnikiem, za życia trapił się przede wszystkim zagadnieniami świata, tymczasem mnie, gdziekolwiek zawędruję, zaprzęta tylko własne życie.

Nie wystarczy widok kłębow spreprowanych zasuszonych węży. Chętnie zobaczyłbym jakiegoś żywego, żeby wiedzieć, jak go rozpoznać i jak się przed nim uchronić.

I dopiero u stóp góry Fanjing, królestwa tego węża, udaje mi się zobaczyć dwa okazy. Odebrane kłusownikom tkwią w drucianej klatce w bazie strażników rezerwatu. W końcu mogę się im dokładnie przyjrzeć.

Nazwa naukowa brzmi żmija dziobata Pallas. Obie mają ponad dwa metry długości, nie grubsze od szczupłego przegubu, z tym że niewielki człon ogonowy jest cieńszy. Nijakiego szarobrazowego koloru, z szarobiałym trójkątnym wzorem, noszą też popularną nazwę węża szachownicowego. Nie wyglądają na groźne, zwinięte na skałach przypominają grudę ziemi. Jeśli się jednak przyjrzeć uważniej, widać, że szorstka brudnobrunatna trójkątna głowa ma łuskowany zadarty, hakowaty dziób i parę żalonych, przygasłych oczek. W spojrzeniu jest jakaś komiczna żarłoczność, wąż jakoś przypomina błazeńską postać Sezamowego Urzędnika Siódmej Rangi z tradycyjnej opery. Jednak atakując ofiarę, nie kieruje się wzrokiem. Między oczami i nozdrzami znajduje się wgłębienie, jedyny w swoim rodzaju czujnik ciepłoty. Wrażliwy na promienie podczerwone, może na odległość trzech metrów wykryć zmianę temperatury o jedną dwudziestą stopnia. Jeśli zbliża się zwierzę cieplejsze niż on sam, wąż może podkraść się i precyzyjnie zaatakować. Dowiedziałem się tego wszystkiego już później, od znawcy ukąszeń węży, kiedy dotarłem do rezerwatu na górze Wuyi.

Na tej trasie, w górnym dorzeczu rzeki Chen, dopływu Yuanu, w czystym i obfitym nurcie rzeki Jin o wciąż przejrzystych wodach, dzieje się także to: chłopcy pasący krowy sikali w wodzie, lecz porwał ich wartki prąd. Spływają kilkaset metrów, zanim udaje się ich wciągnąć na brzeg: ich głosy niosą się dźwięcznie. Poniżej szosy młoda dziewczyna kąpie się nago przy brzegu. Na widok pojazdu na drodze nieruchomieje, stoi jak biała czapla i tylko obraca szyję, żeby spojrzeć. Mocne południowe słońce wraz z jego odbiciem w wodzie oślepiąją. To, rzecz jasna, nie ma związku z węzami *qishe*.

Śmieje się głośno. Pytasz, czemu się śmieje, odpowiada, że jest szczęśliwa, wie jednak, że wcale nie jest szczęśliwa, tylko stara się sprawiać wrażenie szczęśliwej. Nie chce okazać, że w istocie jest nieszczęśliwa.

Opowiada, że kiedyś szła główną ulicą i zobaczyła mężczyznę, który usiłował dogonić odjeżdżający trolejbus. Na wpół biegł, na wpół skakał, podnosząc się na palce jednej nogi, i krzyczał co sił w płucach. Najwyraźniej drzwi przytrzasnęły mu but podczas wysiadania. Zapewne chłop, spoza miasta. Nauczyciele wpajali jej od dziecka, żeby nie bawić się kosztem chłopów, kiedy zaś dorosła, matka przestrzegała, żeby nie śmiać się głupio w obecności mężczyzn. Nie mogła jednak powstrzymać się od głośnego śmiechu. Kiedy w ten sposób głośno się śmieje, ludzie zawsze się na nią gapią; pojęła dopiero po pewnym czasie, że taki śmiech to zaproszenie, mężczyźni o nikczemnych zamiarach biorą ten śmiech za flirt. Mężczyźni zawsze dziwnie patrzą na kobiety, tak odczytują intencje kobiet, nawet całkiem inne.

Mówi, że wcale nie kochała mężczyzny, któremu oddała się pierwszy raz. Kiedy był już na niej i brał ją, wciąż nie wiedział, że jest dziewicą, więc zapytał, czemu płacze. Powiedziała, że to nie ból, lecz żal nad sobą. Próbował pomóc jej otrzeć łzy, ale płakała nie przez niego, więc go odepchnęła. Zapięła bluzkę i chciała przed lustrem uporządkować zmierzwiłone włosy; z jego pomocą byłoby jeszcze gorzej. Użył sobie, bo wykorzystał chwilę jej słabości.

Nie może powiedzieć, że ją zmusił. Zaprosił do siebie do pokoju na obiad. Przyszła, wypila trochę wina, poczuła się dość szczęśliwa, lecz nie naprawdę szczęśliwa, a potem zaczęła się śmiać w ten sposób.

Mówi, że absolutnie go nie wini. Mówi, że tylko chciała zobaczyć, co będzie, i wypila duszkiem pół szklanki wina, którego nalał. Poczuła się trochę oszołomiona, nie miała pojęcia, że trunek podziała tak mocno. Zdawała sobie sprawę, że śmieje się bezmyślnie, z tą palającą twarzą. Potem ją pocałował, popchnął na łóżko, nie, nie opierała się, wiedziała nawet, kiedy zadziera jej spódnicę.

On był jej profesorem, ona studentką; coś podobnego nie powinno się zdarzyć. Słyszała kroki, obok, na korytarzu, tam i z powrotem chodzili ludzie; zawsze coś mówią, zawsze mają do powiedzenia tyle nieważnych rzeczy. Był środek dnia, po obiedzie wracali do pokoi, słyszała ich wyraźnie. Czula się w tych okolicznościach jak złodziejka, do szpiku kości przejęta wstydem. Jak zwierzę, mówiła do siebie, jak zwierzę.

Potem otworzyła drzwi i wyszła, z wypiętą piersią i uniesioną głową. Była niemal na schodach, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu, w tym momencie zarumieniła się, mówi, bo miała wrażenie, że idzie z zadartą spódnicą, pod spodem nic nie ma. Na szczęście na schodach było ciemno. Okazało się, że woła koleżanka z grupy, która chciała z nią iść na spotkanie z tym właśnie profesorem, wybrać przedmioty na następny semestr. Wymówiła się, powiedziała, że śpieszy się właśnie do kina, nie ma czasu, i poszła. Na zawsze zapamięta jednak to nawoływanie, mówi, myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. Nawet kiedy ją brał, nie biło tak gwałtownie. W końcu doczekała się zemsty, tak, zemściła się za te wszystkie lata niepokoju i strachu, zemściła się. Mówi, że tego dnia na boisku sportowym słońce paliło i oślepiało, a w tym słońcu rozległ się krzyk jak pociągnięcie żyłką po szkło, rozdzierający serce.

Pytasz, kim jest.

Mówi, że sobą, i znów śmieje się głośno.

Ogarnia cię niepokój.

Uśmierza ten niepokój, uspokaja. Mówi, że tylko powtarza opowiadkę zasłyszaną od przyjaciółki, która studiowała w akademii medycznej i trafiła na praktykę na blok operacyjny. Wkrótce się zaprzyjaźniły i wszystko sobie opowiadały.

Nie wierzysz jej.

Dlaczego to nie w porządku, kiedy ona snuje opowiadki, ale w porządku, kiedy ty to robisz?

Prosisz, żeby mówiła dalej.

Mówi, że skończyła.

Mówisz, że ta opowieść kończy się zbyt nagle.

Mówi na to, że nie umie snuć opowieści tajemniczych, jak ty, więcej, ty już opowiedziałeś mnóstwo historii, ona dopiero zaczyna.

Więc opowiadaj dalej, mówisz.

Słyszysz, że przestało ją to interesować, nie chce już opowiadać.

Bierze cię chęćka, mówisz po chwili namysłu.

Nie tylko mężczyźni miewają chęćki.

Oczywiście. Tak samo jest z kobietami, mówisz.

Czemu kobiety nie mogą robić tego, co mężczyźni? To naturalne, u wszystkich ludzkich istot.

Nie oceniasz kobiet, mówisz, twierdzisz tylko, że naszła ją chęćka.

Nie ma nic złego w chęćce.

Mówisz, że nie krytykujesz kobiet, po prostu mówisz o nich.

To mów.

O czym?

Skoro chcesz mówić o chęćkach, to mówmy, powiada.

Mówisz, że mąż, sprawca tych chęćek, nie umierał przez pełnych siedem...

Czego pełnych siedem?

W dawnych czasach kobieta po śmierci męża musiała czuwać przy ciele siedemkroć po siedemkroć, czyli czterdzieści dziewięć dni.

Czy liczba siedem jest feralna?

Siódmy dzień jest pomyślny dla zjaw i duchów.

Nie mówmy o duchach.

W takim razie pomówmy o tej, która nie umarła. Jeszcze nie zdjęła białych żałobnych wstążek z czubków butów, a już upodobniła się do prostytutek z Dworu Radosnej Wiosny w Wuyizhen, które przez cały czas tkwią rozparte w bramie, z rękami na udach i jedną nogą lekko uniesioną na palcach. Przybierała tę uwodzicielską pozę na widok każdego i udawała, że ani myśli czarować mężczyzn.

Mówi, że oczerniasz kobiety.

Nie, mówisz, nawet kobiety nie mogły tego znieść, przechodziły pośpiesznie. Tylko żona Suna Czwartego, ta jędza, napluła jej w twarz.

Ale przechodzący mężczyźni patrzyli na nią łakomie, tak?

Trudno, żeby było inaczej. Oglądali się z zapalem wszyscy, nawet garbus. Ponad pięćdziesięciu, gapią się wszyscy, głowy zwrócone w jedną stronę. Ale jeszcze się nie śmieją.

Kto się śmieje?

Pomówmy o żonie Starego Lu z sąsiedniego domu. Po kolacji siedziała w drzwiach, przyszywała podeszwy do butów, patrzyła na widowisko. No i odezwała się, słuchaj Garbusie, wlałeś w psie gówno! I to do garbusa rzeczywiście dotarło. W te bardzo upalne dni, kiedy mieszkańcy wioski wylegają z kolacją na uliczki, ona chodziła sobie od domu do domu z pustymi wiadrkami na nosilkach i kręciła tyłkiem. Matka Maozi dźgnęła męża palcami do jedzenia, w zamian spuścił jej w nocy takie lanie, że wyła z bólu. Oto, jak jest z chęćkami; kobiety z wioski i ich mężowie, wszyscy chcieli ją trzepnąć w ucho. Gdyby matka Maozi mogła to załatwić po swojemu, zdarłaby z niej ubranie, złapała za kudły i wepchnęła łeb do kubła z odchodami.

To obrzydliwe, mówi.

Ale co z tego wynikło, mówisz. Przede wszystkim żona Starego Lu odkryła, że Zhu Najstarszy, którego wieśniacy zwali Tępakiem i który nie umiał sobie znaleźć żony, zawsze odwiedzał jej szopę z melonami. Powiedział, że pomaga rozrzucić nawóz. Fakt, było to odpowiednie miejsce do użyźniania. Sprawy nie przybrałyby tak tragicznego obrotu, gdyby się to wszystko nie zważyło na głowę żony Suna Czwartego. Przed wschodem słońca Sun Czwarty powiedział, że wcześniej wstaje, bo idzie w góry po drewno na opał. Założył nosilki z zaostrzonym drągiem, pokręcił się po uliczkach wioski, a potem w mgnieniu oka wspiął się na mur ogradzający podwórkę tej kobiety. Żona Suna Czwartego czuła, na co się zanoszą, i nie czekając, aż mąż stamtąd wyjdzie, zaczęła walić we wrota drągiem nosilek. Kobieta, jak gdyby nigdy nic, otworzyła, dopinając guziki bluzy, jakby żona Suna Czwartego miała ją przepuścić w przejściu. Tymczasem żona Suna Czwartego natychmiast rzuca się na kobietę i oto obie awanturują się, wrzeszczą, płaczą; ściągają ludzi. Wszystkie kobiety trzymają stronę żony Suna Czwartego, mężczyźni przyglądają się walce w milczeniu. Odzież kobiety zostaje rozdarta na strzępy, twarz rozorana. Żona Suna Czwartego przyznała później, że chciała tę łkającą, zasłaniającą twarz, zwijającą się z bólu kobietę oszpecić. Prawda, doszło do jawnego zgorszenia, niemniej sprawa należała do kobiet, zatem zarówno Szósty Stryjeczny Dziadek, jak i naczelnik wioski nie mieszały się, ograniczyli się do szyderczego pokasywania. Jednak, wiadomo, umysł kobiety jest bardzo jadowity, zatem same kobiety

postanowiły ją ukarać. Zmówiły się, a kiedy ta, o której mowa, poszła zbierać drewno na opał, na górskiej ścieżce zastąpiło jej drogę parę zwalistych kobiet; zdarły z niej ubranie, związały ją i poniosły na drągu. Wzywała pomocy, krzyk nie cichnął ani przez chwilę, lecz kiedy przybiegli ci, którzy się z nią zadawali, ulękli się widoku wrednych i surowych bab, gotowych każdego obedrzeć ze skóry. Zaniosły ją w góry na Płaskowyż Brzoskwiniowego Kwiecia. Ponieważ z tego płaskowyzu wywodziły się liczne wszetecznice, okolicę tę obrócono niegdyś w wioskę trędowatych. Tam, uwiązana do drąga, rzuciły ją na drogę, opluły, stratowały i zostawiły.

I co dalej?

Potem lało bez przerwy przez kilka dni i nocy. W południe ludzie zobaczyli, jak wraca do wioski. Miała na sobie poszarpane spodnie, a górną część ciała, naga, owinęła słomianą matą jak peleryną; miała ziemiste, posiniaczone wargi. Na jej widok uciekły dzieci bawiące się pod okapami, a drzwi domów zamykały się jedne za drugimi. W parę dni później, kiedy już wydobrzała i znów wychynęła ze swego obejścia, była może jeszcze powabniejsza, o jasnoczerwonych wargach i brzoskwiniowych policzkach. Nie odważyła się już paradować po wiosce, lecz chodziła tylko nad strumień po wodę i coś przeprać, jeszcze przed świtem albo po zmierzchu, zawsze w pośpiechu, przekradając się pod ścianami ze spuszczoną głową. Z bezpiecznej odległości dzieci pokrzykiwały na jej widok: „Trędowata, trędowata, najpierw zgnije ci nos, potem wargi”. Później o niej zapomniano. Ludzie ze wszystkich gospodarstw zajęci byli żniwami i młocką, potem przyszła pora orki, siewu, nasadzania. Dopiero kiedy skończył się ów pracowity czas wczesnych żniw i późnego sadzenia, zauważono, że pola kobiety są nietknięte, nikt na nich nie pracował, jej samej nie widziano od dawna. Ludzie uznali, że trzeba kogoś wysłać, niech rzuci okiem, ale nikt się nie kwapił. W końcu padło na żonę Starego Lu, ma pójść i zerknąć. Kiedy wyszła, powiedziała:

- Chyba tę uwodzicielkę spotkała kara, twarz jej ropieje, nic dziwnego, że nie śmie wyjść z domu! - Zebrane kobiety, usłyszawszy te słowa, odetchnęły z ulgą. Już nie musiały się martwić o mężów.

I co dalej?

Potem przyszły późne żniwa. Kiedy zżęto ostatnie pole, nastały przymrozki. Wieśniacy zaczęli przygotowania do Nowego Roku, należało umyć żarna i zemleć mąkę. Na nagich plecach męża obracającego żarna matka Maozi zobaczyła ropnie, ale nie odważyła się nikomu o tym powiedzieć, z wyjątkiem szwagierki, młodszej siostry męża. Nieoczekiwanie, w dzień po tym, jak opowiedziała o wszystkim szwagierce, ta zobaczyła rankiem ropnie na piersiach swojego męża. Wystarczyło pisnąć - bo kiedy jedna kobieta coś powie drugiej, już nie ma mowy o tajemnicy - okazało się, że nawet Sun Czwarty ma na nogach ropiejącą ranę. W związku z tym był to bardzo ponury Nowy Rok. W każdym domu kobiety drętwiały ze strachu, tymczasem ich mężczyźni owijali sobie głowy lub twarze. W zimie nie wyglądało to jeszcze tak źle. Później nadeszła pora wiosennej orki i ciągle owijanie głowy czy twarzy zaczynało sprawiać kłopot. Zresztą mężczyźni mało się przejmowali swoim wyglądem, bo każdemu zlizła skóra albo wypadały włosy, albo miał ropiejące rany. Nawet Szósty Stryjeczny Dziadek dorobił się ropnia na czubku nosa. Dotknęło to wszystkich, nie mogli więc opowiadać sobie jeden o drugim, po prostu nie podnosili grzbietów znad ziemi. Kiedy do gruntu trafiły wszystkie sadzonki i ludzie doczekali się paru wolnych chwil, przypomnieli sobie uwodzicielkę i zaczęli się zastanawiać, czy jeszcze żyje. Wszyscy jednak powtarzali, że jeśli człowiek siądzie na krześle, na którym siedziała trędowata, nabawi się zaraz czyraków na tyłku, więc do drzwi uwodzicielki nikt nie podszedł.

Zasłużyli na to, ci wszyscy mężczyźni, mówi.

Lecz w porze pielenia pierwsza wyszła na pole żona Suna Czwartego. Z twarzą zawiniętą w chustę. Starzy ludzie uznali zgodnie:

- Popelniono zbrodnię i oto kara spada jeszcze na tym świecie.

Ale co począć? Nie uchowała się nawet żona Starego Lu; dopadło ją zapalenie sutka i doszczętnie przegniły jej piersi. Zły los ominął tylko te niezamężne dziewczęta i dzieci, które wyniosły się, hen, do odległej wioski.

I to już koniec opowieści? pyta.

Tak.

Uważa tę historię za wstrętą.

Ponieważ to historia męska.

Przecież występują w niej i mężczyźni, i kobiety, prawda? pyta.

Mówisz, że owszem, to opowieść z udziałem mężczyzn, jest to jednak historia, którą mężczyźni opowiadają kobietom; męska historia, której kobiety chętnie słuchają. Pytasz, jakiego rodzaju historii lubi słuchać.

Mówi, że twoje opowieści stają się podłe i okrutne.

Mówisz, że taki właśnie jest męski świat.

Jaki jest w takim razie świat kobiecy?

To mogą wiedzieć tylko kobiety.

Nie ma więc mowy o porozumieniu?

Z powodu zupełnie różnych dwóch perspektyw.

Miłość pozwala jednak porozumieć się jednym i drugim.

Pytasz, czy wierzy w miłość.

Po cóż bym jej tak szukała, gdybym nie wierzyła? odpowiada pytaniem.

Dlatego, że wciąż chcesz wierzyć w miłość.

Gdyby chodziło tylko o żądzę, nie miłość, to jakie znaczenie miałyby życie?

Mówisz, że to kobieca filozofia.

Przestań mówić: kobiety to, kobiety tamto; kobiety też są ludźmi.

Także ulepiła je z gliny Niiwa.

I to jest twoje zdanie na temat kobiet?

Mówisz, że po prostu stwierdzasz fakt.

Stwierdzenie faktu też jest opinią.

Mówisz, że nie chcesz roztrząsać tej materii.

Mówisz, że skończyłeś ze snuciem opowieści, wszystkie są pospolite, w złym guście, albo i jadowite, jak w *qzqishe*. Możesz równie dobrze posłuchać paru historii kobiecych, a raczej historii, które kobiety opowiadają mężczyznom.

Mówi, że nie umie snuć opowieści jak ty, po prostu zmyślasz je na poczekaniu. Ona pragnie prawdy, niczym nie zafalszowanej.

Prawdy kobiet.

Dlaczego prawdy kobiet?

Bo prawda mężczyzn różni się od prawdy kobiet.

Robisz się dziwny.

Dlaczego?

Bo już mnie posiadasz. Kiedy coś masz, nie cenisz tego, to męskie, jak sądzisz.

Ale przyznajesz, że prócz świata mężczyzn istnieje też świat kobiet?

Nie mów ze mną o kobietach.

To o czym mam mówić?

Mów o swoim dzieciństwie, o sobie. Nie chce słuchać twych opowieści, chce wiedzieć coś o twej przeszłości, twym dzieciństwie, o twojej matce, dziadku. Chce wiedzieć o najdrobniejszych nawet szczegółach, o twych wspomnieniach z kołyski, chce wiedzieć o tobie wszystko, chce poznać najgłębiej ukryte odczucia. Mówisz, że to wszystko już wyleciało ci z głowy. Mówi, że chce ci pomóc w odtworzeniu wspomnień, chce pomóc w ożywieniu ludzi i zdarzeń już zapomnianych, chce powędrować z tobą przez twe wspomnienia, zagłębić się w twą duszę, zaznać z tobą życia, którego ty zaznałeś.

Mówisz, że pragnie przywłaszczyć sobie twą duszę. Mówi, że tak, nie tylko ciało. Skoro chce cię posiadać, chce posiadać wszystko, chce słuchać twego głosu, gdy ona wnika w twe wspomnienia, chce snuć z tobą wyobrażenia, wcisnąć się w najgłębsze zakamarki twej duszy i z tobą władać twą wyobraźnią, mówi, pragnie też stać się twoją duszą.

Naprawdę jesteś uwodzicielką, mówisz. Tak, mówi, chce się stać koniuszkami twych nerwów, chce, żebyś patrzył jej oczami, dotykał jej palcami, wyobrażenia tworzył wespół z nią, z nią wspinał się na Lingshan, chce ze szczytu Lingshan spojrzeć w dół na pełnię twej duszy, nie wyłączając tajemnic, których się wstydzisz, pochowanych po najciemniejszych kątach. Mówi napastliwie, że nie wolno ci ukryć nawet niegodziwości, chce widzieć wszystko, jak najwyraźniej.

Pytasz, czy chce, żebyś jej wyznał wszystkie swoje niegodziwości. Och, nie podchodź do tego tak poważnie. Jest coś, co chciałbyś robić, chciałbyś się kochać, prawda? pyta.

Mówisz, że nie uchylasz się, i pytasz, od czego zacząć. Mówi, żebyś mówił, o czym chcesz, pod warunkiem że będzie o tobie.

Mówisz, że kiedy byłeś mały, zobaczyłeś wróżbitę, ale już nie pamiętasz, kto cię zabrał, matka czy babka, matka matki.

Nieważne, mówi.

Tym, co wyraziście pamiętasz, były paznokcie wróżbity, bardzo długie. Ułożył twój horoskop, ustawiając mosiężne chorągiewki na Tablicy Ośmiu Trygramów, zakręcił też kompasem. Pytasz, czy słyszała o wróżebnej konstelacji Ziwei, to stara szkoła przepowiadania ludzkiego żywota, przyszłości i śmierci. Mówisz, że kiedy rozstawił te mosiężne chorągiewki, pstryknął głośno palcami, co zabrzmiało przerażająco, potem zaczął wyśpiewywać zaklęcia: *ba-ba ka-ka, ka-ka ba-ba*, tego malca czeka w życiu wiele kłopotów z demonami. Rodzice z przeszłego życia chcą go zabrać z powrotem, niełatwo przyjdzie mu przetrwać, zbyt wiele długów zostawił w życiu przeszłym. Twoja matka bądź babka zapytała, czy można w jakiś sposób zażegnać nieszczęście. Odrzekł, że dziecko musi zmienić rysy, wówczas nie rozpoznają go skrzywdzone mary wołające o jego duszę. Zatem babka wykorzystwała nieobecność matki, żeby założyć ci kolczyk, pamiętasz to bardzo dobrze. Fasolą mung ze szczyptą soli natarła ci płatek ucha, powiedziała, że nie będzie bolało, lecz ucho puchło już przy nacieraniu, bolało coraz bardziej. Zanim babka przekłuła je igłą, do domu wróciła matka i zrobiła potężną awanturę; babka narzekala, ale musiała porzucić pomysł. Jeśli o ciebie chodzi, nie miałaś wówczas wyrobionego zdania o przekłuwaniu uszu.

Pytasz, czego jeszcze chętnie posłucha. Mówisz, że w gruncie rzeczy nie uważasz dzieciństwa za szczęśliwe. Kiedyś po nawałnicy, w swej wanience jako łodzi, z dziadkową laską jako bosakiem, płynąłeś zalaną uliczką. Pamiętasz, jak leżałeś na bambusowym łóżku i w kwadracie nieba widocznym z podwórka liczyłeś gwiazdy, próbując wypatrzeć własną.

Pamiętasz i to, że pewnego roku w Święto Smoczyc Łodzi, w południe, matka złapała cię, żeby zasmarować ci uszy aury pigmentem zmieszany z spirytusem, na głowie zaś wymalować znak „król”, zapewniała, że w ten sposób unikniesz czyraków i wrzodów. Uznałeś to za szpecenie; wyrwałeś się i uciekłeś, zanim matka skończyła malować. A teraz od dawna nie żyje.

Mówi, że jej matka też nie żyje, choroba zabiła ją w Szkole Kadr imienia Siódmego Maja; kiedy trafiła na wieś, już była chora. Miasto było wówczas przygotowane do wojny, mówiono, że lada chwila zaatakują kosmaci Rosjanie. Tak, mówi, ona też zaznała uchodźstwa. Peron obsadzili strażnicy, nie tylko żołnierze z czerwonymi dystynkcjami na kołnierzu, lecz także ochotnicza milicja w takich samych mundurach, z czerwonymi opaskami. Na peron wmaszerowała pod eskortą i ze śpiewem na ustach grupa przestępców, których miała odmienić praca. W podartych ubraniach wyglądali na hordę żebraków. Starzy mężczyźni i stare kobiety - każde z tobołkiem, z emaliowanym kubkiem i miską na ryż w ręku - śpiewali głośno chórem „Do zbrodni przyznajemy się szczerze, ze spuszczoneymi głowami. Oporem wobec reformy zasłużymy tylko na śmierć”. Mówi, że miała wtedy osiem lat i zaczęła wierzyć, drzeć się głupio, że nie wsiądzie do pociągu. Rzuciła się na ziemię i wrzeszczała, że chce do domu. Matka próbowała ją uspokoić, mówiąc, że na wsi będzie weselej, że w schronie przeciwlotniczym jest za mokro, gdyby zaś matce przyszło kopać jeszcze głębiej, pękłby jej grzbiet. Lepiej jechać na wieś, gdzie lepsze powietrze, a matka nie będzie się co noc dopraszać udeptywania pleców. Codziennie była z matką w szkole kadr. Kiedy dorośli studiowali myśli Przewodniczącego Mao i artykuły wstępne z gazet, spoczywała w matczynych ramionach, kiedy zaś ruszali do pracy na pola, szła z nimi i bawiła się w pobliżu; podczas żniw pomagała nawet zbierać kłosa. Wszyscy chętnie ją rozśmieszali, to był najszczęśliwszy okres jej życia. Naprawdę spodobało jej się w tej szkole kadr, z wyjątkiem masówki zwolanej, żeby poddać krytyce wujka Lianga. Stał na stołku, ale zepchnięto go, wybito mu przednie zęby, miał całe usta we krwi. Przy szkole rosło mnóstwo arbuzów, kupowali je wszyscy, a jedząc, przywoływali ją; nigdy w życiu nie zjadła tyłu arbuzów co tam.

Mówisz, że pamiętasz też zabawę noworoczną, kiedy skończyłeś szkołę średnią. Tańczyłeś po raz pierwszy z dziewczyną i deptałeś jej po nogach. Bardzo się speszyłeś, a ona wciąż zapewniała, że nie szkodzi. Tej nocy spadł lekki śnieżek, a płatki padające ci na twarz topniały. Po zabawie całą drogę do domu biegłeś, usiłując dogonić dziewczynę, z którą tańczyłeś...

Nie opowiadaj o innych kobietach!

Opowiadasz o starym kocie, którego kiedyś miałeś, był tak leniwy, że nie łowił myszy.

Nie opowiadaj o starych kotach.

To o czym mam opowiadać?

Opowiedz, czy widziałeś ją czy nie, tę dziewczynę.

Którą?

Tę, która utonęła.

Tę młodziutką studentkę, wysłaną na wieś? Która popełniła samobójstwo, rzucając się do rzeki?

Nie.

Więc którą?

Tę, którą zwabiliście na nocne pływanie, żeby ją potem zgwałcić!

Mówisz, że nie poszedłeś tam.

Mówi, że na pewno poszedłeś.

Mówisz, że możesz przysiąc, że nie poszedłeś!

No to musiałeś ją dotknąć.

Kiedy?

Pod mostem, w ciemności, ty też ją tam dotykałeś, wy, mężczyźni, wszyscy jesteście źli!

Mówisz, że byłeś za młody, żeby się odważyć.

Mówi, że przynajmniej musiałeś pogapić się na nią. Oczywiście, że się gapileś, nie była ładna w potocznym rozumieniu, ale w istocie piękna.

Mówi, że nie gapileś się na nią w potocznym rozumieniu, tylko gapileś się na jej ciało.

Mówisz, że tylko chciałeś popatrzeć.

Nie, na pewno popatrzyłeś.

Mówisz, że niemożliwe.

Oczywiście, że możliwe! Stać cię było na najpodlejsze zagrania, bywałeś często w jej domu.

Co ty opowiadasz, w jej domu?

W jej pokoju! Mówi, że jej zadarłeś, zadarłeś jej koszulę. Jak mogłem jej zadrzeć koszulę?

Stała oparta o ścianę.

Mówisz, że sama zadarła.

W ten sposób? pyta.

Trochę wyżej, mówisz.

I nic nie miała pod spodem? Nawet stanika?

Piersi dopiero zaczynały jej rosnać, mówisz, piersi sterczały, ale sutki miała jeszcze malutkie.

Prześtań o tym opowiadać!

Mówisz, że to ona chciała, żebyś o tym opowiadał.

Mówi, że nie chce, żebyś opowiadał o czymś takim; mówi, że nie chce znowu o tym słuchać.

To o czym mam opowiadać?

O czymkolwiek, ale prześtań wreszcie mówić o kobietach. Pytasz, dlaczego.

Mówi, że to nie ją kochasz.

Czemu tak mówisz? pytasz.

Mówi, że kiedy się kochacie, myślisz o innej.

Bzdury! mówisz, zmyśla to wszystko.

Mówi, że nie chce słuchać, nic nie chce o tym wiedzieć. Bardzo mi przykro, przerywasz.

Nic już nie mów, w ogóle, o niczym.

Mówisz, że w takim razie posłuchasz, co ona powie. Mówi, że nigdy nie słuchasz, co mówi.

Pytasz, czy w szkole aktywno przez cały czas jadła arbuzy. Co za nudziarz z ciebie, naprawdę, mówi.

Błagasz, żeby opowiadała dalej, przyrzekasz nie przerywać. Mówi, że nie ma nic do opowiedzenia.

Im dalej z powiatu Jiangkou w górę rzeki Taiping - z której bierze początek rzeka Jinjiang - tym bardziej fantastycznie ukształtowane góry po obu brzegach. Pozostawiwszy za sobą osadę Pana i, zamieszkaną przez mieszaninę narodowości Miao, Tujia i Han, podróżny trafia do rezerwatu przyrody. Porośnięte gęstym lasem góry zaczynają się tu przybliżać, rzeka staje się coraz węższa i głębsza. Placówka strażników przyrody nad rzeką Heiwan to piętrowy ceglany budynek przy końcu rzecznej zakola. Strażnik przyrody, wysoki, szczupły i smagły mężczyzna w średnim wieku, ma włosy ostrzyżone przy skórze i smagłą pociągłą twarz z kilkudniowym zarostem. To on skonfiskował kłusownikom dwa węże *qishe*, które widziałem. Mówi, że te węże występują pospolicie po obu stronach rzeki w rosnącym tu dziko lnie.

- Oto królestwo węża *qishe* - mówi.

Myślę, że połączyć pierwotnego lasu podzwrotnikowego z wiecznie zielonym liściastym poszyciem stała się dzięki węzom *qishe*.

Najpierw był w wojsku, później przeszedł do aparatu. Podróżował w różne strony, mówi, lecz teraz nie chce już nigdzie wyjeżdżać. Niedawno odrzucił propozycję pokierowania filią Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, nie chciał też kierować stacją botaniczną rezerwatu. Po prostu czuwa samotnie nad górą; zawładnęła nim.

Pięć lat temu do chłopskiej osady podkraadały się tygrysy i porywały bydło, ale ostatnio nie widywano tu tygrysów.

Zeszłego roku, kiedy chłopci zabili panterę, skonfiskował ją i posłał do administracji rezerwatu w powiatowym mieście. Szkielet zakonserwowano arsenikiem, a potem w roli eksponatu zamknięto w sali wystawowej; jednak ktoś go już ukradł. Wspiął się po rurze wodociągowej i włamał przez okno. Jeśli te zaprawione arsenikiem kości, wystawione na sprzedaż, uchodzą teraz za tygrysie, to wypicie przyrządzonego na nich wyciągu spirytusowego naprawdę odbije się na długości życia.

Mówi, że nie jest propagatorem ochrony środowiska, nie umie też prowadzić badań; jest tylko strażnikiem przyrody. Kiedy w rezerwacie wybudowano tę placówkę, postanowił tu zostać. Na piętrze jest kilka pokoi, może więc gościć tutaj specjalistów, uczonych, ułatwiać im badania i zbieranie okazów.

- Nie dokucza panu samotność, kiedy pan tkwi na tej górze przez cały rok? - pytam, nie widząc żony ani dzieci.

- Kobiety bywają kłopotliwe.

Potem opowiedział o służbie w wojsku. Podczas rewolucji kulturalnej dołączały do wojska kobiety, powodując tylko zamęt. Była taka dziewiętnastolatka, wyszkolona w milicji ludowej, jedna z najlepszych snajperek w regionie. Podczas serii potyczek uszła w góry z oddziałem, a potem, pojedynczymi strzałami, położyła pięciu żołnierzy z kompanii, która otoczyła ten oddział. Dowódca kompanii wściekł się i kazał ująć ją żywcem. Kiedy już zabrakło jej amunicji, złapano ją, zdarto z niej ubranie, a żołnierz wygarnął jej w pochwę z automatu, cały magazynek. Jako szef polityczny przepracował też trochę w małej kopalni. Kiedy górnicy walczyli o kobietę, w pierw noże lśniły, potem ociekały krwią, a były jeszcze te zwyklesze kłopoty na tle kobiet. Miał kiedyś żonę, teraz są w separacji, nie zamierza się znowu żenić.

Może pan tu pomieszkać i pisać książki, to miłe, mieć z kim się napić. Piję do każdego posiłku, niewiele, lecz stale.

Chłop ze sznurkiem ryb przekracza zakole naprzeciw strażnicy, idzie po pojedynczym balu służącym za most. Szef strażników woła go, mówi, że ma gościa, chce, żeby chłop przyniósł te ryby.

- Przyrzadzę je panu na ostro, na zakąskę jak znalazł.

Kiedy chce dostać świeżego mięsa, opowiada, każe je przynieść chłopom z targu. A dwadzieścia li stąd, w osadzie, mają teraz sklepik, można tam dostać nawet alkohol i papierosy. Jada zazwyczaj tofu, chłopci, ilekroć go zrobią, podrzucają zawsze porcję. Trzyma też kury, więc nigdy się nie troszczy o jaja ani kurczaki.

W południe on i ja ucztuujemy na zboczach ciemnozielonej góry, popijamy winem ryby na ostro, mamy też miskę uduszonego solonego mięsa.

- Co tu gadać, żyje pan jak bóg - mówię.

- Nie wiem, czy tak wygląda życie bogów, lecz mam tu spokój i niewiele zmartwień. Praca jest prosta; na górę prowadzi jedna jedyna ścieżka, biegnie nosem, a mój jedyny obowiązek to mieć na oku tę górę.

Gdzieś w mieście powiatowym zasłyszałem, że to najlepiej doglądana góra w regionie rzeki Heiwan. Moim zdaniem, to dzięki jego nastawieniu, żeby nie szukać sławy ani bogactwa. Jego zdaniem, to dzięki temu, że naprawdę umie się dogadać z okolicznymi chłopami. W Nowy Rok zjawia się zawsze stary chłop, nieodmiennie z tym samym darem: torbą suszonych korzeni.

- Jeżeli idziesz w góry, żując kawałek tego korzenia, węże zostawią cię w spokoju. - I zaraz idzie do swego pokoju, przynosi słomianą torbę, otwiera i podaje brązowy korzeń. Pytam, co to za roślina, mówi, że nie wie i że nie pytał. Tajemniczy specyfik, przekazany ludziom gór przez przodków, wymaga przestrzegania reguł.

Mówi, że droga tam i z powrotem na główny szczyt - Złoty Wierzchołek zajmie trzy dni. Wezmę ryż, oliwę, sól, trochę tofu, świeżych jarzyn i jajka. W masywie przenocuję w jaskini. Zostało tam jeszcze kilka bawełnianych kołder, używanych niegdyś przez naukowców; uchronią przed chłodem. Wyżej jest wietrznie i bardzo zimno. Mówi, że zejdziesz do wioski i rozejrzy się, jeżeli kogoś znajdzie, mogę jutro wyruszyć. Kieruje się ku balowi służącemu za most.

Potem wybieram się na przechadzkę nad zakolem. Na płycznach woda płynie szybko, iskrzy się w słońcu jak kryształ, lecz w mroku, w ocienionych miejscach wyczuwa się niebezpieczeństwo. Brzegi porasta nie tylko gęsty las, ale i gęste poszycie, gęstwina jest aż czarna; ta mroczna wilgoć budzi lęk, na pewno roi się tam od węży. Po balu służącym za most przechodzę na drugą stronę. Za lasem jest chłopska osada, wszystkiego pięć czy sześć zagród. Stare drewniane zabudowania są wysokie, o poczerniałych ścianach i krokwiach, zapewne przebarwione pod wpływem tutejszych ulew.

Wioska jest cicha, pusta, nie słychać żywej duszy. Wszystkie drzwi stoją otworem, na odsłonięte krokwie zrzuciono siano, zwalono narzędzia rolnicze, drewno, bambus. Wchodzę już do osady, żeby się przyjrzeć, a tu pojawia się nagle skundlony, szaroczarny alzatczyk i z wściekłym pomrukiem zmierza wprost na mnie. Wycofuję się śpiesznie i zmierzam wprost na bal służący za most. Przedemną, nad tą małą strażnicą wznosi się ogromny czarnoszary masyw, rozświetlony słońcem.

Zza pleców dobiega mnie wesoły śmiech, rozglądam się i widzę kobietę zmierzającą ku mnie przez most. Bawi się drągiem nosilek, oplata go duży wąż z długim wijącym się ogonem, ma co najmniej półtora metra. Kobieta najwyraźniej mnie woła, więc podchodzę na brzeg, żeby zrozumieć, o co pyta.

- Hej, chcesz kupić węża? - Podchodzi do mnie i najspokojniej w świecie chichocze, jedną ręką trzyma tych paręnaście centymetrów węża, a drugą drąg, wokół którego wije się gad.

Na szczęście zjawia się w porę strażnik i rugają z drugiego brzegu:

- Wracaj! Słyszysz! Wracaj, ale to już!

Kobieta musi zawrócić, jak kazano.

- Ta baba ma źle w głowie, kiedy zobaczy obcego, chce zawsze coś zmalować - mówi. Znalazł już chłopca, zarazem na tragarza i przewodnika. U siebie w biurze załatwi jeszcze jakieś sprawy, a potem zorganizuje mi prowiant na parę dni. Mogę podejść tak wysoko, jak mi się spodoba, przewodnik dotrzyma kroku, tutejsi ludzie przywykli chodzić górskimi ścieżkami, chłop zaraz mnie dogoni, z koszem na nosilkach. W górę prowadzi tylko jedna ścieżka, nie sposób zabłądzić. Po siedmiu lub ośmiu *li* trafię na kopalnię miedzi, dawno temu jeszcze nie ukończonej, a już porzuconej; jeśli do tego miejsca przewodnik mnie nie dogoni, mogę się tam zatrzymać na chwilę.

Mówi, żebym zostawił plecak, chłop może mi go ponieść. Daje też kij, mówi, że z kijem oszczędzę sił przy podchodzeniu, a przyda się też do odpędzania węży. Radzi żuć ów suszony korzeń, który dostałem. Zegniam się z nim. Macha do mnie, odwraca się i wchodzi do strażnicy.

Wciąż myślę o nim i jego postawie, o odrzuceniu rozgłosu i bogactwa, myślę też o tej ponurej drugiej stronie, za mostem z bala w zakolu rzeki, o osadzie drewnianych poczerniałych domów, o groźnym szaroczarnym alzatczyku i kobiecie niespełna rozumu z wężem na drągu. To wszystko jakby na coś wskazywało, podobnie ponury górski masyw spiętrzony nad budynkiem. W tym wszystkim kryje się coś więcej; coś, czego nigdy nie zdołam w pełni pojąć.

Idziecie w błocie, mży, na drodze cisza, którą maści tylko chlupot pacyn przyssanych do butów. Mówisz, że musi iść tam, gdzie mniej grząsko, ale natychmiast słyszysz tąpnięcie. Odwracasz się i widzisz, że upadła, niezgrabnie podpira się ręką zanurzoną w błocie. Chcesz ją wyciągnąć, lecz osuwa się jej stopa i tą brudną ręką, którą się podpirała, błoci się cała. Mówisz, że naprawdę musi zdjąć te buty na wysokich obcasach. Płacze żałośnie i wali się jak kłoda wprost w maż. Mówisz, chodź, trochę się pobrudziłaś, ale to się wyczyści, wyżej znajdziemy jakiś dom, możesz się tam porządnie umyć. Ale ona oświadcza, że dość, dalej nie idzie.

Oto kobiety, mówisz, chcą wędrować po górach, ale nie życzą sobie mozołu.

Mówi, że nie powinna była wybierać się z tobą tymi parszywymi górskimi drogami.

Mówisz, że góry to nie tylko widoki, to także deszcz i wiatr, skoro już tu jest, niech się nie żali, że przyszła.

Mówi, że ją nabrałeś. Ani śladu turysty na tej cholernej Lingshan.

Mówisz, że jeśli pragnie oglądać ludzi, nie góry, to przecież na miejskich ulicach ludzi jest pełno, prawda? A jeśli ich jeszcze nie widziała, to może odbyć wycieczkę do domu towarowego, tam znajdzie wszystko, czego trzeba kobietom, od słodkich przekąsek po kosmetyki.

Zakrywa twarz ubłoconymi rękami i zaczyna płakać jak dziecko. Masz tego dosyć, podnosisz ją, stawiasz na nogi, pomagasz.

Mówisz, że nie może tak stać w błocie na deszczu, że wyżej pewnie jest jakiś dom, a skoro jest dom, będzie i ogień, a jeśli ogień to i ciepło, już nie będzie się czuła taka samotna, będzie przyjemniej.

Wiesz jednak, że za wałącym się murem zrujnowany piec stoi na deszczu, a garnki już dawno temu przerdzewiały. Na tym pagórku w kępach krzaków nie kryją się splakane kobiece duchy, za grobami przystrojonymi papierowymi wstążkami. Właśnie w tej chwili bardzo pragniesz znaleźć dom, w którym można się przebrać w czyste rzeczy, a potem, po myciu i odświeżeniu, usiąść przy ogniu w bambusowym fotelu, z czarką gorącej herbaty w dłoni, spoglądać na deszczyk mżący na zewnątrz za okapami, opowiedzieć jej baśń dla dzieci, która nie ma nic wspólnego z nią, z tobą ani z pełnym chaosu światem ludzi. Na tej samotnej górze byłaby jak ta dobra dziewczynka w rodzinie, siedziałaby ci na kolanach, wtulona w ramiona.

Mówisz, że bóg ognia to psotny czerwony nagi chłopczyk, który pojawia się na leśnych porębach, hałaśliwie stąpa po stertach suchych liści i z gołym tyłkiem wspina się na zwalone konary.

I oto zaczyna mówić o swojej pierwszej miłości, o romansie młodej dziewczyny, powiedzmy o zadurzeniu, zanim cokolwiek zaświta w głowie; to było coś w rodzaju wzdychania do miłości. Mówi, że ten mężczyzna właśnie wrócił do miasta z reedukacyjnego obozu pracy; smagły, wychudzony, z głębokimi bruzdami na twarzy wyglądał na starszego, niż był. Niemniej, durzyła się w nim, mogła słuchać jak urzeczona, kiedy opowiadał o wycierpianych niedolach.

Mówisz, że to bardzo stara historia, którą słyszałeś o swym pradziadku. Opowiadano, że zobaczył czerwonego chłopczyka wypełzającego spod dębu, który pradziadek ściał był rok wcześniej, przeskakującego potem na drzewo kameliowe. Potrzęsnał głową i pomyślał, że stare oczy płatają mu figle. Wracał z góry do domu, ciągnąc kłodę drzewa głogowego dla skutnika z Plaży Głośnej Wody. Drewno głogowe jest lekkie, nie nasiąka, dobrze nadaje się na łodzie.

Mówi, że miała wówczas szesnaście lat, on już czterdzieści siedem czy osiem, mogła być jego córka. Studiował na uniwersytecie z jej ojcem, przyjaźnili się od lat. Dzięki zrewidowaniu decyzji w jego sprawie wrócił do miasta, lecz tu miał już niewielu przyjaciół i wciąż tkwił u nich w domu, pijąc z jej ojcem i opowiadając o tym, co przeszedł w obozie pracy, uznany za prawicowca. Łzy jej stawały w oczach, kiedy słuchała. Bardzo wychudzony, jeszcze nie w pełni sił, nie przypominał siebie z czasów, w których był naczelnym inżynierem, eleganckim, w garniturze z wzorzystej wełny, w białej koszuli z wykrochmalonym i wyprasowanym, zawsze rozpiętym kołnierzykiem. Mimo to durzyła się w nim bez opamiętania, chciała płakać nad nim, jakże rozpaczliwie pragnęła uszczęśliwić go do końca życia. Gdyby przyjął wówczas tę miłość młodziutkiej dziewczyny, mówi, naprawdę na nic by nie zważała.

Mówisz, że pradiadek schodził z góry, taszcząc pniak głogu, gruby na objęcie ramionami, kiedy dostrzegł boga ognia wdrapującego się na pień drzewa kameliowego. Nie mógł zatrzymać się raptownie, bał się też gapić. Wrócił do domu, zwałił kłodę przed wejściem i jeszcze stojąc na dworze, powiedział, że idzie na nich zły czas! W domu wszyscy go wypytywali. Mówisz, że wówczas żył jeszcze dziadek i to on chciał dowiedzieć się od pradiadka, jakie to na nich idzie zło. Pradiadek zaś odrzekł, że widział czerwonego chłopczyka, Zhuronga, boga ognia, zatem skończył się już czas pomyślności!

Całkowicie to przeoczył, mówi, głuptas. Powiedziała mu dopiero na uniwersytecie, po paru latach studiów. Odrzekł, że miał żonę i syna; żona czekała na niego dwadzieścia długich lat, które przesiedział w obozie pracy, nawet jego syn jest od niej starszy. Poza tym, co by pomyślał jej ojciec, przyjaźnili się przecież od lat. Ty mendo tchórzliwa! Strachliwy dupku! Mówi, że wtedy rozplakała się i przeklinała. Mówi, że nawet schadzka to był jej pomysł. Wychodził i żegnał się z ojcem, ona zaś stała przy drzwiach i wyszła z nim pod pretekstem odwiedzenia koleżanki, sąsiadki z dzieciństwa, z tego samego domu. Zwykle zwracała się do niego wujku Cai, wciąż go tak nazywała. Więc odezwała się, wujku Cai, muszę o czymś z tobą pomówić. Dobrze, odrzekł, możemy pogadać teraz, możemy mówić i iść. Odparła, nie, nie na ulicy. Po chwili namysłu powiedział, że mogą pogadać w parku. Powiedział, że przy bramie parkowej jest restauracja, zaprosił ją tam na kolację.

Mówisz, że potem nadeszły katastrofy, jedna za drugą. Mówisz, że wtedy byłeś za mały, żeby nosić garlacz, nie mogłeś więc chodzić z ojcem na polowania, a tylko z motyką do gajów bambusowych, wykopywać zimowe pędy. Ojciec opowiadał, że wówczas pradiadek, już mocno zgarbiony, miał na karku duży mięsisty guz od taszczenia kłód przez całe życie. Kiedy twój pradiadek był młody, mówił ojciec, był niezrównanym łowcą, lecz w dwa dni po tym, jak zobaczył czerwonego chłopca, już nie żył - pocisk przeszył mu potylicę i rozerwał się w prawym oku. Pradiadek leżał w kałuży krwi tuż przed drzwiami domu, mógłby dosięgnąć progu. Leżący na podwórku korzeń starego kamforowca usiany był purpurowym grudkami zakrzepłej krwi. Uczepiony tego korzenia, już nie zdążył okrążyć domu i wspiąć się po kamiennych schodkach. Pełznął, a kiedy mógłby dosięgnąć progu, przestał oddychać. Nazajutrz wcześniej rano znalazła go twoja prababka; szła nakarmić świnię; w nocy nie słyszała, jak krzyczał.

Mówi, że przy kolacji rozprawiali wyłącznie o błahostkach uniwersyteckich, w ogóle nie tknęła sprawy. Później zaproponował przechadzkę po parku. Rozochocił go alkohol i w cieniu drzew, jak każdy mężczyzna, chciał ją pocałować. Ale nie pozwoliła. Wciąż zwracając się do niego wujku Cai, powiedziała, że chce mu tylko uświadomić, jak bardzo kiedyś go kochała i jak sama się ukarała za tę miłość: oddała się nie kochanemu mężczyźnie. To była chwila zagubienia, pozwoliła komuś zabawić się sobą, tak, mówi, użyła tych słów zabawić się, naszała ją nagle taka chęć. Nic nie odrzekł, chciał ją objąć, ona go odepchnęła.

Mówisz, że jeszcze było ciemno, kiedy twoja babka, wówczas w ciąży z twym ojcem, potknęła się, krzyknęła i zemdląca. To twój dziadek bowiem wciągnął do domu pradiadka i powiedział prababce, że pradiadka zamordowano, a pocisk, wymierzony okrutnie w tył głowy, wypełniono śrutem na dziki. Ojciec opowiadał, że tuż po śmierci pradiadka na górze wybuchł pożar, las płonął przez ponad dziesięć dni, w paru ogniskach naraz, nie sposób było go powstrzymać. Płomienie strzelały w niebo, w ich świetle wierzchołek Huri wyglądał jak gorejący wulkan. Twój dziadek mówił, że pożar właśnie wybuchnął, kiedy zamordowano pradiadka. Ojciec zaś mówił później, że śmierć pradiadka nie miała nic wspólnego z czerwonym chłopczykiem wzniciającym ogień. Pradiadka zamordowano, dziadek zaś do śmierci usiłował odnaleźć zabójcę swego ojca. Lecz kiedy mówił ci o tym ojciec, była to już tylko opowieść, najwyżej mogłeś westchnąć.

Powiedział, że też ją kochał, mówi, na co odrzekła, kłamiesz! Powiedział, że dawniej naprawdę jej pragnął, na co odrzekła, że już za późno. Zapytał, dlaczego? Chciała właśnie, żebyś zapytał, odrzekła. Więc spytał, dlaczego nie może jej nawet pocałować. Odrzekła, że może się przespać z każdym, kto się nawinie, ale nie z nim. Powiedziała też, odejdz! Nigdy nie zrozumiesz. Powiedziała, że go nienawidzi, już nigdy nie chce go widzieć, odepchnęła go i uciekła.

Mówisz, że tak naprawdę nie jest jakąś pielęgniarczą, że przez cały czas cię okłamywała - nie opowiada przygód swych przyjaciółek, lecz własne. Mówi, że ty nie opowiadasz o swym pradiadku, dziadku, ojcu i sobie, lecz zmyślasz opowieści po to tylko, żeby ją straszyć. Mówisz, że opowiadałeś historię dla dzieci. Mówi, że nie jest dzieckiem, nie ma ochoty wysłuchiwać historyjki dla dzieci, chce tylko żyć uczciwie, w miłość nie wierzy ani

trochę, niedobrze jej się robi od miłości, wszyscy mężczyźni są jednakowi, w głowie im tylko seks. A jak jest z kobietami? pytasz. Są po prostu amoralne, mówi, napatrzyła się w życiu wszystkiego, niedobrze jej się robi od życia, nie ma ochoty tyle cierpieć, chce tylko mgnienia szczęścia. Pyta, czyjej pragnę.

Tu, jak stoimy, na deszczu i w błocie?

Czy może być coś bardziej podniecającego?

Mówisz, że z niej zdzira. Mówi, a czy mężczyźni tego nie lubią? To proste, bezstresowe, podniecające. Kiedy skończysz, odchodzisz i po wszystkim, żadnych zmartwień, zero komplikacji. Pytasz, z iloma spała mężczyznami. Mówi, że była ich co najmniej setka. Nie wierzysz.

W co tu wierzyć albo nie wierzyć? To naprawdę bardzo proste, trwa czasem tylko parę minut.

W windzie?

Czemu akurat w windzie? Naoglądałaś się zachodnich filmów. Czyż nie można tego robić pod drzewem, pod murem, wszędzie?

Z zupełnie obcymi?

To nawet lepiej, człowiek nie czuje się później głupio, kiedy znów wpadniecie na siebie.

Pytasz, czy robi to regularnie.

Ilekcóż ją mocno najdzie.

A co, jeśli nie może znaleźć mężczyzny?

Nie sztuka ich znaleźć, wystarczy puścić oko, a już za tobą idą.

Mówisz, że nie wiadomo, czy poszedłbyś za nią, gdyby puściła oko.

Mówi, że nie wiadomo, czybyś się odważył, lecz nie brak mężczyzn, których na to stać. Bo czego pragną wszyscy mężczyźni?

A więc zabawiasz się z mężczyznami.

Co w tym dziwnego? Dlaczego tylko mężczyznom wolno się zabawiać z kobietami?

Mówisz, że równie dobrze mogłaby się zabawiać sama ze sobą.

Czemu nie?

W tym błocie!

Zaczyna chichotać i mówi, że cię lubi, ale nie jest to miłość. Mówi, że powinienes uważać, bo gdyby naprawdę się w tobie zakochała, to...

To by była katastrofa.

Pyta, dla ciebie katastrofa czy dla mnie?

Mówisz, dla ciebie i dla mnie.

Bystrzak z ciebie, mówi, to, co naprawdę lubi, to twój bystry umysł.

Niestety, mówi, umysł to nie ciało.

Mówi, że ciało ma każdy, mówi też, że nie chce, żeby ją życie wykończyło, i wreszcie głęboko wzdycha. Może byś opowiedział radosną historię, mówi.

Czy mogę dalej opowiadać o tym ogniu? O czerwonym chłopczyku z gołym tyłkiem?

Jak chcesz.

Mówisz więc, że czerwony chłopczyk, ów bóg ognia Zhurong, to duch tamtych dziewięciu gór. Stara świątynia boga ognia u stóp wierzchołka Huri dawno popadła w zaniechanie, ludzie zapomnieli składać ofiary, troszczyli się tylko, żeby mieć dość mięsa i trunku dla siebie, dla własnej uciechy. Zlekceważony bóg wpadł we wściekłość i zaczął szaleć. Co do pradziadka...

Czemu nie mówisz dalej?

Tej nocy, kiedy zginął, a wszyscy mocno spali, z lasu wynurzyła się wstęga ognia i jasno płonąc, zaczęła nieśpieszną podróż przez czarne cienie góry. Wiatr niósł odór spalenizny, aż śpiący twardym snem ludzie poczuli, że się duszą, i śpiesznie zerwali się na nogi. Oszołomieni patrzyli na las w ogniu. Za dnia opadł na nich gęsty dym, było za późno, żeby to przerwać, a nawet żeby uciec. Przypalane płomieniem, ścigane przez pożar dzikie zwierzęta też były przerażone, ku rzece mknęły tygrysy, pantery, dziki i szakale. I tylko ten wzburzony głęboki potok wstrzymał rozpełzanie się ognia. Gapiący się na ogień z przeciwległego brzegu tłum dostrzegł, jak ogromny czerwony zionący językami ognia ptak o dziewięciu głowach wzbija się ze środka pożaru. Poszybował w niebo, ciągnąc za sobą złoty ogon i kwiląc jak dziewczynka. Olbrzymie tysiącletnie drzewa wylatywały w powietrze z trzaskiem jak zrzucane pióra, wybuchały, a potem lekko opadały wprost w morze ognia...

Śnię, że kamienny mur za mną pęka, rozwiera się, w szczelinie zaś widać niebo, białe jak rybi brzuch. Pod niebem biegnie opustoszała uliczka. Po jednej stronie są drzwi świątyni, dużej, wiem, że boczne, nigdy nie otwierane, z rozwieszoną przy wejściu nylonową linką, na której suszą się dziecięce łaszki. Rozpoznaję, w takim miejscu byłem. Gdzieś w Guanxian w prowincji Sichuan, przed świątynią Dwóch Królów, idę wzdłuż tamy, która przegradza rzekę, kłębiącą się w dole, pod stopami. Po drugiej stronie też jest świątynia, lecz nieużywana, próbuję dostać się do środka, chociaż nie mam pojęcia jak, mogę tylko rzucić okiem na ryby i węże pełzające na wyniosłych, czarnych wywinitych okapach, wystających daleko poza mury. Trzymam się liny i ostrożnie wychylam nad spienione bystrza. A tutaj ludzie łowią ryby, chcę do nich podejść, popatrzeć, lecz toń przybiera i muszę się wycofać. Wokół pędzą spiętrzone wody, w środku ja, jak dzieciak. Moje ja terazniejsze stoi przed tylnymi drzwiami, zarośniętymi chwastem, i patrzy na moje ja z dzieciństwa. Noszę płócienne buty i jestem w kłopotliwej sytuacji - te buty zapinają się na guzy z tkaniny i ci moi koledzy z podstawówki, którzy używają brzydkich słów, mówią, że noszę buty dla dziewczyn, a ja się wstydzę. To za sprawą tych nieokrzesanych uliczników nauczyłem się, co znaczą słowa, zazwyczaj używane w przekleństwach i wyzwiskach. Mówią, że wszystkie kobiety to tani towar, że gruba kobieta, która za rogiem sprzedaje pieczone placki, rżnie się z mężczyznami. Wiem, że mówią plugawo, wiem, że to ma coś wspólnego z ciałami mężczyzn i kobiet, lecz bardzo mgliście wyobrażam sobie, na czym polega. Mówią, że lubię ciemną chudą koleżankę z klasy, która mi dała kawałek perfumowanego papieru, a ja zarumieniłem się; to było wtedy, kiedy wpadłem na nich na specjalnym seansie filmowym dla uczniów letniej szkoły, właśnie skończyłem podstawówkę i jestem w pierwszej klasie szkoły średniej. Mówią, że nie jest taka ciemna jak kiedyś, za to bardzo gorąca. Wypytywała ich o mnie, oni zaś pytają, dlaczego się z nią nie umówiłem. Później zostaje rzucony na ciało kobiety, która szarpie się, sięgam i zanim zdążę okiełznać tę śmiałość, dotykam ją tam niżej, gdzie jest wilgotna, wiem, że wyrodnieję, ale w skrytości ducha jestem szczęśliwy, chyba wiem, że to kobieta, której pragnę, lecz nie mogę mieć, nie mogę patrzeć w jej piękną twarz, zabieram się do całowania, lecz pocałunek oddają wargi innej kobiety. W głębi serca wiem, że jej nie kocham, mimo to sprawia mi przyjemność. A potem widzę strapione oczy ojca, milczy, wiem, że nie żyje, i wiem, że to nieprawda, we śnie mogę sobie być, jakim chcę rozpustnikiem. A potem słyszę trzaśnięcie drzwi na wietrze i uświadamiam sobie, że śpię w jaskini, w górach, że fałdy dziwnego sklepienia nad głową to skała w świetle lampy sztormowej, śpię w przemoczonym posłaniu, w ubraniu, które przyłgnęło do ciała, też mokrym, wciąż lodowate stopy nie chcą się zagrzać, za łomocącymi drewnianymi drzwiami górski wiatr wściekle wyje, jak zakrwawione dzikie zwierzę, które przysiadło u wlotu jaskini zasłoniętego tymi drzwiami. Uważnie wsłuchuję się w wichurę znad szczytu urwiska, targającą trawami porastającymi moczary.

Nie mogę już dłużej czekać z oddaniem moczu, wypelzam z łóżka, podkręcam i zdejmuję lampę, wkładam buty. Odsuwam gałąź podpierającą te drzwi zbite z kłód złożonych w pionie, wiatr porywa je i z hukiem otwiera na całą szerokość. Przed jaskinią rozpościera się czarna jak smoła zasłona nocy, lampa rzuca krąg światła tylko pod moje nogi. Robię parę kroków, rozpinam rozporek, a spojrzawszy w górę, widzę nagle nad sobą potworny czarny cień. Krzyczę przerażony, niemal upuszczam lampę. Ogromny kształt chwieje się ze mną i natychmiast zdaje sobie sprawę, że to „cień--demon”, o którym czytałem w *Kronikach góry Fanjing*. Kołyszę lampą, porusza się też cień, mój własny, rzucony w nocne mroki.

Chłopski przewodnik, który mi towarzyszy, słysząc krzyk, wybiega z nożem do wyrąbywania drogi. Wstrząs powoduje, że nie potrafię wykrztusić ani słowa, wciąż się wydzieram, skomlę, kołyszę lampą i pokazuję palcem. On także zaczyna zaraz wrzeszczeć i zabiera mi lampę. Na wielkiej, czarnej jak smoła gęstej zasłonie nocy podskakują dwa ogromne czarne kształty w takt wycia i podskakiwania dwóch ludzi. To naprawdę niesamowite: przerazić się, a potem odkryć, że człowiek przeraził się własnego cienia! Obaj sikamy i podskakujemy jak dzieci, zmuszając też do podskakiwania te czarne cienie-demony, koimy w ten sposób nerwy i dodajemy sobie otuchy, bo z przerażenia odchodziliśmy od zmysłów.

Wracam do jaskini tak wzburzony, że nie mogę zasnąć, on także rzuca się i przewraca z boku na bok. Proszę więc, żeby mi opowiedział jakieś historie o górach. Zaczyna mamrotać, lecz teraz w miejscowym dialekcie, na dziesięć zdań ośmiu nie sposób zrozumieć. Mówi

chyba o kuzynie z dalszej gałęzi klanu, poturbowanym przez niedźwiedzia; kuzyn stracił oko, bo nie chciał złożyć hołdu bogu góry. Nie wiem, może to opowiada, żeby mi w piętę poszło, za karę, że go tutaj wywlokłem.

Wstajemy wcześniej, żeby dojść do Stawów Dziewięciu Smoków. On idzie przodem. Z odległości trzech kroków wydaje się już niewyraźnym kształtem, z pięciu pewnie ledwie by usłyszał mój krzyk. Skoro górską mgła jest taka gęsta jak dziś, nic dziwnego, że zeszłej nocy lampa rzucała cienie nad głowami. Dla mnie to nowe doświadczenie, podczas wydechu kłęb białej pary toczy się i wypełnia lukę, którą wybiłem samym sobą we mgle. Tymczasem on, nie przeszedłszy nawet stu kroków od jaskini, zatrzymuje się, odwraca i mówi, że nie możemy iść dalej.

- Dlaczego? - pytam

- Zeszłego roku też było tak paskudnie. Na górę poszło sześciu ludzi, kraść zióła lecznicze, wróciło tylko trzech.

- Przestań mnie straszyć - mówię.

- Jak chcesz, to idź. Ja nie idę, nie ma mowy.

- Jesteś tu, żeby mi towarzyszyć!

- Wysłał mnie strażnik.

- Wysłał, bo tak chciałem. - Nie mówię, że mu płacę za niesienie rzeczy.

- Kiedy coś się przytrafi, trudno to będzie wytłumaczyć strażnikowi.

- Nic nie musisz tłumaczyć strażnikowi, to nie mój strażnik, za mnie nie musi odpowiadać. Za siebie ja odpowiadam, tylko ja. A chcę zobaczyć Jezioro Dziewięciu Smoków! Mówi, że to nie jezioro, tylko stawy.

Mówię, wszystko jedno jezioro czy stawy, chcę zobaczyć tamten złocisty włochaty mech, dotarłem pod tę górę, żeby zobaczyć złocisty włochaty mech wysoki na prawie pół metra, chcę się wytarzać w grubym złocistym mchu.

Mówi, że tam się nie da spać, bo to rośliny wodne.

To strażnik mi mówił, że jest tam miększej niż na dywanie, chcę to powiedzieć, ale nie sposób teraz tłumaczyć człowiekowi, co to jest dywan; nonsens.

Przestaje mówić i ze spuszczoną głową idzie przed siebie. Więc znowu jestem w drodze, odniosłem zwycięstwo, jeśli zechcę, potrafię narzucić swoją wolę przewodnikowi, którego nogi w końcu oplacam. Po prostu chcę udowodnić, że tylko dzięki mej własnej woli dotrę do miejsca, którego wzbraniają się odwiedzić nawet duchy.

Rozluźniam się, zostaję z tyłu o parę kroków, a w tym momencie przewodnik znika w gęstej, podobnej do wyziewów mgle. Muszę przyśpieszyć, muszę nadażyć za cieniem, lecz kiedy się przybliżam, okazuje się, że to górski dąb. Nie mam pojęcia, czym to się skończy, jeśli będę próbował znaleźć drogę powrotną przez te trawiaste moczary, straciłem zupełnie orientację i zaczynam wołać, drę się na całe gardło.

W końcu wyłania się z mgły, gestykułuje gwałtownie, muszę podejść tuż do niego, żeby usłyszeć, że także krzyczy. To ta cholerna mgła.

- Złosisz się na mnie? - pytam, myślę, że trzeba się usprawiedliwić.

- Nie złoszczę się, a nawet gdybym się złościł, to i tak ty przede wszystkim złosisz się na mnie! - Wciąż gestykułuje jak szalony i krzyczy, lecz gęsta mgła tłumi głos. Widzę, że nie mam racji.

Najlepiej iść tuż za nim, wręcz deptać mu po piętach. Nie sposób zejść daleko, a tak idzie się bardzo niewygodnie, na pewno nie po to wchodzę na tę górę, żeby wpatrywać się w jego obcasy. Więc po co tu jestem? To chyba w związku ze snami, demonem-cieniem, przemoczonym ubraniem, źle przespaną nocą i tym rozczarowaniem żywie niedobre przecucia. Sięgam do kieszeni koszuli, lepiącej się do ciała, po ów zbawczy korzeń odpędzający węże. Nie mogę nic znaleźć.

- Wracajmy.

Nie słyszy i muszę krzyknąć:

- Wracajmy!

Śmieszne, ale on się nie śmieje, tylko mamrocze:

- Już dawno trzeba było zawrócić.

Więc kończy się na tym, że to ja słucham. Zawróciwszy, idę za nim. Zaraz po dojściu do jaskini rozpala ogień. Ciśnienie jest tak niskie, że dym nie może się wydostać, jaskinia wkrótce zapełnia się tym dymem, właściwie nie możemy otworzyć oczu. Siedzi przy ogniu i zaczyna śpiewać, *nan-nan, na-na*.

- Co mówisz temu ogniowi? - pytam.

- Mówię, że ludzie nie mogą przezwyciężyć losu.

Potem włązi na legowisko z desek i wkrótce słyszę głośne chrapanie. Żywiół w stanie czystym, myślę, niczym nie spętana szczerza umysłowość. Mój kłopot to wieczne dążenie do samopobudzeń, doszukiwanie się swej duszy. Jest jednak szkopuł, bo jeśli objawi się ta moja dusza, czy zdołam ją zrozumieć? A jeśli nawet zdołam, co z tego wyniknie?

Doszczętnie ogłupiały i bezradny tkwię w tej wilgotnej jaskini, gdzie lepi się do ciała mokra bielizna, zimna i śliska. I właśnie teraz uświadamiam sobie, że wszystko, czego pragnę, to okno; okno, przez które wpada światło, po mojej stronie okna jest ciepło, przy mnie jest ktoś, kogo kocham i kto mnie kocha. To starczy; wszystko inne to wymysł. Ale i okno jest tylko zwidem.

Przypominam sobie, że śniłem to już nieraz: szukam domu, w którym mieszkałem w dzieciństwie, lgnę do tych ciepłych wspomnień. Podwórka, jedno za drugim, coraz głębiej i głębiej, jak labirynt, z wąskimi i krętymi korytarzykami, jednak każde przejście jest inne, nie mogę więc wyjść drogą, którą wszedłem. Ilekroć w tym śnie wchodzę na podwórko, zawsze prowadzi doń inne przejście. Czasami nasze domowe podwórko jest przejściem dla rodzin mieszkających przed nim i za nim, więc o wszystkim, co robię, wiedzą inni, nie mogę zaznać intymności i ciepła wynikających z bycia po prostu sobą. Nawet przepierzenia w moim pokoju nie sięgają sufitu, albo w oklejonych papierem ścianach są dziury, albo któraś ze ścian się zawaliła. Wchodzę po drabinie do pokoju na pięterku i tam spoglądam z góry na dom: cały w ruinie. Niegdyś biegła przed nim ścieżka obsadzona dyniami, a przedzierając się kiedyś w pogoni za świerszczem przez włochate pnącza, podrapałem sobie kark i ramiona, swędzenie czułem zaś na całym ciele. To było w słońcu, a teraz jest chłód i deszcz. Parcele, nigdyś pustą, zasłaną gruzem, zapełniają teraz domy należące do różnych rodzin. Nie mam pojęcia, kiedy je wybudowano; wszystkie okna są jednak zamknięte. Pod tym pokojem bez ścian, na wysokości półpiętra, moja babka ze strony matki opróżnia czerwoną drewnianą komodę, starą jak ona sama, wyciąga ubranie; to babka, która zmarła wiele lat temu. Powiniennem przetrząsnąć pamięć, znaleźć ciepłe wspomnienia, jak sny z dzieciństwa, ściślej: jak sny o dzieciństwie. Chce poszukać przyjaciół z czasów, kiedy byłem mały, tych towarzyszy dziecięcych zabaw, których imion już nie pamiętam. Był chłopak z blizną na dolnej wardze, pamiątka po upadku, miły i wielkoduszny, zapewniał, że purpurowy gliniany garnek na świerszcze ma po dziadku. Lubilem też jego starszą siostrę, bardzo delikatną, do której jednak nigdy się nie odezwałem. Wiem, że później wyszła za męża, i gdybym nawet trafił teraz do jej domu, pewnie wyszedłbym z niczym, nie zdołałbym się nawet spotkać z tym towarzyszem zabaw, z blizną na dolnej wardze.

Mijam uliczki, przy których tłoczą się domy, okapy wiszą nisko i sięgają niemal środka przejścia. Muszę pośpieszyć do domu, czeka na mnie babka, matka matki. Kiedy zbliża się pora obiadu, woła mnie, a głos zawsze brzmi tak, jakby się awanturowała. Często klóciła się z moją matką, z wiekiem coraz bardziej porywcza. Nie umiała żyć w zgodzie z własną córką i wyjechała nadaśana, żeby odnaleźć kogoś z krewnych ze strony matki. Później opowiadano, że umarła w domu starców. Muszę się wywiedzieć, co się jej przytrafiło, żeby zachować się jak należy wobec zmarłej matki. W tej sytuacji myślę przez cały czas o zmarłych pewnie dlatego, że zazwyczaj w ogóle o nich nie myślę, chociaż w gruncie rzeczy to oni są mi najbliżsi. W tej górskiej jaskini iskry tańczące nad ogniem przywołują wspomnienia. Trę oczy piekące od dymu; najchętniej bym ich nie otwierał.

Wstaję i wychodzę, mgła trochę zrzędła, na dziesięć kroków można coś dostrzec. Powietrze niesie tumany mżawki. W szczelinie skały znajdują końce spalonych trociczek, w szczelinę wetknięto też konar obwiązany kawałkami czerwonej tkaniny. Myślę sobie, że to zapewne miejsce, w którym kobiety modlą się o synów, przez ludzi gór zwane Lingyan.

Ogromne, niebotyczne filary szczytu nikną zupełnie we mgle. Idę kawałek granią i nagle z mgieł wyłania się umarłe miasto.

Może opowiesz o czymś innym?

Mówisz, że górską wichura chłoscze te zachwaszczone ruiny, splekane kamienne bloki okryły się mchem i porostami, po którymś przemyka gekon.

Powiadają, że w tamtych czasach wypełniały powietrze klangor dzwonów o świcie, loskot bębnow o zmierzchu, a zapach kadzideł przez cały dzień; było tysiąc cel, a dziewięciu-set dziewięćdziesięciu dziewięciu mnichów ślubowało żyć w samotności. Klasztorem władał czcigodny mnich, w dniu zaś, w którym umarł, ściągnęły tu rzesze buddystów.

Powiadają, że trociczki paliły się w każdej podstawce w klasztorze, napełniając wonią kadzideł krąg o promieniu setek li, a wierni, czując ów zapach niesiony wiatrem, prześcigali się w zapewnieniach o przemienieniu się starego mnicha, który wzniósł się do nieba tak, jak siedział. Na drogach i ścieżkach tej lesistej buddyjskiej krainy tłoczyli się mężczyźni i kobiety, spieszyli złożyć cześć.

Powiadają, że śpiewną recytację sutr, która napełniła powietrze, powiew poniósł aż za przełęcz. Zabrakło poduszek i ci, którzy przyszli późno, klękali podczas modłów na posadzce. Ci, którzy przyszli jeszcze później, czekali na zewnątrz. A pod bramy klasztoru płynął nieprzerwanie strumień ludzi, którzy wspięli się tutaj, ale nie mogli już przekroczyć wrót. Takiego zgromadzenia jeszcze nie widziano.

Powiadają, że wszyscy wyznawcy chcieli, żeby spłynęła na nich łaska starego mnicha, cała zaś rzesza uczniów chciała poznać jego Prawdziwy Przekaz. Czcigodny Mistrz wyłożył przed śmiercią naukę Buddy w Sali Sutr, leżącej pod Biblioteką Sutr, o piętro niżej, obok Sali Wspaniałych Skarbów.

Powiadają, że na dziedzińcu przed Salą Sutr stały w kwiatkach dwa drzewa cynamonowe, jedno w złocistej czerwieni, drugie w księżycowej bieli, oba zaś roztaczały delikatny zapach. Na dziedzińcu rozłożono poduszki z sitowia, w ciepłych promieniach jesiennego słońca siedzieli na nich ze skrzyżowanymi nogami mnisi; oczyściwszy serca, czekali w spokoju na ostatnie objaśnienie dharma przez mistrza.

Powiadają, że wykapał się, pościł, nic nie jadł i nie pił przez siedem dni i nocy. Na ołtarzu z czarnego drewna sandałowego, wyrzeźbionym w kształcie kwiatu lotosu, usiadł na skrzyżowanych nogach, przymknawszy oczy, w obszernej, okrytej łatami szacie, którą owinał wokół ramion. Przed ołtarzem tliły się sandałowe drzazgi wetknięte w pionową podstawkę z brązu, ich czysta woń napełniła Salę Sutr. U boków mistrza stali jego dwaj uczniowie starsi, dwudziestu zaś, którym osobiście golił tonsury, czekało w najgłębszym szacunku u stóp ołtarza. Lewa ręka mistrza ujmowała sznur paciorków Buddy, prawa dzwonek. Kiedy stalową szpilą delikatnie potracił dzwonek, do buddyjskich chorągwi zawieszonych pod stropem uleciał wspaniały ton.

Powiadają, iż rzesza mnichów usłyszała następnie jego melodyjny głos: Budda rzecze oczekującym oświecenia, że Buddy nie można dostrzec w przejawach ciała fizycznego. Budda rzecze, iż wszelkie zjawiska istniejące to złuda, przejawy ciała fizycznego. Jeżeli przejawy są przejawami błędnymi, są także zarazem przejawami niebłędnymi. Nauczam tylko, że tego, co rzekł prodek Buddy i co rzekł Budda, nie można uchwycić i że nie można nie uchwycić, a także nie można przekazać tego słowami. I to, czego nie można przekazać słowami i czego nie można uchwycić, ja oto przekazuję wam wszystkim, to Wielka Dharma, przekazana przez Buddę. Czy są pytania?

Powiadają, że z całej rzeszy uczniów buddyjskich nikt nie zrozumiał mistrza i nikt też nie odważył się zapytać. Najbardziej zatroskani byli ci dwaj u jego boku, którzy towarzyszyli mu przez siedem dni i siedem nocy, nie ważąc się ani na chwilę odpocząć, a tylko czekając na wskazówki dotyczące pogrzebu oraz na to, żeby podać mu szatę oraz jałmużniczą miseczkę. Jednakże o tym nic nie powiedział, a ostatnia mierzająca czas wonna trociczka wypaliła się w podstawce aż do samego drewna. W końcu znalazł się inny uczeń starszy, który zdobył się na odwagę, postąpił krok, uklękł, zaciskając złożone dłonie, padł potem na twarz i rzekł: Ten oto uczeń chciałby zapytać, lecz nie wie, czy powinien, czy nie powinien tego czynić.

Powiadają, że stary mnich uniósł powiekę i zapytał, czego też uczeń chce się dowiedzieć. Ów uczeń starszy uniósł głowę, rozejrzał się wokół i zapytał, czy mistrz, zanim zakończy życie, przekaze komuś szatę oraz jałmużniczą miseczkę. Każdy zrozumiał, co to oznacza, szatę i miseczkę ma otrzymać ten, kto obejmie rządy w ogromnym klasztorze nad

rzeszą mnichów i bogactwem kadzideł. Czyżby w całym mnisim pokoleniu zabrakło następcy?

Powiadają, że stary mnich skinął głową i podniósł miskę ze swej szaty. Gdy z jego ust dobiegły słowa: „Weź miskę!”, cienka trociczka właśnie się dopaliła. Dym uniósł się powoli, zadrżał, utworzył nie domknięty krąg i rozwiął się. W Sali Wspaniałych Skarbów zadźwięczał żelazny dzwon ważący 12 000 jinów, odlany pod nadzorem mnichów w okresie Zhenyuan za panowania dynastii Tang. Natychmiast rozległ się łoskot bębnow, a rzesza mnichów w Sali Sutr zaczęła śpiesznie potrząsać drewnianymi kołatkami i dzwoneczkami z brązu. Kiedy mnisi zobaczyli, że stary mnich już wręczył miseczkę i szatę, ze wszystkich ust uniosła się w niebo melodyjna recytacja Namu Emitufo.

Powiadają, że dwaj uczniowie starsi nie grzeszyli bystrością i żaden z nich nie dosłyszał, jak stary mnich, powiedziawszy „weź miskę”, dodaje „i idź żebrac”. Kiedy ujrzeli, że wargi mistrza drża, żaden nie pomyślał o lgnięciu do prawdziwej nauki, lecz obaj porwali miskę i żaden nie puszczał.

Na skutek czego cicho pękła. Obaj przerazili się, pojęli, że właśnie to jest wolą starego mnicha, i nie odważyli się odezwać. Tylko czcigodny stary mnich wiedział, że jeszcze tego dnia przyjdzie na klasztor zagłada. Nie zniósłby tego widoku, więc przymknął oczy i zaniechał oddychania, dostojnie siedząc na lotosowym siedzisku, wsparłszy jedną rękę na drugiej, kierując wzrok ku bramie życia w swym podbrzuszu, cicho przymusił się do zakończenia życia.

Powiadają, że wewnątrz Sali Sutr, przed nią i obok niej odezwały się pełnym głosem dzwony i bębny, że melodyjnie recytowane przez mnichów sutry niosły się przez salę, dobiegły dziedzińca, a rzesza mnichów podjęła je, te zaś śpiewy rozprzestrzeniły się przez trzy wielkie sale i dwie poboczne aż przed mury klasztoru, na plac, gdzie ciasno było od lektyk, osłów, koni i czcicieli. Przepelnieni nabożnością mężczyźni i kobiety, którzy nie zdołali przejść przez górską przełęcz, nie chcieli zostać pominięci i śpiewając na całe gardło Namu Emitufo, przypuścili potężny atak na przełęcz i przeszli!

Powiadają, że mnichom niosącym misę, z siedzącym na niej przeistoczonym już starym mnichem, towarzyszyła asysta niosąca baldachim z jedwabnych, haftowanych chorągwi. Drogę przed nimi omiatali miotelkami dwaj mnisi i skraplali oczyszczającą umysł i ciało wodą Buddy. Nabożni wyznawcy, mężczyźni i kobiety, którzy właśnie sforsowali przełęcz, rozpaczliwie walczyli o to, żeby chociaż rzucić okiem na starego mnicha, co miało zapewnić pomyślność. Ci, którzy już go zobaczyli, wychwalali jego łagodne oblicze, tak więc ci, którzy nie zdołali go dostrzec, popadali w tym większą rozpacz. Chaotycznie falował tam tłum ludzi wspiętych na palce i wyciągających szyje, tłoczących się jeden przez drugiego. Kapelusze postrącano, deptano i gubiono buty, przewracano stojaki na kadzidła, wdzierano się w miejsca święte.

Powiadają, że ołtarz nakryto i umieszczono na stosie chrustu przed Salą Wspaniałych Skarbów. Przed rozpaleniem poświęcono jeszcze czas jakiś na żarliwe recytacje sutr.

Nie pominięto żadnego rytuału, prawo Buddy nie zezwala na najmniejsze nawet przeoczenie. Jednak i większy nawet klasztor nie mógłby wytrzymać napom dziesięciu tysięcy, nawet mocniejsi ludzie nie zdołaliby poradzić sobie ze wzburzonym tłumem. Tym, którzy przewrócili się i doznali obrażeń, nie pomógł przeraźliwy krzyk, ów zamęt przybrał tragiczny obrót! Nikt nie mógł z całą pewnością stwierdzić, jak wszczęła się pożoga, ilu ludzi spłonęło, ilu strатовano na śmierć, nie obliczono też nigdy, czy więcej spłonęło, czy może więcej strатовano. W każdym razie przez trzy dni i trzy noce szalało ogromne morze ognia, aż Pan Niebios, ogarnięty współczuciem, zesłał tam w samą porę deszczę, by po nich odsłoniły się już popioły. Po katastrofie pozostały tylko te ruiny i fragment kamiennej tablicy dla przyszłych pokoleń, dla ciekawskich, którzy zechcą prowadzić badania.

Za tą rozwaloną ścianą siedzą przy stole moi zmarli, ojciec, matka, babka ze strony matki, czekają, aż przyjdę i zjem. Wędrowałem, wciąż wędrowałem i nie brałem od dawna udziału w rodzinnych zgromadzeniach. Chcę usiąść z nimi przy stole, rozmawiać o zwykłych rodzinnych sprawach; już po wykryciu u mnie raka płuc siadłbym przy stole mego młodszego brata i mówił o rzeczach, których nie da się przegadać z obcymi, a tylko w rodzinie. Kiedy w owych czasach nadchodziła pora posiłku, moja bratanica zawsze chciała oglądać telewizję. Była za mała, żeby wiedzieć, że programy w telewizji to walka ze skażeniem duchowym, propaganda adresowana do wszystkich grup społecznych. Jedna za drugą pojawiały się znakomitości świata kultury, żeby zamanifestować swą postawę i powtórzyć obowiązujące slogany. Z pewnością nie były to programy dla dzieci ani do oglądania przy jedzeniu. Miałem dość wiadomości telewizyjnych, dość gazet, po prostu chciałem wrócić do własnego życia, pogadać o zapomnianych sprawach rodzinnych, na przykład o zwiariowanym pradziadku, który tak bardzo chciał zaspokoić apetyt na objęcie jakiegoś urzędu, że porozdawał całą ulicę, wszystkie domy. Jednak nie zdołał sobie nic załatwić, nawet ułamek stanowiska, kiedy zaś pojął, że go nabierano, wpadł w furję i podpalił ostatni dom, w którym mieszkał. Zmarł, ledwie przekroczywszy trzydziestkę, znacznie młodszy niż ja w tej chwili. Konfucjusz mówił wprawdzie o zapewnieniu sobie pozycji właśnie w tym wieku, ale to czas młodości i kruchości, kto nie odniesie sukcesu, może się załamać. Ani ja, ani mój młodszy brat nie widzieliśmy nigdy zdjęcia owego pradziadka. Sztuka fotografii zapewne nie dotarła jeszcze do Chin, a może wolno było fotografować tylko rodzinę cesarską. W każdym razie zajadaliśmy się z bratem pysznościami, które przyrządzała babka. Najżywiej pamiętam pijane krewetki; te odwłoki wciąż się wily, trzeba było zebrać się na odwagę, żeby którąś przełknąć. Pamiętam też mego dziadka, który miał wylew i był sparaliżowany. Żeby schronić się przed japońskimi bombami, wynajęliśmy u chłopca na wsi stary dom, dziadek przez cały dzień leżał w holu na bambusowej leżance. Drzwi były otwarte, główną izbę odświeżał przeciąg, a siwe włosy dziadka wciąż powiewały. Szalał ze strachu, kiedy syreny zapowiadały nalot, matka mogła wówczas zrobić tylko jedno, przykucnąć przy nim i raz po raz powtarzać mu do ucha, że Japończycy nie mają aż tylu bomb, jeśli będą je zrzucać, to tylko na miasta. Wówczas byłem jeszcze mniejszy niż ta moja bratanica; właśnie uczyłem się chodzić. Żeby się dostać na tylne podwórko, musiałem, jak pamiętam, przekroczyć wysoki próg, za którym był jeszcze stopień. Samodzielnie nie potrafiłem tam dopelznąć, więc tylne podwórko na zawsze pozostało dla mnie miejscem magicznym. Z przodu rozciągał się przed wejściem spory plac, klepisko do mlócenia, pamiętam tarzanie się w sianie z chłopskimi dziećmi. Psiak, który utopił się w płynącej obok spokojnej pięknej rzece. Może wrzucił go do wody jakiś niegodziwiec, może sam wpadł. W każdym razie długo leżał na brzegu psi trup. Matka surowo zabroniła mi bawić się nad rzeką, mogłem tam chodzić i pobawić się w piasku tylko z dorosłymi, schodzącymi po wodę. Oni także kopali dziury w piasku i tam nabierali wody przefiltrowanej do czysta.

Tak, wiem, że otacza mnie teraz świat zmarłych, że za tym murem są moi nieżyjący krewni. Chcę znowu być z nimi, usiąść przy stole i słuchać, jak rozprawiają o błahostkach. Chcę słuchać ich głosów, patrzeć w ich oczy, naprawdę siedzieć z nimi przy jednym stole, nawet nie przy posiłku.

Wiem, że jedzenie i picie w świecie duchów jest symboliczne, że to rytuał, żywi nie mogą brać w nim udziału, lecz uświadamiam sobie nagle, że samo siedzenie przy stole i słuchanie byłoby błogosławieństwem. Podkradam się do nich, lecz kiedy przekraczam ruinę ściany, wstają i cicho znikają za następną ścianą. Słyszę oddalające się kroki, szelesty, widzę nawet pusty stół, który zostawili. Stół okrywa się nagle aksamitnym mchem, przelamuje się, trzaska, rozpada i zamienia w stertę gruzów, szybko zarastają ją krzaki. Natychmiast orientuję się, że w tym innym pokoju tych ruin rozprawiają o mnie. Nie pochwalają mego sposobu życia i martwią się. W istocie bez powodu, lecz martwią się i martwią, myślę, że może zmarli po prostu lubią zamartwiać się o żywych. Rozprawiają szeptem, lecz kiedy przykładam ucho do wilgotnej porośniętej mchem ściany, przerywają i porozumiewają się wzrokiem. Mówią, że dalej nie mogę tego tak ciągnąć, potrzeba mi normalnej rodziny. Powinni mi znaleźć dobrą inteligentną żonę, kobietę, która potrafi się zatroszczyć o to, co jem i piję, która poprowadzi mi dom; sądzą, że moja przedłużająca się choroba bierze się z niewłaściwej diety. Spiskują, jak urządzić mi życie. Powinienem im odrzec, że nie mają się czym martwić, dożyłem już wieku średniego, sam wybrałem sobie sposób życia i zapewne nie

cofnę się do tego, co roi im się w związku ze mną. Nie potrafię tak żyć, jak żyli oni, ich życie zaś żadną miarą nie było czymś nadzwyczajnym. Wciąż jednak o nich myślę, trudno i darmo, pragnę ich zobaczyć, słyszeć ich głosy, rozmawiać z nimi o dawnych wydarzeniach zachowanych w pamięci. Chcę zapytać matkę, czy zabrała mnie na łódź na rzece Xiang. Przypominam sobie, że byłem na wąskiej drewnianej łodzi z baldachimem z bambusowej plecionki. Ludzie stłoczyli się ciasno na deskach przy burtach, dotykali kolanami siedzących naprzeciw. Widać było, że woda sięga krawędzi burty, a łódź wciąż się kołysze, lecz nikt nawet nie pisnął. Wszyscy udawali, że tego nie widzą, chociaż wiedzieli, co się dzieje. Przepełniona łódź mogła w każdej chwili zatonać, lecz nikt nawet o tym nie napomknął. Ja także udawałem nieświadomego. Nie płakałem, nie awanturowałem się, z całych sił starałem się nie myśleć o zagrażającej bezustannie katastrofie; chciałbym zapytać matkę, czy wówczas byliśmy uchodźcami. Jeśli wypatrzę podobną łódź na rzece Xiang, zaświadczy o prawdziwości wspomnienia. Chcę też zapytać matkę, czy ukrywaliśmy się w zagrodzie dla świń przed bandytami czy nie. Była taka pogoda jak dziś, drobny deszcz; ciężarówka wspinająca się górską drogą utknęła na ostrym zakręcie. Kierowca winił siebie, gdyby o ułamek dalej obrócił kierownicę, przednie i tylne koła po jednej stronie wozu nie ugrzęzłyby w miękkiej glinie pobocza. Pamiętam, że to była prawa strona, bo wszyscy wysiedli, wyładowali bagaże na lewą stronę szosy, przy stoku, a potem zaczęli pchać tę ciężarówkę. Koła jednak buksowały w błocie, nie poruszając wozu. Była to ciężarówka na gaz drzewny, podczas wojny benzynę mogły tankować wyłącznie samochody wojskowe. Żeby uruchomić silnik, trzeba było za każdym razem wściekle zakręcić korba, aż rozległy się pierdnięcia; dopiero wtedy mógł jechać. Pojazdy spalinowe przypominały wówczas ludzi, nie mogły ruszyć, nie pozbywszy się gazów. Ten wszakże samochód, owszem, pierdzał, lecz koła kręciły się w miejscu, obrzucając błotem twarze popychających. Kierowca wciąż próbował zaalarmować przejeżdżające samochody, lecz nikt nie przystanął z pomocą. W taką pogodę, pod wieczór, wszyscy śpieszyli się, byle zdążyć. Wreszcie przejechał ostatni samochód z żółtawymi światłami, przypominającymi ślepią dzikiej bestii. W deszczu, po omacku zaczęliśmy podchodzić w górę; raz po raz ślizgaliśmy się na błotnistej górskiej ścieżce, każdy trzymał się ubrania poprzednika. Grupa składała się z ludzi starych, kobiet i dzieci, z najwyższym trudem udało się nam dobrnąć do chłopskiej zagrody. W środku nie paliło się światło, powiedzieli, że nam nie otworzą, więc chroniąc się przed deszczem, musieliśmy się stłoczyć w świńskiej zagrodzie. W środku nocy rozległy się wystrzały, a zza pleców, z mroku górskiego masywu wynurzył się rząd płonących pochodni.

Wszyscy uznali, przerażeni, że to pochód bandytów, nikt nie odważył się nawet pisnąć.

Przekraczam wałącą się ścianę. Po drugiej stronie rośnie drobnolistny młodzieńki bukszpan o pniu cienkim jak mały palec, drży na wietrze pośród tych ruin domu bez dachu. Po drugiej stronie ocalała jakaś resztką okna, jeśli wychylę się, coś zobaczę. Wśród azalii i kęp bambusa jest kilka omszałych czarnych kamiennych płyt, z oddali wydają się miękkie, jakby leżały tam ludzkie ciała, ze sterczącymi zgiętymi kolanami, z rozpostartymi ramionami. W owych czasach Złocisty Wierzchołek, z tysiącem pomieszczeń świątynnych, salami i celami mnichów, miał żelazne dachówki, mające chronić budynki przed porywami górskiej wichury. Za czasów dynastii Ming rzesza mnichów i mniszek oddawała się duchowym praktykom wraz z dziewiątą konkubiną ojca cesarza Wanli. Muszą tu jeszcze błąkać się echa ówczesnej wspaniałości, porannych dzwonów i wieczornych bębnów. Szukam jakiegoś śladu tamtych czasów, lecz odnajduję tylko róg połamanej kamiennej tablicy. Czy to możliwe, żeby upływ pięciuset lat doszczętnie unicestwił nawet żelazne dachówki, tak że przeżarte rdzą znikną bez śladu?

O czym to teraz zamierzam opowiedzieć?

Opowiem o tym, co zdarzyło się pięćset lat później, kiedy ów obrócony w gruzy klasztor stał się kryjówką bandytów. Za dnia spali w pieczarach; nocą schodzili z gór z płonącymi pochodniami grabić i plądrować. Było zaś tak, że u podnóża góry w żeńskim klasztorze osiadła córka wysokiego urzędnika; chociaż nie ogoliła głowy, poświęciła się doskonaleniu w naukach Buddy i strzegła tej starej czarnej lampy Buddy, żeby odpokutować grzechy z poprzedniego życia. Lecz wpadła w oko hersztowi bandytów, który porwał ją w góry i zażądał doglądania obozowego gospodarstwa. Dziewczyna odmówiła, nie ugięła się nawet przed groźbą śmierci, więc wpiery ją zgwałcono, później zamordowano.

O czym jeszcze chciałbym opowiedzieć?

Cofnę się o piętnaście wieków, do czasów sprzed powstania prastarego klasztoru; była tylko chata z trawy. Słynny uczonec zawiesił na kołku swą czapkę urzędniczą i wycofał się tutaj, by pędzić *żywoł* samotnika. Codziennie tuż przed świtem zwracał się na wschód, żeby oddawać się taoistycznym ćwiczeniom oddechu wydłużającym życie; wdychał esencję purpurowej głębi. Potem z wysoko podniesioną głową wydawał z siebie przeciągły gwizd. Czysty dźwięk niósł się pustą doliną, odbijał, a wspinające się po gołych skalnych urwiskach małpy odpowiadały krzykami. Od czasu do czasu zjawiali się przyjaciele, pili herbatę zamiast trunków, grali w szachy lub wdawali się w rozważania przy świetle księżyca. Chociaż leciwy, niewiele przejmował się starością, a drwale przechodzący w pobliżu wskazywali nań z podziwem. Dlatego miejsce to zwie się Urwiskiem Nieśmiertelnego.

O czym jeszcze mogę opowiedzieć?

Opowiem o tym, co wydarzyło się tysiąc pięćset czterdzieści siedem lat później, kiedy za tą górą mieszkał pewien watażka. Spędziwszy większą część życia w wojsku, został w końcu dowódcą i wrócił do swej wsi, żeby złożyć ofiary przodkom. Tutaj zakochał się w służącej, opiekunce jego matki, i w stosownym trybie, po wybraniu pomyślnego dnia i godziny, wziął ją sobie za konkubinę; w kolejności dziedziczenia była siódma. Napitkiem i jadłem zastawiono sto jeden stołów, żeby zadziwić mieszkańców wsi. Za stołami zasiedli przyjaciele i krewni, zmuszeni rzecz jasna przesłać bezlik podarunków, bo jakżeż, w przeciwnym razie, zwróciłaby się ta uczta? Kiedy wszystkich pochłaniało świętowanie, do wrót podszedł żebrak, okryty lachmanami, z owrzodzoną głową. Wartownicy dali mu miszkę ryżu, lecz kiedy chcieli go później odprawić, zaparł się i stanowczo domagał wpuszczenia do sali, a tam zaprowadzenia do głównego stołu, chce bowiem pogratulować oblubieńcowi. Rozgniewany dowódca rozkazał adiutantowi stłuc żebraka karabinem i przepędzić. Głęboką nocą, kiedy wszyscy spali, oblubieniec zaś tonął w szczęśnych snach, wybuchł pożar, wszędzie wykwitły płomienie i zniszczyły większą część starego rodzinnego domu dowódcy. Jedni mówią, że oto bodhisattwa Jigong sięgnął po swe magiczne moce, żeby ukarać niegodziwca w imieniu Niebios. Inni wszakże zapewniali, że u wrót stanął był osławiony, okrutny i podły Cętkowany Łeb. W promieniu stu *li* byli mu posłuszni wszyscy żebracy, ważni i pomniejsi, jakże mógł więc znieść podobną zniewagę? Obojętne, czy znieważa dowódca brygady, czy armii. Skoro nie okazano mu szacunku, zebrał zbirów, ci przywiązali lonty do pęków trociczek i w środku nocy wystrzelili je, one zaś przeleciały przez wysoki mur wprost na sterty drewna i siana. Nawet generał z tysiącem zbrojnych i dziesięcioma tysiącami koni nie zdołałby się obronić przed tą niepokazną figurą.

Jak powiada stare przysłowie: Potężny smok nie dorówna wężowi pełzającemu po ziemi.

O czym jeszcze mogę opowiedzieć?

Zdarzyło się to ponad pół wieku później, też na tej dużej górze. Może się ona wydawać wspaniała i majestatyczna, ale z powodu zamętu w świecie ludzi także ona nie zaznała nigdy spokoju. Szpetna córka nowo mianowanego przewodniczącego komitetu rewolucyjnego pewnego powiatu zakochała się we wnuku dawnego posiadacza ziemskiego i wbrew zakazom ojca bardzo chciała go poślubić. Para uciekła; na drogę ukradli z szuflady kartki na trzydzieści osiem jinów ziarna oraz sto siedem yuanów w gotówce. Ukryli się w górach, przekonani, że zdołają przeżyć, uprawiając ziemię. Ojcu dziewczyny, codziennie perorującemu o walce klas, syn obszarnika uprowadził córkę, więc ów ojciec słusznie się oburzył. Urzędowi bezpieczeństwa publicznego natychmiast rozkazał puścić w obieg zdjęcia, cały zaś powiat postawiono na nogi, żeby aresztować chłopaka. Młoda para nie była w stanie ująć przed obławą uzbrojonej milicji przeczesującej góry; kiedy grotą, w której ukrywali się

młodzi, została otoczona, przerażony młodzieniec porwał skradzioną wcześniej siekiere; wpiersz zabił kochankę, potem siebie.

Mówi, że także pragnie widoku krwi. Chce nakłuć igłą środkowy palec. Palce łączą się z sercem, ból dotrze wprost do serca. Chce patrzeć, jak krew się sączy, zbiera, rozlewa, okrywa czerwienią cały palec, ścieka do jego nasady, spływa między palce, wzdłuż linii dłoni na jej środek. Grzbiet dłoni także ocieka krwią...

Pytasz, dlaczego.

Mówi, dlatego, że mnie dręczysz.

Mówisz, że to w niej tkwią udreki.

Mówi, że także tyje powodujesz.

Mówisz, że snujesz tylko opowieści, nic więcej.

Mówi, że wszystko, co opowiadasz, jest duszne, dławiące.

Pytasz, czy cierpi na jakąś rozpoznawalną chorobę.

Mówi, że ty sprowadziłeś na nią chorobę!

Mówisz, że nie możesz pojąć, co takiego zrobiłeś.

Mówi, że jesteś hipokrytą! A mówiąc to, zaczyna śmiać się jak opętana.

Jej spojrzenie napawa cię lękiem, przyznajesz, że chciałeś pobudzić jej pożądanie, ale kobieca krew wydaje ci się odrażająca.

Mówi, że chce cię zmusić do patrzenia na krew. Chce, żeby krew spłynęła jej na przegub, wzdłuż ramienia, na pachę, na tors. Chce, żeby krwią ociekały białe piersi, jasnoczerwona, zabarwiona purpurą i czernią. Ona będzie ociekać purpurowoczną krwią, ty będziesz musiał patrzeć na...

Zupełnie naga?

Na zupełnie naga, siedzącą w kałuży krwi, bo dolną część jej ciała między nogami i udami powleka krew, krew, krew! Mówi, że chce iść na dno, zupełnie się znieprawić, nie ma pojęcia, dlaczego tak pragnie, pożąda pograżenia się w fali. Widzi, jak leży na piaszczystym wybrzeżu, jak zbiera i burzy się fala przyływu, piaszczysty brzeg szmerze, nie może jednak wchłonąć całej tej fali, a zbiera już kolejna, niepowstrzymana. Pragnie, żebyś wniknął w jej ciało, posuwał się nieustępliwie tam i z powrotem. Mówi, że już się nie wstydy, nie lęka. Kiedyś bała się, potem zaś, kiedy się nie bała, wciąż mówiła, że się boi. Boi się jednak, że runie w czarną otchłań i będzie spadać bez końca. Chce utonąć, boi się jednak tonięcia, mówi, że widzi powolne zbieranie czarnego przyływu, zbieranie z jakiegoś nieznanego źródła. Pochłania ją czarna fala, mówi, że na szczyt dochodzi powoli, lecz kiedy dojdzie, szczytuje bez końca. Nie może zrozumieć, jak stała się taką lubieżnicą, och, pragnie, żebyś jej powiedział, że jest lubieżnicą, i pragnie, żebyś jej powiedział, że nie jest. W taki sposób pożąda ciebie i tylko ciebie. Mówi, że cię kocha. Chce, żebyś jej powiedział, że ją kochasz, lecz nigdy tego nie mówisz, jesteś taki okrutny. Ty pożadasz kobiety, a ona miłości, ona pragnie czuć miłość całym ciałem i sercem, nawet jeśli miałyby to znaczyć, że pójdzie za tobą do piekła. Błaga, żebyś jej nie zostawiał, nie porzucał, boi się samotności, boi się nawet obawy przed pustką. Wie, że to wszystko nie trwa wiecznie, ale chce sama siebie ludzić. Może mógłbyś powiedzieć coś, co ją uszczęśliwi? Opowiedzieć historię, która ją uszczęśliwi?

Och! Pachnie awanturą, kiedy tak pociągają wino z wielkiej misy podawanej z rąk do rąk. Siedzą naprzeciw siebie na skrzyżowanych nogach, przed matami z bambusowej plecionki ozdobionymi długą linią czarnej świńskiej krwi, białym tofu, czerwonymi chili, kruchymi ziarnami fasoli mung, nóżkami wieprzowymi w sosie sojowym, duszonymi żeberkami wieprzowymi, gotowaną tłustą wieprzowiną. Cała osada świętuje - zarżnięto dziewięć świń, trzy woły, otwarto dziesięć dużych kadzi z wystającym trunkiem. Wszystkim lśnią i czerwienią się twarze, z nosów ścieka tłusty pot. Kulawy naczelnik wstaje i zaczyna krzyczeć, kwacze chrypliwie. Szczyt Konopnego Kwiatu należy do nich od wielu pokoleń, więc jak to jest, że pozwala się obcym wypalać lasy pod kukurydzą? Bełkoce, z przodu nie ma ani jednego zęba. Niech nikomu się nie śni, że on, niedołężny staruch, istne źdźbło słomy, to wszystko, na co stać tę poczesną osadę, niech nikomu się nie śni, że tę poczesną osadę można łatwo nabrać. On już nie radzi sobie z okutym kijem nosilek ani z garlaczem, ale młodzi mężczyźni z poczesnej osady to nie tchórze! Matko Dużego Skarbu, nie będziesz powstrzymywać syna, prawda? W górę wraz z ramionami kobiety ulatują srebrne bransolety. Czcigodny stary naczelniku, nie mów tak, cała osada przyglądała się, jak rośnie mój syn, Duży Skarb, przybysze go nie szanują, toż wsiowa dupa z niego. Odczep się od Dużego Skarbu. Ta poczesna osada nie kończy się na mojej rodzinie. A czy w innych chowają się same córki i synów brak? Nagle wszystkie kobiety jeżą się. Matko Dużego Skarbu, dlaczego

zmieniasz temat? Jakże zachowamy twarz, jeżeli poczesna osada nie stawia czoła obcym? Rozgrzani alkoholem młodzi mężczyźni rozpinają bluzy i walą się po torsach: Stary naczelniku, nasze garłacze nie napasą się trawą! Tylko nam rozkaż, czcigodny starcze, i nie słuchaj swoich synowych, zamknij w domu swego najstarszego syna i swego drugiego syna, a nam, ludziom młodym, pozwól walczyć w pierwszym szeregu. Słyszając to, synowe wpadają w popłoch i odpowiadają: Raniące słowa płynęły ci z ust, zanim włosy poczęły ci rosnać na twarzy, skoro twoim rodzicom nie wadziło rozstać się z tobą, czemu by nam miało wadzić? Na to podrywa się nagle młody mężczyzna z wytrzeszczonymi oczami: Nierozważna jesteś, Małe Dwie, nie twoja kolej przerywać poczesnej osadzie! Wciąż słuchasz?

Mów dalej, odpowiada, po prostu chce słuchać twego głosu.

Więc krzeszesz w sobie energię i ciągniesz. Wszyscy już wrzeszczą. Na co on, odrzuciwszy głowę w tył, zebrawszy siły, staje rozkraczony, chwytając koguta, urywa mu łeb, a potem ptaka, wciąż trzepocącego skrzydłami, obraca ku misie, ciepła krew tryska do alkoholu, on zaś krzyczy na całe gardło: Skurwysyn, kto nie wypije! Mężczyźni zakasują rękawy, spluwają i depczą po ślinie, klą się na Niebo, z rozplómiętym spojrzeniem sięgają po broń - ostrzy się noże, czyści strzelby. Starzy rodzice z każdej zagrody zapalają lampiony i idą na cmentarzyki przodków, kopać groby. W domach zostają kobiety, nożycami, którymi ścinały włosy po ślubie i odcinały pępowiny po porodach, tną teraz chorągiewki na groby. O świcie, zanim podniosą się poranne górskie mgły, naczelnik kuśtyka ku wielkiemu bębnowi i bije weń. Kobiety wynurzają się z domów, żeby trzymać straż przy wejściu do wioski; ocierając łzy, patrzą, jak zbrojni w noże i garłacze wioskowi mężczyźni schodzą po stoku, bijąc w gongi i krzycząc. Oto ich przodkowie, wioska, ziemia, lasy, ich synowie i wnuki idą na bitwę, żeby później powrócić w milczeniu z ciałami. Kobiety zawodzą, ślą lament Niebu i Ziemi, potem nastaje znów cisza. Potem jest czas orki, siewu, sadzenia, czas żniw i młocki. Mija wiosna, nadchodzi jesień, a potem po wielu zimach, kiedy groby porosną trawą, wdowy ukradną mężczyzn, sieroty dorosną, kiedy ból pójdzie w zapomnienie, pamięta się już tylko chwałę przodków. Aż wreszcie pewnego wieczoru, w przeddzień dorocznej uczyty i składania przodkom ofiar, starzy zaczną rozprawiać o zakamieniałych odwiecznych wrogach, młodzi zaś zaczną pić; w żyłach znowu zakipi gorąca krew...

Deszcz pada przez całą noc, patrzysz, jak zmniejsza się płomień, teraz nie większy od kwiatu fasoli. U podstawy takiego świetlnego kwiatka jest jasnoniebieski pęd, wyciąga się, w miarę jak kurczy się ów kwiat fasoli, jak zmienia kolor z jasnożółtego na pomarańczowy i nagle zaczyna skakać po knocie. Ciemność pogłębia się, gęstnieje jak smar, rozprawia się z drżącym, wątlwym światłem. Uwalniasz się z uścisku wtulonej w ciebie kobiety, złanej gorącym potem i pogrążonej w głębokim śnie. Wsłuchujesz się w głośnie bębnienie deszczu po liściach drzew, w zawodzenie górskiego wiatru w czubkach jodeł w dolinie. Strzecha, pod którą uwieszona jest lampa naftowa, zaczyna przeciekać, woda kapie ci na twarz. Skulony w nakrytym strzechę, byle jak skleconym szalasię z widokiem na góry, zaciągasz się zapachem gnijącej trawy, w którym czujesz jednocześnie jakąś słodycz i aromat.

Muszę wydostać się z tej jaskini. Główny szczyt masywu Wuling, u zbiegu granic prowincji Guizhou, Sichuan, Hubei i Hunan wznosi się trzy tysiące dwieście metrów nad poziomem morza. Roczny opad przekracza tu trzy tysiące czterysta milimetrów; przez cały rok trudno tu o dzień, dwa ładnej pogody. Kiedy zrywają się z rykiem gwałtowne wichury, często osiągają prędkości ponad trzystu kilometrów na godzinę. Jest to miejsce zimne, mokre i wrogie. Muszę wrócić do dymów i ognia świata ludzkiego, poszukać słońca, ciepła, szczęścia, poszukać ludzkiej społeczności, znów zaznać jej hałaśliwości, nawet zaznać znów obaw, bo tym jest w istocie życie w świecie ludzkim.

Idę przez Tongren. Na zatłoczonych starych uliczkach, gdzie sterczące okapy domów sięgają połowy przejścia, przechodnie wpadają na ludzi dźwigających kosze na nosiłkach. Nie tkwię tu długo, wsiadam zaraz do autobusu i o zmierzchu zajeżdżam na przystanek o nazwie Yubing. W sąsiedztwie dworca kolejowego ostatnio wyrosło sporo prywatnych hotelików, więc wynajmuję pokój, w którym starcza miejsca ledwie na pojedyncze łóżko. Nieustępliwie atakują komary, lecz pod opuszczoną moskitierą robi się gorąco i duszno. Pod oknem wrzaskliwie trąbią przejeżdżające ciężarówki i mniejsze wozy, a towarzyszy temu, jak nieustanne buczenie, ckliwa wymiana zdań, przyprawiająca mnie o gęsią skórę - to chyba dialog filmowy dobiegający z boiska koszykówki, gdzie właśnie trwa seans. Ta sama stara historia melodramatycznych rozstań i powrotów, zmieniają się tylko epoki.

O drugiej nad ranem wsiadam do pociągu do Kaili, po paru godzinach jestem w stolicy Rejonu Autonomicznego Miao.

Słyszałem, że w Shidongu, osadzie Miao, odbywa się święto smoczycy łodzi. Potwierdza to urzędnik okręgowego komitetu do spraw narodowościowych. Mówi, że to wielkie wydarzenie, nie odbywało się od kilku dziesięcioleci, sądzi, że ściągnie tam jakieś dziesięć tysięcy Miao z bliższych i dalszych wiosek, będą wyżsi urzędnicy prowincji i władze okręgu autonomicznego. Pytam, jak się tam dostać, odpowiada, że to dwieście kilometrów, bez samochodu nie ma mowy, nie zdążę. Pytam, czy mogę się z nimi zabrać służbowym autem. Krzywi się, ale po moich licznych prośbach mówi, żeby przyjść o siódmej rano, zobaczy, może znajdzie się miejsce.

Rankiem przychodzę przed budynek komitetu dziesięć minut przed siódmą, ale nie widzę dużych wozów zaparkowanych tu wczoraj. Jedyne pracownik, którego udaje mi się znaleźć w pustym budynku, powiada, że samochody wyjechały dawno temu. Pojmuję więc, że działacz mnie nabrał. Jednak geniusz rodzi się z pragnień. Wyciągam legitymację związku pisarzy, z której nigdy nie miałem pożytku, tylko kłopot, i odgrywam komedię. Robię awanturę: oto specjalnie przyjechałem z Pekinu, żeby napisać o wydarzeniu, i proszę, żeby natychmiast zawiadomić władze okręgu. Gość nic o mnie nie wie, telefonuje w różne miejsca, w końcu dowiaduje się, że jeszcze nie odjechał samochód szefa okręgu. Drogę do jego biura przebywam biegiem, szczęście mi dopisuje. Szefa już powiadomiono, bez zbędnych pytań pozwala mi się wcisnąć do furgonetki.

Za miastem jedziemy wyboistą drogą, widoczność ogranicza kurz, który wzbija się spod strumienia osobowych aut i ciężarówek zapchanych ludźmi - jest kierownictwo, pracownicy urzędów okręgowych, ludzie z przedsiębiorstw, szkół i fabryk, wszystkim śpieszno na zabawę. O jakieś ceremonie zadba zapewne król Miao, obecnie naczelnik okręgu. Działacz siedzący obok kierowcy otworzył okno i krzyczy, że pojazdy mają nas przepuścić. Wyprzedzamy wóz za wozem, mijamy liczne wioski, także dwa miasta powiatowe, lecz w końcu musimy stanąć, bo pojazdy zatarasowały drogę przed promem. Kierowcy dużego wozu nie udał się wjazd na pokład, przednie koła zsunęły się do wody. W samochodowym grzęzawisku utknęła także wspaniała czarna wołga, wóz, jak mi mówią, sekretarza okręgowego komitetu partii, wiozący wysokich urzędników prowincji. Mrowie policjantów bezustannie wyszczekuje polecenia i wskazówki i mniej więcej po godzinie udręki duży wóz zostaje częściowo zepchnięty do wody, uwalniając miejsce na opuszczenie drewnianej rampy. Nasz mikrobus wjeżdża tuż za wołgą, zaraz potem policja zatrzymuje wozy. Prom podnosi cumy i odbija.

W południe owa potężna reprezentacja przybywa do osady Miao położonej na szerokich brzegach rzeki Qingshui. Jej czyste wody oszalałmijająco iskrzą w palącym słońcu. Pobocza po obu stronach szosy mienia się; to wielobarwne połączenie parasoli słonecznych w kwiaty i srebrnych wysokich przybrań głowy kobiet Miao. Przy drodze stoi nowy piętrowy budynek z cegły, siedziba władz lokalnych, potem aż po rzekę ciągną się stojące na palach drewniane

domy Miao. Pod werandą budynku skłębiona masa głów - przetykana okrągłymi parasolami w kwiaty i bambusowymi kapeluszkami lśniącymi od oleju tungowego - sunie powoli nad rzeką między rzędami straganów rozłożonych pod płóciennymi białymi daszkami. Znaczna liczba smoczych łodzi o uniesionych smoczych łbach przybranych czerwonymi chorągiewkami sunie po czystej, zielonej, płaskiej powierzchni rzeki.

Nie spuszcza z oczu pleców szefa okręgu i wślizguję się do siedziby władz lokalnych; policjant z ochrony salutuje, nie omija mnie ciepłe przyjęcie przewidziane dla urzędników. Młode kobiety Miao w pełnym odświętnym stroju przynoszą misy z gorącą wodą i wręczają każdemu z gości nowiuteńki wonny ręcznik do obmycia twarzy i rąk. Kobiety o lśniących oczach i białych zębach częstują potem aromatyczną herbatą z nowego zbioru, co do złudzenia przypomina witanie dostojników w dzienniku telewizyjnym. Pytam odpowiedzialnego urzędnika, czy to sprowadzone na tę okazję artystki z okręgowego zespołu tańca. Odpowiada, że wzorowe uczennice szkoły średniej w powiatowym mieście, po kilku tygodniach ćwiczeń pod kierunkiem grupy specjalnej powiatowego komitetu do spraw narodowościowych. Dwie śpiewają miłosne pieśni Miao. Najważniejsze osobistości wygłaszają kilka zachęcających uwag, potem wszystkich prowadzi się na miejsca w sali jadalnej. Stoły zastawiono jedzeniem i pić, jest piwo, są napoje bezalkoholowe i tylko brak serwetek. Przypadkiem zostaje przedstawiony miejscowemu sekretarzowi partii i naczelnikowi gminy, obaj mówią trochę po chińsku, ściskają mi dłonie, jak wszystkim. Wszyscy chwala talenty kulinarne szefa kuchni, przysłanego tu przez władze powiatu; zapowiadając dania, szef za każdym razem składa dłonie i kłania się nisko. Potem znów obmywamy twarze i ręce, znów pijemy herbatę. Jest druga po południu, niebawem rozpoczyna się wyścigi smoczych łodzi.

Prowadzą naczelnik gminy i sekretarz lokalnego komitetu partii, schodzą po kamiennych stopniach, potem idą wąską, zatłoczoną uliczką. Przybyłe tu zewsząd kobiety Miao w gęsto plisowanych spódnicach zajmują się ostatnimi poprawkami w cieniu domów na palach. Czesanie i zerkanie w lusterka zamiera na widok grupy w policyjnej obstawie; kobiety popatrują ciekawie. Z kolei grupa krocząca gęsiego także wpatruje się w te kilogramy najrozmaitszych srebrnych ozdób na głowach, w srebrne naszyjniki i bransolety. Przez chwilę trudno powiedzieć, kto komu przygląda się uważniej.

Nad rzeką na podium na palach rozstawiono krzesła i ławki. Podium otaczają policjanci w cywilu. Gość, siadając, dostaje mały parasol w kwiaty, podobny do tych, które noszą młode Miao, jednak w rękach nomenklatury te parasole wyraźnie tracą powab. Słońce już praży z ukosa, lecz nawet pod parasolem pocę się obficie, schodzę więc z podium i mieszam się z kipiącym nadrzecznym tłumem.

Aromat tytoniu i pikli, odór potu, pikantna woń stołów zastawionych wołowiną, baraniną, wieprzowiną, rybami - w upale mieszają się wszystkie zapachy. Na straganach można kupić różności, od ubrań z domu towarowego po przekąski, po orzeszki w polewie, galaretki z pasty fasolowej i pestki z dyni, spowija to wrzawa targowania, chichotanie flirtujących par i pokrzykiwanie kręcących się wszędzie dzieciaków.

Fala ludzka niesie mnie ku rzece, do samej wody, niemal stąpam po niej, muszę więc wskoczyć do zacumowanej przy brzegu łódki. Nieco wyżej cumuje smocza łódź z wydrążonego pnia. Dla zachowania stateczności po jednej stronie na wysokości linii wodnej przymocowany jest ostrugany konar. W łodzi siedzą wioślarze, zwrócenii twarzą w jedną stronę, ponad trzydziestu, jednakowo ubrani w koszule i w niebieskie spodnie ze zwisającymi bawolimi rogami, w kunsztownie splecionych bambusowych kapelusikach. Każdy ma także okulary słoneczne i lśniący metalowy pas. Na środku łodzi stoi chłopiec ubrany jak dziewczynka. Ma srebrny naszyjnik, stroik na głowie, od czasu do czasu uderza w wiszący przed nim gong. Na dziobie zadarł łeb duży rzeźbiony w drewnie smok. Obwieszony jest chorągiewkami i czerwonymi wstążkami, a także żywymi gęsiami i kaczkami, które gęgają i kwaczą.

Rozlega się trzask petard i oto podchodzą ludzie z ofiarami. Na dziobie kapitan bije w bęben i rozkazuje wioślarzom powstać. Facet w średnim wieku z niesioną oburącz baryłką trunku wchodzi wprost do wody, po uda, nie zawinawszy nogawek, i częstuje załogę czarkami napoju. Mężczyźni w słonecznych okularach solidnie pociągają, potem dziękują śpiewem, wreszcie teatralnym gestem wylewają do rzeki resztki trunku.

Jakiś staruch wbiega do wody z mężczyznami niosącymi żywą świnię. Przerażone zwierzę uwiązano do drąga za nogi, łeb zwisa, rozpaczliwe kwiczenie dodaje dramatyzmu

sytuacji, wzmagają podniecenie. Barylka i świniak trafiają do czółna z ofiarami asystującego smoczej łodzi.

Kiedy wracam na podium, jest niemal piąta. Rzeką niesie się łoskot, bębny odzywają to tu, to tam, raz żywiej, raz wolniej. Smocze łodzie bawią się ze sobą i nie wygląda na to, że wkrótce rozpoczną wyścig, niektóre szczepiają się, potem rozdzielają. Ludzie z podium zaczynają się niecierpliwić. Najpierw wzywają kogoś z komitetu do spraw narodowościowych, potem członkom komitetu sportowego ślą wiadomość o instrukcji z góry, że każda uczestnicząca w wyścigu smocza łódź ma otrzymać sto yuanów w gotówce oraz talon na dwieście jinów ziarna. Potem zbliża się zachód słońca, żar słabnie, zbyteczne stają się parasole. Mimo to smocze łodzie wciąż nie zajmują pozycji, nic nie zapowiada rozpoczęcia wyścigu. W tym momencie nadchodzi wiadomość, że dziś nie będzie wyścigu, jutro zaś ludzie muszą przejść z biegiem rzeki trzydzieści li, do innej osady Miao. Na podium poruszenie; zapada decyzja, żeby wracać.

Szosa rusza kolumna pojazdów, zderzak w zderzak, by po dziesięciu minutach zniknąć w chmurze żółtego pyłu. Na drodze zostają tylko gromady wędrowców Miao, ten tłum wciąż gęstnieje. Wygląda na to, że na najciekawszą część uroczystości przyjdzie czas noca.

Postanawiam zostać, wówczas urzędnik, z którym przyjechałem, ostrzega, że jutro powrotnego auta nie będzie. Mówię, że jeśli nie złapię okazji, wrócę piechotą. Mimo to facet wykazał się uprzejmością, ściągnął nomenklaturową parę z wioski Miao i powierzył mnie ich opiece, mówiąc:

- W razie czego jesteście odpowiedzialni!

Sekretarz partii i naczelnik gminy, kiwając głowami, zapewnili skwapliwie:

- Możecie spać spokojnie, wszystko będzie w porządku.

Wracam do budynku administracyjnego, lecz jest zamknięty, nie ma nikogo. Zapewne sekretarz i naczelnik gdzieś tam się obudzą tej nocy z pijackiego odrętwienia. Później nie widzę jednak żadnej bluzy z czterema kieszeniami, w jakich chadza nomenklatura, nie widzę też nikogo mówiącego po chińsku, więc czuję się nagle wyswobodzony i wędruję sobie po osadzie.

W każdym domostwie przy starych uliczkach i nadrzecznych drózkach podejmowani są krewni. Tam, gdzie goście szczególnie dopisali, stoły wystawiono na ulicę, a przed drzwiami cebra ryżu, obok miski i pałeczki. Ludzie obsługują się sami, nie pilnowani. Zgłodniałem, już nie muszę się przejmować ceremoniałem, żadną miarą nie potrafię się też porozumieć, więc biorę miskę, pałeczki i trafiam między ludzi, którzy wciąż zachęcają dojedzenia. Zapewne to stara tradycja Miao, ja zaś rzadko cieszyłem się taką swobodą.

O zmierzchu rozlegają się pieśni miłosne, wprawdzie dobiegają z drugiego brzegu. Gaje bambusowe na zboczach góry za rzeką jeszcze kąpią się w złocie ostatnich promieni słonecznych, tymczasem tę stronę już spowiła noc. Młode kobiety w grupach po pięć, sześć wychodzą na brzeg, jedne stają w kręgu, inne trzymają się za ręce i zaczynają nawoływać kochanków. Bezkręś nocy wypełniają nagle melodyjne śpiewy. Młode kobiety są wszędzie, wciąż z otwartymi parasolami, z chusteczką w ręce lub wachlarzem. Jest też trochę trzynasto- i czternastolatek, już lgnących do chłopców.

W każdej grupie melodię prowadzi jedna, pozostałe towarzyszą. Widzę, że prymistką jest zawsze najładniejsza, podejrzewam, że wybór według urody to zasada sprawiedliwa i naturalna.

Głos prowadzącej wzbija się w powietrze, uderza jego całkowita szczerść. Może właściwym słowem nie jest „śpiew”, bo czyste i ostre dźwięki dobiegają z takiej głębi, że współbrzmia w nich ciało i serce. Wydaje się, że dźwięki wędrują od samych stóp, by potem wykwitnąć między oczami i czołem, nim zostaną wyśpiewane, nie dziwi więc nazwa „pieśni frunące”. To śpiewanie jest całkowicie instynktowne, niewymyślone, nieposkromione. Każda kobieta posługuje się sobą, ciałem i sercem, żeby przyciągnąć młodego mężczyznę.

A młodzi mężczyźni są jeszcze mniej powściągliwi, podchodzą do kobiet i wybierają tę, która im się najbardziej podoba, jakby przebierali w owocach. W tym momencie kobiety machają chusteczkami i wachlarzami; im uważniej są oglądane, tym więcej uczucia wkładają w śpiew. Wraz z nawiązaniem rozmowy młody mężczyzna bierze kobietę za rękę i oboje odchodzą. Plac targowy ze straganami, gdzie za dnia falowało dziesięć tysięcy głów, zamienił się teraz w ogromny stadion śpiewaczy. Otacza mnie nagle przestwór przesycony namiętnością i myślę, że tak właśnie wygląda ludzkie poszukiwanie miłości. W późniejszych wiekach tak zwana cywilizacja oddzieliła poryw płci od miłości, stworzyła idee statusu, bogactwa, religii, etyki, kulturowej odpowiedzialności. Oto głupota rodzaju ludzkiego.

Noc gęstnieje wręcz namacalnie, łoskot bębnow zamiera, na czarnej powierzchni rzeki jarzą się światełka łodzi. Słyszę nagle, że ktoś woła po chińsku „starszy bracie”, głos dobiega z bliska. Odwracam się i widzę cztery lub pięć dziewcząt na zboczu; śpiewem zwracają się do mnie. Jedna z nich czystym głosem znów nawołuje „starszy bracie”. Uświadamiam sobie, że może tylko tyle umie po chińsku, lecz do nawoływań miłosnych i to wystarczy. W ciemności widzę jej oczy, w oczach wyczekiwanie, wpatrują się we mnie bez mrugnięcia. Serce zaczyna mi walić, zdaje mi się, że wraca przesycona namiętnościami młodość, jej dawno zapomniany dreszcz. Popycha mnie ku dziewczynie, może przez to, co robią tu młodzi mężczyźni, może za sprawą ciemności. Widzę jej wargi, poruszają się nieznacznie, chociaż już się nie odzywa, tylko czeka, śpiew jej towarzyszek brzmi zaś coraz ciszej. Wciąż jest dzieckiem, z jej twarzy nie zniknął jeszcze dziecienny rys - wysokie czoło, zadarty nos, małe usta. Jeśli dam najmniejszy nawet znak, wiem, że wtuli się we mnie, podniecona, rozłoży parasol. Ale trudno znieść to napięcie. Uśmiecham się na mgnienie oka, z pewnością drętwo, kręcę głową odmownie, potem odwracam się i odchodzę; nie śmiem się obejrzeć.

Nigdy nie spotkałem się z takim stylem proponowania miłości. Marzę o takim we śnie, a kiedy przytrafia się naprawdę, nie radzę sobie.

Muszę tu wyznać, że dzięki niewydatnemu zadartemu nosowi, wysokiemu czołu, małym ustom i wyczekującym jasnym oczom dziewczyny Miao odżyły bolesne a czułe uczucia, które już dawno temu poszły w zapomnienie. A także uświadamiam sobie zaraz, że już nie zdołam wrócić do tych czystych namiętności. Muszę się mierzyć ze starzeniem. To nie tylko wiek, nie tylko inne nieuchwytnie różnice, nawet jeżeli dziewczyna jest tuż obok, nawet jeżeli wystarczy po nią sięgnąć. Muszę pamiętać, że zestarzało się także moje serce, już nie potrafię zapomnieć o wszystkim, ciałem i duszą zakochać się w młodej kobiecie. Moje stosunki z kobietami już dawno temu zmieniły się, wyparowała z nich ta instynktowna młodzieńcza miłość, zostało tylko pożądanie. Boję się brać odpowiedzialność nawet za pogoń za szczęściem przelotnym. Nie jestem wilkiem, lecz chciałbym nim być, powrócić do natury, ruszyć na łów. Nie mogę się jednak wyzbyć ludzkiej skóry; tak oto stwór w ludzkiej skórze nie umie znaleźć ostoi.

Słysząc piszczałki. Przy kępach krzaków na nabrzeżu kochankowie obejmują się pod parasolami, już nie pary między niebem i ziemią, ale istoty zanurzone we własnych światach. Dla mnie jednak ich światy są odległe, są jak opowieść z zamierzchłej przeszłości. Odchodzę zasmucony.

Tam, gdzie grają piszczałki, przy szosie, u szczytu bambusowego drąga płonie lampa naftowa. Niżej ona; opasała głowę czarną bawełnianą szarfą, srebrem spięła włosy na czubku głowy. Nosi srebrną koronę, środek to smok i feniks, z boków pióra feniksa, po pięć listków kutego srebra, drżących w takt jej poruszeń. W pióra po lewej wplotła kolorową wstążkę, która opada do talii, podkreśla wdzięk ciała w tańcu. Czarna suknia jest zebrana w talii, w szerokich rękawach błyskają srebrne bransolety. Spod czarnej chusty i czarnej długiej sukni wyziera tylko kark, z przodu zwisa misterna „kłódka długowieczności”, z lekko uniesionych piersi opadają delikatne srebrne łańcuszki.

Wie, że to, co nosi, olśniewa mocniej niż kolorowe hafty innych kobiet, że obfitość srebra świadczy o wysokiej pozycji. Piękne są też jej białe stopy, a podczas tańca krystalicznie dzwięczą dwie srebrne bransolety na kostkach.

Piękna tutejsza biała orchidea pochodzi z górskiej osady Czarnych Miao. Jaskrawoczerwone wargi są jak wczesnowiosenne kamelie, zęby są jak drobne perły. Płaski dziecienny nos i okrągła twarz sprawiają, że wciąż uśmiechnięte oczy wydają się szeroko osadzone, a tę niezwykłą promienną zawdzięcza lśnjącym czarnym źrenicom.

Nie musi szukać kochanka nad rzeką. To do niej ściągają z pokłonem najbardziej chwaccy młodzieńcy ze wszystkich osad, dźwigają piszczałki dwakroć wyższe od nich samych, przewiązane powiewającymi wstążkami. Wydymają policzki, kołyszą się, tanecznym krokiem stąpają tam i z powrotem, przytupują, żeby rozkołysać kobiety w marszczonych spódnicach, poruszyć w tym samym rytmie, jej wszakże starczy lekko i wdzięcznie unieść stopę, żeby wszyscy kłaniali się, dęli aż do pęknięcia piszczałek, do wzbierania na wargach krwawych pęcherzy! Z tej właśnie, sączącej się z niej witalności bierze początek jej pycha.

Nie rozumie, co znaczy być zazdrosną, nie rozumie złośliwości, nie pojmuje, dlaczego one tam przyrządzają wywary ze stonóg, jadowitych węży, os, mrówek, kosmyków ich włosów zmieszanych z miesięczną krwią i plwociną, dlaczego kładą to do urny wraz z męzowską koszulą i parą spodni pociętych na strzępy, pieczętują, a urnę grzebią głęboko na metr w ziemi.

Wie tylko, że po jednej stronie rzeki jest mężczyzna, po drugiej kobieta, że w wiosnie życia ogarnia ich niepokój, spotykają się na polanie puszczalek, coś ciągnie ich ku sobie, kielkują ziarna namiętności.

Wie tylko, że w nocy, kiedy przysypano już ogień, starzy chrapią, a młodzi gadają przez sen, ona wstanie, otworzy tylne drzwi i wyjdzie boso do ogrodu. Młodzieniec, który jej nie odstępował, ten w kapeluszu ze srebrnymi rogami, przejdzie przez płot i cicho zagwiżdże. Ojciec wcześniej wstanie, po wielekroć zawoła, a matka rozzłoszczona wołaniem otworzy drzwi, żeby użyć kija, ale zastanie puste łóżko.

W głębi nocy leżę na deskach nad brzegiem, pod wystającymi okapami. Nie wiem, kiedy pogasły światła na rzece, nie widać także gwiazd. Rzeka i mroki góry na drugim brzegu tworzą teraz jeden sam przestwór. Nocny powiew niesie igły chłodu, słysząc wycie wilka. Budzę się wystraszony, a nasłuchując, mam wrażenie, że przypomina ono żalosne, podobne do śpiewu wołanie o kogoś do pary, przerywane i posępne.

Mówi, że nie wie, co to jest szczęście, ma już wszystko, co trzeba - męża, syna, to, co ludzie uznają za małą wzorową rodzinę. Mąż jest inżynierem, specjalistą komputerowym, a wiesz, jak dzisiaj ceni się ten zawód. Jest młody i zdolny, mówi się, że zarobi mnóstwo pieniędzy, kiedy coś opatentuje. Ale nie jest szczęśliwa. Mężatką jest od trzech lat, pierzchnął już dreszcz, o który przyprawiły ją miłość i małżeństwo. Syn jest czasami zawada, ta myśl przyprawiła ją o dotkliwy wstrząs za pierwszym razem, powoli jednak oswoiła się z nią. Mimo to kocha syna, tylko ta mała istota bywa dla niej jakąś pociechą. Nie karmiła piersią, żeby zachować figurę, więc kiedy w instytucie badawczym ściąga biały fartuch i wchodzi pod prysznic, jej koleżanki, które rodziły, patrzą z zazdrością.

Znów biały fartuch, mówisz.

Ma przyjaciółkę, mówi, która zawsze przychodzi zwierzyć się z kłopotów. Mówi, że nie umie być kobietą, która przez cały dzień gada o dzieciach, a w pracy każdą wolną chwilę spędza na robieniu na drutach dla dzieci albo dla męża. Kobieta nie jest niewolnicą męża ani dzieci. Ona, rzecz jasna, robi dziecku na drutach i wszystko się od tego zaczęło, mówi, kłopoty zaczęły się od robienia tego sweterka.

Więc co z tym sweterkiem?

Chce, żebyś słuchał, a nie przerywał, pyta też, o czym właśnie mówiła.

O sweterku i kłopotach, które się zaczęły.

Nie, mówi, czuje, że spokój ogarniają tylko wtedy, kiedy na mszy w kościele słucha organów i śpiewu. Czasami chodzi w niedzielę na mszę, wtedy dziecka dogląda mąż. Czasem i on coś robi dla syna, nie wszystko spada na nią. Nie jest chrześcijanką, lecz kiedyś przechodziła koło kościoła, teraz kościoły są otwarte, każdy może wejść i wyjść, kiedy chce, więc weszła posłuchać. I od tej pory chodzi, jeśli ma czas. Przepada za Bachem i słucha Bachowskich requiem. Muzyka popularna ją rozstraja, nie znosi tego, nie może się uporać z własnymi lękami. Pyta, czy mówi do rzeczy.

Mówi, że zaczęła brać leki, *zażywa* regularnie tabletki nasenne. Cierpi na jakąś odmianę neurastenii, wie to od lekarza. Czuje się zmęczona, wciąż niewyspana, ale nie może zasnąć bez tabletki. Nie jest rozczarowana seksem, nic podobnego, miewa z mężem orgazmy. To nie tak, że mąż jej nie zaspokaja, nie myśl sobie, jest znacznie młodszy od ciebie. Ma jednak tę pracę, przejmuje się karierą, jest bardzo ambitny. Nic złego, że mężczyzna jest ambitny, lecz on zamyka się w laboratorium i często tam tkwi po godzinach, bo dom z dzieckiem uważa za zbyt hałaśliwy. Nie chciała dziecka tak wcześnie, to on chciał, kochał ją, chciał, żeby mu urodziła dziecko. Problemy pojawiły się wraz z dzieckiem.

To było z grubsza tak, mówi, robiła dziecinny sweterek z wymyśloną przez siebie aplikacją, wyglądał lepiej niż sweterki na wystawie, przynajmniej ona tak uważa. Na wystawę modnej odzieży robionej na eksport poszła z kolegą, bilety rozprowadzał instytut. Wysiadła aparatura badawcza i czekali przez kilka dni na skończenie naprawy. Nie mieli co robić, poszli na tę wystawę w godzinach pracy rozejrzeć się, czy warto coś kupić. Poszedł z nią, mówiąc, że może coś znaleźć dla żony. Nic nie kupili. Powiedział jednak, że sweterek robiony przez nią synowi jest ładniejszy od tych wystawianych dziecięcych ubranek i że sprawdziłaby się jako projektantka mody. Zaczęła potem o tym myśleć, sprawiła sobie album wzorów, a sięgnawszy po kupiony kiedyś kawałek granatowego bawełnianego materiału, którym jeszcze się nie zajęła, i po chustę, której tak naprawdę nie nosiła, zrobiła sukienkę bez rękawów, do pracy. Zobaczył ją, zanim przebrała się do pomieszczenia z aparaturą, pochwalił i powiedział, że powinna chodzić tylko w rzeczach, które sama zaprojektowała. W parę dni później kupił dwa bilety na pokaz mody i poprosił, żeby z nim poszła.

Przygoda zaczęła się od modelek.

Chce, żebyś słuchał, no nie, mówi, powiedział, że gdyby wyszła na wybieg w tej bawełnianej granatowej sukience, zapędziłaby modelki w kozi róg. Powiedziała, że wie, że nie jest taka ponętna. Odrzekł, że modelki nie muszą mieć dużych piersi, tylko długie nogi i sylwetkę, ona zaś ma szczupłą figurę, zwłaszcza w tej granatowej bawełnianej sukience. Mówi, że naprawdę lubiła w niej chodzić do pracy, po to ją uszyła, lecz ilekroć w niej przychodziła, mierzył ją od stóp do głów. Kiedy pewnego razu wychodziła, już przebrana, spojrzął na nią w ten sposób i zaprosił na obiad.

Więc poszła.

Nie, mówi, wymówiła się, musi iść do żłobka po dziecko, nie może zostawić wieczorem syna bez opieki. Zapytał, czy mąż będzie miał jej za złe, że sama wychodzi wieczorem. Powiedziała, że nie, ale zwykle bierze wtedy ze sobą dziecko i nie może tkwić poza domem do późna, dziecko musi iść wcześniej spać. Oczywiście zdarza jej się wyjść wieczorem, mąż musi wtedy doglądać dziecka, lecz ona nie może z nim iść na obiad. Pewnego dnia podczas południowej przerwy zaprosił ją na obiad do siebie, na kłopsy czterech rozkoszy, nazajutrz, to jego specjalność, powiedział.

Znowu się wymówiła.

Nie, wpiersz się zgodziła, lecz potem powiedział, że chce, żeby przyszła w tej granatowej sukience.

Zgodziła się?

Nie, nie dała się namówić i powiedziała, że chyba nie przyjdzie. Ale nazajutrz ubrała się w tę sukienkę i podczas południowej przerwy poszła do niego. Nie wiedziała, co w tej sukience nadzwyczajnego. Po prostu dodała dwa kawałki jedwabiu. Z najzwyczajniejszej jedwabnej chusty w kwiaty wycięła dwa całe kwiaty i naszyła na stanik i talię, może była w tym odrobina oryginalności. Nie uważała, że ma jakąś szczególnie dobrą figurę, jej mąż zaś śmiał się z niej, że jest za płaska, nie dość seksowna. Czy naprawdę wyglądała tak nadzwyczajnie w tej sukience?

Mówisz, że to nie sukienka.

W takim razie co? Mówi, że wie, co chcesz powiedzieć.

Mówisz, że nic nie mówisz, ale to nie sukienka.

To przez jej męża, nie obchodziło go, co ona nosi, to cały on, nie widzieć! Mówi, że nikogo nie chciała uwieść.

Spiesznie zapewniasz, że nic nie mówiłaś.

Mówi, że ani myśli więcej mówić.

Mówisz, czy rzeczywiście nie chce się przed kimś wygadać? Opowiedzieć o tym, co trapi? Prosisz, żeby opowiedziała, czym się martwiła ta jej przyjaciółka.

Mówi, że nie wie, o czym jeszcze opowiedzieć.

Opowiedz o jego specjalności, tych kłopsach czterech rozkoszy.

Mówi, że wszystko zaplanował, żona była na delegacji.

Przypominasz, że nie poszła tam spotkać się z jego żoną, ale zjeść obiad. Powinna była się domyślić, że żony nie będzie, mówisz, że nie powinna być tak ostrożna.

Przyznaje, że było, jak było, a im bardziej była ostrożna, tym większy był nacisk.

Tym trudniej było zapanować nad sobą?

Nie opierała się.

Kiedy patrzył na sukienkę?

Zamknęła oczy.

Nie chciała widzieć, że oto zachowuje się niedorzecznie?

Właśnie.

Nie chciała widzieć, że aż tak ją ponosi?

Mówi, że była zbita z tropu, nie sądziła, że do tego dojdzie, wiedziała, że go w ogóle nie kocha, żadną miarą. Mąż był od niego lepszy.

Mówisz, że w gruncie rzeczy nikogo nie kocha.

Mówi, że kocha tylko swego syna.

Mówisz, że kocha tylko siebie.

Może tak, może nie. Mówi, że potem poszła, nie chciała być z nim więcej sam na sam.

Ale wciąż widywała?

Tak.

I znów u niego w domu?

Mówi, że chciała z nim porozmawiać, żeby wyjaśnić sytuację...

Mówisz, że sytuację trudno wyjaśnić mówieniem.

Tak, nie. Mówi, że nienawidziła jego i siebie.

I znowu popadała w szaleństwo?

Dość już gadania! Gniewa się, nie wiedziała, dlaczego chce o tym mówić, chciała tylko, żeby się to szybko skończyło.

Pytasz, jak to się mogło skończyć?

Mówi, że nie wie.

Śmierć zabiera go przed moim przyjazdem, dwa lata wcześniej. Jest wówczas ostatnim żyjącym Mistrzem Ceremonii stu okolicznych osad Miao, niemniej od paru dziesięcioleci nie składano tu przodkom ofiary na odpowiednio wielką skalę. Wie, że już wkrótce powróci do Niebios. Tak szacownego wieku dożył zaś dlatego, że jemu, składającemu przodkom ofiary, nie śmie wyrządzić krzywdy rój demonów. Obawia się, że któregoś ranka nie zdoła wstać i nie przeżyje zimy.

W przeddzień Nowego Roku, kiedy nogi są mu jeszcze posłuszne, dźwiga kwadratowy stół z sieni, znosi po kamiennych stopniach domu na palach, ustawia. Brzeg rzeki jak wymarły, nie widać nikogo, drzwi domów pozamykane, ludzie jedzą noworoczną kolację. Jeśli w dzisiejszych czasach ludzie składają nawet przodkom ofiary, to podobnie jak posiłek noworoczny są coraz prostsze i skromniejsze. Po prostu ludzie z pokolenia na pokolenie słabną, nic tego już nie zdoła powstrzymać.

Na stole stawia czarę z rozcieńczonym trunkiem, misę tofu, misę noworocznych ciasteczek z kleistego ryżu i misę kiszek wołowych od sąsiada, pod stołem zaś kładzie wiązkę ryżowych lodyg. Przed stołem usypuje stertę drewna i węgla drzewnego. Utrudzony odpoczywa chwilę, nabiera tchu, potem po kamiennych stopniach znów wchodzi do domu, żeby wybrać z pieca tłące się węgielki, potem schodzi z nimi powoli, potem dmucha na czworakach. Dym gryzie, stare oczy łzawią, lecz w końcu strzelają iskierki. Atak kaszlu udaje mu się powstrzymać dopiero łykiem ofiarnego wina.

Z zielonych gór na drugim brzegu pierzcha spóźniony promień, zrywa się nocny wiatr i dmie nad rzeką. Mistrz dyszy; siada przy stole na wysokim stołku, nabiera tchu, depce wiązkę ryżowych lodyg. Spogląda na grzbiet górski, czuje chłód śluzu ciekącego z nosa i chłód swych łez.

Gdy w dawnych czasach składał przodkom ofiarę, miał do posługi dwudziestu czterech ludzi - dwóch mistrzów-media, dwóch przewodniczących, dwóch ludzi doglądających rekwizytów, dwóch mistrzów ceremonii, dwóch ludzi do mieczy, dwóch do nalewania trunku, dwóch do złożenia ofiar z jadła, dwie dziewczyny, dwóch posłańców i wielu jeszcze ludzi do lepienia ryżowych kulek. Jakież to było nadzwyczajne wydarzenie! Zarzynano trzy woły, niekiedy bywało, że i dziewięć.

Po to tylko, żeby okazać wdzięczność, mężczyzna - głowa rodziny składającej ofiarę - musiał siedmiokrotnie wręczyć mu kleisty ryż: wpierw siedem garnków za chodzenie w góry, gdzie Mistrz rąbie drzewa na bębny; po raz drugi osiem garnków za noszenie bębnow do jaskini; po raz trzeci dziewięć garnków za wniesienie bębnow do osady; po raz czwarty dziesięć garnków za obwiązanie bębnow; po raz piąty jedenaście garnków za zarżnięcie wołu dla bębnow; po raz szósty dwanaście garnków za taniec przy wtórze bębnow; po raz siódmy trzynaście garnków za odprowadzenie bębnow. Takie były zasady czasu przodków.

Kiedy po raz ostatni składał przodkom ofiarę, na rozkaz głowy rodu stawiło się dwudziestu pięciu ludzi, niosąc ryż, wino i jadlo. Cóż to były za nadzwyczajne czasy! Ale minęły. Przypomina je sobie. Zanim zarżnięto wołu, na ziemiach rodu stawiano zdobiony słup, po to tylko, żeby wygładzić kręconą sierść zwierzęcia. Członkowie rodu przebiegali się w nowe stroje, dęto w piszczalki, bito w gongi i bębny. On zaś wkładał długą czerwoną szatę, czerwony filcowy kapelusz, z kołnierza sterczały pióra - z głowy wielkiego ptaka roka. Prawą ręką potrząsał dzwonkiem z brązu, w lewej trzymał złożony wachlarz, podobny do grotu strzały; wachlarz z liści płatanu na lodygach strzałki wodnej, ach...

Wole, ach, wole

Zrodzony w spokojnych wodach Wzrastający na piaszczystym brzegu Który przekraczasz rzekę ze swą matką Który wspinasz się w góry ze swym ojcem Za ten bęben ofiarny pokonaj szarańczę Za te ofiarne piszczalki pokonaj modliszkę Wydaj bitwę na Trzech Zboczach Szarżuj nad Zatoką Siedmiu Nizin Rozpraw się z szarańczą Uśmierć modliszkę Porwij długą piszczalkę Skradnij wielki bęben Długa piszczalka to ofiara dla twej matki Wielki bęben to ofiara dla twego ojca Wole, ach, wole

Z czterema srebrnymi półmisami na grzbiecie Z czterema złotymi półmisami na grzbiecie Podążasz za swą matką Podążasz za swym ojcem By wnijść do czarnej pieczary By stratować wrota bębna Strzeżesz przełęczy górskich ze swą matką Strzeżesz wrót wioski ze swym ojcem Odpędzasz wściekle demony krzywdzące ludzi Odpędzasz złe duchy od grobów przodków Zatem twa matka zazna spokoju Przez tysiąc lat

Zatem twój ojciec wygrzewać się będzie Przez tysiąc pokoleń.

Ludzie wiązali sznur u nozdrzy, na rogach pletli bambusowe wieńce i wprowadzali wołu. Członkowie rodu, w nowych szatach, składali wołu trzykrotny pokłon i dziewięćkroć padali przed nim na twarz. A kiedy głośno śpiewali tę pieśń pochwalną, naczelnik rodu podnosił włócznię i wbijał w wołu.

Następnie, wśród łoskotu bębna, wszyscy mężczyźni krewni zdolni nosić broń podnosili włócznię i kolejno wbijali po nim. Tryskała krew, a zwierzę jak szalone kołowało u zdobionego słupa, aż padało martwe. Potem odrąbywali głowę wołu i dzielili mięso: Mistrzowi Ceremonii przypadła przód. Minęły już te dobre czasy!

Teraz wypadły mu zęby, zjeść może tylko cienkiego kleiku, niewiele. Dobre czasy były i minęły, nikt już nie przychodzi w odwiedzinę. Młodzi mają pieniądze. Nauczyli się palić papierosy z filtrem, nosić wrzeszczące elektryczne pudła, paradować w tych szkaradnych czarnych okularach. Jakże więc mogą jeszcze myśleć o przodkach? Im dłużej śpiewa, tym podlej się czuje.

Uświadamia sobie, że zapomniał podstawki do trociczek; żeby przynieść ją z sieni, trzeba się wspiać po kamiennych schodach, a potem zejść. Zatem zapala trociczki od żaru i wtyka w ziemię przed stołem. Niegdyś rozpostarłby prawie dwumetrowy pas czarnego materiału, a na nim rozłożył rozgotowaną ryżową słomę.

Depcząc po słomie, przymyka oczy i widzi przed sobą parę szesnastoletnich smoczyczek dziewcząt. Najładniejsze w osadzie; inteligentne lśniące oczy są czyste jak rzeczna toń, byle nie czasu powodzi. Teraz w porze deszczów rzeka jest bardzo brudna, a na obu brzegach w promieniu dziesięciu li nie sposób znaleźć dużych drzew do ceremonii ofiarnej. Trzeba do niej bowiem drewna z dwunastu par różnych drzew, tej samej wysokości i o tym samym obwodzie. Białe drewno ma być z białego świerku, czerwone z klonu. Porąbane, drewno białego świerku jest srebrne, klonowe złote.

Idź! Ojcie klonowego bębna Idź! Matko świerkowego bębna Za klonem Za świerkiem

Tam, gdzie czeka się na królów Tam, gdzie przodkowie

Kiedy zdążacie za bębnami, wypełnia się przysięga

Ho! Mistrz Ceremonii dobywa miecza

Wznosi swój miecz, by rąbać drwa

Przysięgnął podążać za bębnami

Dong-ka-dong-dong-dong-ueng

Dong-ka-ka-dong-ueng

Ka-dong-ka-ueng-ueng

Ueng-ka-dong-dong-ka

Przez całą noc nie spoczęły noże ni topory. Z drewna leciały drzazgi. Kiedy wypełni się liczba uderzeń, zjawiają się dwie smocze dziewczyny o nieskazitelnych rysach i pięknych figurach.

Żony pragną mężów

Mężczyźni pragną kobiet

Idźcie do domów sposobić narodziny

W spokoju stwarzać ludzi

Niechaj nie potrzaskają korzenie

Niechaj nie roztrwoni się ziarno

Zrodźcie siedem żwawych pięknych dziewcząt

Zrodźcie dziewięciu chwackich przystojnych chłopaków.

Para smoczyczek dziewcząt, dwie pary nieruchomych lśniących czarnych oczu. Mistrz wgląda w swe serce, a stamtąd znów wynurza się pożądanie, by tchnąć w niego siły. Śpiew Mistrza rozbrzmiewa pod Niebiosą, pieje kogut, Niebiański Bóg Pioruna zsyła błyskawicę, demony i potwory tańczą jak opętane na skórach bębnów, szaleńczo podskakują jak rozsypany groch. Ach, te wysokie srebrne stroiki, ciężkie srebrne kolczyki, gorąca para z brązowych kotłów w rozżarzonego węgla! Ręce wyszorowane, twarze umyte, serca przepełnione radością. Bóg Nieba cieszy się i opuszcza Niebiańską Drabinę. Zstępują po niej matka i ojciec, dudnią bębny i otwierają się spichlerze, sypie się z nich tyle dobrego ziarna, że nie starczy nań dziewięciu kadzi ni dziewięć cebrów. W kuchennych piecach żarzy się węgiel drzewny, ród jest bogaty i szlachetny. A kiedy zstępują duchy przodków matczyńskich, wszystko wzbiera, puchnie - oto dziewięć drewnianych cebrów parującego, gorącego, olśniewającego białego ryżu i wszyscy gromadzą się wokół, żeby robić kulki ryżowe. Niechaj rozlega się łoskot bębnów, niechaj się niesie, głowa rodu - pan bębna - postępuje przodem, za nim mężczyźni, ciasno jeden za drugim. Mistrz bębna zaś idzie ostatni.

Pławcie się w wodach majętności i szlachetności!
Niechaj was skropią ciecze wielkiego bogactwa!
Z wód majętności i szlachetności zrodzone są dzieci Z deszczu rosącego kwiaty
zrodzeni są synowie, Synowie i wnuki jak pędy palmowe,
Potomstwo jak narybek,
Wszystkich zwołuje bęben głowy rodu
Wypijcie dziewięć pikuli trunku, w którym nie brak wody
Weźcie ofiarnego ryżu
Weźcie wina i wódki na ucztę
Zaproście bogów niebieskich, niechaj się syca
Zaproście demony ziemskie, niechaj jedzą
Pan bębna wywija toporem
Przodkowie dobywają mieczy
Żeby przewyższyć swych przodków
W rozważaniach o matce, która ich zrodziła
Zstąpcie, żeby wydrażyć parę piszczałek
Zstąpcie, żeby sporządzić parę bębnów...
Śpiewając głośno ten pean, wypluwa płuca, starczy głos drży na wietrze, lka jak
złamana piszczałka z bambusa. Zaszło mu w gardle, więc znowu pije łyk rozcieńczonego
wina, wie, że to już ostatni raz. Jego duch uchodzi z ciała wraz ze śpiewem ulatującym w
powietrze.

Jakże mógłby go ktoś usłyszeć na ciemnym wymarłym brzegu? Na szczęście jakiejś
starej kobiecie, która otwiera

drzwi, żeby wylać pomyje, wydaje się, że słyszy szloch; na brzegu rzeki widzi jakieś
ognisko. Myśli, że zjawił się tu jakiś Chińczyk Han, nadrzeczny kłusownik; teraz Hanowie
kręcą się wszędzie za pieniędzmi. Zatrząskuje drzwi, a potem myśli, że Hanowie świętują
wigilię Nowego Roku tak samo jak Miao, chyba że popadną w nędzę. Może to tułający się
żebrak. Zatem napelnia misę resztkami noworocznych dań i niesie. Kiedy wreszcie
podchodzi do ognia, kiedy poznaje, że to stary Mistrz Ceremonii przy kwadratowym stoliku,
staje jak wryta.

Jej mąż dostrzega, że przez otwarte drzwi wdziera się zimny wiatr, idzie więc je
zamknąć, a wtedy przypomina sobie, co mówiła żona, że z misą jedzenia wychodzi do
żebraka. Nie wróciła, zatem mąż rusza szukać. Kiedy dochodzi do ognia, też staje jak wryty.
Później zjawiają się córki i synowie, ale nikt nie wie, co robić. Najmłodsza, która już kilka lat
uczyła się w wiejskiej podstawówce, podchodzi i napomina:

- To zimna noc. Taki stary człowiek musi uważać, żeby się nie zaziębić. Pomożemy ci,
choź do domu.

Staremu cieknie z nosa, ale nie zważa na to; z zamkniętymi oczami nadal recytuje i
śpiewa, chrypliwy głos drży, stłumiony, niewyraźny.

Później otwierają się drzwi następnego domu, potem następnego i następnego. Schodzą
się starzy, młodzi i dzieci, mężczyźni i kobiety, stopniowo zbiera się nad rzeką cała osada.
Jedni wracają do domu po trochę kulek ryżowych, inni przynoszą kaczkę, ktoś pomyślał o
czarach z winem i resztkami wołowych kiszek, ktoś przyniósł nawet kawał świńskiego łba,
kładą go przed nim.

- Zapomnieć o przodkach to zbrodnia... - mamrocze starzec.

Dziewczynka przewoźnika jest tak głęboko poruszona, że biegnie do domu i wraca z
wzorzystym wełnianym kocem z własnej wyprawy. Okrywa nim ramiona starca, wyciera mu
nos chusteczką w kwiaty i mówi:

- Sędziwy wujku, wracaj do domu!

Młodzi zgodnie mówią:

- Jakiż to smutny starzec!

Matko klonu, ojciec białego świerka! Tego, kto nie pamięta o przodkach, spotka kara! W
gardle starca bulgoce, po twarzy cieką łzy i śluz.

- Sędziwy wujku, chodź szybko, już nic nie mów!

- Wracaj szybko pod dach, do domu.

Młodzi śpieszą z pomocą.

Stary człowiek zмага się z sobą i w końcu wykrzykuje jak rozkapryszone dziecko:

- Chcę tu umrzeć...

Stara kobieta mówi:

- Dajcie mu śpiewać, nie dociągnie do wiosny.

Egzemplarz *Ofiarnych Pieśni Bębna*, który trzymam w ręku, został spisany i przetłumaczony na chiński przez mego znajomego Miao. To w podziękę dla niego napisałem tę opowieść.

Pogodny bezchmurny dzień; sklepienie niebieskie czyste, zdumiewająco odległe. Pod takim niebem samotna osada: na krawędzi urwiska domy na palach, warstwa po warstwie. Pięknie to z dala wygląda, jak gniazdo szerszeni na skalnej ścianie. Tak to się sni. Chodzisz u podnóża urwiska to tu, to tam, ale nie możesz znaleźć drogi na górę. Wydaje ci się tylko, że się przybliżasz; potem oddalasz się nagle jeszcze bardziej. Jakiś czas krążysz w ten sposób, żeby w końcu dać za wygraną; po prostu niech nogi cię niosą tam, gdzie wiedzie górską droga. Widząc, że już niknie za urwiskiem, trudno, czujesz się zawiedziony. Nie masz pojęcia, gdzie cię zawiedzie droga pod twymi stopami, w istocie nie masz jednak przed sobą celu.

Idziesz prosto przed siebie, a droga zatacza kręgi. Właściwie nigdy w życiu nie miałeś wyraźnego celu. Twe cele wciąż się zmieniają z upływem czasu i z biegiem przemieszczeń, aż w końcu przestają istnieć. Jeśli się zastanowić, życie nie podsuwa celów godnych uznania za ostateczne. To jak z tym gniazdem szerszeni. Żal się z nim rozstać, lecz jeśli ktoś spróbuje ruszyć je z miejsca, padnie ofiarą napaści i użądleń. Lepiej gniazdo zostawić w spokoju, niech wisi, podziwiane. Na tym pułapie rozważań czujesz niespodziewaną lekkość stóp; póki urzeka cię krajobraz, pięknie jest wszędzie, gdzie niosą nogi.

Po obu stronach ciągną się czerwone lasy wawrzynowe, lecz to nie pora zbierania owoców, ty zaś nie wiesz, gdzie będziesz, kiedy dojrzeją. Oto problem metafizyczny: czy owoce czekają na ludzi, czy może odwrotnie. Jest wiele ujęć zagadnienia, może być ono rozgryzane na nieskończoną liczbę sposobów, wciąż jednak owoc jest owocem, a ja człowiekiem. Można też rzec, iż owoce tegoroczne to nie owoce przyszłoroczne, człowiek zaś żyjący dziś wczoraj nie istniał. Problem w tym, czy terażniejszość rzeczywiście istnieje czy nie i jakie tu obowiązują miary. Najlepiej zostaw filozofom metafizykę, a skup się na wędrowaniu swą drogą.

Wciąż wiedzie ona pod górę, zaczynasz się obficie pocić. Lecz oto nagle znajdujesz się u podnóża tej osady, a kiedy patrzysz na cienie w niej, chłód ścina ci serce.

Nie spodziewałeś się, że na długich kamiennych stopniach pod drewnianymi palami domów zobaczysz tu siedzący tłum; musisz teraz uważać na gąszcz skrzyżowanych nóg, inaczej nie przejdiesz. Ani zerkną na ciebie, wszyscy patrzą w dół, zawodzą cicho *nan-nan-na-na*, to sutry; zapewne żałoba. Wspinasz się po kamiennych schodach, dróżka prowadzi za róg. Po obu stronach chylące się, krzywe drewniane domy; wspierają się o siebie, chronią w ten sposób przed zawaleniem. Gdyby jednak ziemia zatrzęsała się lub osunęła, upadek chociażby jednego spowoduje ogólną katastrofę.

Podobnie z tymi starymi ludźmi siedzącymi ramie w ramie. Wystarczy popchnąć jednego, a pozostali poprzewracają się jak rząd ustawionych przez dzieci kostek domina. Nie śmiesz nikogo potrącić, boisz się nieszczęścia. Stąpasz ostrożnie między chudymi kostkami i skrzyżowanymi nogami. Podobne do kurzych łapek stopy zawinęły w onuce. Śpiewnemu zawodzeniu towarzyszy skrzywienie domów; zastanawiasz się, co właściwie skrzypi, domy czy kości? Tych ludzi nęka drżączka: śpiewają, kołyszą się, wszystkim zaś trzęsą się głowy.

Kręta uliczka nie ma końca, na kamiennych stopniach na obu skrajach siedzą stłoczeni ludzie. Wszyscy w czamoszarych łatanych ubraniach - to tutejsza tkanina, ręcznie tkana metodą stosowaną od wieków - już rozlatują się w praniu. Wiszące na poręczach wysokich domów prześcieradła i splecione z szorstkich traw moskitiery potęgują wszechobecną tu aurę smutku starych ludzi.

W melodyjne zawrodozenie wdziera się nagle świdrujący dźwięk, wnika w ciebie jak kocie pazury, ponagla, żeby iść dalej. Nie potrafisz sobie uzmysłwić, skąd dobiega, lecz widzisz wejście obwieszone sznurami papierowych pieniędzy i dym kadzideł sącący się spomiędzy zasłon w drzwiach. Widocznie ktoś umarł.

Idzie się coraz trudniej. Ludzie jeszcze ciaśniej zbici, już nie ma gdzie postawić nogi. Boisz się, że nastapisz komuś na kostkę i złamiesz. Trzeba być jeszcze ostrożniejszym; wypatrujesz miejsc, w których można stanąć na palcach w tym gąszczu skrzyżowanych nóg i stóp podobnych do poskręcanych korzeni starych drzew; wstrzymujesz oddech i wolno posuwasz się krok za krokiem.

Przechodzisz między nimi, lecz nikt nie podnosi oczu. Na głowach mają zawoje lub chusty, twarzy nie widać. Naraz zaczynają śpiewać. Wsłuchujesz się uważnie i zaczynasz stopniowo rozumieć słowa.

Przyjdźcie tu wszyscy Nawiedźcie nas sześćkroć na dzień Okrąćcie sześćkroć za jednym nawiedzeniem Rozsypcie ryż w podziemiu Musicie przyjść nam z pomocą w potrzebie.

Śpiewowi przewodzi stara kobieta o świdrującym głosie, siedzi na kamiennym progu po prawej, tuż koło ciebie. Jest w niej coś szczególnego. Ramiona owinęła czarną chustą, zakryła całkiem głowę, w rytm śpiewu uderza drżącą ręką w kolano, całym zaś ciałem kołysze się powoli to w przód, to w tył. Stoi przy niej na ziemi misa z wodą, leży bambusowa rura wypełniona ryżem i plik kartek szorstkiego papieru z rzędami dziur. Kobieta moczy w wodzie palec, odrywa kwadratowy papierowy pieniądz i wyrzuca w powietrze.

Kiedy przyjdziecie
Kiedy pójdziecie
Na koniec ziemi
Na wschodni stok
Tu klęska, tu zguba
Tu zabić człowieka
To mniej niż pół ziarna ryżu
Tu ocalić człowieka
To mniej niż pół kosmyka włosów
Przyjdźcie z pomocą
Tu troska, tu cierpienie
Proszę, przyjdźcie tu wszyscy!

Chcesz przejść. Boisz się potrącić jej ramię, bo wówczas kruche ciało przewróci się, chcesz więc przesunąć jej stopę, ona zaś nagle wrzeszczy:

Cały czerwony, w czerwonej szacie Stopki jak pałeczki do ryżu Łeb jak klatka kaczek Kiedy nadejdzie, będzie jak trzeba Będzie się liczyć, co powie Sprawcie, żeby się rychło zjawił Nakażcie mu zdążyć!

Śpiewa tym świdrującym głosem i powoli wstaje, potem zaczyna gestykulować. Zwraca się do ciebie. Palce jej kurzych łap prostują się i groźnie mierzą w ciebie, sam nie wiesz, skąd czerpiesz odwagę, żeby przytrzymać jej ramiona i unieść chustę na głowie. Patrzy spod niej mała pomarszczona twarz, para zapadłych matowych oczu, w rozdziawionych ustach sterczy jedyny ząb. Wygląda to na uśmiech, lecz z pewnością nim nie jest; kobieta wciąż wrzeszczy, zaczyna tańczyć.

Wszędzie wpelzają czerwone węże Tygrysy i pantery idą na łów

Rozwierają się wrota góry Oni wchodzą przez kamienne wrota Na wszystkie strony niesie się krzyk Wołają jeden za drugim Pośpiesz na pomoc cierpiącym.

Próbujesz się wyrwać z jej szponów, lecz oto wszyscy, jeden za drugim wolno powstają. Podobni do wysuszonego drewna starzy ludzie otaczają cię, wzbiera morze drżących głosów; wyrzaskują teraz:

W czerwonej szacie, cały czerwony Pośpiesz otworzyć wrota i proś Proś raz i drugi, a zaraz tu będą Proś Pana Piorunów i Matkę Błyskawic Jeżeli są tu konie, każdy konia dosiędzie Jeżeli jest tu jądło, każdy się naje!

Tłum napiera na ciebie, atakuje, w ich gardłach kłębi się jakiś tłumiony odgłos. Odpychasz ich, nie masz wyjścia. Natychmiast padają bezgłośnie, jeden za drugim, jakby byli z papieru. Czujesz śmiertelną samotność. Uświadamiasz sobie nagle, że ten ktoś za zasłoną w drzwiach leżący na marach to ty. Nie godzisz się umierać w ten sposób, musisz szybko, w tej chwili, wrócić do świata ludzi.

Rano opuszczam osadę Miao i aż do popołudnia idę tą pustą górską drogą. Autobusy i kolumny ciężarówek z bambusem i dłużycą przejeżdżają tędy nieczęsto; nikt się nie zatrzymuje mimo moich znaków.

Słońce zaczyna już zachodzić za przeciwległy masyw, zrywa się zimny górski wiatr. Przy krętej szosie nie widać żadnych ludzkich sadyb, ani w górze, ani w dole, nikt też nie wędruje tą drogą, im dalej, tym bardziej wymarła. Nie wiem, ile jej pozostało do miasta powiatowego, czy zdołam tam dotrzeć przed zmierzchem. Muszę rychło zatrzymać jakiś wóz, w przeciwnym razie niełatwo przyjdzie znaleźć kąta na noc. Przypominam sobie o aparacie fotograficznym w plecaku. Cóż właściwie stoi na przeszkodzie, żeby podawać się za reportera? Może to podziała?

W końcu słyszę, że z tyłu coś nadjeżdża, więc staję na środku drogi i zaczynam wymachiwać aparatem. Ciężarówka z plandeką podskakuje na drodze, wali przed siebie, ani zwolni. Z piskiem zatrzymuje się tuż przede mną.

- Co ty, kurwa, myślisz, że dam radę stanąć? Życ ci się, kurwa, odechciało? - Kierowca wystawia głowę z kabiny i klnie. To Han, mogę się z nim dogadać.

Szybko podbiegam do drzwi wozu i tłumaczę:

- Panie kierowco, jestem dziennikarzem z Pekinu, robię reportaże z osady Miao. Mam pilną sprawę, zaraz muszę się dostać do powiatu, muszę wysłać telegram!

Szeroka twarz, kwadratowa żuchwa, duże usta; z takimi ludźmi zazwyczaj łatwo się dogadać. Przygląda mi się i marszczy brwi.

- Ja tu wożę świnię. Ludzi nie biorę. Ten wóz nie jedzie do powiatu.

Słyszę kwiczenie spod plandeki.

- Mogę pojechać wszędzie, byle nie do rzeźni. - Naciagam na twarz uśmiech.

Nie kryje niechęci, lecz w końcu otwiera drzwi. Spiesznie dziękuję i wskakuję do kabiny.

Częstuję papierosem, ale odmawia. Przez pewien czas jedziemy bez słowa. Bezpiecznie usadowiony, nie muszę nic więcej wyjaśniać. Ale od czasu do czasu kierowca zerka na mój aparat na szyi. Pekin to dla tutejszych rząd centralny, przysłanych zaś przez centralne władze reporterów wyróżnia pewien fason. Mnie nie towarzyszy urzędnik z powiatu, nie obwozi mnie oddany do dyspozycji dżip. Mogę mówić, co chcę, ale podejrzeń nie rozwieję.

Myśli, jak sędzę, że jestem oszustem. Słyszałem o takich filutach, którzy ruszali w góry z aparatami bez kliszy i grali komedię. Zapewniali, że tanio biorą, wędrowali z miejsca na miejsce, ściągali do wspólnych zdjęć całe rodziny, a potem pieniądze wyłudzone podczas tej zgrywy w górach zapewniały, jak nic, wesoły wieczór w wielkomiejskiej restauracji. Może myśli, że kantuję właśnie w ten sposób. Zaczynam śmiać się do siebie, muszę sam siebie rozbawić, w przeciwnym razie zanudzi mnie ta podróż.

Nagle przygląda mi się z nieukrywanym chłodem.

- Gdzie tak naprawdę jedziesz?

- Wracam do powiatu!

- Jakiego powiatu?

Jadąc samochodem króla Miao, nawet nie zwróciłem na to uwagi, teraz nie zdołam sensownie odpowiedzieć.

- Wszystko jedno, muszę się dostać do najbliższego domu noclegowego komitetu powiatowego! - mówię.

- No to wynocha, spadaj z wozu.

Przed nami rozwidlenie; miejsce bezludne, jak okiem sięgnąć ani śladu domu. W sumie nie wiem, czy usiłuje mnie nastraszyć, czy sili się na żart.

Ciężarówka zwalnia i staje.

- Tu skręcam - wyjaśnia.

- Gdzie cię niesie z tym wozem?

- Do skupu świń. - Wychyla się i otwiera drzwi po mojej stronie, nakłaniając do wyjścia.

Widzę, że nie żartuje, lecz z drugiej strony nieroztropnie by było tu utknąć. Wylączę i pytam:

- Czy to jeszcze terytorium Miao?

- Dawno temu zostawiliśmy je za sobą. Do miasta jest tylko dziesięć kilometrów, zdążysz przed nocą - mówi zimno.

Trzaskają drzwi, ciężarówka odjeżdża i niknie w tumanach kurzu na bocznej drodze.

Nie byłby taki lodowaty, gdyby zamiast mnie podwoził samotną kobietę. Wiem, że na takich górskich drogach kierowcy porywają kobiety i gwałcą, jednak do ciężarówek jeżdżących na długich trasach kobiety nie wsiadają tak beztrzesko. Ludzie zawsze mają się wobec siebie na baczności.

Słońce zaszło za górę, na niebie widać już tylko gasnący pas z chmurami podobnymi do rybich łusek. Przede mną zakurzona droga pnie się po długim zboczu. Bola mnie łydki, po plecach ścieka pot, straciłem już nadzieję, że coś nadjedzie. Godzę się z myślą, że trzeba wejść na grzbiet, trochę odpocząć i przygotować się do całonocnego marszu.

I oto niespodzianka: na szczycie wzniesienia spotykam kogoś takiego jak ja. Ten ktoś się zjawia w tej samej chwili co ja. Włosy jak kępa chwastów, kilkuniedniowy zarost. Z torbą podróżną jak moja, różni nas tylko to, że ja noszę torbę na plecach, on w rękach. On w zakurzonych roboczych spodniach górnika albo robotnika cementowni. Ja w dżinsach, w których ruszyłem w tę podróż, nie pranych od miesiąca.

W chwili, w której zderzają się nasze spojrzenia, czuję, że to zły człowiek. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, potem znowu zajmuje go mój plecak. Jakbym się natknął na wilka; różnica w tym, że dla wilka ta druga istota to posiłek łowcy, ludziom zaś chodzi o pieniądze napotkanego. Rzucam okiem na jego torbę: czy kryje jakąś groźną broń czy nie? Czy przybysz zaatakuje z tyłu, kiedy go minę? Przystaję po swojej stronie ścieżki.

Mój plecak lekki nie jest, zwłaszcza ciąży aparat fotograficzny, w każdym razie wystarczy, żeby się zamachnąć i przyłożyć tamtemu. Ściągam plecak i nie puszczając go z rąk, przysiadam na zboczu. Biorę głęboki oddech, gotów rozprawić się z facetem. On także bierze głęboki oddech i siada na przeciwległym gładzie. Dzieli nas najwyżej dziesięć kroków.

Widać, że jest silniejszy ode mnie; nie namęczy się ze mną w prawdziwej walce. Lecz przypominam sobie o elektromonterskim nożyku, który zawsze biorę w drogę; poręczny, w razie czego może posłużyć za broń. Nie sądzę, żeby ten drugi mógł wyciągnąć jakiś cięższy oręż, ale jeśli sięgnie po nieduży nóż, to jeszcze nie wiadomo, kto będzie górą. Jeśli mu nie dam rady, mogę zawrócić i uciec, lecz to go tylko ośmieli, a także zaświadczy, że jednak mam przy sobie pieniądze. Z jego oczu mogę wyczytać, że nikt mnie nie zaszedł z tyłu, że nic nie nadjeżdża, że za mną rozciąga się obszar równie wymarły jak za nim. Muszę mu dać poznać, że jestem w pogotowiu, ale nie ma mowy o panice.

Zapalam papierosa i udaję, że odpoczywam. On też wyciąga papierosa, z tylnej kieszeni spodni, i zapala. Nie wpatrujemy się w siebie, ale śledzimy się kącikami oczu.

Jeśli się nie upewni, że mam coś wartościowego, nie będzie narażał życia, chociaż walka jest wciąż bardzo prawdopodobna. Stary kasetowiec w plecaku to istna cegła, zresztą zniekształca dźwięk, dawno bym się go pozbył, gdybym miał na nowy. Tylko importowany japoński aparat fotograficzny działa jak należy, ale nie warto dlań narażać życia. W gotówce mam tylko sto yuanów i na pewno nie warto dać się zranić dla tak małej sumy. Wpatruję się we własne zakurzone buty, słę ku nim kłęb dymu. Siedzę bez ruchu i czuję, jak zimna, przesiąknięta potem koszula klei mi się do pleców, słyszę już zawodzenie górskiego wiatru.

W pogardliwym uśmiešku odsłania zęby. Myślę, że ze mnie też tchnie pogarda, spod warg wyzieraają zęby, pewnie z oczu patrzy mi równie wrednie jak jemu. Jeśli otworzę usta, mogę go zwymyślać, zasypać wyzwiskami. Mogę zaatakować, rzucić się z nożem, dźgnąć, a jednocześnie jestem gotów uciekać aż się zakurzy, byle ująć z życiem. Czy ta jego bezczelność, którą wyraża nawet sposób trzymania papierosa, bierze się z podobnego sposobu myślenia? Czy i on się jakoś ubezpiecza?

Kupione na tę długą podróż buty przetrzymały deszcz, błoto, wędrówkę w rzekach. Straciły kształt, czarne i brudne, nikomu nie przyjdzie do głowy, że kiedyś, jako modne buty turystyczne, sporo kosztowały. Co do mnie, to nic właściwie nie czyni mnie celem napaści. Zaciągam się głęboko resztką papierosa, rzucam niedopałek, rozdeptuję. Jakby w odpowiedzi, on też rzuca na ziemię niedopałek, rzecz jasna wsgardliwie, lecz mając się na baczności.

Potem obaj wstajemy. Ruszamy środkiem, żaden nie ustępuje drogi, niemal ocieramy się o siebie. Jeśli się dobrze zastanowić, ludzie to nie wilki; raczej przypominają zdziczałe psy. Wachają się, mierzą wzrokiem, potem rozchodzą.

Teraz zbocze opada po tej stronie, idę z góry, a wyruszywszy, nie potrafię się zatrzymać, aż droga zacznie się ścielić płasko. Oglądam się za siebie: pod ciemniejącym niebem zakurzona szosa pełźnie przez wymarłe górskie pasmo; wydaje się jeszcze bardziej samotna.

Mówi, że się starzeje. Kiedy rankiem czesze się i zmywa twarz przed lustrem, widzi głębokie zmarszczki w kącikach oczu, już nie ukryje ich makijaż. Lustro mówi, że zmarnowała najlepsze lata życia. Co rano budzi się nieszczęśliwa i otepiała. Nie chce nikogo widzieć, nie chce się podnieść, lecz musi iść do pracy. Dopiero później, już na dyżurze, kiedy trzeba porozumiewać się z ludźmi, zaczyna mówić, śmiać się, zapomina o sobie, czuje jakąś ulgę.

Mówisz, że rozumiesz.

Nie, niemożliwe, żebyś rozumiał, mówi, niemożliwe, żebyś pojął rozpacz kobiety odkrywającej, że nikt jej nie kocha. Dopiero kiedy zbliża się wieczór, ogarniają ożywienie. Lubi napięty program co wieczór, musi wychodzić, musi przyjmować ludzi, nie może znieść samotności. Jest żadna życia, gorączkowo, panicznie; rozumiesz to uczucie? Nie, nic podobnego.

Mówi, że tylko na tanecznym parkiecie ma wrażenie, że żyje, zamknawszy oczy, blisko partnera, tylko wtedy. Wie, że naprawdę nikt jej nie kocha; nie znosi, kiedy ktoś wpatruje się w nią z bliska, to przez te zmarszczki w kącikach oczu; boi się tego stopniowego starzenia. Zna mężczyzn; kiedy zachciewa się wam kobiety, wasze słodkie słówka ociekają miodem, a kiedy się zaspokoicie, kobieta was nudzi, umykacie, żeby szukać nowych dreszczyków. Na widok ładnej młodej kobiety znowu stajecie się rozmowni, śmiejecie się. Lecz ile lat trwa młodość kobiety? Taki jest los kobiet. Tylko w łóżku, nocą, kiedy możesz się nią cieszyć, a nie możesz dojrzeć jej zmarszczek, tylko wtedy wypowiadasz słowa podziękii. Po prostu słuchaj, co ma ci do powiedzenia! Mówi, że wie, że chcesz się jej pozbyć, że się usprawiedliwiasz po to, żeby tym łatwiej czmychnąć. Nic nie mów!

Nie musisz się niepokoić, mówi, nie należy do kobiet przylepionych do mężczyzny, które nie pozwalają mu odejść. Potrafi znaleźć innego, potrafi się pocieszyć. Wie, co chcesz jej powiedzieć. Nie mów o pracy. Jeśli nie zdoła znaleźć mężczyzny, potrafi odejść i znaleźć pracę. Nie będzie przeżywać cudzych problemików, nie chce pociągać za sznurki, grać roli zderzaka, pośredniczki, wysłuchiwać, jak oni żalą się nad sobą, jak cierpią. Mniszką nie zostanie. Nie musisz udawać, że się śmiesz, do świątyń przyjmują dzisiaj tylko bardzo młode kobiety: to tylko komedia dla cudzoziemców. Te mniszki, które dzisiaj wstępują do klasztoru, wychodzą za mąż, mają życie rodzinne. Potrafi zatroszczyć się o siebie, może mieć dziecko bez ślubu: bękarta. Słuchaj, co mówi!

Na pewno możesz dać jej dziecko? Pozwolisz jej urodzić? Chce twego potomka, tylko jednego, dasz jej? Nie odważysz się, boisz się. Nie musisz się martwić, nikomu nie powie, że twój, nie będzie miał ojca, będzie owocem matczynego wyuzdania. Nigdy nie pozna swego ojca. Przejrzała cię, stać cię najwyżej na uwodzenie młodych kobiet, tylko do tego jesteś zdolny. Ale czy one rozumieją miłość? Czy naprawdę będą się troszczyć o ciebie? Kochać jak żona? Ciało kobiety nie jest samą seksualnością, nie służy tylko do tego, żebyście wy, mężczyźni, mogli w nim dawać upust swej żądzy. Zdrowa kobieta odczuwa potrzebę cielesnej miłości, to jasne, ale cielesna miłość to mało, kobiecy instynkt każe być także żoną, żyć zwykłym życiem. Każda, którą sobie znajdziesz, na pewno zechce związać się z tobą, to nieuchronne, kobieta pragnie związać się z mężczyzną, i co poradzisz? Lecz nie jest powiedziane, że inna tak się zatroszczy o ciebie jak ona, jak kochająca matka o dziecko, bo w jej ramionach jesteś tylko nieszczęsnym dzieciakiem. Ta twoja niezaspokojona zachłanność! Nie łudź się, już nie jesteś krzepki i młody, wkrótce będziesz za stary, a potem będziesz niczym. No jazda, idź i zabaw się z dziewczynami, w końcu i tak będziesz należał do niej, w końcu będziesz musiał wrócić do niej, tylko ona potrafi cię znieść, darować słabości. Gdzie znajdziesz taką jak ona?

Jest pusta, mówi, nic nie czuje. Wyssały ją przyjemności, została tylko wydrażona skorupa, jej ciało. Jest tak, jakby zapadła się w bezdenną otchłań, jest wolno opadającym skrawkiem urwanego tiulu. Niczego nie żałuje, żyła i tyle, to wszystko. Kochała i może wierzyć, że była kochana. To, co zostało, przypomina czarę mdłej, pozbawionej smaku herbaty, cóż więc takiego się stanie, jeśli się ją wyleje? Taka sama samotność, nic poza tym. Nie jest podniecona, a jeśli nawet, zakrawa to na spełnianie obowiązku. Jest kawałkiem krwawiącego węża, którego rozplatałeś. Jesteś okrutny, lecz ona nie żali się, wini najwyżej siebie. Czy ktoś ją pytał, czy ma się urodzić kobietą? Nie, w środku nocy nie wybiegnie na ulicę jak szalona, nie siądzie pod uliczną latarnią, nie rozplącze się jak jakaś idiotka, nie wybiegnie podczas deszczu na jezdnię, krzycząc histerycznie i zmuszając kierowców do

stawania na hamulcach oraz nagłych uników. Już się nie boi urwisk, już nie kontroluje własnego ciała, bo ono już butwieje. Z dni, której jej pozostały, już wywietrzało życie; już nikt się nie schyli po ten skrawek tiulu; niesiony wiatrem opadnie na dno i cicho umrze. Nie jest taka jak ty, nie jest tchórzliwa, nie zżera jej strach przed śmiercią. Jej serce już wcześniej umarło. Kobiety są poranione znacznie dotkliwiej niż wy, mężczyźni, gdyż od dnia, w którym ktoś je posiadł, deptane są ich serca i ciała; jeszcze ci mało?

Nie krępuj się, jeśli chcesz się jej pozbyć! Skończ z tymi miłymi słówkami! Nie pocieszaj jej, nie ona z tobą zrywa. Kobiety, jeśli zechcą, potrafią być znacznie bardziej bezwzględne niż mężczyźni, są bowiem przez nich znacznie dotkliwiej ranione! Ona to zniesie, wytrzyma, bo jakże inaczej doczeka zemsty? Jeśli kobiety szukają zemsty... mówi, że sama nie myśli o zemście, bo potrafi znieść wszystko, w przeciwieństwie do was, mężczyzn, zapłakanych z byle bólu. Kobiety są od mężczyzn bardziej wrażliwe. Nie żałuje, że jest kobietą, kobieta ma swą kobiecą dumę, ale nie jest to arogancja. W każdym razie nie żałuje, że jest kobietą, a w przyszłym wcieleniu w następnym świecie chce znowu urodzić się kobietą i znowu doświadczyć cierpienia bycia kobietą. Chce znowu doświadczyć męki rodzenia, radości bycia po raz pierwszy matką, słodczy, która ogarnia po porodzie. I znów chce się cieszyć pierwszym dziewiczym dreszczem, tym trudnym do wytrzymania napięciem, tym rozbieganym spojrzeniem, zmieszaniem na widok pary męskich oczu, tymi niepowstrzymanymi łzami bólu przy wtargnięciu. Chce znowu przejść przez to wszystko, jeśli istnieje następny świat. Po prostu pamiętaj o niej, pamiętaj o miłości, którą ci dała, wie, że już jej nie kochasz, najlepiej więc będzie, jeśli sobie pójdzie.

Mówi, że chce wybrać się samotnie na pustkowie, gdzie czarne chmury spowijają drogę aż po kres. Będzie zmierzać ku kresowi, a dobrze wie, że w istocie jest to kres bez kresu. Droga ciągnie się bez końca, zawsze jest punkt, w którym niebo styka się z ziemią, lecz droga pełźnie dalej. Będzie po prostu szła tam, gdzie ją zaprowadzi odludna droga pod mrocznymi chmurami; pójdzie, gdzie ją nogi poniosą. Kiedy po wielkich trudach dobrnie do kresu, ta długa droga rozciągnie się dalej, ona zaś będzie szła bez końca, jak teraz, z pustym sercem w pustym ciele. Myślała o śmierci, myślała o skończeniu z tym wszystkim, właśnie w ten sposób. Lecz samobójstwo wymaga bodźca, w niej zaś zaginął nawet ten bodziec. Do samobójstwa musi dojść z powodu kogoś lub czegoś, lecz ona nie istnieje już dla nikogo ani niczego, więc już brak jej energii, żeby się zabić. Po tych wszystkich upokorzeniach i bólach jej serce jest jak ogłuszone.

- Wyjeżdżasz? - pyta.

- Autobus mam chyba o siódmej? - pytam, zamiast odpowiedzieć.

- Tak, ale jeszcze czas. - Chyba mówi do siebie.

Składam brudne rzeczy i upycham do plecaka. Pakuję się.

Myślałem, że w tym powiatowym mieście zostaną jeszcze parę dni, dojdę do siebie, zrobię pranie. Wiem, że stoi za mną, przygląda się, co robię, lecz nie odwracam się, nie podnoszę oczu w obawie, że ugnę się przed jej spojrzeniem; że nie potrafię wyjechać, że ogarną mnie jeszcze gorsze wyrzuty sumienia.

Niewiele sprzętów w tym gościnnym pokoiku: stolik pod oknem i wąskie łóżko, teraz zarzucone moimi rzeczami. Właśnie przyszedłem z jej pokoju, w którym spędziłem ostatnią noc; świt oglądaliśmy oboje z jej łóżka.

Do tego powiatowego miasteczka przyjechałem o zmierzchu z gór autobusem; spotkałem ją przed wystawą na jedynej długiej ulicy. Sklepy już pozamykano, na chodnikach ubywało ludzi. Szła przede mną; przyśpieszyłem i spytałem o dom. Szukałem kąta do spania, lecz na początek taki chwyt wydawał się lepszy. Odwróciła się. Trudno powiedzieć, czy była ładna, lecz miała miłą twarz, ładną cerę i pełne czerwone wargi, wyraźnie zarysowane kąciki ust.

Powiedziała, że może mnie zaprowadzić, zapytała, z kim chcę rozmawiać. Odrzekłem, że z kimkolwiek, ale najlepiej, rzecz jasna, z szefem. Spytała, dlaczego chcę mówić z szefem, ja zaś odpowiedziałem, że zbieram materiały. Co za materiały? Spytała też, co robię i skąd jestem. Powiedziałem, że moja tożsamość potwierdzą dokumenty.

- Czy mogę je zobaczyć? - Unosi brwi i chyba chce mnie przesłuchać.

Z kieszeni koszuli wyciągam legitymację Związku Pisarzy w niebieskiej plastikowej oprawce. Wiem, że moje nazwisko pojawia się w dokumentach krążących po różnych agendach rządu centralnego, aż po większe i mniejsze miasta na prowincji, niewykluczone, że zapadło w pamięć jakimś przewodniczącym komitetów partyjnych czy szefom wydziałów kultury. Wiem też, że nie brak ludzi chętnie sporządzających donosy, którzy to, co mówię i robię, mogą wykorzystać w raportach pisanych zgodnie ze wskazówkami dokumentów rządowych. Przyjaciele, którzy zaznali już takich przygód, ostrzegali, żeby unikać takich typów, a tym samym kłopotów. Lecz moje doświadczenie z osady Miao dowiodło, że legitymacja pisarska może się czasem przydać. Zwłaszcza kiedy ta druga strona to młoda kobieta. Na pewno ktoś o mnie zadba.

I rzeczywiście, patrzy na mnie, porównuje widok z fotografią w legitymacji.

- Jest pan pisarzem? - pyta, a jej twarzy łagodnieje.

- Raczej wyglądam na łowcę Dzikiego Człowieka - próbuję wdać się w żarty.

- Pracuję w domu kultury - wyjaśnia.

Mam szczęście.

- Mogę wiedzieć, jak się pani nazywa? - pytam.

Mówi, że nazwisko nie ma znaczenia. Mówi też, że czytała moje rzeczy i naprawdę jej się podobają. Przy biurze jest pokój gościnny dla wiejskich działaczy kulturalnych, tańszy niż w zajeździe i dość czysty. Teraz już w biurze nikogo nie ma, lecz może mnie zaprowadzić do domu szefa.

- W sensie kultury, szef miewa braki. - Zaczyna się już o mnie troszczyć. - Ale to dobry człowiek - dodaje.

Niemłody, niski i gruby, wpiery prosi o dokumenty. Legitymację studiuje starannie. Właściwie nie sposób podrobić pieczęci tłoczonej na zdjęciu; namysł zajmuje mu sporą chwilę, potem na twarz napływa uśmiech. Oddaje legitymację i mówi:

- Pisarzy i dziennikarzy delegowanych przez władze zwierzchnie podejmuje zazwyczaj biuro komitetu powiatowego i powiatowy wydział propagandy, a jeśli nie, to podejmuje ich dyrektor powiatowego wydziału do spraw kultury.

Wiem, że stanowisko szefa urzędu do spraw kultury to synekura. Kierowani tam członkowie nomenklatury przypominają ludzi odsyłanych na starość do domu, o których już nikt się nie troszczy. Jeżeli nawet szef urzędu widział te poufne dokumenty, pamięć nie musi być jego mocną stroną. Naprawdę mam szczęście, spotykając tego miłego starszego człowieka, nawet jeżeli miewa braki w sensie kultury. Spieszę z zapewnieniem:

- Jestem pisarzem pomniejszych, nie trzeba trudzić aż tylu osób.

- Nasz dom kultury zajmuje się tylko miejscową twórczością amatorską i upowszechnianiem kultury ludowej - wyjaśnia. - Na przykład wyruszamy na wieś, zbierając ludowe pieśni...

Przerywam mu, żeby powiedzieć:

- Mnie interesują właśnie pieśni ludowe, zbieram właśnie takie materiały.

- Czy nasz gościnny pokój w biurze na piętrze nie jest przypadkiem wolny? - To ona; zerka na mnie inteligentnymi oczami, przypomina o sprawie w najstosowniejszej chwili.

- Jest urządzony bardzo prosto. Nie mamy stolówki i będzie pan musiał wyjść do miasta, żeby coś zjeść - mówi szef.

- Nawet wolę. Tak będzie lepiej, bo chcę też wyruszyć do pobliskich wiosek - mówię.

- To dobrze, jeżeli jest pan gotów dostrzec jego zalety - uprzejmie zamyka sprawę.

Zatrzymuję się zatem w budynku domu kultury; ona prowadzi na górę, otwiera drzwi gościnnego pokoju tuż przy schodach. Zrzucam plecak, ona zaś mówi, że jej pokój znajduje się przy końcu korytarza; zaprasza.

Pokoik niewielki, zapach pudru i szminki. Na półce przy oknie okrągłe lustro, obok zbiór buteleczek i słoiczków, to kosmetyki, niezbędne wyposażenie dzisiejszych dziewcząt nawet w miasteczkach powiatowych. Ściany obwieszane plakatami zapewne jej ulubionych gwiazd filmowych. Jest też zdjęcie wycięte z kolorowego magazynu: na scenie bosa artystka w przezroczystych jedwabiach w tańcu hinduskim. Na starannie posłanym łóżku, osłonięta moskitierą, siedzi czarno-biała panda o jedwabnym futrze; to teraz bardzo modne. W kącie stoi drewniane wiadro o wyszukanej kształcie, pokryte lśniąca czerwoną oryginalną laką; tylko ono zachowuje coś z wyjątkowego charakteru miasta. Mam za sobą parę miesięcy wędrówki przez góry w towarzystwie to wiejskich urzędników, to chłopów, spania na słomianych matach, posługiwania się niewybrednym językiem i picia żrących alkoholi; wejście do tego jasnego pokoiku pachnącego pudrem i szminką natychmiast przyprawia mnie o zawrót głowy.

- Chyba mam wszy - mówię onieśmielony.

Nie wierzy, śmieje się i zaprasza:

- To niech się pan umyje. Termosy napełniłam za dnia, więc jeszcze jest gorąca woda, umyć może się pan tutaj, w tym pokoju, znajdzie pan wszystko, co trzeba.

- Za wiele kłopotu - mówię. - Wrócę do siebie, czy mógłbym jednak pożyczyć miednicę?

- Co za różnica? Tu w wiadrze jest zimna woda - mówiąc to, wyciąga spod łóżka miednicę pokrytą czerwoną laką, kładzie mydło, ręczniki. - Nie ma sprawy, zejdę do biura i trochę poczytam. Obok jest sala muzealna, dalej biuro, a pański pokój na końcu.

-Jakie tu są eksponaty? - muszę wynaleźć jakiś watek.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Chce pan rzucić okiem? Dam klucz.

- Pewnie. Świetnie.

Mówi, że na dole jest czytelnia książek i czasopism, później pokaże też świetlicę.

Po myciu czuję się dużo lepiej, chociaż przyłgnał do mnie zapach jej mydła. Wraca i nalewa herbaty. Już rozgościłem się w jej pokoiku, już przeszła mi chęć oglądania eksponatów.

Pytam, czym się zajmuje. Mówi, że skończyła miejscowe studium nauczycielskie, uczyła się muzyki i tańca. Tymczasem zachorowała starsza kobieta, której podlega biblioteka, i teraz ona musi pilnować czytelnii oraz zajmować się wypożyczaniem książek. Mówi, że pracuje tu niemal rok, wkrótce zaś skończy dwadzieścia jeden lat.

-Potrafi pani zaśpiewać jakieś miejscowe ludowe pieśni? - pytam.

- Marnie by to wypadło - mówi.

- A czy są tu jacyś starzy ludzie śpiewający pieśni ludowe? - zmieniam temat.

- Ależ tak. O czterdzieści li stąd jest miasteczko, mieszka tam starzec, który zna mnóstwo tych pieśni.

- Mógłbym się z nim spotkać?

- Jeśli pan wsiądzie w autobus o siódmej, zdąży pan wrócić jeszcze tego samego dnia. Stary mieszka w Liupu, miasteczku znanym w tym powiecie właśnie z pieśni.

Niestety, mówi, nie może mi posłużyć za przewodniczkę. Szef domu kultury chyba nie pozwoli jej pojechać, bo nikt jej nie zastąpi w pracy, szkoda, że to nie niedziela. Ale może zadzwonić, pochodzi właśnie z Liupu; zadzwoni do władz gminy, zna dobrze wszystkich, załatwi, żeby stary śpiewak czekał już na mnie w domu. Powrotny autobus odjeżdża o czwartej, chce, żebym wrócił na obiad, do niej. Mówi, że i tak musi sobie gotować.

Później zaczyna opowiadać o krawcowej z Liupu, to starsza siostra koleżanki z podstawówki. Naprawdę przystojna, rzadkiej piękności i z taką śliczną cerą, jak figura z jadeitu. Jeśli ją pan zobaczy, na pewno...

- Na pewno co?

Mówi, że żartuje, mówi, że ta kobieta ma zakład przy bocznej uliczce, pracuje tam, jeśli pan będzie tamtędy przechodził, na pewno ją pan zauważy. Lecz wszyscy mówią, że jest trędowata.

- To prawdziwa tragedia, przez to nikt nie odważy się z nią ożenić - mówi.

- Jeśli naprawdę choruje, trzeba ją odizolować - mówię.

- Ludzie rozmyślnie ją oczerniają - mówi. - Ja w każdym razie w to nie wierzę.

- Przecież nikt jej nie broni iść do szpitala; zrobi sobie badania i dostanie świadectwo lekarskie - podsuwam.

- To na nic, choćby za nią świadczyło nie wiem co. Ludzie zawzięli się, żeby ją oczernić, to prawdziwi nikczemnicy. Co tu pomoże zaświadczenie?

Mówi też, że jest blisko z pewną kuzynką. Jej zamażpójście za kogoś z urzędu skarbowego skończyło się ciężkim pobiciem, sińce miała na całym ciele.

- Dlaczego? - pytam.

- Bo w noc poślubną mąż odkrył, że nie jest dziewicą! Tu ludzie są nieokrzesani i podli, nie to, co wy, w wielkich miastach.

Zdobywam się na pytanie:

- Czy byłaś kiedyś zakochana?

- W studium nauczycielskim miałam kolegę, naprawdę nam się układało, po dyplomie pisywaliśmy do siebie. Ale niedawno ożenił się, całkiem niespodziewanie. Niczego sobie nie przyrzekaliśmy, lubiliśmy się, rozmawialiśmy, ale nie na ten temat; to, rzecz jasna, nie był związek. Jednak kiedy napisał, że się ożenił, rozplakałam się nad tym listem. Chce pan jeszcze słuchać?

- Pewnie, że chcę - mówię - lecz trudno by to wpisać w powieść.

- Nie chciałam, żeby pan o tym pisał. Ale wy, powieściopisarze, wszystko zdołacie zmyślić.

- Tylko wtedy, jeśli ktoś zechce.

- Z nią to naprawdę smutna sprawa - wzdycha. Trudno się jednak zorientować, czy wzdycha w związku z krawcową czy kuzyneczką.

- Tak - muszę okazać współczucie.

- Ile czasu pan chce tu spędzić? - pyta.

- Dzień, może dwa, żeby trochę odetchnąć, zanim ruszę dalej.

- Dużo miejsc chce pan jeszcze odwiedzić?

- Jest jeszcze mnóstwo takich, w których nie byłem.

- Przez całe życie nie zdołam zobaczyć tego, co pan.

- Jeśli nie może pani podróżować służbowo, to może pani wziąć urlop i podróżować na własną rękę.

- Chcę pojechać do Szanghaju i Pekinu, rozejrzeć się. Jeśli spotkam tam pana, pozna mnie pan jeszcze?

- Dlaczego miałbym nie poznać?

- Dawno pan o mnie zapomni.

- Wynika z tych słów, że niewysoko mnie pani ceni.

- Jestem realistką, zna pan na pewno mnóstwo ludzi.

- Stykam się z wieloma z racji pracy, ale niewielu z nich to ludzie mili.

- Wy, pisarze, naprawdę umiecie mówić. Może pan zostanie parę dni dłużej? W tym powiecie nasłucha się pan pieśni ludowych nie tylko w Liupu.

- No jasne - mówię.

Osacza mnie tym naiwnym ciepłem, czuję, że zarzuca sieć. Kiedy zaś myślę o niej w ten sposób, mam zaraz wrażenie, że jestem niedobry.

- Zmęczyl się pan?

- Trochę. - Myślę, że powinienem już wyjść z jej pokoju

i jakoś sprawdzić, o której odchodzi jutro rano autobus do Liupu.

Nie przypuszczałem, że wszystko potoczy się tak, jak zaplanowała. Nie wylegując się, odłożywszy przepierkę brudów, wcześniej wstaję, jadę do Liupu, kręcę się tam przez cały dzień; nie mogę się doczekać, aż wrócę i znów ją zobaczę. Zjawiam się znów o zmierzchu i

widzę, że nakryła do kolacji. Na naftowym piecyku cicho gwarzy nieduży garnek z gorącą zupą. Zobaczywszy, że przygotowała aż tyle dań, mówię, że wyjdę i kupię coś do picia.

- Coś tu mam - mówi.
- A pani też się napije? - pytam.
- Najwyżej odrobinę.

Otwieram paczkę i odwijam z liścia lotosu soloną wieprzowinę, potem gęś z rusztu, kupione w sklepie naprzeciwko przystanku autobusowego. Tu nadal zawijają solone mięso w liście lotosu. Pamiętam, że kiedy byłem mały, zawsze tak zawijano mięso na straganach, przez co uzyskuje wyjątkowy, czysty aromat. Skrzypiąca podłoga, moskitiera zapewniająca wrażenie odosobnienia, w kącie urocze drewniane wiaderko, na którym lśni oryginalna laka; wszystko to przenosi mnie w czasy dzieciństwa.

- Poznał pan tego starca? - pyta, nalewając coś, co okazuje się doskonałą czystą wódką.
- Tak - kłamię.
- Śpiewał?

Znowu kłamię:

- Tak.
- Śpiewał też tamte pieśni?
- Które?
- Więc nie zaśpiewał ich panu? Cóż, nie śpiewa ich obcym.
- Mówi pani o sprośnych piosenkach miłosnych?

Śmieje się zawstydzona.

- Przy kobietach też by nie zaśpiewał - wyjaśnia.

- Zależy, komu śpiewa, starym przyjaciołom śpiewa i w obecności kobiet, nawet z większym upodobaniem, ale nie może być przy tym dziewcząt, tyle to wiem - mówię.

- Zebrał pan jakieś ciekawe materiały? - zmienia temat. -Po pana wyjeździe zadzwoniłam do miasteczka i poprosiłam kogoś z władz powiatu, żeby powiedział temu śpiewakowi, że z Pekinu specjalnie przyjechał pisarz, żeby z nim porozmawiać. I co? Dali mu znać?

- Wyjechał załatwiać interesy, poznałem jego żonę.

- W takim razie zmarnował pan czas na tę wycieczkę!

- Nie, to nie była strata czasu. Większą część dnia spędziłem w herbaciarni i naprawdę sporo się dowiedziałem, nie miałem pojęcia, że takie herbaciarnie wciąż istnieją, na górze i na parterze tłum chłopów z targu.

- Rzadko chodzę do takich lokali.

- Bardzo tam było ciekawie, czuło się puls; ludzie ubijali interesy albo zwyczajnie gwarzyli. Gadałem z nimi o najróżniejszych rzeczach. To też jest życie.

- Wy, pisarze, jesteście dziwni.

- Poznałem najróżniejszych ludzi, najróżniejszego zajęcia. Ktoś pytał mnie nawet, czy mogę mu kupić wóz. A ja zapytałem jaki, czy osobowe wyzwolenie, czy może dwuipółtonową ciężarówkę.

Wybuchła śmiechem.

- Niektórzy naprawdę zbijają majątek, pewien chłop wchodził do interesu z dziesięcioma tysiącami. Widziałem też takiego z mnóstwem sło; trzyma owady. Brał za stonogę co najmniej pięć fenów, gdyby więc sprzedał dziesięć tysięcy stonóg...

- Niech pan przestanie mówić o stonogach, boję się stonóg!

- W porządku, dość o owadach, opowiem o czym innym.

Mówię, że w herbaciarni przesiedziałem cały dzień. W południe odchodził powrotny autobus; trzeba było wrócić wcześniej i zrobić pranie, ale nie chciałem jej rozczarować. Czułem, że powinienem wrócić o zmierzchu, jak zaplanowała, więc przez większą część dnia kręciłem się po okolicznych wioskach. O tym, rzecz jasna, nie wspominam.

- Omawiałem parę spraw - to pierwsze zdanie, jakie przychodzi mi do głowy.

- I załatwił pan wszystkie?

- Żadnej - ciągnę wątek, mimo że nie mam nic wspólnego z robieniem interesów, nie znam się na tym.

- Napijmy się, przejdzie panu zmęczenie.

- A pani zwykle pija coś mocnego?

- Nie, kupiłam to, kiedy wpadła przejazdem koleżanka ze szkoły, parę miesięcy temu. Tutaj, kiedy są goście, podejmuje się ich trunkiem.

- W takim razie, do dna!

Ochoczo trąca się czarką i wypija duszkiem.
Zza okna dobiega szmer, potem bębnienie.

- Pada? - pytam.

Wstaje, wygląda przez okno i mówi:

- Całe szczęście, że pan wrócił, byłby kłopot, gdyby się pan przeziębził na deszczu.

- Cudownie jest w tym pokoiku, kiedy tam pada.

Uśmiecha się, na twarzy widać rumieniec. Deszcz hałasuje, słychać przez okno, jak tłucze po dachu, jak smaga sąsiednie domy.

- Czemu przestała pani mówić? - pytam.

- Słucham deszczu - odpowiada. Pyta po chwili: - Może zamknąć okno?

- Pewnie, tak będzie nawet lepiej, przytulniej - mówię od razu.

Wstaje, żeby zamknąć, i nagle czuję jej bliskość. Ów cudowny deszcz sprawia, że to, co teraz następuje, jest zupełnie niesamowite. Zamyka okno, a odwracając się w drodze do stołu, trąca mnie w ramię. Ujmuję jej przegub i przyciągam. Ulega, ciepła i miękka.

- Naprawdę podobam się panu? - pyta cicho.

- Przez cały dzień myślałem o tobie. - Nie kłamie.

Obraca twarz do mnie. Natrafiam na jej wargi, nagle rozluźnione i rozwarłe. Popycham ją na łóżko. Próbuje się wywinąć, uwolnić, trzepoce się jak wyrzucona na brzeg ryba. Nie potrafię się powstrzymać, ona zaś wciąż błaga, żeby wyciągnąć sznur lampy i opuścić moskitierę.

- Nie patrz na mnie, nie patrz... - szepcze mi wprost do ucha.

- Przecież nic nie widzę! - Niecierpliwie przytrzymuję wijące się ciało.

Staje się napięta, ujmuje moją rękę, prowadzi do koszuli, rozpinam ją, kładzie tę rękę na wezbranej piersi. Jej ciało rozluźnia się, ona zaś cichnie. Pragnęliśmy oboje tej fizycznej bliskości. Alkohol, deszcz, ciemność i moskitiera dały jej poczucie bezpieczeństwa. Już się nie wstydzi, pozwala błędzić moim rękoma, pozwala się rozebrać. Całuję ją, od szyi po sutki, wilgotne nogi rozwierają się chętnie, szepcząc jej:

- Chcę cię mieć.

- Nie... Nie rób... - Ale wydaje się, że dyszy.

Natychmiast kładę się na niej.

- Chcę cię mieć teraz! - Powtarzam to, nie wiem po co, żeby w ten sposób jeszcze się podniecić, a może pomniejszyć moją odpowiedzialność?

Słyszę jej szloch:

- Jestem jeszcze dziewicą...

- Będziesz żałować? - Natychmiast tracę impet.

- Nie ożenisz się ze mną. - Dobrze to rozumie, więc płacze.

Niestety, nie potrafię jej okłamywać, wiem, że jest tylko kobietą, której zapragnąłem. Bo nudziłem się, bo marzy mi się trochę rozrywki; to wszystko. Nie mogę przyjąć żadnej odpowiedzialności za nią. Zsuwam się rozczarowany i pytam, całując:

- To dla ciebie coś cennego?

Bez słowa kręci głową.

- Boisz się, że mąż odkryje to po ślubie i też cię pobije?

Drży.

- Jednak chcesz dla mnie aż tyle poświęcić?

Dotykam wargi, którą zagryza; kiwa głową. Ogarnia mnie współczucie, ujmuję jej głowę, całuję mokrą twarz, policzki, szyję. Cicho płacze.

Nie mogę być taki okrutny; nie mogę się nią zabawić, nie mogę, zaspokoiwszy pożądanie, kazać jej potem płacić tak wysoką cenę. Polubiłem ją, nic nie poradzę, wiem, że to nie miłość, lecz w takim razie czym jest miłość? Ma świeże, wrażliwe ciało, a mnie znów, raz za razem wypełnia pragnienie, robię z nią wszystko, z wyjątkiem przekroczenia ostatniej granicy. Lecz ona czeka czujna, robi to, do czego zachęcam, nic nie może bardziej podniecić. Pragnę zapamiętać najlżejsze nawet dreszcze jej ciała, chcę się duszą i ciałem zapisać niezatarte w jej pamięci, wyryć. Wciąż drży, płacze, zupełnie mokre są już i górne, i niższe części jej ciała. Nie wiem już, co jest bardziej okrutne. Uspokaja się dopiero, kiedy za oknem, za opuszczoną moskitierą widać nadchodzący świt.

Wyciągam się na łóżku i patrzę na jej blade nagie ciało w wątłym jeszcze świetle.

- Nie lubisz mnie?

Nie odpowiadam, nie mogę.

Podnosi się, wstaje z łóżka i wychyla się przez okno. W tym cieniu jej ciała, w zarysie twarzy widzę coś rozdzierającego.

- Dlaczego mnie nie wzięłaś? - W jej głosie słychać ból, słychać, że się zadręcza.

Cóż mogę na to powiedzieć?

- Miałaś oczywiście mnóstwo doświadczeń.

- Wcale nie! - Siadam.

- Nie zbliżaj się! - powstrzymuje mnie; jest oburzona, ubiera się.

Z ulicy dobiegają odgłosy kroków, chłopcy już śpieszą na targ.

- Nie uczepiłabym się ciebie - mówi, czesząc się przed lustrem.

Chcę powiedzieć, że się boję; boję się sprowadzić na nią nieszczęście, boję się, że znajdzie w ciąży, że ktoś ją pobije. Wiem, co za skutki w małym powiatowym miasteczku powoduje przerwanie ciąży przez niezamężną kobietę; chcę powiedzieć:

-Ja...

-Nic nie mów, słuchaj. Wiem, czego się boisz. Szybko znalazłabym kogoś, za kogo bym wyszła, nie winiłabym cię.

Ciężko wzdycha.

- Chcę...

- Nie! Nie ruszaj się! Już za późno.

- Chyba powinienem dzisiaj wyjechać.

- Wiem, daleko mi do ciebie, a przy tym dobry z ciebie człowiek.

Rzeczywiście?

- Nie myślisz tylko o ciele kobiety.

Chcę powiedzieć, że to wcale nie tak.

- Nie! Nic nie mów.

Chcę mówić, lecz milczę.

Czesze się, starannie ubiera, potem przynosi mi wodę, siada na krześle i spokojnie czeka, aż się umyję i uczeszę. Jest już całkiem jasno.

Wracam do swego pokoju i zaczynam się pakować. Po chwili przychodzi. Wiem, że stoi tuż za mną, lecz nie śmiem się odwrócić. Wpierw upycham wszystko do plecaka i zasuwam zamek.

Przed wyjściem obejmuję ją. Odwraca głowę, zamyka oczy i wtula twarz w moje piersi. Próbuje ją pocałować, ale odrywa się ode mnie.

Do przystanku autobusowego jest kawał drogi. Wczesnym rankiem roi się na ulicy od ludzi śpieszących w różne strony, dokucza hałas. Idzie w pewnej odległości ode mnie, bardzo szybko. Zdawałoby się, że w ogóle się nie znamy.

Idzie ze mną aż na przystanek. Tam widzi paru znajomych, wita się z każdym i gwarzy. Wydaje się zadowolona i rozluźniona, lecz unika patrzenia w moją stronę. Ja także nie śmiem porozumiewać się z nią wzrokiem. Słyszę, że mnie przedstawia, mówi, że jestem pisarzem, który przyjechał notować pieśni ludowe. Dopiero w chwili, w której rusza autobus, patrzę jej w oczy. Ich jasność druzgoce.

Mówi, że cię nienawidzi!
 Dlaczego? Wlepiasz oczy w nóż, którym się bawi.
 Mówi, że złożyłeś do grobu jej życie.
 Mówisz, że wciąż jest młoda.
 Ale jej najlepsze lata zniszczyłeś ty, mówi, ty, ty!
 Mówisz, że może zacząć życie od nowa.
 Ty możesz, mówi, lecz dla niej już za późno.
 Nie możesz pojąć, dlaczego dla niej jest już za późno.
 Ponieważ jest kobietą.
 Kobiety i mężczyźni są tym samym.
 Bardzo to ładnie brzmi w twoich ustach. Śmieje się sarkastycznie.
 Widzisz, że z tym nożem nagle unosi się na łóżku, siada.
 Nie pozwoli ci tak łatwo odejść; mówi, że cię zabije!
 Zabójstwo jest karane śmiercią, mówisz, odsuwasz się
 i śledzisz ją z niepokojem.
 Nie mam już po co żyć, mówi.
 Pytasz, czy żyje dla ciebie, chcesz ją udobruchać.
 Nie warto żyć dla nikogo! Mierzy w ciebie nożem.
 Odłóż! Ostrzegasz ją.
 Boisz się śmierci? Znów śmieje się sarkastycznie.
 Każdy się boi. Przyznajesz, że boisz się śmierci, próbujesz ją namówić, żeby odłożyła
 nóż.
 A ona się nie boi, mówi, zaszła już tak daleko, że niczego się nie boi!
 Nie śmiesz jej rozwścieczać, lecz w tym, co mówisz, musisz zachować agresywność i ton
 przewagi, nie możesz dopuścić, żeby dostrzegła twój lęk.
 Nie ma sensu wdawać się w te wszystkie perypetie z umieraniem, mówisz, jest lepszy
 sposób, żeby skonać. Starość.
 Nie dożyjesz jej, mówi, a nóż błyska w jej rękę.
 Odsuwasz się ostrożnie i śledzisz ją kątem oka.
 Nagle wybucha głośnym śmiechem.
 Pytasz, czy oszalała.
 Jeśli tak, to przez ciebie, mówi.
 Co przeze mnie? Mówisz, że już dłużej nie możesz żyć z nią, najlepsza będzie separacja.
 Bycie razem jest dobrowolne, podobnie rozchodzenie się. Z trudem starasz się zachować
 spokój.
 To nie takie proste.
 Więc chodźmy do sądu.
 Nie.
 Niech więc obie strony się rozstaną.
 Mówi, że tak łatwo sobie nie odejdziesz, nie dopuści do tego, unosi nóż, przysuwa się.
 Podnosisz się na łóżku i siadasz naprzeciw niej.
 Ona też się podnosi, widać nagą górną połowę ciała, ciężko wiszące piersi. Rozszerzone
 źrenice. Kipi.
 Masz dosyć jej hysterii, dosyć napadów złości. Godzisz się z myślą, że odchodzisz. Nie
 chcesz jej dalej prowokować, więc mówisz, porozmawiajmy o czym innym.
 Próbujesz uciec?
 Od czego?
 Od śmierci. Drażni się z tobą i wymachuje nożem, niepewnie, jak niewprawy rzeźnik.
 Trzęsą się jej sutki.
 Mówisz, że nienawidzisz jej! Przechodzi ci to wreszcie przez zaciśnięte zęby.
 Nienawidzisz jej od dawna, ale dlaczego nie powiedziałeś tego dawno temu? Zaczyna
 krzyczeć, zraniłeś ją. Trzęsie się całe jej ciało.
 Jeszcze nie było tak źle, mówisz, nie sądziłeś, że stanie się taka odrażająca, nie znosisz
 jej całym sobą, mówisz, z ust wylewają ci się słowa okrutne, kaleczące.
 Trzeba było powiedzieć wcześniej, trzeba było powiedzieć wcześniej, wybucha płaczem,
 ostrze noża opada.

Mówisz, że przejmuję cię wstrętem wszystko, co ma z nią związek! Nie wahasz się, chcesz zranić do żywego.

Odrzuca nóż, krzyczy, trzeba było powiedzieć wcześniej, już jest za późno, za późno na cokolwiek, dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? Zawodzi histerycznie, tłucze pięściami w podłogę.

Chcesz ją pocieszyć, dodać otuchy, lecz wówczas pójdzie na marne cały wysiłek, to, co wreszcie rozwiązałaś, wszystko zacznie się od nowa, a wydostać się będzie jeszcze trudniej.

Zaczyna wrzeszczeć, tarza się nago po podłodze, obok zaś leży ten nóż.

Schylasz się, żeby go podnieść, ale łapie za ostrze. Próbujesz jej odgiąć palce, lecz tylko zaciska je mocniej.

Przetniesz sobie rękę! Krzyczysz na nią, wykręcasz jej ramię, aż wreszcie puszcza. Z dłoni cieknie czerwona krew. Chwytasz za przegub i uciskasz tętnicę. Sięga po nóż drugą ręką. Bijesz ją po twarzy, oszołomiona upuszcza nóż.

Patrzy na ciebie jak osłupiała i nagle, w rozpacz, zaczyna cichutko płakać, jak dziecko. Trudno i darmo, żal ci jej, ujmujesz zranioną rękę, ssiesz jej krew. W tym momencie, płacząc, obejmuje cię ciasno, zamyka w ramionach. Próbujesz się uwolnić, lecz objęcia zaciskają się mocniej, wtula cię w piersi.

Co robisz? Jesteś wściekły.

Chce się kochać, natychmiast! Mówi, że chce się kochać, ale już!

Z wielkim trudem odsuwasz się i mówisz, dysząc, że nie jesteś zwierzęciem!

Jesteś! Jesteś zwierzęciem! Krzyczy jak oszalała, w jej oczach lśni jakiś obcy blask.

Próbujesz ją pocieszyć, w tej samej chwili błagasz, żeby nie była taka, błagasz, żeby się uspokoiła.

Beczy, chlipie, krzyczy i mówi, że cię kocha. Ten wybuch to z miłości, boi się, że ją rzucisz.

Mówisz, że nie możesz ulegać woli kobiety, nie możesz żyć pod presją. Ona cię dławi, nie możesz być niczym niewolnikiem, nie poddasz się żadnej władzy, bez względu na taktykę, do jakiej się ktoś ucieka. Nie godzisz się podporządkować kobiecie, być jej niewolnikiem.

Mówi, że da ci wolność, póki ją kochasz i póki jej nie porzucisz, póki z nią jesteś, póki ją zaspokajasz, póki jej pragniesz. Oplata cię, całuje jak oszalała, czujesz te mokre pocałunki na twarzy, na ciele, tarza się z tobą. Wygrała, nie potrafisz się oprzeć i znów pogrążasz się w cielesnym pożądaniu, niezdolny się uwolnić.

Idę ocienioną górską drogą, na której nie widzę nikogo przed ani za sobą, dopada mnie ulewa. Wpierw to tylko deszczyk przyjemnie omywający twarz, lecz później pada coraz gęściej i w końcu muszę uciekać. Na zboczu dostrzegam wejście; przemoczony od stóp do głów pędzę do tej pieczary. Wewnątrz przy wejściu widzę wielki stos drewna porąbanego na opał. Sklepienie dość wysokie, w jednym z kątów przejście w głąb. Pada stamtąd światło. Kamienny piec stoi u szczytu paru koślawo wyrąbanych stopni, na nim żelazny garnek, światło zaś sączy się ze szczeliny nad piecem ukośnie wybiegającej ku górze.

Obracam się. Za mną stoi toporne, zbite gwoździami drewniane łóżko. Posłanie zwinięte. Na łóżku siedzi wyznawca dao i czyta książkę. Jestem zaskoczony, lecz nie śmiem przeszkadzać, więc wpatruję się tylko w szczelinę, w widoczne przez nią drżące jasnoszare pasmo deszczu. Pada tak ulewnie, że nie chcę stąd wytykać nosa.

- W porządku, możesz zostać na chwilę. - To on odzywa się pierwszy, odkładając książkę.

Ma włosy do ramion, ubrany w luźną szarą górę i szare spodnie. Wygląda na mniej więcej trzydziestkę.

- Należysz do taoistów tej góry? - pytam.

- Jeszcze nie. Rąbuję drewno na opał dla ich świątyni.

Na łóżku, okładką do góry, leży egzemplarz „Miesięcznika Literackiego”.

- To też cię interesuje? - pytam.

- Czytam dla zabicia czasu - mówi szczerze. - Jesteś zupełnie mokry. Najpierw się wysusz. - Z garnka na piecu nalewa gorącej wody do miednicy, podaje ręcznik.

Dziękuję mu, potem rozbieram się do pasa i myję; zaraz czuję się dużo lepiej.

- To naprawdę pierwszorzędne schronienie! - mówię i siadam naprzeciw niego na kłodzie drewna. - Mieszkasz w tej jaskini?

Mówi, że pochodzi z wioski u podnóża góry, lecz ma ich wszystkich dość: starszego brata z bratową, sąsiadów, wiejskich aparatczyków.

- Dla nich liczy się przede wszystkim pieniąż, myślą tylko o zysku - mówi. - Nie chcę już mieć z nimi nic wspólnego.

- Więc zarabiasz na życie rąbaniem drewna?

- Wyrzekłem się świata niemal rok temu, lecz jeszcze nie przyjęto mnie formalnie.

- Dlaczego?

- Starzec przewodzący tu taoistom pragnie się przekonać, czy jestem szczerzy, czy nie odmieni się moje serce.

- Więc może cię przyjąć?

- Może.

Widać, że wierzy mocno i mówi otwarcie.

- Nie nudzi cię życie w tej jaskini, w ciągłej samotności? -wypytuje, zerkając na magazyn.

- Tu jest spokojniej niż w wiosce, ciszej - odpowiada łagodnie, nieświadomy, że próbuję go sprowokować. - Zresztą codziennie studiuję - dodaje.

- Mogę zapytać, co studiujesz?

Wyciąga spod posłania egzemplarz staroświeckich, wykonanych techniką odbitek z kamienia *Codziennych nauk taoisty*.

- Czytałem trochę prozy, bo w takie deszczowe dni nie mogę pracować - wyjaśnia, widząc, że przyglądam się czasopismu na łóżku.

- Czy te opowiadania jakoś wpływają na twoje studia? - staram się zaspokoić ciekawość.

- Cóż, wszystkie odnoszą się do zwykłych zależności między kobietami i mężczyznami. - Odpowiedzi towarzyszy lekceważący śmieszek. Mówi, że chodził do liceum, trochę studiował literaturę, książki czyta, kiedy nie ma nic do roboty. - Do tego właściwie sprowadza się ludzkie życie.

Nie potrafię dalej wypytywać, czy miał kiedyś żonę, nie potrafię pytać o troski prywatne kogoś, kto wyrzekł się świata. Ulewa jest monotonna, lecz koi.

Nie chcę mu już przeszkadzać. Siedzę tam z nim, pogrążony przez dłuższy czas w medytacji; szum deszczu niesie zapomnienie.

Nawet nie dostrzegam, że przestało padać, lecz kiedy już to widzę, wstaję, dziękuję, żegnam się.

- Nie dziękuj - mówi - to los.

Dzieje się to na górze Qingcheng.

W jakiś czas potem przed starą kamienną pagodą na wyspie na rzece Ou spotykam mnicha z ogoloną głową, w purpurowej szacie. Składa dłonie, potem klęka i dotyka czołem ziemi przed pagodą. Wokół tłoczą się zwiedzający, patrzą. Mnich niespiesznie kończy adorację, zdejmuje szatę, wkłada do czarnej torby ze skaju, bierze parasol z zakrzywioną rączką, służący po złożeniu za laskę, odwraca się i odchodzi. Idę za nim, a potem, już z dala od tłumu turystów, którzy gapili się na jego modlitwę, podchodzę i pytam:

- Czcigodny mistrzu, czy zechcesz przyjąć zaproszenie i wypić ze mną herbatę? Pragnę zasięgnąć twej rady w sprawie nauki buddyjskiej.

Po chwili namysłu zgadza się.

Baczny, o szczupłej twarzy, wygląda na pięćdziesiątkę. W spodniach, których nogawki przewiązane są na łydkach, kroczy tak żwawo, że muszę niemal biec, żeby nadążyć.

- Czcigodny Mistrz zapewne wyrusza w daleką podróż -mówię.

- Idę do Jiangxi odwiedzić paru starych mnichów, później muszę dotrzeć w kilka innych miejsc.

- Ja także jestem samotnym podróżnym. Ale nie takim jak Czcigodny Mistrz, niezłomnej szczerości, ze świętym celem w sercu. - Muszę znaleźć jakiś wątek rozmowy.

- Prawdziwy podróżny nie zna celu; brak celów czyni prawdziwym podróżnym.

- Czy pochodzisz z tych stron, Czcigodny Mistrzu? Czy twą podróżą żegnasz się z rodzinną wioską? Czy też zamierzasz powrócić?

- Dla kogoś, kto wyrzekł się świata, cała ta ziemia jest domem, nie istnieje dlań miejsce zwane rodzinną wioską.

Na to nic nie potrafię odrzec. Zapraszam go przed stragan z herbatą w parku, znajdujemy cichy kątek, siadamy. Pytam o jego buddyjskie imię, mówię, jak się nazywam, lecz później trochę się waham.

To on odzywa się pierwszy:

- Pytaj. Po prostu mów, czego chcesz się dowiedzieć. Nie ma rzeczy, o których nie może mówić ktoś, kto się wyrzekł świata.

Wówczas wyrzywa mi się:

- Może wolno zapytać, Czcigodny Mistrzu, dlaczego wyrzekłeś się świata?

Uśmiecha się, dmucha na listki pływające na powierzchni herbaty i upija łyk. Wpatrując się we mnie, powiada:

- Zdaje się, że podróż, którą odbywasz, nie należy do zwykłych, może więc masz jakieś zadanie do wykonania?

- Nie prowadzę żadnych badań; natomiast ogarnął mnie podziw na widok osoby Czcigodnego Mistrza, tak pełnej pokoju. Nie mam szczególnego celu, lecz wciąż nie potrafię się tego wyrzec.

- Czego? - Z jego twarzy nie schodzi uśmiech.

- Wyrzec się świata ludzi - mówię, a potem obaj wybuchamy śmiechem.

- Żeby wyrzec się świata, wystarczy to wyrzec. - Oto prosta odpowiedź.

- Z całą pewnością - kiwam głową - lecz chciałbym wiedzieć, jak to było, że zdołał się go wyrzec Czcigodny Mistrz.

Bez zahamowań opowiada o swych przejściach.

Jako szesnastolatek, jeszcze licealista, uciekł z domu, przystał do rewolucji i przez rok walczył w partyzantce w górach. W wieku lat siedemnastu wkroczył z wojskiem do miasta, gdzie powierzono mu kierowanie bankiem. Mógł zostać przywódcą partyjnym, lecz nie porzucił zamiaru studiowania medycyny. Zrobił dyplom i skierowano go do pracy w miejskim wydziale zdrowia, mimo że chciał w istocie pracować jako lekarz. Pewnego dnia naraził się sekretarzowi szpitalnej organizacji partyjnej, wyrzucono go z partii, uznano za element prawicowy i zesłano na wieś do pracy na roli. Dopiero kiedy zbudowano w wiosce szpital, przepracował w nim parę lat jako lekarz. Poślubił wówczas dziewczynę ze wsi, urodziło im się troje dzieci, jedno za drugim. Tak się jednak złożyło, że chciał się nawrócić na katolicyzm; kiedy usłyszał, że do Kantonu przybył watykański kardynał, wybrał się tam w podróż, żeby zapytać kardynała o sprawy wiary. Skończyło się zaś w ten sposób, że kardynała nie zobaczył, zaczęto go natomiast podejrzewać o utrzymywanie nielegalnych kontaktów z cudzoziemcami. Za popełnienie tej zbrodni wyrzucono go z gminnego szpitala, zatem, jeśli chciał jeść, mógł zrobić tylko jedno: samodzielnie przestudiować medycynę tradycyjną i przystać do włóczęgów. Wówczas któregoś dnia uświadomił sobie nagle, że

katolicki Bóg jest daleko, na Zachodzie, nieosiągalny, on zaś równie dobrze może zaufać przecież Buddzie. Odtąd wyrzekł się świata i został mnichem. Na koniec powieści wybucha głośnym śmiechem.

- Czy jeszcze myślisz o swej rodzinie? - pytam.
- Potrafią się wyżywić.
- Czy już przestała ci doskwierać tkliwość, gdy o nich myślisz?
- Ci, którzy wyrzekli się świata, nie znają tkliwości ani nienawiści.
- Lecz może oni cię nienawidzą?

Mówi, że nigdy nie miał ochoty pytać o nich, lecz wiele lat po wstąpieniu do klasztoru odwiedził go tam najstarszy syn; dowiedział się od syna, że jego samego oczyszczono z zarzutu prawicowości oraz utrzymywania nielegalnych kontaktów z cudzoziemcami. Jeżeli wróci, zostanie potraktowany jak przystało na członka partyjnej starszyny i weterana walk rewolucyjnych, zostanie przywrócony na poprzednie stanowisko, otrzyma też znaczną sumę tytułem należnych, nie wypłaconych poborów. Odrzekł, że nie potrzebuje pieniędzy, żona i dzieci mogą się nimi podzielić. Żonie i dzieciom nie stanie się krzywda, mogą tę okoliczność potraktować jako zadośćuczynienie za jego poświęcenie się wierze buddyjskiej. Natomiast nie powinni już go odwiedzać. Później zaczął wędrować i rodzina nie potrafi teraz wywieść się o miejscu jego pobytu.

- Żeby utrzymać się w drodze, musisz liczyć na datki?

Mówi, że ludzie nie są dziś wielkoduszni. Prosić o datki to gorzej, niż żebrać; kto prosi o jałmużnę, nic nie dostanie. Utrzymuje się przede wszystkim z praktyki, jako wędrowny lekarz. Kiedy zaś leczy, ubiera się w zwykłe odzienie, nie chce bowiem wystawiać na szwank wyobrażeń o buddyźmie.

- Czy buddyzm pozwala na taką giętkość? - pytam.

- Buddę nosi się w sercu. - Ma pogodną, spokojną twarz; nie wątpię, że zdołał się wyzwolić od niepokojów zagnieżdżonych na dnie serca. Wybiera się w daleką podróż, bardzo szczęśliwy.

Pytam, jak wyszukuje w drodze noclegi. Mówi, że tam, gdzie są świątynie i klasztory, wystarczy pokazać zaświadczenie zakonne, a zazna się gościny. Lecz dzisiaj wszędzie sprawy stoją źle. Iych niewielu już mnichów pracuje, żeby jeść i się ubrać; na ogół dłuższy pobyt nie wchodzi w *grę*, nikt nie zapewni wsparcia. Tylko wielkie świątynie i wielkie klasztory otrzymują jakieś rządowe subsydia, ale to sumy znikome; nie chce być dla tych ludzi dodatkowym ciężarem, to jasne. Jest podróżnikiem, mówi, wszedł już na wiele sławnych gór. Sądzi, że dopisuje mu zdrowie, wciąż może przemaszerować w podróży dziesięć tysięcy *li*.

- Czy mógłbym zobaczyć twoje zaświadczenie zakonne? - Chyba działa ono lepiej niż moje papiery.

- Nie jest dokumentem poufnym, buddyzm nie ma przed nikim tajemnic, jest otwarty.

Z kieszeni na piersiach wyciąga duży arkusz złożonego satynowanego papieru, w górnej części widnieje wydrukowany tuszem Budda; siedzi na skrzyżowanych nogach na tronie lotosowym. Jest też wielka kwadratowa cynobrowa pieczęć, obok buddyjskiego imienia zakonnego, tytułów akademickich i obecnego stopnia zakonnego. Został przełożonymi, ma prawo głosić nauki o sutrach oraz przewodniczyć ceremoniom religijnym.

- Może kiedyś pójde w twe ślady. - Nie wiem, czy mówię to żartem czy serio.

- W tej mierze zależymy od przeznaczenia. - Odpowiada najzupełniej poważnie. Wstaje, składa przed sobą dłonie i żegna mnie.

Odchodzi bardzo szybkim krokiem, idę przez chwilę za nim, lecz nagle znika w tłumie turystów. Jasno zdaję sobie sprawę, że wciąż zakorzeniony jestem w świecie powszednim.

Później, czytając napisy na pagodzie z relikwiami zbudowanej u stóp góry Tiantai przed świątynią Guoajing w czasach dynastii Sui, podsłuchałem nagle rozmowę.

- Najlepiej będzie, jeżeli wrócisz ze mną - mówi męski głos z tamtej strony ceglaneanego muru.

- Nie, powinienes teraz odejść. - Ten głos, również męski, brzmi trochę mocniej.

- Nie chodzi o mnie, pomyśl o matce.

- Powiedz jej, że mam się doskonale.

- To twoja matka prosiła, żebym tu przyszedł; jest chora.

- Co jej dolega?

- Wciąż skarży się na bóle w piersiach.

Syn nie odpowiada.

- Kazała przynieść ci buty.

- Mam buty.
- To buty sportowe, do koszykówki, chciałeś mieć takie.
- Po co je kupiliście? Są bardzo drogie.
- Przymierz.
- Teraz nie gram w koszykówkę, nic mi po nich. Najlepiej, jeśli je zabierzesz, tu nikt ich nie będzie nosił.

Wczesny ranek, radośnie śpiewają leśne ptaki. Na tle świergotania licznych wróbli odzywa się drozd, solo, lecz zasłaniają go liście pobliskiego miłorzębu, więc nie mogę dostrzec gałęzi, na której siedzi. Później zjawia się kilka wrzaskliwych srok. Pod ceglana pagoda zapada długie milczenie; przekonany, że ci dwaj odeszli, obchodzę świątynię i oto widzę młodzieńca zapatrzony w śpiewające ptactwo; ma lśniącą ogoloną głowę z czarnym zarostem, jeszcze bez śladów inicjacji wypalanych trocizką. Nosi krótką mnisią kurtę, przystojna twarz różni się cerą od tych ziemistożółtych twarzy mnichów, wieloletnich wegetarian. Młody ojciec, chłop, trzyma nowe koszykarskie buty na białych zelówkach, z czerwonymi i niebieskimi paskami na przyszwie; właśnie wyjął je z pudełka. Ciężko dyszy. Przypuszczam, że ojciec naciska, żeby syn się ożenił; zastanawiam się, czy młody człowiek złoży śluby.

Chcesz, żeby usłyszała historię z czasów dynastii Jin, opowieść *bij i* o możliwym Wielkim Marszałku i żebrzącej mniszce, która przychodzi do rezydencji Wielkiego Marszałka po datek. Zgodnie z ceremoniałem strażnicy powiadamią ochmistrza, ów daje mniszce sznur pieniędzy, ona wszakże odmawia przyjęcia, oświadcza, że chce zobaczyć dawcę jałmużny. Ochmistrz powiadamia majordoma, ten każe słudze sięgnąć po sztabkę srebra, dać mniszce i odprawić ją na dobre. Lecz mniszka znowu odmawia; koniecznie chce zobaczyć Wielkiego Marszałka, mówi, że grożą mu kłopoty, ona zaś przyszła tu po to, żeby pomóc. Majordomowi nie pozostaje nic innego, jak zameldować o wszystkim Wielkiemu Marszałkowi, ten zaś każe prowadzić mniszkę do sali przedniej.

Wielki Marszałek widzi, że mniszka, okryta wprawdzie kurzem i warstwą brudu, ma rysy subtelne i wcale nie przypomina wulgarnych typów, udających pobożność a skorych do sztuczek. Pyta, dlaczego przyszła. Mniszka składa dłonie w geście powitania, potem się cofa. Odpowiada: Od dawna słyszałam o niezwykłej szczodrośliwości Wielkiego Marszałka, zatem specjalnie przyszłam tu z dala, żeby odbyć post trwający siedemkroć po siedemkroć, czyli czterdzieści dziewięć dni, za zmarłą matkę Wielkiego Marszałka i modlić się jednocześnie do bodhisattwów, żeby sprowadzili pomyślność, a oddalili niepomyślność. Wówczas Wielki Marszałek rozkazuje majordomowi przygotować na dworze pokój, w przedniej zaś sali służący mają postawić stół z kadzidłami.

A później dzień w dzień od rana do wieczora słyhać nieprzerwanie kołatkę. Wielkiego Marszałka zaczyna przenikać spokój, z upływem dni odnosi się do mniszki z coraz większym szacunkiem. Jednak do popołudniowej zmiany kadzideł mniszka nie chce wyjść żadną miarą bez kąpieli, ta zaś trwa zawsze dwie godziny. Wielkiego Marszałka zaczyna to zastanawiać; wszak mniszki gołą głowę, więc w przeciwieństwie do zwykłych kobiet nie zabiera im czasu czesanie ani makijaż. Kąpiel to tylko rytuał, służy oczyszczeniu serca przed zmianą trociczek, zatem dlaczego trwa tak długo? Podczas kąpieli wciąż słyhać plusk; może mniszka tylko mać wodę, nie kąpie się naprawdę? Wielkiego Marszałka zaczynają dręczyć wątpliwości.

Pewnego razu milknie kołatka i zaraz potem rozlega się pluskanie; krocący dziedzińcem Wielki Marszałek już wie, że wkrótce mniszka zmieni trociczki, wchodzi więc do sali, żeby czekać. Pluskanie przybiera na sile, nie ustaje nawet po dłuższym czasie. Górę biorą podejrzenia i oto niewiele się zastanawiając, Wielki Marszałek schodzi ze schodów, żeby przejść koło drzwi jej pokoju. Są niedomknięte, więc zerka przez szparę. Mniszka, zrzucając z siebie ubranie, siedzi w wannie na skrzyżowanych nogach, zwrócona twarzą do drzwi, w złożone dłonie nabiera wody, obmywa się. Ma promienną, całkowicie przeobrażoną twarz; ma białe zęby, różowe policzki, jaszczurkowatą szyję, gładkie barki i pełne ramiona - prawdziwa piękność. Wielki Marszałek oddala się śpiesznie, wraca do sali, próbuje zebrać myśli...

Z pokoju mniszki dobiega jednak ten plusk wody, kusi, żeby jeszcze raz zerknąć, zatem Wielki Marszałek znowu idzie korytarzem, zakrada się pod drzwi. Z zapartym tchem znowu podchodzi do szpary i widzi, jak mniszka rozpostartymi delikatnymi palcami trze piersi, pełne i białe jak śnieg, a każda przyozdobiona pękiem kwiatu wiśni. Mokre ciało unosi się, widać linię życia biegnącą od pępka w dół. Wielki Marszałek pada na kolana jak porażony. I oto widzi, że te białe ręce w wannie sięgają po nożyczki, wbijają je głęboko w pępek, a z pępka tryska zaraz jasnoczerwona krew. Wielkiego Marszałka ogarnia przerażenie, lecz nie waży się działać pochopnie. Zamyka oczy, nie może patrzeć.

Upływa chwila i znowu słyhać plusk wody. Marszałek otwiera oczy i widzi, że mniszka z ogoloną głową spływa krwią. Ruchliwe ręce uwijają się śpiesznie; mniszka wyciąga sobie wnętrzości i kładzie do wanny!

Wielki Marszałek pochodzi ze znamienitej generalskiej rodziny, wydał niejedną bitwę, zatem nie mdleje. Bierze głęboki oddech i postanawia przyjrzeć się dokładnie. Teraz twarz mniszki zbladła, wyzbyła się rumieńca, powieki opadły, skleiły się rzęsy, zbielewały wargi drżą, jakby jęczała, lecz słyhać wciąż to samo, plusk wody.

Bierze w te zakrwawione ręce wnętrzości, odcinek za odcinkiem, myje i odwija, potem okręca wokół przegubów. Długo to trwa. Wreszcie kończy mycie, zgrabnie zgarnia wnętrzości i z powrotem wpycha do brzucha. Później obmywa czerpakiem ramiona, pierś, podbrzusze, sięga między nogi, wreszcie myje nogi, stopy, oddzielnie każdy palec. W końcu

znów jest nienaruszona. Wielki Marszałek szybko podnosi się, idzie po schodach do sali i czeka tam na nią, stojąc.

Wkrótce otwierają się drzwi i mniszka w długiej szacie, z paciorkami modlitewnymi, zjawia się w sali właśnie w chwili, w której dopalają się kadzidła w podstawkach. Kiedy rozwiewa się czarny dym po każdej trociczce, mniszka nieśpiesznie wymieniają na nową.

Wielki Marszałek ma wrażenie, że budzi się ze snu; zdumiony, nie umie powstrzymać się od pytań. Mniszka odpowiada, nieporuszona: Jeżeli, panie, myślisz o zagarnięciu władzy w państwie, to sytuacja tak właśnie będzie się przedstawiać. Usłyszawszy to, ambitny Wielki Marszałek, który rzeczywiście zamierzał zagarnąć władzę w państwie, czuje zawód, trudno i darmo, lecz już nie waży się na bezprawne działanie.

Ta opowieść jest ostrzeżeniem politycznym.

Mówisz, że jeśli zmienić zakończenie, może się ona stać przypowieścią moralizatorską, przestrzegającą ludzi przed rozpustą i żądzą.

Można tę historię zamienić też w przypowieść religijną, skłaniającą do nawracania się na buddyzm.

Owa historia może też służyć jako parabola na użytek społeczny - może uczyć, że wyższy moralnie będzie taki człowiek, który codziennie zbada własne postępowanie, albo że życie ludzkie jest cierpieniem, albo że cierpienie pochodzi z wnętrza nas samych. Z tej historii można też wysnuć liczne inne ciekawe i złożone teorie. Wszystko zależy od tego, jak ją opowie opowiadający.

Wielki Marszałek, bohater przypowieści, ma imię i nazwisko, można więc przeprowadzić mnóstwo analiz tekstu, przebadać historyczne zapisy i stare księgi. Jeżeli jednak nie jesteś historykiem, nie masz aspiracji politycznych, a także nie pragniesz być znawcą buddyzmu ani głosić nauk religijnych, jeżeli nie chcesz stać się wzorem cnót, to wówczas przemawia do ciebie wspaniała czystość tej opowieści. Okazują się zbędne wszelkie wyjaśnienia; po prostu chciałeś ją opowiedzieć na nowo, żywym słowem.

Przed sklepem z różnymi drobiazgami przy starej ulicy tego powiatowego miasta rozłożył stragan z kaligrafia: parę desek wspartych na dwóch drewnianych ławkach. U desek uwiesił paski błyszczącego czerwonego papieru z dwuwierszami przynoszącymi szczęście. „Smok i feniks zsyłają pomyślność. W dom zawitają weselni goście”, „Przez te drzwi ku radosnym zdarzeniom. Spod stóp kielkuje srebro”, „Interes kwitnie po cztery morza. Zamożność sięga trzech rzek” - to stare przysłowia, przez lata zastępowane rewolucyjnymi sloganami i cytatai. Są także dwa paski z maksymą „Kogo spotkasz, śmieję się, a będziesz szczęśliwy. W jakie popadniesz kłopoty, gwizdź na nie, pech pierzchnie”, którą może sam wymyślił, a może wywiódł z doświadczeń nagromadzonych przez przodków rozgryzających, jak sobie radzić w społeczeństwie. Ten dwuwiersz został wykaligrafowany kunsztownie, kształtnymi znakami, jak na talizmanach taoistów.

Siedzi za deskami, stary, w staroświeckiej kurtce zapinanej z przodu po sam dół; zabawnie wygląda w spłowiełej czapce wojskowej zsuniętej na czubek głowy. Widzę kompas Ośmiu Trygramów, służący mu za przycisk do papieru, i podchodzę pogadać.

- Czcigodny starcze, jak idą interesy?

- Świetnie.

- Ile kosztuje zestaw znaków?

- Są za dwa yuany, są za trzy; im więcej znaków, tym zestaw droższy.

- A znak szczęścia?

- Kosztowałby yuana.

- To tylko jeden znak, prawda?

- Musiałbym go panu namalować na miejscu.

- A gdyby narysować talizman, który odpędza nieszczęścia i strzeże od zła?

Patrzy na mnie i mówi:

- Tego się nie da zrobić.

- Dlaczego?

- Pan jest z władzy, pewnie pan wie.

- Nie jestem z władzy - mówię.

- Ale żywi pana państwo - stwierdza dobitnie.

- Czcigodny starcze - zaczynam, chcę go zjednać - czy jesteś kapłanem dao?

- Dawno już z tym zerwałem.

- Jasne - mówię. - Czcigodny starcze, chodzi mi o to, czy umiesz odprawiać taoistyczne rytuały?

- Umiem. Ale rząd nie zezwala na uprawianie zabobonnych praktyk.

- Nikt cię o to nie prosi. Zbieram muzykę do prastarych świętych tekstów; czy mógłbyś któryś z nich zaśpiewać? Stowarzyszenie Taoistów z Góry Qingcheng zarejestrowano na nowo, znów działa, więc czego się lękasz?

- To wielka świątynia, a nam, taoistom, nie wolno uprawiać praktyk.

- Szukam takich taoistów jak ty, z ludu. - Coraz bardziej mnie zaciekawia. - Czy mógłbyś mi zaśpiewać kilka melodii? Na przykład święte teksty taoistycznych uroczystości żałobnych?

Śpiewa parę fraz, lecz nagle przerywa i mówi:

- Duchom i zjawom lepiej się nie naprzykrzać bez powodu, a zapraszając, trzeba zapalić kadzidło.

Śpiew sprawia, że gromadzi się tłumek, ktoś wykrzykuje:

- Hej, stary, a teraz coś pieprzonego!

Tłumek rechoce.

- Może jednak zaśpiewam miłosną piosenkę z gór - mówi dobrodusznie starzec; dowodzi, że nie brak mu śmiałości.

Tłumek krzyczy:

- Zuch! Zuch!

Staremu nagle wyrzywa się z piersi głośny śpiew.

Na górze dziewczę zbiera herbatę

Na dole twój młodzian zbiera chrust

Na górze wlatują spłoszone kaczki

Na dole wlatują spłoszone kaczki

Twój młodzian rychło pojmie za żonę to dziewczę.

Tłumek pokrzykuje z uznaniem, potem nalega:

- A teraz coś pieprznego!

- No, stary, chociaż raz!

Sprzedawca kaligrafii wzrusza ramionami, potem macha ręką do tłumu.

- Nie, nie. To wbrew przepisom.

- Wszystko w porządku, człowieku, daj spokój, śpiewaj! - głośno nalega tłumek, tarasuje uliczkę, zniecierpliwieni rowerzyści dzwonią.

- Ale to wy mnie namówiliście! - Stary wstaje, podbechtany przez gromadę.

- Zaśpiewaj: *Koniomalp w mycce lezie do panińskiej sypialni!*

Tłum podchwytuje podpowiedziany tytuł, wrzeszczy, zaczyna klaskać.

Stary ociera usta, już ma zacząć, ale w ostatniej chwili mówi nagle ściszym głosem:

- Milicja!

Ludzie odwracają się; za głowami gromadki przepływa wielka czapka ze wstążką, białą z czerwonym rabkiem.

- No i co z tego? - wykrzykują ludzie.

- Komu przeszkadza trochę rozrywki?

- Czyżby milicja pilnowała aż tylu rzeczy?

- Łatwo wam mówić, wy się zaraz rozbiegniecie i po sprawie, aleja? Czy pozwolą mi jeszcze handlować? - Stary siada, ani myśli ulec tłumowi.

Zbliża się milicjant, wyrzekający tłumek pierzcha. Po odejściu milicjanta mówi:

- Czcigodny starcze, czy mogę zaprosić cię do swej kwatery, żebyś zaśpiewał kilka pieśni? Czy mógłbym też zaprosić cię na nieco jadła i trunku, kiedy już zamkniesz dziś stragan?

Stary jeszcze nie ochłonał, wciąż jest wzburzony, zaproszenie przyjmuje natychmiast.

- Dobrze! Zaraz zamykam, pakuję rzeczy, tylko poczekaj chwilę, aż oddam deski.

- Przeszkadzam ci zarabiać. - Niech wie, że czuję się przez to niezręcznie.

- Nie ma sprawy, zyskuję przyjaciela. To nie kaligrafia mnie karmi. Skoro już jadę do miasta, sprzedaję parę rzeczy, bo zawsze się przyda trochę gotówki ekstra. Ale gdybym liczył na kaligrafię, że dzięki niej się najem, chyba umarłbym z głodu, co?

Do restauracji wystarczy przejść ulicę na ukos; zamawiam trochę jedzenia, coś do picia. Wkrótce pojawia się stary z koszami na nosilkach.

Przynoszą ciepłe danie, jemy i rozmawiamy. Mówi, że jego ojciec, jak przyrzekł w chorobie, wysłał go, dziesięcioletniego, do klasztoru taoistów do posługi przy piecu i w kuchni. Wciąż może recytować teksty z podręcznika *Codziennie nauki taoisty*, z którego pomocą oświecał go stary kapłan. Kiedy ów zmarł, to jemu przypadło zarządzać klasztorem, więc zna wszystkie taoistyczne rytuały. Później, kiedy podczas reformy rolnej rozparcelowano ziemię, nie mógł już dłużej pełnić funkcji kapłana dao; władze kazały mu wracać do rodzinnej wioski, gdzie znów pracował jak chłop. Pytam o yin i yang, o geomancję, o technikę obliczania na palcach, o styl walki, fizjonomikę i wróżenie z kości twarzy. Objasnia to wszystko z taką swadą, że jestem oszołomiony. Jednak chłopci zapelniający restaurację hałasują co się zowie. Na dzisiaj skończyli z handlem, zarobili co nieco; teraz piją, oddają się biesiadnym grom i głośno krzyczą. Mówię, że mam w plecaku magnetofon. To, co opowiada, to cenny materiał; zapraszam na kwatere, kiedy już zjemy, niech coś nagra, zaśpiewa, tam będzie ciszej.

- Weź trochę wina - mówi - wypić możemy u mnie, mam w domu taoistyczną szatę i akcesoria.

- Masz obrzędowy miecz do odpędzania demonów?

- Bez niego ani rusz.

- A masz tabliczkę rozkazów, żeby rozstawić duchy i wyprawić dowódców?

- Mam też gongi, bębny i inne przedmioty nieodzowne w obrzędach taoistycznych.

Urządzą ci pokaz.

- Znakomicie! - Uderzam dłonią w stół, wstaję i wychodzę wraz z nim. - Masz dom w mieście? - pytam.

- To niedaleko, tylko zostawię u kogoś nosilki, tymczasem idź na przystanek autobusu i czekaj.

W niespełna dziesięć minut zjawia się; pędzi, wskazuje autobus, który zaraz ruszy, każe natychmiast wsiadać. Nie spodziewałem się, że wóz przejedzie całą drogę bez zatrzymania; patrzę przez okno, jak za górami dogasa z wolna słoneczny blask. Autobus zajeżdża na

koniec trasy, do miasteczka odległego o dwadzieścia kilometrów od powiatowego, zaraz zawraca i odjeżdża. Ostatni kurs.

Miasteczko przecina tylko jedna uliczka długości może pięćdziesięciu metrów; nie wiem, czy jest tu jakiś hotel. Każe mi chwilę czekać i wchodzi do jednego z domów. Myślę, że skoro już tu jestem, właściwie mogę odetchnąć; trafić na człowieka nastawionego tak entuzjastycznie to uśmiech losu. Wychodzi z domu, oburącz niesie miednicę w połowie napełnioną tofu; każe mi iść za sobą.

Z miasteczka wybiega polna droga. Jest już ciemno.

- Masz dom w pobliżu wioski?

- To niedaleko, niedaleko.

Stopniowo nikną przydrożne zabudowania wiejskie, już ich nie widać, zapada noc, a z pól ryżowych dobiega rechot żab. Ogarnia mnie niepokój, lecz czułbym się niezręcznie, pytając za wiele. Z tyłu słyszę nagle dudnienie silnika, sunie na nas buldożer. Mój towarzysz natychmiast woła, ni to biegnąć, ni skacząc, ściga maszynę i wreszcie dopada; w ślad za starym wskakuje do czerpaka. Na polnej drodze przez całych dziesięć li podskakujemy w tym czerpaku jak suszone sojowe ziarna na sicie. Jest już całkiem ciemno, jeśli nie liczyć żółtego strumienia światła, dzięki któremu buldożer wygląda jak jednooki smok; ów strumień oświetla wyboistą drogę na jakieś dwadzieścia kroków; w pobliżu nikogo nie ma. Stary gada bez przerwy w miejscowym dialekcie z operatorem maszyny, a ściślej: przekrzykują się. Nic nie rozumiem, ani zdania, mogę się tylko wsłuchiwać w dudnienie silnika. Jeżeli zastanawiają się właśnie, jak mnie zarżnąć i poćwiartować, mogę się tylko pogodzić z losem.

Wreszcie droga się kończy, obok nie oświetlonego domu - tu mieszka operator buldożera. Stary otwiera drzwi i daje operatorowi parę solidnych kawałów sera. Idę dalej za starym, w mroku wyczuwam, że ścieżynka wije się między polami ryżowymi.

- Wciąż jeszcze daleko? - pytam.

- Nie, niedaleko - powtarza starą śpiewkę.

Na szczęście idzie przodem; musi odstawić miednicę z to-fu, żeby wykonać ćwiczenia oddechowe. Wiem, że ci starzy taoiści są biegli w sztukach walki; gdybym zaś odwrócił się i uciekł, wpadłbym pewnie na pole ryżowe i utonął w błocie. Żabi rechot rzadnie, światło odbite od tarasowych pól wyjawia, że wchodzimy na górę. Próbuje myśleć o rzeczach, o których możemy rozmawiać; pytam o żniwa, o trudy uprawiania pól. Mówi bez ogródek, jeżeli ktoś się zda na uprawę ryżu, niech nie zaprzęta sobie głowy nadzieją na dorobienie się. Wydał w tym roku trzy tysiące yuanów i przerobił dwa mu pól ryżowych na staw rybny. Pytam, czy hoduje żółwie skórzaste, mówię, że w miastach stały się modnym daniem; jedni twierdzą, że chronią przed rakiem, inni, że podsycają męską krzepę. Sporo się za nie płaci. Mówi, że wpuścił do stawu tylko narybek, jeżeli teraz wpuści żółwie, to może zeżrą ryby? Ma trochę gotówki, mówi, ale trudno o drewno; z siedmiu synów tylko najstarszy jest żonaty, pozostałych sześciu czeka; wpierw pobudują domy, żeby każdy był na swoim. A wtedy on będzie mógł odpocząć, położyć się, zachwycać pięknem nocy, patrzeć w niebo i w gwiazdy.

W szarym, posępnym cieniu góry widać skupisko migocących świateł. Mówi, że właśnie tam zmierzamy.

- Prawda, że niedaleko?

Myślę, że na wsi ludzie mają własne poczucie odległości.

O dziesiątej wieczorem docieramy w końcu do górskiej wioski. W sieni domu palą się trociczki, okadzają liczne drewniane i kamienne rzeźby. Wszystkie nadłamane lub uszkodzone; stary zapewne uratował je przed laty z taoistycznej świątyni, kiedy zwalczano „cztery relikty”, burząc świątynie i klasztory. Teraz trzyma je tutaj na widoku, na krokwiach powiesił taoistyczne talizmany. Na powitanie wychodzi sześciu synów, najstarszy osiemnasto-, najmłodszy ledwie jedenastoletni, brak tylko najstarszego, żonatego. Drobną kobiecina to żona starego, jego matka mimo osiemdziesiątki wciąż jest zwinna. Zona z synami uwijają się przez chwilę i oto staje się nagle honorowym gościem. Przynoszą mi gorącą wodę do mycia twarzy, mogę też umyć nogi, dostają sukienne pantofle starego, potem podają mi kubek mocnej herbaty.

Wkrótce sześciu synów wnosi gongi, bębny, krotale, także duży i mały dzwon, wiszące na drewnianych ramach. I oto zniemacka grzmą wszystkie bębny, a stary zstępuje po schodach. Włożył porwaną starą purpurową szatę taoistyczną, ozdobioną znakami yin i yang, ryby i Ośmiu Trygramów, niesie tabliczkę rozkazów, obrzędowy miecz i róg bawoli. Teraz wygląda inaczej, majestatycznie, kroczy nieśpiesznie, rytmicznie. Zapala kadzidło i składa pokłon przed ołtarzem w sieni. W drzwiach już tłoczą się mężczyźni, kobiety i dzieci z wioski,

zaskoczeni loskotem bębnow i gongów. Natychmiast rozpoczyna się żywiołowy obrzęd taoistyczny. Stary nie zwodził.

Wpierw bierze misę czystego płynu i w takt śpiewnej recytacji skrapia cztery kąty domu. Potem skrapia stopy ludzi stłoczonych w drzwiach; wszyscy ryczą ze śmiechu.

On pozostaje niewzruszony; przymknął oczy, rozchylił usta, twarz poważna, jakby porozumiewał się już z duchami. Na to tłumek śmieje się jeszcze głośnie. Nagle stary wstrząsa rękawem szaty i smaga tabliczkę rozkazów na stole. Śmiech natychmiast milknie. Stary odwraca się i mówi wprost do mnie:

- Śpiewa się takie teksty: *Dayounian Ge, Pieśń Dziewięciu Gwiazd Powodzenia i Niepowodzenia, Pieśń synów i wnuków, Pieśń przeistoczenia, Śpiewy Czterech Gwiazd Złowieszczych, Niebo wyznacza bogów drzewi, Słowa ku pożytkowi tych, którzy składają ofiarę bogu ziemi, Wywoływanie Ducha Wielkiej Niedźwiedzicy*. Czego chciałbyś posłuchać?

- Zaśpiewaj, proszę, *Wywoływanie Ducha Wielkiej Niedźwiedzicy* - mówię.

- Ta pieśń chroni małe dzieci, odpędza od nich chorobę i nieszczęścia. Kto z was, malców, wypowie swe imię i dzień urodzin?

Ktoś podsuwa:

- Niech wyjdzie Mały Piesek.

-Nie.

Chłopczyk siedzący na progu zrywa się, odwraca, chce szybko się przepchnąć, wydostać. Wszyscy znów wybuchają śmiechem.

- Czego się boisz? Po tym, co zrobi dziadek, już nie zachorujesz - mówi kobieta stojąca za progiem.

Dzieciak chowa się w tłumie, wymawia się energicznie, nie wyściubia nosa.

Stary macha rękawem i mówi:

- Nic wielkiego. - Odwraca się do mnie. - Z grubsza jest tak, że ktoś musi przygotować miskę ryżu, postawić w niej pionowo gotowane jajko, potem zapala kadzidło, żeby wywołać duchy. Dziecko klęka, bije pokłony, potem modli się, bo prosi duchy, żeby przyjęły ofiarę: Prawdziwego Władcę Czterech Stron, Wielkiego Cesarza Ziwei, Władcę Gwiazd i Północy, Który Dziewięcioma Wstrząsami Rozpędza Zło, Władcę Gwiazd Długowieczności Świątyni Południowej Niedźwiedzicy, Dwóch Bogów Stróżów Wioski, prosi zmarłe pokolenia przodków klanu, synów i wnuków Boga Kuchni...

Mówiąc to, bierze obrzędowy miecz, wywija nim i zaczyna głośno śpiewać.

- Duszo! Duszo! Zabawiłaś się, a teraz śpiesz do domu! Na wschodzie jest chłopiec w błękitach, na południu chłopiec w czerwieni, na zachodzie chłopiec w bieli, wszyscy na straży, a na północy jest chłopiec w czerni, który zawiedzie cię do domu. Zagubiona, zbłąkana duszo, już porzuć zabawę, droga jest długa, niełatwo wrócić do domu. Jeśli napotkasz ciemności, odmierzę ci drogę jademitowym liniałem. Jeśli wpadniesz w sieć Niebios i w oplót Ziemi, przetną je moje nożyce. Jeśli jesteś złąkniona, spragniona, znużona, nie brak mi ziarna dla ciebie. Nie zasłuchaj się w lesie w śpiew ptaków, nie zapatrz nad głębokim stawem na pływające ryby. Jeśli ktoś cię zawoła tysiącokroć, nie odpowiadaj, duszo, co prędzej wracaj do domu. Bogowie i bóstwa mogą cię przecież chronić, dawne zasługi i cnoty nie będą zapomniane! Odtąd duch będzie strzegł ciała, a dusza domu, wicher ni chłód nie wedrą się do środka, woda i ziemia nie znajdą doń przystępu. Krzepkość w dzieciństwie doda siły na starość, więc będziesz się cieszył życiem do stu lat, w zdrowiu ducha!

Macha obrzędowym mieczem, zakreśla w powietrzu wielki krąg, a potem, nie szczedząc policzków, dmie w bawoli róg. Potem odwraca się i mówi do mnie:

- Narysuję teraz talizman zapewniający szczęście temu, kto go nosi!

Nie wiem, co sądzić, czy wierzy we własne praktyki czy nie, w każdym razie tańczy, rękami i nogami wywija na wszystkie strony, dumnie kroczy i wygląda na bardzo zadowolonego z siebie. Przygotowanie obrzędów taoistycznych we własnej sieni, z pomocą sześciu synów, zjednuje mu szacunek mieszkańców wioski, na dodatek ma za gościa przybysza budzącego podziw; stary nie potrafi ukryć radości.

Ciągiem inkantacji wywołuje potem duchy Niebios i Ziemi. Słowa stają się niezrozumiałe, ruchy coraz gwałtowniejsze, kiedy okrążając stół, pokazuje techniczną pełnię w sztuce walki mieczem. Sześciu synów wsłuchuje się w wysokość śpiewu, w rytm tańca, stosownie do tego grzmoci w gongi i bębny z coraz większym zapalem, wygrywa nie kończące się wariacje. Szczególnie wyróżnia się młodzieniec przy bębnach. Zrzuca bluzę, odsłania ciemną skórę na ramionach i żebrach, naprężone mięśnie. Tłum widzów za drzwiami wzbiera do tego stopnia, że stojący z przodu zostają wepchnięci do środka, za próg, potem pod

ściany, niektórzy nawet siadają na podłodze. Po każdej inkantacji wszyscy mnie poklepują, pokrzykują do mnie radośnie, co wprawia starego w jeszcze większe zadowolenie, już teraz nie waha się, nie kryje niczego, żadnego gestu czy słowa, którymi wzywa duchy gnieźdzące się w jego sercu, jednego za drugim. Zaczyna popadać w stan zatrucia, szaleństwa. Dopiero kiedy kończy mi się taśma i muszę zatrzymać magnetofon, żeby ją zmienić, wówczas i on na chwilę przystaje, dyszy. Mężczyźni i kobiety na zewnątrz i w domu są podnieceni, rozmawiają, śmieją się, żartują. Zebrania gminy nigdy nie zapewnią takiej zabawy.

Stary ociera pot rękami, wskazuje najbliższą grupkę dziewczyn i mówi:

- Może wy zaśpiewacie teraz temu nauczycielowi.

Dziewczęta zaczynają chichotać, przez chwilę szturchają się, usuwają, wreszcie wypychają Maomei. Chucherko, czternasto-, może piętnastoletnie, lecz wcale pewne siebie; Maomei błyska dużymi okrągłymi oczami i pyta:

- Co mam zaśpiewać?

- Górską piosnkę miłosną.

- *Siostry czeka ślub.*

- *Kwiaty czterech pór roku.*

- O siostrach płaczących, bo muszą wyjść za mąż.

- Ta jest naprawdę dobra - poleca kobieta w średnim wieku stojąca w drzwiach.

Dziewczynka spogląda na mnie, odwraca się i oto rozbrzmiewa bardzo wysoki sopran, zgiełk milknie jak nożem uciał, głos wzbija się, kołuje, przenosi mnie natychmiast z mroku w górskie ostępy. Smutek szemrzącego strumyka i górskiego wiatru jest odległy, lecz wymowny. Przypominam sobie sosnowe pochodnie w rękach nocnych wędrowców, ich migotanie na tle mroku góry; przed oczami przepływa mi znowu ów obraz: stary człowiek z pochodnią, przy nim dziewczynka, mniej więcej w wieku śpiewaczki, wychudła, w spodniach i kwiecistej kurcie. Przechodzą przed domem nauczyciela szkoły podstawowej w górskiej wiosce. Siedziałem wówczas w tym domu w sieni, beczynnienie, nie wiedziałem, skąd ani dokąd idą, wiedziałem za to, że powyżej wznosi się wielka czarna góra. Rzucili okiem do sieni, na mnie, ale nie zatrzymali się, szli wprost ku czarnym cieniom góry, roniąc iskry, które jeszcze tliły się przez chwilę przed domem. Potem odprowadzałem wzrokiem pochodnię. Kiedy wynurzyła się znowu z cienia drzew i urwisk, była ledwie chybliwym płomykiem sunącym poprzez czerni cienia tej góry, zostawiała za sobą tylko wstążkę strzelających co chwilę iskier. Po chwili nie było już nic, iskry i ciemnoczerwone węgielki zgasły; zniknęły jak pieśń głośniego, czystego żalu, wibrująca w maleńkim jak sojowe ziarno płomyku świeczki w mrocznym pokoju. W tamtych latach byłem taki jak oni, boso pracowałem na polach ryżowych. Po zmroku nie było gdzie pójść; mogłem się wybrać tylko do domu nauczyciela podstawówki na pogawędkę, szklanek herbaty albo po prostu przesiedzieć czas samotności.

Żal przenika wszystkich, tych w domu i przed domem, nikt nie śmie rozmawiać. Pieśń dobiega końca, ale dopiero po chwili dziewczyna przy drzwiach, nieco starsza od śpiewaczki, czekająca pewnie na zamążpójście, ciężko wzdycha i opiera się o futrynę.

- To takie smutne!

Dopiero wtedy ludzie odzywają się i zaczynają się głośnie domagać:

- Zaśpiewaj coś pieprzonego!

- Stary wuj nam zaśpiewa *O piątej warciel*

- Zaśpiewaj *Osiemnaście razy*

Przeważnie krzyczą młodzi mężczyźni.

Po chwili stary zdejmując taoistyczną szatę, wstaje z ławki, zaczyna przeganiać młodą śpiewaczkę i dzieciarnię siedzącą na progu.

- Dzieci do domu spać! Wszystkie! Do domu, do domu, starczy śpiewania, spać!

Nikt nie chce iść. Stojąca w drzwiach kobieta w średnim wieku wywołuje dzieci po imieniu i odprawia jedno za drugim.

Stary tupie, udaje, że stracił cierpliwość i głośnie krzyczy:

- Jazda stąd wszyscy! Zamykać drzwi, zamykać! Chcę iść spać!

Młodzież burczy niegrzecznie, hałasuje.

- Aaaaale...

W końcu dwie starsze dziewczyny ulegają i wychodzą, Potem, przy akompaniamencie pokrzykiwań i popychania, udaje się wypłoszyć resztę dziewcząt i dzieci. Kobieta podchodzi do drzwi, zamyka je i oto dorośli, którzy stali na zewnątrz, mają wreszcie okazję, żeby stłoczyć się w środku. Drzwi zaryglowano, w domu jest gorąco, wszystko przenika zapach

potu. Stary chrząka, splota i zerka na ciżbę. Znowu się przeobraził, w jego wyglądzie jest coś chytrego, zawadiackiego, jakieś szelmstwo. Sunie wokół sieni, przygląda się obecnym, potem chrypliwie śpiewa:

Mężczyźni pielęgnują

A co pielęgnują?

Mężczyźni pielęgnują kij.

Kobiety pielęgnują

A co pielęgnują?

Kobiety pielęgnują rów.

Wkoło słyhać radosne pokrzykiwanie, stary ręką ociera usta.

Kiedy do rowu wpadnie kij

Kij się zamieni w skaczącego, obrotowego węgorza. Ach!

Thum ryczy ze śmiechu, niektórzy powtarzają słowa, inni przytupują.

Ktoś woła:

- Teraz *Stary idiota się żeni!*

Młodzi pokrzykują wesoło.

Stary rozochocił się, odsuwa stół w głąb, żeby zrobić miejsce na środku sieni. Siada na podłodze, ale właśnie w tej chwili rozlega się stukanie do drzwi. Stary wykrzykuje groźnie:

- Kto tam?

- Ja - odpowiada głos z drugiej strony.

Natychmiast drzwi zostają otwarte, wchodzi młody człowiek w płaszczu narzuconym na ramiona, ze starannie zaczesanym przedziałkiem.

- Naczelnik wioski, naczelnik wioski, naczelnik wioski - pomrukuje gromada.

Stary wstaje. Przybysz uśmiecha się, kiedy jednak dostrzega magnetofon na stole, kiedy omiata potem spojrzeniem twarz i w końcu dostrzega mnie, ów uśmiech natychmiast pierzcha.

- To mój gość - mówi stary. Zwraca się do mnie i przedstawia: - To mój najstarszy syn.

Wyciągam rękę. Naczelnik nie wyciąga swojej; zdejmuję z ramion płaszcz i pyta:

- Skąd jesteście?

Stary śpieszy z wyjaśnieniem:

- To nauczyciel z Pekinu.

Syn marszczy brwi i pyta:

- Macie urzędowe pismo?

- Mam dokumenty - mówię i wyciągam legitymację związku pisarzy.

Kilkakrotnie oglądają z obu stron, wreszcie oddaje i mówi:

- To nie wystarczy bez urzędowego pisma.

- Jakiego rodzaju pisma pan potrzebuje?

- Z pieczęcią władz gminnych lub powiatowych.

- Na mojej legitymacji jest wytłoczona pieczęć!

Nie dowierza i jeszcze raz bierze legitymację, podsuwa pod światło, studiuje; znów zwraca dokument, mówiąc:

- Jest niewyraźna.

- Specjalnie przyjechałem z Pekinu zbierać pieśni ludowe! - Nie zamierzam ustąpić i nie dbam o uprzejmości.

Widzi, że nie skapituluję; odwraca się do ojca i strofuje go surowo:

- Dobrze wiesz, ojcze, że to wbrew przepisom!

- To przyjaciel, właśnie się poznaliśmy - spiera się stary, ale w obliczu syna, naczelnika wioski, wyraźnie gaśnie w nim zapał.

- Wszyscy do domu, do łóżka! To się odbywa wbrew przepisom.

Kilku już się wymknęło, a młodszy bracia naczelnika dyskretnie odsunęli się od gongów, bębnów, rekwizytów. Nie tylko ja przeżywam rozczarowanie, o wiele mocniej odczuwa je stary. Jakby ktoś wylał mu wiadro zimnej wody na głowę; jest zdruzgotany. Iskierki w oczach gasną, wydaje się tak nieszczęśliwy, że przez niego i ja czuję się paskudnie. Uważam, że muszę wyjaśnić:

- Pański ojciec jest znakomitym artystą ludowym. Przyjechałem tu specjalnie, żeby się uczyć od niego. Nic złego nie ma w pańskich przepisach, są jednak inne rzeczy, rządzące tymi przepisami, jeszcze ważniejsze przepisy... - lecz płaczę się, kiedy przychodzi mi bezzwłocznie streścić te jeszcze ważniejsze przepisy.

- Pójdziecie rano do władz gminy, jeśli się zgodzą, to niech przybiją pieczęć, od razu na miejscu - mówi teraz ogłędnym tonem; bierze ojca na bok, coś spokojnie tłumaczy, potem narzuca płaszcz i wychodzi.

Wychodzą wszyscy, stary rygluje frontowe drzwi i idzie do kuchni. Wkrótce małeńka szczupła żona przynosi wielką

misę duszonej solonej wołowiny z tofu i marynowanymi jarzynami. Mówię, że nie mogę jeść, lecz stary nalega, żeby zjeść chociaż trochę. Milczymy przy stole. Później przygotowuje mi posłanie tam, gdzie i on sypia, w przykuchennej izbie wychodzącej na zagrodę świń. Jest pierwsza w nocy.

Po zgaszeniu lampy przychodzi kolej na atak z powietrza: komary. Własne dłonie walał mnie bez wytchnienia po twarzy, głowie, uszach. W izbie jest gorąco i duszno, panuje straszliwy odór. Pies, podniecony obecnością obcego, łązi wokół domu, płoszy świnię, które niezmordowanie chrząka-ją i ryją w błocie. Pod łóżkiem pęta się parę kurcząt, przez zapomnienie nie zamkniętych w kurniku; nie śpią, bo kręci się pies, co chwilę trzepocą skrzydłami. Jestem potwornie zmęczony, mimo to nie mogę zasnąć. Wkrótce pod łóżkiem pieje kogut, a chrapanie starego chyba wstrząsa nieboskłonem. Nie jestem pewien, czy dlatego, że nie gryzą go komary, ssące widocznie tylko krew obcych, czy dlatego, że zapadając w sen, stary po prostu traci przytomność. Zupełnie wykończony wstaję, otwieram drzwi w sieni i siadam na progu.

Nadlatuje chłodny wiatr, przestaje się pocić. Przymglone, szare, bezgwiazdne niebo wyłania się nad niewyraźnym zarysem drzew w lesie. Pod tymi ułożonymi na zakładkę szaroczarnymi dachówkami górskiej wioski ludzie wciąż mocno śpią przed wschodem słońca. Nie przyszłoby mi do głowy, że się tu zjawię i że w tej górskiej wiosce liczącej może dziesięć zagród przeżyję tak fantastyczną noc. W podmuchach chłodnego powietrza ulatuje uczucie żalu, że ją przerwano. Zazwyczaj zwie się to nieobliczalnością życia.

Mówi, że ma już dość, przestań mówić!

Spacerujesz z nią nad krawędzią przepaści, w dole rzeka pieni się, burzy, kłębi, wiruje. Przed wami widać zakole, tam nurt pograża się w ciemnozielonej otchłani o gładkiej powierzchni, bez zmarszczki. Droga wciąż się zwęża. Mówi, że dalej z tobą nie pójdzie, chce wracać, boi się, że ją zepchniesz do rzeki.

Nie umiesz ugryźć się w język, puszczają ci nerwy, pytasz, czy zwariowała.

Mówi, że przestając z takim potworem jak ty, stała się nicością, jej serce to pustkowie, tak, wariuje, nic nie poradzi. Mówi, że sprowadziłeś ją tutaj, na brzeg, żeby ją zepchnąć do rzeki, żeby przepadła bez śladu.

Idź do diabła!

Mówi, a widzisz, widzisz, właśnie to ci w głowie, oto, jakim jesteś nikczemnikiem. Niezdolny do miłości, trudno, niech będzie, że nie możesz kochać, ale dlaczego ją w takim razie uwiodłeś? Dlaczego podstępem zwabiłeś na skraj tej otchłani?

Na widok zgrozy w jej oczach chcesz ją uspokoić.

Nie! Nie pozwoli, ani kroku bliżej! Błaga, żebyś odszedł, darował jej życie. Mówi, że patrzeć w bezdenną otchłań wprawia ją w przerażenie, obezwładnia. Musi co tchu pośpieszyć z powrotem do dawnego życia. Niesłusznie go oskarżała i tylko dlatego pozwoliła takiemu potworowi jak ty zaciągnąć się w tę głuszę. Chce wrócić do niego, do jego pokoiku, nieważne, że złościł się na nią, bywał nieokrzesany, wybaczy mu. Mówi, że widzi dopiero teraz, dlaczego tak było, bo ją kochał, więc go ponosiło. Ta jego nieskrywana żądza podniecała ją na swój sposób, ona już dłużej nie zniesie tej twojej zimnej obojętności. Jest sto razy bardziej szczery od ciebie. Jesteś sto razy większym hipokrytą od niego, już dawno cię znużyła, tylko nie chcesz tego powiedzieć. Dręczysz jej duszę okrutniej, niż on dręczył jej ciało.

Mówi, że tęskni za nim i że z nim nie czuła skrępowania. Potrzebuje domowego bezpieczeństwa, chce być żoną, prowadzić dom; powiedział, że chce się z nią ożenić, i wierzy mu, a ty nawet się o tym nie zająknąłeś. Nieważne, że kiedy on się z nią kocha, mówi o innych kobietach, to tylko po to, żeby ją jeszcze bardziej podniecić, wszystko zaś, co ty mówisz, czyni ją coraz bardziej oziębłą. Teraz uświadamia sobie, że naprawdę go kocha, to z miłości do niego przejmowały ją lęki i popadała w rozstrój nerwowy. Uciekła, żeby mu dopiec, lecz już wystarczy. Zemściła się, ale zabrnęła za daleko. On, jeśli się dowie, po prostu zwariuje, lecz wciąż jej pragnie i przebaczy

Mówi, że tęskni też za rodziną, nawet za macochą. Ojciec na pewno szaleje, wszędzie jej szuka. Ojciec już się starzeje, jeśli nie będzie na siebie uważał, niepokój może mu zaszkodzić.

Tęskni też do koleżanek z laboratorium. Są małostkowe, ograniczone i zazdrosne, lecz jeśli któraś kupi modną sukienkę, zawsze zdejmie i każda może przymierzyć.

Brak jej też tych nieznośnych imprez tanecznych, z wyjątkiem noszenia nowych butów i perfumowania się, lecz myśl o muzyce i kolorowych światłach wciąż ją przyprawia o ukłucie w sercu.

Nie szkodzi, że jeszcze silniejsza jest woń antyseptyków na sali operacyjnej, jest tam jednak czysto i porządkie, każdy lek ma osobną przegródkę, wystarczy sięgnąć, dla niej to wszystko jest swojskie i cenne. Musi wydostać się z tego piekielnego miejsca, to całe gadanie o Lingshan tylko służy temu, żeby ją zwodzić!

To ty jej opowiadałeś, mówi, że miłość jest złudą, którą wyczarowali sobie ludzie, żeby się otumanić. Nie wierzysz w istnienie czegoś zwanego miłością; po prostu albo mężczyzna posiada kobietę, albo kobieta mężczyznę. Wciąż zmyślasz przeróżne ładne dziecinne historyjki, w których ma szukać ucieczki jej wątła i delikatna dusza. Powiedziałeś to, a potem najzwyczajniej w świecie zapomniałeś, co mówiłeś! Możesz się wypierać, że to mówiłeś, proszę, lecz cienia, który padł na jej serce, nie sposób wymazać. Krzyczy, że już nie może nigdzie iść z tobą! W zakolu rzeki toń na pozór spokojna, w istocie jest niezgłębiona, nie może z tobą iść dalej ku tej przepaści. Jeśli postąpisz choćby krok w jej stronę, wczepi się w ciebie i pociągnie za sobą, razem wpadniecie z wizytą do Króla Piekieł!

Mówi, że do niczego nie zdoła się przywiązać, to najlepsze, co dałeś jej na dalszą drogę życia. Nie chce cię w nic wplątać, nie musisz żywić poczucia winy, możesz sobie beztrudno wędrować, wszystko jedno, na Lingshan czy do piekła. Nie musisz jej spychać w przepaść, odejście od ciebie, daleko, nigdy jej nie zobaczysz. Nie musisz się o nią martwić, nie ma

powodu, to ona cię rzuca, więc jeśli jej nie skrzywdzisz, obojdzie się bez wyrzutów sumienia, odpowiedzialności. Po prostu uznaj, że nigdy jej nie było, a nie będzie cię dręczyć sumienie. Zauważ, że nie zdołałeś wykrztusić nawet zdania, to dlatego, że trafiła w twe czułe miejsce, wypowiedziała na głos to, co myślisz. Powiedziała to, czego sam sobie nie śmiesz powiedzieć.

Mówi, że wróci, wróci do niego, do tego pokoiku, do sali operacyjnej, wróci do siebie do domu, odbuduje stosunki z macochą. Urodziła się jako ktoś zwyczajny, teraz powróci do zwyczajności, jak zwyczajna kobieta poślubi zwyczajnego mężczyznę. W każdym razie nie postąpi z tobą ani kroku dalej, ty potworze, nie stoczy się po tej twojej ścieżce w samo piekło!

Mówi, że się ciebie boi, dręczysz ją, ona, rzecz jasna, ciebie też dręczyła. Nic więcej nie mów, nic nie chce wiedzieć, wie wszystko, wie już za wiele. Lepiej nic nie wiedzieć, chce zapomnieć o tym, zupełnie, prędzej czy później będzie musiała to wszystko wymazać z pamięci. Jeśli na koniec powinna coś powiedzieć, to tyle, że jest ci wdzięczna; wdzięczna za część podróży, w którą ją zabrałeś, i wdzięczna za wybawienie jej z samotności. Jest jednak jeszcze bardziej samotna, to się tylko pogarsza, ona zaś nie umie sobie z tym poradzić.

W końcu odwraca się i odchodzi. Nie oglądasz się, rozmyślnie, bo wiesz, że czeka, aż odwrócisz głowę. Jeśli odwrócisz, nie odejdzie, spojrzy na ciebie, wstrzymując łzy, aż w końcu dwa strumienie spłyną jej po policzkach. Ty się poddasz, będziesz błagał, żeby została. Potem zaczniesz się obejmowanie, pocałunki, znowu osunie się w twe ramiona, wyleje z siebie wraz ze łzami bezładny potok słów wabiących, namiętnych i pełnych smutku. Jej ciało zaś opląduje cię ramionami jak gałęziami wierzby i zaciągnie z powrotem na starą drogę.

Nie oglądasz się za nią, wzbranasz się przed tym stanowczo, odchodzisz sam, przed siebie, skrajem nadrzecznego urwiska. Lecz przy zakolu już nie potrafisz się powstrzymać i odwracasz się; tymczasem ona zniknęła. Twe serce ogarnia nagle beznadziejny smutek, jak po utracie, lecz jednocześnie czujesz, jakbyś zapewnił sobie swego rodzaju ulgę.

Siadasz na skale, jakbyś czekał, aż przyjdzie, lecz wiesz, że już do ciebie nie wróci.

To ty jesteś okrutny, nie ona, myślisz po prostu o jej przekleństwach, żeby wmówić sobie, że właśnie jest podła, więc zniknie bez śladu z twego serca, ty zaś nie zostaniesz wydany na pastwę wyrzutów sumienia.

Tam, w Wuyizhen, popłynęliście razem jak wodorosty niesione prądem; ty, bo samotny, ona, bo przybita.

W gruncie rzeczy w ogóle jej nie znasz, nie wiesz, czy to, co mówiła, to prawda czy tylko półprawda. Jej fantazje i twoje zmyślenia zmieszały się, stały nieodróżnialne.

Ona zaś nic nie wie o tobie. Tak to wygląda, ponieważ ona jest kobietą, ty mężczyzną; ponieważ w pokoiku na piętrze migotało światło jednej jedynej lampki, a sam pokój przesycony był czystym zapachem słomy ryżowej; ponieważ ta noc w obcym miejscu była jak ze snu, jak z bajki; ponieważ w tym wczesnym chłodzie jesiennej nocy pobudziła twe wspomnienia i wyobrażenia - wyobrażenia o niej i o twym pożądaniu.

Dla niej byłś kubek w kubek tym samym.

Tak, uwiodłeś ją, lecz także ona uwiodła ciebie. Czy trzeba koniecznie wymierzyć proporcje między kobietą intrygą a męskim pożądaniem?

Gdzie jednak znajdę tę Lingshan? To tylko niema skała, pod którą przychodzą kobiety z gór, żeby modlić się o syna. Czy ona jest *zhuhuapoj*? A może tą młodzieńką dziewczyną, którą chłopcy zabrali na nocne pływanie? Tak czy owak, nie jest młodką, ani ty młodnikiem. Przypominając sobie związek z nią, odkrywasz nagle, że nie potrafisz powiedzieć, jak wygląda ani jak brzmi jej głos. Wydaje ci się, że czegoś w ten sposób doświadczyłeś, lecz jeszcze bardziej wygląda to na pobożne życzenie. Którędy jednak biegnie granica między pamięcią a pobożnym życzeniem? Jak jedno oddzielić od drugiego? Które z tych dwóch jest bardziej rzeczywiste, jak to określić?

Czyż tak nie było, że w jakimś miasteczku, na przystanku autobusowym, na promie, na skrzyżowaniu, na poboczu drogi spotkałeś młodą kobietę, która przyprowadziła cię o śnienie na jawie? Lecz jeśli kiedyś wrócisz, jak zdołasz znaleźć jej ślad w tym miasteczku, na tym przystanku, na tym promie, skrzyżowaniu czy też tym poboczu drogi?

Na pionowym urwisku nad rzeką Yangzi w promieniach zachodzącego słońca pławi się świątynia Białego Cesarza. Z dołu dobiega szum odległych bystrzy, na wprost wznoszą się dwie ściany urwisk Kuimen, proste, jak wyrąbane tasakiem. Kto się wychyli przez żelazną barierkę, zobaczy w dole krystalicznie czyste, okryte zmarszczkami wody rzeki-dopływu, które rozcinają wartki, lecz mętny nurt Yangzi.

Jest też strumyk; po jego drugiej stronie kobieta z blado-fioletowym parasolem przedziera się przez zarośla na zboczu. Jej szlak prowadzi na nagi szczyt skalnego urwiska, stąd niewidoczny; kobieta po chwili znika.

Patrzę, jak złote lśnienie zachodzącego słońca gaśnie na szczytach urwisk; obie strony wąwozu pogrążają się nagle w ciemności. Na skałach nad obu brzegami rozbłyskują kolejno czerwone światła nawigacyjne. Na trzech pokładach parowca płynącego na wschód w górę rzeki jest tłoczno; parowiec wpływa w gardziel wąwozu; znika, a potem długo odbija się od urwisk stłumione echo jego gwizdka.

Powiadają, że Zhuge Liang usypał skały w widłach rzeki za Kuimen, w myśl swej bitewnej strategii Ośmiu Trygramów. Wielekroć przepływałem koło Kuimen, podróźni na pokładzie zawsze wskazywali mi je natarczywie, lecz nawet teraz, będąc w tym starożytnym mieście Białego Cesarza, nadal mam kłopot z jego umiejscowieniem. To w tym starożytnym mieście Liu Bei powierzył Zhuge Liangowi sierotę, chłopca, który miał w przyszłości objąć tron. Ale któż wie, co jest prawdą, a co fikcją w historycznych opowieściach?

W świątyni Białego Cesarza na miejscu strzaskanych ołtarzy stoją kolorowe figury upozowane na postaci z nowej wersji tradycyjnego teatru; to miejsce w ogóle wygląda teatralnie.

Obchodzę front prastarej świątyni i natrafiam na niemal nowy dom noclegowy. Surowy krajobraz, ziemia jałowa z paroma zaledwie krzakami; w pół drogi na szczyt wznoszą się ruiny dużego półkolistego miejskiego muru obronnego z czasów dynastii Han. Widać go tylko gdzieniegdzie, ciągnie się jednak przez kilka kilometrów. Mur pokazuje mi dyrektor miejscowego biura do spraw kultury, archeolog, pasjonat w swojej dziedzinie. Mówi, że przedłożył raport, w którym prosi stosowną agendę rządową o zapewnienie funduszy na konserwację muru. Myślę, że mur lepiej wygląda teraz; przyznanie funduszy na pewno zaowocuje wzniesieniem jarmarcznego budynku, potem restauracji; piękno miejsca zostanie doszczętnie zniszczone.

Pokazuje wykopany w pobliżu kamienny sztylet liczący cztery tysiące lat, oszlifowany i wypolerowany do jodeitowego połysku. Wywiercona w rękojeści dziura każe przypuszczać, że troczono go u pasa. Po obu brzegach Yangzi wykopano wiele pięknie wykonanych kamiennych narzędzi, jak i sporo późniejszej glinianej ceramiki z neolitu. W nadbrzeżnej jaskini znaleziono skład broni z brązu. Mówi, że tu na wprost, blisko Kuimen, w jaskiniach na urwiskach, gdzie według podań Zhuge Liang ukrył swe księgi strategii wojskowej, ledwie parę miesięcy temu jakiś głuchoniemy i jakiś garbus opuścili na linach ostatnią wiszącą trumnę i roztrzaskali. Kości, wysuszone na wietrze, sprzedali aptecze z chińskimi lekami jako smocze; kiedy aptekarz poprosił jednak o poświadczenie autentyczności, sprawa trafiła do urzędu bezpieczeństwa publicznego. Wprawdzie milicjanci wytropili głuchoniemego, ale po przesłuchaniu, na które nie szczędzili czasu, byli niewiele mądrzejsi. Dopiero parę trzepnięć zdołało zachęcić głuchoniemego, żeby zaprowadził władzę na miejsce. Wiosłową łódką zawiózł milicjantów do podnóża urwiska, gdzie popisał się sztuką wspinaczki. Na miejscu, które, jak przypuszczam, okazało się grobem z Epoki Walczących Królestw, znaleziono drzazgi drewna wysuszonego przez wichry. Trumna zapewne kryła przedmioty z brązu, które nie powinny się strzaskać, ale z głuchoniemego nie sposób było wydusić żadnej wskazówki, co się z nimi stało.

W izbie wystawowej biura do spraw kultury zgromadzono duży zbiór fajansowych kołowrotek. Malowane w czerwone i czarne spiralne wzory pochodzą zapewne z tego samego okresu co liczące cztery tysiące lat ceramiczne kołowrotki wykopane w Qujialing, w dolnym dorzeczu Yangzi w prowincji Hubei. W obu wypadkach widać uderzające podobieństwo do wzoru ryby Yin-Yang. Wraz z obrotem kołowrotka wzbiera pustka, ubywa zaś pełni; po całym obrocie wszystko wraca do punktu wyjścia. Malunek ma te same źródła co taoistyczny znak Taiji. Przypuszczam, że są to prapoczątki znaku Taiji, a także początki wzajemnego uzupełniania się Yin i Yang, przemienności losu sprzyjającego i nieprzyjawnego oraz pojęć filozofii natury, w ujęciu taoistów wyprowadzonych z *Księgi przemian*. U ludzi

najwcześniejsze pojęcia wywodzą się z obrazów, później zaczęły się łączyć z brzmieniami, tworząc w ten sposób mowę i znaczenia.

Zapewne ludzie, którzy w piecu garncarskim wypalali kołowrotki, dodali przypadkiem do gliny jakąś nieważną przymieszkę, ale to kobiety używające wrzecion odkryły, że pojedynczy obrót koła oznacza powrót do początku. Tę treść nadał zjawisku mężczyzna imieniem Fuxi. Lecz obdarzenie Fuxi życiem i inteligencją należy przypisać kobiecie. Kobieta, która stworzyła inteligencję mężczyzny, znana jest powszechnie jako Niiwa. To z Nuwy, pierwszej kobiety znanej z imienia, i z Fuxi, pierwszego mężczyzny znanego z imienia, składa się wspólna świadomość mężczyzn i kobiet.

Na ceramice z czasów dynastii Han wizerunki mitycznego zespolenia Fuxi i Niiwy - o ciałach węży, z ludzkimi głowami - mają swe źródło w seksualnych bodźcach prymitywnego człowieka. Zwierzęta przeistoczyły się z czasem w duchy, potem w bóstwa przodków. To nic innego jak wcielenie pierwotnych instynktów. Żądza seksu i żądza życia.

W tamtych czasach nie istniała jednostka. Nie istniało świadome rozróżnienie między „ja” i „ty”. Narodziny „ja” wywodzą się z lęku przed śmiercią; dopiero później istota, która jeszcze nie była „ja”, doszła do ustanowienia „ty”. W owych czasach ludzie nie żywili lęku wobec siebie, wiedza o własnym „ja” przysła od tego innego, została potwierdzona przez fakt, że się posiadało lub zostało posiadany, zawojowało lub zostało zawojowanym. „On”, trzecia osoba, która nie jest związana bezpośrednio z „ja” ani „ty”, wyodrębniła się stopniowo. Następnie „ja” odkryło również, że „jego” można odnajdować wszędzie w ogromnych ilościach; że „on” jest bytem oderwanym od „ja”; dopiero wówczas sprawa świadomości „ja” i „ty” zesła na drugi plan. W walce jednostki o przetrwanie wśród innych stopniowo zapominano o jestestwie, zostało ono stopniowo starte, jak ziarnko piasku rzucone w bezkres wszechświata.

W ciszy nocnej słucham delikatnego plusku fal Yangzi i rozważam, co począć z pozostałymi latami życia. Czy nadal powinienem na brzegach Yangzi zbierać kamienne ciężarki rybackich sieci, używane niegdyś przez lud z Daxi? Mam już taki, którego środek wybito kamiennym młotkiem; przedwczoraj darował mi go przyjaciel w Wanxian, w górę Yangzi. Powiedział, że mogę nazbierać takich kamieni przy korycie rzeki, kiedy nurt wyschnie. Szlam wciąż się osadza, co roku koryto jest wyższe, dlatego chcą wybudować tamę u wylotu Trzech Przełomów. Kiedy ta idiotyczna tama już stanie, pod wodę pójdzie nawet starożytny mur obronny z czasów dynastii Han, gdzie więc sens w zbieraniu pamiątek po ludziach z zamierzchłej przeszłości?

Nieprzerwanie szukam znaczenia, lecz czym w istocie jest znaczenie? Czy mogę powstrzymać ludzi od budowania tej ogromnej tamy, czyli epitafium z okazji unicestwienia ich jestestw? Mogę poszukiwać tylko własnego jestestwa - „ja” istoty małej i nieważnej jak ziarnko piasku. Mogę też napisać książkę o ludzkim jestestwie, nie troszcząc się, czy zostanie opublikowana. Lecz jakie skutki wynikną z tego, że wyda się jedną książkę więcej czy mniej? Czy nie dość już poniszczono kultury? Czy rodzaj ludzki aż tyle jej potrzebuje? Ponadto, czym właściwie jest kultura?

Zrywam się wcześniej, żeby zdażyć na parowy stateczek. Taka jednostka o linii wodnej sięgającej niemal krawędzi burty porusza się szybko i zwinnie. W południe dopływamy do Wushanu, gdzie król państwa Chu, Huai, śnił pewnej nocy, że kocha się z boginią. Jednak kobiety Wu, wypełniające ulice powiatowego miasta, wcale nie są powabne. Na stateczku jest siedmioro czy ośmioro młodych kobiet i mężczyzn w džinsach, mówią z pekińskim akcentem. Beztroscy i nieskrępowani rozmawiają, śmieją się, romansują i jeszcze zarabiają pieniądze. To oni - z bębniem, elektryczną gitarą, z paroma piosenkami pop, disco (obowiązuje zakaz rock'n'rolla), używając ich języka, można powiedzieć, że podbijają serca po obu brzegach Yangzi.

Kronika powiatu o wystrzępionych stronicach, obłożona brązowym papierem, zawiera następujące zapisy:

Za panowania cesarza Yao z dynastii Tang Wushan wziął swą nazwę od Wu Xiana, który dzięki wiedzy o rzeczach tajemnych został lekarzem cesarza Yao. Za życia był arystokratą, po śmierci szlachetnym duchem. Wushan był jego lennem, stąd nazwa (zob. Guo Pu, *Poemat o Wu Xianie*).

Dynastia Yu. Księga *Shundian* powiada: „Wushan jest częścią Jingliangu”.

Dynastia Xia. Księga *Yugong* powiada: „Ustanowiono dziewięć prefektur. Wushan pozostaje w obrębie granic trzech prefektur Jingliangu”.

Dynastia Shang. W *Jiu you jiu wei* z *Pieśni Shang* znajduje się dopisek „Wushan nadal zarządza się jak za dynastii Xia”.

Dynastia Zhou. Wushan należał do królestwa Yong, w Epoce Wiosen i Jesieni zaś stał się terytorium królestwa Kuizi. W jesieni trzydziestego szóstego roku panowania księci Xi lud Chu ujarzmił Kui i przyłączył je do Chu. Tym samym Wushan przypadł Chu.

Epoka Walczących Królestw. W granicach Chu istniała Komanderia Wu. Księga *Zhanguoce* powiada „Su Qin powiedział Wei, królowi Chu: «Na południu znajduje się Komanderia Wu». *Kuodizhi* powiada: „Ta komanderia leży o sto *li* na wschód od Kui, a później stała się Komanderią Południową”.

Dynastia Qin. *Kronika Qin* powiada w *Shiji*: „W trzydziestym roku panowania króla Zhaoranga Komanderię Wu królestwa Chu zamieniono w powiat Wu, pod zarządem Komanderii Południowej”.

Wcześniejsza dynastia Han. Podobnie jak za dynastii Qin obszar nadal nazywa się powiatem Wu, zarządzanym przez Komanderię Południową.

Późniejsza dynastia Han. W okresie Jian'an wcześnie władcy oddali górę pod zarząd Komanderii Yidu. Sun Quan w dwudziestym piątym roku panowania oddał ją pod zarząd Komanderii Guling, potem Wu Sunxiu pod zarząd Komanderii Jianping.

Dynastia Jin. Początkowo powiatem Wu, graniczącym z Wu i Shu, zarządzały władze wojskowe Komanderii Jianping, ustanawiając w ten sposób powiat Beijing. W czwartym roku panowania Xianhe zarząd wojskowy przekształcono w komanderię Jianping; ustanowiono w ten sposób powiat Nanling.

Ów stan trwa za dynastii Song, Qi i Liang.

Późniejsza dynastia Zhou. W pierwszym roku panowania Tianhe powiatem Wu zarządzała komanderia Jianping, ustanawiając w ten sposób powiat Jiangyin.

Dynastia Sui. Z początkiem okresu Kaihuang Komanderię Jianping zlikwidowano, ustanawiając zamiast niej powiat Wushan, oddany pod zarząd komanderii Badong. Dynastia Tang i Epoka Pięciu Dynastii. Pod zarządem prefektury Kuizhou.

Dynastia Song. Pod zarządem prefektury Kuizhou. Dynastia Yuan. Jak wyżej.

Dynastia Ming. Pod zarządem prefektury Kuizhou. Dynastia Qing. W dziewiątym roku panowania Kangxi do powiatu Wushan włączono Dachang...

Ruiny znajdują się o pięćdziesiąt *Z*/ na południe.

Mnich Pszennych Otrąb nazywał się Wenkong, a jego styl Yuanyuan. Urodzony w prefekturze Ji'an w prowincji Jiangxi, wybudował świątynię na północnym urwisku góry Jidong, gdzie siadał medytować. Po czterdziestu latach doznał iluminacji. Jadał tylko otręby, stąd imię. Wiele lat później, kiedy już zmarł, a w świątyni nie było nikogo, ludzie mieszkający na przeciwległym zboczu góry widzieli tam przez trzy lata lampy płonące nocą.

Podanie powiada, że Yaoji, córka Czerwonego Cesarza, utonęła podczas przeprawy przez rzekę. Pochowano ją na południowym zboczu tej góry i wzniesiono świątynię. Szamani tańczą, żeby wezwać jej ducha.

Miasto Anping leży o dziewięćdziesiąt *li* na południowy wschód, w powiecie... (tekst się mywa) ...powyższe miasta są dzisiaj pustkowiem.

Po spustoszeniach, dziele wojska w czasach późnej dynastii Ming, wioski i miasta wymarły. Większość osiadłych tu mieszkańców pochodzi z innych prowincji, więc nazwa wciąż się zmienia...

Czy te wioski i miasta jeszcze istnieją?

Wiesz, że mówię do siebie po prostu po to, żeby stłumić samotność. Wiesz, że ta moja samotność jest nieuleczalna, nikt mnie z niej nie wybawi, mogę tylko mówić do siebie, sam sobie będąc rozmówcą. .

W tym długim monologu jesteś adresatem moich opowieści; jesteś mną, który bacznie mnie słucha - mówiąc krótko, jesteś mym cieniem.

Jak ja słucham siebie i ciebie, tak tobie pozwoliłem stworzyć ją, bo jesteś do mnie podobny i także nie możesz znieść samotności, też musisz znaleźć sobie rozmówcę.

Zatem rozmawiasz z nią, jak ja rozmawiam z tobą.

Ona zrodziła się z ciebie, jest jednak śladem mnie.

Ty, partner moich rozmów, przetwarzasz moje doświadczenia i wyobraźnię w twoje stosunki z nią; nie da się rozdzielić wyobraźni od doświadczeń; to splot.

Nawet ja nie potrafię rozróżnić, ile doświadczeń, a ile marzeń kryje się w moich wspomnieniach i odczuciach, więc jak ty mógłbyś odróżnić to, czego doświadczyłem, od twórców mej wyobraźni? Wreszcie, czy trzeba dokonywać takich rozróżnień? Nie mają one żadnego znaczenia, żadną miarą.

Ona, twór doświadczeń i wyobraźni, przekształca się w różnorakie projekcje, które wabią cię, uwodzą, ty bowiem, mój twór, także chcesz ją uwieść. Żadne z was nie pragnie samotności.

Odbywam podróż - życie. Dobre czy złe, życie jest podróżą; na fali własnej wyobraźni podróżuję w głąb siebie z tobą jako moim odbiciem. Odwieczne i trudne pytanie o to, co najważniejsze, może zamienić się w spór o to, co najprawdziwsze, może czasem dać oparcie czemuś zwanemu dyskusją. Ale niech inni roztrząsają takie sprawy, spierają się o nie; dla mnie, pochłoniętego tą podróżą, nie mają one żadnego znaczenia, nie mają i dla ciebie, który jesteś moją podróżą duchową.

Wałęsas się, gdzie chcesz, jak ja. Gdy zwiększa się odległość, dochodzi do nieuchronnego przenikania się, ty i ja sprzęgają się, stają nierozdzielne. W takiej chwili trzeba się cofnąć o krok i stworzyć przestrzeń. Tą przestrzenią jest on. On to ty, odwrócony plecami, po tym, kiedy odszedłeś ode mnie.

Ani ja, ani mój refleks nie mogą zobaczyć twarzy jego, wystarczy wiedzieć, że on to czyjeś plecy. Ty, mój twór, stworzyłeś ją, musiało więc powstać wyobrażenie jej twarzy, dlaczego jednak domagać się opisu tej twarzy? Ona to mglisty obraz złożony ze skojarzeń wypowiedzianych przez pamięć, zatem jest nieo określona i niech pozostanie niewyraźna. Więcej, jej obraz wciąż się zmienia.

Dla ciebie i dla mnie kobiety składające się na one to po prostu składankowy obraz jej.

Mężczyźni zaś, składający się na oni, podobnie, to składankowy obraz jego. W bezkresnym świecie są najróżniejsze tajemnice poza mną i tobą. Inaczej mówiąc, oni to wszelkie projekcje moich pleców, których nie mogę się pozbyć. Skoro nie mogę, to po co próbować?

Nie wiem, czy zauważyłeś, że kiedy mówię o mnie, o tobie, o niej, o nim, o nich żeńskich, o nich męskich, nigdy nie mówię my, nas, nam. Sądzę, że to bardziej konkretne od tej bujdy my, która dosłownie nic nie znaczy.

Jeżeli nawet ty, ona, on, oni, one są refleksami wyobraźni, dla mnie są bardziej istotne niż coś znanego jako my. Jeżeli tylko wspomnę o my, natychmiast tracę pewność, z ilu ja składa się faktycznie my. Bądź z ilu ty, który jesteś refleksem mnie, bądź z ilu on, który jest tobą i mną odwróconym plecami, bądź z ilu zwidów jej, zrodzonych z ciebie i mnie, lub z ilu składankowych obrazów oni, refleksów jej lub jego? Nic bardziej fałszywego niż owo my.

Mogę jednak sięgać po wy, kiedy zderzam się z wieloma ludźmi. Czy próbuję dogodzić, czy krytykować, czy złościę mnie, czy cieszą, czy przyprawiają o wzdę, przyjmuję wyraźną postawę i w takich wypadkach znaczę więcej niż kiedy indziej. A cóż zawiera my, oprócz tej nieuleczalnej pretensjonalności? Zatem zawsze unikam tej nadętej pretensjonalnej blagi my. Jeśli sięgnę czasem po słowo my, to wówczas, kiedy wzniosę się na szczyty hipokryzji i tchórzostwa.

Ustanowiłem sobie ów tryb porządkowania, który można uznać za rodzaj logiki lub karmy. W tym ogromnym bezładnym świecie ludzie ustanowili tryby porządkowania, logikę lub karmę, żeby się uwiarygodnić; czemuż więc nie miałbym wynaleźć własnego trybu porządkowania, swojej logiki lub karmy? Mogę schronić się w tym trybie porządkowania, tej logice lub karmie, poczuć bezpiecznie w poczynaniach i zachować spokój ducha.

W tobie wszakże bytuje też całość mych niepowodzeń, demon niepomyślności, którego przywołałem. W istocie jesteś pechowcem nie dlatego, że przeniosłem moje niepowodzenia na ciebie, one bowiem wywodzą się z mojej miłości własnej - to cholerna ja kocha tylko siebie!

Nie wiem, czy rzeczywiście istnieją Bóg i Diabeł, lecz obaj zostali wezwani przez ciebie, wcielenie zarówno moich powodzeń, jak i niepowodzeń. Kiedy znikniesz ty, w tej samej chwili znikną Bóg i Diabeł.

Tylko uwalniając się od ciebie, mogę uwolnić się od siebie. Skoro jednak przywołałem cię, nie sposób się ciebie pozbyć. Drażylem jednak pewien pomysł. Co będzie, jeśli zamienimy się miejscami? Innymi słowy, ja byłbym projekcją ciebie, ty natomiast konkretną formą mnie - to byłaby ciekawa gra. Gdybyś słuchał mnie uważnie z mojej pozycji, ja zaś stałbym się potem konkretnym wyrazem twoich pragnień, byłoby z tego mnóstwo uciechy. Tak powstałaby jeszcze jedna szkoła filozofii, a pisanie trzeba by jeszcze raz zacząć od nowa.

W końcu filozofia jest grą intelektualną. W granicach nieosiągalnych dla matematyki i nauk przyrodniczych tworzy wszelkiego rodzaju złożone struktury. Kiedy zaś struktura się domknie, to koniec gry.

Proza różni się od filozofii, jest bowiem tworem doznań zmysłowych. Jeżeli błądy znak, stworzony samemu, zostanie nasycony roztworem pożądania i w pewnym szczególnym czasie przekształca się w żywą komórkę zdolną mnożyć się i rozrastać, jest to coś znacznie ciekawszego od gier intelektualnych. Więcej, jest podobne do życia i, jak ono, nie ma ostatecznego celu.

Jadę wypożyczonym rowerem. Pełnia lata, w południe temperatura przekracza czterdzieści stopni, świeżo wyremontowana asfaltowa droga do starożytnego miasta Jiangling zdążyła zmięknąć. Gorący jest też powiew pod podcieniami bramy starożytnego miasta z epoki Trzech Królestw Jingzhou. Za straganami z herbatą i napojami drzemie stara kobieta, rozparta na trzciniowym krzeselku. Nie peszy jej, że spod rozpiętej konopnej bluzy, przetartej i wystrzępionej w praniu, wyzierają zwiotczała skóra i obwisłe piersi. Opróżniam butelkę napoju, która niemal parzy mi dłoń. Starej nie chce się nawet spojrzeć, czy zapłaciłem, ile należy. U końca podcieni ziaje rozciągnięty pies, kropelki śliny kapia z wywieszonego jęzora.

Wśród pól za murami miasta widać łąty nie zżętego ryżu, jasnożółte, ciężkie od dojrzałego ziarna. Na polach, z których zebrano ryż, pyszni się zieleń świeżych sadzonek przeznaczonych na późne żniwa. Na drodze i polach pusto, wszyscy chłodzą się w domach.

Jadę środkiem szosy, nad powierzchnią drogi faluje gorące powietrze jak przezroczyste płomienie. Pot spływa mi po plecach, więc ściagam koszulkę i zawiązuję na głowie, żeby chociaż trochę zasłonić się przed słońcem. Kiedy przyśpieszam, koszulka łopecie; czuję wtedy wilgotny powiew koło uszu.

W tych suchych stronach bawełnę okrywają wielkie czerwone i żółte kwiaty; roślina z pasmami białych kwiatów to sezam. W górze pałace słońce, pod nim upiorna samotność, dziwne, nie słychać żadnych świerszczy ani żab.

Pedałuję w szortach mokrych od potu, lepiących się do ud, dobrze by było je zdjąć. Zaraz przypominają mi się widziani w dzieciństwie chłopcy o opalonych ramionach, z wielkimi dragami w rękach, pracujący przy kołach wodnych nago. Kiedy polem przechodziły kobiety, zaczynali śpiewać sprośne śpiewki, ale bez złych zamiarów, a kiedy ich śpiew dotarł do kobiet, te po prostu się uśmiechały. Najzwyczajniej, mężczyźni śpiewali, żeby zapomnieć o zmęczeniu, czy to nie źródło ludowych pieśni tego rodzaju? Ten cały region jest ojczyzną pieśni *Gongji i bębny towarzyszące plewieniu*, śpiewanej podczas pracy w polu. Lecz koła wodne dziś wyszły z użycia, maszyny nawadniające napędza prąd; takich obrazków już dziś nie ma.

Chociaż wiem, że nic nie zobaczę na miejscu starożytnej stolicy królestwa Chu, że ten wypadek to strata czasu, lecz chodzi o dwadzieścia kilometrów tam i z powrotem, żałowałbym, gdybym zrezygnował przed wyjazdem z Jianglingu. Zakłócam popołudniową drzemkę młodej pary opiekującej się stanowiskiem archeologicznym. Zaledwie przed rokiem ukończyli uniwersytet i znaleźli się tu w roli strażników, pilnują obszaru, gdzie pod ziemią drzemią ruiny. Nie wiadomo, kiedy się zaczną prace wykopaliskowe. Świeżo poślubieni, może nigdy nie zaznali takiej samotności, dlatego są tacy gościnni. Młoda żona nalewa mi dwie czarki gorzkawego naparu ziołowego, przeciw przegrzaniu, a młody mąż prowadzi mnie na wzgórze, pokazuje pola ryżowe, już po żniwach, i położony wyżej pod wzgórzem pas ziemi pokryty bawełną i sezamem.

- Po podbiciu królestwa Chu przez dynastię Qin - mówi młody człowiek - w mieście Jinan nie mieszkał już nikt. Nie zachowały się żadne przedmioty ani dzieła sztuki z czasów następujących po epoce Walczących Królestw, natomiast w mieście odkopywano grobowce z tej epoki. Miasto zbudowano w środkowym okresie epoki Walczących Królestw. Zapisy historyczne mówią, że stolicę przeniesiono do Ying jeszcze przed panowaniem Huaia, króla Chu, więc z daty panowania Huaia wynika, że Ying było stolicą Chu przez czterysta lat. Niektórzy uczeni spierają się, rzecz jasna, widzą to inaczej, twierdzą, że Ying nie wznosiło się w tym miejscu. Jakkolwiek by było, my wychodzimy od archeologii: raz po raz podczas orki chłopcy znajdowali liczne skorupy naczyń i przedmioty z brązu z epoki Walczących Królestw. Wykopaliska w tym miejscu będą na pewno bardzo efektowne. - Kieruje rękę w bok. - Kiedy wielcy generałowie Qinów doszczętnie złupili Ying, skierowali na tę stolicę rzekę. Miasto z trzech stron ogrodziły tamy, a rzeka Zhu popłynęła na wschód od Bramy Południowej do Północnej. Tam na wschodzie, u podnóża tego właśnie wzgórzka rozciągało się jezioro aż po Yangzi. Rzeka Yangzi płynęła wówczas w sąsiedztwie Jingzhou, lecz teraz jej koryto przesunęło się na południe o prawie dwa kilometry. Na wprost, na górze Ji, są groby arystokracji Chu. Na południu góra Baling kryje groby królów Chu, pokolenie za pokoleniem, ale te wszystkie groby spładowano.

W dali widać parę niewielkich falistych wzgórków, w dokumentach mowa o nich jako o górach; zapewne były kiedyś górami.

- Tu była dawniej wieża bramy miejskiej - mówi, wskazując na spłacheć pola ryżowego u naszych stóp. - Kiedy rzeka wylewa, przybywa co najmniej dziesięć milimetrów osadu.

Zgadzałoby się, jeśli oceniać według ukształtowania terenu; obszar, po którym stąpom, jest nieco wyższy od pól ciągnących się stąd w dal, z wyjątkiem ziemnych grobli między polami.

-W południowo-wschodniej części miasta wznosiły się pałace, północna była dzielnicą handlową, w południowo-zachodniej znaleziono resztki pieców hutniczych. Na południu poziom wód gruntowych jest wysoki, dlatego zabytki archeologiczne nie zachowały się tak dobrze jak na północy.

Kiwam głową, przytakuję; mogę sobie z grubsza wyobrazić zewnętrzne mury miasta. Gdyby nie żar i jaskrawość południowego słońca, gdyby spod ziemi wypłynęły wszystkie duchy, wieczorem zawrzałoby na pewno na targowiskach.

Schodzimy po zboczach, on zaś mówi, że właśnie opuściliśmy miasto. Ówczesne jezioro to dziś ledwie stawek, lecz rośnie w nim lotos, z wody wynurzają się różowe pełne kwiaty. Kiedy wysokiego urzędnika państwowego, Qu Yuana, przepędzono z pałacu, zapewne przechodził u podnóża tego wzniesienia i z pewnością zerwał kwiat lotosu, żeby go wetknąć za pas. Zanim jezioro skurczyło się i zamieniło w ten stawek, brzegi porośnięte były wonnymi roślinami, z których Qu Yuan mógł upleść kapelusz. To tutaj, w tym żyznym, obfitującym w wodę kraju trysnął zeń rozgłośny śpiew, a rozśpiewany Qu Yuan pozostawił potomności swe niezrównane pieśni. Gdyby nie przepędzono go z pałacu, może nie stałby się wielkim poetą.

Podobnie, gdyby Li Bai nie został wygnany z dworu cesarza Xuanzonga z dynastii Tang, nie stałby się zapewne nieśmiertelnym poetą i nie krążyłaby legenda o tym, jak wypłynął łodzią, pijany, wyciągnąć z wody księżyc. Powiadają, że utonął pod Granią Caishi w dolnym biegu Yangzi. Woda odsunęła się daleko stamtąd, teraz to piaszczysta mierzeja grubo pokryta rzeczonym osadem. Nawet starożytne miasto Jingzhou znajduje się teraz poniżej łożyska rzeki, a gdyby nie dziesięciometrowe groble, już dawno zamieniłoby się w Pałac Króla Smoka.

Jadę potem przez prowincję Hunan, przekraczam rzekę Miluo, w której z kolei utonął Qu Yuan. Nie wybieram się jednak nad brzeg jeziora Dongting, śladami Qu Yuana, od kilku spotkanych ekologów usłyszałem bowiem, że z liczącego osiemset *li* obszaru wody pozostała ledwie jedna trzecia tego, co widać na mapie. Z isticie naukowym chłodem zapowiadali, że jeśli utrzyma się dzisiejsza stopa gromadzenia osadów i osuszania ziemi, to w ciągu dwudziestu lat zniknie największy zbiornik słodkiej wody w kraju, wbrew temu, co pokazują mapy.

Ciekawe, czy w rzece przed chłopskim domem w Lingling - gdzie matka zabrała mnie, jeszcze chłopca, w obawie przed japońskimi samolotami - wciąż toną psiaki. Nawet dziś staje mi przed oczami ociekająca, mokra sierść psich zwłok na piaszczystym brzegu. Matka też utonąła. Swego czasu odpowiedziała na apel i śmiało zgłosiła się jako ochotniczka do pracy na roli, reformować swój światopogląd. Skończyła pracę na wieczornej zmianie, poszła umyć się nad rzekę, a o świcie znaleziono jej ciało. Miała zaledwie trzydzieści dziewięć lat. Widziałem jej album z czasów, kiedy była siedemnastolatką, z wierszami napisanymi przez nią i grupę oddanej sprawie młodzieży, uczestników ruchu wyzwolenia narodowego. Rzecz jasna, jej wiersze nie były dziełami na miarę Qu Yuana.

Młodszy brat matki też utonął. Nie wiem, czy w przyprawie młodzieńczej brawury czy w patriotycznym uniesieniu, w każdym razie zdawał do akademii lotniczej; w dniu, w którym go przyjęto, szalał z radości i z grupą koleżków wybrał się popływać w rzece Gan. Kiedy zanurkował, skoczywszy z deski wysuniętej nad środek nurtu, nad bystry prąd, jego tak zwani przyjaciele byli zajęci dzieleniem się drobnymi, które zostawił w kieszeniach spodni. Potem uciekli, widząc, że coś jest nie w porządku. Może był to przypadek sprowadzenia na siebie nieszczęścia. Miał zaledwie piętnaście lat, a moja babka ze strony matki była zdruzgotana z żalu.

Jej najstarszy syn, a mój najstarszy wuj, nie był aż takim patriotą. Potomek starej szlacheckiej rodziny uczonych, nie przepadał za bezsensownymi zajęciami, natomiast koniecznie chciał być modny, a w owych czasach wszystko, co zamorskie, było modne; dziś słowo to brzmi „nowoczesny”. Chodził w garniturze i krawacie, jak na tamte czasy nosił się naprawdę nowoczesnie. Jego słabostką stała się fotografia, a fotografowanie było podówczas naprawdę nowoczesne. Trzaskał zdjęciami gdzie popadnie, sam je wywoływał; nie interesowało go dziennikarstwo, fotografował natomiast świerszcze. Jego zdjęcia walczących owadów zachowały się do dziś, nie spłonęły. Zmarł bardzo młodo, na chorobę spowodowaną przez

pierwiastek zimna. Ze słów matki wynikało, że już zaczynał zdrowieć, ale łąpczywie zjadł całą miskę smażonego ryżu z jajkami, a wówczas choroba rozwinęła się na nowo i umarł. Upodobanie do nowoczesności okazało się bezużyteczne, ponieważ wuj nic nie wiedział o nowoczesnej medycynie.

Babka ze strony matki zmarła po matce. Zważywszy na wczesne zgony potomstwa, mogła uchodzić za kobietę długowieczną; przeżyła własne dzieci. Zmarła w zakładzie dla samotnych starców. Mimo że nie jestem potomkiem ludu Chu, składam jednak hołd starej stolicy królów Chu, nie zważając na żar lejący się z nieba; dlaczego więc nie miałbym poszukać miejsca spoczynku własnej babki, która prowadziła mnie za rękę na targ przy świątyni Chaotiangong, żeby kupić mi baka?

O śmierci babki dowiedziałem się od ciotki ze strony ojca. Ta ciotka nie popisała się długowiecznością i też nie żyje. Jak to jest, że wszyscy moi krewni to zmarli? Naprawdę nie wiem, czy to ja się zestarzałem, czy też ten świat jest już za stary?

Dziś babka ze strony matki jawi mi się jako ktoś z innego świata. Wierzyła w duchy i zjawy, trwożyła ją myśl, że pójdzie do piekła, więc zawsze starała się mnożyć cnoty w nadziei, że spotkają nagrodą w następnym wcieleniu. Owdowiała za młodu; po śmierci męża, mego dziadka, który zostawił trochę majątku, jak rój much kręciła się przy niej gromadka mediów gotowych wywoływać duchy. Ci ludzie zmawiali się, żeby ją nakłonić do pozbycia się bogactw, bo wówczas spełnią się jej życzenia; kazali jej rzucić nocą do studni srebrne monety. Tymczasem na dno tej studni wstawili druciane sito i srebro babki zgarniali do własnych sakiewek. Wygadali się kiedyś po pijanemu i było z tego mnóstwo uciechy. W końcu babka tyle straciła, że sprzedała wszystkie swoje domy, zostając tylko z plikiem aktów własności pól, wydzierżawionych przed laty; odtąd utrzymywała się z córkami tylko z tej dzierżawy. Potem na wieść o reformie rolnej moja matka przypomniała babce o tych papierach i kazała natychmiast przeszukać kufer. Wyrzebały pakiet zawinięty w marszczony żółty papier i w bawełniany, do oklejania okien. Śmiertelnie przerażone, wrzuciły w popłochu pakiet do pieca, gdzie spłonął.

Ta babka miała gwałtowny temperament; gdy rozmawiała z ludźmi, brzmiało to jak kłótnia. Nie układało im się ze sobą, matce i babce. Kiedy już miała nas opuścić i wyjechać do swego dawnego domu, powiedziała, że poczeka, aż jej wnuk, czyli ja, wyrosnie na największego uczonego w kraju, a wtedy odwiezie ją do domu autem i zaopiekuje się nią na starość. Nie wiedziała jednak, że jej wnuk nie spełni wymagań stawianych wysokim urzędnikom i że - nie zasiadłszy ani na chwilę w żadnym stołecznym urzędzie - zostanie zesłany na wieś, żeby przejść reedukację w drodze pracy na polu. To wtedy babka zmarła w zakładzie dla samotnych starców. W tych latach chaosu nikt nie wiedział, czy żyje czy nie. Mój brat, który pod pozorem troski o rewolucyjne kontakty uzyskał prawo darmowej jazdy pociągami, specjalnie udał się w podróż na poszukiwanie babki. Wypytywał w paru zakładach dla starców, tam zaś odpowiadano, że nie było takiej osoby. Natomiast jego spytano, czy babka znajduje się w zakładzie dla czcigodnych czy też samotnych starców. Brat zapytał, na czym polega różnica. Usłyszał szorstkie wyjaśnienie, że zakłady dla czcigodnych starców opiekują się ludźmi o nieposzlakowanych życiorysach, nie mającymi kłopotów z pochodzeniem klasowym. Natomiast ludzie o niedostatkach czy to w dziedzinie pochodzenia klasowego, czy życiorysu, bądź tacy, których nie sposób należycie zaklasyfikować, odsyłani są do zakładów dla samotnych starców. Wobec tego brat zadzwonił do zakładu dla samotnych starców. Głos, który usłyszał, brzmiał jeszcze bardziej szorstko i pytał o rodzaj więzów łączących z poszukiwaną. Dlaczego o nią wypytuje? A w owym czasie mój młodszy brat, świeżo po studiach, jeszcze nie otrzymywał płacy, za którą mógłby się utrzymać; bał się, że może stracić pozwolenie na pobyt w mieście, więc szybko odłożył słuchawkę. W kilka lat później w instytucjach akademickich wprowadzono wojskowy regulamin. Organizacje i fabryki zostały oddane pod nadzór wojska i oto ludzie niezdyscyplinowani stali się nagle zdyscyplinowani. Moja ciotka ze strony ojca właśnie wróciła do pracy w mieście po przejściu reedukacji na wsi i napisała, że babka zmarła przed dwoma laty.

W końcu dowiedziałem się, że ów zakład dla samotnych starców znajduje się o dziesięć kilometrów stąd, na przedmieściach, w miejscu zwanym Taohuacun - Wioską Brzoskwinowego Kwiatu. W palącym słońcu jadę na rowerze około godziny, przechodzę dziedziniec zespołu zabudowań opatrzonych znakiem „dom ludzi sędziwych”. Leży przy tartaku, drzewek brzoskwinowych ani śladu. Zespół składa się z kilku piętrowych

budynków, nie widzę jednak starych ludzi. Może są wrażliwsi na upał i pochowali się w pokojach, szukając wytchnienia tam, gdzie chłodniej.

Znajduję biuro, drzwi są otwarte. Urzędnika w podkoszulku, który skrzyżowawszy nogi na stole, odchylił się na trzcinowym krześle, pochłania studiowanie gazety. Pytam, czy tutaj był zakład dla samotnych starców w czasach, w których w takim zakładzie znajdowała się moja babka.

Odkłada gazetę i mówi:

- Wszystko znów się zmieniło; dziś nie ma zakładów dla samotnych starców, teraz są domy ludzi sędziwych.

Nie dociekam, czy są jeszcze zakłady dla czcigodnych starców, tylko proszę, żeby sprawdził, czy taka a taka wiekowa osoba, już nieżyjąca, przebywała tu swego czasu. Nie robi trudności, nie żąda dowodu osobistego, wyciąga rejestr zmarłych, sprawdzając rok po roku, zatrzymuje się na jakiejś stronie i znowu pyta o nazwisko:

- Kobieta?

- Kobieta - przytakuję.

Podsuwa rejestr tak, że mogę przeczytać. To najwyraźniej nazwisko mojej babki; obok dane dotyczące wieku.

- Zmarła przed dziesięcioma laty - wzdycha.

- Tak - mówię. - Czy pan tu pracował przez ten cały czas?

Potakuje; pytam, czy pamięta, jak wyglądała zmarła.

- Muszę pomyśleć. - Odchyła się, wspiera głowę na oparciu krzesła. - Była staruszka niska i szczupła?

Przytakuję, lecz przypominam sobie wiszącą w domu starą fotografię, babka, już leciwa, była na niej bardzo tęga. Zdjęcie zrobiono kilka dziesięcioleci temu, u jej boku stałem też ja, bawiłem się bakiem. Zapewne nikt już nie zrobił jej później żadnych zdjęć. Z upływem paru dziesięcioleci wygląd ludzi zupełnie się zmienia, chociaż struktura kości pozostaje ta sama. Matka była zdecydowanie niska, więc babka nie mogła być jakaś bardzo wysoka.

- Czy zawsze krzyczała, zamiast mówić?

W jej wieku tylko nieliczne kobiety mówią, zamiast krzyczeć; ważne, że zgadza się nazwisko.

- A czy wspomniała kiedyś, że ma dwóch wnuków, synów jej córki? - pytam.

- Pan jest tym wnukiem?

-Tak. Kiwa głową.

- Chyba wspominała, że ma wnuki.

- Czy kiedyś powiedziała, że zjawią się i ją zabiorą?

-Tak.

- A ja w tym czasie byłem na wsi.

- To rewolucja kulturalna - usprawiedliwia mnie w ten sposób. - Umarła śmiercią naturalną.

Nie drażę, jak umierali ci, którzy nie zmarli śmiercią naturalną, po prostu pytam, gdzie została pochowana.

- Została spalona. Wszystkich się pali. Nie tylko z domów dla ludzi sędziwych, nawet kiedy my umrzemy, zostaniemy spaleni.

- Miasta są przeludnione, nie ma miejsca dla zmarłych -kończę za niego wywód, a potem pytam: - Przechowujecie jej prochy?

- Zajęto się nimi. Tutaj są sami starzy ludzie, którzy nie mają krewnych, ich prochy składa się razem.

- Mają wspólny grób?

- Eee... - Zastanawia się, jak odpowiedzieć.

Winić można tylko niegodnego wnuka, nie jego; mogę jedynie podziękować, to wszystko.

Wychodzę z domu dla ludzi sędziwych, wsiadam na rower i myślę, jeżeli nawet gdzieś jest ten wspólny grób, w przyszłości nie zainteresuje archeologów. Niemniej, w końcu odwiedziłem moją babkę ze strony matki, tę, która niegdyś kupiła mi baka.

Wciąż szukasz śladów dzieciństwa, staje się to obsesją. Chcesz odwiedzić wszystkie miejsca, w których spędzałeś dzieciństwo, domy, podwórza, ulice i ścieżki twojej pamięci.

Twój dom mieścił się kiedyś na piętrze samotnego budyneczku na pustej parceli z wielką stertą gruzu od frontu; ze stojącym tam niegdyś budynkiem rozprawiła się bomba czy pożoga i nie odbudowano go. Gruzy i resztki murów porosły zieloną szczeciniastą trawą, a pod potrzaskanymi ceglami i dachówkami często można było znaleźć świerszcze, bardzo sprytniej odmiany, zwane czarnym atlasem; wibracji ich atramentowoczanych lśniących skrzydeł towarzyszył nośny, czysty dźwięk. Była też inna odmiana, szarańczowata, o dużym ciele, wielkiej gębie, doskonała w walce. W dzieciństwie świetnie się bawiłeś na tej stercie gruzu.

Pamiętasz też, że kiedyś mieszkałeś przy dziedzińcu ciągnącym się w głąb zespołu zabudowań. Do domu prowadziły ciężkie wielkie czarne drzwi, musiałeś się wspinać na palce, żeby dosięgnąć metalowego pierścienia u zasuwki. Kiedy były otwarte, musiałeś obejść rzeźbioną ściankę. Rogi i głowy kamiennych jednoroźców po obu stronach lśniły, bo dzieci dotykały ich za każdym razem, wchodząc i wychodząc. Za rzeźbioną ścianką rozciągał się mokry, porośnięty mchem dziedziniec, na który stale wylewano wodę, przez nieostrożność mogłeś się tam poślizgnąć i upaść. Miałeś wówczas parę królików albinosów. Jednego, w drucianej klatce, rozszarpała żółta łasica, później ten drugi też przepadł. Po kilku dniach, kiedy poszedłeś się bawić na tylnym podwórku, odkryłeś, że się utopił w nocniku, jego białe niegdyś futro pokrywały nieczystości. Długo wpatrywałeś się w tego królika, lecz od tamtej pory, jeśli pamiętasz, już nie poszedłeś na tylne podwórko.

Przypominasz też sobie, że kiedyś mieszkałeś przy dziedzińcu o okrągłym wejściu. Podwórce - może dzięki rosnącym na nim żółtym chryzantom i purpurowym celozjom - zawsze wydawało się jasne i słoneczne. W głębi podwórza była furta, a za nią, u stóp kamiennych schodków, rozpościerało się jezioro. W wieczór Święta Środka Jesieni dorosli otwierali furte, wystawiali stół z księżycowymi ciasteczkami i pestkami melona; siedząc na wprost jeziora, jedząc i pijąc, podziwiali księżyc. Na niebie, ponad spokojną głębią przeciwległej strony jeziora wisiał jasny księżyc w pełni, a na powierzchni wód kołysało się jego wydłużone odbicie. Którejś nocy przechodziłeś koło furty i odsunąłeś rygiel; przeraziła cię ta samotna toń jeziora, jej piękno było zbyt głębokie, było czymś ponad siły dziecka, więc uciekłeś co sił w nogach. Odtąd zawsze przechodziłeś koło furty z najwyższą ostrożnością i nigdy więcej nie ośmieliłeś się tknąć rygla.

Pamiętasz też, że kiedyś mieszkałeś w domu z ogrodem, ale potrafisz sobie z niego przypomnieć tylko wzorzystą ceglana podłogę w twoim dużym parterowym pokoju; grywałeś na niej w szklane kulki. Matka nie pozwalała ci grać w ogrodzie. Chorowałeś i większość czasu spędzałeś w łóżku, grać mogłeś tylko w domu, kulkami z własnego pudełka. Kiedy matka wyszła, stawałeś na łóżku i trzymając się parapetu, patrzyłeś na kolorowe flagi na parowcach i przystani. Nad Yangzi zawsze mocno wiało.

Odwiedzasz te stare miejsca, ale nic nie znajdujesz. Nie ma już sterty gruzu przed piętrowym budyneczkiem, nie ma też ciężkich czarnych drzwi z zasuwą o metalowym pierścieniu, nie ma nawet spokojnej uliczki przed domem, a już na pewno nie ma zabudowań przy dziedzińcu z rzeźbioną ścianką. Pewnie zamieniono to miejsce w asfaltową ruchliwą drogę - jada tamtędy ciężko załadowane ciężarówki, trąbią, wzbijają kurz, podrywają papierki po lodach, jada dalekobieżne autobusy z wyjętymi oknami, unosząc na dachach bezlik najróżniejszych toreb z miejscowymi specjałami, ubraniami i żywnością, które zostaną gdzieś sprzedane -pokrytą łuskami melonowych pestek i przeżutymi kawałkami trzciny cukrowej wyplutymi przez okna pojazdów. Nie ma mchu ani okrągłego wejścia, nie ma żółtych chryzantem ani purpurowych celozji, nie ma wydłużonego księżyc na jeziorze, przerażającego spokoju ani samotności. Są zamiast tego wciąż te same standardowe budynki z czerwonej cegły z oszczędnymi piecykami kuchennymi na koks, stojącymi rzędem na korytarzach przed drzwiami każdego mieszkania, jak na warcie. Wzdłuż brzegów Yangzi już nie słychać głośniego łopotu flag na wietrze. Zamiast tego są tylko składy, składy, magazyny, składy, magazyny, cement w grubych workach papierowych, nawozy sztuczne w cienkich workach plastikowych oraz ryczące głośniki, z których dolatują apele lub śpiewy.

Błąkasz się, oszołomiony, z miasta do metropolii, z miasteczka powiatowego do stolicy regionu, potem do stolicy prowincji, potem z innej stolicy prowincji do innej stolicy regionu,

potem z jednego miasta powiatowego do drugiego i następnych. Potem przemierzasz stolicę jakiegoś regionu, żeby wrócić do jakiejś stolicy prowincji. Czasami w wąskiej uliczce, o której zapomnieli miejscy planiści albo o którą się nie troszczyli, albo nie zamierzali nic na niej zrobić, albo zamierzali, ale nie mogli, widzisz nagle stary dom z otwartymi drzwiami, zatrzymujesz się, zaglądasz na podwórze, gdzie suszy się bielizna na bambusowych tykach. Jest tak, że jeśli tylko wejdiesz, powrócisz w czasy dzieciństwa i wówczas odżyje to, co teraz pamiętasz mgliście.

Kiedy wchodzisz, pojmujesz, że wszędzie, gdzie wejdiesz, możliwe bywa odkrycie resztek twego dzieciństwa. Stawy pokryte rzęsą, małomiasteczkowe winiarnie, okna pokoi na piętrze wywieszane nad ulicą, kamienne łuki mostów, przepływające pod nimi łodzie z baldachimami, wyschnięta stara studnia, to wszystko się wiąże ze wspomnieniami twego dzieciństwa i przyprawia o bezbrzeżny smutek, nieważne, czy rzeczywiście znalazłeś się w tym samym miejscu, w którym już byłeś w dzieciństwie, czy nie. Stare kryte gontem dachy w nadmorskim miasteczku i kwadratowe stoliki na dworze, przy których ludzie popijają zimną herbatę, wzbudzają w tobie chorobę tęsknoty za domem. Grobowiec Lu Guimenga z epoki Tang, kryjący zapewne tylko jego strój i przybranie głowy, porastają dziś pnącza i dzikie konopie, ta mogiła znajduje się na tylnym podwórku jakiejś nieznanej starej szkoły w pobliżu pól i paru starych drzew, ale na ukośne promienie popołudniowego słońca kładzie się cieniem twój niewytłumaczalny żal. Samotne zabudowania w regionach zamieszkałych przez Yi i drewniane domy wsparte na palach w odległych osadach Miao w połowie wysokości góry, o których nigdy ci się nawet nie śniło, coś ci mówią. Zastanawiasz się, trudno i darmo, czy może kiedyś już istniałeś i zachowałeś jakieś wspomnienia z poprzedniego życia, a może te miejsca będą twoją ucieczką w twym życiu przyszłym? Niewykluczone, że takie wspomnienia przypominają wino, wytworzą po fermentacji czystą, wonną miksturę, która znów cię upoi.

Czym są w istocie wspomnienia z dzieciństwa? Jak je zweryfikować? Po prostu zachowaj je w sercu, po cóż upierać się przy weryfikacji?

Uświadamiasz sobie, że to dzieciństwo, którego poszukujesz, wcale nie musi być nieodwołalnie związane z konkretnym miejscem. Czyż nie jest tak samo z jakimś tak zwanym miastem rodzinnym? Nic dziwnego, że to wszystko - niebieski dym z komina snujący się nad dachówkami domów w miasteczkach, miechy skrzypiące u kuchennych pieców opalanych drewnem, przezroczyste owadziki koloru ryżu o krótkich przednich i długich tylnych odnóżach, paleniska, zrobione z drewnianych kubłów ule wiszące na ścianach ludzi z gór - wzbudza twą tęsknotę za domem; że stało się rodzinnym miastem z twych snów.

Chociaż urodziłeś się w mieście i większą część życia spędziłeś w ogromnej metropolii, nie potrafisz tej ogromnej metropolii uczynić rodzinnym miastem twego serca. Może dlatego, że jest taka ogromna i możesz w niej znaleźć najwyżej tylko w jakimś konkretnym miejscu, zakątku, pokoju, w konkretnej chwili te wspomnienia, które należą wyłącznie do ciebie, w takich zaś tylko wspomnieniach możesz w pełni utrwalić sam siebie. Być może. W końcu w tym olbrzymim ludzkim oceanie jesteś w najlepszym razie łyżeczką zielonej wody morskiej, nieważną i nietrwałą.

Powinieneś wiedzieć, że niewiele można od tego świata wydębić, nie ma powodu, żebyś był taki chciwy, w końcu wszystko, co możesz osiągnąć, to wspomnienia, mgliste, nieuchwytnie, podobne do wspomnień o snach, których nie sposób streścić. Kiedy chcesz o nich opowiedzieć, okazują się tylko zdaniem; jakimiś fusami osadzonymi na filtrze struktur językowych.

Zjawiam się w tym ruchliwym, rozświetlonym mieście o ludnych ulicach, o jezdniach, na których strumień pojazdów nie ma końca. Zmiana świateł na skrzyżowaniu przypomina otwarcie wrót słuzy, uwalniające wezbraną falę rowerów. Wszędzie modne koszulki, neony, ludzie piękni jak z reklam.

Zamierzałem znaleźć sensowny hotel w pobliżu dworca kolejowego, wziąć gorącą kąpiel, zjeść coś przyzwoitego, trochę sobie dogodzić, potem solidnie odespać zmęczenie nagromadzone w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Przemierzam ulicę za ulicą, ale hotelowe jedyne są wszędzie zajęte, widocznie ludziom wiedzie się lepiej, chcą mieć pokoje tylko dla siebie. Skoro już nastawiłem się dziś wieczorem na zachcianki, skoro mierzi mnie myśl o spaniu w dużym wspólnym pomieszczeniu zionącym odorem potu, także o dostawionym na korytarzu łóżku, które o świcie trzeba opuścić i sprzątnąć, to nie mam wyboru: muszę czekać w hotelowym holu na ludzi wyprawiających się nocnym pociągiem, aż zwolnią pokój. Dokuczliwa sytuacja. Nagle przypominam sobie, że mam numer telefonu kogoś zaprzyjaźnionego z moim z kolei dobrym pekińskim przyjacielem, który powiedział, że przejeżdżając, mogę śmiało skontaktować się z tym człowiekiem.

Postanawiam spróbować. Mężczyzna, który odbiera, odzywa się szorstko i każe czekać. Nie lubię telefonu; po pierwsze, nie mam prywatnego aparatu, po drugie, wiem, że niektórzy ludzie na stanowiskach upoważniających do zainstalowania domowego telefonu często stosują tę taktykę wobec telefonujących nieznanym: kiedy rozmówca już się niecierpliwi, mówią, że danej osoby nie ma, albo po prostu odkładają słuchawkę. Zaledwie garstka moich przyjaciół ma telefony, więc ów przyjaciel mego przyjaciela na pewno jest osobistością urzędową. Nie mam uprzedzeń wobec osobistości urzędowych, nie osiągnąłem stanu, w którym gwizdże się na zbiorowość, lecz powiedziałbym, że z sięganiem po telefon wiąże się uszczuplenie ludzkich uczuć, dlatego dzwonię tylko wyjątkowo. Wciąż czekam. Jeśli odłożę słuchawkę, pozostanie mi czekać w hotelu, mogę więc równie dobrze tkwić przy aparacie. Z takim czy siakim skutkiem, zawsze to sposób zabijania czasu.

W końcu odzywa się nieprzyjazny głos, wypytuje, potem słyszę okrzyk zdumienia i pytanie, gdzie jestem. Mówi, że się zjawi i zabierze mnie. Tak, jest dobrym przyjacielem mego starego przyjaciela z czasów, w których tamten jeszcze mnie nie znał, ale, rzecz jasna, uznaje tę przyjaźń. Natychmiast porzucam zamiary hotelowe, pytam, jakim dojechać trolejbusem, biorę plecak i wychodzę.

Przed drzwiami czuję lekki niepokój. Pukam, otwiera pan domu, uwalnia mnie od bagaży i bez śladu ceremonialności, nawet nie podając ręki, objawszy mnie ramieniem, prowadzi do środka.

Przyjemny dom! Z holu wchodzi się do dwóch elegancko urządzonych pokoi z wyplatnymi z trzciny krzesłami, stolikami o szklanych blatach i serwantką z bibelotami, zabytkowymi bądź zagranicznymi. Na ścianach wiszą malowane porcelanowe talerze, a lakierowane brązowo, czyste podłogi tak lśnią, że nie wiem, gdzie stąpać. Najpierw uświadomiam sobie, że chodzę w zabłoconych butach, potem widzę w lustrze zmierzwiłone włosy i brudną twarz. Nie strzyżony od miesiący, z trudem się rozpoznaje.

- Wyglądam jak Dziki Człowiek - mówię zakłopotany własnym zaniedbaniem - ale przejeżdżam z gór.

- Gdyby nie to, nie mielibyśmy okazji pana gościć - mówi gospodarz.

Jego żona ściska mi dłoń, krząta się przy podawaniu herbaty. Córka, która nie ma jeszcze dziesięciu lat, nazwała mnie wujkiem. Stoi w drzwiach, popatruje, niepewnie się uśmiecha.

Gospodarz mówi, że dostał list od pekińskiego przyjaciela; wie, że wędruję, czeka już na mnie od pewnego czasu. Opowiada nowiny ze świata polityki i literatury; że jakaś postać pojawiła się na nowo, inną zaś odsunięto od władzy, że ów wygłosił takie a takie przemówienie, inny zaś przedstawił taki a taki pogląd. Wyszedł artykuł odnoszący się wprost do mnie, z nazwiska; pisano, że dzieła autora są kontrowersyjne, byłoby jednak błędem go zadeptać. Mówię, że takie historie już mnie nie obchodzą, czuję potrzebę życia, w tej chwili na przykład czuję potrzebę gorącej kąpieli. Jego żona wybuchła śmiechem i mówi, że zaraz zagrzeje wodę.

Myję się, potem gospodarz prowadzi mnie do pokoju córki, służącego mu także za gabinet; mówi, że mogę przespać się chwilkę, jeśli jestem zmęczony, potem obudzi mnie i coś zjemy. Słyszę, że w kuchni żona coś smaży.

Leżę w czystym łóżeczku córki, z głową na haftowanej poduszce z pręgowanym kotem; myślę, że zdecydowałem się zadzwonić w dobrą godzinę, telefon zaś to nie takie złe urządzenie. Pytam, czy jest urzędnikiem i czy w ten sposób dołączył do klasy posiadaczy telefonów. Mówi, że telefon w biurze na parterze służy do wspólnego użytku, dyżuruje przy nim pracownik, żeby ludziom dać znać, że ktoś dzwoni. Mówi, że ma paru młodych przyjaciół, którzy chcą mnie poznać. Tego gorącego lata wszyscy kładą się późno, niektórzy mieszkają w sąsiedztwie, wystarczy zadzwonić, gdybym chciał się z nimi zobaczyć. Pociągający pomysł; wkrótce zza zamkniętych drzwi sypialni słyszę otwieranie wejścia, potem kroki na schodach, wreszcie rozmowy w dużym pokoju. Rozprawiają o twoich utworach i ciosach, które na ciebie spadły. Chyba zostałeś obrońcą sprawiedliwości społecznej. Mówisz, że nie jesteś zamieszany w obronę sprawiedliwości społecznej, mówisz, że nie tylko osobistości urzędowe popadają w niedorzeczność, świat i ludzie stają się coraz bardziej groteskowi. Nie sądzisz, że jacyś przyjaciele jeszcze się tobą przejmują, lecz to wprawia cię w nastrój, w którym czujesz chęć życia, na przekór wszystkiemu. Mówią później o kobietach, że załatwią na jutro jakieś towarzystwo, możecie więc iść na tańce. Czemu nie? właśnie ty to mówisz, kobiety okazują się rozradowaną gromadką młodych aktorek lub świeżo upieczonych absolwentek uniwersytetu, namawiają na wypad do sosnowego lasu na grzyby, świetna myśl, ale czy nikt się nie boi zatrucia? skosztuj pierwszy, zjemy, kiedy już wypróbujesz, czy ktoś cię prosił, żebyś był bohaterem? bohaterowie muszą się poświęcać dla kobiet! nie popuszczają, mówisz, że umieranie bardziej przystoi kobietom, mówią, że wcale nie są takie okrutne, nie są cesarzową Wu Zetian ani Jiang Qing, nie są cesarzową wdową Cixi, nie obchodzi ich, czy te stare kaszaloty żyją, czy poumierały, one chcą cię zachować, możesz więc rozpalic ognisko, do gotowania grzybów przyniosą wielką miednicę i zbiorą chrust, kładziesz się na ziemi, dmuchasz w suche igły sosnowe i w suche liście, strzelają płomienie, ciebie pieką czy od dymu, kobiety zaś krzyczą z radości, ruszają w tan wokół ognia, ktoś gra na gitarze, ty zaś ze szczęścia fikasz kozła na trawie, wszyscy klaszczą, krzyczą brawo, młody człowiek robi stójkę na głowie bez podparcia rękami, potem zamęcza młodą kobietę namawianiem na zrobienie salt, ona zaś mówi, że może zatańczyć to, co inni, wszystko, lecz oni chcą zobaczyć jej specjalność, mówi, że ma na sobie spódnicę, lecz co to za problem spódnica, ludzie nie chcą oglądać spódnicy, tylko akrobacje, młodzi mężczyźni nie odpuszczają, trudno, jej wina, to ona zdobyła mistrzostwo! kobiety też się śmieją, dokuczają, więc skacze, robi serię salt, do utraty tchu, mówisz, że w górach nauczyłeś się szamaństwa i czarów, umiesz uśmiercać żywych i ożywiać zmarłych, na to oni, że pieprzysz od rzeczy, jeżeli nie wierzycie, może ktoś się odważy na próbę? wskazują ją, tę kobietę, która leży na ziemi z zamkniętymi oczami i udaje zmarłą, odłamujesz gałąź pierzastej wierzby, machasz nią, toczysz oczami, błyskasz białkami i z inkantacją na ustach krążysz wokół kobiety, wierzbową gałęzią przepędzasz demony na cztery wiatry, młodzi mężczyźni klękają dokoła, złożyli dłonie, modlą się, zazdrosne kobiety zaczynają krzyczeć, szybko otwórz oczy, spójrz, ilu chce zostać twoimi kochankami! ryczysz na całe gardło, rozbierasz się do pasa i ruszasz w bój, wystawiasz język, krzyczysz i tańczysz, w transie wszyscy tańczą wokół niej, unoszą ją, złóżcie ją duchom w ofierze! rzućcie do rzeki, niechaj zostanie żoną Władcy Rzeki! ona wciąż krzyczy nie chcę! nie chcę! mówi, że zatańczy, wszystko zatańczy, byle nie wrzucać do rzeki, młodzi mężczyźni ogłaszają karę, ma zrobić szpagat ze wzniesionymi ramionami, nieruchomymi, sadyści! sadyści! protestują kobiety, lecz w tym momencie wszystko się urywa, kobiety i mężczyźni tarzają się po trawie, śmieją do rozpuku, no dobrze, dobrze, opowiedz nam teraz o tym, o czym? o tym, co ci się przydarzyło w podróżach? podobno wyruszyłeś na poszukiwanie Dzikiego? och, naprawdę widziałeś Dzikiego? widziałeś pandę? i coś nadzwyczajnego w tych pandach? pełno ich w zoo, mówisz, że widziałeś pandę, która szukając pożywienia, wlała do namiotu i wetknęła ci łeb w posłanie, kłamiesz! mówisz, że naprawdę chcesz się dostać do Shennongjia, podobno są tam Dzicy, chcesz schwytać takiego, zabrać do domu i uczyć mówić, nie traktuj nas jak dzieci, mówisz, że usiłowałeś być dzieckiem, ale nic z tego nie wyszło, naprawdę chciałeś powrócić do dzieciństwa, wszędzie podróżowałeś, szukając jego śladów, kobiety przyznają, że dzieciństwo jest lepsze, zapewnia piękne wspomnienia, ale nie mnie, słyhać głos, moje dzieciństwo było strasznie nudne, chcę żyć tylko w teraźniejszości, patrzeć w gwiazdy tak jak teraz, opowiedz nam o twoich utworach, słyhać inny głos, kobiecy, wszystko, co napisane, zostało wydane, a czego nie wydano, nie zostało napisane, nigdy nie spoważniejesz, mówisz, że całe życie jesteś zbyt poważny, po prostu chcesz być przez chwilę niepoważny, biedaku, wzdycha litościwie inny głos! lalalalala, słuchajcie, będę śpiewał!

jakbyś była jedyną pięknnością, jakbyś była jedyną jędzą, powalczcie obie, ta będzie piękna, która wygra, nie chcę osądzać, mówisz, ludzie zawsze chcą cię osądzać, twoja wina, bo chcesz sławy, przyznasz, że chcesz trochę sławy, lecz nie myślałeś, że tyle wyniknie z tego kłopotów, wszyscy się śmieją, ktoś mówi, wybierzmy się na drugi brzeg rzeki, wszyscy wchodzi do jaskini, trzymając się za ręce, przewodnik krzyczy, bo uderzył w coś głową, przyprawia to wszystkich znowu o napad śmiechu, w środku ciemno choć oko wykol, w obawie o głowy musimy się schylać, w końcu każdy uderza głową w plecy poprzednika, to wspaniała jaskinia do całowania się! nie widzimy się nawzajem, jeśli ci nie brak śmiałości, możesz całować, kogo chcesz, też mi zabawa, zamiast tego chodźmy popływać, wszyscy skaczą do strumyka, ostrożnie, nie pozwól mu na nic złego! komu? czy zły wie, że jest zły! może razem zaśpiewamy? może zabawmy się w palmę, dość już tych palm, wciąż tylko palmy, może w smoczego posłańca, kto chce komuś coś przesłać? to ty jesteś takim patriotą, to ty tak grasz ludziom na nerwach, mnie grasz na nerwach, przestańcie się wreszcie sprzeczać, dobrze? mój ojczu, bracia, tonę! z kogo aż taka cholera? zbieranie grzybów w mrocznej rzece podziemia, że co? że co takiego? nic tu nie ma do zbierania, najwyżej smutek, zagrajmy w brydża, nie, trzeba się za bardzo skupić, no to w zółwia, kto ciągnie... wyciągnąłem króla! ale fart, ludziom, którzy nie stawiają na szczęście, zawsze idzie karta, oto przeznaczenie, oto los, hej, wierzycie w przeznaczenie? przeznaczenie po prostu igra z ludźmi, do diabła z przeznaczeniem! do diabła z losem! dosyć gadania o demonach, w nocy można się wystraszyć ludzkiego gadania o demonach, idziesz brzegiem mrocznej rzeki w podziemiu, czyżbyś nigdy nie szedł do Fengdu, miasta duchów? i co, fajnie było? u bramy miasta jest teraz dwuwiersz, nawołuje do rozprawy z przesadami: „Jeśli w nie wierzysz - istnieją, jeśli nie wierzysz - nie istnieją”, co to za dwuwiersz? to już wystarczy zapisać równolegle dwa wersy tej samej długości, żeby je uznać za dwuwiersz? nie może być dwuwierszy o nierównych wersach? chcesz wszystko zniszczyć, ale czy możesz zniszczyć prawdę? nie strasz innych, że taki z ciebie waśniak, przecież jesteś ateistą, który niczego się nie boi? mówisz, że się boisz, ale czego? samotności? taki duży mężczyzna jak ty, do tego bohater! bohater czy nie, boję się pięknych kobiet, ale czego tu się bać, czym zagrażają piękne kobiety? boję się zauroczenia, co za beznadziejny idiota! hej, rodacy! za czym się opowiadacie? chcecie ratować ten naród? wystarczy, że sam się uratujesz, zakuty indywidualisto! doznajesz takiego wstrząsu, że oblewasz się cały zimnym potem, chcesz, chcesz wrócić do grupy, lecz już nie możesz nikogo znaleźć...

Chce, żebyś czytał jej z dłoni. Ma ręce małe, miękkie, bardzo delikatne i bardzo kobiece. Otwierasz jej dłoń, kładziesz na swojej. Mówisz, że jest osobą z natury beztroską, bardzo delikatną. Kiwa głową, przytakuje.

Mówisz, że ta dłoń wyjawia namiętność, na co uśmiecha się słodko.

Nie jest jednak beztroska w głębi, jej serce płonie, spala je niepokój. Słyszac to, marszczy brwi.

Spalający jej serce niepokój bierze się z tęsknoty za miłością, trudno jej znaleźć kogoś, komu może powierzyć duszę i ciało. Jest zbyt wybredna, niełatwo ją zadowolić, powtarzasz to, co wyjawia jej dłoń. Wydyma wargi, krzywi się.

Kochała więcej niż raz...

Ile razy? Zgadnij, prosi.

Mówisz, że zaczęła jako dziewczynka.

Jako mała dziewczynka? Jako duża? pyta.

Mówisz, że jest romantyczna, tęskniła za miłością od najmłodszych lat. Śmieje się.

Ostrzegasz, że w życiu brak książąt na białym rumaku, więc raz po raz doznaje rozczarowań. Unika twego wzroku.

Mówisz, że raz po raz zawodzi się i że raz po raz będzie zawodzić innych... Mówi, żebyś czytał dalej.

Mówisz, że linie jej dłoni są zawile, ona zaś nieodmiennie angażuje się w kilka związków naraz.

Nieprawda, mówi.

Ucinasz ten jej protest, mówisz, że wiążąc się z jedną osobą, myśli o innej, ma nowego kochanka, zanim zerwie z poprzednim.

Mówi, że przesadzasz.

Mówisz, że czasem robi to świadomie, czasem nieświadomie. Nie twierdzisz, że to coś niedobrego, po prostu opowiadasz, co wyjawiają linie jej dłoni. Patrzysz jej w oczy. Czy o czymś nie powinienes mówić?

Waha się, potem stanowczo zapewnia, że możesz mówić o wszystkim.

Mówisz, że nie jest stworzona do poświęceń w miłości. Uważnie macasz tę rękę, mówisz, że badasz nie tylko linie dłoni, lecz i strukturę kości. Mówisz, że jakiś mężczyzna zdołają poprowadzić za tę rękę, małą i miękką.

To spróbuj! Wrywa rękę, ty jednak nie pozwalasz jej wyszarpnąć, przytrzymujesz.

Jej przeznaczeniem jest cierpieć, objaśniasz, co mówi ręką.

Dlaczego?

O to musisz zapytać siebie.

Mówi, że chce tylko pokochać całym sercem jednego jedyne człowieka.

Przynajesz, że tak, chce właśnie tego, owszem, to jednak niemożliwe, w tym rzecz.

Dlaczego?

Mówisz, niechaj zapyta o to własną rękę, ta ręką należy do niej; nie możesz odpowiedzieć za nią.

Spryciarz z ciebie, mówi.

Mówisz, że żaden z ciebie spryciarz, to ta jej ręką, zbyt delikatna, zbyt miękka, zbyt niezgłębiona.

Wzdycha i prosi, żebyś czytał dalej.

Mówisz, że rozgniewa się, jeśli będziesz dalej czytał.

Nie, nie rozgniewa się.

Mówisz, że już jest zła.

Upiera się, że nie.

Mówisz, że nie wie, co pokochać.

Nie rozumie, mówi, nie rozumie, o co ci chodzi.

Prosisz, żeby się zastanowiła.

Mówi, że tak, zastanowiła się, lecz nadal nie rozumie.

Powiedziałeś, co powiedziałeś, że nie wie, co pokochać.

Kogoś pokochać; kogoś rzeczywiście wyjątkowego!

Co to znaczy, rzeczywiście wyjątkowego?

Kogoś, kto zdoła sprawić, że ona zakocha się, tak się zakocha, że zdoła mu oddać serce, pójść za nim wszędzie, nawet na koniec świata.

Mówisz, że to przelotne romantyczne uniesienie...
I tego właśnie pragnie, uniesienia!
O którym nie może już być mowy po ochłonięciu.
Mówi, że może.
Ale po ochłonięciu najdą ją inne fascynacje.
Mówi, że nie ma mowy o ochłonięciu, jeśli już się zakocha.
Co znaczy, że nigdy nie kochała. Patrzysz jej w oczy. Odwraca wzrok. Mówi, że w gruncie rzeczy nie wie.
Nie wie, czy była zakochana, zbyt bowiem kocha siebie.
Nie bądź taki podły, ostrzega.
Mówisz, to dlatego, że jest zbyt piękna, zawsze zaprzęta ją wrażenie, jakie sprawia.
Mów dalej!
Jest rozdrażniona. Mówisz, że jej niewiedza jest instynktowna.
O co ci chodzi? Marszczy brwi.
Powiedziałeś, co powiedziałeś, po prostu w jej przypadku instynkt jest szczególnie wyrazisty, jest bowiem zbyt urokliwa i kochają zbyt wielu ludzi. I na tym polega jej nieszcześć.
Kręci głową, mówi, że jesteś niepoprawny.
To ona chciała, żebyś jej czytał z dłoni, mówisz, co więcej, chciała szczerości.
Ale trochę przesadzasz, łagodnie protestuje.
Prawda nie może być taka, jakiej właśnie sobie zażyczysz, i nie polega na tym, że ładnie zabrzmi, musi być trochę posępna, w przeciwnym razie jak człowiek mógłby mierzyć się z losem? Pytasz, czy chce, żebyś czytał dalej.
Pośpiesz się i kończ.
Mówisz, że musi rozprostować palce; rozdzielasz je, mówisz, że musisz zobaczyć, czy władza swym losem, czy też odwrotnie, władza nią los.
Jak więc myślisz, kto rządzi?
Każesz jej mocno zacisnąć pięści, ujmujesz ją za rękę, unosisz jej ramiona, potem krzyczysz do wszystkich, patrzcie!
One wybuchają śmiechem; ona uwalnia się.
Mówisz, to pech, miałaś na myśli siebie, nie ją. Teraz i ona wybuchła śmiechem.
Pytasz, czy ktoś jeszcze chce, żeby czytać mu z ręki. Kobiety milczą. Wreszcie podnosi się ręka o długich palcach; nieśmiały głos zaprasza, przyjrzyj mi się.
Mówisz, że czytasz tylko z rąk, nie z twarzy.
Przyjrzyj się, proszę, memu losowi! poprawia.
Ujmujesz, dotykasz, mówisz, ta ręka zdradza siłę.
Mów mi o jednym, powiedz, czy zrobię karierę.
Mówisz, że powiedziałaś, ta ręka zdradza mocny charakter.
Mów mi po prostu o karierze, czy spełnię się w niej czy nie.
Możesz tylko powiedzieć, że robi karierę, ale kariera to niezupełnie to samo co spełnienie.
Jeżeli człowiek się nie spełni, to cóż to za kariera? replikuje.
Kariera może dla kogoś być oparciem.
Co chcesz przez to powiedzieć?
Mówię, że chodzi o brak ambicji.
Wzdycha, z jej palców ulatnia się napięcie. Brak ambicji, przyznaje.
Mówisz, że jest silna, ale brak jej ambicji i nie chce mieć władzy nad innymi.
Właśnie tak jest, zagryza wargi.
Kariera i ambicja często są nierozdzielne. Powiedzcie, że mężczyzna ma ambicję, to powiedzieć, że robi karierę. Ambicja jest podstawą kariery, człowiek mający ambicję nieodmiennie pragnie być wybitny.
Tak, mówi, pragnie być wybitny.
Mówisz, że chce się tylko sprawdzić, szuka potwierdzenia; nie jest ładna, ale ma dobre serce. Spełnienie się w karierze wymaga zawsze walki, ona jednak, dlatego że ma zbyt dobre serce, nie potrafi druzgotać przeciwników, a więc, rzecz jasna, nigdy nie spełni się, w sensie zostania kimś wybitnym.
Spokojnie i cicho mówi, że wie o tym.
Karierze bez spełnienia może jednak przyświecać szczęśliwa gwiazda, mówisz.
Ale tego nie można uznać za przychyłność losu, mówi.

Kariera bez spełnienia to nie to samo co pech, powtarzasz.

O jakiej szczęśliwej gwiazdzie mówisz?

Uczuć.

Cicho wzdycha.

Mówisz, że ktoś ją skrycie kocha, czego ona nie traktuje poważnie, nawet go nie zauważyła.

A kto to taki?

Pozwalasz zabrać rękę, mówisz, że będzie musiała się nad tym zastanowić.

Jej oczy rozszerzają się, a wszyscy, którzy dotąd słuchali w skupieniu, wybuchają śmiechem; wstydzi się, spuszcza głowę i też zaczyna się śmiać.

To radosny wieczór, otaczają cię kobiety, wszystkie wyciągają ręce i domagają się czytania z dłoni. Mówisz, że nie jesteś wróżbitą, jesteś tylko szamanem.

Tego już za wiele, szaman, coś okropnego! wykrzykują kobiety.

Wcale nie, lubię szamanów, normalnie kocham szamanów! Obejmuje cię jakaś kobieta, potem wyciąga pulchną dłoń. Spójrz no tutaj, czy będę miała pieniądze? Odpycha inne ręce i mówi, nie przejmuję się miłością ani karierą, normalnie chcę mieć męża, bogatego męża.

To czemu sobie nie znajdziesz jakiegoś starego? pyta zjadliwie inna.

Niby z jakiej racji mam szukać starego? odparowuje kobieta o pulchnej dłoni.

A komu przypadają pieniądze, kiedy stary umiera? Potem możesz sobie iść i znaleźć młodego, do kochania. Kobieta jest wręcz zapiekła.

A co będzie, jeśli nie umrze? Czy to przypadkiem nie grozi tragedią? odcina się kobieta o pulchnych rękach.

Ta ponętna pulchna ręka bardzo podnieca, mówisz.

Wszyscy klaszczą, gwizdzą, krzyczą.

Czytaj mi z dłoni! rozkazuje, niech nikt nie przerywa!

Skoro mówisz o zmysłowości tej ręki, jej seksualności, to mówisz poważnie. Co znaczy, że ta ręka przyciągnie wielu konkurentów, więc trudno będzie wybierać, trudno decydować, co począć.

Ludzi, którzy się we mnie kochają, nie brak, to rozkoszne, lecz co z pieniędzmi? mruczy.

Na to wszyscy wybuchają śmiechem.

Ludziom, którzy szukają nie pieniędzy, lecz miłości, miłość nie bywa dana, a ludzie, którzy uganiają za pieniędzmi, nie dostaną pieniędzy, za to nie braknie im takich, którzy ich pokochają. Taki już los, oświadczasz z namaszczeniem.

Pierwszorządnie! wykrzykuje któraś z kobiet.

Kobieta o pulchnej dłoni zadziera nos, jeśli nie będę miała pieniędzy, to jak mnie będzie stać na to, żeby się ubrać? Póki mogę się ubrać i zrobić na bóstwo, nie muszę się martwić, czy ktoś mnie pragnie, prawda?

Dobrze mówi! zgodnie dopowiada chór kobiet.

A ty? Po prostu pragniesz, żeby wokół ciebie kłębiły się kobiety, po prostu chciwiec z ciebie! mówi kobieta stojąca za tobą, ale czy zdołałbyś je wszystkie pokochać?

Ty jednak tak bardzo pragnąłeś takiego wesołego wieczoru, że mówisz, tak, kochasz każdą rękę, każdej pożądasz.

Nie, nie; kochasz tylko siebie! Ręce drżą, trzęsą się, protestują, krzyczą.

Do Shennongjia docieram od północy przez Fangxian. Nawet dziś szerzą się plotki, że w tamtych stronach żyją Dzicy. W *Rocznikach Yuanyangfu*, dziele z późnych czasów dynastii Qing, zapisano, że w tych rozpościerających się z południa na północ na osiemset łąkach „przez cały dzień słycać ryk tygrysów i wrzask małp”. Nie zamierzam tropić Dzikich; przejechałem, chcę bowiem zobaczyć, czy jeszcze istnieje ów pierwotny las. Nie kieruje mną płomienny a bezzwzględny zapał misjonarski; po prostu wciąż schodzę z biegiem Yangzi z płaskowyżu i ogromnych gór jej górnego dorzecza, szkoda rezygnować z obejrzenia po drodze tej górskiej okolicy w środkowym dorzeczu. Zatem brak celu jest celem, akt poszukiwania przemienia się w swoisty cel, przedmiot poszukiwań niewiele ma do rzeczy. Dodajmy, życie nie ma celów, jest po prostu takim właśnie podróżowaniem.

Całonocna ulewa rankiem trochę słabnie, lecz deszczyk siąpi bez przerwy. Po obu stronach szosy ani śladu lasu; platanina niskich zarośli i pnącza aktinidii to wszystko, co porasta góry. Rzeki i potoki są brunatne i mętne. O jedenastej przed południem przyjeżdżam do miasta powiatowego i ruszam do schroniska przy urzędzie leśnictwa w nadziei, że ktoś mnie podwiezie do właściwych lasów. Trafiam na naradę urzędników trzech szczebli i chociaż nie potrafię rozgryźć, których to szczebli, wydaje mi się, że narada dotyczy pozyskiwania dłużycy.

W południe wszyscy idą na obiad, rozchodzi się też wiadomość, że jestem pisarzem z Pekinu. Kierownik jednego z oddziałów, odpowiedzialny za gości, zaprasza, sadza przy mnie kierowcę wyruszającego po południu, mnie zaś namawia do picia.

- Żaden pisarz nie wylewa za kołnierz! - oznajmia; jest mężczyzną mocnej budowy, bardzo bezpośrednim.

Stoły obiegają misy gorącego wina ryżowego, alkohol rumieni twarze. Nie mogę zawieść, pociągam solidnie. Po posiłku i winie czuję zamęt w głowie, a kierowca nie jest w stanie prowadzić.

Zaczyna się popołudniowa sesja, ale kierowca mnie zabiera, w jednym z pokoi gościnnych znajdujemy łóżka i śpiemy do wieczora.

Na kolację jest to, co zostało z obiadu, dania i trunki, wszyscy znów jesteśmy zalani w pestkę. Nie mam wyboru, noc muszę spędzić w schronisku. Kierowca zjawia się z nowiną, że górskie potoki zmyły część drogi, trudno przewidzieć, czy jutro uda się wyjechać czy nie. Słowem, jest okazja do solidnego wypoczynku, co bardzo kierowcy odpowiada.

Wieczorem szef oddziału wpada na pogawędkę, chce się wywiedzieć, co też się jada na stołecznych bankietach. Jakie danie podaje się najpierw? Jakie na koniec? Opowiada o ludziach, którzy zwiedzali Pałac Cesarski w Pekinie; mówili, że przed posiłkiem cesarzowej wdowy Cixi zarzynano sto kaczek, czy to możliwe? Czy rezydencja przewodniczącego Mao w Zhongnanhai wciąż jest otwarta dla publiczności? Czy widziałem starą połatana piżamę przewodniczącego, którą pokazywano w telewizji? Korzystam z okazji, żeby zapytać, jakie historie może opowiedzieć o tych stronach.

Mówi, że przed wyzwoleniem żyło w okolicy ledwie paru mieszkańców, jakaś rodzina w Nanhe, inna w Douhe; ścinali drzewa, pnie trzymali na rzece, żeby je potem spłuć w tratwy. Roczny eksport nie sięgał stu pięćdziesięciu metrów sześciennych drewna. Stąd aż do Shennongjia były raptem trzy gospodarstwa. Las trwał nienaruszony do roku 1960, lecz potem wybudowano szosę i wszystko się zmieniło; teraz trzeba stąd wysłać co roku pięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych drewna. W miarę przyrostu produkcji przybywało mieszkańców. Za dawnych czasów ryby co roku wypływały z górskich pieczar wraz z grzmotem pierwszej wiosennej burzy, jeśli u wylotu pieczary ustawiliśmy duże bambusowe podrywki, można było wyłowić pełen kosz. Teraz nie jemy ryb.

Pytam o historię miasta powiatowego. Ściąga buty, siada na łóżku na skrzyżowanych nogach i mówi:

- Jest bardzo stara. W pobliżu w górskich jaskiniach archeolodzy znaleźli zęby pradawnego małpoluda!

Widzi, że niezbyt mnie interesuje pradawny małpolud, zaczyna więc opowiadać o Dzikim Człowieku.

- Jeżeli człowiek natrafi na jedno z tych stworzeń, ono schwyta go za ramiona i będzie tak długo potrząsać, aż człowiekowi zupełnie zakręci się w głowie, Dzicy ryczą wtedy ze śmiechu, potem w tył zwrot i uciekają.

Mam wrażenie, że wyczytał to w jakichś starych książkach.

- Spotkał pan kiedyś Dzikiego? - pytam.

- Lepiej się na niego nie natknąć. To stwór większy od ludzi, w zasadzie ponaddwumetrowy. Ciało porasta rude futro, na ramiona opadają długie włosy. Miło się o nim gawędzi tutaj, ale strach spotkać takiego naprawdę. Niemniej, nie wyrządzi ludziom krzywdy, chyba że oni chcą wyrządzić jemu. Próbuje mówić *yiyiyaya* i uśmiecha się na widok kobiet.

Zasłyszał wszystko, te wiadomości krążące zapewne od paru tysięcy lat. Nie mówi nic nowego, więc lepiej przerwać:

- Czy widział go któryś z pańskich ludzi? Nie chodzi o chłopów, o żadnych wieśniaków, ale kogoś z kierownictwa czy pracowników rezerwatu; czy widział go ktoś z nich?

- Jasne. Przewodniczący komitetu rewolucyjnego z Songbaizhen jechał szosą z paroma osobami, małym wozem terenowym; zatrzymał ich Dzikie. Byli przerażeni, widzieli tylko, jak powoli się oddala. Wszyscy są pracownikami rezerwatu, wiemy, co to za ludzie, dobrze się znamy.

- To się przytrafiło komitetowi rewolucyjnemu już dobrych parę lat temu, ale czy ktoś go widział niedawno?

- Zjeżdża tu kilkaset osób, żeby tropić Dzikiego, prowadzić badania, z całego kraju, mnóstwo, z Centralnej Akademii Nauk, naukowcy z uniwersytetu z Szanghaju, zjawiał się nawet ktoś z komitetu politycznego armii. W zeszłym roku przyjechała para z Hongkongu, kupiec i strażaczka, ale nie wpuściliśmy ich.

- I ktoś z nich widział Dzikiego?

- Ależ tak! Członek komitetu politycznego, którego wspominałem, z oddziału badawczego do spraw Dzikiego, to wojskowy; miał w wozie dwóch ludzi eskorty. Lało przez całą noc, woda zmyła część drogi. Nazajutrz była gęsta mgła. I wówczas natknęli się na Dzikiego, twarzą w twarz!

- Nie schwytali go?

- Reflektory świeciły na dwa, góra trzy metry; zanim wysiedli z wozu, wyjęli strzelby, uciekli.

Kiwam głową na znak, że jak pech to pech.

- Niedawno powołano Stowarzyszenie do Badań nad Dzikim Człowiekiem, na jego czele stanął były szef wydziału propagandy rejonowego komitetu partii. Mają zdjęcia śladów stóp Dzikiego, ponadto włosy z futra na tułowiu i głowie.

- Już to widziałem - mówię. - Byłem na wystawie, zapewne przygotowanej przez Stowarzyszenie do Badań nad Dzikim Człowiekiem, widziałem powiększenia zdjęć ze śladami stóp Dzikiego. Wydali też książkę z materiałami o Dzikim, poczynając od wzmianek w starożytnych tekstach, skończywszy na zagranicznych doniesieniach o Yetim i Wielkiej Stopie, łącznie z relacjami naocznych świadków. - Dają po sobie poznać, że tego wszystkiego nie kwestionuję. - W lokalnej gazecie widziałem nawet zdjęcie odciętej stopy Dzikiego.

- Jak wygląda? - Nachyla się, żeby wypytać.

- Przypominała suszoną łapę niedźwiedzia.

- To się nie zgadza - kręci głową. - Niedźwiedzia łapa to niedźwiedzia łapa, stopa Dzikiego jest dłuższa od niedźwiedziej, podobna do ludzkiej. Najpierw opowiadałem panu o zębach pradawnego małpoluda? Jak pan myśli, dlaczego? Bo moim zdaniem Dzikie to małpolud, który nie ewoluował, nie stał się człowiekiem. Co pan o tym sądzi?

- Trudno o jakąś pewność - mówię i ziewam, otumaniony alkoholem.

On też ma dość i też ziewa, skonany po całym dniu konferowania i jedzenia.

Nazajutrz pracownicy wznawiają naradę. Zjawia się kierowca i mówi, że drogi nie naprawiono, więc muszę tkwić na miejscu jeszcze przez dzień. Szukam szefa oddziału i mówię:

- Macie na głowie naradę, a ja nie chcę przeszkadzać. Może są tu jacyś emerytowani pracownicy, którzy znają historię powiatu? Mógłbym ich odwiedzić i pogadać.

Przyszedł mu na myśl naczelnik powiatu z dawnych czasów Guomindangu, który powrócił, zwolniony z obozu pracy.

- Ten starszy człowiek wie wszystko, to intelektualista. Od kiedy komitet powiatowy zorganizował grupę redagującą kronikę powiatu, ci ludzie zawsze go sprowadzają, żeby sprawdził i zweryfikował materiały.

Zaglądam do różnych domów przy błotnistej, grząskiej dróżce, w końcu trafiam do niego.

Wychudły starzec o przenikliwym spojrzeniu zaprasza mnie do głównej izby, prosi siadać. Bezustannie kaszle i wciąż proponuje, a to herbatę, a to pestki melona. Powiedziałbym, że jest wzburzony, nie może bowiem dociec, po co się zjawiam.

Mówię, że chcę napisać powieść historyczną, zupełnie nie związaną z teraźniejszością, a zjawiam się specjalnie po to, żeby zasięgnąć jego porad. W tym momencie uspokaja się, przestaje kaszleć, już nie przestawia bezustannie przedmiotów. Zapala papierosa, siada wyprostowany, wpiera się w oparcie drewnianego krzesła, w końcu zaczyna rozmawiać śmielej.

- Za panowania zachodniej dynastii Zhou powiat stanowił część państwa Peng, później podczas Epoki Wiosen i Jesieni należał do państwa Chu. W Epoce Walczących Królestw spierały się o ten obszar państwa Qin i Chu. Podczas wojen ludność została zdziesiątkowana i chociaż to bardzo zamierzchła historia, ta ziemia pozostała już rzadko zaludniona, kiedy bowiem Mandżurowie wtargnęli przez Przełęcz, ludność, po rzezi, zmalała z trzech tysięcy do jednej dziesiątej. Na dodatek od powstania Czerwonych Turbanów, za panowania dynastii Yuan, rozplenili się pospolici bandyci.

Nie wiadomo, czy Czerwone Turbany uważa za pospolitych bandytów.

- Stało się tak, że w drugim roku panowania cesarza Kangxi z dynastii Qing wojska Li Zichenga z dynastii Ming zostały w końcu pobite. Jednak później, w pierwszym roku panowania cesarza Jiaqing, obszar najechała Sekta Białego Lotosu, później został napadnięty i okupowany przez Zhang Xianzhonga i armię Nian. A były też wojska tajpingów, później zaś, za republiki, pojawiły się hordy bandytów rządowych, bandytów pospolitych i bandytów wojskowych.

- A więc ten obszar zawsze był zbójceją kryjówką?

Uśmiecha się, lecz nie odpowiada.

- W czasach pokoju ludzie ściągali tu z innych stron albo rodzili się tutaj, dorastali, mieszkańców przybywało i nawet wiodło im się. W historycznych tekstach zapisano, że król Ping z dynastii Zhou zjawił się tu, żeby zbierać pieśni ludowe, co oznacza obfitość takich pieśni na tym terenie w 700 roku p.n.e.

- To zbyt odległe czasy - mówię. - Mógłbym pana zapytać o doświadczenia osobiste? Na przykład, jakich spustoszeń dokonali bandyci rządowi, bandyci pospolici i bandyci wojskowi w czasach Guomindangu?

- Co do bandytów rządowych mogę podać przykład; zbuntował się dowódca, który miał pod komendą dwa tysiące ludzi. Ci z tego zbuntowanego oddziału zgwałcili kilkaset kobiet, a potem uprowadzili dwie setki dorosłych i dzieci, jako „liście”; w bandyckim żargonie to uprowadzenie z żądaniem okupu. Jako okupu zażądano strzelb, amunicji, ubrań, latarek elektrycznych; osobę wyceniano zazwyczaj na tysiąc lub dwa tysiące srebrnych yuanów, no i wyznaczono termin. Trzeba było wynająć ludzi, żeby kosze z okupem zabrać na wyznaczone miejsce, a jeśli rodziny spóźniły się chociażby o pół dnia, zabijano nawet uprowadzone dzieci, wykupić można było najwyżej ucho. Jeżeli chodzi o pomniejszych bandytów miejscowych, ci po prostu praktykowali mord, rabunek, a potem ucieczkę.

- A co pan powie o czasach pokoju i pomyślności, może był pan ich świadkiem? - pytam.

- Pokój i pomyślność... - Myśli przez chwilę, potem widzę skinienie głową. - Owszem, i takie czasy nastawały, podczas festynów świątynnych trzeciego dnia trzeciego miesiąca stało w powiecie dziewięć scen o malowanych krokwiach, rzeźbionych kolumnach, bywało po dziesięć trup teatralnych grających bez ustanku, dzień i noc. Po rewolucji roku 1911, w piątym roku republiki, chłopcy i dziewczęta w tym powiecie chodzili do tej samej szkoły, organizowano nawet wielkie zawody sportowe, podczas których dziewczęta występowały w szortach. Po dwudziestym szóstym roku republiki obyczaje zmieniły się radykalnie, od pierwszego do szesnastego dnia nowego roku na skrzyżowaniach wystawiano dziesiątki stolików do gier hazardowych. Pewien wielki posiadacz ziemski przegrał w jedną noc sto osiem świątyń ku czci lokalnych bóstw, więc może pan sobie wyliczyć, z jaką to się wiązało polacją ziemi i lasów. Było ponad dwadzieścia burdeli. Nie wolno ich było oznaczać, ale działały w najlepsze, zjeżdżali ludzie i z dala, i z bliska, z miejscowości w promieniu kilkuset li, gości przyjmowano cały dzień i całą noc. Potem nastąpiły walki między watażkami Jiangiem, Fengiem i Guanem, potem wybuchła wojna obronna, podczas której Japończycy dokonali dalszych wielkich zniszczeń.

A potem urosły w siłę gangi, a szczyt ich działalności przypadł na okres tuż przed przejściem władzy przez rząd ludowy. W miasteczku Chengguan w owych czasach na ośmiuset mieszkańców czterystu było członkami Zielonego Gangu.

Wdarli się na każdy poziom społeczeństwa, począwszy od sekretarzy władz powiatowych, skończywszy na nędzarzach. Nie powstrzymywali się przed niczym, porywali kobiety na żony, rabowali, sprzedawali wdowy. Nawet drobni bandyci musieli składać hołdy hersztom gangów. Na śluby i pogrzeby w znacznych rodzinach stawiały się u bramy setki żebraków, a jeśli nie wypatrzonego przywódcy i nie opłacono się, nie sposób było utrzymać na wodzy tej hordy. Większość Zielonego Gangu stanowili młodzi, dwudziestolatkowie, tymczasem członkowie Czerwonego Gangu byli starsi. Na czele miejscowych band stali zazwyczaj ludzie z Czerwonego Gangu.

To wszystko coraz bardziej mnie ciekawi.

- Jakimi tajemnymi znakami porozumiewawczymi posługiwali się członkowie gangów? - pytam.

- Zielony Gang używał w domach nazwiska Li, poza nimi nazwiska Pan. Członkowie zwracali się do siebie podczas spotkań „bracie”; zwano to „na ustach Pan, na palcach trzy”. - Palec wskazujący i kciuk składa w kółko, pozostałe palce prostuje i rozstawia. - To był tajemny znak, a jeśli chodzi o zwracanie się do siebie, to mężczyźni nazywano Starszy Brat Piąty lub Starszy Brat Dziewiąty, kobiety Starsza Siostra Czwarta lub Starsza Siostra Siódma. Kiedy w grę wchodziła różnica pokoleń, nazywali siebie ojcem lub synem, mówili mistrzu, mistrzyni. Członkowie Czerwonego Gangu mówili do siebie „wuju”, członkowie Zielonego „starszy bracie”. Jeżeli któryś wszedł do herbaciarni i położył kapelusz rondem do góry, oznaczało to, że trzeba za niego zapłacić rachunek za herbatę i papierosy.

- Należał pan do gangu? - pytam ostrożnie.

Uśmiecha się i popija herbatę.

- Gdybym nie miał wówczas kontaktów, nie mógłbym pełnić obowiązków naczelnika powiatu. - Kiwa głową. - Wszystko minęło.

- Jak pan sądzi, czy frakcje rewolucji kulturalnej były czymś podobnym?

- Tb rozgrywało się między towarzyszami rewolucjonistami, tego nie można porównywać - stanowczo odrzuca sugestię.

Na chwilę zapada kłopotliwe milczenie. Wstaje i znów zaczyna mnie częstować pestkami melona i herbatą.

- Rząd dobrze mnie potraktował, zamykając w więzieniu, taki zbrodniarz jak ja mógł w zderzeniu z masowymi ruchami nie dożyć dzisiejszego dnia.

- Czasy pokoju i pomyślności to rzeczywiście rzadkość - mówię.

- Ale z pewnością właśnie takie nastąpiły! Wszak kraj przeżywa dziś rozkwit, a ludzie cieszą się, że życie nie niesie niebezpieczeństw, prawda? - pyta podejrzliwie.

- Nie brak jedzenia, a nawet trunku.

- Czego chcieć więcej? - pyta.

- No właśnie - odpowiadam.

- Jestem szczęśliwy, że mogę czytać książki. Spotkania z ludźmi bywają uciążliwe, rozkoszuję się próżnowaniem -mówi, wpatrując się w sufit.

Na dworze znów zaczyna siąpić.

Stworzywszy ludzi, Nuwa stworzyła też ich cierpienia. Ludzie powstają z trzewi Niiwy, rodzą się zaś w krwawych wodach kobiet, nigdy zatem nie będą obmyci do czysta.

Nie imaj się szukania duchów i widm, nie imaj się szukania przyczyny i odpłaty, nie imaj się szukania znaczenia, wszystko to wcielone jest w chaos.

Jest jednak tak, że ludzie, kiedy się z tym nie godzą, krzyczą, nawet jeżeli nie rozumieją, co krzyczą. Ludzie to takie właśnie istoty, spętane swym zawikłaniem, same na siebie sprowadzające lęk.

Tkwiaące w tobie ja jest tylko obrazem w lustrze, odbiciem kwiatów w wodzie. Nie możesz wejść do lustra ani nie możesz nic z niego unieść, lecz patrząc w obraz i zachwycając się nim, przestajesz się nad sobą użalać.

Wiedza jest zachcianką, bardzo kosztowną.

Pragniesz jedynie snuć opowieść, za pomocą języka wykraczać ponad przyczynę i skutek lub logikę. Ludzie wypowiedzieli już tyle nonsensów, dlaczego nie miałbyś powiedzieć więcej.

Tworzysz z niczego, bawisz się słowami jak dziecko klockami. Jednak z klocków możesz zbudować tylko wzory ustalone, możliwe struktury zawarte są w samych klockach,

wszystko jedno, jak je poukładasz, nie zdołasz stworzyć nic nowego.

Język jest jak bryła jakiejś masy, którą rozrywać można tylko za pomocą zdań. Porzucić zdania to jak runąć w grzędawisko i miotać się w nim bezradnie.

Miotać się bezradnie to tak jak cierpieć, cała zaś ludzkość składa się z odrębnych ja. Jeśli runiesz, musisz sam wypełznąć, bo zbawców nie obchodzą sprawy tak błahe.

Kiedy tak wleciesz doniosłe przemyślenia, kiedy pełniesz przez język, kiedy wciąż usiłujesz ucześcić się wątku, żeby się wydobyć, kiedy stajesz się coraz bardziej zmęczony, zaplątany w dryfujące pasma języka, kiedy, jak jedwabnik wyrzucający z siebie jedwab, pleciesz sieć na samym sobie i spowijasz się w coraz gęstszy mrok, wątle migotanie płomyka w twym sercu wciąż słabnie, aż w końcu sieć okaże się pełnią chaosu.

Stracić obrazy to stracić przestrzeń, stracić dźwięki to stracić język. Kiedy ruch warg nie tworzy dźwięków, wówczas to, co jest wyrażane, pozostaje niezrozumiałe, chociaż w jądrze świadomości przetrwa okrucieństwo pragnienia, żeby coś wyrazić. Jeśli nie zachowa się owego okrucieństwa, nastąpi powrót do ciszy.

Jak to możliwe, żeby odnaleźć czysty, jasny język w niezniszczalnym dźwięku, który jest czymś większym niż melodia, który wybiega ponad granice zwrotów i zdań, który nie rozróżnia podmiotu od dopełnienia, nie liczy się z zaimkami, odrzuca logikę, po prostu rozłączy się, niewiązany obrazami, metaforami, skojarzeniami ani symbolami? Czy zdolny jest wyrazić cierpienia życia i lęk śmierci, ból i radość, samotność i pociechę, zmieszanie i nadzieję, wahanie i stanowczość, słabość i odwagę, zazdrość i wyrzuty sumienia, i spokój, i niecierpliwość, i pewność siebie, wielkoduszność i skrępowanie, uprzejmość i nienawiść, litość i rozpacz, podobnie jak brak ambicji i łagodność, pokorę i nikiemność, szlachetność i podłość, okrucieństwo i wspaniałomyślność, zapał i obojętność, i powściągliwość, i uwielbienie, i rozwiążność, i próżność, i chciwość, a także pogardę i szacunek, pewność i niepewność, skromność i butę, wytrwałość i rozgoryczenie, zaskoczenie i zdumienie, bezwład, rozkojarzenie, nagle olśnienie, nigdy nie rozumiejąc, nie będąc zdolnym do rozumienia, zarazem pozwalając zdarzyć się wszystkiemu, co się zdarzy.

Leżę na sprężynowym łóżku zasłanym czystą pościelą, pokój jest wyklejony wzorzystą jasnożółtą tapetą, ma białe szydełkowane firanki, na podłodze ciemnoczerwony chodnik. Stoją tu dwa fotele z frotowym obiciem, a w łazience jest wanna. Gdybym nie trzymał w ręku odbitych na powielaczu *Gongów i bębnów towarzyszących plewieniu*, zbioru chłopskich pieśni pracy, nie uwierzyłbym, że znajduję się w lasach Shennongjia. Nowy piętrowy budynek, wzniesiony dla zespołu amerykańskich naukowców, którzy z jakichś powodów nie dojechali, został domem pracy badawczej. Dzięki pieczy szefa oddziału nadal cieszę się po przyjeździe szczególnymi względami, płacę też najniższą stawkę za wyżywienie i pobyt. Podają nawet do posiłków piwo, chociaż wolałbym wódkę ryżową. Rozkoszowanie się taką czystością to okazja do zupełnego rozluźnienia, nie wzbraniałbym się zostać tu jeszcze parę dni. Zresztą po co się śpieszyć w tej podróży.

W pokoju słychać jakieś bzyczenie. Wpierw myślę, że to owad, ale rozglądam się i widzę, że nie miałby się gdzie ukryć; biały sufit, kremowy abażur. Lecz odgłos nie cichnie, nieokreślony, zawieszony w powietrzu. Wsłuchuję się uważnie, to jest jak kobiecy śpiew, okrąża mnie. Odkładam książkę, odgłos cichnie; podnoszę i znów go słyszę. Kto wie, może dzwoni mi w uszach, więc wstaję, robię kilka kroków i otwieram okno.

Oślepia mnie blask słońca odbity od zwirowanego placyku przed domem. Dochodzi południe, nikogo nie widać, może mam urojenia? To jakaś nieuchwytna melodia bez słów, ale znajoma, przypomina lamentacje kobiet, które słyszałem w górskich okolicach.

Postanawiam się rozejrzeć, wychodzę wpierw z pokoju, potem głównym wyjściem wprost na placyk przed budynkiem. Bystra rzeczka u podnóża stoku tonie w słońcu, czysta i zielona, a górskie szczyty, wprawdzie odarte z lasu na ogromnej przestrzeni, porasta jednak bujna zieleń. Polna droga osuwa się po stoku przez parę kilometrów, wiedzie do miasteczka pośrodku rezerwatu. Po lewej, u stóp wysoko piętrzącej się zielonej góry, widać szkołę i puste boisko do piłki nożnej. Pewnie uczniowie siedzą w klasach; ale w tej górskiej wiosce nauczyciele chyba nie uczą młodzieży śpiewów żałobnych. Jest cicho, słychać tylko szum wiatru omiatającego górę i plusk rzeczki. Nad rzeką widać jeszcze prowizoryczną chatę robotników, lecz przed nią nikogo. Zniknęło wrażenie, że ktoś śpiewa.

Wracam do pokoju, siadam za biurkiem przy oknie, chcę wybrać i przepisać parę utworów z tego zbioru ludowych pieśni, lecz znowu słyszę śpiew. Jest jak powolne a niepowstrzymane wylewanie żalu, już świadomego, co to ból i śmiertelna męka. Zachodzi coś dziwnego, co muszę rozgryźć. Czy ktoś śpiewa, czy też coś się dzieje z moją psychiką? Patrzę w górę, a śpiew słyszę zza siebie, obracam się, on zaś polatuje w powietrzu jak pasmo jedwabiu. Pajęczyna zachowuje na wietrze kształt, a to jest wyzbyte kształtu, nieuchwytnie. Tropię ten dźwięk, staję na oparciu sofy i stamtąd dopiero odkrywam, że dobiega z okienka nad drzwiami. Podstawiam krzesło i wchodzę. Szyba jest nieskazitelnie czysta, ale po jej otwarciu dźwięk frunie na korytarz. Schodzę z krzesła, otwieram drzwi, dźwięk mknie pod okapami balkonu. Przenoszę krzesło na balkon, wchodzę na nie, ale wciąż jestem za nisko. Na wybetonowanym podwórku pod balkonem wiszą na sznurze moje rzeczy uprane dziś rano. One, oczywiście, nie mogą śpiewać. Nie potrafię wypatrzyć w oddali żadnych ścieżek, ale wydaje mi się, że jakiś płot odgradza podnóżę góry od stoku porośniętego jeżynami i grubym splątaniem poszyciem.

Po zejściu z balkonu wprost w słoneczną jasność słyszę ów dźwięk wyraźniej, jakby dolatywał wprost ze słońca. Mrużę oczy i patrzę wzwyż; wraz ze słoneczną jaskrawością dobiegają do mnie ostre, ciężkie uderzenia metalu o kamień. W pierwszej chwili nie potrafię nic dostrzec, potem, po osłonięciu oczu - bo oślepiające słońce zamienia się już w czarnobłękitny zwid - dostrzegam poruszające się figurki w połowie wysokości góry, na tle nagiego urwiska. To stamtąd, z tej dali dolatuje metaliczny odgłos. Podchodzę i widzę, że to robotnicy skalni kują kamień; chyba jeden w czerwonym podkoszulku, pozostali rozebrani do pasa, z trudem rozpoznawalni na tle brązowego, porytego eksplozjami urwiska. Na wietrze ich śpiew wlatuje w słoneczną jasność, raz głośny, raz nieczytelny.

Chcę im się przyjrzeć i wpadam na pomysł: zobaczę ich jak z bliska przez długoogniskowy obiektyw, więc wracam do pokoju po aparat. Mężczyzna w czerwonym podkoszulku śpiewa głosem podobnym do kobiecych sopranowych zawodzeń; wymachuje wielkim oburęcznym młotem w takt podany przez świder drażący skałę. Mężczyzna o nagim torsie ze skalnym świderem w rękach chyba stara się być partnerem.

Śpiew nagle milknie, pewnie dostrzegli rozbłysk słońca na aparacie. Przerywają pracę i patrzą w moją stronę. Teraz nic nie dobiega, żaden dźwięk, odgłos; cisza wręcz rani, jestem jednak zadowolony - nie nęka mnie żaden rozstrój, ze słuchem wszystko w porządku.

Wracam do pokoju, chcę coś napisać, lecz o czym? Może o śpiewie robotników skalnych? Biorę pióro do ręki, ale nie mogę napisać ani słowa.

Może ich tu ściagnę, myślę, może spróbuję namówić na wieczorną pogawędkę i łyk czegoś dobrego, zawsze to sposób na spędzenie czasu. Odkładam pióro i ruszam do miasteczka.

Wynurzam się ze sklepiku z butlą wódki, torbą orzeszków ziemnych i wpadam na przyjaciela, który wypożyczył mi odbitki z powielacza. Mówi, że zebrał też sporo ręcznych zapisów pieśni ludowych z gór. O to mi właśnie chodzi, więc zapraszam, niech zajrzy do mnie na pogwarki. Teraz jest zajęty, lecz obiecuje przyjść po kolacji.

Czekam do dziesiątej. W budynku panuje irytujący spokój, jestem jedynym gościem. Zaczynam już żałować, że nie zaprosiłem tych robotników, lecz nagle słyszę pukanie do okna. To on. Mówi, że nie mógł nikogo znaleźć przy wejściu, widocznie dyżurujące dziewczęta wszystko pozamykały i poszły spać. Biorę od niego latarkę, papierową paczkę, on zaś wdrapuje się do środka oknem. Podniecony, zaraz otwieram wódkę i każdemu z nas nalewam po pół szklanki.

Nie potrafię przypomnieć sobie jego twarzy, pamiętam jednak, że był szczupły, niewysoki; wydawał się zalekniony, lecz kiedy zaczął mówić, ze słów przezierał entuzjazm nie ukrócony przez życie. Jego wygląd niewiele znaczy, zachwyca mnie skarb, który rozkłada przede mną. Rozwija paczkę zawiniętą w gazetę. Prócz kilku notatników są to ręcznie pisane teksty, fatalnie postrzępione, krążące kiedyś między ludźmi. Czytam jeden, drugi, następny, on zaś, na widok mojej nieklamanej radości, mówi wspaniałomyślnie:

- Nie krępuj się, możesz przepisać, co chcesz. W tych górach śpiewano kiedyś mnóstwo pieśni. Jeśli znajdziesz jakiegoś starego mistrza, to nie zdoła ci ich prześpiewać nawet przez kilka dni i nocy.

Pytam więc o pieśni robotników skalnych na górze.

- Ach, to ci z Badongu; to tam śpiewają falsetem - mówi. - Góry ogołoco z lasu, są więc zdani na pracę w kamieniołomach.

- Czy są tu inne jeszcze zbiory melodii i słów?

- Jest parę ksiąg z melodiami, lecz słowa to głównie improwizacja, oni po prostu wyśpiewują wszystko, co im przyjdzie do głowy, przeważnie coś całkiem prymitywnego.

- Z mnóstwem ordynarnych słów?

- Ci robotnicy skalni są poza domem jak rok długi, z dala od kobiet, więc pasję wyładowują na skałach - mówi z uśmiechem.

- Czemu ta muzyka jest taka niesamowita, taka smutna?

- Taki gatunek. Jeśli nie słyszysz słów, wydaje się żalonym zawroźdzeniem, świetnie brzmi, ale słowa nie są zbyt ciekawe. Spójrz. - Wyjmuje z paczki notes, kartkuje w poszukiwaniu konkretnej strony, podaje. Pod nagłówkiem *Opowieść o ciemności* widnieje tekst:

Dobrego dnia w dobrą godzinę otwierają się Niebo i Ziemia.

Rodzina synowska sprosila nas, bębniarza i śpiewaka, Poprowadzimy śpiewy na placu pieśni.

Raz dwa trzy cztery pięć; metal drewno woda ogień ziemia. Niełatwo prowadzić śpiewy, Jeszcze nie zaczęliśmy, a już pot nas oblał.

Nocą, gdy nastaje spokój, świeci księżyc i błyszczą gwiazdy,

Jesteśmy gotowi, możemy zacząć śpiewać.

Za późna noc, by zacząć długą pieśń,

Jeśli zaczniemy krótką, skończy się przed świtem, Musimy zacząć nie za długą i nie za krótką,

Zatem, zebrani tu śpiewacy, nie zmarnujecie czasu.

Pierwszy wzywa niebo, ziemię i wody Drugi wzywa słońce, księżyc i gwiazdy,

Trzeci *wzywa* pięć stron świata i ład,

Czwarty wzywa boginię błyskawic,

Piąty *wzywa* Pangu, który rozdzielił Niebo i Ziemię, Szósty wzywa Trzech Cesarzy i Pięciu Władców, a są to władcy z czasów prastarych,

Siódmy wzywa Czarnego Lwa i Białego Słonia, Żółtego Smoka i Feniksa,

Ósmy wzywa złe psy strzegące wrót,

Dziewiąty wzywa duchy bagien i gór,
Dziesiąty wzywa tygrysy, pantery i wilki.
Prosimy, odsuńcie się, zróbcie przejście,
Oto na plac pieśni wchodzi śpiewacy!

- Nadzwyczajne! Skąd to wydosłałeś? - wykrzykują zachwycony

- Mam to od paru lat; byłem wtedy nauczycielem w górskiej podstawówce. Poprosiłem
starego mistrza; on śpiewał, ja spisywałem.

- To piękny język, naprawdę, płynący prosto z serca, nie stłamszony tą pięcio- i
siedmiowyrazową prozodią rodem z rzekomych pieśni ludowych.

- Zgadza się. To oryginalna pieśń. - W miarę popijania wyzywa się tego pozoru
załęknienia.

- To pieśń ludowa, której nie popsuli intelektualiści! Tryskająca wprost z serca!
Rozumiesz? Ocalasz kulturę! To nie ogranicza się do mniejszych narodowości, Hanowie też
mają oryginalną kulturę ludową, której nie zatrąły nauki etyczne konfucjanistów! - Nie
umiem powściągnąć podniecenia.

- To też się zgadza, ale spokojnie, czytaj dalej!

Promienieje, znika sztuczna skromność, którą przybierają szeregowi pracownicy
aparatu. Bierze notes, naśladuje postawę pieśniarza przewodnika i intonuje wysokim
głosem:

Wysoko wznoszę dłonie i klaszczę na powitanie,
Skąd przybywasz pieśniarzu? Skąd przybywasz?
Z jakiej prowincji, z jakiej prefektury? Co cię sprowadza?
Odpowiadamy na twe przywitanie:

Ja jestem śpiewak z bębniem z Yangzhou,

A ja śpiewak z Liuzhou,

Wędrujemy na place pieśni, zwołujemy przyjaciół,

Tu, w twych szlachtetnych stronach,

Pokornie prosimy o gościnę.

Co niesiesz na nosilkach?

Co niesiesz w koszyku, który trzymasz w ręku?

Ciężar zgina ci kark,

Ale szukasz rady u mistrza pieśniarzy.

Na nosilkach niosę księgi z pieśniami,

W ręku trzymam rzadką księgę,

Nie wiemy, czy widział je mistrz pieśniarzy.

Do twego domu przyszliśmy po wskazówki.

Widzę tych ludzi, słyszę ich głosy, łoskot gongu i bębna. Tymczasem zza okna dobiega
tylko szum wiatru omiatającego górę i plusk wody.

Jest trzysta i sześćdziesiąt brzemion z pieśniami,

Które to brzemie niesiesz na nosilkach?

Jest trzydzieści sześć tysięcy ksiąg z pieśniami,

Którą to księgę trzymasz w ręku?

Mówcie mi mistrzu pieśniarzy, bo wiem, co wiem, Pierwsza księga to księga zrodzona w
nas samych, Pierwsza księga to pismo zrodzone w nas samych, Rozumiem, kiedy słyszę,

Biegły jest mistrz pieśniarzy.

Kto rozpozna, co się zrodziło w nas samych,

Ten wie, jakie są prawa Ziemi i Nieba.

Ośmielałem się zapytać mistrza,

W którym miesiącu którego roku zrodziła się pieśń?

W którym dniu, którego miesiąca zrodziła się pieśń?

Prastaremu, pełnemu tragizmu brzmieniu towarzyszą w ciemności zawroty głowy i
uderzenia bębna; mam wrażenie, że słyszę to wszystko.

Fuxi stworzył struny *qin*,

Niiwa stworzyła piszczałki *sheng*,

Z Yin jest język,

Z Yang jest dźwięk.

Ze złączenia Yin i Yang jest człowiek,

Z człowieka jest dźwięk,

Z dźwięku jest pieśń,

Pieśni mnożą się, powstają księgi pieśni.
Te księgi odrzucił Konfucjusz,
Wyrzucił na pustkowie.
Jedną wiatr uniósł do nieba,
Tak powstał Chłopiec Wół i Tkająca Dziewczyna.
Inną wiatr zdmuchnął do morza,
Wyłowili ją rybacy i śpiewają skrzywdzonym duchom. Trzecią wiatr zaniósł do świątyni,
I oto mnisi buddyjscy, oto kapłani dao śpiewają święte księgi,
Czwarta upadła na wiejską ścieżkę,
I oto dziewczęta śpiewają o swych tęsknotach.
Piąta upadła na pole ryżowe,
I oto chłopci śpiewają dziewczynom pieśni z gór A szóstą księgą jest *Opowieść o ciemności* Kiedy weźmie ją w ręce mistrz pieśni, zatracą swą duszę w śpiewie.

Chodzę po pokoju tam i z powrotem, przystaję, żeby zapytać:

- To tylko preludium. A co z *Opowieścią o ciemności*? Mówi, że to pieśń synów i córek, którą w zamierzonych czasach śpiewano w górach na pogrzebach przed zasypianiem trumny. Przez trzy dni i trzy noce śpiewano ją na placu pieśni przed sienią duchów, nie wolno jej było wykonywać bez należytej powagi, kiedy się rozlegała, musiały zamilknąć inne pieśni. Ledwie zanotował niewielką jej część, kiedy mistrz pieśni nagle zachorował i umarł.

- Czemu nie spisałeś wówczas całość? - mówię i wpatruję się w niego.

- Starzec był wówczas chory, siedział na drewnianym krzeselku opatulony pościelą - wyjaśnia. Tak to wygląda, jakby zawinił; wraca do tonacji zaleknienia.

- Czy w górach jeszcze ktoś wie, jak to zaśpiewać?

- Niektórzy potrafią zaśpiewać wstęp, ale nikt nie zdoła zaśpiewać całości.

Mówi, że znał pewnego pieśniarza, który miał mosiężną skrzynię pełną ksiąg z pieśniami, wśród nich kompletną *Opowieść o ciemności*. A wówczas konfiskowano stare księgi; w polowaniu na dzieła reakcyjne, szerzące przesady, *Opowieść o ciemności* była wymarzoną celem. Starzec zakopał skrzynię. Po paru miesiącach jednak odkopał i okazało się, że księgi spleśniały; zatem rozłożył je na podwórku, żeby schły. Ktoś to podpatrzył i doniósł. Do okręgu leśnego wysłano funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa, no i starego zmuszono do oddania zbioru. Wkrótce umarł.

- Gdzie jeszcze szanuje się duszę? Gdzie jeszcze znajdziemy owe pieśni, których należy słuchać z czcią, siedząc spokojnie, a nawet bijąc pokłony? To, co powinno być szanowane, nie jest szanowane, czci się natomiast najróżniejsze rzeczy! Cóż to za rasa o czcnych, obumarłych duszach! Rasa ludzi, którzy utracili dusze! - oświadczam gniewnie.

Stropiony patrzy na mnie bez słowa. Chyba za szybko piłem wódkę i teraz zżera mnie wściekłość.

Rankiem przed budynkiem zatrzymuje się łązik, wysiada posłaniec z wiadomością: otóż ze względu na mnie parę osób z kierownictwa rezerwatu zwołało specjalne zebranie, zapraszają do wysłuchania sprawozdania z ich pracy. Wstydzę się. Oto zapewne skutek moich przechwałek i chępliwości; mojego ogłupienia podczas pijatyki w powiatowym miasteczku. Pomyśleli, że przyjechałem z Pekinu na inspekcję, teraz zaś chcą przeze mnie powiadomić swoich zwierzchników, jak stoją sprawy. Samochód czeka przed głównym wejściem, nie ma mowy o wymyśleniu wymówek.

W salce konferencyjnej przy pomieszczeniach biurowych już siedzi kadra, wszyscy z kubkami herbaty; kiedy siadam, zjawia się też mój kubek. Łudzaco przypomina to zwiedzanie fabryk, jednostek wojskowych, gospodarstw rolnych, kopalni, ośrodków krzewienia rzemiosła ludowego i sal upamiętniających rewolucję, które w celu umacniania więzi ze społeczeństwem organizuje dla swych członków Związek Pisarzy. W owych czasach przywódcy pisarzy mogli przemawiać przy głównym stole, natomiast autorzy pomniejsi, jak ja, którzy znaleźli się tam dla zaokrąglenia statystyk, mogli spokojnie znaleźć sobie zaciszny kątek, pić herbatę i siedzieć cicho. Skoro jednak ci ludzie zebrali się ze względu na mnie, muszę pomyśleć o wątkach do omówienia.

Prowadzący przedstawia najpierw skrót historyczny i sam proces powstawania rezerwatu. W 1907 roku zjawiał się tutaj w poszukiwaniu okazji Anglik nazwiskiem Wilson. Obszar był wówczas niedostępny, Wilson mógł penetrować tylko obrzeża. Aż do roku 1960 nie można tu było dojrzeć słońca, słychać było tylko szum wody, wciąż była to wielka połać dziewiczej puszczy. W latach trzydziestych rząd guomindangowski planował wyręby, lecz z braku dróg projekt zarzucono.

- W roku 1960 Ministerstwo Leśnictwa sporządziło mapy lotnicze. Obszar obejmował 3 250 kilometrów kwadratowych górskiego lasu. Zagospodarowanie ruszyło w 1962, jednocześnie od krańca północnego i południowego. W 1966 połączono je drogą. W 1970 obszar ten podzielono na okręgi, mieszka tu 50 000 chłopów i około 10 000 pracowników i robotników leśnych z rodzinami. Obecnie państwo pozyskuje tutaj 900 000 metrów sześciennych drewna rocznie.

W 1976 naukowcy zaapelowali o ochronę Shennongjia.

W 1980 zaproponowano utworzenie rezerwatu.

W 1982 rząd prowincji zatwierdził wydzielenie na rzecz rezerwatu 80 040 hektarów.

W 1983 utworzono rezerwat; brygady przemysłu drzewnego wyprowadzono z obszaru chronionego, wzniesiono cztery oznakowane bramy, stworzono jednostkę nadzoru. Możliwe stało się zatrzymywanie pojazdów, ale nie ludzi. Zeszłego roku, w jednym tylko miesiącu, weszło tu trzystu do czterystu ludzi w poszukiwaniu tradycyjnych leków. Wykopywali kłącza złotonicy, obdzierali z kory jaśmin nagokwiatowy i eukomię. Ludzie wchodzą też, żeby nielegalnie ścinać drzewa i polować. Są też tacy, którzy ściągają w nadziei zobaczenia Dzikiego Człowieka.

W celach naukowych jednostka badawcza sztucznie wyhodowała na siedmiu hektarach gołębie drzewka, z powodzeniem rozmnożono też aromatyczne krzewy przez klonowanie. Hodowane są zioła lecznicze dziko rosnące: perło-czub, miska wody na brzegu rzeki, pędzelek pisarski Króla Wena, siedem liści na kwiat i inne wymierające, a teraz przywracane przyrodzie rośliny (prawdopodobnie żadna nie posiada nazwy naukowej).

Jest też zespół do spraw fauny, prowadzący badania dotyczące Dzikiego Człowieka, małpy złocistej, pantery, niedźwiedzia białego, cywety, mundzaka, maskocywety, kozic długowłosych, bażanta złocistego, salamandry olbrzymiej, a także zwierząt nie posiadających nazw, jak świnioniedźwiedź i wilk osłogłowy pożerający prosięta, na co skarżą się chłopci.

Od roku 1980 zwierzęta zaczęły powracać, przed rokiem zaobserwowano walkę małpy złocistej z szarym wilkiem. Słyszano krzyk tej małpy, potem widziano, jak jej królewski samiec staje na drodze szaremu wilkowi... w marcu schwytano młodą małpę złocistą, ale w niewoli nie chciała jeść i padła. Pojawił się także ptak słoneczny o czerwonym upierzeniu, storczykowatym ogonie i wydłużonym małym dziobie, żywiący się miodem azaliowym.

Istnieje następujący problem: na tle ochrony środowiska występują sprzeczności. W razie protestów robotnicy nie otrzymują premii. Mniejsze dostawy tarcicy powodują niezadowolenie wyższych władz, jednostka finansująca nie przydziela funduszy. W rezerwacie żyje cztery tysiące chłopów i kierowanie nimi nie jest proste. Dwudziestu pracowników umysłowych i robotników rezerwatu mieszka obecnie w prymitywnych szopach, gdzie brak dostępu do jakichkolwiek wygód; to ci są najbardziej niezadowoleni. Sednem sprawy jest niedostateczne finansowanie, dotychczas wielokrotnie apelowaliśmy...

Zebrany na dobre rozwiązują się języki, tak to wygląda, jakbym mógł apelować o fundusze. Przestaję notować. Nie należę do grona kierującego pisarzami, nie jestem pisarzem, który przewodzi innym pisarzom i może dufnie mówić, improwizować, sypać jak z rękawa zdaniem na każdy temat, składać puste obietnice w rodzaju: porozmawiam o sprawie z odpowiednim ministrem, wszystko przedstawię w departamencie, narobię szumu, wywołam publiczną debatę, całą ludność przekonam do ochrony środowiska, które przecież zapewnia warunki życia naszemu narodowi! Nie radzę sobie nawet z ochroną siebie, cóż więc mogę powiedzieć? Może tyle, że ochrona przyrody to sprawa ważna, a jej skutki odcisną się na życiu następnych pokoleń, naszych dzieci i wnuków. Yangzi stała się już rzeką brunatną, niesie błoto i szlam, tymczasem na Trzech Przełomach ma zostać wybudowana wielka zapora! Tego, rzecz jasna, nie mogę powiedzieć, lepiej już zmienić temat i zająć się Dzikim.

Zaczynam:

- Sprawa Dzikiego Człowieka wzbudza w całym kraju prawdziwe poruszenie... - i zaraz wszyscy rozprawiają o Dzikim.

- Tak jest, Centralna Akademia Nauk w Pekinie przeprowadziła liczne badania. Najpierw w roku 1967, potem w 1977 i 1980 przysyłano tu ludzi specjalnie w tym celu. Badania na największą skalę, z udziałem największej ekipy przeprowadzono w 1977, sam zespół badawczy składał się ze stu dziesięciu osób, nie licząc pracowników i robotników oddelegowanych przez rezerwat. Większość zespołu badawczego stanowili wojskowi, był także oficer z komitetu politycznego dywizji...

Znów zaczynają sprawozdanie.

Jakiego mogę użyć języka, żeby rozmawiać z nimi swobodnie? Czy powinienem zapytać, jak wygląda ich życie? Na pewno chcą pogadać o dostępności towarów, cenach i płacach. Lecz na tym tle moje zasoby finansowe okażą się dalece niewystarczające. Nie jest to w każdym razie stosowne miejsce dla częściej gadaniny, ja zaś nie potrafię powiedzieć - skoro świat staje się coraz bardziej niezrozumiały, skoro postępowanie człowieka i rodzaju ludzkiego staje się tak dziwaczne, skoro człowiek już nie wie, jak winien postępować - dlaczego aż tylu ludzi szuka Dzikiego Człowieka. Lecz o czym tu mówić, jeżeli nie o Dzikim?

Podobno w zeszłym roku, w czerwcu lub w lipcu, widział to stworzenie pewien nauczyciel podstawówki; nie odważył się jednak nadać spotkaniu rozgłosu. Wtajemniczył tylko bliskiego przyjaciela, prosząc o zachowanie wiadomości dla siebie. To prawda, niedawno w wychodzącym w prowincji Hunan magazynie „Dongting” ktoś opublikował artykuł *Tragiczna historia Dzikiego Człowieka z Shennongjia*. Ktoś inny natrafił na ten artykuł, puścił w obieg, w końcu przeczytali go wszyscy. Poszukiwania Dzikiego rozpoczęły się tutaj, ale rozprzestrzeniły na prowincje Hunan, Jiangxi, Zhejiang, Fujian, Sichuan, Guizhou, Anhui... Donoszono o nim zewsząd (z wyjątkiem Szanghaju!). W Guangxi rzeczywiście złapali małego Dzikiego Człowieka, zwanego tam Diabłem Górskim. Chłopi uznali, że przynosi pecha, więc (niestety) uwolnili go. Pojawiały się też doniesienia o spożywaniu mięsa Dzikiego. Tę sprawę można śmiało roztrząsać. Kiedy zjawiła się ekipa badawcza, ustalono i potwierdzono ten fakt, w związku z nim wydano książki. W 1971 roku Zhang Renguan, Wang Liangcan wraz z około dwudziestoma innymi, przeważnie robotnikami z terenu naszego rezerwatu, jedli stopę i łydkę Dzikiego Człowieka w stołówce Gospodarstwa Rolnego Słoneczna Zatoka! Stopa miała około czterdziestu centymetrów długości, wielki palec pięć centymetrów w obwodzie i dziesięć długości. Zebrana wówczas dokumentacja została w całości uwierzytelniona pieczęciami. łydka miała w obwodzie dwadzieścia centymetrów i ważyła piętnaście kilogramów, każdy dostał dużą misę tej łydki. Pewien chłop z Panshui zabił Dzikiego ze strzelby z tłumikiem, a potem sprzedał nogę stołówce Gospodarstwa Rolnego Słoneczna Zatoka. Podobnie, w roku 1975, na górskiej drodze z Komuny Qiaoshang do Brygady Pracy Numer Jeden w Yusai, dwumetrowy Dzikie o rudych włosach uderzył w twarz Zeng Xianguo. Ów stracił na pewien czas przytomność, a po jej odzyskaniu uciekł do domu, zaniemówiwszy na trzy bądź cztery dni. Wszystko to przedkłada analiza statystyczna z dziedziny anatomii porównawczej, oparta na dokumentacji sporządzonej na podstawie relacji ustnej. A czyż powracający do rodzinnej wioski Zhao Kuidian nie widział Dzikiego, objadającego krzaki koriarii? W którym to było roku? 1977 czy w 1978? W każdym razie na kilka dni przed przyjazdem, już drugim, ekipy badawczej z Centralnej Akademii Nauk. Rzecz jasna, można w to wierzyć, można nie wierzyć, opinie badaczy też były podzielone. Jeśli jednak posłuchać, to chłopie w górach mówią same okropności. Dzikie ściga kobiety, upatruje młode dziewczyny do zabaw i seksu; niektórzy powiadają nawet, że Dzikie potrafi mówić, inne dźwięki wydaje, kiedy jest szczęśliwy, inne, kiedy smutny.

- Są tu jacyś, którzy widzieli go na własne oczy? - pytam.

Wszyscy wybuchają śmiechem, wpatrują się we mnie, lecz nie wiem, co to znaczy, widzieli czy nie?

Później wędruję z przewodnikiem do samego środka rezerwatu. W 1971 roku zjawił się tu konwój wojskowych ciężarówek, na głównym wierzchołku góry prowadzono przez dwa lata wyrąb, w ten sposób dostarczając materiału na potrzeby obronne państwa, tak przynajmniej mówili ci ludzie, zostawiwszy ogołocony obszar. Na wysokości zaledwie dwóch tysięcy dziewięciuset metrów widzę ogromną połąć pięknych niskich subalpejskich mokradel, przestwór traw, nieprzerwanie sunące w mgłę i deszczu fale młodej zieleni poprze-tykane kępami bambusów „zimna strzała”. Stoję dłużyj czas na lodowatym wietrze i myślę, że ten obszar naturalnej dzikiej roślinności jest zapewne jednym z ostatnich skrawków pierwotnego środowiska.

Zhuangzi ponad dwa tysiące lat temu powiedział, że drzewo pożyteczne umiera przedwcześnie, pod toporem, tylko drzewo bezużyteczne cieszy się pomyślnością. Ludzie współcześni są bardziej chciwi niż ich przodkowie, co każe wątpić w teorię ewolucji Thomasa Huxleya.

W górskim gospodarstwie przechodzę koło młodziutkiego niedźwiadka. Jest w szopie, na szyi ma konopną obrozę, wygląda jak brązowy piesek, wciąż wspina się i złazi ze sterty drewna. Bez przerwy pomrukuje, nie umie jeszcze gryźć we własnej obronie. Właściciel powiada, że znalazł go w górach; nie ma co wypytywać, czy zabił mu matkę; w każdym razie

podobny do psa niedźwiadek jest naprawdę miły. Chłop widzi, że zwierzę mi się podoba; mówi, że mogę je wziąć za dwadzieścia yuanów. Niestety, nie przewiduję występów cyrkowych, a jeśli wezmę niedźwiadka, to co z moją podróżą? Dla mnie będzie lepiej, jeśli zwierzak zostanie.

Przed czymś domem widzę posłanie z lamparciej skóry, wietrzy się w słońcu, podziurawione przez mole. Tygrysy wytepiono ponad dziesięć lat temu. Widzę też wypchaną małpę zlocistą. Przypuszczam, że to ta, którą schwytano na drzewie, ta sama, która nie chciała jeść i zdechła. Kiedy schwytane zwierzęta nie chcą się udomowić, potrafią zrobić tylko to. Wymaga to niemałej determinacji, nie wszystkich ludzi na to stać.

Co jeszcze? Na budynku zarządu rezerwatu widzę na ścianie nowy duży transparent: „Gratulacje z okazji założenia Komitetu Sportowego Ludzi Starszych!” Myślę, że zapoczątkowano jakąś nową kampanię polityczną, i śpieszę zapytać pracownika, kto powiesił napis. Mówi, że nadeszła telefoniczna instrukcja z góry - tak chcieli, więc zrobił. To nie dotyczy ciebie ani mnie, chodzi o kadry rewolucyjne po sześćdziesiątce, dostali dodatek sportowy w wysokości co najmniej stu yuanów. Tutaj najstarszy działacz ma zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, co zapewnia tylko nagrodę pocieszenia w postaci pamiątkowej broszury. Później spotykam młodego reportera; mówi, że przewodniczącym Komitetu Sportowego Ludzi Starszych jest emerytowany były okręgowy sekretarz partii. Naciskał, żeby rezerwat wyłożył sto yuanów na uroczystość powołania komitetu, reporter mówi, że pisze dokument wewnętrznego obiegu i chce go przekazać bezpośrednio do Centralnej Komisji Kontrolno-Dyscyplinarnej; pyta, czy mam dojścia. Przemawia do mnie to szlachetne oburzenie, ale tłumaczę, że lepiej zdać się na wysłanie dokumentu pocztą, niż przekazać go mnie.

Widzę ładną młodą kobietę z odrobiną piegów na nosie. Ubrana inaczej niż tutejsi, nosi bluzkę z krótkimi rękawami z bawełnianej dzianiny, odsłaniającą szyję. Zagaduje; przyjechała z Zigui na południowym brzegu Yangzi, zatem z miejsca narodził się Qu Yuana. Skończyła szkołę średnią i szuka tu kuzynki ze strony matki, a przy okazji chce zobaczyć, czy znajdzie pracę w rezerwacie. Jak opowiada, władze powiatowe w Zigui ogłosiły, że wkrótce rozpocznie się budowa wielkiej zapory Trzech Przełomów, powiat zostanie całkowicie zalany. We wszystkich gospodarstwach domowych wypełniano rejestracyjne karty ewakuacyjne dla ludności, a mieszkańców przynaglono do zaplanowania sobie środków utrzymania. Potem podróżuję wzdłuż Strumienia Xiang, gdzie rodzą się piękne kobiety, a przed przyjazdem do Yichang mijam dom Wang Zhaojun, znanej piękności z dawnych czasów; dom stoi na górskim zboczu, ma czarne dachówki i wywinięte okapy. Pisarz amator opowiada, że miasto wyznaczono na stolicę przyszłej prowincji Trzech Przełomów, wyznaczono nawet, jeszcze nieoficjalnie, prezesa elekta przyszłego tutejszego Związku Pisarzy. Prezesem elektem jest ku memu zdziwieniu nagradzany poeta, o którym już słyszałem, chociaż nie zasmakowałem w jego wierszach.

Już dawno straciłem wrażliwość poetycką i nie potrafię pisać wierszy. Tak czy inaczej wątpię, czy terażniejszość to czas poezji. Wydaje się, że wszystko, co można wyśpiewać lub wykrzyknąć, już wyśpiewano i wykrzyczano. To, co pozostaje, to tak czy inaczej wydrukowane i nazwane wrażenia. W takim wypadku widziane przeze mnie rysunki artystów przedstawiające Dzikiego Człowieka o tykowatych ramionach, zgarbionym grzbiecie, grubych nogach i długich włosach, który zaśmiewa się na widok ludzi, oparte na zweryfikowanych naukowo sprawozdaniach naocznych świadków, zamieszczanych w wydawnictwach Stowarzyszenia do Badań nad Dzikim Człowiekiem, to także tylko wrażenia. Czy wobec tego niezwykley krajobraz, na który patrzyłem ostatniego wieczoru na Płaskowyżu Drewnianej Ryby, w pierwotnym lesie zwanym Shennongjia, można uznać za wiersz?

Na niebie świeci księżyc w pełni. Na placu w cieniu wyniosłej góry ustawiono dwie wysokie tyki bambusowe, wiszą na nich naftowe lampy; na dole między tykami kurtyna. Trupa akrobatów zaczyna pokaz przy akompaniamencie obtłuczonej, rozstrojonej trąbki i stłumionych uderzeń przewilgłego bębna. Zeszło się około dwustu ludzi, dorosłych i dzieci z domów tej wioski, w tym umysłowi i robotnicy z rezerwatu, z rodzinami, także ładna piegowata młoda kobieta w odsłaniającej szyję bluzce z bawełnianej dzianiny z krótkimi rękawami, która przyjechała z rodzinnej miejscowości Qu Yuana. Widownię tworzą trzy gęste rzędy uformowane w duże półkole. Ci w pierwszym siedzą na drewnianych krzesłach przyniesionych z domów, ci w drugim stoją, ci zaś, którzy przyszli na końcu, wtykają głowy między głowy ludzi stojących w rzędzie środkowym.

W programie jak zwykle rozbijanie cegieł przez ćwiczących aigong; cegłę, potem dwie, potem trzy rozbijają na dwoje jednym ciosem ręki; zaciskanie pasa i połykanie żelaznych

kulek, a potem wyrzucanie ich z siebie w strumieniu spienionej śliny; gruba kobieta wspina się na bambusową tykę, następnie, wczepiona w złoty hak, wisi do góry nogami; połykanie ognia. To tylko udawanie, to tylko udawanie. Wpierw mówi to cicho jakaś kobieta, potem zaczynają głośno wykrzykiwać młodzi mężczyźni. Łysy szef trupy woła:

- W porządku, to teraz coś naprawdę!

Połykaczowi żelaznych kulek podaje oszczep i każe wpierać metalowy grot w swą pierś, a potem w gardło, aż bambus wygina się w łuk, a na łysej głowie nabrzmiewają błękitne żyły. Ludzie zaczynają bić brawo i już widać, że łysy przemógł widownię.

Z placyku znika napięcie, dźwięk trąbki niesie się przez cienie góry, bęben już nie jest taki stłumiony, wszystkich ogarnia dobry nastrój. Księżyc chowa się za chmurą, jaśniej płoną naftowe lampy. Tęga kobieta trzyma na głowie misę z wodą, żonglując jednocześnie porcelanowymi talerzami na bambusowych kijach. Kończy numer, odkłada rekwizyty i wykonuje dziękczynną paradę przed widownią: kręcąc obfitymi biodrami, przedrzeźnia telewizyjnych piosenkarzy i tancerzy. Kilku widzów klaszcze. Obdarzony obrotnym językiem szef trupy, w miarę jak słabnie podziw dla popisów, wygaduje coraz zuchwalsze rzeczy; ludzie są jednak w humorze, zadowoleni ze wszystkiego, co zobaczą.

Na koniec robienie gumy. Dziewczyna, która dotychczas podawała rekwizyty, ubrana w czerwone jedwabne spodnie i taką samą górę, wskakuje na kwadratowy stół. Ustawiono na nim dwie ławki, a na nich jeszcze stolik. Sylwetka dziewczyny odcina się na tle czarnego masywu góry, jaskrawo-czerwona w mocnym świetle lamp, tymczasem księżyc na niebie przygasa, staje się pomarańczowożółty.

Najpierw dziewczyna robi Stojącego Samotnie Złotego Bażanta, delikatnie splata nogi i unosi nad głową. Publiczność głośno wyraża uznanie. Następnie robi szpagat, siedzi absolutnie nieruchomo, równo z ławką. Publiczność entuzjazmuje się. Następnie rozstawia nogi i odgina się w tył, nad chudymi nogami sterczy już tylko wzgórek. Publiczność wstrzymuje oddech. Spomiędzy nóg powoli wylania się głowa, potem, co jeszcze bardziej zdumiewające, dziewczyna ściąga ciasno nogi, ujmując tę dziewczęcą głowę z długimi warkoczami jak w szczypce. Wielkie czarne oczy wydają się smutne, jakby patrzyły na jakiś inny świat. Potem ręce zaciskają się na dziecinnej twarzy, dziewczyna wydaje się groteskowym, humanoidalnym pajakiem wpatrzonym badawczo w publiczność. Niektórzy zaczynają klaskać, ale przestają. Dziewczyna opiera ciało na rękach, potem unosi wiszące nogi i zaczyna się obracać na jednej ręce, przez czerwony jedwab wyraźnie prześwitują teraz sutki. Wręcz słyszalny staje się oddech widowni, powietrze przenika zapach włosów i potu. Jakieś dziecko chce coś powiedzieć, lecz trzymająca je kobieta ucisza je łagodnym klapsem.

Dziewczyna w czerwieni - dziewczyna o zaciśniętych zębach, delikatnie wystającym podbrzuszu, twarzy opromienionej czystą księżycową poświatą na tle czarnego masywu góry - wygina się, wykręca poza granice człowieczego wizerunku. Tylko cienkie wargi i czarne oczy zdradzają ból; a jest to ból, który rozpala w człowieku żądzę okrucieństwa.

Dziś wieczorem wszyscy są szaleńczo podnieceni, jakby ktoś im zaszczepił kurzej krwi. Jest późna noc, mimo to w większości domów w pobliżu i w dali palą się światła, długo jeszcze słychać rozmowy, brzęk i stukanie przedmiotów. Ja też wiem, że nie zasnę, wałęsam się, wracam na pusty plac. Z bambusowych tyk zdjęto lampy naftowe, pozostało tylko światło księżyca. Trudno mi uwierzyć, że akurat teraz, u podnóża tej majestatycznej, surowej i poważnej, głębokiej góry, ludzie odegrali te sceny rażąco nienaturalnego ludzkiego zniekształcania się; zastanawiam się, czy to wszystko nie było snem.

- Skoro tańczysz, to nie myśl o czym innym. - Właśnie ją spotkałeś; kiedy to mówi, tańczycie po raz pierwszy.

- W czym rzecz? - pytasz.

- Po prostu tańcz, kiedy tańczysz, nie udawaj, że toniesz w myślach.

Śmiejesz się.

- Przyłóż się trochę, obejmij mnie.

- Dobrze - mówisz.

Chichocze.

- Czemu się śmiejesz?

- Nie możesz objąć mocniej?

- Mogę.

Obejmujesz ją mocniej, wyczuwasz jędrność jej piersi, woń ciepła z rozpiętej pod szyją bluzki. W pokoju jest półmrok, stojąca w kącie lampę stołową nakryto czarnym otwartym parasolem, twarze tańczących są niewyraźne. Z magnetofonu dobiega cicha muzyka.

- Tak jest dobrze - mówi.

Twój oddech porusza delikatne pasma jej włosów ocierające się o twój policzek.

- Jesteś urocza - mówisz.

- Co takiego?

- Lubię cię, ale to nie jest miłość.

- Tym lepiej; miłość przytłacza, miłość doskwiera.

Mówisz, że masz podobne wrażenie.

- Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny - mówi wzruszona i uśmiechnięta.

- Dobrana z nas para.

- Ale nie wyjdę za ciebie.

- Po co byś miała wychodzić?

- Bo ją naprawdę chcę wyjść za mąż.

- Kiedy?

- Może w przyszłym roku.

- To kawał czasu.

- Lecz nie za ciebie, nawet w przyszłym roku.

- To się rozumie samo przez się; za kogo więc wyjdiesz?

- Za kogoś wyjdę prędzej czy później.

- Za pierwszego z brzegu?

- Niekoniecznie. W każdym razie będę musiała za kogoś wyjść, prędzej czy później.

- A potem się rozwieść?

- Może.

- Wtedy znów zatańczymy.

- Wtedy też nie wyjdę za ciebie.

- Po co byś miała wychodzić?

- Jest coś miłego w tobie. - Chyba naprawdę tak uważa. Dziękujesz jej.

Za szybą widać światła niezliczonych domów. Jedne zapalają się, inne gasną; regularnie nawarstwione, są światłami wysokich pudełkowatych budynków mieszkalnych stojących rząd za rzędem. Tymczasem w pokoju jakiejś parze zachciało się nagle wirować, wpadają ci na plecy. Przystajesz tańczyć i tulisz ją.

- Niech ci się nie wydaje, że się zachwycam twoim tańcem - korzysta z okazji, żeby znów zacząć.

- Nie tańczę zawodowo.

- Więc dlaczego tańczysz? Żeby się zbliżyć do kobiet?

- Są sposoby, żeby się zbliżyć jeszcze bardziej.

- Język ci się wystrzył.

- To dlatego, że tobie usta się nie zamykają.

- W porządku, już nic nie powiem.

Tuli się do ciebie, przymykasz oczy. Taniec z nią to prawdziwa rozkosz.

Spotykacie się znowu w środku jesieni; pewnego wieczoru dmie zimny północno-zachodni wiatr. Jedziesz rowerem, stawiasz czoło wichurze raz po raz podrywającej w powietrze liście i strzępy papieru na drodze. Postanawiasz wpaść na chwilę do zaprzyjaźnionego malarza, przeczekać, aż trochę się uspokoi, więc zawracasz w ulicze

ledwie rozjaśnionej żółtawym światłem jedynej lampy. Widzisz tylko postać, która samotnie idzie przed siebie z głową wtuloną w płaszcz. Czujesz się okropnie.

Migotliwe, słabe światło pada z okna na ciemne podwóreczko. Pukasz, odpowiada niski głos. Przyjaciel otwiera drzwi i każe uważać na stopnie, które w ciemności czają się pod nogami. W pokoju w przepołowionej skorupie orzecha kokosowego migoce płomyk świeczki.

- Coś wspaniałego - mówisz, naprawdę cieszy cię ciepło. -Co porabiasz?

- Nic szczególnego - odpowiada.

W tym solidnie nagrzanym pokoju przyjaciel, rozczochrany, ma na sobie tylko welniany rozciągnięty sweter. Piecyk już jest podłączony na zimę do komina.

- Chorujesz? - pytasz.

-Nie.

Coś się porusza koło świeczki, słyszysz skrzywienie sprężyn starej zużytej sofy i uświadamiasz sobie, że na brzegu siedzi kobieta.

- Masz gościa? - pytasz tonem przeprosin.

- Nie szkodzi. - Wskazuje sofę. - Siadaj.

A wówczas widzisz, że to ona, na powitanie apatycznie wyciąga miękka, luźną rękę. Długie włosy odsuwa dmuchnięciem z kącika oczu. Wdajesz się w żarty.

- O ile pamiętam, kiedyś nie miałaś takich długich włosów.

- Czasem je upinam, czasem rozpuszczam, po prostu nie zauważyłeś. - Uśmiecha się krzywo.

- Znacie się? - pyta przyjaciel.

- Tańczyliśmy w mieszkaniu kolegi.

- Jeszcze pamiętasz. - Słysząc w tym sarkazm.

Odcinasz się:

- Jak mógłbym zapomnieć, że z kimś tańczyłem?

Przyjaciel przegrzebuje piec, ciemnoczerwony ogień rzuca światło na papierowy baldachim pod sufitem.

- Napijesz się?

Mówisz, że wpadłeś najwyżej na chwilę.

- Mnie w każdym razie nic nie pili - mówi przyjaciel.

- Nie ma sprawy... - dodaje ona.

Potem milkną. Odzywam się:

- Nie przeszkadzajcie sobie, mówcie. Wpadłem się zagrzać, zimno, aż strach. Zaraz ruszam, niech tylko wiatr przycichnie.

- Ależ nie - mówi ona. - Przyszedłeś w porę.

Znowu milczymy.

- Powiedzmy raczej, że przyszedłem całkiem nie w porę. -Myślisz, że naprawdę trzeba wstać i wyjść, ale przyjaciel nie czeka, aż wstaniesz, usadza cię obiema rękami na sofie i mówi:

- Skoro jesteś, można wreszcie pogadać o czym innym. Skończyliśmy już o tym, o czym mówiliśmy.

- Nie przeszkadzajcie sobie, po prostu posłucham.

Ona zwija się w kłębek na sofie, widać tylko zarys poblądłej twarzy, śliczny nos i usta.

Po pewnym czasie zjawia się u ciebie na schodach któregoś popołudnia.

- Skąd wiesz, że tu mieszkam?

- Czy jestem nieproszonym gościem?

- Nic podobnego, przeciwnie. Wejdz, wejdz - zapraszasz i pytasz, czy to przyjaciel malarz dał adres. Widywałaś ją dotychczas tylko w przyćmionym świetle; nie dałbyś głowy, że to ona.

- Może on, może kto inny; czy twój adres to tajemnica? -odpowiada pytaniem na pytanie.

Ani myślałeś, mówisz, że cię zaszczyci wizyta, więc tym bardziej czujesz się zaszczycony.

- Zapominasz, że to ty mnie zaprosiłeś.

- Też możliwe.

- I to ty mi dałeś swój adres. Tego też nie pamiętasz?

- Widocznie tak było - mówisz. - W każdym razie bardzo się cieszę, że jesteś.

- Miałbyś się nie cieszyć, że cię odwiedza modelka?

- Jesteś modelką? - Coraz bardziej cię zadziwia.

- Pozuję, zwłaszcza nago.

Mówisz, że nie jesteś malarzem, za to, niestety, tkwisz po uszy w amatorskiej fotografii.

- Czy twoi goście zawsze muszą stać? - pyta.

Szerokim gestem zapraszasz:

- Czuj się jak w domu, możesz robić, co chcesz. Widok pokoju świadczy o tym, że gospodarz nie narzuca ograniczeń ani reguł.

Siada przy biurku, rozgląda się i mówi:

- Przydałaby się tutaj kobieca ręka.

- Może być twoja, jeżeli zechcesz, pamiętaj jednak, że kobieca ręka może zawładnąć tylko mieszkańcem, lecz nie pokojem, bo meble należą do właściciela.

Na jej widok zawsze się wdajesz w potyczkę słowną, dziś też nie ma powodu kapitulować.

- Dzięki. - Bierze z uśmiechem herbatę. - Teraz porozmawiajmy o czymś poważnym.

Znowu jest góra. Masz czas powiedzieć tylko:

- Pewnie.

Nalewasz sobie herbaty, siadasz przy biurku, rozluźniasz się i zwracasz do niej.

-Może najpierw omówmy, o czym mówić. Nawiasem: naprawdę jesteś modelką?

- Byłam modelką malarza, lecz już nie jestem. - Dmuchięciem odsuwa włosy z twarzy.

- Mogę spytać dlaczego?

- Już rzygał, kiedy mnie malował, więc znalazł sobie kogo innego.

- Tacy są malarze, wiadomo. Nie mogą strawić życia na malowaniu jednej modelki. - Musisz bronić przyjaciela.

- Podobnie z modelkami, nie mogą żyć dla jednego malarza.

Ma rację, rzecz jasna. Trzeba zmienić temat.

- Ale czy naprawdę jesteś modelką? Pytam o zajęcie, czy to twój zawód?

- Takie to ważne? - Znowu się śmieje, jest nadzwyczajna, zawsze ma nad tobą przewagę.

- Nieważne. Po prostu pytam; jeśli się dowiem, o czym mówić, będę mógł mówić o czymś, co by zainteresowało ciebie i mnie.

- Jestem lekarką - mówi; widzisz skinienie głowy. Zanim ochłoniesz, już pyta: - Mogę zapalić?

- Jasne, ja też palę.

Podsuwasz paczkę i popielniczkę.

Zapala, zaciąga się.

- Nie wyglądasz na lekarkę - starasz się pojąć jej grę.

- Dlatego mówiłam, że nieważne, co robię. Naprawdę myślałeś, że jestem modelką, kiedy mówiłam, że jestem? - Odchyła głowę i powoli wydycha dym.

A kiedy mówisz, że jesteś lekarką, naprawdę jesteś? Tego jednak nie mówisz.

- Myślisz, że wszystkie modelki mają pstro w głowie? - pyta.

- Niekoniecznie, pozowanie to poważna praca, w pokazywaniu ciała nie ma nic złego. Mówię o pozowaniu nago. Jeśli natura obdarzyła kogoś pięknem, to demonstrowanie piękna natury można uznać tylko za szczodrość, w żadnym wypadku za rozwiązłość. Dodałbym, że z pięknem ciała nie może się mierzyć żadne dzieło sztuki. Trudno i darmo, na tle natury sztuka zawsze wypada bezbarwnie, tylko maniak może uważać, że sztuka przewyższa naturę.

Tokujesz podniecony i przejęty.

- Więc zajmujesz się sztuką?

Mówisz, że w sztuce brak ci biegłości, jesteś tylko pisarzem, mówiącym, co chce i kiedy chce.

- Ale pisanie to też rodzaj sztuki.

Upierasz się, że pisanie to umiejętność techniczna.

- Pisanie wymaga przyswojenia sobie techniki, jak w twoim przypadku, kiedy nauczyłaś się posługiwać skalpelem. Nie wiem, czy jesteś chirurgiem czy może internistką, nieważne. Mając technikę, każdy może pisać, jak każdy może się wprawić w posługiwaniu skalpelem.

Śmieje się.

Nie wierzysz, że sztuka to świętość, wywodzisz, sztuka to tylko sposób życia. Ludzie miewają różne sposoby życia, sztuka nie odzwierciedla wszystkiego.

- Jesteś bardzo inteligentny - mówi.

- Wcale nie jesteś głupia - mówisz.

- Ale są głupi ludzie.

-Kto?

- Malarze. Pojmują tylko oczami.

- Malarze pojmują po malarsku. Bardziej niż pisarze polegają na wzroku.

- Czy postrzeganie wzrokiem pozwala dostrzec czyjaś rzeczywistą wartość?

- Nie sędzę, rzecz jednak w pytaniu, co to jest wartość? Różni się bowiem w zależności od jednostki, ludzie patrzą na wartość po swojemu, każdy inaczej. Tylko ci, których łączą podobne wartości, widzą jakieś znaczenie wartości odmiennych. Wcale nie schlebiam, jesteś piękna, lecz nie wiem, czy piękna wewnątrznie; mogę za to powiedzieć, że rozmowa z tobą to sama radość. A po cóż ludzie żyją? Żeby mieć trochę przyjemności. Tylko głupcy szukają strapienia.

- Ja też czuję się z tobą szczęśliwa.

Mówiąc to, bezwiednie bierze ze stołu twój klucz i zaczyna się nim bawić. Widzisz, że jest nieszczęśliwa, zacznasz więc mówić o kluczu.

- Co to za klucz? - pyta.

- Ten, który masz w ręce.

- I co z tym kluczem?

Mówisz, że go zgubiłeś.

- Przecież tu jest? - Pokazuje klucz na dłoni.

Myślałeś, mówisz, że zgubiłeś ten klucz; ten, który teraz ma w ręce.

Odkłada klucz na stół, niespodziewanie wstaje i mówi, że wychodzi.

- Coś cię pili?

- Tak - mówi i dodaje: - Jestem mężatką.

- Gratuluję - w twym głosie słycać gorycz.

- Wróć.

Co za ulga.

- Kiedy?

-Kiedy poczuje się szczęśliwa. Nie przyjdę, kiedy będę nieszczęśliwa, bo mogłabym cię unieszczęśliwić. Ale nie przyjdę też, kiedy poczuje się bardzo szczęśliwa...

- Jasne, zrób, jak uważasz.

Chcesz mieć nadzieję, mówisz jeszcze, że wróci.

- Wróć, porozmawiamy wtedy o kluczu, który zginął.

Ruchem głowy odrzuca włosy na ramiona, potem wychodzi z zagadkowym uśmiechem i zstępuje po schodach.

Dawny kolega szkolny, nie widziany od ponad dziesięciu lat, wyciąga z szuflady fotografię. Na zdjęciu on i ktoś jeszcze, przed zrujnowaną świątynią, przy grządce warzyw. Ta druga osoba może w średnim wieku, może niewiele starsza; może kobieta, a może mężczyzna. Kolega pyta, czy słyszałem o Wojownicze Huangjiang.

Syszałem. Z początkiem czasów gimnazjalnych inny kolega przynosił z domu zakazane w szkole stare powieści o szlachetnych wojownikach, w rodzaju *Siedmiu mieczy i trzynastu prawych wojowników*, *Życia szermierza z Emei* czy *Trzynastej Młodszej Siostry*. Kto się zaliczał do przyjaciół, mógł zabrać książkę do domu na noc, kto się nie zaliczał, mógł książkę wsunąć do szuflady szkolnej ławki i czytać ukradkiem na lekcji.

Pamiętam też, że jeszcze wcześniej miałem ilustrowany zeszytowy komplet *Wojowniczeki z Huangjiang*. Podczas gry w kulki zgubiłem kilka stron i już nie miałem kompletu, co mnie naprawdę zmartwiło.

Ta właśnie Wojownicza z Huangjiang, jak pamiętam, a może Trzynasta Młodsza Siostra, czy też inna wojownicza, miały coś wspólnego z moim wyzwaniem się z dziecinnej niewiedzy o sprawach seksu. Pewnie to była książka kupiona w antykwariacie. Gdzieś na początku, pod obrazkiem z gałęzią kwitnącej brzoskwini smaganą przez burzę, widniał taki mniej więcej podpis: „Nieopisana boleść po nocnej wichurze i ulewie”, podsuwający myśl, że wojowniczkę zgwałcił jakiś łajdak ćwiczony w sztukach walki. Na następnej stronie kobieta odnajduje prawdziwego mistrza tych sztuk, ze szczytów dziedziny, potem przyswaja sobie tajemną sztukę latających noży. Myśli o jednym, o zemście, aż w końcu udaje jej się wytropić wroga. Obezwładnia go, więzi głowę latającymi nożami, ale niewiadomo czemu, ogarniają smutek, więc po prostu odcina mu rękę i puszcza wolno, zostawiając pieniądze na życie.

- Uwierzysz, że wciąż istnieją wojowniczeki? - pyta dawny kolega szkolny.

- Ta kobieta na zdjęciu? - Nie wiem, może żartuje.

Na zdjęciu ów kolega, szczupły, w okularach, w kombinezonie geologa, wygląda z chłopska, a przypomina Pierre'a z *Wojny i pokoju* Tołstoja. Kiedy po raz pierwszy czytałem tę powieść, kolega był bardzo szczupły, chociaż już wtedy na miłej okrągłej twarzy błyszczały okulary. Zawsze miał je na nosie, bardzo podobny do postaci, którą na ilustracjach do dzieła Tołstoja umieszczał rosyjski artysta. Natomiast stojąca obok wojownicza ledwie sięga mu ramienia, ubrana jak chłopka, w obszernym płaszczu zapinanym z przodu, w workowatych spodniach i wojskowych kaloszach o nosach jak łopaty. Ma bezpłciową twarz, małe oczka, a jedynym śladem kobiecości są włosy sięgające ucha, obcięte na modłę wiejskich aktywistek. Zupełnie nie przypomina wojowniczek z moich obrazków, powieści, ilustrowanych książeczek; tamte, wystrojone w elegancko przepasane kostiumy do walki, w zapierających dech bohaterskich pozach, miały piękne oczy feniksów.

- Nie lekceważ jej. To w każdym calu mistrzyni walk, zabiła mnóstwo ludzi - mówi z powagą.

W drodze z Zhuzhou na wschód pociąg spóźnia się i zatrzymuje na małej stacyjce, zapewne żeby przepuścić ekspres z przeciwnej strony. Widzę nazwę stacyjki i nagle przypominam sobie, że dawny szkolny kolega pracuje tutaj z ekipą szukającą kopalini. Nie kontaktowaliśmy się przez dziesięć lat z górą, aż w zeszłym roku redaktor wydawnictwa przekazał mi nadesłany przez niego rękopis powieści. Na kopercie widniała ta sama nazwa. Nie wziąłem adresu, lecz w takim miasteczku ekipy poszukiwawcze nie depczą sobie po piętach, więc nietrudno go będzie odszukać. Bez namysłu wysiadam. To dobry przyjaciel z dzieciństwa. Nigdy za wiele dobrego w życiu, a przypadkowe spotkanie z przyjacielem z dawnych czasów to przecież coś wspaniałego.

Ruszając z Changsha, wiedziałem o przesiadce w Zhuzhou, nie zamierzałem jednak przerywać podróży. Nie mam w Zhuzhou krewnych ani znajomych i nie ma tu co badać, ani zwyczajów ludowych, ani znalezisk archeologicznych. Mimo to cały dzień spędziłem na wałęsaniu się nad rzeką Xiang i po mieście. Dopiero później zrozumiałem, że było to chyba tropienie kolejnego błahego obrazka z przeszłości.

Minęło już ze dwanaście, trzynaście lat od wypędzenia mnie z Pekinu z tobołkiem pod pachą jako uchodźcy: czekała mnie „redukcja” w czymś zwanym Szkołą Kadr imienia Siódmego Maja, posadowionym w tych górskich stronach. Ale uchodźcą byłem już jako dziecko i uciekałem przez tę samą okolicę. A potem? Na tle nieustannych zmian politycznych panowały w organizacjach napięte stosunki; ludzie skandowali slogany i kurczowo czepiali

się swych frakcji, bali się bowiem, że przeciwnicy przykleją im etykietę wroga. Później nagle nadeszły nowe „instrukcje z najwyższego szczebla”, do instytucji kulturalnych skierowano delegatów wojskowych, a ludzi przesiedlono w ten górski region, do pracy na polach.

Jestem uchodźcą od urodzenia. Za życia matki słyszałem, że urodziła mnie podczas bombardowania. Na okna izby porodowej w szpitalu naklejono papierowe pasy, żeby zmniejszyć drgania w czasie wybuchów. Na szczęście żaden samolot nie zrzucił w pobliżu bomby, dzięki czemu udało mi się przyjść na świat. Jednakże oniemiałem; nie płakałem, dopiero doktorski klaps w pośladek sprawił, że się rozdarłem. Zapewne narodziny przesądziły o moim nawyku życia w stanie ciągłej ucieczki; podczas dorastania oswoiłem się ze wstrząsami i poniekąd nauczyłem się cieszyć okresami dzielącymi jeden wstrząs od drugiego. Zatem kiedy inni członkowie naszej przesiedlanej grupy siedzieli na peronie na swoich tobołkach i czekali jak ogluszeni, ja zostawiłem mój tobołek pod czyjąś opieką, żeby waleśać się po ulicach i zaułkach jak bezpański pies. W jakiejś restauracyjce natknąłem się na pewnego twarogłowego z przeciwstawnej frakcji. W owych czasach racjonowano wieprzowinę, każdy dostawał kartkę pozwalającą kupić *jin* mięsa raz na miesiąc. Domyśliłem się, że tamten chce zjeść trochę mięsa, jak ja. A okazało się, że w restauracyjce podają psie mięso z chili. Zamówiliśmy po porcji, on i ja. Zostaliśmy zdegradowani, skazani na życie z dala od domu, on i ja, teraz dzieliliśmy stolik i sprzeczali się, kto postawi butelkę. Obaj piliśmy wódkę, jedliśmy psie mięso, jakby ta walka klas na śmierć i życie nie istniała, jakby nie istniał wróg; rzecz jasna nie mówiliśmy o polityce. Było zresztą mnóstwo rzeczy do obgadania - na starej uliczce można było kupić bez kartek papier toaletowy o zapachu słomy, miejscowe ubrania i herbatę. Można też było kupić nieosiągalne w Pekinie orzeszki ziemne w pięciu smakach. Kupiliśmy trochę, on i ja, wysypaliśmy z torebek na stół, żeby pogryzać. Ów strzęp błahego wspomnienia kazał mi spędzić cały dzień w Zhuzhou przy okazji przesiadki. Słowem, wszystko przemawiało za tym, żeby sprawić trochę frajdy przyjacielowi z czasów młodości.

Zarezerwowałem miejsce w domu noclegowym i zostawiłem plecak. Jeśli nie zdołam znaleźć kolegi, przynajmniej wyśpię się, potem złapię poranny pociąg.

Przy straganie, gdzie do późnego wieczora sprzedaje się przekąski, jem miskę kleiku ryżowego z fasolą mung. Potem pytam urzędnika, który chłodzi się na krześle przed biurem podatkowym, czy jest tu w okolicy ekipa szukająca złóż. Prostuje się i zaraz potwierdza: jest - wprawdzie mówi, że o dwa *li* stąd, potem, że o trzy, potem, że najwyżej o pięć. Na końcu ulicy, gdzie już nie ma lamp, natrafiam na wąską dróżkę, idę nią między polami ryżowymi, potem przez drewniany mostek przechodzę nad rzeczką, a po drugiej stronie, już blisko, stoją samotnie nowoczesne budynki. To ekipa poszukiwawcza.

Jest letni wieczór, wygwieżdżone niebo, zewsząd dolatuje rechot żab. Włazę w kałużę, lecz nie przejmuję się, koniecznie chcę odszukać przyjaciela; około północy udaje mi się dobrnąć po omacku i oto pukam do drzwi.

- Ty diable! - wykrzykuje zaskoczony i podniecony.

Duży i tęgi, w samych szortach, trzepie mnie jak szalony

wielkim czerwonym trzciniowym wachlarzem, aż czuję powiew. To nasz zwyczaj z dzieciństwa, kiedy klepaliśmy się po ramionach. Byłem wówczas najmłodszy w klasie, przezywano mnie „mały diabeł”. Powiedziałbym, że teraz już ze mnie stary diabeł.

- Jak mnie znalazłeś?

- Wypełzłem spod ziemi - mówię. Ja też naprawdę się cieszę.

- Przynies coś do picia, albo nie, przynies arbuza, bo strasznie gorąco - woła do żony, tęgiej, solidnie zbudowanej kobiety, chyba miejscowej. Żona uśmiecha się, ale niewiele mówi. Najwyraźniej przyjaciel tu wrósł, lecz nic nie stracił z dawnej brawury.

Pyta, czy dostałem rękopis. Mówi, że widział parę kawałków wydanych w ostatnich latach pod moim nazwiskiem, i pomyślał, że to widocznie ja, więc wysłał rękopis do redakcji jednego z wydawnictw z prośbą o przekazanie. Pomyśl się sprawdził i rzeczywiście nawiązaliśmy kontakt. Mówi, że też odczuwa potrzebę pisania, wręcz nieodparta, napisał więc powieść, żeby zobaczyć, jak to wypadnie.

Cóż mogę powiedzieć? To powieść o chłopcu ze wsi, poniżanym przez kolegów z klasy, bo dziadek chłopca był wielkim posiadaczem ziemskim; dzień w dzień nauczyciel przypomina, że linia dzieląca od wrogów klasowych musi być nakreślona wyraźnie, a chłopiec codziennie tego słucha. Czuje, że źródłem jego niedoli jest ów chorowity starzec, który po prostu nie może umrzeć; zatem do leczniczego naparu, który starzec pije, chłopiec dodaje dzikie kwiaty yaoying, wybierane nawet z zielonej paszy dla świń. Nazajutrz, kiedy z

wiejskiego radiowęzła rozlega się pieśń *Wschód jest czerwony*, zwołująca wieśniaków do pracy na polach, chłopak budzi się i widzi rozciągniętego na ziemi nauczyciela. Usta powleka zakrzepłą krew, starzec nie żyje. Powieść mówi o psychice dziecka, bada bezsens świata widzianego oczami chłopskiego syna. Pokazałem rękopis znajomemu wydawcy. Oszczędził mi zwyczajnej mówki z okazji odrzucenia rękopisu, darował sobie perły literackiego żargonu, że epizodom brak szlif, koncepcja mama, mało przekonujące postaci i brak sportretowania tego, co typowe. Powiedział zaś szczerze: uważam, że powieść jest napisana dobrze, lecz autor posunął się za daleko, kierownictwo z pewnością tego nie zatwierdzi, więc szkoda mówić o druku. Mogłem tylko odrzec, że autor, gdzieś daleko zajęty poszukiwaniami geologicznymi, wie, jak jest w górach. Trudno zaś oczekiwać, że będzie rozumiał kryteria dzisiejszego życia literackiego.

- No dobrze, ale gdzie te kryteria? - mówi kolega. Widoczny w jego oczach brak zrozumienia znów czyni go podobnym do Pierre'a, tego mola książkowego. - Zaledwie parę dni temu gazety oznajmiły, że trzeba się zastanowić nad wolnością twórczą, a literatura musi ukazywać prawdę. Więc jak?

- Właśnie przez to cholerne ukazywanie prawdy popadłem w kłopoty i musiałem uciekać aż tutaj - mówię.

Śmieje się z całego serca.

- W takim razie wybijmy sobie z głowy historię o tej Wojownicze z Huangjiang. - Wrzuca zdjęcie do szuflady i ciągnie: - W tej zrujnowanej świątyni zatrzymałem się na kilka dni podczas poszukiwań; tam ją poznałem. Tknałem w rozmowie coś, co ją gryzło; nie odezwała się do mnie przez cały dzień. Jej wyznaniami zapisałem pół notesu. - Wyciąga z szuflady notes, macha mi przed nosem i mówi: - Starczy na książkę. Wymyśliłem nawet tytuł: *Zapiski ze zburzonej świątyni*.

- Nie wygląda na tytuł powieści o wojownicze.

- Jasne, że nie. Jeżeli jesteś ciekaw, weź, przyda ci się jako materiał na powieść. - Mówiąc to, wrzuca notes z powrotem do szuflady, potem odzywa się do żony: - Daj jednak coś do picia.

- To nie są fantazje literackie - mówię. - A ja nie mogę wydać nawet tej prozy, którą już napisałem. Rękopis, na którym zobaczą moje nazwisko, z miejsca odrzuca.

- Lepiej trzymaj się swojej geologii i nie wyglupiaj z pisaniem - mówi żona, niosąc wódkę.

- Opowiedz teraz o sobie! - Jest bardzo zainteresowany.

- Wędruję, gdzie popadnie, żeby uniknąć dochodzeń. Nie ma mnie w domu od miesięcy. Wrócę, kiedy już będzie bezpiecznie, a wrzawa ucichnie. A jeśli sytuacja się pogorszy, to jeszcze zajrzę tu czy tam i wymknę się, skoro nie można inaczej. Pod żadnym pozorem nie dopuszczę, żeby to się powtórzyło, te lata, kiedy uznany za prawicowca, posłusznie dałem się wodzić jak baran, reedukować przez pracę.

Obaj śmiejemy się na całe gardło.

- W takim razie co powiesz na historię wesołą? Wysłani w góry małą grupką na poszukiwanie złota złapaliśmy Dzikiego - mówi.

- Nie żartuj, widziałeś go na własne oczy? - pytam.

- Co tam, widziałem; złapaliśmy go! Szliśmy górskim grzbietem na skróty, żeby przed zmierzchem wrócić do obozu. Poniżej grzbietu wypalono łańcuch lasu i obsadzono kukurydzą. Coś się ruszało na tym żółtym polu kukurydzianym, zobaczyliśmy wyraźnie jakieś dzikie zwierzę w dole. W takich górach zawsze nosiliśmy wtedy strzelby, dla bezpieczeństwa. No i ekipa orzekła, że to czarny niedźwiedź albo dzika Świnia, a skoro nie możemy znaleźć złota, to możemy dorwać trochę mięsa, przynajmniej szczęście dopisze naszym podniebieniom. Podzieliśmy się i zaczęliśmy podchodzić. To coś nas usłyszało i pognało w stronę lasu. Było popołudnie, po trzeciej, słońce przesunęło się już na zachód, ale wciąż było jasno. Głowa tego czegoś gnającego raz po raz wyskakiwała ponad kukurydziane kolby. Długowłose Dzikie Człowiek. Widzieliśmy go wszyscy. Nieprzytomni z podniecenia zaczęliśmy krzyżeć: Dzikie! Dzikie! Dzikie! Nie daj mu uciec! A potem rozległy się strzały. Przez cały dzień szliśmy przez góry, źleby, nie było żadnej okazji do strzału, no więc użyliśmy siebie. Podnieceni biegliśmy, wrzeszczeli, strzelali. Zbliżyliśmy się i wyciągnęli go. Całkiem nagi, świecił jajami. Podniósł ręce do góry na znak, że się poddaje, potem runął na kolana. Skrawkiem sznurka przywiązał do łba parę okularów o tak zniszczonych soczewkach, że wyglądały jak mrożone szkło.

- Zmyślasz to wszystko? Przyznaj się - mówię.

- Czy to się naprawdę zdarzyło? - woła żona z sypialni; wciąż czuwa.

- Gdybym zmyślał, to nie zmyślałbym lepiej od ciebie, nie dałbym rady; to ty piszesz powieści.

- Urodzony bajarz - wołam do żony i zerkam w stronę sypialni. - Pierwsza klasa, w dawnych czasach nikt by go nie zakasał w opowieściach. Jeśli już zacznie mówić, wszyscy zaraz słuchają. Niestety, jedyną opowieść, którą napisał, zarżnęli jeszcze przed drukiem. - Żal mi go, nic nie poradzę.

- On tak opowiada tylko przy panu. Zwykle nie powie ani słowa więcej, niż musi - mówi żona.

- Posłuchaj, skup się - to on, do żony.

- Mów dalej! - Naprawdę mnie zaintrygował.

Pociąga, orzeźwia się.

- Podeszli do niego, ścignęli mu okulary, poszturchali lufami i ostro odpytują. Jeżeli jesteś człowiekiem, to czemu uciekasz? Trząsł się cały, wydawał jakies nieczytelne odgłosy. W końcu jeden z naszych przytknął mu lufę do ciała i grozi, jeżeli będziesz się dalej tak zgrywał, to cię rozwałę! Na to tamten w krzyk i mówi, że uciekł z obozu pracy, a potem już bał się wracać. Pytamy, co za zbrodnię popełnił. Odpowiedział, że jest elementem prawicowym. Nasz człowiek pyta, z którego to roku kampania, ta przeciw prawicowcom? W każdym razie decyzja o jej odwołaniu to stare dzieje, dlaczego nie wróciłeś? On na to, że rodzina bała się przyjąć go z powrotem, więc ukrył się na tej górze. Pytam, skąd jest. Z Szanghaju. Nasi mówią, ta twoja rodzina to jacyś dumie jebani, dlaczego cię nie zabrali? Bali się, że będą wmieszani, powiedział. Gówna prawda z wmieszeniem, mówią nasi, wszyscy uznani za prawicowy element dostali odszkodowanie i wypłatę utraconych zarobków, duża. Każdy wprost marzy o prawicowym elemencie w rodzinie. Pytali też, czy cierpi na jakies dolegliwości umysłowe. Powiedział, że nic mu nie jest, jeśli nie liczyć poważnej krótkowzroczności. Ludzie z ekipy nie mogli wprost uwierzyć, takie to było śmieszne.

Słyszymy, jak żona śmieje się w sypialni. Ja też nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

- To z ciebie jest diabeł, tylko ty umiesz tak opowiadać. - Dawno nie byłem taki uradowany.

- Uznano go za prawicowca w 1957; w 1958 zesłano do gospodarstwa w Qinghai w celu reedukacji przez pracę. Podczas głodu z 1960 roku nie mieli nic dojedzenia, wzduło go, ledwie przeżył. Uciekł do Szanghaju i krył się w domu przez dwa miesiące, zanim doszedł do siebie. Rodzina nalegała, żeby wrócił, wówczas nie dało się wyżyć z tamtymi przydziałami ziarna, no i jak długo mogli go ukrywać? To wówczas musiał uciec w góry, mniej więcej przed dwudziestoma laty. Pytaliśmy, jak to przetrwał. Powiedział, że w pierwszym roku przygarnęła go w górach jakaś rodzina, rąbał im drewno, pomagał przy gospodarstwie. Później komunę na dole zaczęły obiegać plotki, chciano wybadać, skąd się wziął. Więc uciekł w ów wielki masyw, zdany na tę rodzinę, ukradkiem dostarczając trochę jedzenia, zapalek, oleju i soli. Pytaliśmy, jak go uznano za prawicowca. Powiedział, że badał inskrypcje wróżebne na żółwich skorupkach i kościach zwierząt; był młody, kąpany w gorącej wodzie, więc palnął na zebraniu parę szalonych rzeczy pod adresem władz. Nasi powiedzieli, chodź z nami i wracaj do badania inskrypcji wróżebnych. Wciąż odmawiał, twierdził, że musi zebrać kukurydzę, to bowiem jego zapas na cały rok. Bał się, że na polu kukurydzianym stratuja go dzikie świny. Przekrzyczeliśmy go; a niechże świny obsraja tę kukurydzę! Powiedział, że musi przynieść ubranie. Spyaliśmy, gdzie je trzyma. Powiedział, że w jaskini pod urwiskiem. Jeśli nie jest za zimno, zrzuca rzeczy, żeby się nie zdarły. Ktoś dał mu koszulę, kazał przepasać, no i zaprowadziliśmy go do obozu.

- I to już koniec?

- Tak - mówi. - Myślałem o innym zakończeniu, ale nie do końca jestem go pewien.

- Spróbuj opowiedzieć.

- Nazajutrz, kiedy już najadł się i napił do syta, obudził się z głębokiego snu i nagle głośno rozplakał. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje, podeszliśmy zapytać. Po twarzy spływały mu łzy zmieszane ze śliną, szlochał i chlpał przez dłuższy czas, wreszcie wyrzucił z siebie: Gdybym wiedział, ilu na świecie jest dobrych ludzi, nie wycierpiałbym tylu lat niesprawiedliwej kary.

Niby chce mi się śmiać, ale nie potrafię.

Za okularami chytrze błyska oko.

- To niepotrzebne zakończenie - mówię po namyśle.

- Rozmyślnie je doczepiłem - przyznaje i kładzie na stole okulary.

Dostrzegam, że z tych oczu dalekowiedza wcale nie przeziiera spryt, lecz ból, on sam zaś jest kimś całkiem innym niż owa niezmordowana dobrodusznia, jowialna postać w okularach. Nigdy go takim nie widziałem.

- Chcesz się położyć na chwilę? - pyta.

- Dobrze jest, jak jest, zresztą nie zasnę - mówię.

Już świta. Letni żar gdzieś się ulotnił, napływa delikatny, zimny powiew.

- Możemy rozmawiać, leżąc - mówi.

Bambusowe łóżko rozkłada mnie, sobie brezentowy leżak, gasi światło i kładzie się na wznak na leżaku.

- Muszę ci powiedzieć, że swego czasu ta właśnie grupa, która schwytała Dzikiego Człowieka, dorwała mnie i wdali się w przesłuchiwanie. Niewiele brakowało, a zabiliby mnie, kule gwizdały mi koło uszu, to cud, że mnie przypadkiem nie zastrzelili. Każdy jest dobrym kumplem, póki sprawa nie dotyczy go bezpośrednio.

- I to jest coś szczególnego w twojej historii o Dzikim; słucha się jej z przyjemnością. Ludzie są okrutni, lecz ty ani myślisz wdawać się w wyjaśnienia.

- Mówisz o literaturze, o fikcji, a ja o życiu. Chyba nie potrafiłbym pisać fikcji.

- Kiedy mówi się o wszach, wszyscy zaraz łapią wszy, ze strachu, żeby sami nie okazali się wszami. I co tu poczniesz?

- A jeśli ludzie spróbują nie łapać?

- Będą się bać, że sami zostaną złapani.

- A jednak odmówiłeś łapania wszy?

- I zostałem złapany.

- Tak się kręca te koła.

- Chyba jest jakiś postęp, jak podejrzewam, bo w przeciwnym razie chyba nie odważyłbym się wpaść tu w odwiedziny, pić z tobą, prawda? Dawno powinienem był uciec i zostać Dzikim.

- A ja nie śmiałybym cię przyjąć. I wówczas obaj dobrzy przyjaciele powinni byli uciec i razem zostać Dzikimi. - Śmieje się tak, że aż przysiada na leżaku.

Po chwili namysłu mówi:

- Ta opowieść jest lepsza bez zakończenia.

Mówisz, że zgubił klucz.

Ona mówi, że rozumie.

Mówisz, że wyraźnie widzi klucz na stole, potem odwraca się, znów patrzy, a klucza nie ma.

Ona mówi, tak, tak.

Mówisz, to zwykły klucz, bez kółka. Miał kiedyś kółko z plastikowym czerwonym, kudłatym pekińczykiem na łańcuszku, a jeszcze wcześniej nie miał kółka. Pekińczyk to był prezent od przyjaciółki; od dziewczyny, z którą się przyjaźni, nie zaś dziewczyny, z którą sypia.

Ona mówi, że rozumie.

Mówisz, pies potem się urwał. Śmieszne to było, bo urwał się od szyi, została tylko mała czerwoną psia główka. Pomyślał, że to okrucieństwo, i ściągnął kółko z klucza.

Ona mówi, tak.

Mówisz, że to zwyczajny klucz. On myśli, że pewnie położył go na podstawie lampy, obok kilku pinezek. Pinezki są, klucza nie ma. Przekłada książki z jednego końca stołu na drugi. Na stole leży parę listów, czekają na odpowiedź, lecz jeszcze nie obmyślił jaką. Na wyłączniku też leży koperta. Mówisz, że nie może zobaczyć klucza.

Ona mówi, często tak bywa.

Musiał wyjść na umówione spotkanie, lecz nie mógł zostawić nie zamkniętych drzwi. A gdyby je zatrzasnął, nie mógłby się dostać z powrotem bez klucza. Musi go znaleźć. Na stole są książki, papier, listy, trochę pieniędzy, bilon. Nietrudno znaleźć klucz wśród monet.

Jasne.

Lecz klucza nie ma. Wpełza pod stół, wymiata szczotką kurz, pozwijany w koty, jest nawet bilet autobusowy. Gdyby klucz spadł na podłogę, byłoby słychać. Na podłodze jest trochę książek, wchodzi między nie i przekłada z miejsca na miejsce. Książki i klucze znacznie się różnią, trudno je pomylić.

Pewnie, że trudno.

Tak oto przepadł klucz.

A co z szufladą?

Przegląda szufladę. Chyba przypomina sobie otwieranie szuflady. Kiedyś kładł klucz w jej prawym rogu, pod ręką, lecz dawno temu zarzucił ten zwyczaj. W szufladzie pełno listów, rękopisów, rowerowe tabliczki rejestracyjne, karta ubezpieczenia zdrowotnego, dostaw gazu, przeróżne rachunki. Są też pamiątkowe plakietki, pudełko po wiecznym piórze, nóż mongolski i emaliowany mieczyk. Bezwartościowe przedmioty, które szkoda wyrzucić, bo wiążą się z nimi wspomnienia.

Każdy ma wspomnienia, które pielęgnuje.

Nie wszystkie wspomnienia warto pielęgnować.

Zgadza się.

Pozbycie się wspomnień to swego rodzaju wyzwolenie. Wspomnienia są jak urwane guziki, które pewnie do niczego się nie przydadzą. Koszula, z której urwał się ów atramentowoniebieski guzik z pleksi, poszła dawno temu na szmaty, a guzik wciąż tu leży.

Tak, i co dalej?

Potem wyciąga szufladę i wszystko wysypuje.

Ale tam go nie znajdzie.

Świetnie wie, że go tam nie znajdzie, ale ciągle wszystko przetrząsa.

Tak to jest. A czy przetrząsa kieszenie?

Co do jednej. Przetrząsa boczne i tylne kieszenie spodni po pięć, sześć razy, także kieszeń koszuli rzuconej na łóżko. Przetrząsa wszystkie kieszenie wszystkich sztuk ubrania na wierzchu, nie rusza tylko rzeczy w walizce.

Potem...

Potem wszystko ze stołu składa na podłogę, przekłada czasopisma przy wezglowiu łóżka, otwiera biblioteczkę, przetrząsa pościel, materac, zagląda pod łóżko, och, nawet do butów! Kiedyś wpadła mu do buta pięciofenowa moneta. Włożył buty, wyszedł, a zauważył ją dopiero, kiedy rozbolała go stopa.

Więc nie ma butów na nogach?

Z początku miał, lecz kiedy wszystko zestawił ze stołu na podłogę, nie było już gdzie stać. Nie chciał deptać butami książek, więc zdjął buty i szukał, klęcząc na książkach.

Biedactwo.

Ten zwykły klucz bez kółka gdzieś leży, gdzieś się kryje. A on nie może wyjść, patrzy na ten potworny bałagan, odchodzi od zmysłów. Przed dziesięcioma minutami w jego życiu panował jeszcze porządek. Nie to, że pokój był jakoś przykładowie posprzątanym i czystym, bo nigdy taki nie był, ale zawsze wyglądał porządnie. W jego życiu panował ład, on sam zawsze wiedział, gdzie co jest, mieszkało mu się w tym pokoju wcale wygodnie. W każdym razie przyzwyczaił się, a skoro tak, to było wygodnie.

Zgadza się.

Teraz nic się nie zgadza, nic nie jest na swoim miejscu, wszystko nie tak!

Bez paniki, pomyśl uważnie.

On mówi, że już ma dosyć, już go to mdli. Teraz nie ma gdzie się położyć, gdzie usiąść, gdzie stać. Jego życie to kupa śmieci, jak się okazuje. Może najwyżej koczować na stercie książek. Nie umie opanować złości, lecz wścieka się tylko na siebie. Nikogo nie wini. On zgubił klucz, sam się wpakował w tarapaty. Niemożliwe, żeby uciekł od tego bałaganu, od tak zbałaganionego życia, nie może wyjść, lecz musi!

Otóż to.

Nie chce już patrzeć na ten pokój, nie chce tu wracać.

Przecież umówił się na spotkanie, prawda?

Właśnie, spotkanie, musi iść, lecz już się spóźnił godzinę, nie przyszedł. Nikt nie jest taki głupi, żeby czekać godzinę; zresztą już nie pamięta, gdzie się umówił ani z kim.

Ona mówi cicho, miał się spotkać z dziewczyną, z którą się przyjaźni.

Możliwe, całkiem możliwe. On mówi, że naprawdę nie może sobie przypomnieć, lecz musi wyjść, nie zniesie dłużej tego bałaganu.

I nie zamknie drzwi?

Nie ma wyboru, musi wyjść, musi zostawić nie domknięte na klucz drzwi, schodzi po schodach, wychodzi na ulicę. Ludzie idą we wszystkie strony, nieprzerwanie płynie rzeka pojazdów, zawsze jest taki ruch, on zaś nie może pojąć dlaczego. Nikt nie wie, że zgubił klucz, nikt nie wie, że nie zamknął drzwi, zatem, to jasne, nikt nie zechce wejść po jego rzeczy. Wejść może tylko ktoś znajomy albo zaprzyjaźniony. Kiedy zobaczą, że nie ma gdzie stanąć, to albo siadają na książkach i skrócą sobie czekanie przeczuciem tych książek, albo po prostu wyjdą, jeśli nie zechcą czekać, naprawdę nie ma powodu do zmartwień. Mimo to martwi się o swój pokój, trudno, o pokój, z którego nie ma co ukraść. Trochę książek, parę sztuk ubrania i par butów, najzwyklejszych, zresztą najlepsze buty ma na nogach, poza tym są tylko te nie dokończone rękopisy, których już nie znosi. W tym momencie zaczyna go ogarniać radość, po co się martwić o pokój, o ten cholerny klucz, po prostu pęta się bez celu po ulicach. Zazwyczaj coś go gna, jest zajęty, śpieszy się z powodu sprawy, osoby, ze względu na siebie, teraz zaś, kiedy nic nie robi, w żadnym celu, czuje się szczęśliwy jak nigdy. Zazwyczaj nie potrafi zwolnić kroku, teraz zwalnia bez trudu; stawia lewą nogę, ale z podniesieniem prawej nie ma co się śpieszyć, a to jest trudne. Zapomniał już, jak się chodzi wolno, spaceruje. Zaczyna iść powoli; cała stopa w kontakcie z podłożem, całe ciało i umysł nabierają swobody.

Dziwnie się czuje, krocząc w ten sposób, myśli, że mijający go przechodnie przyglądają się mu, mają go za dziwadło. Obserwuje ukradkiem kilku i dostrzega, że te pary oczu patrzą wprost przed siebie, w istocie skupione na samych sobie. Niekiedy ci przechodnie patrzą na wystawy, a wtedy umysły mają zaprzątnięte cenami, kalkulacją, czy tanio czy drogo. Nagle uświadamia sobie, że na tej zatłoczonej ulicy jest jedynym człowiekiem, który przygląda się ludziom, na niego zaś nikt nie zwraca uwagi. Spozstrzega też, że jedyny kroczy sobie jak niedźwiedź, na całych stopach. Inni przez cały czas dziobią chodnik obcasami, przyprawiając własne ciała o wstrząsy dzień w dzień, rok w rok, a samych siebie o napięcie, niepokój i rozdygotanie.

Tak.

Na tej ruchliwej ulicy czuje się coraz bardziej samotny, zaczyna się zataczać, jakby szedł we śnie. W bezustannym hałasie pojazdów, w tandetnej poświacie neonów tłum, ciasno zapelniający chodniki, zgniata go, ściska. Chce zwolnić, lecz nie może, ludzie wciąż popychają go z tyłu, potracają. Gdyby patrzeć na niego z wychodzącego na ulicę okna na piętrze, przypominałby wyrzucony korek, kręcący się bezradnie w wezbranym po deszczu rynsztoku wraz z suchymi liśćmi, opakowaniami po papierosach, wszelkiego rodzaju przekąskach, lodach, z wyrzuconymi plastikowymi talerzami.

Mogę to sobie wyobrazić.

Co?

Ten korek unoszony przez tłum.

To on.

To ty.

Ja nie, to pewien stan.

Wiem. Mów dalej.

O czym?

O korku.

To wyrzucony korek.

Kto go wyrzucił?

Sam się wyrzucił. Próbuje sobie przypomnieć, ale nie może. Zmaga się z własną pamięcią, chce odtworzyć stosunki, jakie go łączą z innymi, wiedzieć, dlaczego wyszedł na tę ulicę. Dobrze ją zna, to jasne, ten wielki, brzydki, szary budynek to dom towarowy. Bezustannie go powiększają, podwyższają, a wciąż wydaje się za mały. Po drugiej stronie mała herbaciarnia, nigdy nie odnawiana, wciąż ze staroświecką salką na piętrze. Trochę dalej sklep obuwniczy, naprzeciw papierniczy i bank, wszędzie był w środku. Chyba ma jakieś umowy z bankiem, jakieś wpłaty, wypłaty, ale to dawne sprawy. Chyba miał też żonę, ale rozeszli się, nie myśli już o niej i nie chce myśleć.

Lecz kiedyś ją kochał.

Chyba kiedyś ją kochał, ale to wszystko jest bardzo mgliste. Czuje w każdym razie, że były jakieś związki z kobietą.

Nie tylko jedną.

I to jest chyba problem. W jego życiu zapewne były jakieś rzeczy dobre, ale wydają się odległe, zostało po nich parę wyblakłych wrażeń. Są jak niedoświetlone negatywy, możesz je moczyć bez końca w wywoływaczu, utrwalaczu, mimo to widać tylko niewyraźne zarysy.

Lecz musi także być kobieta, która głęboko go poruszyła, po której pozostały jakieś szczegóły warte zachowania w pamięci.

Pamięta tylko, że miała małe usta o wyraźnie wykrojonych wargach i że się zarumieniła, kiedy powiedziała nie. A kiedy powiedziała nie, jej ciało uległo.

I?

Poprosiła, żeby zgasił światło, powiedziała, że boi się światła...

Nie powiedziała.

Powiedziała.

W porządku, zostaw, nie spieraj się, czy powiedziała, dalszy ciąg jest o kluczu, czy znajduje go czy nie.

Potem przypomina sobie spotkanie, na które się umówił, musi iść, ale w istocie nie musi. Kiedy się spotykają, mówią tylko o błahostkach, potem o znajomych: kto się rozwodzi, kto z kim żyje, jakie się pojawiły nowe książki, nowe filmy, nowe przedstawienia. Podczas następnego spotkania te nowe książki, sztuki i filmy będą już stare i przestaną kogokolwiek obchodzić. Mówią też, że któraś z ważnych figur wygłosiła przemówienie, ale treść jest stęchła, przebrzmiała, bieg lat wykazuje, że to treść wielokrotnego użytku. Na te spotkania wypędza go samotność, której nie może znieść, a po nich wraca do tego zagraconego pokoju.

W którym zostawił nie zamknięte drzwi?

Tak, otwiera je, staje na progu, przed doszczętnie zarzuconą książkami podłogą. I widzi ów klucz bez kółka - tuż przy ścianie, przy krawędzi biurka. Zasłonił go nie wysłany list, oparty o podstawę lampy. Ale z wnętrza pokoju, gdzie musi brnąć przez książki, klucza nie widać.

Zamierzałem się wybrać na górę Longhu i odwiedzić Dong-tian; tymczasem pociąg staje w Guiqi, ja zaś nie zrywam się do wyjścia. W przejściach przegrzanego wagonu ludzie siedzą w zaduchu na podłodze; będę musiał wytyczyć sobie drogę nad ich nogami, samo dotarcie na koniec wagonu zajmie parę minut, w tym czasie spłynę potem. Na razie mam szczęście, siedzę w środkowej części wagonu, przy oknie po lewej stronie, mam przed sobą stolik z kubkiem mocnej herbaty. Zwlekam, wreszcie wagon zaczyna drżeć, a pociąg z wolna odjeżdża ze stacji.

Potem rytmiczny stukot nabiera tempa, delikatnie grzechoce pokrywka na kubku. Powiewy chłodzą twarz. Chciałbym się zdrzemnąć, ale nie mogę. W tym pociągu jadącym ze wschodu na zachód zawsze jest tłok, dniem i nocą. Na byle stacyjce ludzie gniołają się, wsiadając, gniołają, wysiadając, a zawsze znajdzie się dość podróżnych, którzy z niewiadomych powodów rozpaczliwie się śpieszą. Słowa wiersza Li Baia można tak strawestować: „Trudne jest wysiadanie, trudniejsze niżli wstąpienie w błękit nieba”. Zaledwie w kilku wagonach z miękkimi kuszetkami można się delektować podróżą, lecz tej radości zaznają tylko cudzoziemcy zasobni w cudzoziemską walutę oraz, powyżej pewnej rangi, kadra kierownicza uprawniona do wydawania publicznych pieniędzy. Ja zaś muszę liczyć, czy na długo mi starczy ta odrobina pieniędzy, która została. Oszczędności rozeszły się dawno temu, teraz żyję z zaliczki. Życzliwy wydawca zapłacił kilkaset yuanów za rękopis książki, której może nie zdoła wydać przez wiele lat. Jeszcze nie wiem, czy zdołam ją napisać, a już wydałem ponad połowę honorarium. To przyjacielska pożyczka, owszem, ale kto wie, co się wydarzy w ciągu paru lat? W każdym razie stanowczo muszę sobie odmawiać noclegów w zajazdach i szukać darmowych, a przynajmniej bardzo tanich. Tymczasem przegapiłem Guiqi, a przecież pewna dziewczyna stamtąd zapewniała, że mogę się u niej zatrzymać.

Poznaję ją na przystani - żywa, rumiana, bystrooka, z dwoma warkoczykami; widać, że kipi w niej niefalszowana ciekawość tego chaotycznego świata. Czekamy na łódź. Pytam, gdzie się wybiera, mówi, że do Huangshi - Żółtych Skał. Ja na to, że pod brudnym niebem tej miejscowości widać tylko czarny dym buchający z wysokich hutniczych kominów. Żadna przyjemność. Mówi, że odwiedza ciotkę, potem rewanżuje się i zadaje to samo pytanie. Mówię, że mogę zmierzać gdzie bądź, chociaż nigdy do konkretnego celu. Dziewczyna wytrzeszcza oczy i wypytuje, co robię. Mówię, że jestem spekulantem i pasożytem. Wybuchając śmiechem, mówi, że nie wierzy.

- Wyglądam na oszusta? - pytam.

Kręci głową z niedowierzaniem.

- Ani trochę.

- Jak myślisz, na kogo wyglądam?

- Nie wiem - mówi. - Ale na pewno nie na oszusta.

- W takim razie jestem wędrowcem.

- To nie są źli ludzie, wędrowcy - mówi z przekonaniem.

- Rzeczywiście, większość to ludzie dobrzy - Muszę ją w tym przekonaniu utwierdzić. - Natomiast ludzie wyglądający szacownie często są oszustami.

Wciąż się śmieje, jakby ktoś ją łaskotał; radosna dziewczyna. Mówi, że także chce wędrować, gdziekolwiek, ale rodzice jej nie puszczają, pozwolili tylko odwiedzić ciotkę. I mówią, że zaraz po skończeniu szkoły ma iść do pracy. To jej ostatnie letnie wakacje, zarobić na nie musi przede wszystkim sama. Napomykam o współczuciu, ona zaś wzdycha i mówi:

- Naprawdę to wpadłabym do Pekinu, rozejrzała się, lecz nikogo tam nie znam. Rodzice nie pozwolą mi jechać samej. Czy pan się urodził w Pekinie?

- Mówię z pekińskim akcentem, co nie znaczy, że się tam urodziłem. Mieszkam w Pekinie, a życiem w tym mieście można się zadławić.

- Dlaczego?! - Jest zdumiona.

- Tyłu tam ludzi, taki tłok, że ci ludzie dostają szału, chwila nieuwagi, a zaraz ktoś ci włązi na odcisk.

Wydyma wargi, nadaśana.

- Gdzie mieszkasz? - pytam.

- W Guiqi.

- To tam jest góra Longhu?

- Już zamieniła się w pustkowię; świątynię zniszczono dawno temu.

Mówię, że wypatruję takiej góry zamienionej w pustkowie, im mocniej jakieś miejsce odpycha ludzi, tym bardziej ciągnie mnie.

- Bo nadaje się do szachrajstw?

Chyba robi się zuchwała, a ja nie mogę się powstrzymać od uśmiechu.

- Chcę zostać taoistą.

- Nikt pana już nie przyjmie; tamtejsi taoiści dawno uciekli albo umarli. Nie ma się gdzie zatrzymać, ale krajobraz jest przepiękny. To tylko dwadzieścia *li* z powiatowego miasta, można się dostać na piechotę, bywałam tam na wycieczkach ze szkolnymi koleżankami. Jeśli naprawdę pan jedzie, niech pan pomieszka u mnie, rodzice lubią gości. - Mówi całkiem poważnie.

- Przecież wybierasz się do Huangshi? Rodzice mnie nie znają.

- Za dziesięć dni będę z powrotem. A pan chyba się tu pokręci?

Właśnie przybija łódź.

Przez okno pociągu widzę szeregi brązowoszarych łańcuchów górskich, wypiętrzone wprost na równinie. Z tyłu góra Longhu, a więc tamten grzbiet to pewnie Urwiska Nieśmiertelnych. Podczas podróży dzięki całemu łańcuchowi rekomendacji poznałem dyrektora muzeum, ten zaś pokazał mi zdjęcia Urwisk Nieśmiertelnych. W wielu pieczarach nadrzecznego urwiska znaleziono wiszące trumny; to miejsce pochówku starożytnego ludu Yue z Epoki Walczących Królestw. Podczas porządkowania znalezisk natrafiono też na drewniany, lakierowany na czarno bęben pudełkowy i dwumetrową drewnianą cytę, trzynastostrunną, jak ustalono na podstawie otworów. Teraz w tamtych stronach już nie usłyszę rytmu rybackich bębnów ani czystych, przenikliwych dźwięków cytry.

Urwiska Nieśmiertelnych odsuwają się powoli, coraz mniejsze w miarę oddalania się, w końcu nikną. Rozstając się na brzegu, po wyjściu z łodzi, wymieniliśmy nazwiska i adresy.

Popijam herbatę; przeżywam chwilę gorczy. Może odwiedzi mnie kiedyś, może nie. W każdym razie cieszy mnie myśl o możliwym spotkaniu. Nie będę się uganiał za taką niewinną młodą dziewczyną, może nigdy nie zdołam naprawdę pokochać kobiety. Miłość jest zbyt uciążliwa, ja zaś chcę żyć bez brzemion. Chcę odnaleźć radość i szczęście, lecz nie chcę odpowiedzialności. Skutek jest zawsze ten sam: małżeństwo, potem męczące obawy i uraza. Zbytньо zobojętniałem, już nikt nie potrafi wzburzyć we mnie krwi, namiętności. Zapewne się starzeję, została we mnie ledwie odrobina czegoś, co może uchodzić najwyżej za ciekawość, brak mi też żądz powodowania rezultatu. Ów rezultat nietrudno sobie wyobrazić, a ostatecznie staje się brzemieniem. Wolę już włóczyć się tu czy tam, nie zostawiając śladów. Jest tylu ludzi na tym szerokim świecie, jest tyle miejsc wartych odwiedzin, lecz nie ma nigdzie miejsca, w którym miałbym zapuścić korzenie, małego azylu, w którym mógłbym wieść proste życie. Zawsze spotykam takich samych sąsiadów, takie same sprawy, dzień dobry albo hej, hej, i znowu daję się wplątać w bezmiar codziennych błahostek. Zanim to wszystko okrzepnie, jestem już zmęczony. Wiem, u mnie to nieuleczalne.

Poznając młodą taoistkę, mniszka ma delikatną czystą cerę i piękną twarz. Pełnej wdzięku osobie w luźnej taoistycznej szacie towarzyszy aura godności i świeżość. Wprowadza mnie do gościnnej celi obok sali świątynnej przy bocznym dziedzińcu sąsiadującym z salą główną. Widać wyraźnie fakturę drewna i kolor desek nieskazitelnie czystej podłogi, pościel pachnie, jakby ją właśnie wyprano i wykrochmalono. Znajduję się w Pałacu Najwyższej Czystości.

Co rano mniszka przynosi miednicę z ciepłą wodą do mycia twarzy, potem robi herbatę i zostaje na chwilę rozmowy. Czystość jej głosu jest godna tego pierwszego zbioru zielonej herbaty, którą właśnie piję; tymczasem dziewczyna mówi i śmieje się wesoło. Skończyła szkołę średnią i dobrowolnie poddała się egzaminom pozwalającym zostać mniszką dao, nie pytam jednak, dlaczego podjęła tę decyzję.

Wraz z nią przyjęto dziesięcioro młodych mężczyzn i kobiet, z co najmniej podstawowym wykształceniem. Przełożonym jest mistrz. Przekroczył osiemdziesiątkę, ale zachował dźwięczność głosu i sprężystość kroku. Nie uchyla się od trudów; trzeba było kilkuletnich pertraktacji z miejscowym rządem i liczącymi się ludźmi różnych szczebli, potem zwołania zgromadzenia nielicznych starych taoistów na tej górze, żeby uzyskać prawo przywrócenia do życia Pałacu Najwyższej Czystości na górze Qingcheng. Tak starzy, jak i młodzi rozmawiają ze mną swobodnie, tu każdy, używając jej słów, lubi ludzi. Mniszka mówi każdy, nie mówi o sobie ona.

Mówi, możesz zostać tak długo, jak zechcesz, malarz Zhang Daqian przeniósł tu wiele lat. Widziałem portret ojca Zhang Daqiana wyryty w kamieniu w świątyni Fuxi, Shennonga i Żółtego Cesarza, wznoszącej się obok Pałacu

Najwyższej Czystości. Później dowiaduję się, że mieszkali tu także Fan Changsheng z dynastii Jin oraz Du Tingguang z dynastii Tang; żyli jak pustelnicy, żeby pisać. Nie jestem pustelnikiem i wciąż łaknę pokarmu z pieców ludzkiej społeczności. Nie twierdzę, że mieszkam tu ze względu na jej bezpretensjonalność i wdzięk, na ujmującą spontaniczność ruchów; mówię tylko, że podoba mi się tutejszy spokój.

Moja cela wychodzi na świątynną salę o archaicznej kolorystyce i woni zamierzchłych czasów. Wewnątrz stoi długi stół z twardego drewna nanmu, kilka kwadratowych krzeseł z poręczami i niskie stoliki. Na ścianie wiszą kaligrafie, a kolumny i fryz okrywają stare rzeźby w drewnie, szczęśliwie zachowane. Mniszka mówi, możesz tu czytać i pisać, a kiedy cię to znuży, możesz wyjść na przechadzkę na dziedziniec za salą. Na kwadratowym dziedzińcu rosną stare cyprysy i atramentowozielone indygo, a ułożone w stawie sztuczne góry z kamieni doszczętnie porosły grubym mchem. Przez rzeźbione kraty okien dolatują tu wczesnym rankiem i wieczorem rozmowy i śmiechy mniszek. Ani śladu męczącej i pełnej zakazów surowości klasztoru buddyjskiego. Jest spokojnie i wonnie.

Lubię chwile spędzane samotnie o zmierzchu na pełnym prostoty dolnym dziedzińcu Pałacu Trzech Czystości. Kiedy już wyjdą nieliczni turyści, siedzę na kamiennym progu pośrodku pałacowych wrót i patrzę przed siebie na mozaikę z ceramiki: wielkiego koguta. Na czterech okrągłych filarach w środku sali pałacowej widnieją dwuwiersze. Ów z filarów dalszych powiada:

Dao rodzi jedno, jedno rodzi dwa, dwa rodzi trzy, trzy rodzi miliard rzeczy

Człowiek podąża za ziemią, ziemia za niebiosami, niebiosy podążają za dao, dao zaś podąża za naturą

To z tego źródła pochodzą słowa, które padły z ust starego przyrodnika w dziewiczym lesie. Dwuwiersz z bliższych filarów mówi:

Niewidoczna i niesłyszalna, zaiste mistyczna jest tego niedostrzegalność, jednoczy w trójcę czystość jadeitową, czystość wyższą i czystość najwyższą

Poznaj działanie tego, wnikać w głębię tego, czysty zaiste jest spokój tego, tworzy zasadę dao nieba, dao ziemi i dao człowieka

Stary przełożony taoistów opowiada o tych dwuwierszach:

- Dao to zarazem źródło i prawo miliarda rzeczy. Kiedy istnieje wzajemny szacunek podmiotu i przedmiotu, jest wówczas jedność. To oto źródło rodzi istnienie z nieistnienia i nieistnienie z istnienia. Związek jednego z drugim jest przyrodzony, a poprzez związek nieba z człowiekiem osiąga się jedność widzenia kosmosu i ludzkiego życia. Dla taoisty czystość jest zasadą, nieczynienie esencją, a spontaniczność zastosowaniem; jest to życie w prawdzie i życie wymagające nieobecności ja. Mówiąc krótko, oto istota taoizmu.

Objaśnia mi dao, a wokół gromadzą się tymczasem młodzi uczniowie, mężczyźni i kobiety, siedzą zbici w gromadkę i słuchają. Jakaś młoda mniszka kładzie nawet rękę na ramieniu jakiegoś młodego mężczyzny, skupiona, bez reszty zaszuchana. Wątpię, czy byłbym zdolny dostąpić tego królestwa czystości, w którym nie ma ani ja, ani żądy.

Pewnego wieczoru po kolacji mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, schodzą na dolny dziedziniec, żeby zobaczyć, kto zdoła zagwizdać, dmąc w porcelanową żabę stojącą w sali. Jest większa od psa. Niektórym udaje się zagwizdać, innym nie. Przez pewien czas wszyscy tak się bawią, potem rozchodzą do wieczornych studiów. Zostaje sam i znowu siedzę na kamiennym progu; wpatruję się w dach świątyni pokryty misternymi ozdobami, splotem dobrodusznych smoków, węży, żółwi i ryb.

Linie wystających, wywinętych okapów cechuje czystość i prostota, a dalej, na górze, majestatyczne lasy kołyszą się bezgłośnie w wieczornym powiewie. Nagle miliard rzeczy milknie i rozlega się czysty dźwięk piszczałek, pogodny i łagodny, aż nagle gaśnie. A potem zza wrót tego zespołu świątynnych budowli dolatuje huk wezbranej rzeki spod kamiennego mostu i szum nocnego wiatru; wydadaje mi się, że wyfruują wprost z mego serca.

- Zjawia się znowu, z krótkimi włosami; teraz ją widzisz wyraźnie.
- Czemu ścięłaś włosy? - pytasz.
 - Odcięłam przeszłość.
 - A to tak można?
 - Musiałam odciąć, jeśli nawet nie można. Ja uważam, że przeszłość została odcięta. Śmiejesz się.
 - Co w tym śmiesznego? - Ścisza głos. - Wciąż trochę mi żal, no wiesz, tych pięknych włosów.
 - Tak ci dobrze i masz mniej kłopotów. Nie musisz wciąż zdmuchiwać włosów z twarzy, to męczy, takie ciągle dmuchanie.
 - Wybuchła śmiechem.
 - Zejdź już z tych włosów. Może porozmawiamy o czym innym?
 - O czym?
 - O twoim kluczu. Więc przepadł?
 - Ale się znalazł. Rzecz jasna, możesz tak stawiać sprawę; lecz jeśli przepadł, to przepadł, a skoro przepadł, to po co szukać?
 - Co raz się ścięło, odpadło.
 - Mówisz o włosach? Bo ja o kluczu.
 - Mówiłam o wspomnieniach. Ty i ja naprawdę jesteśmy stworzeni dla siebie - mówi i ściąga wargi.
 - Zawsze pozostaje ta mała różnica.
 - Co za „mała różnica”?
 - Zrozum mnie dobrze, nie powiedziałem, że mi nie dorównujesz, że czegoś ci brak; powiedziałem, że zawsze się mijamy.
 - Przecież przyszłam, prawda?
 - Możesz nagle wstać i wyjść.
 - Mogę też nie wstać i nie wyjść.
 - To by było nadzwyczajne. - Ale nie jesteś zachwycony.
 - Tylko gadasz, a nic nie robisz.
 - Czego nie robię?
 - Nie kochasz się. Dobrze wiem, czego ci trzeba.
 - Kochania?
 - Kobiety; trzeba ci kobiety. - Nie owija w bawełnę.
 - A gdyby pomówić o tobie? - Patrzysz jej prosto w oczy.
 - Tak samo, trzeba mi mężczyzny. - W jej oczach świecą prowokujące ogniki.
 - Nie sądzę, że jeden wystarczy. - Czujesz wahanie.
 - Więc powiedzmy, że trzeba mi mężczyzn. - Umie być bardziej bezpośrednia niż ty.
 - Na to wygląda. - Czujesz ulgę.
 - Kiedy kobieta i mężczyzna są razem...
 - Już nie istnieje świat.
 - Jest tylko żądza - dodaje.
 - Poddaję się. - Mówisz szczerze. - No i właśnie mężczyzna i kobieta są tu razem...
 - Więc zróbmy to - mówi. - Zaciągnij zasłony.
 - Wciąż chcesz być w mroku.
 - Tak mogę się zapomnieć.
 - Skoro zapomniałaś o wszystkim, to czego się obawiasz w sobie?
 - Ależ z ciebie niedorajda, chcesz, ale nie śmiesz. Muszę ci pomóc.
- Podchodzi i zaczyna cię głaskać. Tulisz głowę do jej piersi i cicho mówisz:
- Zaciągnę zasłony.
 - Nie trzeba.
- Otrząsa się, spogląda w dół i rozsuwa zamek dżinsów. Nad krawędzią wzorzystych majtek, na mocnym białym ciele, widzisz wir, kładziesz tam głowę, całujesz miękki brzuch.
- Zatrzymuje twą rękę i mówi:
- Nie bądź taki niecierpliwy.
 - Poradzisz sobie sama?
 - Pewnie, to chyba bardziej podniecające?

Ściąga sweter, z nawyku potrząsa głową, już niepotrzebnie po ścięciu włosów. Stoi przed tobą na wysepce ubrania, z odsłoniętym wżgórkiem pokrytym gąszczem kędzierzawych czarnych włosów, lśniących jak te na głowie. Zdjęła wszystko z wyjątkiem stanika kryjącego pełne piersi. Zakłada za siebie ręce, marszczy brwi i pyta urażonym tonem:

- Nie możesz zrobić przynajmniej tego?

Poraziła cię; nie od razu się orientujesz, o co chodzi.

- Może byś trochę pomógł!

Zrywasz się, obchodzisz ją i rozpinasz stanik.

- W porządku, teraz na ciebie kolej - mówi, z westchnieniem ulgi siada na krześle naprzeciwko. Nie spuszcza z ciebie wzroku, na wargach czai się drwina.

- Jesteś demonem! - Ściągasz ubranie i gniewnie rzucasz.

- Jestem boginią - poprawia.

Zupełnie naga, majestatyczna i nieporuszona, czeka, aż podejdziesz. Potem przymyka oczy, pozwala się wszędzie całować. Mamroczesz, próbując coś powiedzieć.

- Nie, nic nie mów!

Trzyma cię w objęciach, ty zaś cicho pogrążasz się w jej ciele.

W pół godziny później, a może po godzinie, siada na łóżku i pyta:

- Masz kawę?

- Na półce z książkami.

Zaparza spory kubek, miesza łyżeczką, podchodzi i siada na skraju łóżka.

- I co, źle było?

Brak ci słów. Ona zaś delektuje się kawą, jak gdyby nigdy nic.

- Jesteś dziwną kobietą - mówisz i wpatrujesz się w błękitne, promieniście biegnące żyłki na jej piersiach.

- Cóż we mnie dziwnego, wszystko było bardzo naturalne, po prostu potrzebowałeś miłości z kobietą.

- Przestań opowiadać o kobietach i miłości, czy z każdym jesteś taka?

- Póki kogoś lubię i mam nastrój.

Jej uniki wprawiają cię we wściekłość, chcesz wyrzucić z siebie coś naprawdę raniącego, lecz mówisz tylko:

- Jesteś rozwiązła!

- A czy ty nie chciałbyś przypadkiem zdobyć się na to? Rzecz w tym, że kobietom przychodzi to łatwiej. Jeśli kobieta potrafi cię przejrzeć, to co, nie wolno jej z tego skorzystać? Zaczepnąć przyjemności? Co jeszcze musisz powiedzieć? - Odkłada kubek, zwraca ku tobie duże brązowe sutki i mówi tonem współczucia: - Z ciebie to takie duże nieszczęsne dziecko; może chcesz jeszcze raz spróbować?

- Czemu nie?

Witasz ją ciepło.

- Teraz zadowolony czy nie? - mówi.

Zamiast odpowiadać, chcesz po prostu skinać głową, lecz czujesz tylko jedno: przyjemne zmęczenie.

- Opowiedz o czymś - ponagla, wprost do ucha.

- O czym mam mówić?

- O czymkolwiek.

- Ale nie o kluczu?

- Mów, o czym chcesz.

- Była już mowa, że ten klucz...

- Zamieniam się w słuch.

- Jeżeli przepadł, to trudno, przepadł.

- To już mówiłeś.

- W każdym razie on wyszedł...

- I co, kiedy wyszedł?

- Ludzie na ulicy pędzili we wszystkie strony.

- Mów dalej!

- Był zdumiony.

- Czemu?

- Nie mogł pojąć, po co ludzie tak pędzą.

- To wszystko, co potrafią.

- Naprawdę nie mają żadnego innego powodu?

- Gdyby się tak nie uwijali, ogarnąłby ich niepokój.
- To prawda, wszyscy mieli dziwny wyraz twarzy i byli bardzo zaaferowani,
- Byli też bardzo godni,
- Godnie wchodzili do sklepów, godnie wychodzili, godnie nieśli pod pachą parę kapci, godnie wygrzebywali drobne, żeby z godnością kupić lody,
- A potem godnie lizali,
- Przestańmy mówić o lodach,
- To ty zaczęłaś o lodach,
- Nie przerywaj, na czym urwałam?
- Mówiłaś o wyciąganiu drobnych, o godnym kupowaniu na straganie; godnie, dlaczego wciąż godnie? Do czego tu potrzebna godność?
- Do szczania do pisuaru,
- A potem?
- Sklepy już zamknięte,
- A ludzie mkną do domu,
- On nigdzie się nie śpieszył, musiał chyba gdzieś iść, do miejsca zwanego potocznie domem; kiedyś starając się o ten pokój, posprzeczał się nawet z zarządcą,
- Wciąż ma pokój,
- Ale nie może znaleźć klucza...
- Przecież ten pokój nie jest zamknięty,
- Pytanie brzmi: czy musi wracać?
- Co mu przeszkadza spędzić noc gdzieś bądź?
- Jak włóczęga? Po prostu ma się wałęsać po mieście, gdzie popadnie, jak podmuch wiatru,
- Po prostu niech wskoczy do pierwszego z brzegu pociągu i da się wieźć, gdzie popadnie!
- Nigdy nic podobnego nie przyszło mu do głowy, jedna podróż za drugą, czuje, co chce, wysiada gdzie chce,
- Żeby się natknąć na kogoś i namiętnie się z nim kochać!
- Żeby dać się opętać, do zupełnego wyczerpania,
- Nawet gdyby to miało go zabić; warto,
- To było tak, że z wszystkich stron dał nocny wiatr, a on stał na pustym placu i usłyszał jakiś głośny szelest, nie wiedział, czy to wiatr, czy może coś w jego sercu, w każdym razie nagle poczuł, że zrzucił z siebie wszystkie obowiązki, że osiągnął wyzwolenie, że w końcu jest wolny, że ta wolność w istocie wypływa z niego samego, że może wszystko zacząć od nowa, i jak nagie niemowlę, wrzucone do wanienki, wierzgające nóżkami wydiera się na cały głos, żeby słyszał je cały świat, tak i on chciał zakrzyknąć ile sił, żeby wyzwolić pełnię swych uczuć, ale przekonał się, że ma tylko jedno materialne ciało, puste w środku, które nie zdoła wydać takiego krzyku, spojrzał na to swoje ciało, które stoi na pustym placu, nie wie, gdzie iść, chciał je poklepać po ramieniu, pożartować z nim, wiedział jednak, że kiedy go dotknie, ono umrze ze strachu,
- To jak lunatyzm, kiedy dusza wychodzi otworami ciała,
- Wówczas rozumiał, że wszystkie jego cierpienia wywodzą się z jego materialnego ciała,
- Chciałeś go obudzić?
- Lecz boisz się wtedy, że sobie z tym nie poradzi. Za młodu słyszałeś od starszych, że wystarczy na lunatyka wylać wiadro zimnej wody, żeby go zabić, więc wahasz się, ani drgniesz, w końcu nawet go nie poklepiasz po ramieniu,
- Dlaczego jakoś nie obudziłeś go, delikatnie?
- Bo śledziłeś tylko jego ciało materialne, a wydawało ci się, że on chce gdzieś pójść,
- Wciąż wracasz do tego jego domu? Tego pokoju?
- Nie masz pewności, po prostu idziesz za nim, przemierzasz do końca dużą ulicę, wchodzisz w uliczkę, idziesz do końca, wracasz na tę samą dużą ulicę, wchodzisz w inną uliczkę, znów się z niej wyłaniasz,
- I wracasz na ulicę, z której wyruszyłeś!
- Zaraz zacznie świtać,
- Chodź, zrób to znowu, jeszcze raz...

Już od dawna mam dosyć walk świata ludzi. To mnie niezmiennie brano za temat wyszukanych dyskusji, sporów i debat, poddawano krytyce, zmuszano do wysłuchiwania wskazówek, czekania na werdykt; potem na próżno wypatrywałem łaskawego bóstwa, które wkroczy, wybawi z tarapatów. W końcu objawiło się, owszem, ale mało powabne, wiedzione innymi zamysłami.

Każdy pragnie być moim nauczycielem, przywódcą, sędzią, lekarzem, doradcą, arbitrem, starszym krewnym, duszpasterzem, krytykiem, przewodnikiem, uznanym mistrzem. Czy trzeba mi tego czy nie, jeden chce być mi zbawcą, inny pobić mnie na zlecenie (ściślej: odrąbać rękę wraz z piórem), jacyś chcą przeobrazić się w mych rodziców (choć oboje nie żyją) albo majestatycznie reprezentować przede mną mój kraj, mimo że nie wiem, co to jest kraj, ani też nie wiem, czy mam kraj, czy nie mam. Inni niezmiennie reprezentują mnie. Wyklócających się w mojej obronie przyjaciół zaś zdegradowano, zepchnięto do takiej sytuacji jak moja. Taki mój los.

Nie umiem grać tragicznej roli druzgotanego, lecz walczącego z losem bohatera, chociaż wielce szanuję nieustraszonych herosów, rzucających się w wir niebezpieczeństw i zaciekle walczących mimo ciężkich ran. Mogę im tylko złożyć niemy hołd przesiąknięty żalem.

Nie zdołałem też być pustelnikiem. Tak się złożyło, że spieszenie opuściłem Pałac Najwyższej Czystości. Czy dlatego, że byłoby ponad moje siły znosić czystość nieistnienia? Może zabrakło mi cierpliwości, żeby wczytać się w parę tysięcy ocalałych tomów, w te zbiory tekstów taoistycznych z czasów dynastii Ming, które - dziś przechowywane w Pawilonie Ksiąg Taoistycznych - kiedyś uniknęły ognia dzięki błaganiom paru starych taoistów? A może miałem dość słuchania o tym, ileż to w życiu przecierpeli ci starzy taoiści? Może też bałem się wtrącać w sekrety serca młodej mniszki? I to z dbałości o własne serce, którego nie mam zamiaru unicestwić? Koniec końców, jestem chyba po prostu miłośnikiem piękna.

Grzeję się przy ogniu w poczerniałej od dymu kamiennej chacie robotników drogowych; to Tybet, powyżej czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Przede mną ogromne góry pokryte śniegiem i lodem. Na szosie zjawia się autobus, wysiada gromada podnieconych ludzi, niektórzy z plecakami, inni ze stalowymi młotkami, jeszcze inni z pojemnikami na okazy na grzbiecie. Wyglądają na studentów uniwersytetu na praktyce; wsuwają głowy do wnętrza czarnej od dymu chaty o szczelnie zamkniętych oknach, potem znikają. Do środka wchodzi tylko dziewczyna z czerwonym parasolem. Na zewnątrz pada drobny śnieżek.

Bierze mnie za miejscowego robotnika drogowego; od progu prosi o wodę do picia. Nabieram wody z usmolonego czarnego garnka na kamieniach przy ogniu, podaję stalową chochlę. Dziewczyna przytyka do niej usta i krzyczy. Sparzyła się. Mogę tylko przeprosić. Podchodzi do ognia, przygląda mi się i mówi:

- Pan nie jest stąd, prawda?

Twarz, opatulona wełnianą chustą, poczerwieniała z zimna. Od kiedy trafiłem w te góry, nie widziałem jeszcze dziewczyny o takiej pięknej cerze; mam ochotę się podroczyć.

- Uważasz, że ludzie z tych gór nie umieją przeproszać?

Purpurowieje.

- Pan też jest na praktyce? - pyta.

Nie przejdzie mi przez gardło, że mógłbym być nawet jej nauczycielem, więc mówię:

- Robię zdjęcia.

- Jest pan fotografem?

- Powiedziałbym, że tak.

- Zbieramy tu okazy. Co za wspaniały widok! - wykrzykuje.

- Tak. Zapiera dech.

Chyba jestem po prostu miłośnikiem piękna. Poruszony widokiem ładnej dziewczyny nie umiem się powstrzymać.

- Może zrobię ci zdjęcie?

- Mogę otworzyć parasol?

- Film jest czarno-biały. - Nie mówię, że to okazyjnie kupione cięte, poprzebierane i naładowane do kaset resztki z produkcji filmowej.

- Nie szkodzi, artyści fotograficy używają taśmy czarno-białej. - Trochę się na tym zna.

Wychodzimy na zewnątrz. Większą część nieba zasnuwa ją delikatne wirujące płatki śniegu; dziewczyna unosi parasol, żeby zasłonić się od wiatru.

Wprawdzie już maj, wiosna, lecz na tej górze śnieg nie całkiem stopniał; między płatami bieli widać purpurowe dzwonkowate kwiatki, tu i ówdzie przysiadły niskie krzewy ciemnoczerwonego rozchodnika. Z atlasowej zielonej bylicy wyrasta pod gołą skałą urwiska puszysta lodyga, kołysze się na niej duży żółty kwiat.

- Może tutaj? - pytam. Wielka ośnieżona góra w tle była świetnie widoczna wczesnym rankiem, teraz zasnuł ją drobny śnieżek i zamienił w szary niewyraźny cień.

- Tak będzie dobrze? - Już przekrzywiła głowę i pozuje, ale podmuchy górskiego wiatru to nie żarty, dziewczyna nie może spokojnie utrzymać parasola.

Podczas tych zmagañ z wiatrem o parasol wygląda jeszcze ładniej.

Dalej pod cieniutką pokrywą lodu płynie górski strumyk, w oprawie wielkich żółtych jaskrów alpejskich.

- Chodźmy tam! - krzyczę, wskazując strumyk.

Biegnie, mocuje się na wietrze z parasolem, ja zaś chwytam to w kadr. Jest spocona, drobny śnieżek zamienił się w mżawkę, na włosach i chuście lśnią kropelki. Daję jej znak.

- Skończył pan? - przekrzykuje wiatr. Kropelki lśnią też na rzesach, wygląda jeszcze ładniej. Niestety, film już się skończył. - Prześle mi pan odbitkę? - pyta z nadzieją w głosie.

- Jeśli zostawisz adres.

Za chwilę odjeżdża mój autobus; dziewczyna podbiega i podaje przez okno wyrwaną z notesu kartkę z nazwiskiem, nazwą jakiejś ulicy i numerem domu w Chengdu. Zaprasza w odwiedziny, macha na pożegnanie.

Wróciwszy potem do Chengdu, idę tą starą ulicą. Pamiętam numer, mijam ów dom, ale nie wchodzę. Później nie wysyłam też zdjęć. Wywoławszy wielki stos filmów, odbijam tylko te nieliczne fotografie, których rzeczywiście potrzebuję. Większość pozostaje na kliszy. Nie wiem, czy zrobię kiedyś odbitki tych wszystkich zdjęć; nie wiem też, czy ona będzie tak samo zdumiewająco piękna na fotografii.

Na górze Huanggang, głównym wzniesieniu pasma Wuyi, udaje mi się sfotografować wspaniałą sosnę, z gatunku zrzucających igły na zimę; rośnie w pasie jałowców w niższej części subalpejskiego trawiastego mokradła w pobliżu szczytu. Pień znienacka dzieli się w połowie na dwa niemal poziome konary. Przypomina to ogromnego sokoła rozpościerającego skrzydła tuż przed wzbiciem się do lotu, a część drzewa między skrzydłami bardzo przypomina łeb z dziobem zwróconym w dół.

W mistyczny niejako sposób z przyrody bierze początek nie tylko potężna witalność, lecz także nieskazitelne, wiecznie zmienne kobiece piękno. Bierze też początek zło. W tych samych górach Wuyi, na południowej stronie górskiego rezerwatu, natrafiam na ogromną spróchniałą toreję. Pusty pień może być kryjówką pytona, lecz na nielicznych odstających gałązkach, wyrastających wprost z czarnej podobnej do żelaza kory, drżą drobne ciemnozielone liście. Pod zachód dolina tonie w cieniu, a nad morzem delikatnych drobnych bambusów, pomarańczowo i zielono lśniących w późnym słońcu, góruje to prastare spróchniałe drzewo o nieustępliwie rozpostartych gałęziach - istny wyłaniający się nagle złowrogi demon. To zdjęcie oczywiście odbijam; ilekroć je oglądam, mrozi mi serce, nie mogę na nie za długo patrzeć. Uprzytomniam sobie, że z głębin mojej duszy wydobywa na jaw mroczny rys, który mnie samego przyprawia o lęk. Mogę tylko wzdygnąć się i cofnąć w zetknięciu z pięknem albo złem.

Na górze Wudang widzę ostatniego zapewne taoistę z sekty Czystej Jedności. Jest uosobieniem tego rodzaju zła. Usłyszałem o nim w drodze na górę, w miejscu, które obrałem na obóz. Za murem Dziedzińca Steli, należącego do splądrowanego Cesarskiego Pałacu dynastii Ming, stara mniszka taoistyczna urządziła sobie sadybę w rozwalonej chacie. Wypytuje o tę sławną górę taoistów, o jej lepsze, zamierzchłe już czasy, mniszka zaś zaczyna opowiadać o głównej szkole dao. Mówi, że żyje jeszcze jeden tylko stary taoista z sekty Czystej Jedności. Przekroczył osiemdziesiątkę, nigdy zaś nie opuścił góry, woli przez cały rok tkwić na straży Złotego Wierzchołka. Nikt się nie waży go sprowokować.

Zrywam się wcześniej rano, żeby zdążyć na pierwszy autobus do Południowego Urwiska, potem już na piechotę podchodzę górską drogą pod Złoty Wierzchołek. Mija południe; na górze pochmurno i ponuro, ani śladu turystów. Obchodzę zimne, kręte korytarze i widzę, że drzwi zaryglowano od środka albo z zewnątrz zamknięto na kłódki. Lekko uchylone są tylko grube i ciężkie drzwi wzmocnione żelaznymi sztabami. Mocno napieram, aż w końcu się otwierają. Stary człowiek o rozczochranych włosach i szczedniastych bokobrodach, w długiej szacie, odwraca się i staje obok piecyka. Duży i wysoki; na ciemnej, rumianej twarzy maluje się zaciekłość, jakiś rys przemocy. Warczy dziko:

- Czego tu szukasz?
- Mogę zapytać, czy to pan jest strażnikiem Złotego Wierzchołka? - mówię bardzo grzecznym tonem.
- Tu nie ma żadnego strażnika!
- Wiem, że tej taoistycznej świątyni jeszcze nie przywrócono do życia, lecz może jest pan dawnym przełożonym taoistów?
- Tu nie ma żadnych przełożonych taoistów!
- Jeśli pozwolisz, czcigodny starcze, zapytam wobec tego, czy jesteś taoistą?
- A gdybym był, to co? - Czarne brwi z dodatkiem siwizny także są szczeciniaste.
- Jeśli pozwolisz, czcigodny starcze, zapytam wobec tego, czy jesteś członkiem sekty Czystej Jedności? Słyszałem, że tylko na Złotym Wierzchołku pozostał jeszcze...
- Nie należę do żadnej sekty!
Nie daje mi dokończyć, otwiera drzwi i wypędza. Rzucam śpiesznie:
- Jestem dziennikarzem. Rząd teraz wdraża politykę pro-religijną, mogę pomóc, reportaż przybliży sytuację.
- Nie wiem, co to takiego dziennikarz! -1 zatrzaskuje drzwi.

Tymczasem zdołałem zobaczyć kobiety siedzące przy piecyku, starszą i młodszą, zapewne rodzinę. Wiem, że członkowie sekty Czystej Jedności mogą zawierać małżeństwa, mieć dzieci, a dla wypraktykowania technik seksualnych mogą się nawet zadawać z kobietami i mężczyznami wszelkiego rodzaju. Trudno i darmo, wyobrażam sobie skrajnie gorszące sceny z udziałem tego starego o oczach jak dzwony z brązu lśniących pod krzaczastymi brwiami, o głosie szorstkim i tubalnym. Cały był groźbą, od stóp do głów, najwyraźniej biegły w sztukach walki: nic dziwnego, że nikt przez lata nie ośmielił się go sprowokować. Mógłbym nawet zapukać jeszcze raz, ale zapewne z nie lepszym skutkiem, zatem wąską ścieżką z żelazną poręczą podchodzę do złościstej świątyni odlanej z żółtawego brązu.

Górski wiatr wyje, siecze drobny deszcz. Dochodzę do świątyni, przed wejście, gdzie natrafiam na kobietę w średnim wieku, o wielkich stopach i dłoniach. W modlitewnym geście składa ręce przed tą świątynią z brązu. Jakaś groźba w postawie każe przypuszczać, że kobieta, ubrana po chłopsku, jadła już chleb z niejednego pieca. Odchodzę; trzymając się poręczy przewleczonej przez kamienne słupki, udaję zapatrzonego w widok. Wiatr wyje, wyrastające z rozpadlin na urwisku karłowate sosny kołyszą się gwałtownie. Kłęby chmur i mgieł pędzone wiatrem omiatają w dole górską ścieżkę, niekiedy odsłaniają zielone morze lasów.

Rozglądam się. Za mną, jak kawał żelaza, znieruchomiała kobieta w pozie ze sztuk walki; oczy wyzbyte wyrazu zmieniły się w wąziutkie szparki. Więc oni mają własny zamknięty świat, do którego nigdy nie zdołałam wnikać. Mają własne sposoby przetrwania, samoobrony, wędrują za obrzeżami czegoś zwanego społeczeństwem. Ja natomiast mogę tylko powrócić do egzystencji w tym, co ludzie zwykli zwać normalnym życiem, dla mnie nie ma alternatywy i to jest zapewne moją tragedią.

Schodzę górską ścieżką. Na platformie na zboczu wabi wciąż otwarta restauracja, lecz w środku brak turystów, przy stole paru kelnerów w białych kurtkach, jedzą obiad. Nie wchodzę.

Na stoku leży wielki, wyższy od człowieka żelazny dzwon. Uderzam ręką, lecz nie odpowiada, zbyt już głęboko ugrzązł w ziemi. Niegdyś stała tu pewnie świątynia, lecz teraz, jak okiem sięgnąć, drżą tylko chwasty na wietrze. Schodzę dalej, przede mną stroma kamienista ścieżka.

Nie mogę się zatrzymać, schodzę coraz szybciej; po dziesięciu minutach jestem już w ustronnej dolinie. Niebo zasłonił las rosnący po obu stronach kamienistej ścieżki, przycichł szum wiatru, już nie mży. Zapewne pada tylko pod szczytem, w chmurach i mgle. Las staje się coraz ciemniejszy; nie wiem, czy to ów mroczny las, który widziałem ze Złotego Wierzchołka między chmurami i tumanami deszczu; nie pamiętam też, czy właśnie tędy podchodziłem. Oglądam się za siebie, widzę bezlik kamiennych stromych stopni, po których zszedłem; powrót na górę w poszukiwaniu drogi chyba by mnie dobił, więc schodzę dalej.

Tutaj kamienne stopnie już się sypią, natomiast ścieżkę, przeciwnie, naprawiano. Najwyraźniej zawędrowałem na mroczną, północną stronę góry; pozwalam po prostu nieść się nogom; zapewne dusze ludzi bliskich śmierci podobnie zstępują do piekła, śpiesznie i bez przystanków.

Najpierw waham się, od czasu do czasu odwracam, ale później, omamiony widokiem piekła, już się nie przejmuję. Okrągłe wierzchołki kamiennych słupków wzdłuż mrocznej i pośpęnej górskiej ścieżki przypominają coraz bardziej łyse głowy. Niżej w dolinie jest mokro, słupki poprzekrzywiane. Nadgryzła je erozja, teraz przypominają raczej dwa rzędy czaszek nasadzonych na postumenty. Zaczynam się bać, może moje nieczyste myśli o starym taoiście ściągnęły na mnie jego kłatwę i teraz staruch siłą swej magii sprowadza mnie na manowiec. Czuję, jak z głębin serca nagle wynurza się trwoga, jak myśli ogarnia zamęt.

Kłęby mgły i opary wirują wokół. Las jeszcze bardziej ciemnieje, a mokre, poprzekrzywiane kamienne płyty i te niesamowite szarobiałe kamienne słupki upodobniły się do szkieletów. Nogi mnie niosą przez białe kości, nie słuchają poleceń. Nie mogę się zatrzymać, rzucam się głową naprzód w otchłań śmierci, pot spływa mi strumieniem po grzbiecie.

Muszę zapanować nad nogami, zatrzymać się, zejść jak najszybciej z tej górskiej ścieżki. Na zakręcie, nie zważając na jeżyny, mknę w las, a tam, objąwszy oburącz pień, zatrzymuję się w końcu. Twarz i ramiona pokłułem, to boli, coś cieknie mi z twarzy, pewnie krew. Patrzę w górę i widzę, że z pnia wpatruje się we mnie krowie oko. Rozglądam się. Wokół bliższe i dalsze pnie mają ogromne oczy, wszystkie zimno wpatrują się we mnie.

Muszę się uspokoić; to po prostu las drzew lakowych. Wygląda tak dlatego, że ludzie z gór wiercą w tych pniach otwory, żeby zbierać surową lakę; potem pozostawiają drzewa, a one przybierają ów piekielny wygląd. Mógłbym też powiedzieć, że to po prostu halucynacja spowodowana wewnętrznymi lękami; że oto z ciemności śledzi mnie moja własna dusza, że ów bezlik oczu to ja obserwujący siebie. Mam zawsze wrażenie, że ktoś mnie śledzi; przyprawia mnie ono o niepokój wyczuwalny każdym włóknom ciała, tymczasem to tylko lęk przed sobą.

Wracam na górską ścieżkę; mży. Kamienne płyty są mokre. Nie rozglądając się już więcej, pędzę na oślep w dół.

Mijają początkowe reakcje, panika, trwoga, walka, szaleńcza szamotanina; zostaje zamęt. Zgubiłeś się w niesamowitym, pierwotnym lesie, stoisz oszołomiony pod drzewem bezlistnym, martwym, uschniętym, czekającym, aż runie. Już długo się pętasz koło dziwnego rybiego szkieletu, wymierzonego na ukos w szare, zamglone niebo; nie kwapisz się rozstawać z jedynym znakiem orientacyjnym, nawet jeśli istnieje tylko w twojej zmętniałej pamięci.

Nie godzisz się na śmiertelne nadzianie na ów szkielet, jak ugodzona w wodzie ryba. Miast trwonić energię na przeczesywanie pamięci, może lepiej odrzucić tę ostatnią nić biegnącą ku swojskiemu światu ludzi? Jasne, zagubisz się jeszcze bardziej, lecz wcale nie wypuścisz z uścisku nici życia.

Odkrywasz, że oto na granicy lasu i doliny stoisz przed kolejnym wyborem. Wracać w bezkresny las czy też iść dnem doliny? Po zimnej mrocznej stronie góry widać trawiastą połąć, alpejską łąkę, na niej tu i ówdzie szare sylwety drzew; czarne piętrzące się kształty to pewnie nagie urwiska. Lecz ciebie jakoś ciągną spienione wody w dolinie i oto bez namysłu ruszasz w ich stronę, biegniesz wprost ku nim.

Już wiesz, że nigdy nie wrócisz do świata ludzi, jego lęków i ciepła. Tamte odległe wspomnienia męczą. Trudno, wydziera ci się z gardła głośny krzyk i pędzisz ku Rzece Zapomnienia. Biegniesz, a ów krzyk z głębi piersi i trzewi przypomina radosne porykiwanie dzikiego zwierzęcia. Przyszedszy na świat, najpierw krzyczałeś bez lęku, dopiero potem ów krzyk zdławiły przeróżne zwyczaje, wskazówki, rytuały, nauki. A teraz odzyskałeś wreszcie radość krzyku, nieskrępowaną wolność. Co dziwne jednak, nie słyszysz swego głosu. Z rozpostartymi rękami biegniesz, krzyczysz, dyszysz, znów krzyczysz, znów dyszysz, ale nic nie brzmi.

Widzisz linię wzburzonej białej piany, ale nie widzisz biegu, nie wiesz, skąd i dokąd płynie migotliwa rzeka znikająca we mgle. Jesteś nieważki, rozluźniony, nigdy jeszcze nie doznawałeś takiej wolności. Czujesz lekką obawę, lecz nie wiesz dlaczego.

Wydaje ci się, że szybujesz, rozsiany, rozproszony, wyzbyty fizycznej postaci, potem spokojnie spływasz w głęboką, ponurą dolinę, jak nić babiego lata. W nienazwanej przestrzeni jesteś babim latem. Zanurzasz się w odór śmierci, twe płuca i trzewia marzną, ciało lodowacieje.

Padasz, zrywasz się, wyjesz i znowu biegniesz. Poszycie gęstnieje, jest coraz trudniej. Przedzierasz się przez krzaki, odgarniasz gałęzie, zżera to więcej energii niż schodzenie z góry. Musisz ochłonać.

Zupełnie wyczerpany przystajesz i dyszysz; słuchasz burzenia się wody. Jesteś przy brzegu, to wiesz, z ciemności dobiega bulgot szarawych wywierzyisk w rzeczonym korycie. Tańczące krople lśnią jak rtęć. Szum wód nie jest jednorodny, jeśli się wsłuchasz, rozróżnisz bezlik kropli w kaskadach. Jeszcze nie wsłuchiwałeś się uważnie w szum rzeki, a teraz widzisz w ciemności jej obraz, jej lśnienie.

Czujesz, że idziesz tą rzeką, depczesz po wodnych roślinach. Zagłębiasz się w Rzece Zapomnienia, brniesz przez splecione wodorosty, chyba się lękasz. Lecz rozpacz, w którą cię wtrącił brak przypisania do czegokolwiek, w tej właśnie chwili znika, nogi same wynajdują drogę w rzeczonym korycie. Kroczysz po gładkich otoczkach, kurczysz palce, żeby stopy przyłgnęły do krzywizn. Wydaje się to lunatycznym marszem w ciemnościach Rzeki Śmierci; tylko w skłębionej pianie widać granatową poświatę usianą drobinami rtęci. Nie potrafisz się oprzeć zdumieniu - zdumieniu z przymieszką radości.

Potem słyszysz ciężkie westchnienia. Myślisz, że to rzeka, ale stopniowo dostrzegasz, że co innego: kobiety, które utonęły. Nieszczęśnice jęczą; mają mokre włosy, bezbarwne woskowe twarze, przepływają jedna za drugą. Oto dziewczyna, która zabiła się, skacząc do rzeki tam, gdzie woda bulgoce w dziurach pod korzeniami, prąd rozczesuje i unosi jej włosy. Rzeka wije się ciemnym lasem, zasłaniającym słońce, gdzie nie prześwituje ani skrawek nieba. Tuż obok płyną wzdychające topielice, ty zaś nie myślisz ich ratować, nie myślisz nawet ratować siebie.

Wiesz, że wędrujesz przez podziemie, że już nie trzymasz życia w garści. Jeszcze oddychasz zdumiony; życie zawisło między dwiema chwilami takiego zdumienia. Jeśli poślizgniesz się, jeśli potoczą się kamyki pod palcami, jeśli w następnym kroku nie sięgniesz dna, także utoniesz w Rzece Śmierci, porwie cię, uniesie jak te ciała, będziesz wzdychał jak one. Proste to, więc po cóż nadmiar ostrożności, po prostu idziesz. Milcząca rzeka. Czarne

martwe wody. Liście zwisających gałęzi sięgają nurtu, pozostawiając ślad na wodzie, linie, jakby powierzchnia była pościelą porwaną przez rzekę podczas prania lub skórą któregoś z tyłu padłych wilków.

Nie warto się rozwodzić nad różnicą między tobą a wilkami; zniosłeś wiele nieszczęść, zagryzały cię inne wilki. Brak logiki w tym wszystkim, ale nie ma też większej równości niż w Rzece Zapomnienia - spoczynkiem ludzi i wilków jest w końcu śmierć.

Ta myśl przyprawia cię o radość, chcesz krzyczeć ze szczęścia. I krzyczysz, lecz słysząc tylko bulgotanie wody w dziurach pod korzeniami drzew.

Dokąd prowadzą te dziury? Przewód wód jest ogromny, bez granic; wody niegłębokie, ale bez brzegów. Przysłowie powiada, że morze cierpień nie zna granic; dryfujesz po tym morzu.

Widzisz długą smugę odbić, słyszysz też chór, żalobny lament brzmi jak hymn. Nie smutny, lecz radosny. Życie jest radosne, śmierć jest radosna; to tylko twoje wspomnienia, nic więcej. Lecz wśród dawno zapamiętanych obrazów brak chórów śpiewających hymny. Słuchasz uważnie i odkrywasz, że ten śpiew dobiega spod mchu, spod grubych, miękkich falujących połaci okrywających świat. Podnosisz ów mech, żeby zajrzeć, a stamtąd rozpierzcha się mrowie wijącego się robactwa. Obrzydliwy widok napawa cię zdumieniem. Dociera do ciebie, że to robaki żywiące się gnijącymi ciałami. Prędzej czy później pożrą też twoje; niezbyt czarowna perspektywa.

Od trzech dni przemierzam tę sieć dróg wodnych z parą przyjaciół w roli przewodników. Robimy to, na co właśnie mamy ochotę, pokonujemy na piechotę dziesiątki *li*, czasem jedziemy autobusem, kiedy indziej płyniemy łodzią. Do tego miasta trafiamy przez czysty przypadek.

Mój nowy przyjaciel to prawnik, wie wszystko o miejscowych uwarunkowaniach, zwyczajach, zna kregi urzędowe. Jest z nim przyjaciółka, mówiąca z delikatną przymieszką dialektu Wu; mając tę parę za przewodników, czuję nadzwyczajną lekkość podczas tury po nadrzecznych miastach. Ja, ów włóczęga, jestem w ich oczach znakomitością; mówią, że moje towarzystwo zapewnia im w tej wycieczce beztróskę i radość. Obojgu ciążyą powikłania rodzinne, lecz - jak powiada przyjaciel - ludzie to w istocie wolne ptaki, komu więc przeszkadza szukanie odrobiny szczęścia?

Prawnikiem jest zaledwie od dwóch lat. Kiedy odtworzono ów dawno zapomniany zawód, zdał egzaminy wstępne i rzucił pracę w instytucji rządowej. Postanowił, że kiedyś otworzy własną kancelarię; zajęcia prawnicze, zapewnia, przypominają pisarstwo. Ów zawód daje wolność. Chcąc bronić, ktoś przyjmuje sprawę; to sytuacja wyboru. Niestety, w tej chwili nie może mnie bronić, lecz kiedy system prawny okrzepnie, a ja zechcę wnieść sprawę, mogę na niego liczyć, zlecić reprezentowanie przed sądem. Mówię, że przed sądem nie będzie ze mnie pożytku: nie potoczy się spór o pieniądze, nikogo nawet nie tknąłem palcem, nie naruszyłem niczyjego dobrego imienia, nie wchodzi w grę kradzież

ani oszustwo, handel narkotykami ani gwałt. Nie ma z czym iść do sądu, a gdyby było, nie mógłbym wygrać. Przyjaciel wznosi ręce; wie o tym, tak tylko sobie powiedział.

- Nie obiecuj zaraz cudów - mówi mu przyjaciółka.

Patrzy na nią, mruga do mnie i pyta:

- Jest piękna, prawda?

- Nie słuchaj go, ma mnóstwo dziewczyn - mówi przyjaciółka.

- Nie mogę mówić, że jesteś piękna? A co w tym złego?

Przyjaciółka podnosi rękę, udaje, że chce go zbić.

Wybierają restaurację z widokiem na ulicę, zapraszają na kolację. Kończymy o dziesiątej. Zjawia się czterech młodych mężczyzn, zamawiają po dużej czarze trunku na każdego, do tego wybór dań, zanoszą na ucztę do rana.

Kiedy schodzimy z piętka na ulicę, w restauracjach i sklepach jeszcze się świeci, wciąż są otwarte, miasto odzyskuje dawną werwę. W tej chwili, po całym dniu, trzeba pilnie znaleźć czysty kąć, gdzie można się umyć, gdzie czeka czajnik świeżo zaparzonej herbaty, gdzie ulotni się zmęczenie, odczuje się ulgę i gdzie można jeszcze trochę pogwarzyć, siedząc lub leżąc.

Pierwszego dnia zwiedzaliśmy kilka starych wiosek, gdzie budynki przetrwały od czasów dynastii Ming; oglądaliśmy stare sceny teatralne, wyszukiwali rodowe świątynie, robiliśmy zdjęcia starych zabytkowych arkad, czytaliśmy napisy na zniszczonych stelach, odwiedzaliśmy starych ludzi. Wchodziliśmy także do paru świątyń odbudowanych lub wzniesionych za pieniądze zebrane przez mieszkańców, w środku nawet przepowiedziano nam przyszłość. Spaliśmy u pewnej rodziny w nowo wybudowanym domu na obrzeżu wsi. Właścicielem był stary emerytowany wojskowy; chętnie przyjął nas na noc, nawet ugotował posiłek. Usiadł i opowiadał o bohaterskich czynach w czasach, w których brał udział w tępieniu bandytów, potem opowiadał dawne bandyckie dzieje tych stron. Kiedy zauważył, że jesteśmy zmęczeni, zaprowadził nas na górę, gdzie pomieszczenie było całością, bez przepierzeń, rozścielił trochę świeżej słomy, przyniósł pościel i poprosił o ostrożność, jeśli zechcemy zapalić lampę. Nie potrzebowaliśmy lampy, pozwoliliśmy zabrać ją na dół, potem leżeliśmy w mroku. We dwoje wdali się w pogawędkę, a ja zapadłem w sen.

Nazajutrz wieczorem, już pod rozgwieżdżonym niebem, zjawiliśmy się w mieście gminnym. Zapukaliśmy do małego hoteliku, otwarto drzwi. Pilnował go jedynie jakiś stary mężczyzna, poza nim nie było nikogo. Drzwi do pokoi były pootwierane, każde z nas trojga wybrało sobie po jednym. Ale przyjaciel prawnik zaszedł do mnie pogadać, jego przyjaciółka zaś oświadczyła, że boi się zostać sama. Weszła więc do pustego łóżka, przykryła się i przysłuchiwała naszej gadaninie.

Znał mnóstwo zdumiewających historii, niepodobnych do opowieści starego żołnierza, zwietrzałych, już wyzbytych pazura. Jako prawnik miał dostęp do zeznań w sprawach, do stenogramów i dokumentów, kontaktował się nawet z paroma przestępcami. Umiał ożywić te

historie, zwłaszcza przypadki przestępstw seksualnych. Przyjaciółka zwinięta pod kołdrą jak kotka wciąż przerywała, pytając, czy to wszystko prawda.

- Osobiście przesłuchiwałem przestępców. Przed rokiem rozprawiano się z chuligaństwem i w pewnym powiecie przymknięto osiemset osób. W większości nie zaspokojonych seksualnie smarkaczy, którzy nie zasługiwali na żaden wyrok, a tylko garstka kwalifikowała się do kary śmierci. A jednak za każdym razem jechały na egzekucję całe gromady, bo tego żądano w słanych z góry instrukcjach. Nawet w urzędzie bezpieczeństwa publicznego co mądrzejsi ludzie poczuli się fatalnie.

- Bronieś szczeniaków? - zapytałem.

Usiadł i zapalił papierosa.

- Opowiedz o tym, jak tańczyli nago - podsuwa przyjaciółka.

- Chodzi o taki spichlerz na skraju miasta, należał kiedyś do brygady produkcyjnej. Teraz pola podzielono, ludzie magazynują ziarno u siebie, więc spichlerz stoi pusty. Co sobotę, kiedy się tylko ściemniło, zjeżdżały na motocyklach i rowerach duże grupy młodzieży z miasta. Przywozili magnetofon i urządzali tańce. Przed wejściem wystawiali ochronę, miejscowych chłopów nie wpuszczano. Lufciki są w spichrze bardzo wysoko, nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Ale chłopcy byli ciekawi; pewnego wieczoru paru przyniosło drabinę i wspięli się. A w środku było ciemno choć oko wykol. Nie mogli nic zobaczyć, słyszeli tylko muzykę i tylko o tym donieśli. Zajechała potężna ekipa z bezpieczeństwa, wkroczyli na imprezę i aresztowali ponad setkę. Sami młodzi ludzie około dwudziestki, synowie i młodsi bracia miejscowej nomenklatury, młodzi robotnicy, drobny handel, ekspedientki i ekspedientki, trochę niepracujących. Była też grupka młodzików, chłopców i dziewcząt z miejscowej szkoły średniej. Później jednych skazano na odsiadkę w więzieniu, innych zesłano do obozu pracy, stracono dobrych kilka osób.

- Naprawdę tańczyli nago? - spytała przyjaciółka.

- Niektórzy tak, większość oddawała się pomniejszych czynnościom seksualnym. A niektórzy, rzecz jasna, kochali się. Zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna powiedziała, że u niej doszło do ponad dwustu penetracji.

- Jakim cudem zdołała to jeszcze policzyć? - znów zapytała przyjaciółka.

- Popadła w otępienie i już tylko liczyła, jak zeznała. Widziałem ją i rozmawiałem.

- Nie zapytałeś, dlaczego na to pozwoliła? - odezwałem się.

- Z ciekawości, jak powiedziała. Wcześniej, przed tymi tańcami w spichrze, nie miała żadnych doświadczeń seksualnych, lecz kiedy tamy puszcza, to koniec. Jej własne słowa.

- Szczera prawda - dobiegło spod kołdry.

- Jak wyglądała? - zapytałem.

- Trudno by uwierzyć, patrząc na nią, była bardzo zwyczajna. Twarz mogła się wydać nawet brzydka; bez wyrazu, bez śladu rozwiązłości. Miała ogoloną głowę, była w więziennym ubraniu; nie sposób coś powiedzieć nawet o figurze. W każdym razie niewysoka, o okrągłej twarzy. Nie miała zahamowań, mówiła o wszystkim. Można było pytać, odpowiadała bez śladu emocji.

- No jasne... - powiedziała cicho.

- Potem ją stracono.

Zapadła cisza. Zamilkliśmy we troje.

- I na czym polegała jej zbrodnia? - odezwałem się później.

- Jej zbrodnia? - młody prawnik zapytał sam siebie. - Chuligaństwo, wraz z nakłanianiem innych do zbrodni. Nie poszła sama, zabrała inne dziewczyny, te zaś oddawały się wymienionym już czynnościom.

- Rzecz w tym, czy wciągnęła innych w niedozwolone czynności seksualne, czy też współuczestniczyła w gwałcie - powiedziałem.

- Ściślej mówiąc, nie było żadnego gwałtu. Czytałem zeznania. A co do wciągania innych w niedozwolone czynności seksualne, to trudno coś orzec.

- W tamtej sytuacji... trudno w niej o jakąkolwiek pewność - powiedziała przyjaciółka.

- A jak wyglądały motywy? Nie w odniesieniu do niej, lecz w sprawie zabrania innych dziewcząt. Co ją do tego skłoniło? Ktoś ją namówił, może dał pieniądze, żeby to zrobiła?

- Pytałem o to. Powiedziała, że na bliski kontakt pozwalała sobie tylko ze znajomymi mężczyznami, z którymi jadła i piła. Nigdy nie wzięła od nikogo pieniędzy. Miała pracę, zdaje się w aptece czy też doglądała leków w szpitalu, była wykształcona...

- Tutaj wykształcenie nie ma nic do rzeczy. Nie była prostytutką. Miała po prostu jakiś problem psychologiczny - przerwała przyjaciółka.

- Co za problem psychologiczny? - odezwał się do niej.
- Jeszcze się pytasz? Jesteś pisarzem. Była rozwiązła i chciała, żeby w jej otoczeniu wszystkie kobiety były rozwiązłe.
- Wciąż nie rozumiem - odrzekłem.
- Świetnie rozumiesz - odparła. - Każdy żywi uczucia seksualne, tyle tylko, że ona miała pecha. Musiała pokochać kogoś, kogo nie mogła mieć. Szukała zemsty, wpięła na samej sobie...
- Ty także chcesz się mścić? - zapytał prawnik.
- Jeśli już zechcę, ciebie zabiję najpierw!
- Aż tyle w tobie tkwi przemocy? - zapytał.
- Przemoc tkwi w każdym - powiedziałem.
- Pytanie brzmi: czy to jest zbrodnia? - powiedział prawnik. - Moim zdaniem uznawać za zbrodnię można tylko morderstwo, podpalenie i handel narkotykami, są bowiem przyczyną cudzej śmierci.
- Więc mówisz, że gwałt nie jest przestępstwem? - Przyjaciółka unosi się na łóżku.
- Nie mówię, że gwałt nie jest przestępstwem. Natomiast nie jest zbrodnią nakłanianie do niedozwolonych zachowań seksualnych, bo mamy tu do czynienia z obustronnym przyzwoleniem.
- Czyli uważasz, że nakłanianie młodych dziewczyn do niedozwolonych zachowań seksualnych nie jest przestępstwem?
- Zależy, co rozumiesz pod pojęciem młodej dziewczyny, słowem, czy chodzi o dorastającą osobę, która nie ukończyła osiemnastu lat.
- A tobie o to chodzi, że dziewczęta nie odczuwają pragnień seksualnych przed ukończeniem osiemnastu lat?
- Według prawa tak właśnie przebiega granica.
- Nie chodzi mi o prawo.
- Ale prawu chodzi o ciebie.
- A co ma do mnie prawo? Nie popełniłam żadnych zbrodni. To wy, mężczyźni, jesteście zbrodniarzami.

Wybuchnęliśmy śmiechem, prawnik i ja.
- Z czego się śmiejesz? - zwróciła się do niego.
- Jesteś gorsza niż prawo; chodzi ci nawet o mój śmiech, prawda? - odpowiedział.
Młoda kobieta, w samej bieliźnie, czym w ogóle się nie przejmowała, oparła ręce na udach i z płonąca twarzą rzuciła mu pytanie:

- To powiedz prawdę, spałeś kiedyś z prostytutkami? Mów!
-Nie.
- W takim razie opowiedz o gorącej zupie z makaronem!
I niechaj on rozsądzi.
- O czym tu gadać, to po prostu była miska gorącej zupy z makaronem.
- Jedynie niebo wie, czy tylko miska! - krzyknęła.
- A o co chodzi? - Rzecz jasna byłem ciekaw.
- prostytutki chcą nie tylko pieniędzy, przecież to także istoty wrażliwe.
- Powiedz, poczęstowałeś ją gorącą zupą z makaronem czy nie? - przerwała.
- Poczęstowałem, ale nie spałem z nią.

Zacisnęła wargi.

Powiedział, że był wieczór, padał drobny deszcz, na ulicy niewielu ludzi. Pod latarnią zobaczył kobietę i zaczął się przekomarzać. Nie przypuszczał, że ta pójdzie za nim aż do straganu z pierożkami i makaronem pod wielkim ceratowym parasolem. Powiedziała, że zjadłaby miskę gorącej zupy z makaronem. Dotrzymał jej towarzystwa, oboje zjedli po misce, a wydał na to wszystkie pieniądze, które miał przy sobie. Nie spał z nią, jak już mówił, wiedział jednak, że pójdzie wszędzie tam, gdzie on. Więc usiedli na stercie betonowych kręgów ułożonych przy drodze, przygotowanych do remontu kanalizacji, objął ją ramieniem i rozmawiali.

- Była młoda i ładna? - Mruknęła do mnie.
- Miała mniej więcej dwadzieścia lat i zadarty nos.
- Naprawdę byłeś taki cnotliwy?
- Bałem się brudu, że może na coś choruje.
- Właśnie tacy jesteście, mężczyźni, właśnie tacy! - Zagniewana położyła się znowu.

Powiedział, że naprawdę żal mu się zrobiło tej kobiety, cienko ubranej, przemoczonej. Padalo i naprawdę było zimno.

- Mogę uwierzyć, oczywiście. W ludziach oprócz przemocy tkwi też współczucie - powiedziałem. - W przeciwnym razie jakże mogliby być ludzcy?

- Ale to wszystko już wykracza poza obręb prawa - odrzekł. - Natomiast w myśl prawa posiadanie popędu seksualnego jest zjawiskiem przestępczym, wobec tego wszystkie istoty ludzkie to winni!

Skwitowała to cichym westchnieniem.

Opuszczamy restaurację, w połowie drogi wychodzimy na kamienny łukowy most, nie ma jednak żadnych hoteli. Przy końcu mostu nad brzegiem rzeki widać tylko przyćmione światło. Kiedy już oczy przyzwyczajają się do mroku, widzimy rząd łodzi z czarnymi baldachimami, zacumowanych wzdłuż kamiennego nabrzeża.

Przez kamienny most przechodzą dwie kobiety, tuż koło niego i mnie.

- Spójrz, to kobiety właśnie tego rodzaju - cicho mówi przyjaciółka prawnika, ściskając mnie za ramię.

Nie zauważyłem, więc szybko się odwracam, widzę już tylko tył głowy jednej z nich, lśniąca, starannie ułożone włosy spięte z tyłu kwiecistą plastikową klamrą, oraz profil tej drugiej, która chyba ma na twarzy makijaż. Obie niskie i tęgie.

Przyjaciel przez chwilę odprowadza je wzrokiem, patrzy, jak powoli odchodzą.

- Ich klienci to głównie ci ludzie z łodzi, w sumie robotnicy - mówi.

- Na pewno? - Zdumiewająca jest dzisiejsza jawność w tej mierze, nawet w takich małych miasteczkach. Wiem, że w dużych miastach kręca się wokół dworców kolejowych i przystani.

- Od razu widać - mówi przyjaciółka prawnika. Kobiety mają wyostrzone instynkty, takie się rodzą.

- Używają tajemnego kodu; jeżeli dasz właściwy znak, umowa stoi. Schodzą się z sąsiednich wiosek, żeby nocą trochę dorobić - mówi prawnik.

- Gdybyście byli tylko we dwóch, przejęłyby inicjatywę, podeszłyby i zagadały. Ale zobaczyły mnie.

- Ci ludzie z łodzi muszą się jednak gdzieś z nimi podziać; idą z tymi kobietami z powrotem do ich wiosek? - pytam.

- Na pewno jest w pobliżu jakaś łódź, mogą też iść z mężczyznami do hotelu.

- I co, hotele jawnie wdają się w takie interesy?

- Mają swoje układy. Nigdy się na to nie natknąłeś w podróży?

Przypominam sobie wówczas kobietę, która próbowała dostać się do Pekinu, żeby wnieść sprawę do sądu. Powiedziała, że nie ma pieniędzy na bilet, dałem jej wtedy yuana, ale nie mogę powiedzieć na pewno, czy była jedną z takich kobiet.

- Hej, podobno prowadzisz badania społeczne. Dzisiaj mieliśmy do czynienia z bogatym wyborem zjawisk.

Przepraszam, ale nie wychodzi mi prowadzenie badań społecznych. Jestem niekompetentny. Po prostu jestem bezpiecznym psem, który wszędzie wpycha nos. Uznają, że to zabawne, i wybuchają śmiechem.

- Chodźcie ze mną, będzie dobra zabawa! - Znów wpadł na pomysł, wydziera się w stronę rzeki, wprost w ciemność: - Hej, jest tam kto?

Zeskakuje z kamiennego nabrzeża wprost do łodzi z czarnym baldachimem.

- O co chodzi? - spod baldachimu dobiega stłumiony głos.

- Wypływasz na noc tą łodzią?

-A gdzie?

- Na przystań w Xiaodangyangu. - Prawnik błyskawicznie rzuca nazwę.

- Ile byś dał? - Spod baldachimu wyłania się mężczyzna w średnim wieku.

- A ile chcesz?

Targują się.

- Dwadzieścia yuanów.

- Dziesięć.

- Osiemnaście.

- Dziesięć.

- Piętnaście.

- Dziesięć.

- Ta łódź nie pływa za dziesięć yuanów. - Mężczyzna znika pod baldachimem, słyszymy stamtąd ściszony głos kobiety.

Spoglądamy na siebie, kręcimy głowami, nie możemy powstrzymać się od śmiechu.

- Ja popłynę na przystań w Xiaodangyangu - mówi ktoś na jednej z dalszych łodzi.

Przyjaciel gestem każe nam milczeć i wykrzykuje:

- Popłyniemy, ale za dziesięć yuanów. - Pierwszorządnie się bawi.

- Chodźcie tu, poczekajcie, ściągnę łódź.

Przyjaciel naprawdę umie się targować. Z ciemności wylania się zarys: człowiek w kurtce manipuluje długą tyką.

- I co powiecie? Oszczędzimy na noclegu. To się nazywa: sunąć po falach w świetle księżycy! Niestety, księżycy nie ma, ale nie obejdziemy się bez czegoś do picia.

Każe przewoźnikowi czekać. Mknijemy we troje na uliczkę, po butelkę alkoholu *daqu*, torbę moczonego w słonej zalewie bobu, dwie świece, potem radośnie wskakujemy do łodzi.

Przewoźnik, stary mężczyzna, ma pomarszczoną twarz. Podnosimy kłapę pod baldachimem, wskakujemy, oswajamy się z ciemnością i siadamy na deskach na skrzyżowanych nogach. Przyjaciel zapalniczką zapala świece.

- Nie wolno palić światła na łodzi - mówi stary z poświstem.

- Dlaczego? - Myślę, że jest może taki zakaz.

- Podpalicie baldachim - zrzędzi.

- Co by nam przyszło z podpalenia tego daszka - mówi prawnik. Wiatr wciąż zdmuchuje płomyk, więc prawnik mocniej zaciąga kłapę.

- Czcigodny starcze, jeżeli podpalimy ci baldachim, to zapłacimy. - Przyjaciółka jest jeszcze weselsza, wciśnięta między prawnika i mnie.

Nagle znowu wstąpiło w nas życie.

- Nie zapalajcie ognia! - Stary odstawia tykę i podchodzi, chce nas powstrzymać.

- Zróbcie, jak mówi, nawet zabawniej będzie płynąć po ciemku - radzę.

Prawnik otwiera butelkę, wyciąga nogi, na bambusowej macie na dnie łodzi kładzie wielką torbę bobu. Siedzę naprzeciw niego, niemal dotykamy się stopami, butelka wędruje to tu, to tam. Ona, oparta o niego, od czasu do czasu też pociąga. W spokojnej zatoce na rzece słychać tylko skrzypienie tyki przewoźnika i chlupot wody.

- Facet na pewno chciał nam dokuczyć.

- Zszedłby nam z oczu za pięć yuanów, to niewiele.

- Tyle akurat kosztuje miska gorącej zupy z makaronem!

Stajemy się małostkowi.

- Te rzeki i jeziora są skażone prostytutką i opium od niepamiętnych czasów, więc czy można skutecznie tego zabronić? - mówi w mroku. - Rozwiązłość jest tu powszechna, cechuje mężczyzn i kobiety, i co, trzeba ich wszystkich wyróżnić? Po prostu ludzie tak żyją.

Nocna czerń rozsuwa się przelotnie, odsłania roziskrzzone niebo, potem znowu nasuwa się ciemność. Z rufy dobiega skrzypienie tyki, a od czasu do czasu cichy chlupot. Zimny powiew przedziera się przez ciasno związaną przednią kłapę pod baldachimem, nawet przez plastikowe worki po nawozach sztucznych, służące za osłonę przed deszczem i wiatrem.

Dopada nas zmęczenie, zwijamy się we troje na środku tej wąskiej osłoniętej przestrzeni. Prawnika i ja przyciskamy się do burt, każdy do swojej, ona wsuwa się między nas. Takie są kobiety, zawsze potrzebują ciepła.

Podjeżdżam, że za umocnionymi nabrzeżami po obu stronach ciągną się pola uprawne, tam zaś, gdzie nie ma nabrzeży, rozciągają się mokradła porośnięte trzciną. Łódź, minawszy ciąg zalewów, wchodzi w przejście, gdzie z obu stron jest tak gęsto od trzcin, że można zabić człowieka, a rzucone tu ciało zniknie bez śladu. W każdym razie jest nas troje na jednego, a jeśli nawet jedno z nas to kobieta, to przecież drugą stroną jest starzec. Wszystko w porządku, można się uspokoić, rozluźnić, zasnąć. Ona już się obróciła. Piętami dotykam jej grzbietu, ona zaś wcisnęła pośladki w moje uda, ale przestałem się już przejmować.

Październik to pora, w której nad rzekami i jeziorami wszystko dojrzewa. Na każdym kroku widać falujące piersi i lśnienie oczu. Jej ciało promieniuje naturalną, niewymuszoną kobiecością; to wpływa na ciebie, uwodzi, przyciąga, sprawia, że chcesz ją pieścić. Wtulona w jego ramiona musi czuć ciepło mego ciała; przekłada ramię na moje udo, jakby po to, żeby mi było wygodniej, nie wiem jednak, czy to raczej swawola czy uprzejmość. Potem zaś dobiega pomruk; wsłuchuję się uważnie: to jakieś pojękiwanie z rufy. W pierwszej chwili

chcę ponarzekać, coś jednak każe mi słuchać dalej. Jest to żalobne zawrodożenie, które chłodny nadrzeczny powiew niesie w cichy nocny przestwór. To stary; manewruje tyką, całkowicie pochłonięty spontanicznym śpiewem. Dźwięk nie wydobywa się z ust, lecz z głębi piersi, z gardła, jest tak, jakby poprzez to zawrodożenie uwalniał się długo gromadzony smutek. Wpierw słyszę belkot, lecz później zaczynam stopniowo rozróżniać niektóre słowa, mocno porwane, w jego dialekcie Wu brzmi jeszcze mocny wiejski akcent. To, co słyszę, znaczy chyba: two siedemnasta młodsza siostra i osiemnasta ciotka... odjechały z wujem, żyć nędźnie... wałęsali się... i nic... zostały mniszkami... piękny widok... w końcu tracę już wątek i rozumiem coraz mniej.

Poklepuje oboje i cicho pytam:

- Słyszycie? Co on tam śpiewa?

Oboje ruszają się, nie spali. Prawnik podciąga nogi i siada; bez ceregieli głośno wykrzykuje spod baldachimu:

- Hej, stary, co wyśpiewujesz?

Odpowiada mu trzepotanie skrzydeł, z baldachimu podrywa się z krzykiem spłoszony ptak. Rozchylam trochę kłapę, widzę, że łódź płynie przy brzegu, szare kłęby rosnące na zagonach wzdłuż brzegu to pewnie soja. Stary zamilkł, dmie przenikliwy chłodny wiatr. Rozbudziłem się zupełnie i bardzo uprzejmie pytam:

- Czcigodny starcze, czy teraz śpiewałeś jakąś pieśń ludową?

Przewoźnik nie odpowiada, po prostu manewruje tyką, łódź płynie przed siebie, w równym tempie.

- Zrób sobie przerwę, chodź, napij się z nami, zaśpiewaj dla wszystkich! - Prawnik także próbuje go przekonać.

Stary nie odpowiada ani słowem, dalej popycha łódź.

- Odpocznij, chodź się napić, zagrzej się. Co byś na to powiedział, że zaśpiewasz, a ja ci dodam dwa yuany? - Słowa prawnika, jak tonący kamień, przechodzą bez echa. Może stary jest zakłopotany, może zagniewany, łódź sunie po wodzie przy akompaniamencie bulgotania wirów tam, gdzie drąg przenika powierzchnię, i chlupotu fal na burcie.

- Chodźmy spać - łagodnie namawia przyjaciółka.

Rozczarowani, możemy się tylko położyć. Tym razem kładziemy się we troje na wznak, przez co przestrzeń wydaje się jeszcze węższa. Jesteśmy jeszcze bardziej ściśnięci, wyraźniej czuję ciepło jej ciała. Ujmuję moją dłoń, może to pociąg, może uprzejmość. To wszystko, co się wydarza; jest w nas niechęć do dalszego wtrącania się w już zakłócone mistyczne tętno tej nocy. Ani od niej, ani od jej towarzysza nie dobiega żaden odgłos. Czuję ciche narastanie napięcia w miękkim ciele dzielącym się ciepłem, a kiedy to tłumione podniecenie wzbiera, noc wznawia swe mistyczne tętno.

Po dłuższej chwili znów dobiega mnie niewyraźne zawrodożenie, jęki wykoślawionej duszy, niespełnialne pragnienia, zużyte i ociężałe; w miecionych wiatrem popiołach pojawia się nagle iskierka i gaśnie, wraca ciemność. Jest tylko ciepło jej ciała i te doznania, rezonujące wszędzie, mocno; jej palce i moje zaciskają się w tym samym momencie. Oboje milczymy, żadne nie śmie prowokować dalej drugiego, z zapartym tchem słuchamy burzy szalejącej w naszych żyłach.

Urywki pieśni śpiewanej tym chrypliwym starczym głosem mówią o słodkim zapachu kobiecych piersi, o cudownym dotyku kobiecych nóg, ale nie są to zdania i nie potrafię w pełni uchwycić sensu. W tym niewyraźnym śpiewie tętni jednak życie, czuje się miąższ, fraza nakłada się na frazę, a każda jest inna... pręciki kwiatów i spłoniona twarz... nie pieść łodygi lotosu... olśniewająco biała spódnica na śmigłej talii... gorzki jest smak persymony... tysiakoociekie fale... wędrownie ważki potracają toń... nie oddawaj się, ach, nie oddawaj...

Najwyraźniej pogrążył się we wspomnieniach, szuka wszelkiego rodzaju powiedzeń, żeby odczuciom dać wyraz w słowach. Te słowa niekoniecznie znaczą coś konkretnego, przenoszą tylko doznania i mają wzbudzić uczucia seksualne, którymi stary nasaczył tę pieśń; brzmi to zarazem jak zawrodożenie i lament. Ten długi utwór wreszcie się kończy, ona zaciska palce na mojej ręce, potem puszcza.

Stary przewoźnik kaszle, łódź się kołysze. Siadam i uchylam kłapę. Powierzchnia rzeki usiana jest słabymi światłami, łódź mija miasteczko. Na brzegu domy tłoczą się obok siebie, widoczne w świetle latarni drzwi pozamykano, nie świeci się już w oknach. Stary wciąż kaszle, łódź niebezpiecznie się kołysze. Słyszę, jak stary posikuje do rzeki.

Wciąż wchodzisz na góry. Kiedy w pobliżu szczytu doskwiera ci zmęczenie, myślisz zawsze, że to ostatni raz; lecz kiedy ustąpi euforia wzbudzona wejściem na szczyt, znowu odczuwasz ów pociąg wzbierający w tobie, w miarę jak mija zmęczenie. Osnute mgiełką strome zarysy odległych wierzchołków sprawiają, że odżywa tve pragnienie wchodzenia na góry. Kiedy już wejdiesz, góra przestaje cię obchodzić, lecz wciąż uważasz, że na następnej, tam dalej, znajdziesz coś, czego jeszcze nie spotkałeś. W końcu na szczycie znów widzisz, że spodziewanych cudów nie ma, jest tylko osamotniony górski wiatr.

Po pewnym czasie osławiasz się z tą samotnością, a wchodzenie na szczyty zamienia się w obsesję. Wiesz, że niczego tam nie znajdziesz, ale wiedziony ślepyim popędem nie rezygnujesz, wchodzisz. Lecz wchodząc, potrzebujesz podniety, fantazjujesz i tak sam tworzysz mity.

Powiadasz, że u stóp urwiska z wapienia widzisz pieczarę. Wejście jest niemal doszczętnie zastawione stertą kamiennych płyt. Myślisz, że to dom Dziadka Kamienia; że w środku mieszka ta legendarna postać, o której tyle opowiada górski lud Qiang.

Powiadasz, że siedzi na łóżku z desek; to drewno przegniło, kruszy się pod dotknięciem, przegniłe kawałki, które trzymasz w rękach, przesiąkły wodą. W środku jest bardzo wilgotno, cieknie nawet na to drewniane legowisko na skałach. Wszędzie stąpasz po mchu.

Starzec opiera się o skalną ścianę, gdy wchodzisz, patrzy prosto na ciebie. Oczy głęboko zapadnięte, on sam wychudły na wiór. Nad głową w zasięgu ręki strzelba, na wetkniętej w skalną szczelinę gałęzi, posmarowana niedźwiedzim sadłem zamienionym już w czarną maź, bez choćby śladu rdzy.

- Po co przyszedłeś? - pyta.

- Zobaczyc cię, czcigodny starcze. - Przybierasz pozę pełną szacunku, nawet obawy. Jest wolny od tej dziecięcej drażliwości cechującej starców; a szacunek chyba robi swoje. Rozdrażniony Dziadek Kamień może po prostu złapać za broń i zastrzelić cię, to wiesz, ważne więc jest okazywanie, że się boisz. Poddany oględzinom zapadniętych oczu nie śmiesz unieść wzroku, żadną miarą nie chcesz sprawiać wrażenia, że zazdrościsz mu strzelby.

- Dlaczego mnie odwiedzasz?

Tego nie możesz powiedzieć, nie możesz też powiedzieć, co chcesz zrobić.

- Nikt mnie tu nie odwiedzał od dawna - cedzi; wydaje się, że głos dobiega z pustki. - Przecież te deski całkiem zbutwiały, sypią się już, prawda?

Mówisz, że wspiałeś się tu z wąwozu, wprost z Rzeki Śmierci.

- Pewnie już zapomnieliście o mnie.

- Nic podobnego - śpieszysz zapewnić. - Wszyscy w tych górach wiedzą o Dziadku Kamieniu. Mówią o tobie, kiedy mają coś do picia, lecz brak im odwagi, żeby przyjść tu do ciebie w odwiedziny.

Ciebie jednak nie sprowadziła tu odwaga, lecz ciekawość. Przyszedłeś, bo o nim słyszałeś; tego, rzecz jasna, nie wypada mówić. Teraz, kiedy legenda zyskała potwierdzenie, kiedy go zobaczyłeś, wciąż musisz wymyślać, co mu powiesz.

- Ile stąd będzie na górę Kunlun?

Dlaczego pytasz o Kunlun? Bo Kunlun to góra twych przodków, mieszkała tam Królowa Matka Zachodu. Cegły z jej wrytą podobizną - twarz tygrysicy, ciało człowieka, ogon pantery - wydobywano z grobowców dynastii Han.

- Och, idź wprost przed siebie, a zajdziesz na górę Kunlun -mówi jak ktoś, kto radzi: idź wprost przed siebie, a zaraz trafisz do ubicacji lub kina.

Zbierasz się na odwagę i pytasz:

- Czy to daleko?

- Idź wprost przed siebie...

Czekając, aż dokończy, zerkasz ukradkiem w jamy oczodołów. Zapadnięte wargi poruszają się kilkakroć, potem znowu zwierają, lecz tak naprawdę nie wiesz, czy coś powiedział, czy dopiero powie.

Chcesz uciec, ale w obawie, że nagle się rozgniewa, tylko wpatrujesz się w niego z szacunkiem, jakbyś czekał na wskazówki. Tymczasem nie daje żadnych wskazówek, może nawet żadne wskazówki nie wchodzą w rachubę. W tej trudnej sytuacji, czując napięcie mięśni twarzy, unosisz ostrożnie kąciki warg, rozluźniasz policzki, przywdziewasz uśmiech. Nie reaguje, ty zaś poruszasz się, przestępujesz z nogi na nogę. Skłaniasz ciało do przodu i przyglądasz się z bliska tym głębokim jamom; gałki oczne są zupełnie białe, jak sztuczne.

Może jest mumią. Widziałeś już takie ciała sprzed wieków, nie naruszone przez czas, wydobyte z grobowców dynastii Chu w Jianglingu i z grobowców zachodniej dynastii Han w Mawangdui. Widocznie umarł, siedząc.

Ostrożnie, krok po kroku, zbliżasz się, nie śmiesz go dotknąć w obawie, że się przewróci, rozsypie, i wreszcie sięgasz po tę wiszącą za nim na skalnej ścianie strzelbę myśliwską, lepka od brudu, powleczone niedźwiedzim sadłem. Chwytasz ją w dłoń, a lufa kruszy się jak smażone chrupki. Cofasz się śpiesznie, wychodzisz; teraz już nie wiesz, czy nadal ci pilno do siedziby Królowej Matki Zachodu.

Tam w górze trzaska piorun, Niebiański Dwór się gniewa! Niebiańscy żołnierze i generałowie walą kośćmi - udowymi kośćmi Piorunowego Potwora - w ogromne bębny ze skóry morsa z Morza Wschodniochińskiego.

Rozlega się pisk dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu białych nietoperzy, które krążą nad wlotem pieczary u stóp urwiska. Budzą się wszystkie bóstwa tej góry, ze szczytu toczą się potężne głązy, rusza lawina, całe urwisko się wali. Jest tak, jakby tysiąc konnych żołnierzy przybywało galopem z głębin ziemi; cała góra obraca się w dym i kurz.

Och, och, na niebie rozbłyska nagle dziewięć słońc! Spada cios na pięć żeber mężczyzn i siedemnaście nerwów kobiet, targanych jest pięć żeber mężczyzn i siedemnaście nerwów kobiet, krzyczą i jęczą wszyscy...

Otworami ciała ulatuje twa dusza, widzisz na niebie bezlik ropuch rozdziawiających wielkie gęby. Są jak gromada bezgłowych ludzików, którzy wyciągnawszy ramiona ku posiwiałemu starymu niebu, wołają zrozpaczeni: Oddaj mi głowę! Oddaj mi głowę! Oddaj mi głowę! Oddaj mi głowę! Oddaj mi głowę! Oddaj mi głowę! To moja głowa, oddaj! To moja głowa, oddaj! To moja głowa, oddaj! Oddaj głowę, to moja! Oddaj głowę, to moja! O moja głowa, gdzie moja głowa, o moja głowa, gdzie moja głowa, oddaj tę głowę, o moja, o głowa, oddaj mi, oddaj, tę moją głowę, oddaj, głowę, tę głowę... głowę mi oddaj... oddaj mi... głowę, głowę...

Wyrwany ze snów, spłoszony nagleniem dzwonów i bębnow, przez chwilę nie orientuję się, gdzie jestem. Ciemno zupełnie, dopiero po chwili dostrzegam kwadratowe okno, chyba zakratowane, nie jestem pewien. Muszę dociec, czy wciąż jeszcze śnię; dźwigam ciężkie powieki, udaje mi się odczytać godzinę ze świecą tarczy zegarka. Punkt trzecia. Uświadamiam sobie, że to początek porannych modłów, ja zaś nocuję w świątyni. Szybko zbieram się i wstaję.

Otwieram drzwi i wychodzę na dziedziniec. Bębny zamilkły, tym donośniej raz po raz rozbrzmiewa dzwon. Spomiędzy mrocznych drzew wyziera szare niebo; dźwięk dzwonu dobiega zza wysokiego muru od strony Pałacu Wspaniałych Skarbów. Po omacku przebywam kręty korytarz do drzwi sali wegetariańskiej, te jednak zaryglowano z drugiej strony. Odwracam się, idę w przeciwny koniec korytarza, macając, orientuję się, że ogradza mnie wysoki ceglany mur, na tym dziedzińcu jestem zamknięty jak w więzieniu. Krzyczę raz i drugi, lecz nikt nie odpowiada.

Wczoraj długo prosiłem o zgodę na nocleg w tej Świątyni Narodowej Czystości. Mnich, któremu złożyłem w darze kadzidła, zmierzył mnie od stóp do głów, lecz chyba nie wyzbył się wątpliwości w moją szczerą żarliwość. Uparcie jednak tkwiłem u wrót klasztoru, a kiedy nadeszła pora ich zamykania, mnisi zasięgnęli wskazówek u sędziwego przełożonego, następnie ulokowali mnie w odosobnieniu, w tej bocznej celi na tyłach świątyni.

Nie życzę sobie pobytu w zamknięciu, zamierzam się przekonać, czy ta wielka świątynia, w której trociczki tlą się od ponad tysiąca lat, wciąż przestrzega rytuałów i kultuwy obrzędy sekty Tiantai. Nie sądzę, żebym złamał świątynne reguły czystości. Wróciwszy na dziedziniec, widzę w jednym z narożników srebrzące się w szczelinie wątle światelko. Obmacuję szczelinę. Okazuje się, że to niewielkie drzwi; zaraz ustępują. Bądź co bądź to świątynia buddyjska, tu nie ma miejsc zakazanych.

Omijam ściankę za wejściem i wchodzę do średniej wielkości sali sutr; płonie kilka świec, w powietrzu wiją się smużki kadzidlanego dymu. Przed stołem z trociczkami zwiesza się sztuka brokatu, na niej cztery wyhaftowane znaki „podstawki trociczek bardzo gorące”; ów widok przyprawia mnie o kołatanie serca. To chyba przepowiednia. Dla okazania czystości serca, a także rozproszenia podejrzeń, że przyszedłem szpiegować tajemnice buddyjskiego świata, wkładam świecę do obsadki. Widzę na ścianach prastare wstęgi kaligrafii i malowidła. Nie przypuszczałem, że świątynia kryje tak eleganckie, ustronne pomieszczenie, zapewne zastrzeżone dla buddyjskich mistrzów. Wszedłem tu nieproszony, więc doskwiera mi trochę poczucie winy, trudno, nie będę dłużej sprawdzał, czy wciąż mają tu dzieła dwóch klasztornych znakomitości z czasów dynastii Tang, zebrane przez Han Shana. Odstawiam świecę; w poszukiwaniu dzwonu nawołującego do porannych modlitw wychodzę głównymi drzwiami.

Trafiam na następny dziedziniec. W przylegających do dziedzińca ze wszystkich czterech stron pomieszczeniach, zapewne mnisich celach, płoną świece. Spiesząc, ociera się o mnie mnich w czarnej szacie. Usuwam się, lecz zaraz przychodzi mi do głowy, że może wskazuje drogę, więc ruszam, przemierzam w ślad za nim ciąg korytarzy. Potem mnich nagle znika. Zbity z tropu, dostrzegam coś jaśniejszego, miejsce oświetlone świecami, chcę już przekroczyć próg, ale spojrzawszy w górę, dostrzegam cztero-, a może pięciometrowego strażnika Buddy, dzierżącego pałkę do poskramiania demonów. Mierzy wprost we mnie, oczy lśnią wściekle, ze strachu oblewam się zimnym potem.

Uciekam ciemnym korytarzem, wreszcie dostrzegam ślad światła. Zbliżywszy się do wejścia zwieńczonego lukiem, widzę za nim duży dziedziniec; idę i oto znalazłem się u stóp Pałacu Wspaniałych Skarbów. Na krańcach dachu o wywiniętych okapach dwa zielone smoki strzegą lśniącego zwierciadła umieszczonego w środku. Granat nocnego nieba tuż przed świtem, widzianego między sylwetami wyniosłych cyprysów, to coś zdumiewającego.

Spoza ogromnego kadzidlanego postumentu u szczytu schodów, z sali pełnej płonących świec wypływa dźwięk dzwonu. Mnich w czarnej szacie bije w olbrzymi dzwon drewnianym drągiem zawieszonym u stropu. Z dzwonu dobywa się ledwie drżenie, lecz jakby w odpowiedzi wzbiera od ziemi dźwięk, wznosi się ku krokwiom, wypełnia salę, rezonuje, wreszcie grzmiące odbicia wylewają się przez wejście, a w falach tego dźwięku tonie moje ciało i umysł.

Kilku mnichów zapala świece przed osiemnastoma arhatami stojącymi w dwuszeregu, w każdej podstawce umieszczają pęki zapalonych kadzideł. W sali zbierają się mnisi,

wszyscy w takich samych ciemnoszarych szatach, spokojne, pogodne postaci zmierzają z wolna na swoje miejsce, przed swą poduszkę z sitowia; na każdej wyhaftowano kwiat lotosu i na każdej inaczej.

Po dwóch potężnych uderzeniach w bęben rozbrzmiewa ton tak głęboki, tak przenikliwy, że wprawia w wibrację wnętrzości. Bęben znajduje się po lewej stronie sali, na podium wysokości człowieka. Okrągły, obciągnięty skórą, o głowę przewyższa mnicha stojącego na podeście u szczytu drabiny. Ów mnich, jedyny bez długiej szaty, ma spodnie przewiązane na krzyż na łydkach i konopne trzewiki. Ręce uniósł wysoko nad głową.

Da-da

Bum! Bum! Jeszcze dwa razy.

Da-da

Kiedy cichnie przeciągły dźwięk dzwonu, watek przejmuje bęben, wprawia w drżenie nawet ziemię pod stopami. Z początku można jeszcze rozróżnić pojedyncze uderzenia, pogłos, echa mnożące się we wnętrzu bębna, lecz kiedy tempo narasta, nabiera rozpędu, potężne uderzenia przeistaczają się w ciągły dźwięk, który sprawia, że serce dygoce, że kipi krew. Obezwładniający łoskot nie łagodnieje, zapiera dech. A potem z wnętrza bębna dobywa się dźwięk nieco wyższy, w nieco bardziej czytelnym rytmie, słychać, jak ponad jędrnym i długo wybrzmiewającym dudnieniem układa się w interludia o jeszcze szybszym tempie. Później wyłaniają się z tego niezliczone odmiany tonów wyższych i niższych, splatających się i zestrojonych zarówno z ogłuszającym dudnieniem, jak i szybszymi interludiami. A wszystko to wydobywa się z jednego bębna!

Szczupły mnich w średnim wieku nie używa pałek. Pomiedzy nagimi ramionami widać tył lśniącej, wciąż poruszającej się głowy, on zaś bije, razi, wali, klepie, łupie, dźga, szturcha i kopie, używa dłoni, palców, pięści, łokci, kiści, kolan, a nawet palców u nóg. Ciało mnicha przypomina jaszczurkę, która przylgnęła do skóry bębna. Grzmoci w bęben jak opętany, skacze na niego, uderza wszędzie, od środka po obrzeża wysadzone żelaznymi ćwiekami.

W tę nie milknącą symfonię potężnych uderzeń wdziera się nagle dzwon, lecz o brzmieniu tak słabym, że wydaje się urojeniem. Przypomina niepewne cykanie świerszcza w późnojesienną noc. Ulotny, delikatny, żałosliwy, a jednak czytelny na tle chaotycznego łoskotu bębna, jedyny, niepowtarzalny. Ów dzwon najpierw budzi sześć czy siedem dużych i małych drewnianych ryb o posepnym, wyrażającym samotność, melodyjnym i donośnym brzmieniu, potem przyłączają się zestawy tętniących wigorem mosiężnych dzwonek; wszystko to współbrzmi, dźwięki przenikają się i wtapiają w głęboki łoskot bębna.

Wypatruję, skąd dobiega dźwięk dzwonu, i oto widzę mnicha z klasztornej starszyny, w szacie powypychanej, wiele-kroć łatanej, czasem łątą na łącie; to on dyryguje. W lewej ręce trzyma kielichowaty dzwonek, w prawej cienką stalową szpilę. Trącenie dzwonek szpilą wzbudza dźwięk, który jak babie lato unosi się w powietrzu wraz z zapachem dymu. Podobne to do splotów sieci rybackiej, tak zagarniającej w świat dźwięku, że bezbronni ludzie w nim toną. Kiedy to sobie uświadamiam, znika moje początkowe zdumienie i podniecenie.

Z tyłu i z przodu pałacu widnieją dwie tablice, na jednej napis „Ziemia majestatyczna”, na drugiej „Pożytek i przyjemność to byt wzruszeń”; spod sufitu zwieszają się warstwy zasłon, pośrodku zaś siedzi Budda, tak dostojny, jakby właśnie wyzbył się próżności, i tak łaskawy, jakby doskonalać obojętność, zdołał się właśnie wyzbyć wzruszeń, zatem troski tego marnego świata zostały wymazane, a czas zakrzepł.

Nawet nie dostrzegam chwili, w której milknie bęben. Stary mnich z dzwonkiem jest już na przedzie, ruch jego zapadłych ust wprawia w ruch jego zapadłe policzki, brwi też się poruszają. Po ostatnim uderzeniu dzwonu mnisi nie-śpiesznie zaczynają sutry. Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu, dziewięciu, dziesięciu... wszystkich dziewięćdziesięciu dziewięciu postępuje rzędem za pierwszym, okrążają Buddę stojącego pośrodku sali, kroczą ze śpiewem. Dołączam do nich, składam dłonie jak oni i śpiewam Namó Emituofó, lecz słyszę też wyraźnie inny dźwięk. Ilekroć sutra dobiegnie końca, zawsze rozlega się ów głos odrobinę wyższy od śpiewu. To sprawka wciąż nie ugaszonych namiętności wciąż udrećzonej duszy.

...Cóż jeszcze można powiedzieć, stojąc przed owym zwojem ze śnieżną sceną pędzla Gong Xiana! Jej spokój sprawia, że widz niemal słyszy, jak pada śnieg. Obraz, chociaż bezgłośny, wydaje się słyszalny.

...To scena ze snu.

...Drewniany most na rzece góruje nad czystym strumieniem i samotną chatą. Dostrzegasz ślady ludzkiego istnienia, a zarazem odczuwasz pełnię odosobnienia i spokoju.

...To unieruchomiony sen; w jego obrzeża ledwie widocznie wnika nieuchwytna ciemność.

...To mokry tusz, pędzel kładzie go ekstrawagancko, a jednak malarz potrafi urzeczywistnić zamysł artystyczny o takiej głębi. Forma to popis staranności, o klarowności jego obrazów przesądza wdzięk pociągnięć pędzla. To autentyczny artysta, nie zaś jeszcze jeden intelektualista, który sięga po pędzel.

...W mdłej elegancji malarstwa literatów często tkwią zamiast sztuki jakieś koncepcje, nie znoszą tej afektowanej pedanterii.

...Chodzi ci o to, że pędzlem i tuszem kieruje wystudiowana i wzniosła czystość, wyzbyta jednak naturalnej zmysłowości. Można się nauczyć interesującego prowadzenia pędzla, ale zmysłowość pojawia się tylko dzięki obcowaniu z życiem, dochodzi do głosu dzięki współżyciu z górami, rzekami, roślinami i drzewami. Cud krajobrazów Gong Xiana polega na rozbłyskach zmysłowości w jego malarskiej robocie. Nie można się nauczyć przekraczania granic aż po zapomnienie o własnym ja. Można podrobić Zheng Banajiao, ale nie Gong Xiana.

...Nie da się też naśladować Ba Da. Można kopiować jego patrzące wściekłym wzrokiem straszliwe ptaszory, ale bezgranicznej samotności jego kwiatów lotosu i kaczek już nie.

...Najlepsze dzieła Ba Da to pejzaże; niższej rangi są prace, w których okazuje pogardę wobec prostactwa i niezgodę na nie.

...W pogardzie wobec prostactwa ludzie dopatrują się wzniosłości i czystości. Nie pojmują, że wówczas owa wzniosłość i czystość nieuchronnie sama grzęźnie w prostactwie. Już lepiej być prostakiem jako takim, niż prostacko zwalczać prostactwo.

...Tacy ludzie zniszczyli Zheng Banajiao. Jak po ozdóbkę sięgali po jego wzniosłość i czystość ci, którzy nie umieli ziścić własnych ambicji; do upadłego malowali tych jego parę kawałków bambusa, aż wreszcie ich kupowanie stało się transakcją prostacką.

...Najgorsze jest to jego „Trudno udawać prostaczka”. Jeśli rzeczywiście chciał nim być, powinien po prostu iść przed siebie, nie oglądając się na nic, tylko co w tym trudnego? Ani mu się śniła prostackowatość; udawał naiwnego, bo chciał się okazać spryciarzem.

...To był geniusz tchórzliwy, Ba Da zaś szalony.

...Najpierw Ba Da udawał szaleństwo, potem rzeczywiście zwariował. Lecz za osiągnięciami artystycznymi Ba Da stoi jego prawdziwe szaleństwo, nie zaś udawane.

...Można też powiedzieć, że patrzył na świat parą dziwnych oczu, a widok świata przyprawił go o szaleństwo.

...Bądź można powiedzieć, że świat, który nie potrafi znieść rozumności, tylko dzięki szaleństwu może przybrać rozumny kształt.

...Podobnie zwariował na starość Xu Wei, zabił wówczas żonę.

...Albo powiedzmy lepiej, że żona go zabiła.

...Może to zabrzmie okrutnie, ale nie mógł znieść świata, więc nie miał wyboru oprócz szaleństwa.

...Natomiast Gong Xian nie zwariował, lecz przerósł świat. Ponieważ nie chciał walczyć ze światem, zdołał uchronić i zachować to, co wrodzone.

...Nie chciał się wydać na pastwę walki rozumu z naiwnością, wycofał się w odległy kąt i zanurzył w królestwie czystego snu.

...To jeszcze jedna forma samoobrony; stało się tak, kiedy pojął, że nie sposób walczyć ze światem, który oszalał.

...Nie walczył, nie racjonalizował, uchronił tylko całokształt jestestwa.

...Nie został pustelnikiem, nie nawrócił się na żadną religię, nie został buddystą ani taoistą. Żył z warzywnego poletka wielkości pół *mu* i z uczenia. Nie uważał, że wrzody są prostackie, nie gardził też tym, co proste. Wobec jego obrazów język jest bezradny.

...Jego obrazy nie powstawały dla pieniędzy, obraz po prostu wyrażał uczucia płynące z serca.

...Czy bylibyśmy do tego zdolni, ty i ja?
...On to osiągnął; jak w tym śnieżnym pejzażu.
...Zdołasz sprawdzić, czy zwój jest autentyczny?
...To takie ważne? Jeśli uważasz go za autentyczny, to jest autentyczny.
...A jeśli pomyśle, że nie jest?
...To nie jest.
...Innymi słowy, obaj uważamy, że widzieliśmy jego dzieło.
...Zatem to jest jego dzieło.

Spod góry Tiantai wyruszam do Shaoxing, gdzie warzy się piwo ryżowe. Miasteczko jest znane nie tylko dzięki piwu, wydało liczne sławy, wielkich polityków, pisarzy, malarzy i bohaterskie kobiety, a ich dawne domy zamieniono dziś na muzea. Nie żałując jaskrawych farb, odrestaurowano nawet miejscową świątynię zbóż, w której schronił się podczas nocnej burzy A Q, najnędrniejsza z postaci, jakie wyszły spod pióra Lu Xuna. W świątyni znajduje się pozioma tabliczka z napisem sporządzonym przez sławnego współczesnego kaligrafa. Tutejszy rozbójnik A Q nie mógł nawet przypuszczać, idąc na ścięcie, że po śmierci zostanie tak uhonorowany. Dochodzę do wniosku, że nawet pomniejszym postaciom miasteczka trudno było uniknąć zamordowania. A już rozumie się samo przez się, że bohaterska rewolucyjna męczennica Qiu Jin, przekonana, iż jej obowiązkiem jest zbawić jej rasę, skazana była od początku.

W jej dawnym domu wisi zdjęcie. Eleganckie brwi, błyszczące oczy, jakiś szlachetny rys; utalentowana córka wielkiej rodziny pisała piękne wiersze i prozę. Miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy związano ją, oprowadzono po ulicach i w biały dzień ścięto na rynku.

Lu Xun, ów literacki gigant swej epoki, wciąż był zbiegiem, nieustannie uciekał. Na szczęście przeniósł się do zagranicznej koncesji, w przeciwnym razie zabito by go na długo przed tym, zanim zabiła go choroba. W tym kraju chyba nigdzie nie było bezpiecznie. Wers z poezji Lu Xuna, „Przelewałem swą krew za Żółtego Cesarza”, recytowałem jako student, lecz teraz nie mogę się wyzbyć wątpliwości. Legenda mówi, że Żółty Cesarz był pierwszym władcą tego kraju, lecz jego imię może też oznaczać czyjaś ziemię rodzinną, rasę bądź przodków. Dlaczego jednak trzeba koniecznie krwi, żeby wynosić ducha przodków? Czy można osiągnąć wielkość poprzez przelanie cudzej gorącej krwi? Czyjaś głowa to czyjaś głowa; z jakiej to racji ma zostać odrąbana dla Żółtego Cesarza?

Bardziej przenikliwy wydaje mi się dwuwiersz Xu Weia: „Świat to złuda, fałsz stworzony przez innych, oryginalne i autentyczne jest to, co ja proponuję”. Jeżeli jednak świat jest fałszem i złudą, dlaczego tworzą go inni? Jego fałszywość czy niefałszywość niewiele ma do rzeczy; natomiast czy konieczna jest zgoda, żeby tworzyli go inni? A co do autentyczności: otóż nie ona jest problemem, lecz to, czy w ogóle można ją komuś proponować.

Jego Studio Zielonej Winorośli, głęboko ukryte w odległej uliczce, składa się z niewielkiego dziedzińca porośłego w kilku miejscach starym winem i z uchodzącej za budowlę oryginalną sali o dużych nieskazitelnie czystych oknach. Jednakże to zaciszne otoczenie doprowadzało go do szału. Możliwe, że ludzki świat nie nadaje się na miejsce zamieszkania ludzi, niemniej istotom ludzkim wciąż udaje się przetrwać. Człowiek wypatrujący ocalenia, który zarazem chce zachować autentyczność z chwili narodzin, może zostać zabity albo może oszaleć, chyba że zdecyduje się na ciągłe bycie zbiegiem.

Nie wytrzymuję dłużej w tym miasteczku i uciekam.

Góra Kuaiji za miastem to grobowiec Wielkiego Yu, pierwszego historycznego dynastycznego cesarza o udokumentowanej genealogii. Mniej więcej w dwudziestym pierwszym wieku przed Chrystusem zjednoczył kraj, a zgromadziwszy swych dowódców, wymieniwszy ich chwalebne osiągnięcia, nagroził ich.

U stóp wzgórz porośniętych sosnowym lasem przechodzę przez kamienny most na potoku Ruoye. Na placu przed miejscem spoczynku Wielkiego Yu suszy się niełuskany ryż, świeży drugi zbiór; właśnie skończyły się żniwa. Wciąż ciepłe słońce środka jesieni mile rozleniwia i usypia.

Za wrotami rozciąga się ogromny opustoszały dziedziniec. Mogę zaledwie próbować wyobrazić sobie, jak to było, że właśnie tutaj potomkowie ludu z Hemudu, który siedem tysięcy lat temu uprawiał tu pola ryżowe, hodował świnie, wypalał z gliny figury o ludzkich głowach i twarzach, wraz z potomkami ludu z Liangzhu, który pięć tysięcy lat temu rył wzory geometryczne i koliste symbole, a zarazem przodkami ludu z Baiyue, który za wzór totemów obrał ptaki, golił głowy i tatuował ciała, że wszyscy oni stawili się na wielkie zgromadzenie wojsk Wielkiego Yu. Podczas ceremonii zdarzyło się tak, że nieszczęsny olbrzym Fang Feng spóźnił się, na domiar złego zjawił się w konopnym płaszczu, z rzemieniami okręconymi wokół przegubów, wyglądając w sumie niechlujnie. Wielki Yu rozkazał sługom ściąć go.

Dwa tysiące lat temu zjawił się tutaj Sima Qian, żeby prowadzić badania, na podstawie których stworzył wielkie dzieło *Zapiski historyka*. Obraził cesarza i chociaż udało mu się zachować głowę, został wykastrowany.

Na dachu głównej sali, między dwoma zielonymi smokami znajduje się okrągłe zwierciadło, w którym oślepiająco lśni słońce. W mrocznej głównej sali z nowej rzeźby Wielkiego Yu tchnie uprzejmość; Wielki Yu wydaje się niemal pospolity. Jednak wymowa dziewięciu toporów bojowych za plecami posągu, symbolizujących poskromienie powodzi w dziewięciu królestwach, nieco przybliżyła do prawdy.

Jak świadczą *Kroniki państwa Shu*, Yu urodził się w Shiniu; pochodził z hrabstwa Guangrou w Wenshanie. Właśnie przyjechałem z tamtego regionu, obecnie zwanego Wenchuan, zamieszkanego przez Qiangów, zarazem matecznika pandy wielkiej. Yu przyszedł na świat z łona niedźwiedzicy, co można sprawdzić we wcześniejszym dziele *Księga gór i mórz*.

Sądzi się na ogół, że główne osiągnięcie, poskromienie powodzi, Yu zawdzięcza pogłębieniu Żółtej Rzeki, mam jednak zastrzeżenia wobec tej wersji. Moim zdaniem Yu wyruszył z górnego biegu rzeki Min (w dawnych czasach rzeka Min najznaczniej zasilała Yangzi, wzmianki o tym można znaleźć w *Księdze gór i mórz*), podążył następnie szlakiem Yangzi i przebył Trzy Przełomy. Popłynął na północ przez góry Jishi, naprzeciw na południu natarł na królestwo Gong-gong, a na wschodzie na góry Yunliang. Przez całą drogę toczył wojnę, aż po wschodnie wybrzeże Chin. W królestwie Qingqiu, gdzie wówczas stworzono siedmioogoniastego lisa jako symbol pomyślności, w okrytej bujną zielenią miejscowości Tushan, nazwanej później Kuaiji, napotkał uwodzicielską piękność Yaorao. Kiedy Yu wyjawiał w dniu ślubu swe niedźwiedzie pochodzenie, młodzianka dziewczyna wpadła w popłoch. Boski Wielki Yu, odchodząc z żądy od zmysłów, gonił ją, krzycząc: „Otwieraj!” Tak oto powoływano na świat pierwszego księcia, który miał odziedziczyć godność cesarza. Dla żony Yu był niedźwiedziem, dla zwykłych ludzi bogiem, dla historyków cesarzem, ludzie pióra zaś mogą go uznać za pierwszego, który zabił kogoś innego dla zaspokojenia ambicji. Co do legendy o powodziach, wyjaśnienia można poszukać w elementach pamięci prenatalnej oraz płynach owodniowych macicy. W krajach zamorskich nie brak ludzi podejmujących takie właśnie badania.

W grobowcu Yu są teraz godne wzmianki dzieła sztuki, lecz znawcy wciąż nie mogą rozszyfrować dziwnie kijankowatych znaków na kamiennym epitafium naprzeciw głównej sali. Spoglądam nań pod różnymi kątami, przez dłuższą chwilę rozmyślam i nagle przychodzi mi do głowy, że można to odczytać następująco: historia jest zagadką, można to także odczytać: historia to kłamstwa oraz odczytać: historia to nonsens ponadto odczytać: historia to przepowiednia następnie odczytać: historia to kwaśny owoc a także odczytać: historia dźwięczy jak stal i jeszcze odczytać: historia to kawałki ciasta lub też odczytać: historia to całun spowijający ciała a idąc dalej, odczytać: historia to środek napotny a idąc jeszcze dalej, odczytać: historia to duchy tłukące w ściany zarazem można odczytać: historia to antyki a nawet: historia to racjonalne myślenie lub nawet: historia to doświadczenie i nawet: historia to dowód i nawet: historia to taca rozrzuconych pereł i nawet: historia to sekwencja przyczyny i skutku lub jeszcze: historia to analogia lub: historia to stan serca i dalej: historia to historia i: historia jest absolutnie niczym nawet: historia to smutne westchnienia Och historio och historio och historio och historio Tak czy owak można tam rzeczywiście odczytać historia, a to już wielkie odkrycie!

- To nie jest powieść!

- Jeśli nie powieść, to co? - pyta.

- Powieść musi zawierać zamkniętą historię.

Mówi, że snuł już wiele opowieści, niektóre miały zakończenie, inne nie.

- To same fragmenty, niepokładane, autor nie miał pojęcia, jak skomponować pozbierane epizody.

- Czy w takim razie mogę zapytać, jak właściwie należy komponować powieść?

- Najpierw zwiastuny, potem prowadzenie do kulminacji, wreszcie konkluzja.

Elementarz pisania fabularnej prozy, powszechnie znany.

Pyta, czy można pisać prozę fabularną, nie podporządkowując się metodzie powszechnie znanej. Byłoby to coś w rodzaju historii z częstkami opowiedzianymi od początku do końca i częstkami opowiedzianymi od końca do początku, z częstkami, które mają początek, ale nie mają zakończenia, i innymi, które są tylko konkluzjami bądź fragmentami bez dalszego ciągu, z częstkami rozwiniętymi, ale nieukończonymi, z takimi, których nie sposób ukończyć, bądź takimi, które można pominąć, bądź innymi, których nie ma co ciągnąć, lub jeszcze innymi, o których nic więcej nie da się powiedzieć. A wszystkie te części winny być także uważane za opowieści.

- Bez względu na to, jak opowiesz historię, musi mieć bohatera. W długim dziele proza musi być kilka ważnych postaci, tymczasem w tym twoim utworze...

- Czyż ja, ty, ona i on nie są postaciami w tej książce? - pyta.

- To tylko różne zaimki, służące zmianom perspektywy narracji. Tym nie można zastąpić portretowania postaci. Gdyby nawet te twoje zaimki były postaciami, to brak im wyraźnych rysów, trudno je w ogóle określić.

Mówi, że nie maluje portretów.

- Słusznie, proza to nie malarstwo, lecz sztuka, której tworzywem jest język. Naprawdę sądzisz, że te drażniące wymiany zaimków mogą zastąpić stworzenie postaciom osobowości?

Mówi, że nie chce stwarzać postaciom osobowości, co więcej, nie wie, czy sam ma osobowość.

- Dlaczego piszesz prozę, skoro nawet nie rozumiesz, czym jest?

Wówczas grzecznie prosi o podanie definicji prozy.

Krytyk wydaje się przestraszony i warczy:

- To jest modernistyczne, naśladuje Zachód, lecz chyba.

Mówi, że to jest wschodnie.

- Na Wschodzie tym bardziej się tak nie robi! Zrzuciłeś na kupę notatki podróżne, tasiemce moralizatorskie, impresje, uwagi, zapiski, wyzbyte koncepcji dyskusje, niebaśniowe baśnie, parę przepisanych pieśni ludowych, dodałeś parę ucharakteryzowanych na legendy niedorzeczności własnego pomysłu i nazywasz to prozą!

Mówi, że indeks nazw geograficznych z Epoki Walczących Królestw, zapisy przypadków ludzkich i dziwnych wydarzeń z czasów Wczesniejszej i Późniejszej dynastii Han, dynastii Wei i Jin, z Epoki Dynastii Południowych i Północnych, romanse *chuanqi* z czasów dynastii Tang, egzemplarze teatralne z czasów dynastii Song i Yuan, epizodyczne powieści i literatura piękna z czasów dynastii Ming i Qing, a także teksty z różnych stuleci poświęcone geografii, naukom przyrodniczym, rozmowom ulicznym, przypowieści moralizujące i najróżniejsze świadectwa poświęcone osobliwościom, wszystko to zostało uznane za prozę. A nigdzie tam nie ma ustalonych wzorów.

- Jesteś ze szkoły szukania korzeni?

Spiesz ci powiedzieć, że łaskawy pan przyklepa mu etykietę. Tymczasem proza, którą pisze, po prostu jest, jaka jest, pisze bowiem dla własnej rozrywki, nie mogąc znieść samotności. Nie spodziewał się, że wpadnie w grzędawisko świata literackiego, teraz zaś próbuje się z niego wydostać. Nie pisał tych książek, żeby się najeść, dla niego proza jest luksusem, którego nie dosięga zarabianie pieniędzy na utrzymanie.

- Jesteś nihilistą!

Mówi, że nie wyznaje żadnej ideologii, fakt, natomiast tkwi w nim odrobina nihilizmu, z tym że nihilizm to co innego niż absolutna nicość. To tak, jak w książce, w której ty jest odbiciem ja, on jest tobą odwróconym plecami, cieniem cienia. I chociaż nie ma twarzy, to wciąż wymaga zaimka.

Krytyk wzrusza ramionami i odchodzi.

On zaś czuje zamęt, niepewny, co gra rozstrzygającą rolę w prozie. Narracja? Czy też tryb narracji? A może nie tryb narracji lecz postawa tkwiąca w narracji? A może nie postawa lecz zaakceptowanie tej postawy? A może to nie jest zaakceptowanie postawy lecz zaakceptowanie punktu wyjścia postawy? Może to nie jest ja lecz postrzeganie ja i świadomość ja? A może to nie jest ani postrzeganie ja ani świadomość ja lecz proces tego postrzegania i uświadamiania? Czy też nie jest to proces lecz akcja jako taka? A może nie akcja jako taka ale możliwość akcji? A może nie jest to możliwość akcji lecz wybór akcji? Może nie chodzi o to czy jest wybór czy nie lecz o konieczność wyboru? A może rzecz tkwi nie w konieczności ale w języku? A może nie w języku lecz w tym czy język jest interesujący? W każdym razie jego intryguje posługiwanie się językiem żeby mówić o kobietach o mężczyznach o miłości o seksie o życiu o śmierci o ekstazie o mękach duszy i ciała o ludzkim zatroskaniu o ludzi i politykę o ludziach uchylających się od polityki o niemożliwości uchylecia się od realiów o nierealistycznych wyobrażeniach o tym co bardziej realistyczne o tym że niezgoda na cele praktyczne to nie to samo co uznanie dla tej niezgody o nielogiczności logiki o racjonalnej refleksji dalece wykraczającej poza wiedzę w sporze między treścią a formą o przesyceniu znaczeniem obrazach i pozbawionej znaczenia treści o definicji znaczenia o każdym który chce być Bogiem o czczeniu bożków przez ateistów o samozachwycie pasowanym na filozofię o miłości własnej o obojętności wobec seksu przeistoczonej w megalomanię o schizofrenii o medytacji zen o medytacji nie zen o medytacji o tym że Droga pielęgnowania ciała nie jest Drogą o wyrażalności bądź niewyrażalności a jednak absolutnie koniecznej wyrażalności dao o modzie o tym że rewolucja antyprostacka to potężny smecz rakieta pingpongowa o fatalnym ciosie pałką i iluminacji buddyjskiej o dzieciach których nie wolno uczyć o tych którzy uczą zanim się nauczą o picciu do syta tuszu o szernieniu na skutek bliskości tuszu o tym co jest złego w szernieniu o dobrych ludziach o złych ludziach o tym że źli ludzie nie są ludźmi o tym że istoty ludzkie są z natury bardziej zajadłe od wilków o tym że najpodlejsi są inni a piekło w istocie tkwi w czymś własnym umyśle o sprowadzaniu na siebie lęków o nirwanie o spełnieniu o tym że w spełnieniu nic się nie spełnia o tym co dobre o tym co złe o stworzeniu struktur gramatycznych o tym że nie powiedzieć czegoś to nie to samo co nie powiedzieć nic o tym że rozstrzygającej dyskusji nie rozstrzyga się mówieniem o tym że nie ma zwycięzców w walkach między mężczyznami i kobietami o tym że ruchy figur w przód i w tył w grze w szachy powściągają emocje stanowiące podstawę ludzkiej natury o tym że istoty ludzkie muszą jeść o tym że śmierć z głodu to sprawa pomniejsza tymczasem utrata prawości to wydarzenie znacznej wagi czego nie można jednak zakwalifikować do prawd o zawodności doświadczenia które jest tylko protezą o upadku jeśli ktoś musi upaść o rewolucyjnej prozie która roznosi w puch zabobonną wiarę w literaturę o rewolucji w prozie o rewolucjonizowaniu prozy.

Czytanie tego rozdziału nie jest obowiązkowe lecz skoro przeczytaliście to przeczytaliście.

Przybywam do tego niewielkiego miasta na wybrzeżu Morza Wschodniochińskiego; wkrótce samotna kobieta w średnim wieku nalega, żebym zaszedł do niej na kolację. Zjawia się z tym zaproszeniem w mojej kwaterze i mówi, że przed wyjściem do pracy wybrała się na zakupy; przyniosła z myślą o mnie różne owoce morza: kraba, małże, nawet wspaniałego morskiego węgorza.

- Trafił pan do tego portu z bardzo daleka i musi pan skosztować morskiego jedzenia. Nie tylko trudno o nie w głębi łądu, nie zawsze można je dostać nawet w wielkich miastach nadmorskich. - Jest bardzo poważna.

Niezręcznie mi odmówić, więc powiadam do właściciela domu:

- Może wybierze się pan ze mną?

Dobrzeją zna. Mówi:

- To zaproszenie specjalnie dla pana. Nudzi ją samotne życie, chce z panem coś przedyskutować.

Z pewnością uknuli to między sobą, więc nie mam wyboru, wychodzę z nią przed dom. Doprowadza rower i mówi:

- To nie tak blisko, dojdzie potrwa, jeśli się pan dosiadzie, to pojedziemy we dwójkę, podwiozę.

Uliczką przechodzą ludzie, ja zaś nie jestem kaleką.

- Może to ja podwiozę, pani tylko podpowie którądy? -mówię.

Siada na bagażnikowym siodelku. Nie ma co, zwracamy na siebie uwagę, lawirując w tłumie, balansując, ja zaś nieustannie dzwonię.

Świetnie, kiedy kobieta zaprasza na kolację, ale jej najlepsze lata minęły. Ma ziemistą bladą cerę, wystające kości policzkowe, w sposobie mówienia czy wsiadania na rower brak jej kobiecego wdzięku. Ponuro pedałuję przed siebie i usiłuję znaleźć jakiś temat rozmowy.

Mówi, że jest kasjerką w fabryce. Nie jestem zaskoczony. Odpowiada za pieniądze. Już miałem z takimi do czynienia. Można powiedzieć, że każda bywa rozgarnięta, lecz nigdy nie zapłaci za nic ani fena więcej, niż musi. Rzecz jasna to nawyk wyniesiony z pracy, nie zaś kluczowa cecha kobiet.

Przed mieszkaniem - jednym z wielu wokół starego dziedzińca - stawia ów stary rower, który ledwie się mieści pod oknem. Na drzwiach wisi ogromna kłódka. Wchodzi się wprost do pokoiku, połowę miejsca zajmuje duże drewniane łóżko. Z boku kwadratowy stolik, zastawiony jedzeniem i pićm. Na ceglach na podłodze stoją dwa drewniane duże kufry, jeden na drugim; na wierzchu na szklanej płycie trochę kosmetyków. Przy wezgiłowiu łóżka sterta starych czasopism.

Widzi, że się rozglądam, i śpiesznie mówi:

- Bardzo przepraszam, straszny tu bałagan.

- Podobnie wygląda życie.

- W życiu jakoś sobie radzę, na nic nie wybrzydza. - Zapala światło, sadza mnie przy stole, podchodzi do pieca przy drzwiach nastawić garnek zupy, nalewa wódki i siada naprzeciwko. Z łokciami na stole, podparta, mówi: - Nie lubię mężczyzn.

Kiwam głową.

- Nie mam na myśli pana - wyjaśnia. - Mówię o mężczyznach w ogóle. Pan jest pisarzem.

Nie wiem, czy znów kiwnąć głową.

- Już dawno temu rozwiodłam się i żyję sama.

- Nielatwa sprawa. - Daję do zrozumienia, że życie jest ciężkie, a dotyczy to każdego.

- Miałam przyjaciółkę; blisko zaprzyjaźniłyśmy się już w podstawówce.

Dociera do mnie, że jest zapewne lesbijką.

- Już nie żyje.

Nic nie mówię.

- Po to zaprosiłam tu pana, żeby opowiedzieć jej historię. Była bardzo piękną dziewczyną. Spodobałaby się panu na zdjęciu; kto ją zobaczył, musiał się zakochać. Nie była zwykłą sobie pięknoscia, ale pięknoscia nadzwyczajną - twarz o wykroju pestki melona, drobne wiśniowe usta, brwi jak liść wierzby, krystalicznie czyste, wielkie migdałowe oczy. No i miała figurę tych klasycznych piękności opisywanych w dawnych powieściach. Dlaczego to opowiadam? Bo tak się składa, niestety, że nie zdołałam zachować ani jednego zdjęcia. Po jej

śmierci zjawiała się jej matka i wszystko zabrała; nie byłam wówczas przygotowana na coś takiego. Niech pan pije!

Nalala też sobie, a sposób picia zaraz zdradza, że nie brak jej wprawy w tej mierze. Na ścianach nie ma zdjęć, nie ma obrazów, nie widzę kwiatów ani ulubionych kobiecych zwierzątek. Karze sama siebie, a większość pieniędzy zapewne zamienia na coś, co potem z kubka trafia do gardła.

- Proszę, żeby opisał pan jej życie w jakimś utworze. Wszystko o niej opowiem, pan ma taki dobry styl. Proza...

- ...To byt stworzony z niczego - mówię z uśmiechem. - Nie chcę, żeby pan coś wymyślał, może pan użyć jej prawdziwego imienia i nazwiska. Nie stać mnie na pisarza, nie zdołam zapłacić za manuskrypt. Chętnie bym zapłaciła, gdybym miała pieniądze. Szukam u pana pomocy, proszę, żeby pan coś o niej napisał.

- To jest... - Prezę się, prostuję, chcę pokazać, że doceniam jej gościnność.

- Nie staram się pana przekupić. Jeśli pan uzna, że tę dziewczynę niesprawiedliwie pokarał los, że zasługuje na współczucie, może pan o niej napisze. Szkoda, że nie może pan zobaczyć zdjęcia. - Patrzy pustym wzrokiem. Sprawa zmarłej dziewczyny najwyraźniej ją przygniata. - Urodziłam się brzydka, więc podziwiałam zawsze dziewczęta ładne, chciałam się z nimi przyjaźnić. Nie chodziła do tej samej szkoły, lecz zawsze wpadałam na nią w drodze do szkoły czy z powrotem do domu, były to jednak zawsze spotkania przelotne. Widok tej owalnej twarzy wzruszał nie tylko mężczyzn, lecz i kobiety. Chciałam ją poznać bliżej. Widziałam, że zawsze jest sama, więc pewnego dnia w drodze ze szkoły poczekałam, poszłam za nią, powiedziałam, że chciałabym porozmawiać, i zapytałam, czy nie ma nic przeciwko temu. Zgodziła się, dalej poszliśmy razem. Później, idąc do szkoły, zawsze czekałam w pobliżu jej domu; poznałyśmy się w ten sposób. Niech pan się nie krępuje, wypijmy!

Podaje duszonego węgorka, zupa jest pyszna. Jem i słucham, jak zadomowiła się u dziewczyny. Matka traktowała ją jak córkę, często zostawała tam na noc i wówczas spały z dziewczyną w jednym łóżku.

- Niech pan nie myśli, że działo się coś takiego. O sprawach seksualnych dowiedziałam się potem, kiedy już skazano ją na dziesięć lat. Doszło między nami do wielkiej kłótni, zażądała, żebym przestała do niej przychodzić. Potem znalazłam sobie po prostu mężczyznę i wyszłam za niego. A z nią łączyło mnie najczystsze z uczuć, jakie się przytrafiają dziewczętom. Wy, mężczyźni, nie potraficie tego zrozumieć, miłość mężczyzny do kobiety to coś zwierzęcego. Nie mówię o panu, pan jest pisarzem. Niech pan zje trochę kraba! - Rozrywa na kawałki kraba marynowanego na surowo, w soli z przyprawami, nakłada; krab ma ostry zapach. Są też gotowane małże w zimnym sosie. To jeszcze jedna odmiana bitwy między mężczyznami i kobietami, bitwa między duchem i ciałem.

Ojciec przyjaciółki był oficerem Guomindangu, a kiedy na południe dotarła Armia Ludowo-Wyzwoleńcza, matka była w ciąży, właśnie nosiła tę przyjaciółkę. Ojciec dał znać, lecz kiedy matka pomknęła na przystań, statek z wojskiem już wyszedł w morze. Znowu jedna z tych starych historii. Przestaje mnie obchodzić przyjaciółka, zaprzęta mnie jedzenie kraba. Po prostu.

- Którejś nocy, kiedy byliśmy razem w łóżku, objęła mnie mocno i rozplakała się. Przestraszona, zapytałam, co się stało. Powiedziała, że tęskni za ojcem.

- Przecież nigdy go nie widziała.

- Matka spaliła wszystkie jego zdjęcia w mundurze, miały jednak fotografie ślubne, matka w długiej białej tiulowej sukni, ojciec w garniturze skrojonym po zachodniemu, wyglądał bardzo sztywnie. Robiłam, co mogłam, żeby ją uspokoić, naprawdę było mi jej żal. Potem objęłam ją mocno i rozszlochałam się razem z nią.

- Nietrudno zrozumieć.

- Dobrze by było, gdyby tak wszyscy myśleli. Lecz ludzie nie rozumieli, uznali ją za kontrewolucjonistkę, mówili, że liczy na powrót reakcji i chce uciec na Tajwan.

- Polityka była wówczas inna, nie to, co dziś. Teraz zmieniło się, namawia się ludzi, żeby wracali na kontynent w rodzinne strony i odwiedzali krewnych. - Cóż innego mogę powiedzieć?

- Była młoda, mimo że chodziła już do gimnazjum, nic z tego nie mogła pojąć. Napisała w pamiętniku, że tęskni za ojcem!

- Jeśli ktoś to zobaczył i doniósł, wyrok był nieunikniony - mówię. Ciekawi mnie, co się zmieniło, kiedy zauroczenie dziewczyny ojcem zmieszało się z miłością lesbijską.

Zaczyna opowiadać, jak dziewczyna, nie mogąc z powodu pochodzenia dostać się na uniwersytet, została jednak wybrana do zespołu opery pekińskiej, przyuczać się, i nagle stała się wielką rewelacją, kiedy czołowa artystka zachorowała, a dziewczynie przypadło nagle zastępstwo; jak podczas występów w objeździe zazdrosna czołowa artystka przeczytała ukradkiem pamiętnik dziewczyny i doniosła, jak po powrocie zespołu z występów funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego zabrali matkę dziewczyny na przesłuchanie i zażądali, żeby zmusiła córkę do przyznania się i oddania pamiętnika, jak dziewczyna, w obawie, że funkcjonariusze bezpieczeństwa przetrzasną dom, zaniosiła pamiętnik mojej dzisiejszej gospodyni, swej przyjaciółce. Lecz ona też się bała, że ludzie z bezpieczeństwa przyjdą i zrobią w domu rewizję, więc dziewczyna zabrała pamiętnik i zaniosiła do wuja. W śledztwie matka zeznała, że córka chodziła tylko do domu przyjaciółki i do domu wuja. Wezwano więc wuja, a ten, lękając się, że zostanie zamieszany, oddał pamiętnik. Wówczas oficerowie bezpieczeństwa zajęli się dziewczyną; rzecz jasna, była przerażona i do wszystkiego się przyznała. Najpierw zatrzymano ją w zespole operowym, nie zezwalając na powrót do domu, potem postawiono w stan oskarżenia, pod zarzutem pisania reakcyjnego pamiętnika, nieodpowiedzialnego planowania akcji kontrrewolucyjnych, służących przywróceniu reakcji. Aresztowano ją, a potem wsadzono do więzienia.

- Mówi pani, że wszyscy na nią donieśli, wszyscy ją wydali, nawet matka i wuj? - Krab jest za ostry. Nie mogę już jeść i odstawiam miskę. Do palców lepi mi się mięso, nie mam w co wytrzeć rąk.

- Napisaliśmy zeznania, które ją pogrążyły, i przypieczętowali odciskiem kciuka. Wuj, znacznie starszy, był tak wystraszony, że nawet nie odważył się ze mną spotkać. Jej matka upierała się, że to ja sprowadziłam córkę na manowce, że to ja zaszczerpiłam jej reakcyjne idee, i odtąd zabroniła mi wstępu do domu!

- Jak umarła? - Obawiam się, że zgaśnie, czym się skończyło.

- Niech pan słucha, co mówię... - Chce się chyba usprawiedliwić.

Nie oceniam. Gdyby to wówczas przytrafiło się mnie, nie wiem, czy zachowałbym się lepiej. Jako dziecko widziałem, jak matka wyciągnęła z dna babcinego kufra zwój aktów własności pól i spaliła w piecu, na co patrzyłem jak na niszczenie dowodów przestępstwa. Na szczęście nikt nie przyszedł i nie wszczął śledztwa. Gdyby jednak objęto mnie takim dochodzeniem, niewątpliwie zadenuncjowałbym babkę, która kupiła mi baka, i matkę, która mnie wychowała. Tak przedstawiały się sprawy w owych czasach.

Brzydzi mnie nie tylko ostry zapach marynowanego kraba, brzydzę się także sobą. Nie mogę już nic jeść, tylko piję.

Nagle zaczyna łkać, zasłania twarz rękami, potem głośno zawodzi.

Nie mogę jej uspokoić, ręce oblepia mi krabia ikra, więc pytam:

- Mogę wziąć ręcznik?

Wskazuje miednicę z czystą wodą, na półce za drzwiami. Myję ręce, a ona przestaje płakać, kiedy podaję jej przepłukany ręcznik. Mam dość tej brzydkiej kobiety, nie czuję do niej sympatii.

Mówi, że miała wówczas w głowie tylko zamęt. Po roku zaczęła stopniowo dochodzić do siebie i badać, co się dzieje z dziewczyną; nakupowała mnóstwo rzeczy dojedzenia i pojechała na widzenie; dziewczyna dostała dziesięć lat i ani myślała się z nią zobaczyć. Przyjęła paczki dopiero wtedy, kiedy moja rozmówczyni przyrzekła, że nie wyjdzie za mąż, będzie pracować na utrzymanie ich obu, kiedy dziewczyna odsiedzi już wyrok.

Mówi, że dni, w których odwiedzała w więzieniu przyjaciółkę, były najszcześniejszymi w jej życiu. Wymieniały pamiętniki, mówiły do siebie czule jak siostry, przysięgły nigdy nie wychodzić za mąż, zawsze być razem. Kto będzie mężem? Kto żoną? Oczywiście dziewczyna będzie żoną. Będą się w łóżku laskotać i zaśmiewać do rozpuku, bez końca. Była szczęśliwa, słysząc śmiech przyjaciółki. Wołę jednak wyobrazić ją sobie z najgorszej strony.

- Więc dlaczego wyszła pani za mąż? - pytam.

- To ona zmieniła się pierwsza. Przyszłam pewnego razu na widzenie, ona zaś miała spuchniętą twarz, była wobec mnie lodowata. Zaczęłam ją wypytywać, zaskoczona. Punktualnie pod koniec widzenia, a było to zawsze dwadzieścia minut, za każdym razem, kazała mi wyjść za mąż i więcej nie wracać. Zaczęłam nalegać, przyciskać, a wtedy powiedziała, że kogoś ma. Zapytałam, kogo, na co odrzekła, że kogoś w więzieniu! Już jej nie zobaczyłam. Napisalam stertę listów, lecz pozostały bez odpowiedzi. A później wyszłam za mąż.

Chcę powiedzieć, że wyrządziła tamtej krzywdę, że trudno się dziwić nienawiści matki, bo gdyby tamta dziewczyna kochała zwyczajnie, zwyczajnie wyszła za męża i urodziła dzieci, nie skończyłaby w ten sposób.

- Ma pani dzieci? - pytam.

- Nie chciałam żadnych dzieci.

Niegodziwa kobieta.

- Odeszłam od niego po niespełna roku, potem sprzeczaaliśmy się jeszcze jakiś rok, wreszcie wzięliśmy rozwód. Od tej pory żyję sama. Nienawidzę mężczyzn.

- Jak umarła? - zmieniam temat.

- Słyszałam, że próbowała uciec i zastrzelili ją strażnicy.

Nie chcę już więcej słuchać, po prostu chcę, żeby szybko skończyła.

- Może odgrzeje zupę? - Patrzy na mnie zaniepokojona.

- Proszę sobie nie robić kłopotu. - Nie powinna mnie tu ścigać, żeby odreagowywać swoje problemy, a to jedzenie teraz mnie brzydzi.

Opowiada też, jak wszelkimi sposobami próbowała odszukać współwięźniarkę, którą zwolniono po odsiedzeniu kary, dowiedziała się też, że przyjaciółkę przyłapano na przesyłaniu grypsów do więźnia, mężczyzny, za co pozbawiono ją spacerów i prawa do widzeń. Próbowała też uciec, ale wówczas była już bliska obłądu, często potrafiła się śmiać lub płakać bez widocznego powodu. Mówi, że w końcu znalazła adres owego więźnia, który też już wyszedł. Zjawiła się u niego, w domu była kobieta; kiedy spytała o losy dziewczyny, wówczas on - może bał się zazdrosnej żony, może chciał być bezwzględny - powiedział, że nic nie wie. Nie wymienili nawet dziesięciu zdań; odeszła wściekła.

- Czy może pan to opisać? - pyta, schyliwszy głowę.

- Zobaczę! - mówię w końcu.

Chce mnie odprowadzić lub podwieźć rowerem, ale stanowczo odmawiam. Po drodze czuję podmuchy wiatru znad morza, zanoszą się na deszcz. Wracam na kwaterę późnym wieczorem, a tam dopadają mnie wymioty i biegunka. Mam wrażenie, że owoce morza nie były pierwszej świeżości.

Mówią, że nocą na brzegu morza zawsze słychać dziwną muzykę dolatującą z tej góry, dzwony i bębny; to taoiści odprawiają potajemne obrzędy, kapłani i mnisi. On i ona zobaczyli je przypadkiem; a opowiedzieli zaraz po powrocie. Lecz jeśli ludzie wybiorą się na tę górę za dnia, chcąc obejrzeć taoistyczną świątynię, nie umieją jej odnaleźć. Oboje pamiętają, że była na urwisku opadającym w morze. On mówi, że niemal na szczycie. Ona poprawia, po opadającym w morze urwisku pnie się ścieżynka, owszem, ale świątynia jest mniej więcej w połowie wysokości góry.

Oboje mówią, że to piękna świątynia, wbudowana w rozpadlinę urwiska, jedyne dojście to ta wąska górską ścieżka; świątyni nie mogą dostrzec ani rybacy z łodzi na morzu, ani ludzie wdrapujący się na urwisko w poszukiwaniu ziół leczniczych. Im zdarzyło się to podczas nocnej wędrówki, poszli za brzmieniem muzyki i natknęli się na taoistyczne obrzędy. Nagle zobaczyli rzęsiście oświetloną świątynię o szeroko otwartych wrotach i kłęby kadzidlanego dymu.

On widział około stu kobiet i mężczyzn; mieli pomalowane twarze, ubrani w taoistyczne długie szaty nieśli noże i zapalone pochodnie, śpiewali i tańczyli z półprzymkniętymi oczami, zawodzili, a po twarzach spływały im strumienie łez. Kiedy już wpadli w trans, w ekstazę, kiedy już ogarnęła ich histeria, mężczyźni przemieszali się z kobietami, wszyscy przytupywali, odrzuciwszy w tył głowy.

Ona mówi, że kiedy tam trafiła, nie widziała aż tylu uczestników; nie było ani jednego mężczyzny, lecz jaskrawo poubierane dziewczęta i stare kobiety. Miały róż na twarzach, krwście pomalowane wargi, brwi poczerńnię węglem drzewnym. Włosy zaczesane w kok przewiązały czerwoną wstążką i przybrały wiankami jaśminu. Niektóre z miedzianymi kolczykami w uszach; nie pamięta, czy miały kolczyki w nosie. Śpiewały, tańczyły, machały rękami. Była to scena pełna życia, przy wtórze kilku niezwykłych śpiewów.

Pytasz, czy może to się jej przyśniło. Mówi, że była z koleżanką szkolną; wybrały się w góry na cały dzień, zgubiły się, w powrotnej drodze dopadł je zmierzch. Słyszac muzykę, podeszły po ciemku w tę stronę, a wówczas trafiły na tę scenę. Taoistkom nie przeszkadzała ich obecność, wrota świątyni były szeroko otwarte.

On mówi, że z nim było podobnie, wyjąwszy jedno: siedł sam. Niegdyś bez obaw wędrował nocą górkimi drogami. Owszem, strzegł się złych ludzi, ale ci taoiści odprawiali tylko obrzędy, nie zamierzali nikomu robić krzywdy.

Oboje mówią, że widzieli to na własne oczy, w przeciwnym razie nie uwierzyliby. Oboje z wyższym wykształceniem, zdrowi na umyśle, nie wierzą w duchy ani zjawy. Gdyby mieli halucynacje, wiedzieliby o tym.

Wcześniej nie znali się; opowiadają na zmianę, raz jedno, raz drugie. W obu wypadkach, mówią, było to na tej nadmorskiej górze. Widzisz ich wprawdzie po raz pierwszy, lecz jest tak, jakbyście byli starymi przyjaciółmi, mówią z tobą zupełnie szczerze. Nie ma tu walki o korzyść, więc nie trzeba mieć się na baczności, żadna ze stron nie przechwala się ani nie krytykuje, nie mają powodu wabić cię w pułapkę. Dużo myśleli o swej przygodzie; to doświadczenie zastanawia ich, ale nie brzydzi, nie widzą też w nim nic śmiesznego.

Mówią, że skoro w poszukiwaniu niezwykłości przeszedłeś taki szmat drogi, aż po tutejsze wybrzeże, to nie na próżno. Chętnie wybraliby się z tobą; boją się jednak, że kiedy pójda celowo, nie wiadomo, czy cokolwiek znajdą. Na tego rodzaju rzeczy natrafiasz, kiedy ich nie szukasz, jeśli zaś wybierasz się specjalnie, twe wysiłki mogą spełznąć na niczym. Kiedy zobaczyli to na własne oczy, w blasku czerwonych świateł, możesz wierzyć lub nie, zaraz opadło z nich zmęczenie. Mogą przysiąc. Jeśli to cię przekona, mogą przysiąc natychmiast, ale przysięga żadną miarą nie zastąpi tego, że sam tam pójdziesz. W jedno nie możesz wątpić: w ich szczerść.

Wchodzisz na szczyt jeszcze za dnia. Siadasz i patrzysz, jak rzedną promienie ogniście czerwonego słońca, które wreszcie tonie na skraju ogromnego morskiego widnokregu. Tknawszy powierzchnię wód, odbija się jeszcze, a potem, drżące, zapada w wodny przestwór, który nabiera szarobłękitnego odcienia. Złociste rozbłyski wiją się jak wodne węże, a półokrągła jaskrawoczerwona ścięta u podstawy korona unosi się na czarnych wodach, przemienia w podobny do kapelusza owal, kilkakrotnie unosi się i zapada, wreszcie zostaje pochłonięta przez ogrom morza, pozostawiając po sobie tylko czerwoną mgiełkę.

Zaczynasz schodzić z tej góry, lecz szybko dogania cię zmiersch. Podnosisz jakąś gałąź, żeby służyła za kij; schodząc stromą ścieżką, stopień po stopniu sprawdzasz tknięciem kija. Wkrótce zanurzasz się w ciemnej dolinie, skąd nie możesz już dostrzec ani morza, ani drogi.

Lgniesz do stoku, do urwiska porośniętego karłowatymi drzewami i krzakami, pchany obawą, że stracisz grunt pod nogami i runiesz w otchłań po drugiej stronie ścieżki. Nogi stają się coraz bardziej galaretowate, odtąd raczej polegasz na kiju, którym próbujesz wymacać drogę. Nie wiesz, czy następny stopień jest bezpieczny, wydaje ci się, że ta mglista ciemność wylewa się wprost z głębin twego serca. Tracisz już zaufanie do kija i przypominasz sobie o zapalniczce w kieszeni. Jeżeli nie pomoże ci trafić na tę równą główną ścieżkę, to przynajmniej oświetli jakiś kawałek drogi, ale od iskier zapala się tylko płomyczek migocący tak gwałtownie, jakby trząsł się ze strachu, ty zaś musisz osłaniać go dłonią od wiatru. O krok przed tobą wylania się jakaś inna czarna ściana, podejrzewasz, że cię wabi, zachęca do kolejnego kroku, tym razem prowadzącego w otchłań. W podmuchu zimnego wiatru gaśnie płomyk, ty zaś jak ślepiec, zdany jedynie na kij, raz po raz opukujesz grunt wokół siebie i drżysz ze strachu, suwając nogami po ścieżce.

Jakimś cudem trafiłeś na zakłęśnięcie w tej górze, podobne do pieczary; widzisz przyćmione światło, jakby przez szparę w drzwiach. Podchodzisz bliżej do tego czegoś, napierasz, ale jest zaryglowane. Przykładasz oko do szpary i widzisz pustą salę, samotną lampę, jej płomień rozprasza mroki wokół posągów Trzech Najwyższych Czystości, Daode, Yuan-shi i Lingbao.

- Co tu robisz? - woła ktoś z tyłu surowym tonem.

Płoszy cię, lecz jest to głos ludzki, więc czujesz ulgę. Mówisz, że jesteś turystą, zgubiłeś drogę w ciemności i musisz gdzieś zanoć.

Bez słowa prowadzi cię drewnianymi schodami do pomieszczenia oświetlonego oliwną lampą. Dopiero wówczas widzisz, że nosi długą szatę taoisty i spodnie o nogawkach przewiązanych w łydce. Z głęboko osadzonych oczu promieniuje energia, to z pewnością stary mistrz. Nie śmiesz się przyznać, że przyszedłeś podpatrzeć tajemnice taoistycznej świątyni, raz po raz usprawiedliwiasz się, nie chciałeś zakłócać spokoju, prosisz usilnie, żebyś mógł zostać na noc, i obiecujesz odejść o świcie.

Waha się chwilę, lecz potem ze ściany zbitej z bali zdejmuje pęk kluczy i zabiera lampę. Posłusznie podążasz za nim innym biegiem schodów. Otwiera pomieszczenie i schodzi bez słowa na dół.

Sięgasz po zapalniczkę, widzisz tu tylko gołą drewnianą pryczę i nic więcej. Kładziesz się więc w ubraniu, zwijasz w kłębek i ani myślisz czegoś jeszcze próbować. Później słyszysz przez strop kołatanie dzwonu. Dobia też stłumiony głos towarzyszący kołataniu, chyba śpiewa kobieta. To niespodzianka, zaczynasz się zastanawiać; może to jakiś dziwny obrzęd, jeden z tych, o których ci opowiadano. Myślisz, że na górze odprawiają jakiś tajemny rytuał. Chciałbyś tam trafić, lecz w końcu nie ruszasz się z miejsca. Dźwięki koja, wprawiają w senność, w mroku usilnie dobiera się do ciebie zmęczenie. Wydaje ci się, że widzisz plecy dziewczyny o włosach zaczesanych w kok. Siedzi statecznie na skrzyżowanych nogach i bije w dzwon. Delikatny dźwięk rozchodzi się falami jak światło, trudno, w tej chwili wierzysz w przeznaczenie i los, modlisz się o to, żeby w podziemiu twa dusza cieszyła się spokojem...

Nad ranem robi się jasno i wchodzisz po schodach na wyższe piętro. Szeroko otwarte drzwi. Pusta sala, żadnych stołów z kadzidłami, żadnych zasłon, posągów. Pośrodku ściany wisi tylko wielkie lustro. Odbija się w nim wejście do pieczary z przegradzającą je poręczą. Podchodzisz do lustra i widzisz pasmo błękitnego nieba, na jego widok stajesz oniemiały.

W drodze na dół słyszysz łkanie, a za zakrętem widzisz nagie dziecko siedzące na środku ścieżki. Chłopiec łka niepowstrzymanie, już chrypcie, najwyraźniej zmęczony, pewnie tak płacze od dłuższego czasu.

Podchodzisz do dziecka, nachylasz się i pytasz:

- Jesteś sam?

Widząc, że ktoś nadchodzi, dzieciak zaczyna płakać jeszcze głośniejsze. Obejmujesz drobne ramiona, stawiasz go na nogi, strzepujesz ziemię z gołych pośladków.

- Gdzie dorośli z twojej rodziny?

Im więcej pytań, tym głośniejsze płacze; wokół nie widać żadnych wiosek.

- Gdzie są rodzice?

Kręci głową, patrzy na ciebie oczami pełnymi łez.

- Gdzie mieszkasz?

Wciąż zawodzi, odyma małe usta.

- Drzyj się, drzyj, zobaczysz, że nawet na ciebie nie spojrzę! - grozisz.
To działa, płacz milknie, jak ucięty nożem.

-Skąd jesteś?

Nic nie mówi.

- Jesteś tu sam?

Patrzy niemo.

- Może coś powiesz? - Przybierasz groźny wygląd.

Dzieciak natychmiast znów zaczyna płakać.

- Przestań się drzeć! - uciszasz go.

Otwiera małe usta, chce dalej płakać, lecz nie śmie.

- Jeżeli znów się rozryczysz, spiorę ci tyłek!

Jakoś udaje mu się powstrzymać płacz, ty zaś podnosisz go i bierzesz na rękę.

- Gdzie chcesz iść, mały kolego? No mów!

Instynktownie tuli ci się do szyi.

- Czy ty w ogóle umiesz mówić?

Wpatruje się w ciebie, niemy; wycierał łzy brudnymi rękami, na twarzy pozostały smugi błota. Nie wiesz, co począć. Pewnie to dzieciak chłopskiej rodziny z pobliza, rodzice powinni go lepiej pilnować. To jakiś nonsens.

Niesiesz go kawałek, lecz wciąż nie widzisz ani śladu domów. Drętwieją ci ramiona, w ten sposób na pewno nie zdołasz z tym niemym dzieckiem zejść z góry. Poruszasz więc sprawę:

- Co ty na to, że zsiądziesz i pójdziesz przez chwilę sam?

Kręci głową, wygląda żałośnie.

Przymuszasz się do marszu, lecz w dolinie wciąż nie widać ni śladu domostw, ni dymu z komina. Zastanawiasz się, czy chłopca zostawiono na górskiej drodze. Musisz go zabrać z powrotem tam, gdzie znalazłeś, jeśli nikt go nie zabierze, rodzice po niego wrócą.

- Złaz, mały, przejdź się trochę, już nie czuję rąk.

Klepiasz go po siedzeniu, tymczasem dzieciak po prostu śpi. Widocznie długo już tkwił na tej górskiej drodze, ludzie, który go zostawili, muszą być bez serca. Zaczynasz przeklinać rodziców, za których sprawą przyszedł na świat. Jeżeli nie potrafią się nim zająć, to po co im dziecko?!

Patrzysz na tę twarzyczkę, na której zaschły brud i łzy. Śpi mocno. Jest taki ufny, pewnie nigdy nie okazano mu tyle uczucia. Przez grubą warstwę chmur przedziera się słońce, twarz dziecka jaśnieje. Brwi drgają, chłopak porusza się, wtula twarz w twoją pierś.

Czujesz, jak w głębi serca gwałtownie wzbiera ciepło, uświadamiasz sobie, że takiego wybuchu czułości nie doświadczyłeś od dawna. Odkrywasz, że wciąż bardzo lubisz dzieci, że już dawno temu powinienes mieć syna. Patrzysz na niego i zaczynasz myśleć, że jest do ciebie podobny. A więc, szukając przyjemności, przypadkiem dałeś mu życie? A potem nie zadbałeś o niego i porzuciłeś? I nigdy nawet nie pomyślałeś o nim? Kogóż to przeklinałeś? Samego siebie!

Boisz się; boisz się, że się zbudzi, boisz się, że może mówić, boisz się, że zrozumie. Na szczęście jest niemy, na szczęście śpi i nie jest świadomy swego pecha. Póki śpi, musisz położyć go z powrotem na górskiej drodze i uciec, zanim ktokolwiek to odkryje.

Odnosisz go na górską drogę, tam, gdzie znalazłeś. Zwija się w kłębek, podkurcza nóżki, chowa głowę w ramionach. Pewnie już czuje chłód ziemi i wkrótce się obudzi. Uciekasz, w biały dzień, jak ścigany przestępca. Wydaje ci się, że słyszysz za sobą łkanie, lecz nie śmiesz się obejrzeć.

Przejeżdżam przez Szanghaj. W długiej kolejce przed kasą udaje mi się załatwić miejsce w superekspresie do Pekinu; ktoś zwrócił bilet i oto w ciągu mniej więcej godziny siedzę w pociągu - istny uśmiech losu. Już mnie nie obchodzi ta ogromna metropolia, zamieszkaana łącznie przez dziesięć milionów. Kuzyn ojca, którego chętnie tu odwiedzałem, zmarł jeszcze wcześniej niż ojciec; żadnemu nie było dane dożyć czcigodnej starości.

Z przepływającej przez miasto czarnej rzeki Wusong nieprzerwanie bucha odór. Ryby i żółwie już wyginęły, mieszkańcom jakoś udaje się przeżyć. Nawet ta uzdatniana woda z kranów ma słonawy smak i co gorsza, zawsze cuchnie chlorem. Wygląda na to, że ludzie są odporniejsi od ryb i krewetek.

Byłem u ujścia Yangzi. Prócz frachtowców z nierdzewnej stali przemierzających pofalowany żółty i mętny przestwór są tam tylko grząskie brzegi, porośnięte trzciniami, obmywane przez te same żółte i mętne wody. Osadu wciąż przybywa; pewnego dnia całe Morze Wschodniochińskie wyprą ławice piachu.

Z dzieciństwa przypominam sobie wody Yangzi, zawsze tak samo czyste, w dzień słoneczny czy w deszcz. Wzdłuż brzegów od świtu do nocy sprzedawcy ryb wykładali okazy wielkości dziecka i sprzedawali w dzwonach. Odwiedziłem wiele portów nad Yangzi, lecz nigdzie już nie ma ryb o tych wymiarach, ba, trudno nawet o rybny stragan. Widziałem parę tylko w Wanxian, u wylotu Trzech Przełomów, na stopniach trzydziesto-, a nawet czterdziestometrowych kamiennych nabrzeży, lecz ryby w koszach miały po paręnaście centymetrów, a z upływem czasu nadawały się tylko na kocią karmę. Stawałem w tamtych czasach na przystani i przyglądałem się ludziom zarzucającym z pontonów przynęty na wędkach z kołowrotkiem. Wylanianie się ryby z wody urzekało; to była prawdziwa walka między rybą a człowiekiem. Dzisiaj ponad dziesięć tysięcy ludzi obmyśla różne strategie oczyszczenia tej rzeki. Objaśniający różne rzeczy urzędnik ministerialnego departamentu powiedział mi cichcem, już po wyjściu zwierzchników, że ponad sto gatunków słodkowodnych rzecznych ryb znalazło się na granicy wyćpienia.

W Wanxian, na zacumowanym na noc stateczku, gawędziłem z palącym papierosa kapitanem, jak ja zapatrzonym w nabrzeżne światła. Powiedział, że w czasach rewolucji kulturalnej, ukryty w kabinie, był świadkiem straszliwej masakry; rzecz jasna zabijano ludzi, nie ryby. Wiązano drutem w przegubach po trzech i spychano do rzeki, prując z karabinu maszynowego; wystarczyło, że dostał jeden, wpadali wszyscy. Byli jak ryby na haczyku, szamotali się przez chwilę, wierzgali, walczyli, a potem spływali z prądem jak martwe psy. Dziwna rzecz, im więcej zabija się ludzi, tym jest ich więcej, tymczasem jeśli chodzi o ryby, to im więcej się ich złowi, tym ich mniej. Może byłoby lepiej odwrotnie?

Ryby i ludzi jednak coś łączy. Skończono z wielkimi rybami i z wielkimi ludźmi, widocznie ten świat nie jest dla nich przeznaczony.

Myślę, że ów kuzyn ojca, mój daleki stryj, był może ostatnim z wielkich ludzi. Nie myślę tu o znakomitościach. Takich jest dzisiaj pod dostatkiem w każdej chwili, póki organizuje się uroczyście i wydaje bankiety. Za wielkich ludzi uważam tych, których podziwiam. Stryjowi, którego podziwiam, zrobiono niewłaściwy zastrzyk. W szpitalu leczono go z zapalenia płuc, lecz w dwie godziny po zastrzyku już leżał w kostnicy. Słyszałem o ludziach zabijanych w szpitalu, lecz nie chcę wierzyć, że zmarł tak koszmarną śmiercią. Po raz ostatni widziałem go właśnie w tamtych latach chaosu. Byłem młody, on zaś pierwszy raz poważnie rozmawiał o literaturze i polityce. Wcześniej tylko bawił się ze mną i żartował. Miał głęboki, niski głos, którym umiał *zaśpiewać Międzynarodówkę* w esperanto. Dokuczała mu astma, miewał z nią do czynienia już za młodu; twierdził, że podczas wojny palił za wiele namiastek. Nie mogąc dostać papierosów, a nękany przez chętkę, mógł palić cokolwiek, od liści kapuścianych po bawełniane, które suszył nad ogniem. Ludzie w takiej sytuacji zawsze coś wymyślą.

Umiał uszczęśliwiać dzieci. Zdaje się, że pogniewaliśmy się z matką; w proteście postanowiłem nie zjeść rosołu z kury z makaronem; rosół stał i stygnął. Była to próba woli. Wprawdzie mały, ale zachowywałem godność. Lecz kto wiatr sieje, burzę zbiera; widać było, że matkę zaraz poniesie, mnie zaś nie ominie bardzo przykra scena. Tymczasem stryj wziął mnie za rękę i zabrał na ulicę, żeby kupić lody. Na dworze lunęło, zagrzmiało, ulica zamieniła się w rzekę. Stryj zdjął wielkie wojskowe buty, podwinał nogawki i brnąc w wodzie, zaniósł mnie do sklepiku z zimnymi napojami i lodami. Zjadłem dwie duże porcje. Od tamtej chwili nigdy nie zjadłem na raz tyle zimnego. Wróciliśmy do domu, a matka na widok stryja w tak opłakanym stanie, z tymi butami w ręce, nie mogła powstrzymać się od śmiechu; w

tym momencie skończyła się zimna wojna między mną a matką. Taki był stryj, miał wielką klasę.

Jego ojciec, kapitalista komprador, zawdzięczał zgon opium i prostytutkom, lecz zanim zmarł, dał synowi parę tysięcy yuanów srebrem, żeby ten wyjechał do Ameryki na studia i rzucił komunistyczną konspirację. Stryj wszakże odmówił; nie wzięwszy ani fena, uciekł do prowincji Jiangxi, gdzie wstąpił do Nowej Czwartej Armii, żeby wziąć udział w patriotycznej wojnie z Japończykami.

Przydzielony do kwatery głównej Nowej Czwartej Armii w górskich okolicach na południu prowincji Anhui, kupił od chłopca, jak opowiadał, szczenię pantery i trzymał ukradkiem w stalowej klatce pod łóżkiem. Zwierzęcy instynkt dawał o sobie znać w nocy, spod łóżka dobiegały wtedy groźne pomruki. Młodą panterę odkryli żołnierze; stryj, nie dopuszczając myśli, że mogą ją zabić, oddał zwierzę.

Stryj z ojcem lubili pogawędzić. Ilekroć stryj nas odwiedzał, odprawiał kierowcę i ochroniarza, a ze skórzanej torby wyciągał butelkę dobrego alkoholu, którego nie sprzedawano w sklepach, mnie dawał wielką torbę mieszanki szanghajskich słodczy. Kiedy już zaczęli, mogli rozprawiać do białego rana. Mówili o dzieciństwie i młodości, jak dzisiaj ja, kiedy przydarzy mi się spotkać kolegów z ławy szkolnej.

Stryj opowiadał o starym rodzinnym opustoszałym domostwie, o trawie porastającej dachówki; o tym, jak kiedyś wracał do domu z podstawówki za miasteczkiem w jesienną wichurę w strugach zimnego deszczu, w zakrwawionym ubraniu, bo pocięła mu z nosa krew. Był w szoku, biegł i płakał, lecz na długiej ulicy nikt mu nie pomógł, znajomi i krewni po prostu stali pod okapami, inni siedzieli za ladami i obojętnie patrzyli. Dopiero stara kobieta handlująca tofu wyszła, wzięła go i zaciągnęła do młyna. Do dziurek w nosie wetknęła strzępy papieru toaletowego i przesała krwawić.

Stryj opowiadał też o ich starej wiosce i starym domu, który rodzina uratowała po podpaleniu przez zwariowanego prapradziadka, i o dziewczynie z sąsiedztwa, która zabiła się z powodu zaręczyn. Na widok wychodzącej ze sklepu bławatnego ze sztuką wzorzystego materiału, ludzie myśleli, że szyje sobie wyprawę. W dwa dni później, ubrana w nową bluzę i spodnie uszyte z tego materiału, popełniła samobójstwo, łykając igły.

Owijalem się w kołdrę i słuchałem urzeczony; nie chciałem spać. Widziałem, jak stryj, chrapliwie oddychając i paląc papierosa za papierosem, okraża pokój wielkimi krokami, tuż przed najciekawszymi momentami. Powiedział, że jego jedyne życzenie to uporać się z napisaniem książki po przejściu na emeryturę.

Kiedy widziałem go w Szanghaju po raz ostatni, miał jakiś inhalator; łagodził napady astmy, wtryskując coś do gardła. Zapytałem o tę książkę, on zaś odrzekł, że na szczęście jej nie napisał; w przeciwnym razie już by nie żył. Tylko wówczas, jeden jedyny raz, nie potraktował mnie jak dziecka. Powiedział, że to nie czas na literaturę. Przestrzegł też, żebym nie mieszał się do polityki. Kiedy w to wdepniesz, już nie odróżnisz północy od południa, wschodu od zachodu, nawet nie zauważysz, kiedy pozbędziesz się głowy. Powiedziałem, że nie mogłem skończyć studiów na uniwersytecie. Bądź w takim razie obserwatorem. Powiedział, że teraz jest obserwatorem. Przed rewolucją kulturalną, w okresie zwanym w gazetach antyprawicowym, kiedy na prowincji ludzie umierali z głodu, padło wówczas na niego, przesłuchiowano go i na wiele lat odsunięto. Nic dziwnego, że ojciec i on stracili wówczas kontakt. Wiadomość przesłał tylko raz, ustną, że obarczony obowiązkami wojskowymi wyjechał prowadzić śledztwo na odległej wyspie Hainan. Wówczas nie wiedziałem, że była to wiadomość w wiadomości.

Od tamtej pory również ja stałem się obserwatorem. Przy tej samej linii Pekin - Szanghaj zobaczyłem rozstawiony wzdłuż peronu szereg bojowników „Atakuj pisaniem, broń się potęgą wojskową”. W dłoniach zaciskali żelazne dzidy, na głowach mieli hełmy uplecione z wierzbowych gałęzi, na ramionach czerwone opaski. Kiedy pociąg już stanął, zablokowali wyjścia. Człowiek, który zamierzał wysiąść, odwrócił się i wtoczył z powrotem do wagonu. Natychmiast runęli za nim. Ów człowiek przeraźliwie krzyczał, ale w całym wagonie nikt nie odważył się nawet ruszyć, przyglądano się, jak wywlekają go z pociągu. Ci na peronie natychmiast otoczyli go, zaczęli kopać, bić. Rozległ się gwizd lokomotywy, pociąg powoli ruszył. Nie wiem, czy ów człowiek zginął, czy uszedł z życiem.

W owych czasach wszystkie miasta wzdłuż tej trasy oszalały. Mury, fabryki, słupy wysokiego napięcia, wieże ciśnień, wszelkiego rodzaju konstrukcje ludzkiej ręki oblepiono sloganami żądającymi przysiąg: żeby bronić do ostatniego tchu, obalać, rozbijać w puch i toczyć krwawą wojnę do samego końca. Ledwie pociąg ruszył z hałasem, już radiowęzeł na

szynach zaczynał nadawać pieśni bojowe, te same, które dobiegały z głośników w każdej miejscowości po drodze. Na północ od Yangzi, na stacji Czysty Blask - nie wiem, jak mogła się wówczas uchować taka nazwa - peron i tory wypełniali uchodźcy. Drzwi wagonów nie otwarto, więc ludzie zaczęli wspinać się do otwartych okien, chociaż w samych wagonach ludzie stłoczyli się już jak sardynki w puszcze. I oto na widok uchodźców zamknęli natychmiast okna dusznych wagonów. Szyby stały się granicą, ludzie wewnątrz wagonu i na zewnątrz, jedni i drudzy będący uchodźcami, przeistoczyli się nagle we wrogów. I dziwna rzecz, od chwili rozdzielenia przezroczystym szkłem twarze po drugiej stronie zmieniły się, stały się gniewne i wrogie.

Na ruszający pociąg posypał się grad kamieni, a towarzyszyła mu kakofonia wyzwisk, walenia i wrzasku. Coś takiego widzą zapewne ludzie w drodze do piekieł, wciąż przekonani, że cierpią za wiarę.

Także w tamtych czasach na tej samej trasie widziałem fragment nagiego kobiecego ciała, gładko rozplątany kołami pociągu, jak rybce dzwonko ostrym nożem. Najpierw był gwałtowny wstrząs, potem przejmujący gwizd lokomotywy, wreszcie szcęk metalu i brzęk szkła. Myślałem, że to trzęsienie ziemi. Czasy były naprawdę niesamowite. Jakby niebo odpowiadało ludziom: ziemia bowiem oszalała jak i oni, trzęsła się bezustannie.

Gwałtownie hamujący pociąg powlókł się jeszcze kilkaset metrów, potem wyskoczyli wszyscy: konduktorzy, policjanci, pasażerowie. Zakrwawione strzępy ciała porzucane były wszędzie, na zeschniętych łodygach traw wzdłuż torów, powietrze zgęstniało od woni krwi... a ludzka krew ma zapach bardziej mdły niż rybia. Na stoku przy torach leżał kobiecy kadłub, bez głowy, szyi, rąk i nóg. Zapewne krew wytoczyła się doszczętnie, bo korpus, zupełnie biały, wyglądał jak strzaskana figura alabastrowa o połysku ludzkiej skóry. Ciało młodej zdrowej kobiety wciąż zdradzało jakieś ślady życia i czucia. Stara kobieta, pasażerka, ściągniętym z uschniętej gałęzi podartym kawałkiem ubrania przykryła dolną część korpusu. Maszynista ocierał strugi potu czapką i opowiadał rozdygotany, jak zobaczył kobietę idącą po torach, jak włączył sygnał. Kiedy nie zesła, zaczął natychmiast hamować. Nie mógł już przyhamować mocniej, prowadził pociąg pełen ludzi. Tuż przed zderzeniem nagle podskoczyła, a kiedy podskoczyła... Och, chciała popełnić samobójstwo, najoczywiczniej chciała zginąć. Czy była studentką zesłaną na wieś? Chłopką? Jeszcze nie miała dzieci. Po co w ogóle o tym mówić? Pasażerowie wdali się w dyskusję. Na pewno nie chciała popełnić samobójstwa, inaczej nie próbowałaby uskoczyć, prawda? Czy śmierć może być aż taka prosta? Chyba jesteście zupełnie bez serca, przecież to zgon! Pewnie była czymś zaaferowana. Przecież nie przechodziła przez skrzyżowanie, jechał na nią pociąg, w biały dzień! Jeśli nie była głucha, to znaczy, że miała już martwe serce. Człowiek, który to powiedział, szybko odszedł.

Walcę po prostu, żeby przetrwać, nie walcę o coś; chronię siebie, nic więcej. Nie mam odwagi tej kobiety, nie ogarnęła mnie zupełna rozpacz. Wciąż uwodzi mnie świat ludzki, jeszcze się nie nażyłem.

Jest całkiem sam. Włóczy się przez dłuższy czas, w końcu spotyka starego mężczyznę w długiej szacie trzymającego kostur. Podchodzi i pyta uprzejmie:

- Czcigodny starcze, czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest Lingshan?

- A skąd przybywasz? - starzec odpowiada pytaniem.

Mówi, że z Wuyizhen.

- Z Wuyizhen? - Stary namyśla się przez chwilę. - To po tamtej stronie rzeki.

Mówi, że właśnie przybył z tamtej strony rzeki. Czyżby obrał złą drogę? Stary człowiek unosi brwi i mówi:

- To nie droga jest zła, to wędrowiec się myli.

- Czcigodny starcze, powiedziałaś coś wielce trafnego. - Pytał wszakże, czy Lingshan jest po tej stronie rzeki.

- Skoro mówię, że jest po tamtej, to jest po tamtej. - Starzec się gniewa.

Mówi, że na tę stronę rzeki przybył z tamtej strony.

- Coraz bardziej się oddalasz, coraz bardziej - upiera się starzec.

- Zatem powinienem wrócić? - pyta; ale nie może się powstrzymać od mruknięcia do siebie, naprawdę nic nie rozumiem.

- Już wyłożyłem ci to, bardzo jasno - zimnym tonem mówi starzec.

- Czcigodny starcze, szczerą prawdą, wyłożyłeś bardzo jasno... - Rzecz w tym, że to nie jest dlań jasne.

- Czego zatem wciąż nie rozumiesz? - Stary uważnie wpatruje się w niego spod brwi.

Mówi, że wciąż nie wie, jak trafić na Lingshan.

Stary przymyka oczy, skupia się.

- Czcigodny starcze, wszak powiedziałaś, że jest na tamtym brzegu? - nie może się powstrzymać od kolejnego pytania. - Lecz ja przybyłem z tamtego na ten brzeg...

- Jest zatem po tamtej stronie - gniewnie przerywa starzec.

- A jeśli za punkt odniesienia przyjmę Wuyizhen?

- Lingshan wciąż będzie po drugiej stronie.

- Lecz na tę stronę przybyłem właśnie z Wuyizhen, skoro więc mówisz, czcigodny starcze: tamta strona rzeki, może to znaczy ta strona rzeki?

- Chcesz wejść na Lingshan?

- Otóż to.

- Zatem jest po tamtej stronie rzeki.

- Czcigodny starcze, zapewne mówisz o metafizyce?

Stary odpowiada z najwyższą powagą:

- Pytasz przecież o drogę?

Mówi, że tak, pyta o drogę.

- Więc już ci powiedziałem. - Starzec podnosi kostur, odprawia go, odchodzi w dal brzegiem rzeki.

On zaś stoi samotnie po tej stronie rzeki, przeciwległej do tamtej, po której leży Wuyizhen. Teraz rzecz w tym, po której stronie rzeki leży Wuyizhen? Naprawdę nie potrafi tego uporządkować, może jedynie przywołać stare przysłowie liczące tysiąc lat: „Istnienie powraca, nieistnienie powraca, więc nie stój na brzegu rzeki, niech nie przewieje cię zimny wiatr”.

Nie rozumiem znaczenia tych odbić. Niewielka połać wody, z drzew całkiem opadły liście, konary i pnie są szaroczarne. Najbliższe drzewo to chyba wierzba, dwa dalsze, rosnące bliżej wody, chyba wiązy. Smukłe gałęzie wierzby z przodu to luźna płatanina, z gołych konarów dwóch drzew w głębi wyrastają tylko drobne witki. Nie potrafię powiedzieć, czy woda z odbiciami jest zamarznięta, w zimniejszej porze pojawia się tu warstewka lodu. Z szarego, ponurego nieba chyba spadnie zaraz deszcz, lecz nie, nie pada; nic się nie rusza, nie kołyszą się gałęzie, nie ma wiatru. Wszystko zastygło, jak martwe. W powietrzu unosi się tylko wąty, nieuchwytny pogłos muzyki. Drzewa są lekko pochylone. Dwa pochylone wiązy, jeden w lewo, drugi w prawo. Pień wierzby, trochę większej, chyli się w prawo, lecz wyrastające z niego trzy konary, właściwie tej samej grubości, chylią się w lewo, jest więc coś w rodzaju równowagi. Zatem wszystko utrwalone i nieporuszone, jak pas martwej wody, jak ukończony obraz, na którym już nic się nie zmieni; wyzbyte chęci zmian, wyzbyte niepokoju, wyzbyte impulsu, wyzbyte pragnienia. Ziemia, woda, drzewa, gałęzie drzew. Pewne zainteresowanie budzą tylko te ciemnobrazowe pasma w wodzie, ni to ławice piasku, ni wysepki, ni półwyspy, w sumie parę wzgórków ziemi ledwie wystających nad wodę, której powierzchnia, gdyby ich brakło, wydałaby się nienaturalnie monotonna. Tuż nad wodą, całkiem po prawej, rośnie niewielkie, nieistotne drzewo. Niewysokie, o licznych gałęziach rosnących we wszystkie strony, jak powykręcane palce. Metaforycznie nie najcelniejsze, lecz gałęzie sterczą, jak sterczą, nie znać po nich zamiaru zjednoczenia tam, skąd mogłyby wyrastać palce. Nieciekawe. Pod tą najbliższą wierzbą jest gład. Dla ludzi, żeby usiąść i szukać ochłody? Może dla ludzi, żeby wejść i uniknąć przemoczenia butów, kiedy woda wzbierze? A może do niczego nie służy, może w ogóle to nie gład, tylko kilka grud ziemi. Może to droga lub coś podobnego, jakieś zejście do wody. Wezbrana woda zapewne zalewa to wszystko. Na wysokości pierwszego rozgałęzienia wierzby, równoległe do pierwszego konara widać coś w rodzaju wału. Więc to tam jest brzeg, kiedy wzbierze woda, lecz widać liczne wyrwy, przez które fala przeleje się dalej. Okolice domniemanego wału nie jest wyzbyta ruchu, wlatuje stamtąd ptak, żeby sfrunąć w splot gałęzi wierzby. Gdyby nie sfrunięcie, w ogóle bym go nie dostrzegł. Istnienie lub nieistnienie tego ptaka zależy tylko od tego sfrunięcia. Ptak jest żywy; z bliższego wglądu wynika, że nie on jeden, ptaków jest więcej, podskakują na ziemi pod drzewem, wlatują i sfruwają. To pewnie wróble, chociaż jeden, ukryty w gałęziach wierzby, to pewnie szpak, może jeszcze nie odleciał. Rzecz w tym, czy coś jest postrzegane, nie zaś czy istnieje. Istnieć nie postrzeganym, to tyle co nie istnieć. Coś się porusza na drugim brzegu, za wodą, to wózek nad szarobrunatnymi kępami krzaków. Ktoś za nim, popycha, i zgięty człowiek przed nim, ciągnie. Na wózek na gumowych oponach można załadować pół tony. Porusza się powoli, inaczej niż wróble, ruch jest ledwie dostrzegalny. Dopiero po dostrzeżeniu wózka dostrzega się ruch. Tutaj o wszystkim decyduje myśl. Jeśli rozpozna się drogę, jest ona drogą, właściwą drogą, która nie zniknie nawet po deszczach czy powodzi. Zdażając wzrokiem za porwaną linią nad szarobrazowymi krzakami, a potem powróciwszy, żeby spojrzeć na wózek, można dostrzec, że przebył pewną odległość, wtoczył się między gałęzie wierzby. Na pierwszy rzut oka można go. uznać za ptasie gniazdo, ponieważ jednak wcześniej, zanim wtoczył się między gałęzie, został postrzeżony jako wózek, więc patrząc nań, widzi się oczywiście wózek sunący wolno z ciężkim ładunkiem, z ładunkiem cegieł albo ziemi. Czy drzewa, ptaki i wózek z tego obrazu też myślą o swym znaczeniu? A jakie związki łączą to szare niebo z odbiciami na wodzie, z drzewami, ptakami, wózkiem? Szarość... niebo... woda... porozrzucane liście... ani śladu zieleni... wzgórki ziemi... całkiem czarne... wózek... ptaki... napiera i pcha... nie zakłóca... kipiące fale... głośnie ćwierkanie wróbli... przezroczyście... wierzchołki drzew... skóra głodna i spragniona... wystarczy co bądź... deszcz... pióra z ogona złocistego bażanta... pióra są lekkie... kolor różowy... noc nie ma końca... nie tak źle... jest odrobina wiatru... dobrze... jestem ci bardzo wdzięczny... próżniowy bezkształt... trochę wstażek... kręczone... zimno... ciepło... wiatr... chwiejne... kołujące... teraz przenikają się dźwięki... ogromne... owady... żadnych szkieletów... w otchłani... guzik... czarne skrzydła... noc rozwija... są wszędzie... panika... ogień oświetla... pięknie namalowane wzory... przypięte do czarnej jedwabnej gazy... owady w słomianym sandale... jądra wirujące w cytoplazmie... oczy kształtują się najpierw... to on określa styl... istnieje wrodzony potencjał... kolczyk... bezimienne odciski... Nie zauważyłem, że padał śnieg, tymczasem jest cienka powłoczka czystej bieli, która nie zdażyła nawarstwić się na gałęziach. Konary wierzby, rosnące przeciwstawnie wobec pnia, poczerniały. Nad

konarami dwóch rozgałęzionych wiązów, z których jeden chyli się w lewo, drugi w prawo, była wpierw połać lśniącej białej wody, jak śnieg na płaskiej betonowej powierzchni, ta woda musiała zamarznąć. Wzgórki ziemi, te ni ławice piasku, ni wysepki, ni półwyspy, zamieniły się w czarne cienie. Jeżeli nawet ktoś wie, że były wzgórkami ziemi, to nie wie, dlaczego są czarnymi cieniami. Jeżeli nawet ktoś wie, że były wzgórkami ziemi, to wciąż nie wie, dlaczego nie nawarstwił się na nich śnieg. Krzaki tam dalej wciąż są krzakami, wciąż szarobrazowe. Nad krzakami jest jakiś powidok drogi, lecz trudno coś dostrzec wyraźnie. Przez górną część rozpostartych gałęzi niewielkiego drzewa wije się biała linia i pełźnie pod górę, widocznie tamtędy przepchnięto wózek. Teraz nie ma na drodze wózka, nikt nią nie idzie. Gdyby zaśnieżoną drogą szli teraz jacyś ludzie, ich sylwetki rysowałyby się bardzo wyraźnie. Spod wierzby zniknął głaz, czy też parę grud ziemi uchodzących za głaz. Śnieg pokrył wszystkie drobne szczegóły, natomiast ślady na śniegu są jak żyły. Tego rodzaju błahy śnieżny widok tworzy w moim umyśle obrazy, wytwarza pragnienie, żeby weń wejść. Wszedłszy w ten śnieżny krajobraz, stanę się czyimiś plecami. Owe plecy nie miałyby rzecz jasna żadnego szczególnego znaczenia, gdyby nie to, że stoję przy oknie i patrzę. Posępne niebo, jaśniejsza od nieba ziemia pokryta śniegiem, żadnych szpaków ani wróbli. Śnieg wchłania myśl i znaczenie.

Umarła wioska, pod grubą pieczęcią śniegu. Nad nią rozległa milcząca góra, także pod śnieżnym zwałem. Szarość i czerń widać na powykęcanych konarach, przejrzyste szare kłęby to igły jodeł, ciemne cienie to z pewnością urwiska, z których śnieg się osypał. Brak barw, trudno się wyznać, czy to dzień czy noc; jest widno, mimo to mrocznie. Zapewne sypie śnieg, więc świeże ślady stóp zacierają się zaraz.

To wioska trędowatych.

Może.

Nie słyhać psów?

Nie żyją.

Zawołaj.

Nie ma po co. Tu kiedyś stały domy. Stał mur, który runął pod śniegiem, pod wielkim śniegiem. Wszystkich przymuszono do snu.

Umarli we śnie?

Byłoby lepiej; niestety, masakra, rzeź, dano pokaz człowieczej bezwzględności. Ochłapy mięsa nadziane arsenikiem najpierw rzucono psom.

Chyba wyły, konając?

Znawcy wystarczy uderzyć psa raz, w nos.

Dlaczego nie mierzy gdzie indziej?

Bo tylko pies uderzony w nos ginie natychmiast.

Ci ludzie w ogóle nie stawiali oporu?

Zamordowano wszystkich w ich własnych domach, nie wyszli nawet na krok.

A dziewczęta i dzieci, także nie mogły uciec?

Tu poszły w ruch topory.

Nie oszczędzono kobiet?

Kobiety jeszcze gwałcono, doznały więc losu potworniejszego...

Starczy.

Boisz się?

W wiosce nie mogła mieszkać tylko jedna rodzina, prawda?

Jedna rodzina, trzech braci.

Wszyscy zginęli?

Powiadają, że za sprawą zaprzysięgłego wroga rodziny, a może epidemii. Może wzbogacili się nagle, znaleźli złoto w korycie rzeki?

I zginęli z ręki przybyszów?

Zagarnęli koryto rzeki, przybyszom zaś nie pozwolili płukać złota.

Gdzie to koryto?

Wprost pod twoimi i moimi stopami.

Dlaczego go nie widzę?

Tu widać tylko opar z piekła, przynajmniej takie robi wrażenie. To rzeka umarła.

I ty, i ja na umarłej rzece?

Tak, pozwól, pokażę drogę.

Gdzie?

Na drugi brzeg, do tej surowej krainy okrytej śnieżną bielą. Trzy drzewa na skraju śniegu, dalej góra, zasypane domy, zawalone pod ciężarem śniegu. Stoi jeszcze tylko ten fragment muru, za którym można zbierać potłuczone fajansowe naczynia, skorupy seledynowych mis. Kopiesz je, nie możesz się powstrzymać; płoszy cię łopot skrzydeł, do lotu zrywa się nocny ptak. Nie możesz zobaczyć nieba, widzisz tylko padające płatki. Na płocie pięknie osiadł śnieg, dalej rozciąga się zagon warzywny. Wiesz, że śnieg kryje stwardniałą zimową gorczycę i *pioorcai*, podobne do pomarszczonej skóry na twarzy starej kobiety. Znasz dobrze ten zagon, wiesz, gdzie jest furtka wychodząca na ogródek. Siedząc na progu, jadłeś małe włosate kasztany. Nie możesz sobie uzmysłwić, czy to sen z dzieciństwa, czy sen o dzieciństwie; rozróżnienie kosztowałoby cię wiele wysiłku. Właśnie teraz udajesz, że cię nie ma, boisz się nastąpić na koci ogon. W ciemności pałają kocie ślepie, wiesz, że zwierzę wpatruje się w ciebie, a ty udajesz, że patrzysz gdzie indziej. Musisz bardzo cicho obejść studnię, na patyku wspiera się wyplatany bambusowy kosz, ty i ona kryjecie się za drzwiami, trzymacie sznurek i czekacie na wróble. W środku dorośli grają w karty. Wszyscy noszą okulary w okrągłych mosiężnych oprawkach i mają wytrzeszczone oczy jak złote rybki. Gałki oczne o mało nie wypadną im z oczodołów, mimo to nic nie widzą, trzymają karty tuż

przy okularach. Kręcicie się oboje pod stołem na czworakach i widzicie tylko nogi. Jest też końskie kopyto. I gruby, bardzo długi ogon, wiesz, że lisi, pomyka to tu, to tam, ale oto twardnieje i zamienia się w przegowany ogon tygrysa, który przysiadł na fotelu. Gotów się rzucić na ciebie w każdej chwili. Nie zdołasz się wymknąć ukradkiem, wiesz, że walka będzie zażarta, jeżeli do niej dojdzie, a tygrys właśnie szykuje się do skoku!

Co dalej?

Nic, chyba mi się to śniło. We śnie przysypał wioskę śnieg. Od śniegu pojaśniało niebo, noc była odrealniona, kasał mróz, czułem lekkość i pustkę w głowie. W każdym razie śniłem śnieg, zimę, własne ślady na śniegu i myślałem o tobie,

Nie mów mi o tym, nie chcę dorastać, tęsknię za ojcem, tylko on mnie naprawdę kocha, ty chcesz tylko ze mną spać, nie mogę kochać się bez miłości,

Kocham cię,

Nonsens, to przelotna zachcianka,

O czym ty mówisz? Kocham cię!

Pewnie, mamy się tarzać w śniegu jak psy, wynoś się, chcę być tylko z sobą,

Porwie cię wilk, wyżre trzewia, a brunatny niedźwiedź zaciągnie do jamy, parzyć się z tobą!

Ty tylko o tym myślisz, myśl o mnie, o mych uczuciach, Jakich uczuciach?

Zgadnij, och, jesteś taki głupi, chcę latać...

Co?

Widzę w ciemności kwiat,

Jaki?

Kamelie,

Zerwę dla ciebie, wepniesz ją,

Nie niszczyć jej, nie powinieneś dla mnie umierać,

Niby dlaczego chciałbym umrzeć?

Uspokój się, nie poproszę, żebyś za mnie umierał, jestem samą samotnością, nie ma tu nawet echa, krzyczę co sił w piersi, tymczasem wokół cisza, nie szmerze nawet źródło, cięży powietrze, gdzie ta rzeka, z której wypłukiwali złoto? Pod śniegiem, pod twymi stopami,

Brednie,

To tajemna rzeka podziemna, wszyscy schyleni, szorują, płuczą,

Słysząc tu warkot,

Co takiego?

Tu nic nie ma,

Jesteś naprawdę złośliwa,

A kto ci kazał wypytywać, hej, hej, chyba tam słysząc echo, o tam, weź mnie tam,

Skoro chcesz iść, to idź,

Widzę was, ciebie i ją na śniegu, w szarą mglistą noc, nie mogę dostrzec wyraźnie, lecz widzę, jesteście na śniegu, boso.

Nie jest ci zimno?

Nie czuję zimna.

Chodzisz tak z nią po śniegu, wokół ciągną się lasy ciemnogrnatowych drzew.

Gwiazd nie ma?

Nie; ani księżyc.

A domów?

Nie ma.

A świateł?

W ogóle nic nie ma, jedynie ty i ona, razem wędrujecie przez śnieg, ona w wełnianej chuście, ty boso. Owszem, jest dosyć zimno, ale może być. Nie zdołasz zobaczyć siebie, czujesz tylko, że chodzisz boso po śniegu, że masz ją przy boku, trzymasz za rękę. Trzymasz mocno, prowadzisz.

Daleko jeszcze?

Daleko, bardzo daleko, nie boisz się?

Coś jest dziwnego w tej nocy, atramentowoniebieska, lecz jasna. Ale z tobą przy boku niczego się nie boję, naprawdę.

Czujesz się bezpiecznie?

Tak.

Jesteś w moich ramionach?

Tak, wspieram się na tobie, ty delikatnie mnie podtrzymujesz.

Całuję cię?

Nie.

Chcesz, żebym cię pocałował?

Tak, ale nie mogę się zdecydować. Jest cudownie, jak jest, kiedy tak idziemy razem. Widzę też psa.

Gdzie?

Na wprost, chyba przysiadł, wiem, że to pies. Widzę też, jak oddychasz, obłoczki pary w powietrzu.

Czujesz ciepło?

Nie, lecz wiem, że wydechasz ciepło, po prostu wydechasz powietrze, lecz nic nie mówisz.

Masz otwarte oczy?

Nie, zamknięte, wszystko jednak widzę. Nie mogę otworzyć oczu, bo wiem, że jeśli otworzę, to znikniesz, wciąż patrzę, jak patrzę, ty wciąż mnie trzymasz w ramionach, jak trzymasz. Nie tak mocno, nie mogę oddychać, chcę wciąż patrzeć, chcę cię trzymać. Och, rozdzielili się, idą przed siebie.

Wciąż po śniegu?

Tak, czuję igły w stopach, ale to przyjemne, stopy trochę mi zmarzły, ale trzeba mi tego, więc wciąż idę, jak idę.

Możesz zobaczyć, jak wyglądasz?

Nie chcę, nie potrzebuję, póki czuję lekki chłód i te igielki w stopach, póki czuję śnieg, ciebie przy boku, czuję się bezpiecznie, mogę się wypogodzić i wciąż iść. Kochanie, czy słyszysz, jak cię wołam?

Tak.

Całuj mnie, całuj moje dłonie. Gdzie jesteś? Nie opuszczaj mnie!

Jestem przy tobie, obok.

Nie, wzywam twego ducha, wzywam ciebie, musisz przyjść, nie opuszczaj mnie.

Niemądre dziecko, nie mógłbym.

Boję się, boję, że mnie rzucisz. Nie zostawiaj mnie. Nie zniosę samotności.

Trzymam cię właśnie w ramionach, prawda?

Tak, wiem, jestem ci wdzięczna, ukochany.

Spij, śpij spokojnie.

Nie jestem śpiąca, mam krystalicznie jasny umysł, widzę tę przezroczystą noc, błękitne lasy pod śniegiem. Nie świecą gwiazdy, nie świeci księżyc, lecz wszystko widać wyraźnie. To bardzo dziwna noc. Chcę z tobą trwać na zawsze w tej śnieżnej nocy. Nie odchodź, nie opuszczaj mnie. Chcę płakać. Nie wiem czemu. Nie opuszczaj mnie, nie odchodź tak daleko, nie waż się całować innych kobiet!

Również tej zimy, kiedy już spadł śnieg, przychodzi przyjaciel pogadać o czasach spędzonych w reedukacyjnym obozie pracy. Patrzy przez okno na zaśnieżony krajobraz, mruży oczy; może razi go biel, może pograżył się we wspomnieniach.

W obozowym gospodarstwie, mówi, stał ogromny dźwig. Patrzy przez okno na wieżowiec i ocenia: miał co najmniej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów, tyle co budynek, w którym się znajdujemy. Wokół spiczastego wierzchołka kołowały wrony, stado odfrunęło i wracało, krążyły i krakały przez cały czas. Tę grupę więźniów nadzorował wojskowy weteran, zdemobilizowany po wojnie koreańskiej. Otrzymał nagrodę drugiego stopnia za chwalebny akcję, lecz, rannemu, skrócono nogę i kulał. Prześladował go jakiś pech, awansował tylko do stopnia dowódcy kompanii, w końcu zesłano go do pilnowania więźniów; ów brygadzysta wciąż kłął i wymyślał.

W pizdę go mać, co tu się, kurwa, wyrabia? Te diabły nie dają spać! W narzuconym na ramiona wojskowym płaszczu obchodził dźwig, kłął w dialekcie z północy Jiangu.

Rozkazał mi, włącz tam i zobacz! Co miałem zrobić? Ściągnąłem kufajkę i zacząłem się wspinać. Mocno wiało; w pół drogi zaczęły mi drżeć łydki, a kiedy spojrzałem w dół, nogi dały za wygraną i rozdygotały się na dobre. Był to rok głodu, w sąsiednich gospodarstwach ludzie marli. Nam w obozie pracy działało się trochę lepiej. Uprawialiśmy taro i orzeszki ziemne, ze obioru oddaliśmy działkę dowódcy kompanii, a reszta została w spichrzu; nie musieliśmy odstawić wszystkiego. Każdy miał prawo do porcji ziarna, trochę byliśmy obrzmiali, ale obyło się bez zapań. Niemniej, byłem za słaby, żeby się wdrapać na górę.

Brygadzista! Stać mnie już było tylko na okrzyk.

Masz wleźć i zobaczyć! ryknął z dołu.

Spojrzałem w górę.

Coś wisi, krzyknąłem, jakaś płócienna torba. Traciłem świadomość, mogłem się tylko wydzierać, że nie dam rady, nie wejść wyżej!

Jak nie dasz rady, to weźmiemy kogo innego! Kłął i wyzywał, lecz nie był taki zły.

Zszedłem.

Dawać mi tu Złodzieja! powiedział.

Ten więzień miał może siedemnaście, może osiemnaście lat. Faceta przyłapano w autobusie na kradzieży portfela, stąd wzięło się przezwisko.

Odszukałem Złodzieja. Młodziak raz tylko spojrzał na dźwig i odmówił wejścia. Brygadzista się wściekł.

Czy proszę, żebyś się zabił, czy co?

Złodziej powiedział, że boi się spaść.

Brygadzista kazał przynieść kawał liny, potem zapowiedział, że za odmowę Złodziej zostanie ukarany trzydniowym odebraniem racji ziarna!

Dopiero wtedy Złodziej obwiązał się w pasie liną i zaczął wspinać. My na dole zaczęliśmy się solidnie pocić za niego. Kiedy została mu tylko jedna trzecia drogi, każdy ruch ubezpieczał mocowaniem liny do kratownicy; wreszcie wdrapał się na górę. Wokół niego kołowały wrony stada, on zaś machaniem odpędzał ptaki, wreszcie z góry sfrunęła powoli konopna torba. Pobiegliśmy zobaczyć. Torbę, gęsto podziurawioną przez ptaki, wciąż wypełniały w połowie orzeszki ziemne!

W pizdę go mać! Brygadzista uraczył nas nową porcją przekleństw.

Znów zadał w gwizdek, zbiórka! Wszyscy stanęli; zaczął od rugania, potem zapytał, czyja to robota.

Nikt nic nie pisnął.

Sama przecież nie wyfrunęła na górę? Już się bałem, że to jakiś zasrany trup!

Z trudem powstrzymaliśmy się od śmiechu.

Widzę, że nikt nie wystąpił, więc wszystkim wstrzymuję przydział żywnościowy!

To nas zaniepokoiło, zaczęliśmy rozglądać się po sobie, każdy jednak już wiedział, że tylko Złodzieja było stać na wspinaczkę. Oczywiście utkwiliśmy w nim wzrok. On patrzył pod nogi, wreszcie nie wytrzymał, grzmotnął na ziemię i siedząc na tyłku, przyznał się, to on ukradł w nocy orzeszki, on je powiesił na górce. Bał się, że umrze z głodu, powiedział.

Wchodziłeś z liną czy bez? zapytał brygadzista.

Bez.

To po co odstawiłeś ten cyrk? Dzień głodówki za karę dla sukinsyna! zarządził.

Wszyscy wydali okrzyk radości.

Złodziej wrzeszczał.

Brygadzysta pokuśtykał przed siebie.

Inny przyjaciel mówi, że chce przedyskutować ważne zagadnienie.

No dobrze, mówię, mów.

Powiada, że opowieść potrwa.

Proponuję, żeby ją skrócił.

Mówi, że jeśli nawet skróci, musi zacząć od początku.

Zaczynaj, mówię.

Pyta, czy słyszałem o pewnym wysoko postawionym cesarskim gwardziście na dworze pewnego cesarza z mandżurskiej dynastii Qing. Podaje imię cesarza, tytuły, imię i nazwisko wysoko postawionego gwardzisty, wreszcie powiada, że w prostej linii w siódmym pokoleniu jest najstarszym wnukiem owej dawnej znakomitości. Przyjmuję to do wiadomości bez zastrzeżeń, nic zdumiewającego, dzisiaj niewiele skutków niesie dla przyjaciela to, czy przodek był zbrodniarzem, czy zasłużonym ministrem.

Mówi, że nie, przeciwnie. Wciąż go nachodzą, wypytują, dręczą bez końca ludzie z biur konserwatorskich, z muzeów, archiwów, stowarzyszeń politycznych i sklepów z antykami.

Pytam, czy ma parę cennych rzeczy.

Mówi, że to nie ta skala.

Coś warte wielu miast?

Nie powie, czy warte wielu miast czy nie. Trudno wycenić, nawet milion, dziesięć czy kilkaset milionów to wciąż nieporozumienie. Nie chodzi o jedną czy dwie rzeczy, trzeba by zacząć od reprezentacyjnych naczyń z brązu i matowych jadeitów z czasów dynastii Shang-Yin, a skończyć na cennych mieczach z Epoki Walczących Królestw, nie mówiąc o rzadkich antykach, kaligrafiach buddyjskich, malowidłach z różnych epok, starczyłoby na całe muzeum. Szyte, dawno wydane katalogi liczyły cztery tomy, znaleźć je można tylko w bibliotekach z cymeliami. Trzeba zrozumieć, że to kolekcja licząca dwieście lat, którą jego przodek zaczął tworzyć siedem pokoleń temu, a którą wzbogacały kolejne pokolenia, aż do panowania cesarza Tongzhi z dynastii Qing!

Mówię, że im mniej się o tym mówi, tym lepiej, po co zamartwiać się o własne bezpieczeństwo.

Problem nie polega na bezpieczeństwie, mówi, rzecz w tym, że nie ma chwili spokoju. Nawet własna, dodajmy duża rodzina, krewni dziadek, ojca, stryjowie zjawiają się jeden za drugim, chcą pogadać, a przez ten nieustający harmider wkrótce głowa mu pęknie.

Chcą udziałów?

Mówi, że nie ma co dzielić, te tysiące starych ksiąg, złoto i srebro, ceramikę i inne przedmioty palili i łupili nieskończenie wiele razy tajpingowie, Japończycy, bandy przeróżnych watażków. Później dziadek, ojciec i matka oddali zbiór władzom, posprzedawali różne rzeczy, następnie dom wielokrotnie rewidowano, więc nie zostało dosłownie nic.

O co się zatem sprzeczą? Nie mogę zrozumieć.

To właśnie trzeba opowiedzieć od początku, mówi zakłopotany. Czy słyszałeś o Pagodzie Jadeitowego Parawanu i Złotej Szafy? Rzecz jasna nazwę pagody, w której przechowywano stare księgi i cenne pamiątki, wymienia tylko tytułem porównania. O sprawie istnieją wzmianki w dziełach historycznych, w spisach nazw, podobnie jak w genealogiach jego przodków, wiedzą o niej ludzie w urzędach i wydziałach konserwatorskich w jego rodzinnym mieście na południu. Mówi, że tajpingowie po wdarciu się do miasta spalili w istocie pustą pagodę. Większość starych ksiąg przeniesiono bowiem wcześniej, w najgłębszej tajemnicy, do posiadłości jego rodziny; otóż legenda rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie zapewnia, że ów zbiór, wraz z wielkiej rzadkości skarbami opisanymi w katalogu, przechowywano potajemnie. Ojciec dopiero w ostatnim roku życia, zanim zachorował i umarł, opowiedział przyjacielowi, że to wszystko gdzieś zakopano w ich starej posiadłości. Ojciec nie znał dokładnego położenia, powiedział tylko, że w rękopiśmiennym tomie wierszy jego prapradziadka znajduje się rysunek tuszem przedstawiający ich dawną rezydencję, z tarasami, pawilonami, ogrodami i sztucznymi górami. W prawym górnym rogu zaś zapisano cztery wersy buddyjskiej sutry, kryjące wskazówkę, gdzie szukać skarbu. Jednakże ów tom razem z innymi rzeczami zabrali podczas rewizji czerwono-gwardziści. Później, kiedy rodzinę oczyszczono z zarzutów, księgi nie udało się odzyskać. Ojciec wyrecytował jednak cztery wersy sutry i naszkicował z pamięci plan posiadłości. Przyjaciel nauczył się tego na pamięć i oto z początkiem tego roku po raz pierwszy wybrał się przebadać ich starą rezydencję. Ale tymczasem stare ruiny zamieniły się w bloki, biura i mieszkania.

Co począć, mówię, skarb tkwi pod budynkami.

Zaprzecza. Gdyby skarb był na miejscu budynków, wykopano by go przed położeniem fundamentów, zwłaszcza że mowa o domach współczesnych. Pod każdym trzeba ułożyć tyle rur, że robi się bardzo głębokie wykopy. Odszukał i wypytał ludzi z budowy, powiedzieli, że nie natrafili na żadne zabytkowe rzeczy. Mówi, że sumiennie zbadał te cztery wersy buddyjskich sutr, przeprowadził analizę topograficzną i teraz może z grubsza zlokalizować ów skarb; jest pod zieleńcem między dwoma budynkami.

I co zamierzasz? Wykopać go? pytam.

Mówi, że o tym właśnie chce podyskutować.

Pytam, czy potrzebuje pieniędzy.

Nie patrzy na mnie, zamiast tego wpatruje się przez okno w trzy bezlistne drzewa na śniegu.

Jak to ująć? Wychowując syna za obie pensje, mojej żony i moją, mamy co jeść, nie trzęsiemy się nad każdym fenem, ja zaś nie mogę sobie pozwolić na wyprzedaż skarbu przodków. Zresztą dostałbym tylko pewną sumę, tytułem nagrody dla przodowników.

Mówię, że także wydrukują w gazetach wiadomość: taki a taki, w siódmym pokoleniu potomek takiego i takiego, przekazuje zabytki kultury i otrzymuje nagrodę.

Z krzywym uśmiechem zastanawia się, czy czereda bliższych i dalszych krewnych nie rozwali mu głowy przy próbie podziału tej nagrody. Chociażby z tej racji nie warto. Dla niego wszakże najważniejsze jest przekonanie, że skarbem wzbogaci naród.

Zdaje się, że nie brak odkopanych zabytków kultury. I co, wzbogaciły naród? ripostuje.

No właśnie, przytakuje, lecz zaraz dzieli się następną myślą. Co będzie, jeśli nagle zachoruje lub zginie w wypadku samochodowym? Wtedy już nikt się nie dowie.

Wobec tego przekaż czterowiersz synowi, radzę.

Mówi, że nawet myślał o tym, ale co będzie, jeśli z syna wyrośnie nicpoń, który wszystko sprzeda? pyta sam siebie.

Chyba możesz mu wydać polecenia? przerywam.

Dzieciak wciąż jest młody, niech się lepiej spokojnie uczy. Nie chce, żeby przez tę infantylną historię jego syn, kiedy dorośnie, stał się takim nerwowym wrakiem jak on. To stanowczo wyklucza.

Zatem zostaw archeologom jakąś robotę na przyszłość. Cóż mogę powiedzieć?

Myśli, potem klepie się po udach. Zrobię, jak radzisz! Niech leży w ziemi! Z tymi słowami wstaje i wychodzi.

Zjawia się inny przyjaciel, w nowiuteńkim wełnianym płaszczu prosto spod igły, w czarnych lśniących skórzanych półbutach ozdobionych trzema ślimakowatymi paskami. Wygląda jak dygnitarz, który rusza w zamorską podróż w ważnej państwowej misji.

Zdejmując płaszcz, głośno mówi, że zrobił majątek w biznesie! On dzisiejszy jest kimś innym niż on wczorajszy. Zdjąwszy płaszcz, wygląda w nieskazitelnie wyprasowanym garniturze, w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i w czerwonym wzorzystym krawacie jak przedstawiciel zagranicznej firmy.

Pytam, czy tak cienko ubrany nie zmarznie w tę pogodę.

Mówi, że już nie tłoczy się w autobusach, przyjechał taksówką, a zatrzymał się tym razem w hotelu Pekin! A co, nie wierzysz? Dlaczego w pierwszorzędnych hotelach mają mieszkać sami cudzoziemcy? Rzuca pęk kluczy z mosiężną kulą i mosiężną przywieszką, na której wygrawerowano angielski napis.

Mówię, że jeśli wychodzi, powinien zostawiać klucze w recepcji.

To dawny nawyk z czasów ubóstwa, zawsze zabiera klucze ze sobą, mówi tytułem usprawiedliwienia. Rozgląda się po pokoju.

Jak to jest, że mieszkasz w jednym pokoju? Zgadnij, jakie mam teraz mieszkanie?

Mówię, że nie zgadnę.

Trzypokojowe plus salon. W twoim mieście, w Pekinie, takie mają dyrektorzy biur!

Wpatruje się w rumiany odcień na starannie ogolonej twarzy, przyjaciel już nie jest taki wychudły ani zaniedbany, jakiego widywałem podczas podróży.

Jak to możliwe, że nie masz kolorowego telewizora? pyta.

Mówię, że nie oglądam telewizji.

Nawet jeżeli nie oglądasz, to musisz mieć, żeby ludzie widzieli. My mamy w domu dwa, jeden w salonie, drugi w pokoju córki. Córka i żona oglądają swoje programy. Jeżeli chcesz, to pójde z tobą do domu towarowego i zaraz przyniesiemy telewizor! Nie żartuję, naprawdę. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Widzę, że świerzbą cię pieniądze w kieszeni, mówię.

Kupuję i sprzedaję, takie prezenty daję wszystkim urzędnikom, w ten sposób świetnie im się wiedzie. Bywa, że potrzebujesz zgody na ofertę, prawda, żeby cię dopuścili? Nie dasz prezentów, to drzwi się nie otworzą. Ale ty jesteś moim przyjacielem! Brak ci kasy na zachcianki? Jeśli poniżej dziesięciu tysięcy, masz ją u mnie; nie ma sprawy.

Nie wdawaj się w łamanie prawa, ostrzegam.

Łamanie prawa? Po prostu wręczam parę prezentów. To nie ja łamię prawo, ci, których mogą dorwać, to grube ryby!

Grubych ryb nie mogą dorwać, mówię.

Jasne, wiesz lepiej ode mnie, mieszkasz w stolicy, kojarzysz, co jest grane! Ale powiem ci, że niełatwo mnie dorwać! Płacę wszystkie podatki. Jestem teraz honorowym gościem w domach dygnitarzy powiatu i szefów regionalnych wydziałów handlu. To już nie ten nauczycielski etat w miejskiej podstawówce w Chengguan. Zresztą w tamtych czasach, żeby się ze wsi przeprowadzić do Chengguan, wydawałem w ciągu roku moje cztery miesięczne pensje na obiady dla urzędników komitetu edukacyjnego.

Mruży oczy, wsparty pod boki cofa się o krok i przygląda uważnie malowanemu tuszem zimowemu pejzażowi na ścianie. Na chwilę wstrzymuje oddech, potem odwraca się i mówi, przecież kiedyś chwaliłeś moją kaligrafię? Nawet ty uważałeś, że jest dobra, lecz kiedy swego czasu próbowałem ją ulokować na wystawie w powiatowym domu kultury, odrzucili. Kaligrafia paru ważnych osobistości i paru sław jest poniżej krytyki, mimo to są honorowymi przewodniczącymi i wiceprzewodniczącymi stowarzyszeń badania kaligrafii; a kto, jak nie oni, bezwstydnie publikuje własne prace w gazetach?

Pytam, czy wciąż się zajmuje kaligrafią.

Nie utrzymałbym się z kaligrafii, to tak, jak z książkami, które piszesz. Ale któregoś dnia też stanę się sławny, a za moimi plecami ludzie będą się krzywić na moje kaligraficzne majstersztyki. Już machnąłem ręką na to towarzystwo.

Skoro machnąłeś, to szkoda o nim mówić.

Zły jestem na nich!

Czyli nie machnąłeś. Pytam, czy coś jadł.

Nie zwracaj sobie głowy jedzeniem, zaraz złapię wóz i zabiorę cię do takiej restauracji, na jaką masz ochotę. Wiem, że twój czas jest cenny. Więc lepiej mieć za sobą to, z czym przyszedłem, a przyszedłem po pomoc.

Jaką? Mów, o co chodzi.

Pomóż mojej córce dostać się na prestiżowy uniwersytet.

Mówię, że nie jestem rektorem uniwersytetu.

Zgoda, pewnie cię nie mianują, mówi, ale jakieś kontakty masz, co? Uchodzę teraz za zamożnego, ludzie wciąż jednak widzą we mnie spekulanta. Nie mogę pozwolić, żeby życie mojej córki przypominało moje, chcę, żeby poszła na ceniony uniwersytet, a wtedy może się dostać do wyższej sfery społecznej.

Słowem, może poszukać sobie syna ważnej osobistości? pytam.

Tego nie doglądam, sama wie, co robie.

A co, jeśli nie poszuka?

Prześtań przerywać, pomożesz czy nie?

Wszystko zależy od jej wyników w szkole, nic tu mogę pomóc.

Ma dobre stopnie.

Więc do zrobienia zostaje; jedno: sięść do egzaminów.

Pedant z ciebie, naprawdę. Myślisz, że dzieci tych wysokich dygnitarzy zdawały egzamin?

Nie badałem tych spraw.

Jesteś pisarzem.

I co z tego, że jestem?

Masz wycucie społeczeństwa, musisz mówić w imieniu ludu!

Nie żartuj, mówię. Czy ty jesteś lud, a może ja jestem lud, a może tak zwani my to lud? Ja mówię tylko za siebie.

Lubię w tobie, że zawsze mówisz prawdę!

Prawda przedstawia się tak, mój drogi starszy bracie, że zgłodniałem, więc włóż płaszcz i poszukaj czegoś dojedzenia.

Znowu ktoś puka do drzwi. Otwieram, lecz nie znam tego człowieka z plastikową torbą. Mówię, że nie kupię jajek, jadłem już na mieście.

Mówi, że nie sprzedaje jajek, otwiera torbę, pokazuje, że nie ma broni, nie jest zbiegłym przestępcą. Ostrożnie wyciąga duży pakiet i mówi, że specjalnie przyszedł poszukać mojej pomocy. Napisał powieść i chce, żebym do niej zajrzał. Nie mam wyboru, zapraszam do środka, wskazuję, gdzie siadać.

Mówi, że nie chce siadać, chce zostawić rękopis, wpadnie jeszcze raz, później.

Mówię, że nie ma sensu odkładać spraw na później, jeśli chce coś powiedzieć, może to zrobić teraz.

Grzebie w jednej kieszeni, w drugiej, wyciąga paczkę papierosów. Podaje zapalki i czekam, aż zapali; teraz może zwięźle wyłożyć, co chce.

Jakając się, powiada, że napisał historię opartą na faktach...

Przerywam i mówię, że nie jestem dziennikarzem, nie interesują mnie fakty.

Jakając się jeszcze bardziej, mówi, że literatura to nie to samo co prasowe reportaże, wie o tym, utwór jest fabularny. Do opartej na faktach osnowy dodał stosowną porcję zmyślonych wątków. Chodzi mu o to, żebym zajrzał do książki i powiedział, czy nadaje się do druku.

Mówię, że nie jestem wydawcą.

Mówi, że wie, ale sądził, że mógłbym polecić powieść i mogę nanieść poprawki, jakie chce. Zgodzi się nawet, że do dam swoje nazwisko i można to będzie uznać za pracę wspólną. Oczywiście jego nazwisko umieszczi się jako drugie, moje jako pierwsze.

Mówię, że jeśli umieszczę swoje nazwisko, to powieść będzie jeszcze trudniej wydać.

Dlaczego?

Bo moje utwory bardzo trudno wydać.

Wykrzykuje na znak, że zrozumiał.

Obawiam się, że nie do końca zrozumiał, więc wyjaśniam: najlepiej jeśli znajdzie wydawcę, który będzie w stanie wydać jego utwór.

Milknie, najwyraźniej zaniepokojony.

Postanawiam mu pomóc, więc mówię, żeby zabrał powieść.

Nie bierze; szeroko otworzywszy oczy, pyta, czy mógłbym przesłać rękopis do właściwego działu wydawnictwa.

Lepiej będzie, jeżeli prześle pan bezpośrednio, niż jeśli ja przekażę. Mniej zamieszania, mniej kłopotów, mówię z uśmiechem. On także się uśmiecha, wkłada rękopis z powrotem do plastikowej torby i mamroce podziękowania.

Mówię, że nie trzeba, to ja jestem mu wdzięczny,

Znów słyszę pukanie do drzwi. Nie mam ochoty otwierać.

Wchodzisz na tę lodową górę, dysząc, posuwasz się o krok, potem odpoczywasz. To walka. Rzeka zielonego lodu jest ciemna, lecz przezroczysta. Pod spodem biegą ogromne żyły minerałów koloru zielonego tuszu, jadeitowe.

Ślizgasz się na lodowej gładzi, przejmujące zimno kłuje policzki zdrętwiałe na mrozie. Ledwie widoczne płatki śniegu mienia ci się wielobarwnie przed oczami, wilgoć oddechu tworzy natychmiast warstwę białego szronu na brwiach. Dokoła zakrzepła cisza.

Łóżysko rzeki nagle wznosi się, lodowiec niepostrzeżenie osuwa się o parę metrów rocznie, może o dziesięć, a nawet więcej.

Idziesz pod prąd spływającego lodowca, pełniesz jak na wpół zamrożony owad.

Tam w górze, w cieniu, gdzie nie dociera słońce, odrywają się i wzlatają smagane wiatrem płaskie płyty lodu. Kiedy wichura dmie z szybkością ponad stu metrów na sekundę, poleruje na błysk te białe lodowe ściany.

Jesteś pośrodku kryształowych ruin i nawet stojąc, walczysz o każdy oddech. Czujesz rozdzierający ból w płucach, mózg już zamarza, nie możesz myśleć, wszystko staje się czystą pustką, czy to ten stan, do którego zdążałeś? Podobnie jak w świecie lodu i śniegu, są tylko niejasne rozmyte obrazy stworzone z cieni; nic nie mówią, nie oznaczają, połacie śmiertelnej samotności.

Co krok możliwy jest upadek, więc padasz, a potem walczysz, ślizgasz się, pełniesz. W rękach i stopach już nawet nie czujesz bólu.

Śniegu na lodzie stopniowo ubywa, został tylko w za kątkach, do których nie wdarła się wichura. Jest zbity, na pozór miękki i puszysty, w istocie okryty twardą warstwą lodu.

W lodowej dolinie pod twymi stopami krąży bielik, jedyna żywa istota prócz ciebie. Nie rozstrzygniesz, czy to tylko wyobrażenie czy nie, co innego jest ważne: masz przed oczami obrazy.

Podchodzisz zakosami. Raz bliższy życia, raz śmierci, wciąż walczysz. Wciąż istniejesz, tak jest, wciąż w twoich żyłach krąży krew, życie jeszcze się nie skończyło.

W ów ogrom ciszy coś delikatnie się wwierca, coś ledwie; słyszalnie się rozdzwania, może potracające się kryształy lodu. Myślisz, że to słyszysz.

Szczyt góry zdobi purpurowa mgiełka, twór zawirowań wichury. W pędzących smugach chmur na grani widać potęgę wiatru.

Coś coraz wyraźniej się rozdzwania, a twoje serce łomocze. Widzisz kobietę na koniu. Znad linii śniegu wynurzają się głowy, konia i kobiety, rysują na tle ponurej lodowej rozpadliny. Masz wrażenie, że wraz z dzwonieniem końskiego dzwonka słyszysz śpiew.

Kobieta z Chang'anu

Jedwabne wstążki we włosach

Jadeitowe kolca

Srebrne bransolety

Szarfa wielu barw...

Wygląda na Tybetankę, którą raz już widziałeś na koniu, na ośnieżonej górze, przy znaku podającym wysokość drogi, pięć tysięcy sześćset metrów nad poziomem morza. Oglądała się za tobą, uśmiechała, wabiła do lodowej szczeliny. Nie mogłeś się wówczas oprzeć, podszedłeś...

To wspomnienia, przenikające cię dzwonienie dźwięczy chyba tylko w twym mózgu. Czujesz przejmujący, palący ból w płucach, serce wali jak szalone, chaotycznie, mózg lada chwila wybuchnie. Kiedy wybuchnie, zakrzepnie krew, będzie to wybuch bezdźwięczny. Życie jest kruche, a uporczywa walka naturalna.

Otwierasz oczy, światło to ból, nic nie widzisz, ale wiesz, że wciąż pełniesz, dźwięczący dzwonek staje się odległym wspomnieniem, niejasną tęsknotą, jak odłamki ulotnych lodowych kwiatów skrzące się na twych siatkówkach. Usiłujesz dostrzec kolory tęczy, wirujesz, raz nogami do góry, raz głową, zsuwasz się, nad niczym nie panujesz. Próżne wysiłki, mglista nadzieja, niezgoda na zagładę, jama czarna jak smoła, oczodoły szkieletów zdają się wglądać w głąb ciebie, nic, zupełnie nic, kakofonia, huk, rozdzieranie na strzępy!

...nie zaznana dotąd przejrzystość, pełnia czystości, świeżości. Ledwie słyszysz delikatny, niemal bezgłośny dźwięk, który staje się przezroczysty, odsiany, przefiltrowany, prześwietlony. Padasz, padając zaś, ulatujesz, jakże delikatnie, nie ma wiatru, ważkości, nierozwagi uczuć. Całe twe ciało jest zimne, twe ciało i umysł chłoną, słuchają bezdźwięcznej, skłębionej muzyki. Jesteś świadomy i widzisz tę nitkę babiego lata, staje się

coraz mniejsza, lecz coraz bardziej wyraźna, tuż przed twymi oczami, delikatna jak pasemko włosów, podobna do strużki światła. Kraniec strużki przenika się z ciemnością, traci kształt, rozciąga, przemienia w słabe, małe punkciki świetlne, potem w niezliczone, nieogarnione cząsteczki, które spowijają cię jak chmura, stają się twym okryciem. Małe punkciki światła gromadzą się w wiązki, nabierają pędu, zamieniają w mgławice, przekształcają, wciąż jeszcze powoli zbijają w mroczny księżyc o błękitnym odcieniu. Księżyc, wewnątrz słońca, staje się szaropurpurowy, rozprzestrzenia się zaraz, lecz jego środek wciąż zagęszcza się, staje ciemnoczerwony, śle purpurowe jaskrawe promienie. Zamykasz oczy, żeby odgrodzić się od blasku, ale to na nic. Strach i nadzieja wzbierają, drżące, w głębinach twego serca, na krawędzi ciemności słyszysz muzykę, ów gęstniejący dźwięk stopniowo rozciąga się, napina, rozprzestrzenia, skrzące się kryształki muzyki wnikają w twe ciało. Nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Cząsteczki świetlistych kryształów dźwięku wnikają w twe ciało i umysł ze wszystkich stron. Nawała długich dźwięków przybiera kształt, jest też pełen życia dźwięk w średnicy, nie możesz rozmnożyć ich melodii, lecz uświadamiasz sobie bogactwo dźwięków. Nie wpływa na nie fala innych dźwięków, łączą się, przenikają, rozwijają, przemieniają w rzekę, która niknie i pojawia się, pojawia się i niknie. Mrocznobłękitne słońce krąży wewnątrz jeszcze mroczniejszego księżyca, z zachwyty wstrzymujesz oddech, a przestając oddychać, dosięgasz krańca życia. Lecz moc tętniących dźwięków wciąż narasta, unosi cię, spycha w przyływ, w przybór czystej duchowości. Przed oczami, w sercu, w twym ciele nieświadomym czasu ani przestrzeni ciągle potęgowanie się hałasu, mnożenie obrazów odbitych w mrocznym słońcu wewnątrz jeszcze mroczniejszego księżyca staje się oto hukem wybuchu wybuchu wybuchu wybuchu i chu -buchu -buchu -buchu -buch- -buch- -buch- -im u u u u u -uu -u - potem znów absolutna cisza. Zapadasz się w jeszcze głębszy mrok, znów czujesz, jak tętni serce, czujesz fizyczny ból. Lęk żyjącego ciała przed śmiercią jest właśnie laki, namacalny, fizyczne ciało, którego nie udało ci się porzucić, odzyskuje wrażliwość.

W ciemności, w rogu pokoju błyska rząd jasnoczerwonych światełek twego magnetofonu.

Widzę na śniegu za oknem zieloną żabkę, mruga jednym okiem, drugie, nieporuszone, szeroko otwarte wpatruje się we mnie. Wiem, że to Bóg.

Tak mi się właśnie objawia i przygląda, chce zobaczyć, czy zrozumiem.

Mówi do mnie oczami, otwierając je i zamykając. Kiedy Bóg przemawia do ludzi, nie chce, żeby słyszeli Jego głos.

Nic w tym dla mnie dziwnego, tak to powinno być. Jakby Bóg rzeczywiście był żabą. Inteligentne okrągłe oko nawet nie mrugnie. Naprawdę miłe, że raczy łaskawie patrzeć na tę nędzną ludzką istotę, którą jestem.

Otwieranie się i zamykanie drugiego oka to jak przemowa w języku niezrozumiałym dla ludzi. To już nie boskie zmartwienie, czy zrozumiem czy nie.

Mogę oczywiście pomyśleć, że mruganie nic nie znaczy, lecz jego doniosłość właśnie polega na braku znaczenia.

Cudów nie ma. Bóg coś mówi, mówi do tej nienasyconej istoty ludzkiej, do mnie.

Czego jeszcze szukać? domagam się odpowiedzi.

Wokół panuje cisza, bezgłośnie pada śnieg. Zdumiewa mnie ten spokój. Taki sam spokój panuje w niebie.

Nie ma radości. Radość to krewna niepokoju.

Pada śnieg.

Nie wiem, gdzie teraz jestem, nie wiem, skąd nadchodzi owo królestwo Niebios, rozglądam się dokoła.

Nie wiem, że nic nie rozumiem, i wciąż sędzę, że wszystko rozumiem.

Sprawy się toczą poza mną, zawsze jest tajemnicze oko, więc najlepiej po prostu udawać, że rozumiem, nawet jeździ nie rozumiem.

Udając, że rozumiem, wciąż nie rozumiem.

W istocie rzeczy nic nie pojmuję, nic nie rozumiem. Tak to jest.

Pisane od 1982 do września 1989
w Pekinie i w Paryżu